



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

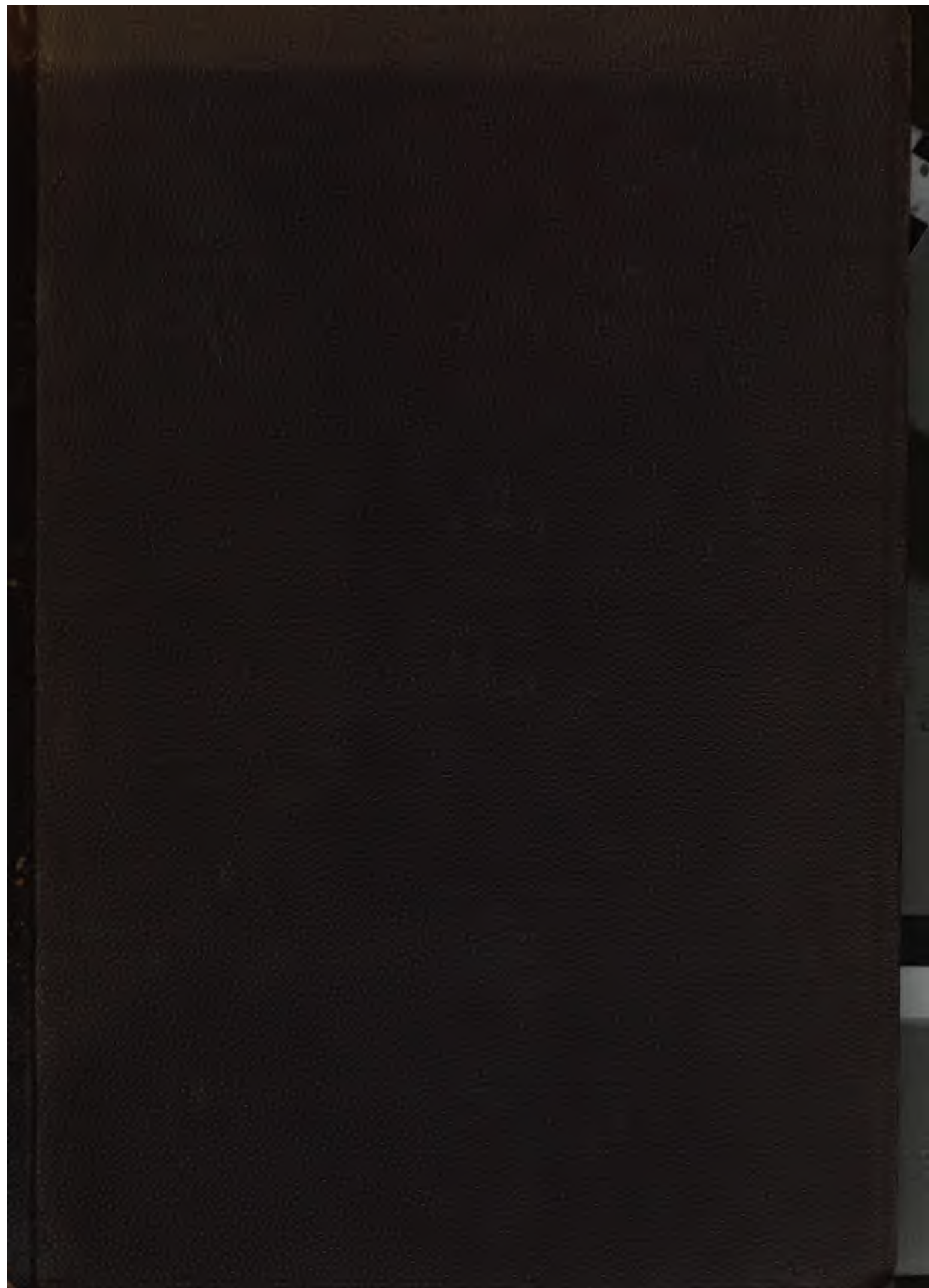
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



*Gift of
John H. Wiggins*



STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

o Rap. i

O.

Горань 1/27

1/27

OGNISKO.

6.15.61



T. T. Jez
(Zygmunt Miłkowski).

OGNISKO

KSIĄŻKA ZBIOROWA

wydana dla uczczenia 25 letniej pracy

T. T. JEŻA.

1882.

W A R S Z A W A.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska Nr. 23.

1882.

APK

61566

АС 60
О 36

**Дозволено Цензурою:
Варшава, 7 Января 1883 года.**

Do T. T. Jeża.

Czcigodny Panie!

Przesyłając Ci Ognisko, słaby objaw naszego holdu i niezupełny wyraz naszych pragnień, prosimy, abys uwierzył, że za Twoją 25 letnią pracę dla polskiego piśmiennictwa więcej wdzięczności pozostawiamy w naszych sercach, niż wypowiadamy w publicznych słowach. Kiedy Ty, Szanowny Panie, już ozdobiłeś swe imię wymownem apostołstwem zasad i godeł postępowych, my zaczęliśmy dopiero ich doniosłość mierzyć i wartość pojmować; z naszych więc rąk szczególnie należy Ci się wieniec, który, zbiorowo uwity ze skromnych prac w tej książce, wkładamy z daleka na Twe zasłużone czoło. Przyjm go, Panie, nie jako ozdobną koronę, ale jako pamiątkę roku jubileuszowego, w którym grono pokrewnych umysłów cześć Ci objawiło.

Redakcyja—„Ogniska,“



ÓBJAŚNIENIE.

Witniśmy uprzedzić czytelników, że książka ta nie jest całkowitem spełnieniem naszych zamiarów. Wychodzi ona bowiem niezupełnie taką, jaką mieć chcieliśmy. Pomijając inne względy, zaznaczymy ten tylko, że pięciu autorów prac swych nam nie dostarczyło, niektórzy musieli swoje zmienić lub z braku czasu innemi zastąpić. Natomiast pomieściliśmy kilka niezapowiedzianych, które, jak mniemamy, zasłużą również na uznanie czytelników.

Nie wyliczamy tu przeszkód, jakie tamowały nasze przedsięwzięcie, gdyż za wszystkie jesteśmy nad zasługę wynagrodzeni podwójnie: możliwością złożenia publicznego hołdu czcigodnemu pisarzowi i sympatyą dla **Ogniska**, które zostało wyczerpanem, zanim opuściło prasę. Jest to dla naszej chorągwi i naszych usiłowań świadectwo zbyt chlubne, ażebyśmy niem poszczycić się nie mogli. Jak zapowiedzieliśmy w odezwie, czysty dochód z rozprzedaży książki przeznaczaliśmy jako honorarium za powiastkę jubilatowi, którą w oddzielnem odbiciu z osobną paginacją dołączamy na końcu **Ogniska**.



TEODOR TOMASZ JEŻ.

Przypatrując się wizerunkowi naszego powieściopisarza, rozważając tę kościstą budowę jego twarzy zawiedłej a kanciastej trochę, te brwi nastroszone, ten wąs obfity zawieszony, ten wyraz energii, siły i hartu, jaki z oczu jego bije, mimowoli zrobić musimy spostrzeżenie, że fizyognomia ta wyróżnia się jaskrawo od przeciętnej dzisiejszej twarzy poetów i belletrystów; nasuwa ona raczej pamięci widza wizerunki naszych dawnych ziemian-rycerzy, co to, odpasawszy miecz od boku, zasiadali do spisywania wspomnień ze swego życia i poglądów na sprawy Rzeczypospolitej.

Zapewne, zasadnicze linie rysunku jego twarzy dziedzictwem mu się dostały; zapewne, ziemia, na której się urodził i wychował, to Podole, widownia ustawicznych zapasów o byt, użyźniona krwią i kośćmi licznych obrońców swoich i wrogów, owiała ją tchnieniem powagi i surowości; najwięcej atoli wyrzeźbiło się na niej samo życie jego jednostkowe, tak odmienne od zwykłego bytu ludzi pióra. Jeż bowiem należy do tego nader nielicznego dzisiaj grona pisarzy, co wiek swój młodzięczy i męski przepędzili nie wśród tuzinkowego otoczenia lub w zaciszy zajęć literackich, ale żyli życiem szerokim, prawdziwie czynnym, dzielnie borykając się z licznymi przeszkodami przez los i okoliczności stawianymi, nie tylko rozprawiając o obowiązku, ale go wytrwale pełniąc. Wszystko, co jest miękkiego i woskowego w usposobieniu naszym, wytopiło się w ogniu walki, a wszystko, co jest dzielnego i jędrnego, nabrało hartu.

Taki mąż czynu wszedł następnie w szranki piśmiennicze. Słowa jego i pisma stały się dopełnieniem, koniecznym wyrazem jego działania. Nie wybujałe marzenia wyobraźni, ani romantyczne kwilenia serca, lecz wielka, wspaniała idea obowiązku, skupiająca w sobie pojęcie cnoty w znaczeniu zarówno rzymskim jak nowoczesnym. dała mu tło, na którym obrazy swoje malował.

To życie i ta działalność zasługują na szczegółowe, dokładne studium; nie czas atoli jeszcze pisać je obecnie; poprzestać więc musimy na zaznaczeniu najważniejszych jedynie momentów tak jednego, jak drugiej.

I.

Ród Miłkowskich, odkąd o nim kroniki wzmiankują, siedział na Podlasiu, gdzie tworzył „dom rozrodzony“, jak się Paprocki w swoich *Herbach Rycerstwa* wyraził. Z biegiem atoli czasu w różne przenosił się strony kraju, tak, że ta jego gałąź, z której wyrósł nasz powieściopisarz, rozkwitła w Sanockiem, gdzie i do dziś się utrzymuje.

Miłkowscy pieczętowali się herbem Ślepowron, o którego współklejnotnikach jeszcze Długosz zauważył, że byli to wszyscy *viri bellicosi*, „mężowie ducha wojowniczego“. Nie odznaczali się oni bogactwami, nie piastowali w Rzeczypospolitej wielkich urzędów, ale służyli krajowi dzielnie, jakby poszczegółe sprawdzić chcieli to, co o Ślepowronach mówiono w ogólności.

Nie zapuszczając się w odleglejszą przeszłość, możemy to widzieć na dwu pokoleniach, poprzedzających urodzenie Teodora Tomasza Jeża.

Dziad jego, Jan Miłkowski brał udział w kampanii roku 1792 w stopniu chorążego; z rozkazu Kościuszki zabrał magazyny wojskowe z Czezelnika, walczył pod Szepetówką, Lubarem, Dubienką. Żona jego, z paroletnim synkiem Józiem, dzieliła, zwyczajem ówczesnym, trudy życia obozowego wraz z mężem i na Boryszkowieckiej grobli ciężką, niepewności pełną przeżyła chwilę, kiedy została zaskoczona przez nieprzyjaciół u przeprawy przez most zepsuty. Udało się uniknąć niebezpieczeństwa; ale głębokie wrażenie jego bliskości pozostało na długo zarówno we wrażliwym umyśle matki jak i syna.

Po smutnie zakończonej walce przeniósł się chorąży na Podole i osiadł we wsi Saracei nad Dniestrem, w powiecie bałckim. Tu się wychowywał i ów otrząskany już z hukiem dział synek, a doszedłszy lat dwudziestu, nie zaniedbał pójść w ślady ojca, wstępując w szeregi wojsk Księstwa Warszawskiego. Wraz z tą armią podzielił chwałę roku 1809 i klęski roku 1812. Nad Berezyną dostał się do niewoli, lecz z niej uciekł, by

następnie złączyć się z niedobitkami i walczyć pod Budyszynem i Lipskiem a potem raz jeszcze znaleźć się w liczbie jeńców. Przez ten czas służył w 16-tym pułku ułanów, a po ustanowieniu Królestwa kongresowego w 1815 przeszedł do 4-go pułku strzelców konnych, lecz po trzech latach opuścił armię w stopniu porucznika, ozdobiony krzyżem *Virtuti militari*. Odtąd osiedlił się w Saracei, zajmując się gospodarstwem i pełniąc obowiązki obywatelskie jako sędzieja graniczny. Wtedy też ożenił się z Balbiną Brudzewską, której rodzina, wywodząca się z Wielkopolski, przechowywała wspomnienia świetnej przeszłości, zarówno ze względów politycznych, gdyż byli Brudzewscy wojewodami i kasztelanami, jak i ze względów umysłowych, gdyż i sławny astronom z drugiej połowy XV stulecia Wojciech z Brudzewa liczony był do szeregu jej przodków.

Z małżeństwa tego urodziło się pięciu synów i dwie córki; najstarszym był Zygmunt Fortunat, który przyszedł na świat 23 marca 1824 r. Saraceja była miejscem urodzenia, ale nie wychowania Zygmunta; ojciec bowiem musiał Saraceję sprzedać dla podziału spadku pomiędzy czterech braci i dwie siostry. Za schedę swoją, powiększoną niewielkim posagiem, zadzierżawił na Pobereżu wioskę Rybki, gdzie nasz Zygmunt pierwsze lata dziecinne przepędził.

Lata te, tak niesłychanie ważne w rozwoju umysłu, wpływały mu wśród otoczenia, które nieczęsto i niewszędzie u nas się zdarzało. Ojciec jako wychowaniec czasów napoleońskich, przesiąkniętych pewnem wolnomyślicielstwem, rozplomieniał serce i wyobraźnię dzieci świeżemi wspomnieniami walk niedawno przebytych, wpajał w ich dusze poszanowanie ludzkiej godności w każdym człowieku, a więc i w chłopie, w poddanym, religię pojmował i zaszczeniał jako uczucie, ale na ścisłe pełnienie praktyk kościelnych nie robił nacisku. O pierwszym z tych wpływów nie możemy się tu rozszerzać; zrozumieć go zresztą i ocenić bardzo łatwo. O dwu drugich parę charakterystycznych faktów warto przytoczyć.

Raz szlachcic chodackowy, procesujący się z wieśniakiem, nie uznał decyzji Józefa Miłkowskiego za sprawiedliwą i wyrzucał mu, że za chłopem ciągnie. — „Szlachcicem u mnie ten, co szlachetnie postępuje“ — odrzekł Miłkowski. Kiedy indziej, w r. 1832, gdy posucha ogólna sprowadziła głód, a w Rybkach, położonych w nizinie, żniwa wypadły nader pomysłnie, nasz niezamożny dzierżawca nie korzystał z podniesienia się cen, nie sprzedał zboża kupcom, ale je odstępował chłopom okolicznym po cenie dawniej-

szej; a na uwagi sąsiadów, że sprzedaje zbyt tanio, odpowiadał zazwyczaj, iż z ludzkiego nieszczęścia korzystać się nie godzi.

W domu Miłkowskich nie było ksiązek do nabożeństwa, z wyjątkiem jednej bardzo starej, będącej własnością babki, której specjalnem zajęciem było uczenie dzieci pacierza. Na Boże Narodzenie, jak w każdym domu szlacheckim natenczas, śpiewano kolędy; Wigilię i Wielkanoc obchodzono uroczyste; ojciec nucił przy sposobności pobożne pieśni Karpińskiego, czytywał psalterz; ale katechizmu, według rutynicznego zwyczaju, w pamięć dzieci, niemogących go rozumieć, nie wtlaczał. Rodzice i dzieci postów nie obserwowali, w kościele bywali zaledwie parę razy do roku. Księża zaglądali czasami do Rybek, ale się z wolnomysłnym trochę porucznikiem nie przyjaźnili. Wyjątek stanowił ksiądz kanonik Komarnicki, proboszcz z Sawrawia, spokrewniony z rodziną Miłkowskich, kapłan zacny, przekonana liberalnych, zapalony myśliwy i autor wierszy polskich i rusińskich, które w licznych odpisach na Podolu się rozpowszechniały. Bywał on często w Rybkach, bawił po dni kilka, deklamował wiersze, polował.

Zamiłowanie literatury ojczystej w domu porucznika było wielkie; chociaż interesa szły wcale nie świetnie, Józef Miłkowski, lubiąc książki, kupował je, a dzieci czytały i poezyi na pamięć się uczyły. Zygmunt z czasów dzieciństwa swojego pamięta nazwiska Kochanowskich, Szymonowicza, Krasickiego, Naruszewicza, Karpińskiego, Kniaźnina, Brodzińskiego, Mickiewicza. Mając lat osiem, czytał już Jerozolimę Wyzwoloną w przekładzie Piotra Kochanowskiego i Eneidę w tłumaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego.

Wśród takich wpływów ubiegło Zygmuntovi lat dziewięć; przeszedł rok 1831, nie bez pozostawienia po sobie śladów w duszy dziecka, które wiedziało i rozumiało więcej, aniżeli przeciętne umysły w tym wieku. W roku 1833 ojciec jego przeniósł się do Klebani, wsi dzierżawionej od Miecysława hr. Potockiego, człowieka przewrotnego z gruntu, znanego i ze swoich brutalnych wybryków i z małżeństwa z Delfiną Komarówną, późniejszą Beatrycą Krasieńskiego. I Miłkowski jako dzierżawca doświadczył na sobie fantazyi rozbrykanego magnata, który raz najechał na dom jego i kazał wyrzucić z toku cały zbiór roczny.

Z Klebani - to Zygmunt oddany został do gimnazjum w Niemirowie, zostającego pod dyrekcją Miładowskiego, który wychowanie i wykształcenie odebrał za świetnych czasów wileńskich i wśród zmienionych stosun-

ków starał się przechować piękną tradycję szkolną Śniadeckich i Czackiego. Lubo prędko z natury, umiał się hamować; lubo musiał się trzymać programu nauk, zmienionego po r. 1831, potrafił jednak ubocznie zachęcać do studyów nad temi drogiemi sercu przedmiotami, które do wykładu szkolnego nie wchodziły. Pod jego kierownictwem przeszedł Zygmunt trzy klasy i dostał się do czwartej. Atoli w r. 1838 z powodu jakiegoś spisku uczniowskiego, do którego wmieszany był i nasz Zygmunt, zaszły zmiany zarówno w losie uczniów, jak i w składzie ciała nauczycielskiego. Miładowski dostał dymisyę, a miejsce jego zajął naprzód Małorusin Kulczyński, a następnie Rosyanin Zimowski. Zygmunt miał zajście z dyrektorem i ukończywszy klasę szóstą, do gimnazjum już nie wrócił, chociaż rok cały w Niemirowie przepędził przy matce, zamieszkałej tu dla edukacji młodszego rodzeństwa, któremu Zygmunt służył za korepetytora.

Już w Niemirowie zaczął Zygmunt próbować sił swoich w wierszu; było to zresztą zjawiskiem wielce naówczas często wśród młodzieży spotykanem. Wiersze te odczytywał ojcu, matce i cici Jeleńkowskiej. Ciocia była naturalnie największą zwolenniczką i adoratorką prób poetycznych młodego gimnazysty; matka zachwycała się niemi również; ojciec słuchał cierpliwie, ale wierszowanie nazywał głupstwem i bezużyteczną stratą czasu. Młodzieniaszkowi nie w smak szła obojętność ojcowska; to też niejednokrotnie rozwodził się z żalami przed matką, która oczywiście ubolewała także nad tym indyferentyzmem; aż pewnego razu zwierzyła się synowi, wymógłszy od niego słowo, że jej z sekretu nie wyda: „Ojciec nie chwali twoich wierszy — mówiła — ale zdaje mi się, że nie chwali ich dlatego, aby ciebie nie popsuć, bo prosił mię, abym mu dawała do schowania wszystko, co ty napiszesz, ale abym o tem nic a nic tobie nie powiadała“. Ta uwaga matki wydała mu się nadzwyczaj trafną i dodawała mu pewności siebie. Powoli jednak, przechodząc stopniowo do klas wyższych, począł chłódnać w zapale poetyckim i coraz to mniej produkował pieśni, dumek, ód, fantazyj, ballad i t. d. W drugiej klasie napisał najwięcej, w piątej bardzo mało, a w szóstej nic już wierszowanego nie wypłynęło mu z pod pióra. Nie uważał jednak siebie za pozbawionego talentu poetyckiego, tylko za poetę odпочywiającego; przygotowywał się zadziwić świat poematem... Rożen, laureat krzemieniecki, mieszkający w Niemirowie, i Grudziński, nauczyciel języka łacińskiego, dodawali otuchy młodemu wierszopisowi. Zanim jednak zdobył się na jakiś poemat, napisał pierwszą swą powiastkę i przesłał ją do *Athenaeum*, pisma zbiorowego wydawanego wówczas

przez Kraszewskiego; utwór ten atoli gdzieś się zawieruszył i przepadł. Napisanie tej powieści zbiegło się z chwilą pierwszego zakochania się.

Gdy po roku przepędzonym w domu Zygmunt zamierzał udać się do liceum w Odessie dla słuchania wykładów akademickich, radził się ojca, na jaki wydział ma wstąpić. Ojciec nie narzucał mu swej woli, napomykał tylko, że radby go widział na wydziale matematycznym; ale gdyby wybrał wydział inny, nicby przeciwko temu nie miał; błagał go jedynie, ażeby się wstrzymał od pisania wierszy póty, póki kursu nauk nie skończy. Zygmunt dał słowo, że rymować zaprzestanie, i wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny, który w 22-gim roku życia opuścił, mając przyznany dyplom i medal złoty za rozprawę konkursową „O napadach i zdobyczach Normanów w IX i X stuleciu“. Przez cały czas pobytu w liceum „nie wziął — jak sam się wyraża — na sumienie swoje ani jednego zrymowanego dwuwiersza“.

W Odessie powiewał duch pewnej swobody, przebijający się nawet w ustawie licealnej; studenci np. nie byli przymuszani do słuchania wykładów religii, jak w innych uniwersytetach cesarstwa. Tu także mógł się Zygmunt zapoznać szczegółowiej z utworami poetycznymi, wydawanymi na emigracji.

Ponieważ liceum nie miało prawa dawać stopnia kandydata, tak, że słuchacze kończyli je jako „rzeczywiści studenci“, Zygmunt wróciwszy do domu, zamierzył przysposobić się do egzaminu kandydackiego, który miał złożyć w uniwersytecie kijowskim.

Ojciec przyjął syna jako towarzysza i przyjaciela; rozmawiali o rozlicznych zawodach życia mężczyzny: treścią uwag ojcowskich były myśli, które w lat kilkanaście potem Jez tak sformułował: — „Idź, synu, leć.. na służbę krajowi twemu i braciom twoim... Nie żałuj siebie... Wypatruj, gdzie potrzeba twojej obecności i współpracy, i tam ruszaj! Jest to twoim obowiązkiem. Nie ma żadnej zasługi w pełnieniu obowiązku, ale niepełnienie jest zbrodnią“.

Potem razu pewnego, wśród rozmowy w kółku rodzinnem, zagadnął Zygmunt ojciec: „czy ty pisujesz jeszcze wiersze?“, a syn, zmieszany czegoś, odpowiedział przecząco. Wtedy ojciec poszedł do szafki, wydobyl z niej zwitek starannie mocną nitką obwiązany, rozwiązał, rozwinął papiery i podał synowi, który poznał w nich swoje twory poetyczne. Zaczął przebiegać je oczyma i czuł, jak krew uderzała mu do głowy. Ojciec stojąc przed nim, patrzył i uśmiechał się.

— No i cóż? — zapytał.

— To głupstwo! — odrzekł Zygmunt.

— Wiedziałem ja o tem oddawna — odparł ojciec — a widzisz, co to ty był kiedyś za dureń.

Zygmunt naturalnie nie miał nic pilniejszego, jak spalić odrazu wszystkie swoje rymy.

To całopalenie nie było naturalnie wyrazem pogardy dla prawdziwej poezji, ale tylko wyrazem trzeźwej oceny takiej poezji, jaką w owych młodzieńczych latach i on i jego rówieśnicy uprawiali. Przejęty miłością i uwielbieniem dla wielkiej, rzetelnej twórczości, musiał stać się wrogiem wszelkiego drapowania się w jej szaty, wszelkiego udawania i pozowania poetycznego, wszelkiego bezmyślnego naśladownictwa.

Z tak zmęźniałem i pod pewnemi przynajmniej względami wyrobionem usposobieniem udał się Zygmunt do Kijowa w r. 1847, aby w charakterze wolnego słuchacza oddać się dalszym studyom na wydziale matematycznym i złożyć egzamin.

Była to chwila silnie ożywiającego się ruchu umysłowego wśród ówczesnej intelligencji na Ukrainie. Dotychczas samowładnie tam nad umysłami panował prąd zachowawczy a raczej wsteczny, który przedstawiciele swoich miał w tak rozgłoszonych naówczas osobistościach jak hr. Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, Ignacy Hołowiński, Ludwik Szyrmer (znany pod kryptonimem Eleonory), a nader wpływowy organ w rozpowszechnionym na całej Litwie i Rusi *Tygodniku Petersburskim*, redagowanym przez Józefa Przeclawskiego, indywidualum lichy moralnie, ale wtedy wielce uwielbiane i podziwiane. Właśnie pomiędzy r. 1841 a 1846 skupiło się i zjednoczyło tych pięciu reprezentantów doktryny, że narodowi naszemu nie wolno rozumować, lecz wierzyć ślepo bez rozbioru należy, bo rozum nie nigdy dobrego nie stworzył, lecz do obłąkania i waryacyi ludzi doprowadza; że zamknąć się nam potrzeba w rozpamiętywaniu przeszłości, bo o rozwoju dalszym ani nam marzyć; że uznanie i cześć powagi, pod wszelkimi jej formami, a więc i pod formą arystokracji, jest jedynym środkiem uchylenia zbeczeń i nieporządków społecznych... Wpływ tych pentarchów obskurantyzmu był wielki, tak że choć w młodych wychowancach uniwersytetów budziła się opozycja przeciw tak jaskrawo wypowiedianym paradoksom, długo jednak nie śmiali z nią wystąpić publicznie. Aż wreszcie miara cierpliwości się przebrała i wstręt do doktryny obskurantyzmu wybuchnął otwarcie. Organem tej opozycji młodzieńczej stała się *Gazeta* początkowo przez Zenona Fisza w Petersburgu, następnie przez Jakóba

Jurkowskiego (Benedykta Dołęgę) w Kijowie wydawana; a najdzielniejszym jej rzecznikiem był Antoni Marcinkowski (Albert Gryf), który świeżo wtedy ukończył uniwersytet petersburski. Opozycja ta wygłaszała zasady liberalne i demokratyczne, zasady swobodnego, krytycznego rozbioru, zasady miłości bliźniego zastosowanej do „poddanych“, zasady religii ducha zamiast religii formuł; kwestye socyalne zaprzętały ją mocno.

Czas najgwałtowniejszego wybuchu głosów opozycyjnych przypadł właśnie na rok 1847, kiedy drugi tom *Gwiazdy* już w Kijowie wychodził. Tom ten narobił wrzawy niemałej i niewątpliwie silnie musiał na młodzież uniwersytecką oddziaływać. Jeź w *Historji o pra...pra...wnuku* czasy tego przełomu duchowego w uniwersytecie kijowskim charakteryzuje w słowach następnych: „Towarzystwo młodzieży zmieniło się niedopoznania. O... (rozpustnych) pohulankach ani już było słychać. Pseudoburszostwo wyniosło się; dawna tężyzna znikła. Nawet techniczne wyrazy pozmiały znaczenie. Tę g i m c h ł o p c e m np. nazywał się już ten, co się lepiej uczył, co rozumniej pojmował rzeczy i umiał się z nich jaśniej przed kolegami wytłumaczyć. Nastąpiła moda na książki, które krążyły, a z nimi zdania i zasady. Walka o te ostatnie na zgromadzeniach koleżeńskich zajęła miejsce hazardownych gier i mocnych trunków. Nie bez tego, żeby nie było łotrów; ale ci chodzili samopas, funkcyonowali ukradkiem, jak przedtem pracujące wyjątki. Role ich zmieniły się: praca wystąpiła na biały dzień, na słoneczne światło; próżniactwo do ciemnych wcisnęło się kryjówek“.

Zarówno wrażenia i pojęcia z domu wyniesione, jak zasady postępców głoszone w Kijowie wyrobiły już wtedy w 24-letnim młodzieńcu głębokie przekonanie o konieczności uwolnienia i uwłaszczenia włościan. W duchu tym napisał on i rozpowszechniał odezwę do współobywateli, chociaż sam jeszcze nie wiedział dokładnie, w jakiby sposób sprawa ta przeprowadzić się dała.

Rewolucya lutowa 1848 r. w Paryżu i wrzenie umysłów jako też ruchy społeczne i narodowe w innych stolicach europejskich wywoływały naturalnie i na Ukrainie silne sympatye, zwłaszcza wśród młodzieży. Zygmunt Milkowski, podobnie jak bohater *Historji o pra...pra...wnuku* poczuł w sobie żyłkę rycerską, zapragnął, jak jego przodkowie, stać się „vir bellicosus“. Opuszczył Kijów, objechał sąsiadów dla wybadania nastroju umysłów, zajrzał do rodziców, pożegnał się z nimi, jeszcze raz odwiedził Kijów i wyruszył ku granicy przez Winnicę, Lityń, Stary Konstantynów, Ra-

dziwiłków. W okolicach tej miejsciny przepędził parę tygodni, zanim mu chłop Fed' całkiem bezinteresownie nie ułatwił dalszej drogi.

Odtąd rozpoczyna się okres szerszych doświadczeń i prób życiowych. Nie cicha bowiem praca literacka przy biurku była przed nim, ale mozolna, gwarna i długoletnia walka, w której nieraz o głodzie i chłodzie trzeba było trwać na stanowisku, pełnić obowiązki. Naukę z książki zastąpić miała nauka, wprost z bezpośredniej obserwacji rzeczywistości czerpana. Szczupły widnokrąg życia szlacheckiego na Rusi miał ustąpić miejsca wielkim horyzontom walk narodowych, ruchów społecznych, polityki europejskiej. Ale zarazem rozpoczął się żywot „włóczęgi“ — jak sam Jeż powiada — który nie dla zadowolenia turystycznych upodobań zwiedza różne kraje europejskie i azyatyckie, ale, ciężką koniecznością zagniony, wszystkich sił użyć musi, ażeby nie zginąć. Fraszka niewygody i kłopoty wszelkiego rodzaju, fraszka podróż piesza, pokarm najgrubszy; ale bywały chwile, w których literalnie z głodu się marło i nie wiedziało się, gdzie będzie można do spoczynku się ułożyć.

Zygmunt przybył do Galicji w chwili wielkich oczekiwań i wielkiej niepewności. Rząd austriacki pod parciem ruchu rewolucyjnego zmieknął wprawdzie, ale nie dawał żadnej gwarancji na przyszłość. Cieszono się z rozluźnienia więzów; mówiono i dysputowano dużo; paradowano w gwardji narodowej; ale nie miano żadnego ściśle sformułowanego programu postępowania. Zygmunt bawił przez czas jakiś w Złoczowskiem, obeznał się z położeniem rzeczy, a party wspomnieniami wojennymi swojej rodziny, zamiast siedzieć beczynnje, wybrał się w towarzystwie dwunastu ochotników ku Węgrom, gdzie już wrzała walka orężna. 25 listopada 1848 została uroczystie poświęcona chorągiew oddziału, pod którą Miłkowski wraz z trzystu innymi towarzyszami wyruszył do Aradu obleganego przez Węgrów. Oddział przybył pod tę twierdzę w sam dzień pierwszego szturm i zaraz poszedł w ogień. Natarcie odparto, ale młodzi legionści spisywali się dobrze.

Miłkowski wstąpiwszy do legionu prostym żołnierzem, w czasie kampanii węgierskiej dosłużył się tak samo jak jego ojciec stopnia porucznika; znajdował się przy oblężeniu Aradu (do początku lutego 1849), brał udział w bitwach pod Solnokiem, Tapio-Biczke, Isaszeg, Nagy-Szarlo, Komornem, Budą, Szegedynem i Temeswarem. Jakie przebył trudy, dość będzie jednego wymownego przykładu. Kiedy w Miskolcu wywołano go z szeregów dla odczytania mu nominacyi na oficera, to się przedstawił jak straszny dło:

odzież nie okrywała nagosci ciała, koszuli nie miał, przez czapkę wyglądały włosy, z butów sterczały wszystkie palce; mundur podarty na strzępy i przy ogniskach obozowych powypalany, pospinany był drewnianymi szpilkami, a za kołnierzem roilo się.

Po bitwie pod Temeswarem, po podpisaniu kapitulacji przez Goergeya, legiony polskie, włoskie i część wojsk węgierskich, które stały w Lugos, przeszły do Karemebesz a stąd do Orsowy, gdzie się przepawiły przez Dunaj do Serbii: było tam 800 polaków, 400 włosów, garstka Niemców i oddział honwedów. Serbowie nie pozwolili 'zapuścić się w głąb; pochód więc odbywał się wzdłuż Dunaju na Kładowę ku Widyniowi, gdzie władze tureckie przyjęły rozbitków ze współczuciem. Z Widynia, w październiku, przeprowadzeni zostali do Szumli pod eskortą wojskową, jako jeńcy internowani, o których wydanie nalegano ze strony mocarstw sprzymierzonych.

Milkowski podzielał losy byłych legionistów. Całą zimę z 1849 na 1850 przepędził w Szumli, bez książek i bez żadnego zajęcia. Żołnierze łatali białe mundury z czerwonymi wyłogami i czerwone czapki w strzępach z Węgier wywiezione, gotowali strawę, gawędzili i.. spali. Nasz porucznik chciał wskrzesić tradycję legionów dawniejszych, chciał za przykładem Cypryana Godebskiego wydawać gazetę pisaną; próba się jednak nie powiodła. Tu w Szumli zabrał znajomość z Sokulskim i Żarskim, członkami znanego mu już niewątpliwie z wieści „Towarzystwa Demokratycznego“, mającego za hasło uwłaszczenie włoscian, a więc ideę, którą Milkowski od tak dawna gorąco się zajmował; dowiedział się wtedy szczegółów, dotyczących organizacji tego towarzystwa i środków działania.

Na wiosnę 1850 przyjechał do Szumli komisarz turecki Fuad Effendi, wracający z Petersburga, gdzie ostatecznie załatwił kwestyę internowanych. Zdjęto z nich dozór, formalny tylko co prawda, i zostawiono im do wyboru: albo zostać w Turcyi, albo wyjechać na Zachód a właściwie do Anglii, gdyż Sardynia Włochów tylko przyjmowała. Większość Polaków osiedliła się w Turcyi; część pewna, półtorasta osób wynosząca, do której należał i Milkowski, podała się do wyjazdu na Zachód. Odprowadzili ich Turcy do Warny, następnie najęli statek parowy do wyspy Malty i zaopatrzyli w pieniądze na dalszą podróż. Wędrowcy nasi wypłynawszy z Malty na statku żaglowym włoskim, przeznaczonym do wożenia pszenicy, rozbili się przy wybrzeżu Afryki w bejowstwie tunetańskim. Bej odesłał ich znowu na Malte, z kądem morzem Śródziemnem, Gibraltarem i Atlantykiem (Francya

bowiem nie dozwalała wylądować emigrantom) na statku parowym angielskim dostali się do miasta portowego Southampton. Z Southampton udał się Miłkowski do Londynu. Tu znalazł pomieszknię u jednego ze znajomych, który odjeżdżając do Hamburga, zostawił mu lokal opłacony z góry. Mieszkał tedy wygodnie, ale nie miał co jeść. Szukał więc pracy: chodził, pytał, stał wśród najmujących się robotników. Tak zeszło dni dziewięć, w ciągu których jadł tylko dwa razy u znajomych. Zrozpaczony, mając w perspektywie śmierć głodową, już zamyslał o kąpieli w Tamizie, gdy przypadkowo litograf Nowosielski zamieszkały w Londynie nastroczył mu pracę w fabryce klisz do drukowania obić papierowych Wiliama Hawletta. W zakładzie tym funkcjonował nasz porucznik jako posługacz do zamiatańia izb, palenia na kominkach, noszenia wody i rozwożenia na wózku ręcznym roboty; następnie awansował na artystę — komponował i wycinał desenie obić, za co pobierał dwa szylingi dziennie i tantiemę od sprzedanych a przez siebie wykonanych modeli. Pan Hawlett polubił bardzo improwizowanego artystę-dekoratora; a jeden z kolegów w fachu zaprosił Zygmunta na wilię do rodziców swoich, zaprezentował siostrom i zaproponował małżeństwo z jedną z nich — najładniejszą. „Tys pracowity i nie pijak — mówil do Miłkowskiego — masz fach w ręku, jesteś artystą; ona haftuje wspaniale wyłogi do kamizelek, a przytem spokojna jest i łagodna; sformujecie bardzo przykądne i szczęśliwe stadło małżeńskie“. Miłkowski podziękował swatowi, ale propozycyi nie przyjął; całkiem inne myśli zaprzętały go wtedy.

Wśród ciężkiej roboty nie zapomniał o sprawach ogólniejszej natury. Wieczory i święta poświęcał pracy nad sobą; zapisał się na członka Towarzystwa Demokratycznego, zapoznał się z członkami tak zwanej „Centralizacyi“ t. j. zarządu tego towarzystwa, wygnanego wtenczas z Paryża, a mianowicie ze Stanisławem Worcellem, Wojciechem Daraszem, Janem Kantym Podoleckim. Czytywał wtedy dużo, uczył się ciągle, studyował szczególniej teoryę sztuki wojskowej, z którą praktycznie już się był zapoznał. Za przewodnika w studyach tych służył mu Michał Domagalski „chodząca encyklopedia wiadomości militarynych“, Sztolcman pułkownik i Feliks Nowosielski pułkownik od saperów. Zachęcany przez Worcella zaczął pisywać artykuły do *Demokraty polskiego*, organu Centralizacyi, który jako tygodnik wskrzeszony został po paroletniej przerwie i od 12 stycznia 1851 drukował się w Brukselli. W artykułach tych opracowywał te kwestye, o których w sekcyi londyńskiej „Towarzystwa Demokratycznego“ roz-

prawiano; głównie wszelako miał na widoku sztukę wojskową. Liczył lat 26, „kiedy się po raz pierwszy w życiu drukowanym ujrzał“.

Stosunki z przedstawicielami wspomnianego towarzystwa wprowadziły Miłkowskiego w związek z wybitnymi osobistościami ruchów owocnych. Istniał wtedy w stolicy Anglii „Komitet Centralny Demokracji Europejskiej“, którego kierownikami byli: Ledru-Rollin, Mazzini, Ruge, Darasz i Dymitr Bratiano.

Komitet ten, będący w ścisłym z naszą „Centralizacją“ porozumieniu, przypuszczając, że po upływie terminu prezydentury Ludwika Napoleona duch republikański we Francji zwycięży i nastąpi era polityki demokratycznej czynnej, która potrafi odnowić ruchy rewolucyjne w Niemczech i Włoszech, a wywołane podtrzymać,— zabiegał o dostanie pewnych wiadomości jakoteż o pokrzepienie umysłów i w tym celu rozsyłał w różne strony agentów. Do ich liczby należał także i nasz Miłkowski, wyprawiony na Wschód w jesieni roku 1851. Zasilony skromnymi funduszami komitetu, zebrawszy swoje własne i dostawszy kilkadziesiąt dukatów od rodziców, których potrafił o swem położeniu zawiadomić, wybrał się naprzód nasz porucznik pod obcym nazwiskiem za paszportem angielskim do nieznanego sobie jeszcze Paryża, a ztamtąd przez Marsylię, Malte, Ateny, Smirnę, udał się do Konstantynopola, Galacu i osiadł w Mołdawii. Tu zaznajomił się z wybitniejszymi przedstawicielami postępu w Rumunii, uczył się po rumuńsku od gospodarzy swoich w Kotwiczeni, i tłumaczył Fausta, mając tę jedną tylko książkę pod ręką.

Zamach stanu dokonany przez Ludwika Napoleona 2 grudnia 1851 r., prześladowanie republikańców, wzmożenie się reakcyi pomieszały szyki komitetowi demokratycznemu. Miłkowski pozostawiony został niemal sam sobie. Wtedy to przebrany za chłopą, bywał na Podolu, odwiedził rodziców, komunikował się z przyjaciółmi; a powróciwszy do Mołdawii przemieszkał tam cały rok 1852.

Na wiosnę roku 1853 dwaj bracia Zygmunta, Józef i Szczęsny, zmuszeni byli szukać schronienia i przybyli do Mołdawii. Zygmunt, rad wielce z oglądania braci i z wieści o kraju, zamierzał wywieźć ich, dla większego bezpieczeństwa, za Dunaj; niestety, w Galacu zostali schwytani; Zygmunta, jako posiadającego paszport angielski, władze mołdawskie odesłały do konsula angielskiego... Zygmunt wysłany przez konsula angielskiego do Tulczy, był w odwiedzinach w domu polskim, gdy wieść o losie bolesnym braci doszła do jego wiadomości. Dostał silnego ataku nerwowego i padł

bez czucia; w następstwie wywiązał się tyfus, a Miłkowski w licej karczemce nad brzegami Dunaju przeleżał dwa miesiące, z chorobą się pasując; pielęgowali i żywili go chłopci, zbiegli z Podola i Ukrainy z obawy srogich panów lub innych powodów.

Gdy wyzdrowiał, rozpoczęła się wojna wschodnia. Miłkowski uczestniczył w niej pośrednio, przeważnie jako spostrzegacz. Przybywszy do Konstantynopola, uzyskał pozwolenie od Omera-Paszy przyłączenia się w charakterze asystenta do sztabu Izmaila-Paszy, wodza naczelnego wojsk egipskich. Z nim tedy udał się na Dobrudżę i przypatrywał się odwrotowi wojsk tureckich od Tulczy i Isakczy do Szumli. Następnie brał udział w fortyfikowaniu Szumli: sypał redutę na drodze do Dżumai. Czynił to (jak sam się wyraża) „nie dla sprawy tureckiej, lecz w celu studyowania rzemiosła wojennego“.

Z Szumli odwołały Miłkowskiego sprawy rumuńskie. Patryoci rumuńscy, z którymi już dawniej zapoznał się, pragnęli skorzystać z toczącej się wojny i dla ojczyzny swej wywalczyć niepodległość. Nie chcieli jednak już działać w duchu tego planu, na jaki zgodzono się przed paru laty w „Komitecie Centralnym“, nie chcieli zrywać z Turcją i siłę zbrojną organizowali za pozwoleniem sultana. Tymczasem nadarzała się wyborna sposobność do stanowczego kroku. Kiedy teatr wojny przeniósł się z porzeczka Dunaju, w Mołdawii i Wołoszczyźnie zapanowało istne bezkrólestwie. Szczególniej na Małej Wołoszczyźnie, doglądanej przez Austryę z boku jedynie, nie było przez czas pewien nietylko siły zbrojnej, ale nawet administracyi: nie miał kto podatków legalnie odbierać, władzy sądowej sprawować; bezpieczeństwa zaś życia i mienia swego strzegły gromady chłopów, uzbrojonych, jak się udało. Miłkowski sądził, że należało ze sposobności tej korzystać, ale patryoci rumuńscy do ruchu rewolucyjnego nie byli skłonni; zagrożony tedy przez Austryaków musiał schronić się do Serbii, gdzie w Niegotynie przebył kilka miesięcy pod opieką majora Jowanowicza. Ale i Serbię opuścić musiał, gdyż po zajęciu Rumunii przez Austryaków, Serbowie zaczęli się lękać wszystkiego, coby się tak groźnemu sąsiadowi nie podobać mogło i wymówili Miłkowskiemu gościnność. I on sam zresztą pragnął zbliżyć się do nowej widowni wojny t. j. do Krymu. Ruszył tedy do Bulgaryi.

Ale podróżować po Bulgaryi można było albo pod silną eskortą wojskową, albo też pieszo w postaci żebraka i obdartusa. Ten drugi sposób podróżowania był nawet bezpieczniejszy od pierwszego. Uszyto więc dla

naszego wędrowca dziadowskie biesagi, naładowano je szmatami i rupieciami bez wartości; wystrojono ich właściciela w odzież podartą, a opatrzone w kij sękaty na obronę przeciw psom i przeciw kolegom we włóczęgowskim rzemiośle. Zapas pieniężny w złocie ukrył nasz improwizowany żebrak jak najstaranniej, pozawijawszy dukaty w płótno i jako guziki poprzyszywawszy do szarawarów. W sakiewce nie pozostawił ani szeląga, gdyż nie wątpił, że mając formalny paszport turecki, był pewny zaopatrzenia swoich potrzeb. Wówczas bowiem posiadacz takiego paszportu był rodzajem figury urzędowej, której należała się gościnność co do pomieszczenia i żywności; wędrowiec przybywszy do wsi, gdzie nocować postanowił, udawał się na plac publiczny i wołał donośnym głosem *c z o r b a d ż e g o* (wójta), który obejrzawszy *t e s k i e r e* (paszport), odprowadzał podróżnego na kwaterę do któregoś z gospodarzy. Tu wędrowiec mógł spać, jeść za darmo, byle nie dłużej nad dni trzy... W ten sposób przeszedł Miłkowski całą Bułgarię wzdłuż od Widynia do Warny, zapoznając się z krajem i obyczajami mieszkańców.

W okolicach Warny stały posterunki angielskie. Zachowywanie ostrożności było już zbyt czułe; Miłkowski odciął parę guzików, dobył z nich po dukacie, oporządził się trochę i przyłączył do kolumny prowiantowej wojsk sprzymierzonych. Z kolumną tą przeszedł Bałkany i dostał się do Konstantynopola, skąd na wiosnę roku 1855 pojechał znów na Wołoszczyznę i Mołdawię jako agent kompanii handlowo-przemysłowej francusko-greckiej: *D u r a n d e t C o m p.*, ze szczególną misją zbadania krajów tych pod względem sił produkcyjnych. Kraje te zjeździł nasz wędrowiec wzdłuż i wszerz, zdał z obserwacji swoich raport szczegółowy i po zbudowaniu magazynów zbożowych w Kiustendzi skończył służbę w kompanii, która się w jesieni 1855 r. rozwiązała.

Ze szczupłym funduszem pojechał Miłkowski do Konstantynopola. Żeby na utrzymanie zarobić, polował, kucharzował, prowadził księgi handlowe, między innymi w magazynie francuza Demilvilla na Perze. Tak doczekał się końca wojny krymskiej i pokoju Paryskiego (30 marca 1856).

W Konstantynopolu albo stale, albo czasowo przebywali natenczas literaci nasi: Karol Brzozowski, Henryk Jabłoński, Ryszard Berwiński, Roman Zmorski. Rozmowy z nimi rozbudziły zapewne nanowo żyłkę piarską w Miłkowskim. Posyłał on wprawdzie kiedyniekiedy korespondencye do *Demokraty Polskiego*, który po kilkoletniej przerwie znów w roku 1854 zaczął się pojawiać w Londynie pod redakcją Antoniego Żabickiego;

lecz za autora bynajmniej się nie miał. Autorstwo „wydusił“ na nim — jak sam powiada — Włodzimierz Kozłowski, kolega z wojny węgierskiej. Na jego naleganie napisał: *Udział Polaków w sprawie wschodniej*. W opowiadaniu swoim nie szczędził nikogo, z zupełną swobodą wydawał sąd o zasługach, talentach i czynach ludzi, w jakikolwiek sposób do sprawy owej wmieszanych; najostrzej wszakże krytykował postępowanie hotelu Lambert (Czartoryskich, Wł. Zamojskiego) i Sadyka-Paszy (Michała Czajkowskiego). Rękopism tej pracy krążył w odpisach pomiędzy Polakami i ściągnął na autora mnóstwo nieprzyjemności. Wyzwał go naprzód Zygmunt Jordan, zwolennik hotelu Lambert; pojedynek ten, dzięki sekundantom Miłkowskiego (Türrowi, późniejszemu generałowi węgierskiemu, i Kozłowskiemu), którzy potrafili przekonać sekundantów przeciwnika, nie doszedł. Wyzwało go potem dwunastu naraz, lecz, rzecz bliżej zważywszy, odstąpili od zamiaru. Wyzwał go następnie znów jeden, któremu Miłkowski stanąć odmówił. Zaczęły się odgrążania, czyniące pobyt w Konstancjopolu niemiłym, a nawet niebezpiecznym dla autora *Udziału Polaków*. Nastawiano nań np. Greków najętych, którzy go jeżeli nie zamordować, to okaleczyć mogli. W przesładowaniu tem brały udział nawet osobistości urzędowe, usiłując nakłonić rząd turecki do wytoczenia autorowi procesu o potwarz.

Zanim atoli książka, tyle przykrości na autora sprowadzająca, ukazała się w druku, zaciągnął się Miłkowski pod sztandar publicystyki, którego odtąd miał być jedną z największych chlub i ozdób.

Od 1 maja 1856 roku zaczął wychodzić we Lwowie wskrzeszony po dwuletnim śnie *Dziennik literacki* pod redakcją Jana Dobrzańskiego, autora o niewielkim talencie pisarskim, ale o wielkiej umiejętności korzystania z usposobień chwili i o niemałej zdolności wyszukiwania i użytkowywania sił młodych a rzutnych. W 44 numerze tego czasopisma (26 sierpnia 1856 roku), trzy razy na tydzień wówczas wychodzącego, pojawił się pierwszy ciąg artykułu p. n. *Wyjątki z pamiętników włóczęgi* podpisany literami T. T. J. Autor w króciutkim wstępie oświadczył, że pamiętniki jego „nie są studyami robionemi przy pomocy źródeł statystycznych, historycznych i instrumentów matematycznych“, lecz że są to „proste spostrzeżenia, opowiadanie o tem, co się widziało i słyszało“. W tych słowach wypowiedział autor mimowoli największą dla swej pracy pochwałę. Toż właśnie literaturze naszej brakło wtedy takich dzieł, wprost z bezpośredniej, naocznej obserwacji pisanych; bo jedni podróżnicy brali swe wrażenia

z książek cudzoziemskich i podawali za swoje, a drudzy patrzeć nie umieli i raczej chcieli sprawdzać to, co już naprzód w głowie swej ułożyli, aniżeli się uczyć za pośrednictwem badania i spostrzegania. A Miłkowski i mógł i umiał patrzeć; w krajach, które miał opisywać, przebywał długo, znał je nie z powozu pocztowego, ale z pieszej i częstokrotnej wędrowki, zmuszającej do obserwacji każdego spostrzegacza, a cóż dopiero tak bystrego, jakim był doświadczony w szkole życia nasz legionista, rysownik, ajent, kupiec.

Pierwszym krajem, który w *Pamiętnikach* swoich nasz *włóczęga* opisał, była Dobrużda, jeden z teatrów wojny krymskiej, mający dla czytelników owoczesnych interes najświeższy. Rozpoczął też autor opis swój od obrazu obozowania tureckiego pod Bazarczykiem (w kwietniu 1854), skreślił ogólny zarys wojny, a dopiero potem przeszedł do oznaczenia niepewnych granic i niepewnego pochodzenia nazwy Dobrużdy, co go poprowadziło do wzmianek o podaniach miejscowych, o wale Trajana, o mogiłach, wodach, górach, lasach i ziemi, o rolnictwie i handlu; w końcu podał autor nadzwyczaj zajmujące szczegóły o tej nader różnorodnej ludności, jaka Dobrużę zamieszkiwała, o Rusinach, Turkach, Tatarach, MołdoWołochach, Bułgarach, Grekach, Ormianach, Cyganach, o różnych sektach rosyjskich w Dobruży szukających schronienia: o Staroobriadcach, Nekrasowcach, Beżpopowcach, Niemolakach, Mołokanach, Skopcach, Subotnikach.

Po Dobruży nastąpiła (również w *Dzienniku Literackim*, r. 1857) Bułgaria. Zarys kraju tego jest już obszerniejszy; mówi tu autor naprzód o rolnictwie, ogrodnictwie, uprawie tytoniu, wina i o jedwabnictwie; przedstawia środki komunikacyjne, fabryki, handel, opisuje miasta i fortece. W drugiej części zastanawia się nad charakterem ludowym, podaniami dziejowymi, językiem, szkołami, duchowieństwem; maluje ruch umysłowy nowoczesny, zwyczaje ludowe, przesady i gusła; rozprawia o pieśniach i legendach.

W trzecim, najobszerniejszym ustępie z *Pamiętników włóczęgi* opisuje autor Konstantynopol (*Dziennik Literacki*, r. 1858). W ośmiu rozdziałach kreśli tu z coraz wzrastającą werwą naprzód zewnętrzną stronę miasta i wybrzeży, a następnie stosunki wewnętrzne; opowiada o rządzie, szkołach, dziennikarstwie, bibliotekach, drukarniach, nauce i poezji. Następnie rysuje sylwetki różnych narodowości zamieszkujących Konstantynopol;

mówi o urządzeniu domu tureckiego, o stanowisku kobiety, o wizytach, strojach i t. d.; z zamiłowaniem rozwodzi się o lasach i łowach. Ostatni rozdział poświęca barwnej charakterystyce Henryka Jabłońskiego, Karola Brzozowskiego i innych Polaków, z którymi się spotykał i przyjaźnił.

Dziennik Literacki bardzo mało był znany w Królestwie, na Litwie i Rusi; nowy tedy talent, w nim pierwsze swe prace pomieszczający, mógł być oceniony przez szczupłą stosunkowo część ziomków. Autor *Pamiętników włóczęgi* z własnego już popędu na początku roku 1857 przesłał korespondencyę z Konstantynopola do *Gazety Warszawskiej* nader wtedy poczytnej; zapytując zarazem, czyby dziennik ten nie życzył sobie dalszych tego rodzaju obrazków i sprawozdań po 5 franków za list. Antoni Lesznowski, ówczesny właściciel i redaktor *Gazety Warszawskiej*, przyjął propozycyę; nierychło jednakże wydrukował pierwszą korespondencyę, podpisaną dwiema tylko literami *T. J.* a datowaną 13 stycznia 1857 r., pojawiła się ona bowiem dopiero pierwszego kwietnia tego roku w N. 87. Lesznowski miał widocznie w zapasie dwie inne korespondencye, gdyż je pomieścił w bardzo krótkich odstępach czasu. Odtąd nieregularnie wprowadzie, ale dość często znajdujemy listy z Konstantynopola, które stają się coraz to dłuższe, coraz to większą werwą i swobodą opowiadania się odznaczają. W pierwszych dziesięciu korespondencyach pomieścił autor opis zewnętrznej strony Konstantynopola, od 11-tej począwszy zagłębia do wnętrza domów stambulskich, oddając po kolei wizyty Turkom, Grekom, Ormianom, Bułgarom i t. d., zaspokajając ciekawość czytelników. z niecierpliwością oczekujących odsłonięcia tajemnic haremowych. W korespondencyi z 26 czerwca zapowiada *T. J.*, że odtąd myśli trzymać się ściśle faktów zdarzonych w czasie upłynionym od ostatniego listu. W listopadzie pomieszcza długi, przez kilka numerów ciągnący się list, w którym opowiada o swej wycieczce do Azji Mniejszej, opisując podróż morską i jego przygody z wielkim, porywającym talentem.

Tak się ciągnęły korespondencye *T. J.* z Konstantynopola lub Azji Mniejszej aż do połowy roku 1858; czytane były, jak świadczą spółcześni. a między innemi Julian Bartoszewicz, z nadzwyczajną chciwością; numery gazety rozrywano, korespondencye przepisywano i przesyłano sobie pocztą. Najlepszym zaś w czasach dzisiejszych dowodem ich poczytności będzie chyba ta okoliczność, że wydawca *Gazety Warszawskiej* przesyłając autorowi pierwsze honorarium na Nowy Rok 1858 policzył od listu według

umowy po 5 franków a oprócz tego dodał 300 franków „gratyfikacyi“, zapowiadając, że odtąd będzie płacił za list po franków 40.

Rok 1857, w którym *T. J.* stał się naprawdę autorem czytany przez szersze koła publiczności, od którego zatem datować wypada jego stałą a nie dorywczą tylko działalność literacką, upamiętnił się jeszcze i z tego względu, że w nim powstał, a w każdym razie do druku przygotowany został utwór większych rozmiarów, pierwsza powieść literami *T. T. J.* podznaczona, napisana wskutek nalegania Kozłowskiego a osnuta na wrażeniach, odniesionych przez autora podczas bolesnego w Tulczy pobytu r. 1853. Pierwsza ta powieść, wydrukowana na początku roku 1858 w *Dzienniku Literackim*, pozyskała odrazu uznanie i rozgłos wielki, obudziła zainteresowanie się niepospolite. Zachwycony nią Henryk Jabłoński, poeta niemałych zdolności, nie wiedząc, kto się pod kryptonimem *T. T. J.* ukrywa, tak pisał do przyjaciół w Konstantynopolu o wrażeniu, jakiego doznał, i domyślał, jakie mu do głowy przychodziły przy czytaniu tego utworu: „Dziwną czytałem niedawno powieść *Wasyl Holub*. Piękna powieść, bo rzeźbiona a prawdziwa. Ci, co nie znają naszej Ukrainy, nie zdołają pojąć, ile charaktery w niej są szkicowane z natury; ton, tło i koloryt są swojskie, nasze, podolskie, ukraińskie dziwnie. Powiadam, że mi się zdaje, że przekonany jestem prawie, że powieść tę napisał Zygmunt. Nie myślę mu tu prawie pochlebstw w takim razie; ale serdecznie dziękuję za chwilę błogich marzeń, za kilka obrazków, za parę wspomnień wywołanych z duszy. Skąd mi to przypuszczenie?... Ten, co pisał *Wasyla Holuba*, zna Dobrudżę, więc to ktoś z was, moi mili Turcy; a że między wami win oden kozak prawdy wyj, win oden znaje kozackuju piśniu i tuhu, znaje szczo każe syraja zuzula, znaje szczo hołosyt diweczynna... jak słowo howoryt, to rit roz dewysz a na serdeńku łehko a hlady w oczach zamajało i slozeńka na usach zawysła — czorty b je ho!“ — Lesznowski znów, niewiedzący, że kryptonimy *T. T. J.* i *T. J.* też samę oznaczają osobę, pisał do swego korespondenta ze Stambułu: „Dowiaduję się, że autor *Wasyla Holuba* przebywa w Konstantynopolu. Czy nie znasz go pan? Jeżeli znasz, zamów u niego w imieniu mojem powieść dla *Gazety Warszawskiej*“. Korespondent odpowiedział, że zna autora dosyć dobrze. Z zamówienia tego powstała *Handzia Zahornicka*, podpisana już pseudonimem *T. T. Jez*, którego jako powieściopisarz stale już odtąd Zygmunt Miłkowski używał. Po niej nastąpił,

również w *Gazecie Warszawskiej Szandor Kowacz*, a dalej *Historja o pra...pra...wnuku* i *pra...pra...dziadku*. Jeż został znanym i uwielbianym powieściopisarzem ¹⁾).

II.

Było to rzeczą niepospolitej doniosłości, że nasz publicysta i powieściopisarz nie zabrał się natychmiast po skończeniu uniwersytetu do pracy literackiej, ale mógł, choć z trudem i wśród cierpień, zbierać plony doświadczenia, by się niemi następnie ze społeczeństwem podzielić. Wybujałe marzenia młodości miały czas zmierzyć się z rzeczywistością, a absolutne wyroki rozgorączkowanej nowemi poglądami głowy miały możność złagodzić wskutek starcia się z faktami życia codziennego, które wyrokom tym posłuszeństwa odmawiało.

Tym sposobem wytworzyły się w umyśle Jeża dobrze wyrobione przekonania co do najważniejszych stosunków społecznych i politycznych. Czem są takie przekonania, to dosadnie i malowniczo wypowiedział powieściopisarz w *Historji o pra...pra...wnuku*, przedstawiając niebezpieczeństwa, na które narażonym bywa młodzieniec rozpoczynający zawód życiowy. „Jeżeli przekonanie jest nijakiem lub słabem — powiada tu — klejonką z bojaźliwych zasad, z wyobrażeń o pół-cnotach i z pseudo-poczuć poświęcenia — to po nim!... Popluska się może jeszcze na głębokiem błocie, jak niezręczny pływak, zachłśnie się, naleje się mu w uszy, da nurka, ale nie jak nurek po to, aby gdzieś dalej wypłynął, lecz jak topielec, utopi się w błocie. Jeżeli zaś przekonanie jest silnem i skierowanem ku szlachetnym, podniosłym celom; jeżeli opiera się na śmiałych zasadach, na istotnej cnotcie, na prawdziwym poświęceniu; to, chociaż pływak obryzga się w kałuży, ale koniec końcem wypłynie i oschnie i — ku czemu miał dążyć, podąży, co miał zrobić, zrobi. Nie jest jeszcze młodzieniec zgubionym, póki trzyma się nitki Aryadny, mającej wyprowadzić go z ogromnie w naszych czasach zagmatwanego labiryntu rozmaitych wyobrażeń o złem i dobrem, o brzyd-

¹⁾ Szczegóły biograficzne powyżej podane, są wzięte częścią z listu samego Jeża, 21 lutego 1881, częścią z utworów jego drukowanych, częścią wreszcie z pracy p. Wacława Holewińskiego (w dodatku miesięcznym do *Przeglądu Tygodniowego*, Nr. 3 do 5 włącznie), który korzystał ze źródeł dla mnie nateraz nieprzystępnych.

kiem i pięknem. Rozpędziwszy się po drodze istotnej enoty, chociaż nieco zboczy, nie zrobi on jednakże na lewo w tył, nie pójdzie wstecz, póki mu przyświeca gwiazda przewodnia silnego, śmiałego i szlachetnego przekonania“....

A trzeba było bardzo silnych i dobrze wyrobionych przekonań, ażeby się oprzeć prądowi ówczesnego usposobienia, jakie panowało wśród społeczeństwa ukształconego i w literaturze.

Po stłumieniu ruchów, wywołanych przez rewolucję lutową w Paryżu, zapanowała na całym zachodzie reakcja. Wpływ jej rozszerzył się i na nasze stosunki. Myśl swobodna, postępową, przejawiającą się dawniej, choć słabo, wśród grona młodzieży, została obwołaną za nieprzyjaciółkę porządku społecznego. Zwolennicy jej albo zamilkli albo też, co ze wstydem wyznać trzeba, przemienili się w jej wrogów. Zaniknięcie tej myśli podziałało zgubnie na wszystkie dziedziny życia duchowego.

Wiara korna, bez rozbioru, stała się hasłem i kotwicą zbawienia. Dążność do jej wszczęcia przejawiała się w przekładzie utworów takich, jak księdza Gaume'a, Guillois, Schmidta, a nawet w dziełach oryginalnych Ziemiękiej, Jakubowicza, usiłujących zamiast filozofii niezależnej, postawić filozofią dogmatyczną, chrześcijańską, katolicką. Cywilizację europejską poczytano za rzecz niedającą się pogodzić z wiarą, bez radykalnych zmian. We wszystkich rozumowaniach i poglądach powoływano się na objawienie, na religię; poezya, historia, nauki przyrodzone nawet musiały się zabarwiać jaskrawo odcieniem teologicznym. Ciż sami, co przed r. 1850 śmiało występowali przeciw uzurpacji hierarchicznej, teraz korzyli się potulnie przed cenzurą duchowną, poddając pod jej wyrok wszystkie swoje myśli i uczucia.

Zapewne, w niektórych osobistościach to „nawrócenie“ było przynajmniej szczerze; ale wielu i bardzo wielu „napelniali wóz Chrystusem“ tylko dla parady, dla przypochlebiania się kierunkowi idącemu z góry, dla karyery i zysku. Obluda, ta najobrzydliwsza zaraza ducha, zaczęła się szerzyć epidemicznie.

W kwestyach społecznych zaniechano najzupełniej dotykać tak zwanych punktów drażliwych. Wielka sprawa włościańska pozostawała jeszcze na ogromnej przestrzeni kraju niezafatwioną. Stosunki pańszczyźniane w Królestwie, a poddańcze na Litwie i Rusi trwały jeszcze w całej swej groźnej sile. Wobec Europy zachodniej, w której wszędzie już zasada swobody indywidualnej weszła w życie, jako wyraz nowożytnych dążeń do

równości i wolności prawnej. stosunki nasze pod tym względem przedstawiały się jako smutna pozostałość po epoce samolubnego ustroju kastowego. Przed reakcją, zarówno na tułactwie jak i w kraju, rozumiano to doskonale i rozmaitemi sposobami starano się zle usunąć. Ale po zapanowaniu prądu reakcyjnego, głosy literatów za „chłopami” przemawiających przycichły; co więcej zaczęto nawet rozplýwać się nad pięknoscią i podniosłością „patryarchalnego” stosunku pana do chłopca. a ponieważ cywilizacyę zachodnią jako bezbożną i zepsutą gardzono. więc wzór jej stracił wartość, owszem śmiało jej wytykano. że ona była rodzicielką strasznego potwora. nazwanego proletaryatem i jeszcze straszliwszego. nazwanego socyalizmem.

Podobnemuż losowi uległa kwestya wyższego wykształcenia kobiety. Nauka była niebezpieczna wogóle, cóż dopiero dla słabej niewiasty! Należało sprawę tę zostawić w takim stanie, jak była dotychczas. bo tak było dobrze.

Naturalną drogą takiego pojmowania rzeczy. ugruntowywało się stopniowo przekonanie. że u nas wszystko idzie dobrze. że nie tylko nie potrzebujemy niczego zazdrościć „zmateryalizowanemu zachodowi”. gdzie maszyny i fabryki „zagasiły ducha”. lecz że owszem ten okrzyczany zachód mógłby od nas. z wielkim dla siebie pożytkiem. przejąć wiele rzeczy wybornych: otwartość serca. szlachetność duszy. czystość obyczajów. patryarchalne stosunki rodzinne i społeczne. Wszystko. co było swojskie. „nasze”. poszło w górę: nawet nasze chatki z wklęsniętem poszyciem słomianem. nawet nasze mostki klawiaturowe. nawet nasze wioski nieregularnie zabudowane z chałupami dowolnie powykrzywianemi. nawet nasze bagna nabrały poetycznego wdzięku. „przemawiały do serca”...

Ten sentymentalny szowinizm przedostał się także i do poglądów na przeszłość. Co w niej było rozumnego i dzielnego. co świadczyło o wyższym polocie. to nie mogło wtedy być podniesionem i uwielbionem. Ani wiek XVI ze swemi ruchami reformacyjnemi. ani druga połowa wieku XVIII ze swojemi ideami racjonalistycznemi nie przypadaly do smaku tym. co rozum potępiali. Szczególniej „wiek oświecony”. jako najbliższy i najlepiej stosunkowo znany. nie znajdował łaski wobec czcicieli swojszczyzny: nie widziano w nim i nie chciano widzieć rozwoju i podniesienia się myśli. pomijano dążności i usiłowania reformatorskie. a uderzano na bezbożność. na zepsucie obyczajów. na lekkomyślność i rozpustę. wskazując oświatę francuską jako główną przyczynę złego. Voltaire i Encyklopedyści stali się przedmiotem drwin. szyderstwa i obelg

Natomiast z jakimże to uwielbieniem przedstawiano postaci kontuzjowe, perorujące, pijące, bijące i całujące się! Były to zazwyczaj figury bezmyślne, ale jakie „nasze“, jakie malownicze! Krok tylko, aby potępiając „wiek oświecenia“, uwielbić pijacką epokę Sasów — i krok ten zrobiono. Wszystko doskonale było za Sasa: była wiara był animusz, była serdeczność, była miłość kraju. Wiara wprawdzie kończyła się na klepaniu pacierzy, animusz służył tylko w zwadach i zajazdach, serdeczność nie wyłączała obłudy, miłość kraju nie przeszkadzała zrywać sejmów; ale na to wielbiciele przeszłości zamykali oczy; dla nich wystarczał fakt, że postacie szlachty jaśniały weselem, śmiały się na całe gardło, były zdrowe i zadowolone z siebie. Polska szlachecka stanęła w apoteozie, opromieniona bengalskimi ogniami zachwytu. Co szlachta zrobiła, było wyborne, bo wypływało z przepelnionego serca, nie zaś z „mędrkującego“ rozumu. Tak szczęśliwie żyło społeczeństwo, dopóki prąd obcy, zagraniczny nie zmącił czystego wód zwierciadła.

Literatura belletrystyczna, poezya i powieść, która w tak rozkosznych obrazach przedstawiała „świętą“ przeszłość, rozrastała się bujnie, podobna do kwiatu wspaniale rozwiniętego, jaśniejącego precudnemi barwami i wydającego zapach odurzający. Pod jej wpływem społeczeństwo drzemało rozkosznie, oddając od czasu do czasu pokłon zabalsamowanej przeszłości, ale nie poczuwało się do potrzeby popchnięcia dalej życia narodowego, boć naturalnym wnioskiem, jaki się wysnuć dawał z przedstawionego w sposób powyższy ideału dziejowego, był ten, że zmian żadnych w życiu społecznem, gdy politycznego już nie było, wprowadzać nie wolno.

A literatura, obrazując to życie społeczne, rzadko kiedy napomykała, że istnieją inne ważne, doniosłe obowiązki, oprócz czci i uwielbienia dla czasów minionych. Środkowym punktem belletrystyki stała się prawie wyłącznie miłość, na różne wyspiwywana tony. Bohaterowie i bohaterki kochali się, sprzeczali i godzili i na tem schodził im cały czas, przez całe dni, tygodnie, miesiące i lata. Zdawało się, że świat interesów, zajęć, obowiązków, pracy wogóle nie istniał dla nich zupełnie; jedynem ich zatrudnieniem było marzenie, fantazyowanie i kochanie się.

Trzeba przyznać, że miłość po większej części przedstawiana była ze strony szlachetnej, że charaktery bohaterów, choć słabe i miękkie, były podniosłe, że belletrystyka zatem ta nie mogła sprowadzić bezpośrednio żadnej demoralizacji. Zpatrując się atoli na jej wpływ z punktu widzenia zadań społecznych, musimy zauważyć, że nie liczyła się ona wcale z powa-

zną grozą życia, w którem miłość gra rolę wprawdzie nadzwyczaj ważną, ale nie pierwszorzędną i, że tak powiem, prywatną; że nie wystawiała ona obrazu obywateli i obywaterek kraju, ale tylko kochanków i kochanki; że całą sferę pracy, trudów i mozolów pomijała milczeniem; że pośrednio, wystawiając jako najistotniejsze zajęcia bohaterów miłość, pobudzała czytelników, bardzo różnych pod względem temperamentu i charakteru, do praktykowania tej miłości na sposób różny, częstokroć wcale nie idealny.

Dopiero pod koniec owego reakcyjnego dziesięciolecia ludzie, którzy albo nie zatracili dawniejszej trzeźwości umysłu, albo ją zdobyli ciężkiem, mozolnem doświadczeniem, zaczęli przypominać narodowi sprawy niezależnione i obowiązki do spełnienia.

Kwestya włościańska pojawiła się jako najważniejsza dla bytu społeczeństwa. W naukowych wywodach podnosi ją Krzysztopór (1858) i inni, w powieściopisarstwie — Teodor Tomasz Jeż.

Jeż, jak wiemy, już w latach młodzięcych żywo się kwestyą tą zajmował; następnie jako członek „Towarzystwa Demokratycznego“ niejednokrotnie miał sposobność dokładnie się nad nią zastanawiać; w wędrówkach swoich ocierał się zbliska z ludem, poznał jego usposobienie do gruntu, wiedział, do czego on wzdycha, czego pragnie. Pierwszą też powieść swoją, *Wasyla Hołuba*, osnuł na tle życia ludu ruskiego, dotykając naturalnie z konieczności i życia dworu. Jeż nie myślał bynajmniej idealizować ludu, nie myślał zakrywać przed oczyma czytelnika grubych instynktów i prostackich przyzwyczajzeń wieśniaka; chłopci jego — to nie pasterze z sielanki, lub powieści romantycznej, ale ludzie rzeczywiści, tacy, jakich po wsiach istotnie widzujemy. W jednym ze swych utworów powiada otwarcie: „Gdybym był salonowym, gładkim pisarzem, strojącym frazesy w czubki a treścią rzeczy usiłującym sprawiać czytelnikom umysłowo-fantastyczną ślizgawkę, za żadne skarby świata nie ośmieliłbym się przedstawiać czytającej publiczności takiego bohatera. Jest to bowiem prosty, najprostszy, jak sobie tylko wyobrazić można, chłop, cham, mud', śmierdzący dziegciem z powodu butów, które sobie dziegciem smaruje, śmierdzący czosnkiem z powodu połudeńców, które sobie czosnkiem przyprawia, obcierający nos palcami a lzy kułakiem, drapiący się w łeb, jeżeli mu nie po myśli, rozdzwiający głowę ze zdziwienia, uśmiechający się głupawo, jeżeli co wypadłoby a nie można zganić, i roziskrzający wzrok płomieniem zapału, jeżeli go co zachwyci“.

Ale ten nieokrzesany chłop ma serce i umysł, tak jak wszyscy inni ludzie, jest naturą prostą, niezepsutą, posiada zdolności, które można rozwijać, posiada uczucia szlachetne, które potrzebują tylko sposobności, ażeby się w piękny czyn zamienić. Wobec takich ludzi, przez proste zestawienie, jakże maleją ci wypolerowani w szkole świata, ale skarleli duchem panowie, którzy nabyli wykształcenia, ale stracili szlachetność!

Porównanie takie samo przez się, bez usiłowania autora, narzuca się w *Wasyłu Hołubie*. Wasyl był chłopem-sierotą, przytulonym przez leśniczynę, a następnie wziętym do posług dworskich przy boku samego pana, człowieka niezłego w gruncie, ale tradycyjnie spędzającego gniew swój i niezadowolenie na poddanych i uważającego ich za niewolników. Wasyl, przysłuchując się rozporządzeniom pana, odnoszącym się czy to do plag, jakie ekonom miał wymierzyć, czy to do poboru rekruta, ostrzegał potajemnie interesowanych pod tym względem mieszkańców wioski, którzy też od tego czasu zaczęli znikać. Przez czas jakiś, dzięki niedomyślności pana, rzecz ta uchodziła Wasylowi na sucho; aż raz ekonom, skrzyczany za wydłużanie się wioski, rzucił podejrzenie na Wasyla, które się okazało prawdziwym. Zagrożony plagami i oddaniem w rekruty, winowajca ucieka i — za radą doświadczonego w tego rodzaju sprawach kozaka — udaje się na Dobrużę, zaciąga się do resztek Sicy Zaporoskiej, tam pod dowództwem Hładkiego istniejącej, bierze udział w wojnie tureckiej 1828 r., widzi, jak Hładki zaprzepaszcza Sicz, i wraca po skończonej kampanii do stron rodzinnych.

Podczas lat nieobecności Wasyla w wiosce rodzinnej, stary dziedzic umiera, a syn jego, używający młodości z całych sił i niekrepujący się niczem, zostaje panem nieograniczonym losu poddanych i czi poddanek. Jedna z nich, córka owego doświadczonego kozaka, kochająca Wasyla i przezeń kochana, wpada w oko wyuzdanemu lampartowi, który, gdy go Wasyl dobrze raz poczęstował, poprzysięga mu zemstę i gwałtem zabiera dziewczynę do dworu, ażeby po kilku miesiącach odesłać ją ojcu... zhańbioną.

Wasyl, uciekły po raz drugi ze wsi, z powodu obawy srogiej zemsty, dostaje się szczęśliwie do Grzybek, majątności Józefa Głowińskiego, na Pobereżu. W opisie wioski i jej właściciela odtworzył Jeż w sposób powieściowy Rybki, w których swe dzieciństwo przepędził i postać ojca swego. Stosunki pana do poddanych w tej wiosce stanowią kontrast najzupełniejszy z tem, co się działo we wsi rodzinnej Wasyla i w większej części wsi innych.

Ten pan Głowiński — jak mówi nasz powieściopisarz — był to sobie dziwak trochę, przynajmniej na owe czasy; miał bowiem kilka maksym zasadniczych, sobie tylko właściwych: utrzymywał np., że prawdziwym szlachcicem jest ten jedynie, kto szlachetnie postępuje, że próżniak jest wrzodem w ciele społecznym, wysysającym niepotrzebnie żywotne jego soki i t. p. Ale maksymy te nietylko wypowiadał, lecz w czyn zamieniał. W majątku swoim był opiekunem poddanych, których za braci uważał, a wystudjowawszy doskonale techniczną stronę gospodarstwa wiejskiego, udzielał „chłopom“ wiadomości swoich w sposób łatwy, przystępny i praktyczny, gdyż sam osobiście robotom przewodniczył... Wieśniacy grzybeccy nie mogli robić źle, bo dziedzic, znając się na wszystkim, umiał sam i zrobić i pokazać... Znał się na pasiecznictwie, na bydłowych i końskich chorobach, i wszystkimi temi wiadomościami z zupełną bezinteresownością dzielił się z poddanymi swemi. Nieraz zdarzało się, że obudzony wśród nocy dlatego, że któremuś z poddanych jego zachorowało bydło, wstawał, brał puszcza-dło, lekarstwa i śpieszył na ratunek „chłopskiej“ chudoby. To też gromada grzybecka była niby rodzina jaka, związana węzłem miłości i wzajemnego zaufania. . „Chłopi“ kochali i nie bali się „pana“, w którym widzieli starszego brata, ojca, doradcę, opiekuna, nie zaś pijawkę, ssącą krew z ich pracy. Był tam i ekonom, ale chodził bez batoga, i w całym gospodarskim arsenale dziedzica nie było ani jednego narzędzia, przeznaczonego na chłostanie chłopów; do zasadniczych bowiem maksym Głowińskiego należało także i to, że kara cielesna bardziej poniża tego, co ją wymierza, niż poprawia tego, co ją odbiera. Występki, kradzieże stały się w Grzybkach nieznane; próżniactwem pogardzano; pracował dziedzic, pracowali poddani, a głównym dozorem i całą podniętą pracy była emulacja; w gromadzie wyrobiła się gromadzka opinia publiczna, kontrolująca i chłoszcząca niemilosiernie tych, którzy się od pracy uchylali. Rozkosznie i lubo było przyjechać i zabawić przez dni kilka w Grzybkach i przypatrzeć się tej harmonii pracowitego ruchu... Wyjeżdżało się stamtąd zdrowszym, lepszym, bo oglądało się żywymi oczyma ideał ludzkości, poprawionej bez użycia ekscentrycznych teoryj, samym jedynie wpływem dobrego przykładu, dawanego przez człowieka, postawionego na wyższym szczeblu drabiny społecznej...

Wasyła przyjął p. Głowiński jak brata, powitał słowem przychylnem, dał zajęcie i pozyskał w nim wiernego sługę, gotowego życie dać za swego dziedzica i za to, co ten dziedzic ukochał. To też gdy nadszedł rok 1831, miał Głowiński w Wasylu wybornego wykonawcę militarnych poleceń

i dzielnego żołnierza. W bitwie pod Daszowem, którą nawiasem mówiąc Jeż świetnie odmalował, Wasylowi ocala życie (zapewne mimowoli) jakiś młodzieniec, tak obojętnie zachowujący się w ogniu bitwy, jakby był na polowaniu. Gdy się skończyła wojna, w której Głowiński wraz z wielu innymi poległ, Wasyl jedzie do swej lubej, zastaje ją na półobląkaną, dowiadyuje się bolesnej prawdy. Z zemstą w duszy mknie do dworu, by lubieżnemu paniczowi dać nową, pamiętną naukę. W uskutecznieniu kary uprzedzili go już włościanie, którzy pana związawszy wysłali jako buntownika do najbliższego miasta. Wasyl puszcza się w pogoń i w panu poznaje swego wybawiciela.

Pod wpływem wypadków, lubieżnik przemienił się na rycerza, despota na obywatela, pragnącego widzieć braci we wszystkich mieszkańcach kraju. Wasyl w uznaniu tej przemiany przebacza panu swą krzywdę, bierze kochankę „pokrytkę“ i z nią udaje się na Dobrudzę, gdzie spokojnie uprawia ziemię, wychowując dziecię — swego niegdyś dziedzica.

Jeżeli w sprawie metamorfozy lubieżnika i heroizmu Wasyla jest cokolwiek przesady tendencyjnej, to w szczegółowem kreśleniu charakterów i wypadków niema jej śladu. Jeż nie chciał idealizować chłopca, nie chciał karykaturować pana; jednemu i drugiemu przyznaje przyioty i wady, zależne od natury i wychowania; a wyrażanie uczuć zgodne jest ze stanem tego, kto tych uczuć doznaje. Jego Wasyl nie jest romansowym bohaterem, któryby dokazywał rzeczy nadzwyczajnych, któryby wszędzie i zawsze grał pierwszą rolę; owszem zgodnie z prawdą, jako jednostka małoznacząca, ginie on nieraz w masie, i w niektórych tylko wypadkach, siłą rzeczy wyniesiony, wypływa na wierzch. Jego dziedzic, zarówno starszy jak młodszy, nie jest potworem, ale człowiekiem, mającym, obok zalet pewnych, wielkie wady, nie tyle będące wynikiem indywidualnego charakteru, ile skutkiem historycznie wyrobionych kastowych stosunków. To też ciosy publicysty nie są wymierzone w serce tej lub owej jednostki, lecz w serce samego nie-normalnego, niesprawiedliwego stosunku jednych ludzi do drugich. Domaga się on, ażeby w chłopie uznano przedewszystkiem „człowieka“, ażeby mu przyznano prawo rozwijania się i kształcenia, prawo zachowania i bronięcia swojej godności ludzkiej, prawo swobodnego ruchu, swobodnej pracy, prawo zostania obywatelem kraju na równi z innemi. Ażeby przyznać mu te prawa, nie potrzeba litości i filantropii, nie potrzeba sentymentalnie rozlżawionych popędów serca, potrzeba tylko w sobie i w innych szanować „człowieka“, znać swe obowiązki i mieć wzgląd na cele, ku którym życie

wszecnej kontroli. Ciężary, jako to: podatki, zsyпки, utrzymanie cerkwi, szkółki, szpitala, apteki, dotykały proporcjonalnie wszystkich członków spółki. Skutkiem kontroli, jeżeli które z mniejszych lub większych gospodarstw źle było prowadzonym, to spółnicy naznaczali administrację. Przy rozdrobieniu małych części na jeszcze mniejsze, spółce przysługiwało prawo przysądzenia wkupna w większe, zaczynając od największych t. j. jeżeli gospodarz umierając zostawił np. dwóch synów, dla których jego udział, podzielony na dwa, nie wystarczał, to jeden z synów zostawał na gospodarstwie ojcowiskiem, a drugi wkupywał się w gruncie dworskim i zakładał nowe gospodarstwo. Na ten cel założonym był bank gromadzki, wzrastający co roku procentami od dochodów, którego przeznaczeniem było udzielanie pożyczek, bądź na wkupno, bądź na ulepszenia rolnicze, bądź na ratunek w razie ognia, zarazy na bydło, powodzi, nieurodzaju i innych nieszczęść. W razie bezpotomnej śmierci, wydalenia się lub utraty za złą kondytę prawa władania majątkiem jednego ze spółników, gospodarstwo jego stawało się własnością gromady, która mogła bądź administrować na rzecz ogólną, bądź sprzedać, dochody z administracji i sprzedaży wkładając do banku. Zastrzeżeniem było, że jeżeliby prawny spadkobierca lub właściciel odnalazł się albo powrócił, to miał prawo żądać zwrotu dochodów i gospodarstwa, jeżeli takowe nie zostało sprzedanem, a w razie sprzedaży, sumy za nie uzyskanej.

Jakkolwiekbyśmy oceniali wartość ogólnego pomysłu tej spółki, czy tego falansteru rolniczego, nie należy zapominać, że w nim jest mowa o własności indywidualnej chłopca, o szkółce, szpitalu, aptece, banku, że szczegóły te, sprawę włościańską rozjaśniające przed uwłaszczeniem, posiadały znaczenie publicystyczne daleko większe, aniżeli projekty, po dokonaniem uwłaszczeniu robione. Były to rzeczy, po raz pierwszy w powieściowej formie traktowane w sposób tak dokładnie określony. Powtóre, nie trzeba także zapominać przy ocenie tego pomysłu, że Jezowi chodziło o utrzymanie jedności interesów dworskich i chłopskich, o przeprowadzenie idei uobywatelnienia włościan.

Nie mogąc wskazać, jakby dzisiaj ideę tę urzeczywistnić należało, Jez cofnął się w przeszłość, w same początki wieku XVII i wystawił Kuzmę Jeża, domnieranego pra...pra...dziadka rodziny, dostępującego się prawa obywatelstwa w służbie dla kraju. Wzięty ze wsi bez żadnego ukształcenia przez Lisowskiego, wprawia się w robienie bronią, walczy dzielnie w wojnie Polski z Mołdo-Wołochami, dobija się powszechnego

hznania, czyta, uczy się, zapoznaje się z formami życia szlacheckiego, — ale uszlachcenia nie przyjmuje, mówiąc, że choć nieherbowy jest takim dobrym jak i herbowi obywatelem, — i chłopem pozostaje. Nie idzie bowiem o tytuł, ale o pełnienie obowiązku. Chcąc lud mieć za sobą, potrzeba, ażeby on tak, jak Hrynenczanie, kiedy Kuźmę na służbę Rzeczypospolitej wysyłali, poczuł się częstką całości, członkiem wielkiego ciała, ażeby nań zstąpiła „jakaś jasność rozszerzająca koło jego widzenia“.

Obok sprawy włościańskiej podniósł jeszcze Jeż w *Historji o pra... pra...wunku* inną kwestyę, dotyczącą sfer wykształconemi zwanym. Panujący jeszcze ciągle naówczas prąd sentymentalno-szowinistyczny nie mógł znaleźć uznania w trzeźwym, jasno patrzeć na rzeczy pragnącym umyśle powieściopisarza. W dwu osobach: Józefie Ambrozym Porońskim i Albinie Skrzybickim odkrył i przedstawił źródło i wpływ tego kierunku.

Józef Ambrozy Poroński, autor licznych dzieł pod różnemi pseudonimami wydawanych, entuzjasta na zimno, frazeolog okrągło-usty, dbały o swoją powierzchowność i swój żołądek, zachwycał się wszystkim, co „nasze“, który to wyraz wymawiał ze szczególniejszym przyciskiem, piorunował po kaznodziejsku na tych, coby podnieść śmieli „świętokradzką rękę na ten boży spokój, na ten żywot ciszy i rezygnacyi, jaki przechował się jeszcze w naszych wioskach, w naszych dworkach szlacheckich, wśród naszego ludku“, był apostołem „wygodnych zasad i tanich cnót“, apoteozując tak zwaną „cichą cnotę“, odmierzoną łokciem skromnej miary, zwanym „to co można“. Pełniących taką cnotę nazywał „mężami zasługi, bohaterami“, a ich postępowanie — „poświęceniem“. Heroizm takiego „poświęcenia“ zatrzymywał się „na uprawie języka, podtrzymywaniu pism, teatrów, muzeów, kościołów, budowaniu pomników, zaprowadzaniu zakładów, dobroczynnem i gospodarskiem stowarzyszaniu się, na względnem traktowaniu poddanych, na kupowaniu krajowych wyrobów, na wystrzeganiu się cudzoziemczyzny i na tym podobnych bardzo dobrych, pięknych i potrzebnych rzeczach, którym dobroci, piękności i potrzeby żadną miarą zaprzeczyć nie można, ale wielkość których tak wysoko przez pana Porońskiego podniesioną była, że już to, coby ponad nią myślą, chęcią lub uczynkiem wzniesić się próbowało, byłoby chyba szaleństwem“.

Wychowawcem jego, duchowym synem, admiratorem był Albin Skrzybicki, młodzieniec niewielkich zdolności, ale z sercem najlepszem. Skończył tylko trzy klasy, ale zawsze interesował się postęпами szkolnemi swoich niegdyś współkolegów, odwiedzał ich bardzo często, dowiadywał się skwapli-

wie o to, czego się uczyli, przysłuchiwał się chętnie ich rozmowom, kupował wszystkie książki polskie, jakie tylko mógł dostać, lubił sztukę, nabywał obrazy malarzy krajowych. Potem usiłował sobie bardzo wygodne, bardzo piękne gniazdko, przyjmował gościnnie sąsiadów, miał doskonałego kncharza, który przygotowywał same narodowe potrawy, był przez współobywateli wielce szanowany i został wybrany na marszałka. Porońskiego uważał za wyrocznie, samoistnie nie myślał, z własnym zdaniem nigdy się naprzód nie wrywał i zawsze szedł za większością. Ostatecznie rozkochał się w estetycznym sybarytyzmie, opasł się, stał się niedołęgą, niezdolnym do poświęcenia swego majątku i swej osoby na ołtarzu jakiejś wielkiej sprawy, zasłaniającym się od takiego poświęcenia przejętymi od Porońskiego frazesami o potrzebie ochronienia skarbów narodowych, w domu jego nagromadzonych, od niebezpieczeństwa zraty.

Tą krytyką sentymentalnego szowinizmu zachwiewał równocześnie Jeż i wypieszczony ideał szlachecki tak w terażniejszości jak i w przeszłości. Z wglądnięcia w stan moralny i umysłowy szlachty bohater utworu Jan przyszedł do następnego rezultatu: „Znalazł dużo dobrego: taką poczciwość, którą się dość nazachwycać nie można, ale ślepą, słomianą, owczą, gołębią, bardziej instynktową niż ludzką, która w biernej ślepotcie, często w najlepszej wierze, ani domyślając się tego, w niepoczciwość przechodzi. Znalazł poczciwość ambitną, dbającą przedewszystkiem o to, co o niej ludzie mówią, gotową dogodzić ludziom, nawet gdyby dobre ich mówienie trzeba było niesprawiedliwością jakąś kupić. Poczciwców było najwięcej, szczególnie między uboższymi. Większa jednakże, ogromnie większa ich część, w stosunku dziewięciu do dziesięciu, czegoś chciała, ale nie wiedziała czego; reszta zaś wiedziała czego, ale nie wiedziała jak. Niewiedza była ogólnym charakterystycznym znamieniem, które grubą powłoką oblegało serca i rozumy i wprawiało w jakiś rodzaj ospałości, ociężałości, niedeterminacyi, oślego uporu, wołających wielkim, żalonym głosem: niech się co chce robi, byle mnie nie tykano! mnie niewinnego, jak nowonarodzone jagnię!... Znalazł i niepoczciwców. Tych było niewiele; ale oni głośniej mówili, byli śmielsi i ruchliwsi i porywali z sobą ogół w wirowy taniec, w którym się biednym poczciwcom głowy zawracały do tego stopnia, że nieraz zniemacka zapytani, nie umieli odróżnić dobrego od złego, często cnota wydawała się im występkiem; często coś zwyczajnego, niezłego wynosili pod niebiosa, a niekiedy nawet wyraźny występki mienili cnotą... Najmocniej zirytowała go młodzież. Najpilniej jej szukał i prawie nie zna-

laż. Młodych panów i paniczów nigdzie w domach nie zastawał; albo ich nie było, albo mu się nie pokazywali. A spotykał się tylko z takimi, z których kropli sensu lub uczucia nie można było wycisnąć, pomimo że paradowali i jednym i drugim. Kilku z nich, wielkoświatowych, przez ramię spoglądali na naszego bohatera dlatego, że nie posiadał łożenia... Najlepiej znalazł kobiety. I byłyby one zupełnie dobreimi, gdyby nie próżność, przemieniająca niektóre na istne monstra, na społeczno-moralne karykatury, na salonowe lafiryndy, małodworkowe koczodany, gęsi, sroki, żaby, jaszczurki, głupie matki, złe żony, bezmyślne siostry, niezdolne córki, interesowane kochanki etc. etc... Pocziwości i rozumu, ożenionych ścisłym, nierozzerwanym węzłem, nie znalazł nigdzie.

Czy z pocziwością łączył się rozum w przeszłości; czy przodkowie szlachty dzisiejszej uwydatnili ten związek w sprawie wielkiej doniosłości. w tej samej sprawie, z którą potomkowie rady sobie dać jeszcze nie mogli?... Na to odpowiedź daje *Historja o pra...pra.: dziadku*. Kiedy w obozie i na dworze szlachta nie wiedziała, że Kuźma Jeż jest chłopem, przyjaźniła się z nim, uwielbiała jego czyny. Ale kiedy tenże publicznie się przyznał do chłopskiego pochodzenia i myśl nobilitacyi odrzucił, odsunęła się od niego natychmiast; nawet pacholek wymówił mu służbę, bo go wysmiewano, że chłop jest mu panem. Znalazł się wprawdzie Lisowski, znalazł się Potocki, którzy dłoń chłopu serdecznie uścisnęli, znalazła się pani Wolska, co mu miłość wyznała i gotowa była losy jego podzielać; ale były to wyjątki; ogół ulegał przemożnemu przesądowi, który nie dozwolił dojrzeć olbrzymiej korzyści dla Rzeczypospolitej z pozyskania takiej masy obywateli, jakimi zostać mogli chłopci. „Klejnotni — jak powiada Jeż — zapomnieli, czem są i czem być powinni... Wielką ojczyznę rozdrobili na tysiące malutkich, z których każdą uwięzili w ciasnych granicach osobistych, drobnych ambicyj. Te malutkie ojczyzny żyją, prosperują, powiększają się i wzmagają kosztem i ze stratą wielkiej... Rycerstwo-część obróciło naródcałość w poddaństwo. Zrzekłszy się podbojów zewnętrznych, wykonało wewnętrzny, na własnym swoim społeczeństwie.. Sprawiedliwe względem obcych, stało się niesprawiedliwym względem swoich... Rodzicielkę zagarnęło w poddaństwo, ojczyznę zabrało dla siebie, w sobie ją ześrodkowało, nazwało ją sobą, a siebie ojczyzną, i zamiast jej służyć, uczyniło ją sługą swoją... Takie obrażające naturę postawienie się stanu rycerskiego nie mogło obejść się bez najgorszych skutków... Wystąpiły one tak w zepsuciu publicznych i prywatnych obyczajów, jakoteż i w tem, że grono rycerskie

jest już za szczupłem, za słabem do zadośćuczynienia przyjętym na siebie dobrowolnie obowiązkom... Nie jest już w stanie bronić samo siebie, a z sobą i ojczyzny...“ ¹⁾

Nie znaczy to bynajmniej, jakoby Jez potępiał całą przeszłość naszą, „bo jakiegoż trzeba wyrodka, nie syna, aby usta złożyć się mogły do klątwy na ojca i dziadów!“ — ale znaczy tylko, że nie należy usypiać się piosenką o własnej doskonałości, że nie potrzeba mówić, iż wszystko zrobiono i że nam robotę tę przechowywać tylko wypada, nic nie dorabiając, bo tym sposobem wytwarza się gnuśność i bezmyślność, wiodące do zastoju, do martwoty, a może nawet do czegoś gorszego. Wady wykorzeniać, złe naprawiać, świadomie pojmować swoje położenie i zadanie, dążyć do jego urzeczywistnienia wszelkimi siłami — oto cel, wskazany i zastanawianiem się nad przeszłością i analizą stanu obecnego.

A jak wskazywał Jez, coby zrobić wypadło we względzie „poddanych“, tak również nie zapomniał o uobywateleniu żydów. W *Historji o pra...pra...wnuku* są przesliczne sylwetki Szlomy Bera i Ruchli, jego żony, przyjaciół chorążego, czuwających nad jego synem jak nad własnym i rozumiejących obowiązki obywatelskie. Co Szlomę Bera zrobiło obywatelem? Służba pod chorągwiami „Naczelnika“. Po latach wielu, na samo przypomnienie tych chwil wielkich rozpromieniała się zwiędła twarz żyda i żywsze

¹⁾ Toż samo wprost, bez żadnych obstępów, jako przekonanie swe, wypowiedział Jez w artykule krytycznym, napisanym z powodu dzieła Kostomarovy o Bohdanie Chmielnickim (*Dziennik Literacki* 1861, Nr. 10—17): „My w organizacyi uspołecznienia naszego narodu upatrujemy wielkie jedno zło, które nas o upadek przyprawiło, a mianowicie, że utworzył się u nas *status in statu*, że mniejszość wydzieliła się z większości i ubezwładniła politycznie tę ostatnią, słowem że sformował się u nas stan rycerski, szlachecki, który wziął na siebie odpowiedzialność za całość i pomyślność ojczyzny, jako też i za opatrnościowy jej obowiązek pełnienia do ostatka cywilizacyjnego posłannictwa. Wziął i nie dotrzymał, bo wśród otaczających go zewsząd i czyhających na niego wrogów, więcej cenił przywileje stanu jak ojczyznę, więcej mu chodziło o utrzymanie poddaństwa jak o posłannictwo narodowe, którego nie rozumiał, a które jednakże pełnił, póki mu sił starczyło. Naród miał siły: spoczywały one w gminnej słowiańskiej zasadzie, czyniącej wszystkich bez różnicy obywatelami; ale stan rycerski w swoim tylko kole na tej zasadzie się uorganizował, a odepehnął od niej lud i upoddanił go sobie. W tem odepehnięciu i upoddaniu tkwi głównie źródło naszych nieszczęść i naszego upadku. Szlachta sama, bez ludu, okazała się za słabą do zadośćuczynienia powołaniu Polski na zewnątrz, a co więcej, postawieniem się swoim, stała się powodem gwałtownych wstrząśnień wewnątrz“.

tętno w sercu budziła. Na wieść o śmierci tego ukochanego „Naczelnika“ cała rodzina Szlomy, jak również niektórzy jego rówieśnicy uroczyste odprawili bosny. Pozrzucali patyki i pieniądze, posypali głowy popiołem, usiedli na gołej podłodze, a mężczyźni po kilka razy na dzień zarzucali na siebie śmiertelne koszule i napełniali dom ostro żalonym, płaczliwym krzykiem ~~„~~. I nie było takich, wśród żydów — dodaje autor — których by gorszyło, że starcy ludu wybranego modlą się za duszę goja.

W tej samej wreszcie *Historji o pra...pra...wnuku* dotknął Jez i wychowania domowego i spraw szkolnych, życia chłopskiego po wsiach i szlacheckiego po dworkach, marnowania się młodzieży wśród bezmyślnej „tężyzny“ i szczupłego widnokregu działania: przedstawił wyborny obraz prób, niepowodzeń, zbroczeń i stopniowego mężnienia bohatera Jana, który z zadatkami dobrych nawyków domowych i niepospolitych uzdolnień, dostaje się pod najróżniejsze, po większej części ujemne wpływy i dopiero za pośrednictwem walki wewnętrznej i długiej nad sobą pracy wydobywa się z grząskiego błota społecznego i staje się zdolnym do czynów.

Pomijając kilka innych drobniejszej wagi stron w *Historji o pra...pra...wnuku*, niepodobna wszakże pominąć milczeniem postaci Zofii Dolańskiej, przedstawicielki dążności kobiet naszych do wyższego wykształcenia, do zrozumienia wyższych interesów społeczeństwa, do wzięcia czynniejszego a świadomego siebie udziału w pracach narodu. Nie zajmują jej zwykłe błahostki życia salonowego; nie chce tracić czasu na bezmyślną konwersacyę i łatwe podboje; szuka światła, interesuje się wszystkim, co lepszą część młodzieży uniwersyteckiej obchodziło, czyta, uczy się i pragnie stać się propagatorką zdrowych myśli wśród szlachty. Popelnia tylko jeden błąd, ale ważny: przeceniając potęgę sił swoich, idzie za Albina Skrzybickiego i sądzi, że go potrafi przerobić, że dom ich stanie się ogniskiem, którego promienie oświecać i ogrzewać będą ciepłem idei całą okolicę. Przerachowała się: Skrzybicki został niedołęgą, ona zaś zawiedziona w nadziei „wpadła w jakiś rodzaj snu magnetycznego z jasnowidzeniami“.

Bogatą treść *Historji o pra...pra...wnuku* ledwie naszkicować mogliśmy. I z tego jednak szkicu poznać można, jaką masę pomysłów i kwestyj poruszył w niej powieściopisarz, pobudzając czytelników do głębszego wniknięcia w siebie i społeczeństwo.

Starając się skupić myśli wewnętrznym ze sobą połączone węzłem, przerwaliśmy wątek chronologiczny. Nawiązując go obecnie, powiemy, że pomiędzy *Handzia Zahornicką* a *Historją o pra...pra...wnuku* utworzył Jez

jedno z największych arcydzieł swoich, *Szandora Kowacza*, przedstawiającego trzeci kierunek, w którym następnie powieściopisarz nasz postępował. Na tle wojny węgierskiej 1848 r., w szeregu przepysznych obrazów nakreślił Jeż dzieje budzenia się poczucia narodowego w duszy człowieka prostego, wychowanego wśród warunków, które do śmiertelnego nawet uspienia uczucia tego przyczynić się mogły. Sierota Węgier wychowany w domu serbskim, serdecznymi z nim fibrami zjednoczony, poczuwa swoją odrębność na mocy tych drobnych, nieuchwytnych, minimalnych wpływów, jakie łączą jednostkę z narodem, i staje, wraz ze swymi rodakami, do walki w chwili, gdy zagrzmiała pobudka wojenna, zdająca się ojczyźnie jego szczęście zapowiadać. Zrywa wtedy pęta przyjaźni z rodziną serbską; nie mógł tylko pokonać namiętnej miłości dla Maryjki i ta go do zguby przywiodła.

Równocześnie prawie w *Asanie*, drukowanym w *Dzienniku Literackim* lwowskim, roztacza dzieje odzywającego się pragnienia niezależności wśród Bułgarów; ciemiężonych przez Bizantynów.

Rzecz naturalna, że historia *Szandora Kowacza* i *Asanu* nie jest sztuką dla sztuki, opowiadaniem dla opowiadania. Jeż pisząc o Węgrach, Serbach i Bułgarach spożytkowywał własne doświadczenie, dzieje wypadków, w których brał udział, uczucia i myśli, które mu się nasuwały, na korzyść społeczeństwa własnego, ażeby w niem utrzymać, a po części i rozbudzać, samowiedzę narodową, z różnych powodów zamąconą lub nadwątloną.

Zauważyć łatwo, że w przedstawionych tu utworach Jeża miłość indywidualna jest, ale nie odgrywa roli pierwszorzędnej. Autor nie lekceważy bynajmniej znaczenia, jakie miłość ma w życiu jednostkowym i społecznym; owszem ocenia on je bardzo wysoko, ale bądź co bądź nie zasłania mu ono oczu na fakt, że istnienie każdego człowieka posiada, obok miłości, setki pierwiastków ważnych, wchodzących w skład jego i stanowiących zarazem sprężynę działań ludzkich. Jeż stanowczo zerwał z romantycznym pojęciem miłości i to zarówno co do treści jak i co do formy. Miłość nie stanowi u niego osi, około której kręci się całe życie ludzkie, nie jest źródłem wszelkich natchnień, nie jest celem wszystkich dążeń, nie jest zajęciem jedynym i wyłącznym bohaterów. I miłość ta nie wyraża się za pośrednictwem całej kaskady frazesów przesadnych, naciągniętych, wymuszonych, ale wypowiada się krótko a silnie; więcej okazuje się w oku, uśmiechu, ruchu, zachowaniu się całym, aniżeli we frazeologii. „Nie w Arkadyi żyjemy — powiada Jan, bohater *Historji o pra...pru...wnuku*. — Nie gruchania

miłośnych gołębic, nie szczebiotania rozkochanych pasterek głaskać powinny nasz słuch i kołysać nas do rozkosznych marzeń i usypiać“.

W tem zdaniu Jana, który szeregiem przykrych doświadczeń osobistych do niego doszedł, przecząco wypowiedziana została zasadnicza, najgłówniejsza, przewodnia myśl utworów Jeża. Nie marzenie choćby genialne, lecz czyn albo przynajmniej dążność do czynu, nie upajanie się jakimkolwiek umiłowaniem, lecz trzeźwe rozpatrywanie się w rzeczywistości; nie zadowolenie osobiste, lecz sprawa ogólna powinny być celem życia każdego, poczuwającego się obywatelem. Zamiast szeroko i długo rozpowie-
dzianych historyj o parach zakochanych; zamiast roztaczania paradoksów i sofizmatów erotycznych przed czytelnikami plei obojej; zamiast zwracania uwagi ich całej na dowcipnie skombinowane sieci intryg, jakby w nich cały interes życia się skupiał; Jeż mówi, że miłość jest uczuciem pięknem i dobrem, czasami bardzo potężnem i wzniosłem, ale obok niej stawia coś nad nią większego, donioślejszego i wspanialszego społecznie — poważny, surowy, wielki o b o w i ą z e k.

III.

Pisząc powyżej wymienione utwory Jeż był w ciągłej podróży. W połowie roku 1858 opuścił Konstantynopol i na Marsylią pojechał do Paryża; pod koniec tegoż roku spotykamy go w Londynie, gdzie do owej pory przebywała jeszcze „Centralizacya“, osierocona śmiercią Worcella, Darasza i Podoleckiego. Jeża wybrano na jej członka; wkrótce jednak pomiędzy nim a kolegami nastąpiło nieporozumienie co do kierunku, w jakim sprawy krajowe pchnąć należało, a skutkiem tej niezgody Jeż z „Centralizacyi“ wystąpił. Z Londynu robił bardzo częste wycieczki do Paryża, a w jednej z nich zapoznał się w Brukseli z Lelewelem i Heltmanem. Następnie w roku 1860 jeździł do Galicyi. W Czortkowie, miasteczku położonem na Podolu galicyjskiem, zabrał znajomość i wszedł w zażyłość z rodziną państwa Wróblewskich, z których córką Zofią miał się następnie w r. 1862 ożenić, wśród okoliczności i powikłań wielce romantycznych.

Sprawy indywidualne musiały atoli ustąpić miejsca ogólnym.

W szczegóły wchodzić nie będziemy. Niepodobna nam wszakże nie zaznaczyć, że pomimo wpływu odurzającej atmosfery duchowej, wśród której przebywał, Jeż nie dał się porwać jednostronnemu prądowi. Awantur-
nicznych planów Ludwika Mierosławskiego nie podzielał; natchnieniom nie-

rozważnego uczucia nie pozwalał panować nad kombinacjami chłodnego rozumu, lecz jedno z drugim starał się łączyć jak najściślej, pomimo że odwoływanie się do rozumu i rozwagi nie dawało popularności natenczas; w mistycyzm nie popadł; sił w sobie samych szukać nam kazał. Przemawiając zaś do społeczeństwa za pośrednictwem powieści, nie rozdrażniał namiętności i nie pochlebiał im; wołał nawet podawać gorzkie lekarstwa, byle tylko do zastanowienia się nad sobą, do obliczania się z siłami własnymi, do wzmacniania się i hartowania pobudzić. Nie przedstawiał, jak to zazwyczaj bywa, świetnych stron niedawnej przeszłości, bo nie chciał usypiać ducha w dobrem o sobie rozumieniu; lecz wołał zwracać uwagę na ujemne cechy naszego charakteru, na jego miękkość woskową podatną do wszystkiego, na tę łatwość, z jaką o najdroższych uczuciach zapominamy, z jaką łamiemy się po lada niepowodzeniu, z jaką najświetniejsze zdolności marnujemy.

Dwa większych rozmiarów utwory pochodzą z tego czasu (*Fierwsze boże przykazanie*, *Krwawe dzieje*) i oba tę bolesną myśl uplastyczniają.

W *Fierwszem bożem przykazaniu* opowiedział autor życie jednego z tych ludzi, co to obdarzeni piękną fizyczną i niepospolitemi talentami, pomimo dobrych w gruncie skłonności, pomimo wspomnień drogich, któreby im hasłem życia stać się powinny, przetwarzają się na egoistów, szukających tylko własnego szczęścia. Bohaterowi podczas szturm Pragi w 1794 zginęła w okropny sposób matka. Wzięty na wychowanie przez krewnego, wstępuje za czasów pruskich do czarnych huzarów, za czasów księstwa Warszawskiego bierze udział w bitwach, w odwrocie z Moskwy stara się o powierzenie sobie misji dyplomatycznej, ażeby uniknąć niebezpieczeństw, następnie za Królestwa Kongresowego zasługuje się Wielkiemu Księciu... i dobija się stopnia generała....

W *Krwawych dziejach*, osnutych na tle wyprawy Deniski z r. 1796, opowiada autor o innego rodzaju marnieniu sił. Dzielny pod każdym względem wódz i bohater, dopóki jest na polu walki, dopóki czuje zapach prochu i słyszy świst kul koło siebie, staje się naprzód sybarytą, a później umysłowym i fizycznym niedołęgą, kiedy go otoczył zbytek rozkosznego życia i uciechy przez „kokonę“¹⁾ wołoską dostarczane.

¹⁾ Damę.

Nie były to zaiste obrazy, któreby mogły łechtać samochwalstwo narodowe i obudzać pawiącą się dumę; zmuszały natomiast do zastanowienia nad wadami własnemi. wskazywały nieodzowną potrzebę hartowania woli.

Wtedy to pisał Jeż w *Dzienniku Literackim* (r. 1861, Nr. 29): „Piszę, bo nie mam co innego robić. Piszę więc nie dla pisania, ale dla zastąpienia tego co i n n e g o, czego nie mogę robić. Jestem przeto zastępcą pisarza, ale nie pisarzem, i muszę dodać, że jestem zastępcą tymczasowym; bo robota moja czeka na mnie i ja na nią czekam“.

W dwa lata niespełna Miłkowski przeniósł się do znanej sobie dokładnie Tulczy, gdzie zorganizował oddział mający wkroczyć do Rumunii. Pomimo wielkich i różnorodnych trudności, oddział, liczący 250 ludzi dostał się istotnie za Dunaj, stoczył pomyślnie utarczkę z wojskami rumuńskimi pod Kastangalą, a zdążając ku Prutowi maszerował 18 godzin z rzędu, ale otoczony we wsi Rynzesztach, musiał broń złożyć. Miłkowski udał się naprzód do Bukaresztu, potem do Konstantynopola, dalej do Paryża, skąd znowu wrócił na Multany i do Galicyi się przekradł. We Lwowie przyaresztowały go władze austriackie i po pewnym czasie odstawiły do Bawaryi.

Odtąd aż do maja 1864 roku przebywał Miłkowski Europę w rozmaitych kierunkach, dopóki okoliczności były pomyślne. Wreszcie osiadł wraz z żoną i dziećmi w Belgradzie. Tu zapoznał się ze światem naukowym serbskim i studyował teoretycznie dzieje i etnografią Słowiańszczyzny południowej, którą z praktyki znał już tak dobrze. Przez czas jakiś bieda dokuczała strasznie. W przyszłości — powiada naoczny świadek ¹⁾ — pobyt Miłkowskiego w Belgradzie będzie może poetycznie bardzo wyglądał, lecz dziś, gdy wszystko takie jeszcze świeże, z przykrością prawie przychodzi wspominać owoczesne kłopoty, szamotanie się z biedą. rozpaczliwe nieraz chwile... Razu np. pewnego kasa państwa Miłkowskich składała się z jednego dukata. Pani poszła na miasto po sprawunki i... dukata tego zgubiła. Nie było ani co sprzedać, ani się u kogo zapożyczyć... Najtańszym artykułem żywności był w Belgradzie szpinak; często się więc na stole u pp. Miłkowskich zjawiał, lecz raz dochodzi ich wieść, że od szpinaku jeszcze tańsze są grzyby; kupiono grzybów, ugotowano i... zatrąła się nimi cała rodzina... Do innych nieszczęść przyłączyła się jeszcze cholera. Naprzód

¹⁾ Przywiedziony przez p. Wacława Hołowińskiego w pracy już wspomnianej.

zaniemogła żona; mąż chcąc ją ratować a będąc literalnie bez grosza, wyniósł na targ kociołek miedziany, sprzedał go, a gdy z otrzymanemi pieniędzmi wchodził do pokoju, padł i zemdlął. Silne wzruszenie podziało skutecznie na panią Miłkowską; zerwała się, by chorego ratować, i ozdrowiała. Jeż opowiadając o tych wypadkach, dodaje z uśmiechem, że zapewne dlatego cholera zostawiła ich przy życiu, by nie robić konkurencji śmierci głodowej, która przed ich mieszkaniem ustawicznie odbywała wartę.

W Belgradzie przebył Miłkowski do jesieni r. 1866; wówczas przeniósł się do Brukseli, a stąd do Lozanny w 1872. Roku 1873 utracił rodziców, zamieszkałych w Mohylewie nad Dniestrem, naprzód ojca, a w tydzień potem i matkę. W Lozannie, namówiony przez obywateli poważnych, otworzył zakład naukowy, który go naraził na straty wielkie a tem dotkliwsze, że sam ma do wychowania dzieci sześcioro. Po zamknięciu zakładu w roku 1877 zamieszkał w Genewie, gdzie też, robiąc dłuższe lub krótsze wycieczki, mianowicie do Paryża w r. 1881 i 1882, dotychczas przebywa.

Pracę literacką, przerwana w roku 1863 i 1864, podjął Jeż nanowo w r. 1865. Głęboko odczuty zawód w sprawie ogólnej kazał mu doszukiwać się jego przyczyn; a skutkiem tego ponownego wglądnięcia w naturę i okoliczności rozwoju duchowego był szereg utworów, któreby patologią społeczną nazwać można. Siła satyryczna spotęgowała się w naszym pisarzu i wydała niejeden obraz pierwszorzędnej znaczenia zarówno pod względem śmiałości pędzla jak pod względem odwagi obywatelskiej. We *Wrzescionie* raz jeszcze dotyka stosunków włościańskich, przeciwstawiając ciemnotę i biedę wśród ludu bezmyślnemu marnotrawieniu czasu i brakowi zasad moralnych wśród panów. W *Pamiętnikach starającego się* znakomicie opowiedziawszy historią nauczyciela, który poprzednio był złodziejem i zbrodniarzem, hogartowskim pędzlem maluje nicość moralną jego ucznia, szlachetki wprowadzonego do wielkiego świata lwowskiego, lecz uczuwającego więcej pociągu do towarzystwa z szusterbalików, marniejącego następnie wśród pogoni za przygodami romansowemi. W *Edwardzie Klocu* wystawia narodziny i rozrost pasorzytów społecznych, wszelkie uczucia wraz z godnością własną dla karyery i dobrobytu poświęcających. W *Helenie* kreśli wizerunki dezorganizacji moralnej wśród życia zacieśnionego do ścian salonu i goniącego za jedynym ideałem, dla pojęcia swego dostępnym — za użyciem zmysłowem.

Obok tych scen ze sfery bytu towarzyskiego, z równą siłą, choć z mniejszym artyzmem, przedstawia nam Jeż nasze wady w sferze bytu

polityczno-społeczny. W *Drugim bożem przykazaniu*, poświęconem „poważnemu obywatelstwu polskiemu“, na tle wypadków z r. 1831 na Litwie, namalował kilka postaci, nakreślił kilka scen, które śmiałością a zarazem trafnością satyry przewyższają wszystko, co w naszej literaturze istnieje. Cóż to za przepyszna figura ten kapitan Kluska, pieczeniarsz i bawiciel dworów i dworków, mający zawsze na ustach frazesy o miłości ojczyzny i dobru ogólnem, przedstawiciel tego wszystkiego, co w jowialności polskiej jest najtrywialniejszego i najgorszego, wspaniałomyślny cudzym kosztem, drwiący z nieprzyjaciół i gotów się spodlić dla ocalenia nędzy swego życia, autor projektu szykowania wojska w koło, jako najdoskonalszego, gdyż — jak powiadał — „oskrzydlić go nieprzyjaciół nie może, bo nie ma skrzydeł, ani zająć mu z tyłu, bo nie ma tyłu, a jeżeliby udało mu się przebić go w jednym punkcie, to wchodzi we środek, w matnię, jak szczupak, i zostaje otoczonym ze wszystkich stron“. On to był promotorem zabawy dla młodzieży spoczywającej po wieczorku imieninowym:

„— Chyba założymy gierkę — rzekł któryś.

„— Do gierki trzeba wstawać, a wstawać się nie chce...

„— Niekoniecznie wstawać — podchwycił łysy szlachcic (kapitan Kluska) Możemy grać leżąc i to na wznak, tak jak ja...

„— A toż ciekawa byłaby gra!... — odezwał się jeden z leżących.

„— Bardzo prosta — odparł szlachcic. Włóż rubla do puli i stawiaj... i pluj na sufit... Dosięgniesz, wygrales; nie dosięgniesz, stawka przepada i pula się powiększa... Wolno giąć parole, łamać nape, stawiać wabank, przenosić, pasować... W końcu równy podział...

„Jednogłośny okrzyk b r a w o! był odpowiedzią na tę propozycją. Natychmiast rozpoczęła się gra, w której łysy szlachcic był snąc wyćwiczony, bo kiedy rzadko któremu udało się stawkę wygrać, on giął parole i parę razy zabrał pulę. Radość i śmiechy towarzyszyły tej niewinnej zabawce. Niejeden bowiem sam sobie lub innemu oczy zapluł. Tej gimnastyce piersiowej oddawało się trzydziestu kilku ludzi, poetycznie zwanych kwiatem młodzieży, politycznie — nadzieją narodu“.

Tak się młodzi bawią; a jakże starsi radzą?

U jednego z najpoważniejszych obywateli na Litwie był zjazd szlachty, który spowodowała proklamacja Dębińskiego. Gospodarz przeproszał, że do narad zawiązywał przed „skromnym obiadem“, gdyż one wymagają rażnego i trzeźwego umysłu. „Skromny obiadek“ gotował się w olbrzymich kotłach i piekl na ogromnych rożnach, z których woń po całym roz-

chodziła się podwórzu. Po przemowie gospodarza zabrał głos p. Szymkiewicz, pretendent do marszałkowskiego dostojenstwa. Mówił długo. Zaczął od Władysława Łokietka, tego króla co był trzy razy wyzuwany z tronu i trzy razy go odzyskiwał. Do Łokietka przyrównał Polskę i wyciągnął z tego wniosek, że kraj za trzecim razem odzyska, co stracił. Wniosek ten był niepodpadającą najmniejszej wątpliwości pewnością, a to dlatego, że losy kraju spoczywają w rękach szlachty, z której rozumem żaden rozum, cnotami żadna cnota, walecznością żadna waleczność w porównanie iść nie może... Wymieniał zdarzenia i nazwiska i zaręczał, że co szlachta robi, zawsze dobrze robi. Tem zaręczeniem zakończył mowę.

Po nim zabrał głos podkomorzy Puszkiewicz. Ten zaczął od generała Dębińskiego a zakończył na archeologii, którą się zabawiał. Mówił, ile to Litwa posiada zabytków, z których dałoby się znakomite sformować muzeum. W niem przyszłe pokolenia, niby w zwierciadle, oglądałyby dzieje zamierzchłej przeszłości.

Gdy któryś z szaraczków zauważył, że podkomorzy odbiega od materji, zaprzeczył temu mówca takim rozumowaniem: — Czemże jest wojna?... Zniszczeniem... Ergo zawczasu pomyśleć należy o uchronieniu od zniszczenia tych pamiątek naszej przeszłości, tych świadectw naszej wielkości, tych dokumentów naszej starożytności, tego kutego ze stali i kamienia, rzeźbionego z drzewa, lepionego z gliny, pisanego na pergaminach narodowego naszego archiwum... Mówił jeszcze długo i dowodził jasno, że chwila obecna jest niezmiernie ważną i korzystać z niej należy w celu założenia muzeum starożytności.

Na tę mowę odpowiedział adwokat, pan Puksza. Pochwalił ją i uznał ważność podniesionej przez podkomorzego kwestji, lecz dowiódł, że szanowny preopinant odstąpił od zagajonego przez gospodarza przedmiotu. Szlachta go poparła wołaniem: do rzeczy! do rzeczy!...

Pan Baltazar zabrał głos w odpowiedzi na mowę pana Szymkiewicza i podniósł tę okoliczność, że pretendent na marszałka, wyliczając zalety szlachty, zapomniał powiedzieć, że jest bogobojną. To zapomnienie wydało mu się urazą. Upominał się o nią w słowach dosadnych, w imieniu całego zgromadzenia i wszystkich rodaków, tak tych, co zeszli z tego świata, jak tych, co przyjsć mają.

Pan Szymkiewicz chciał na swoją obronę kilka rzec słów, lecz tłum nie dał mu przyjsć do głosu, dopominając się hałaśliwie, żeby od sprawy nie odbiegano. Przemówił w tym sensie i gospodarz.

— Trzeba kwestyą postawić jasno — rzekł zabierając głos sędzia Szymkajło. I wykazał różnicę, jaka zachodzi pomiędzy uzbrojeniem starożytnych Rzymian a nowoczesnych Francuzów, wyrażając żal *primo* nad tem, że nie posiadamy takich hartownych zbroi, którychby kula nie przebiła, *secundo* nad tem, że dotychczas jeszcze nie przybyli Francuzi.

— Do rzeczy! zawołano z tłumu.

— Cóż u pioruna! — odparł sędzia. Czyż odchodzę od rzeczy, mówiąc o uzbrojeniu i Francuzach!...

Zakrzyczano go; usiadł, a powstał kapitan Puszkiewicz.

— Mości panowie! — zawołał donośnie. — Ja stary żołnierz!.. Ja nie umiem mówić tak długo i tak uczenie, jak szanowni mówcy, którzy dotychczas występowali. Będę więc mówił krótko... Oto, mości panowie, od pewnego czasu nie myślałem o niczem innem, tylko o tem, jak pobić wroga.

Zgromadzenie objawiło żywą aprobacyą.

— Myślałem i wymyśliłem... Jestto, moi panowie, nowa broń: lanca i zarazem pistolet...

Tu podniósł laskę i trzymając ją w górze, jął na niej palcem pokazywać.

— To lanca! a tu obok grota przytwierdza się pistolet... Od cyngla idzie sznureczek, mocny szpagat, który się przywiązuje do przeciwnego grotowi końca lancy... Idąc do ataku, bierze się lancę tak, pod pachę, i gdy się dochodzi na pięć kroków do nieprzyjaciela, pociąga się za sznurek... Pistolet wypala, wróg ginie; i wpada się na drugi szereg, który zmieszany ogniem i zniszczeniem, jaki taki bliski ogień sprawi w pierwszym szeregu, musi tył podać... Obrachowałem, że tym sposobem jeden szwadron, w dziesięciu szarżach, zabić może przeszło trzy tysiące, a dziesięć szwadronów trzydzieści tysięcy, a trzydzieści szwadronów — dziewięćdziesiąt do stu tysięcy... Ten mój wynalazek składam na ołtarzu ojczyzny, oddając go pod aprobacyą waszmoścpanów... Pewny jestem, że gdy przyjmiecie, za trzy miesiące nie będzie ani jednego wroga...

Okrzyk żywej aprobacyi był odpowiedzią kapitanowi Puszkiewiczowi, nie tyle zapewne za ten wynalazek, ile za to, że jego mowa dotykała przedmiotu bliżej.

Major, żołnierz napoleoński, który był w Egipcie i Hiszpanii, ośmieleony snać powodzeniem, jakiego doznał wynalazek kapitana, zaproponował swój — owoc doświadczenia i długich rozmyślań — szklane armaty, tańsze, lżejsze i do odlania łatwiejsze niż spiżowe.

— W każdej hucie można je sfabrykować — mówił — grubości takiej, jak okna na okrętowych pokładach... Kto był w Gdańsku, musiał takie okna widzieć... Wszak prawda, że mocne?..

— Prawda! prawda! — odpowiedziało kilkanaście głosów.

— Owoż nadając szkłu taką grubość, można z niego lać harmaty... Wynalazek ten składam na ołtarzu ojczyzny...

Ktoś inny zaproponował przyjęcie wiatrówek, dla oszczędzenia prochu. Inny znów radził zaprowadzenie wozów na dwóch kołach, któreby mogły razem służyć jako mosty do przepraw przez rzeki, jako ruchome szanice, jako środek do transportowania żywności, efektów i amunicji i jako ramy do utrzymania w porządku bojowego szyku. Ostatni ten projekt wzbudził niemałą sensacją i podzielił zgromadzonych na dwa stronnictwa, jedno, które nie chciało chować się za wozy, drugie, które dla zbawienia ojczyzny, gotowe było iść w ramy....

Były jeszcze i inne projekta, ale w końcu, choć znakomite, znudziły słuchaczy. Do znużenia zapewne przyczyniać się musiała miniona obiadowa pora. W żołądkach szlacheckich czuć się dawała pewna kliwość, a powonienie dziwnie czułem stało się na zapachy, wydzielające się z barszczu, bigosu, kołdunów i obracającego się powoli nad żarem całego wołu. Szlachta poczęła szemrać i kaszlać...

Narada krótko już trwała; zakończyła się wyborem wodza. Najgłośniej perorował na beczce kapitan Kluska; zniechęcony szmerem, tupnął mocno nogą, dno wybił i do beczki wpadł. Gdy go wydobyto, grzmotnym śmiechem i krzykiem ogłoszono go wodzem. Pierwszy jego rozkaz, który żołądkom i sercom dogodził, brzmiał:

— Marsz!... do obiadu...

Tak gryzł Jeź, ale „sercem gryzł“.

Z biegiem lat gorycz sarkazmu łagodniała; powieściopisarz odczuwał sympatycznie nowy, postępowy ruch na polu pracy organicznej w kraju i swoim współdziałaniem ruchowi temu dopomagał, zawsze wierny obowiązki obywatelskiemu, który zabrania ręce bezsilnie opuszczać, jakiegokolwiek byłoby położenie. W długim szeregu utworów wytykając różnorodne wady, niedozwalające społeczeństwu rozwinąć wszystkich sił swoich i opóźniające jego rozwój, podawał ubocznie albo wprost wskazówki, jakby życie to urządzać należało. Wszystkie dawniej w *Historji o pra...pra... wnuku* dotknięte kwestye, stały się teraz przedmiotem szczególnszego rozbioru, staranniejszego przedstawienia, a to po części z powodu odmien-

nych okoliczności, a po części z powodu świeżo wynikłych potrzeb. Złe, czułościowe wychowanie, pociągające za sobą próżniactwo, bezmyślność i nieudolność młodego pokolenia męskiego, scharakteryzował w *Opowiadaniu Stasia*; oburzające obchodzenie się chlebobawców z tymi, co kształcą młode pokolenia — w *Nauczycielce*. Zabobony i przesady z braku oświecenia wynikające wystawił w powieści p. n. *Po ciemku*. Falszywie pojęte wyzwolenie kobiet, polegające tylko na zerwaniu pęt życia towarzyskiego, na paleniu papierosów, przyjmowaniu towarzystwa męskiego bez opieki osób starszych i t. p., przeciwstawione dążności do głębszej nauki, do poważniejszego na życie poglądu, do współudziału w pracy społecznej, odmawiał w *Emancypowanej*. Potrzebę zaś gruntownej nauki dla kobiety, choćby działalność jej miała się tylko w kole życia rodzinnego zawrzeć, wskazał w powieściach p. n. *Pod szlachecką strzechą*; *Zdarzenie na księżycu*. Kwestyą nobywatelena żydów podjął już epizodycznie w *Drugim bożem przykazaniu*, gdzie postać Sruła, poświęcającego swe życie dla sprawy kraju, góruje ponad ogólną masą szlachecką, bezmyślną i bezradną; — a następnie traktował ją w duchu pojednania w *Uroczej*. Podstawy nowego stosunku pana do dawnego poddanego rozwija na tle dawniejszego pomysłu spółki rolniczej we *Wnuku Chorążego*. Bezmyślność i egoizm drapujące się w szaty bohaterskie, a tak częste wśród sfer bogatych, pięknymi imionami szczytających się, jaskrawo zaznaczył w takich powieściach jak *Ofiary*, *Pod obuchem*. Ludzi z arystokracji wstydzących się nawet imienia Polaka i przejmujących się nawskróś obczyzną całkiem dobrowolnie, naszkicował w opowiadaniu p. n. *Nasi gdzie-niektórzy*.

Ta analiza wad społeczeństwa szlacheckiego wywołała ze strony interesowanych, jakoteż niektórych krytyków, zarzut tendencyjnego, umyślnego wyszukiwania złych stron w klasach uprzywilejowanych. Zarzut ten, mogący wprowadzić w błąd opinią publiczną, sprostował sam Jeż (w *Kłosach* r. 1879) wskazując, że autor, który stworzył postacie takie, jak Chorążego i jego syna w *Pracowniku*, Orchowskiego w *Szeckim dziecku*, Kalinowskiego w *Wysnionej*, księcia w *Siostrzanych duszach*, Jana, Marcina i Michała Zborzeskich w *Hrychorze Serdecznym*, nie może być pomawiany o systematyczne z pośrodku szlachty wyprowadzanie nieuczciwców i zbrodniarzy. Istotnie Jeż bynajmniej nie należy do rzędu wrzaskliwych demagogów, dla których wszystko, co jest wyżej, wydaje się złem, wartem strącenia i zdruzgotania; nie sądzi też, ażeby te chwasty, jakie na zwierzchniej warstwie pokładu społecznego wyrastają, świadczyły o niezdolności tej

warstwy do wydania roślin pożytecznych. Krytyka klas uprzywilejowanych dlatego może tak jest u niego dotkliwą, że do nich słowo drukowane najprędzej dochodzi, że zatem od nich poprawy, zrozumienia obowiązków obywatelskich najrychlej spodziewaćby się można. Chciałby on do tego je przywieść, ażeby nieoświeconemi i biednemi masami się zajęły i samowiedzę w nich narodową obudziły.

Chętnie cofa się Jeż w przeszłość z tą samą myślą przewodnią, jaką już w *Historji o pra...pra.. dziadku* objawił.

Do takich obrazków dziejowych możemy już dzisiaj zaliczyć opowiadania z czasów chronologicznie wcale nieodległych, ale już zupełnie różnych od naszych, jakie odtworzone znajdujemy w *Pani Komisarzowej*, gdzie rozwija się przed nami propaganda demokratyczna w kraju około r. 1846 wśród niezmiernie zajmujących sytuacji, w *Iryhorze Serdecznym*, gdzie na podstawie relacji Zenona Fisza autor nakreślił wrzenie umysłów wśród chłopów ukraińskich podczas wojny krymskiej, wrzenie wcale nie wrogie szlachcie — a dalej w *Ostapku*, w *Starodubowskiej Sprawie*, w *Ojcu Nikonie*.

Sięgając w przeszłość dalszą, zwrócił się najprzód Jeż do wieku XV (*Deśtaw z Rytwian, Za Króla Olbrachta*), następnie przeniósł się do wieku XVII, z którym już w pierwszej swej historycznej powieści nas zapoznał (*Z ciężkich dni, Z burzliwej chwili*), wreszcie przeszedł do wieku XVI osnuwając na tle stosunków Polski z Francją opowiadanie, które naprzód dla publiczności francuskiej było przeznaczone (*Karzel-dyplomata*). Jeżeli nie we wszystkich tych utworach koloryt dziejowy należycie utrafony; jeżeli kompozycji niejedno zarzucićby się dało; to w każdym razie wszędzie jest myśl jakaś zdrowa i dużo artystycznie wykonanych, wspaniałych obrazów.

Najlepiej się one przedstawiają na widowni, tak dokładnie i wszechstronnie znanej Jeżowi, jak Słowiańszczyzna południowa. Położenie narodów słowiańskich, zostających pod panowaniem tureckim, budzi sympatyczne w sercach czytelników echo, a mało u nas rozpowszechnione wiadomości o ich dziejach i bycie wywołują zainteresowanie się wielkie. Seryą powieści tego rodzaju (po dawniejszych: *Asanie* i *Szandorze Kowaczu*) rozpoczął Jeż rzeczywiście arcydziełem p. n. *Uskoki*, a prowadził z powodzeniem w *Narzeczonej Harambaszy*, w *Dalijsczyźnie*, *Rotulowiczach*, *Hercogu słowiańskim*. Wszędzie tu występuje walka, perypetyj dramatycznych pełna, słabych z mocnemi i wszędzie tętni myśl nieprzerwalności życia i praw narodowych; wszędzie odczuwamy wraz z autorem szlachetność wysiłków, ponoszonych przez tych, co mają prawo do życia i wszechstronnego roz-

woju, chociaż chwilowo przemoc praw tych im zaprzecza. Jak w tych powieściach walka orężna głośna, tak znów w *Zarnicy* na tle nowożytnych stosunków bułgarskich przedstawia się walka cicha, powolna na polu pracy organicznej, na polu nauki, którą trzeba zaszczeniać pokryjomu, i oświaty, za rozpowszechnianie której znosić cierpienia wypada.

W tym samym duchu co powieści pisał Jeż swe liczne koresponden-
cye do rozmaitych czasopism, i swe prace historyczno publicystyczne¹⁾.
Idea sprawiedliwości tak dla jednostek, jak dla warstw społecznych i dla
narodów całych, gorące pragnienie, żeby masy wzięły rzeczywisty udział
w sprawach narodu; żeby oświata rozszerzyła się jaknajgłębiej i jaknajda-
lej, niezależnie od wpływów takiego lub innego wyznania, żeby klasy spo-
łeczne w zgodzie chociaż różnemi środkami, jeśli tego potrzeba, pracowały
nad podniesieniem dobra duchowego i materyalnego wśród narodu, żeby
naród nasz nie zrywał związku z zachodnią Europą, z przodującymi w niej
narodami, lecz zgodnie z dobrą, podniosłą tradycją przeszłości naszej
ściśle się z jej postępem jednoczył: — oto główne myśli przewodnie, jakie
w tych korespondencyach i pracach publicystycznych Jeżowi przyswiecały.

Rozpatrując główne momenta działalności autorskiej Jeża, zwraca-
liśmy przedewszystkiem uwagę na jej stronę społeczną; w pisarzu wska-
zywalismy publicystę, a mimochodem tylko przypominaliśmy, że jest on
i niepospolitym artystą, twórcą dusz w psychologiczno-estetycznym zna-
czeniu słowa. Otrząsnął on z powieści naszej resztki naleciałości roman-
tycznych, a wzmocnił pierwiastki realizmu w niej już dawniej istniejące.
Przedmiotowości zupełnej w kompozycyi osiągnąć się nie starał, gdyż
miał zawsze na myśli wpojenie jakiejs prawdy ważnej w umysł czytelnika;
ale w rysunku postaci, w opowiadaniu wypadków, w malowaniu położen
pragnął być zawsze wiernym prawdzie i naturze. A jak w treści, tak
i w wyrażeniu, w dykcyi, zerwał ze spowszedniałą już frazeologią roman-
tyczną i wyrobił sobie styl własny; może się on komu nie podobać, ale tru-
dno mu odmówić zalety oryginalności.

¹⁾ Oto główne: 1848: Udział Polaków w sprawie wschodniej (Paryż); 1861: Boh-
dan Chmielnicki (w *Dziwie Lit.*); 1866: Jubileusz serbski (w *Więcej*); 1867: Wzrost
wianaszczyznia zadunąski (w *Dziwie Lit.*); 1868-1869: Wzrost wianaszczyznia po-
łudniowej (w *Więcej*); 1870: Ludwik Mierosławski naszkicowany (Paryż); 1872: Belgia i Bel-
gowie (w *Niewie*); 1873: Francya za drugiego cesarstwa (w *Więcej*); 1875: Bosnia (w *Niewie*);
1877: Słowianaszczyna południowa (w *Więcej*); 1878: Spawaczka (w *Dziwie Lit.*).

Zapewne są strony ujemne, może nawet znaczne, w artyzmie Jeża; ale tym wszystkim, co by chcieli zbyt mocno naciskać, śmiało odpowiedzieć mógł słowy, napisanymi w roku 1861 (*Dziennik Literacki* Nr. 44) na początku *Pierwszego bożego przykazania*: „U nas powieść nie jest artystycznym figłem, wymyślonym na to, aby czytelnikowi tuman w oczy puszczać; nie jest retoryczną sztuką lechtania w pięty wyobraźni i pobudzania czytających łaskawców, tu do uśmiechu, ówdzie do rozczulenia, ówdzie do oburzenia, gdzieniegdzie do ziewania... U nas powieść jest...“
Czem jest powieść Jeża, widzieliśmy.

Piotr Chmielowski.

WSKAZANIA POLITYCZNE.

W naszych uczuciach politycznych objawia się ciągle i na przemiany: bądź potrzeba zwrócenia ich w pewnym oznaczonym kierunku, bądź też niechęć do oświadczenia się za jakimkolwiek wskazanym. Błądząc w ciemności, okrywającej życie nasze, upatrujemy bacznie najdrobniejszego światełka, któreby nas z niej na bezpieczną drogę wywiodło, a gdy ono zabłyśnie, cofamy się strwożeni i podejrzewamy w niem zdradziecki ogień, który podstępnie zwabia nas w zasadzkę. Zamiast więc śmiałego pochodu, kręcimy się na jednym miejscu, wydeptujemy ciasne koło a wyglądając zbawczego znaku, nie odzywamy się żadnemu głośniejszemu nawoływaniu i chowamy przyczajone głowy w przeszłość, która ośnić nas umie, ale objaśnić nie może. I, sądząc psychologicznie, objaw to naturalny. Bo niema może w Europie narodu, którego obecne warunki życia przedstawiałyby równie ostrą sprzeczność z utraconymi. Sto lat już wprawdzie trwa przeróbka naszego ustroju politycznego i jego dopasowywanie się do nowych warunków walki o byt; epoka to jednak dla rozległego procesu przewrotów w wyobrażeniach, nadziejach i potrzebach społeczeństwa za krótka. My za bliscy jeszcze jesteśmy tego wpływu, ażeby on nie rozgrzewał naszych uczuć i ażebyśmy bezboleśnie znieść mogli technienie zimnego rozumu. Stąd nasza niechęć do wszelkich apostołów zgody z losem, do wszelkich rad i programów „trzeźwych“ — przy jednoczesnej chęci odnalezienia i zatknięcia drogowskazów dla zbiorowego życia.

Wywrócono też a nawet zniesławiono ich już wiele—a wywrócono i zniesławiono zarzutem, że naród nie dał samozwańczym rzecznikom pełnomocnictwa do przemawiania w jego imieniu i tłumaczeniu jego woli. O ile zarzut taki bywa skutecznym środkiem zniechęcającym, o tyle brak mu moralnej podstawy.

Bo czyż naród w położeniach trudnych nie ma słusznego prawa wymagać, ażeby jednostki rozumniejsze oświeślały mu drogę szczeremi radami? Gdybyśmy z otworzeniem ust czekać chcieli na formalne upoważnienia ogółu, musielibyśmy zamilknąć we wszystkich tych właśnie sprawach, które tylko najróżnostronniejszymi głosami rozstrzygnąć się dadzą. Teoretycznie każdy to przyznaje, ale praktycznie każdy się lęka — lęka się ostrzejszego starcia z naturalną czułością społeczeństwa, z wiarą w rozkoszne jego sny, ze ścigającą niepochwytne mary nadzieją. Najodważniejsi i w polityce własnego kraju najbardziej zdecydowani ludzie, ile razy jej zagadnień dotkną publicznie, nie umieją lub zaledwie zdobywają się na półsłówka, strwożeni bądź możliwością rozdrażnienia ogółu, bądź widokiem lekkomyślnej, w kamienie uzbrojonej rzeszy, dla której kraj jest stawem a jego śmielsi obywatelę zabami, wystawiającemi głowy do góry. Ileż w duszy naszej własnowolnie zapieramy przekonania, które wydobyć się szczerze i w prąd opinii publicznej wpłynąć powinny! Ileż razy płoszy nas ów jak dzwon pusty i jak dzwon hałaśliwy patryotyzm szerokiego gardła a wąskiej piersi, który umie tylko zwoływać ogół do kościoła lub za lada błyskiem nowo skrzesej iskry straszyc go alarmami pożarów!

Nie należy całości tego milczenia odnosić do przyczyn, tkwiących po za naszą wolą, których wpływ jest zresztą niewątpliwy. Chwytałyśmy nie raz uchem łachotliwe dźwięki gorących uniesień i radosnych prorocत्व, które życzeniom naszym dogadzały; ale nasyciwszy się tymi „psalmami wiary“, uczuważyśmy jeszcze cięższy smutek, bo one nie spędzały z przed nas tego sfinksa, który nam zastąpił drogę i pod groźbą strącenia w przepaść każe rozwiązać zagadkę bytu. Dziś nawet już ten środek pobudzający i znieczulający na nasze nerwy w znacznej mierze działać przestał.

Jeżeli—pominąwszy świadome lub nieświadome ludzenie ogółu bajkami o zaklętej królownie, która wkrótce ma się ze snu pozornej śmierci obudzić i złamać czarnoksiężką moc swych prześladowców — zbadamy rozważne i z przymieszek fantastycznych oczyszczone wskazówki polityczne dla naszego społeczeństwa, to w nieobfitym ich splocie dostrzeżemy jedną nie wspólną, która się przez nie przewija—mianowicie zasadę odradzania się

przez rozwój cywilizacyjny przy stanowczym rozbracie z tradycją porywów zbrojnych. Jak dalece idea ta jest szeroko odczuty wynikiem naszych doświadczeń, przekonywa jej współczesne ukazanie się na sztandarach obozów wprost sobie przeciwnych. Stronnictwo ultramontańskie, arystokratyczne, przesiąknięte wyrafinowanym legitymizmem, t. z. stańczycy galicyjscy połączyli się w tem godle z żywiołem wolnomysłnym i demokratycznym naszego społeczeństwa. Zachodzi między temi odłamami szereg głębokich różnic w pojmowaniu owej reguły politycznej, niemniej jest ona formalnie w obu jednaką. Nie będziemy tu wykazywali ani owych różnic, ani racyj, któremi partya krakowska usprawiedliwia i podpira swoje stanowisko, gdyż nas tu obchodzą głównie pobudki i względy, z których swoje rady polityczne wywodzi grupa postępową u nas.

Jakkolwiek przykrą i niemilosierną może być konieczność, w każdym razie jest ona prawem dla woli i czynu ludzi rozumnych. Nic łatwiejszego, jak unieść się wyobraźnią po nad sferę stosunków rzeczywistych i bujać swobodnie w urojonych; ale nic zwodniejszego i niebezpieczniejszego nad wiarę, że równolegle z tym naszym lotem w ostatnich posuwamy się w pierwszych. Prawa bytu są nieubłagane, one bynajmniej wzruszyć się nie dadzą naszej serdecznej chęci wyskoku po za ich granice i prędzej czy później ściagną szybujących pod niebem, ażeby ich ukorzyć swą żelazną dłońią na ziemi. Wielu naszym trubadurum politycznym nie brak ciągle natchnień do wyspiewywania serenad a czułym piastunom pomysłów do nucenia kołysanek rozmarzonej lub sennej społeczności; gdy ona wszakże po nich otrzeźwi się i zbudzi, wyznaje z żalem, że nie dość dla niej „tyle życia, ile w pieśni,“ i „tyle szczęścia, ile prześni“. Pragniemy życia i szczęścia — rzeczywistego. Otóż przekonaliśmy się w bolesnych doświadczeniach, że ani jednego zapewnić, ani drugiego dać nam nie może gra w loteryę wojenną i zagraniczne łaski, lecz ciężka, spokojna i wytrwała praca. Przerażający to wyrok dla narodu, który miał i pamięta długie wieki świetności; a jednakże on wyrokowi temu już dziś się zwolna poddaje. Niema w dziejach naszych chwili, która by wymagała od nas równego bohaterstwa i poświęcenia, nad to, które spełniamy obecnie. Spełniamy zaś je niewątpliwie od czasu, jak w uczuciach społeczeństwa osłabł prąd dawny zbrojnych spiszków a zaczął je ożywiać nowy — spokojnych prac. Jest to rzeczywiście proces zaledwie poczęty, niezupełnie świadomy, powrotami przeszłych ideałów przerywany; ale kogo jego powolność niecierpliwi lub gniewa, ten niech zmierzy czystem sumieniem wysokość ofiary. Zaiste nie mają takiego su-

mienia ci z wrogich nam pisarzy obcych, którzy batem, zwiniętym ze złych języków, jeszcze nas ku tej ofercie popędzają.

Nigdzie może owo odcięcie się naszego życia obecnego od tradycji pokuszeń zbrojnych nie uderza widoczniej jak w literaturze politycznej. Bierzemy do ręki jej katechizmy z przed lat kilkudziesięciu i szukamy w nich odpowiedzi na pytania współczesne: rady dla nas nieprzydatne. Nie uczą bowiem już teraźniejszych pokoleń ani masyaniczne prorocstwa, ani legendy o posłannictwie, ani przepowiednie o bliskich spełnienia zamiarach opatrności i sądnym dniu narodów, ani fantastyczne sposoby topienia ścigających lud wybrany wojsk faraonowych w rozwarłej przez Boga głębi morskiej. My żądamy wskazówek innych, bardziej realnych. W dawniejszych traktatach politycznych panowała jakaś wrzawa wojenna, brzmiały bębny i trąby bojowe, każde słowo było cięciem pałasza lub świstem kuli: w obecnych, o ile je posiadamy, widzimy tylko głęboko w ugory rodzime zaryty pług i słyszemy spokojne nawoływania spracowanych oraczów. Tam obrazy przedednia rozstrzygającej bitwy, tu zabiegi około siewów i zbiorów.

Gdyby dla społeczeństwa urzeczywistniły się już te warunki istnienia, o których marzy w daleką przyszłość biegnąca myśl ludzka; gdyby one już mogły złożyć ten rynsztunek wojenny, którym się wzajemnie dotąd przeciw sobie ubezpieczają; gdyby zdołały bez obawy o życie rozwijać swe siły materialne i duchowe oraz zadawałać swe potrzeby—z liberalnego stanowiska sama utrata własnych instytucyj p o l i t y c z n y c h nie wydawałaby się nam wcale niedolą. Szczęście bowiem ogółu, według nas, nie jest bezwzględnie zależnie od jego siły i samodzielności politycznej, lecz od możliwości uczestniczenia w cywilizacji powszechnej i posuwania własnej. Znamy wszyscy narody całkiem niepodległe, a jednakże półmartwe, w postępie cofnięte i bynajmniej niewiodące żywota pomyslnego. Jeżeli przed oczyma naszymi świeci jakiś wyczekiwany a dotąd niespełniony ideał społeczeństwa, nie jest on groźnym, zakutym w zbroję państwem, lecz systematem stosunków, pozwalających wszystkim jednostkom rozwijać się naturalnie, pracować spokojnie, ujawniać swe pragnienia wszechstronnie. Bo czegoż żąda z nas każdy, wzięty w odosobnieniu? Czy własnych żołnierzy, bitew, zwycięstw, zaborów, parlamentów, posłów, ministrów, — słowem aparatu politycznego? Nie, każdy marzy o tem tylko, ażeby mógł żyć szczęśliwie, z prawami swej osobistej i zbiorowej natury zgodnie. Ów więc aparat sam przez się olśnić zdolny jedynie umysły, za błyskotliwymi pozorami goniące, i do prawdy dawnoby społeczeństwa nie ubiegały się o niego, gdyby on im

w walce o byt jako tarcza nie służył. Jest to fatalną właściwością obecnego ustroju Europy, że on stosunki międzynarodowe oparł wyłącznie na potęgę fizycznej i dla ludów słabszych nie wytwarza często warunków bezpiecznego istnienia. Państwa przedstawiają obraz pędzących ku sobie po jednej linii pociągów, które maszyniści wstrzymują hamulcami, nie zapobiegają jednak spotkaniu się ich i rozbiciu. Czy dziwno, że siedzący w wagonach tęsknią do własnej kolei i czy zrzekliby się jej, gdyby nie potrzebowali odbywać niebezpiecznych podróży? Jeżeli więc społeczeństwa drobne, oprawy politycznej pozbawione, żałują lub pożądamy jej, jest to raczej wynikiem ich chęci ocalenia życia wewnętrznego, niż zyskania mocy zewnętrznej. Osłóśmy dostatecznie to życie, a rojenia polityczne z niego ustąpią.

Nam — jak rzekliśmy — rozwiła je konieczność. Los zamknął wszystkie nasze życzenia i nadzieje w pracy cywilizacyjnej. Czy w tym zakresie skazani jesteśmy na powolne wymarcie, czy też możemy utrzymać się i przynajmniej w pewnym stopniu rozwinąć przyrodzone siły? Wybieramy przypuszczenie ostatnie. Mimo całej przewagi czynników fizycznych, walka społeczeństw o byt nie jest tylko szeregiem starć orężnych, lecz także łańcuchem zapasów duchowych, do których zawsze należy ostateczne zwycięstwo. Widzimy rzeczywiście w Europie państewka samodzielne, cywilizacyjnie prawie nieważkie, które zrodził zbieg przyjaznych okoliczności: ale ten sam przypadek, ten sam kaprys lub fortel dyplomatyczny, który je stworzył, równie łatwo zniszczyć może. Nawet w rachunku politycznym liczą się tylko narody oświecone. Winniśmy zatem nie tylko krzepić się, kształcić rozum, wyrabiać dzielny charakter i pielęgnować czyste uczucie miłości dla kraju, ale także — na ile zawisłość naszej pracy zbiorowej od jej warunków pozwala — oddychać ciągle świeżem powietrzem postępu ogólnej myśli ludzkiej, odrodzoną przezeń krwią zasilać własny organizm i wyteńczyć całą jego energię twórczą. Dotychczas ufamy zwykle atmosferze zużytej, odżywczych pierwiastków pozbawionej — dla tego serce nasze drga zbyt wolno, a umysł porusza się zbyt ciężko. Trzeba przebić więcej okien do Europy i dozwolić jej prądom, ażeby przewiały naszą duszną chatę. Nie w niej tylko zdrowie a po za nią zaraza. Prawda, żeśmy w niej urodzili się, wychowali, doznali radości i smutku, szczęścia i rozpacz, złożyliśmy skarby cywilizacji rodzimej; prawda, że ona nam przez te pamiątki i dorobek droga, ależ nie dusimy się dobrowolnie, jeśli żyć chcemy. Jak ludy pierwotne odstraszały krzykami zaćmienie słońca, tak my nieraz odpędzamy nowe idee, które nam zakrywają blask tradycji, lub jak dzieci, dla rozjaśnienia

mroku naszej chaty, rozkładamy po kątach świecące próchno. Ze źródeł czystej, żadnymi przesadami niezmaconej wiedzy pijemy niechętnie i przenosimy nad nie swojskie bagienka pod stopami kapliczek. Owszem, nie gardzimy żadną, nawet najbardziej zamuloną krynicą swojską, ale każdą wyszlamujmy. Trud ten wśród gradu zarzutów podjęło właśnie stronnictwo postępowe, które już dziś dostrzega liczne owoce swych usiłowań. Zapewne, nie ono samo pracuje dla dobra ogółu, ale nie będzie to żadną w jego imieniu przechwałką, gdy powiemy, że ono wlało masę energii w społeczeństwo, przeszczepiło doń z Europy wiele idei nowych, zubożyło szerokie koła na niszczącą epidemię klerykalną i przyspieszyło ich umysłowe wyzwolenie. Jego też działalność jest w posiewie lat ostatnich ziarnem przyszłości.

Należy do niej również warstwa społeczna, na której ono oparło głównie nadzieje szczęścia ogółu — lud. To ciemna dotąd, nieświadoma masa coraz bardziej występuje w życiu naszym jako potężny czynnik rozwoju narodowego. Byłoby dziecinną przesadą twierdzenie, że postępowcy nasi są jej przedstawicielami, ale to pewna, że są obrońcami jej interesów. Związek ten nie jest wcale przymierzem sztucznym. Myśl swobodna musi być wszędzie demokratyczną, bo przywileje zastępuje równouprawnieniem, szlachectwo — zasługą a zbytek — pracą. Nadto społeczeństwo nasze, które historię swoją przeżyło jednostronnie — w uprzywilejowaniu jednej klasy — które z emancypacją innych spóźniło się znacznie, zawiera w swych stosunkach wiele anachronizmów a w pojęciach — wiele przesądów. Jego nastrój pozostał dotąd szlacheckim, wymagającym panowania dla jednych, a poddaństwa od drugich. Pomijając przedawnioną już słusność i ważność podobnego rozdziału, zauważyć winniśmy, że on zubożyłby siły istniejące i nie wytworzył nowych. Naprzód jesteśmy narodem małym, każdy więc ubieżwładniony lub nierozwinięty czynnik jest w walce o byt stratą dotkliwą; powtóre, gdybyśmy nawet te klasy, które zmonopolizowały dla siebie prawa obywatelskie w przeszłości, uwolnili od winy zgubienia kraju, to jeszcze wyznaczyć musimy, że one same w terażniejszości nie podolają zadaniu dźwignia narodu. Szlachta polska wypowiedziała już ostatecznie swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud. Mamy nadzieję, że gdy on wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświacie, wywrze głęboki i dodatni wpływ na przyszłość kraju. Z tej rudy stronnictwo postępowe u nas spodziewa się wytopić najwięcej szlachetnego kruszcu.

Jeżeli nas nie mogą już nęcić wawrzyny Chrobrych i Batorych, nie znaczy to wcale, ażebyśmy skazani byli tylko na obronę własnego gniazda

i powstrzymani zupełnie w ruchu po za jego granicami. Każdy naród, który nie zamiera, lecz żyje i postępuje, musi być zaborczym — jeśli nie oręźnie, to cywilizacyjnie. Dalecy jesteśmy od zamiaru apoteozy naszego losu, winniśmy jednak wskazać pomyślną stronę jego przeznaczeń. Mianowicie otworzył on przed nami szerokie pole podbojów przemysłowo-handlowych, którego dotąd nie opanowaliśmy dostatecznie i na którym odnieść możemy pewniejsze zwycięstwa, niż te, w których dotąd pokładaliśmy całą naszą ufność. Nie oczekujmy niczego od przewrotów politycznych, wojen, traktatów, przemiennych łask obcych, lecz zawierzmy tylko własnej żywotności. Zajmujmy wszystkie stanowiska opróżnione, wciskajmy się we wszystkie szczeliny, puszczajmy korzenie wszędzie, gdzie grunt podatny ku temu się znajdzie. Klęknąć przy grobie i płakać lub bronić, ażeby go nie rozkopła jakaś hyena — dobre to, jako wylew rozpaczy, ale nie jako objaw energii. Obstawmy ów grób kolebkami nowego życia, zakresłajmy ich promieniami coraz szersze koła wpływu, rozpościerajmy swoją cywilizację szeroko — oto program działań rozumnych i skutecznych, tem bardziej, że państwo, w którego skład weszliśmy, otwiera im w wielu kierunkach szerokie ujścia. Takie są, według nas, główne wskazania polityczne dzisiejszej doby, które mogliśmy tu ledwie zaznaczyć, pozostawiając ich dopełnienie domyślności uważnego czytelnika. Zawierają się one w następujących wnioskach:

Marzenia o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić dziś winny staraniom o samodzielność wewnętrzną. Samodzielność ta zaś może być tylko wynikiem wzmocnienia sił umysłowych i materialnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, skojarzonego z postępem ogólnym, oraz demokratyzyci społeczeństwa, powołującej do działania w niem pierwiastki nierozbudzone i niedojrzałe. Taka moc, takie ustawiczne natężanie energii, taki ruch postępowy jedynie może utrzymać żywotność narodu i zapewnić mu rozrost.

A. Świętochowski.

NOTATKA STATYSTYCZNA.

Przeglądając bibliografię polską bieżącego stulecia a nawet i dawniejszą. spostrzegamy, iż pisarze nasi w ogólności większą okazywali i okazują skłonność do zajmowania się najbliższymi sprawami, dotyczącymi kraju i narodu swojego, niż do traktowania kwestyj szerszej natury, nie wyłączając zagadnień abstrakcyjnych i ogólnonaukowych. W tym szerszym zakresie, obok kilku zaledwie genialnych umysłów, których dzieła do historii nauki należą, posiadamy tylko długi szereg kompilacji i przekładów, a współcześni pisarze wolą częstokroć w obcych językach publikować swoje samodzielne studia lub większe dzieła treści naukowej, niż w ojczystej mowie odzywać się do nieprzygotowanego i mało interesującego się głębszą nauką ogółu.

Nieco szczęśliwszy pod tym względem wyjątek stanowi ten dział literatury poważnej, którego przedmiotem rzeczy rodzime, przeszłości i teraźniejszości kraju naszego dotyczą. Dzieła takie, zwłaszcza historyczne, są i dosyć poczytne i przeto w spisach bibliograficznych niemało zajmują miejsca. Jestto fakt uderzający, który na całej umysłowości naszej wyciska swoje piętno i nadaje jej barwę pewnego egoizmu, pewnej wyłączności, niekoniecznie zgodnej ze społecznymi zadaniami naszego życia społecznego. Ta przewaga niekorzystnie nawet oddziaływa na kierunek naukowy, któremu oddajemy takie pierwszeństwo, i nie pozwala wyzyskać wszechstronnie naszego zamięłowania swojskości, niewątpliwie pochwały godnego; przez

zaniedbanie bowiem niektórych ogólnonaukowych studyów pozbawiamy się i w krajoznawstwie możności stosowania nowych umiejętnych metod badania i kręcimy się najczęściej w błędnym kółku amatorskich szperań i wniosków nawet tam, gdzie nagromadzony materiał mógłby nam już pozwolić na opracowanie ściśle umiejętnie. Przykładów nie cytujemy. Nic łatwiejszego jak sięgnąć po nie i zarówno w zakresie historii, jak fizyografii, statystyki, etnografii przytoczyć długą litanię wydawnictw, nawet wysoką opieką Akademii Umiejętności zaszczyconych, które dla braku metody naukowej skarbcia wiedzy nie pomnażają, nie rzucają tem bardziej nowego światła do przyćmionej bożnicy naszych uprzedzeń. lecz pod pozorem gromadzenia nowych faktów i nieznanych dokumentów zapychają względnie interesującymi szczegółami olbrzymi lamus cyfr, dat i nazwisk, w którym nikt nie potrafi nic znaleźć.

Doskonale pojmujemy ważność tego rodzaju prac i, co zresztą wypada już z naszej własnej pracy około *Słownika geograficznego*, umiemy być wdzięczni gorliwym monografistom, którzy w pewnym zakresie, z fotograficzną wiernością, przekazują nam bądź jakąś okolicę kraju, bądź lud, który ją zamieszkuje, bądź nieznaną dokumenta w archiwach historycznych odkryte, bądź nareszcie florę czy faunę danej, choćby najmniejszej miejscowości; ale przy całym uznaniu dla pracowitości i gorliwości osób trudzących się na tem polu, które sami uprawiamy, wolno nam wyrazić żal, że panuje tu po większej części nieprzebaczalne zaniedbanie wszelkiej metody naukowej, a zwłaszcza wolno nam ubolewać, że prawie nie mamy uczonych, którzyby tę przygotowawczą pracę naszą koło krajoznawstwa wyzyskiwali umiejętnie, zgodnie z dzisiejszym stanem różnych nauk; że między innymi nasza geografia fizyczna, nasza etnografia, statystyka i t. p. nie zdobyły się na porządne syntetyczne opracowania. Brakiem materiałów nie możemy się usprawiedliwiać; choć bowiem częściowo ziemie polskie są jeszcze bardzo słabo pod niektórymi względami poznane, częściowo jednak, np. w Prusiech, poznane są dobrze i wszechstronnie; jeżeli więc czem zawiniliśmy, że kraju swego nie znamy, to tylko chyba tem, że zaniedbujemy te nauki, któreby nam powiedziały, jak się to kraj poznaje i któreby nam pozwoliły umiejętnie korzystać z nagromadzonego i gromadzącego się materiału krajoznawczego.

W zakresie właściwego krajoznawstwa czyli geografii piśmiennictwo nasze jest bardzo ubogie w dzieła rzeczywistej naukowej wartości, gdy natomiast niemało wyłożyliśmy pracy i pieniędzy na wydawnictwo cennych

materyałów, takich jak *Starożytna Polska* Balińskiego i Lipińskiego, *Wołyn Steckiego*, *Poznańskie* (wyd. Bobrowicza) i t. p. lub pojedynczych monografij. Wszelkie usiłowania, mające na celu zobrazowanie całości, jak np. *Hydrografia* W. Pola, *Geografia* Tatomira grzeszą albo łatwowiernością względem jednostronnych źródeł, zwłaszcza map, albo bezkrytycznem przyjmowaniem za nieomylną prawdę tendencyjnych i nienaukowych teoryj. Stąd pochodzi, że po dziś dzień fizyczna karta tej części Europy, którą ziemie dawnej Polski zajmują, jest jeszcze do zrobienia. Postarano się w sztabach jeneralnych trzech wielkich mocarstw sąsiadujących tu z sobą o dokładne napozór topograficzne oznaczenia; ale mapy tą drogą powstałe są tylko napozór dokładne i bardzo dalekie od tej ścisłości, jaką się odznaczają takie mapy w innych krajach. Z wyjątkiem pewnych ważniejszych strategicznie punktów inne okolice przedstawiają często białe plamy, stosunkowo do rozmiarów całości niemniejsze od tych, które na mapie Afryki dotąd się spostrzega. To też pomimo znacznej liczby ochotników, którzy się ciągle pod sztandar krajoznawczy zapisują, opracowanie całokształtu naszej geografii jest bardzo trudnem i dlatego, że w badaniach pojedynczych niema planu i nieraz z uszczerbkiem rzeczy najważniejszych podnoszą się i uwydatniają drobności bez znaczenia. Nie umiemy dotąd nakreślić ściśle linii rozdziału wód między najważniejszymi porzeciami (np. Odry i Wisły w Królestwie), nie znamy dopływów najznaczniejszych rzek (np. Bugu z prawej strony na Wołyniu), kłócimy się w czasopismach specjalnych o położenie źródeł rzek pierwszorzędnych (Dniestr) a jednocześnie z gorliwością godną ważniejszych zadań sondujemy stawy tatrzańskie lub poraż dziesiąty z kolei herboryzujemy w jednych i tych samych jarach galicyjskiego Podola.

Nie lepiej się rzeczy mają ze statystyką a w szczególności ze statystyką ludności. I tu niektóre pojedyncze dzielnice dawnej Polski, bądź skutkiem oddziaływania ogólnych politycznych stosunków państw, do których należą, bądź z powodu prywatnych usiłowań ludzi dobrej woli, posiadają jakakolwiek świadomość przynajmniej ogólnej cyfry zaludnienia; w innych natomiast dzielnicach panuje system dowolnych przybliżonych oznaczeń. do rubryk ludności wpisuje się cyfry według „zdaje mi się“ tego lub owego urzędnika administracyjnego, a liczby tak wiarogodne przerabiają się ciągle od półwieku i dawniej na wygodnej zasadzie: „tu coś ująć, tam dodać,“ żeby tylko rezultat ogólny „prawdopodobnie“ wyglądał. Tak między innymi parafialni dusz pasterze podają do szematyzmów dyecezalnych liczbę swoich owieczek. Dlatego też chcąc porównywać ludność pojedynczych

miejsowości Królestwa, podaną w gminach, z ludnością w parafialnych liściach zapisaną, dochodzimy często do takich np. d ziwołagów, że we wsi X żyje dwa razy tylu katolików, ile ona w sobie dusz zawiera.

Wobec takiego stanu rzeczy niełatwą jest odpowiedź na pytanie, ilu nas jest? Wprawdzie idzie nam tylko o cyfrę ogólną, wyrzekamy się już z góry szczegółowych kategorii co do płci, wieku, wyznania, zatrudnienia — jednakże mimoto nie łudzimy się ani na chwilę, że ściśle dokładnej cyfry postawić nie zdołamy.

Statystyka ludności jest podstawą do badania życia społecznego, i bardzo naiwnym byłby ten, ktoby sądził, że do poznania tego życia wystarczy obserwacja. I najbystrzejszy spostrzegacz mylić się może; cyfry tylko, dokładne cyfry — to jedyny fundament nieomyślności. Dokładność ogólnej cyfry zaludnienia pewnego kraju, lub. jak w naszym przypadku, cyfry ludności danego narodu, który do różnych państw należy, jest zależną od ścisłości obliczeń pojedynczych, miejscowych, od porównawczego sprawdzenia stanu ludności w danej chwili ze statystyką ruchu ludności t. j. z cyfrą narodzin, śmierci, emigracji, imigracji i t. p. Jako najlepszy sposób oznaczania stanu ludności uznano powszechnie spisy jednodniowe, ale ponieważ te w Cesarstwie Rosyjskiem nie zostały dotąd ogólnie zaprowadzone, zapewne dlatego, iż dla praktycznych potrzeb zarządu krajowego statystyka wydaje się niekonieczną, przeto o dokładnej cyfrze ludności tego państwa całego (a tem mniej pewnych jej kategorii) mówić nie można. W Austrii i w Prusiech takie jednodniowe oznaczanie ludności odbywa się peryodycznie, jak również prowadzi się dokładniejsza statystyka ruchu ludności, wszelako niezgoda między cyframi podawanymi przez władze administracyjne i wyznaniowe jest i tam mocno rażąca.

Przytem w Niemczech więcej niż gdziekolwiek statystyka jest sługą polityki. Na wschodnich okrainach monarchii pruskiej służy ona do uwydatniania ciągłego, stopniowego rozrastania się żywiołu germańskiego kosztem „niższych“ ras słowiańskich, litewskich, łotewskich. W Austrii odnośnie do żywiołu polskiego uwydatnia się podobna tendencya tylko na Szlązku austriackim, ale zato na gruncie galicyjskim miesza się do statystyki sprawa rusińska, która i w innych okolicach Rusi a nawet Królestwa nie pozwala na ściśle rozgraniczenie narodowości polskiej od pokrewnej, ale odmiennej ruskiej. Za podstawę do tego wyodrębnienia narodowości polskiej biorą zwykle, zarówno tu jak w Prusiech, wyznanie; ale jestto zasada bardzo błędna i prowadzi do wielkich omyłek w statystyce (nie mówimy już

o zgubnych skutkach politycznych takiego identyfikowania sprawy narodowej ze sprawą religii); ślepo się jej trzymając, naród nasz musiałby się wyrzec przeszło miliona swych synów w religii ewangelickiej zrodzonych a rozrzuconych w Księstwie cieszyńskim, na Szlązku dolnym, na Pomorzu kaszubskim i na Mazurach pruskich; niemniej stracilibyśmy prawo do wielu spółziomków, mieszkających na wschód Wisły i wyznających religię prawosławną. Jedyną w statystyce decydującą o narodowości cechą jest język używany w życiu potocznym, domowym; lecz, niestety, cyfry statystyczne, które nas obchodzą, częściowo tylko notują ten szczegół. Mógłby ktoś wprawdzie zarzucić, że, przyjmując tę cechę jako stanowczą, wyłączamy z pomiędzy siebie liczną warstwę ludności żydowskiej, posługującej się w domu swoim mieszanem narzeczem a jednak sposobnej do zaasymilowania się językowego; lecz zarzut to daleko mniejszy od innych, które dadzą się postawić teorii wyznaniowo-narodowej lub jej podobnym teoryom. Naród, który wchodzi w skład kilku organizmów państwowych i którego terytoryum, zarówno dawne polityczne, jak etnograficzne, było i jest kolkacją kilku narodowości a otwartą gością dla wydziedziczonego z ziemi plemienia żydowskiego — naród nasz nie może być, nawet w najlepszych dla statystyki warunkach, dokładnie w cyfrze ogólnej przedstawiony.

Wszystkie te zastrzeżenia i trudności nie zwalniają nas wszakże od obowiązku podjęcia wszelkich możliwych usiłowań celem zbliżenia się pod tym względem do prawdy. Usiłowania te niekoniecznie mają być zależne od statystyki urzędowej. Nauka statystyki w badaniach swoich wybiega dziś daleko poza granice tego, co dla zarządu krajowego jest koniecznem i pożytecznem; chociaż więc z powodu nieudolnego przeprowadzania spisów ma do czynienia z cyframi tylko przybliżonemi. to i w tym zakresie otwiera się przed nią wdzięczne pole do bardzo pożytecznych wnioskowań przez porównywanie cyfr szczegółowych, dotyczących różnicy płci, podziału na pewne peryody wieku, na wiek przeciętny różnych dzielnic, na stan cywilny ludności, na jej oświatę i położenie socyalne, na większą lub mniejszą miejscowości i jej kierunki główne, na gęstsze lub mniej gęste zaludnienie pewnych okolic geograficznych i administracyjnych, zresztą porównywanie cyfr naturalnego przybytku i ubytku ludności przez narodziny i śmierć, oraz cyfr odnoszących się do statystyki moralności. Dopiero taka wyczerpująca statyka i dynamika społeczna daje bezpieczną podwalinę do wniosków socyologicznych i po jej zbudowaniu będziemy mogli odpowiedzieć nietylko na pytanie: ilu nas jest, lecz jeszcze na drugie, ważniej-

sze może: jacy jesteśmy. Tymczasem jako przykład do naśladowania wymienić tu możemy pożyteczną na polu statystyki ludności pracę pp. Witolda Załęskiego w Warszawie i Tadeusza Pilata we Lwowie. Przeprowadzony pod kierunkiem pierwszego z nich spis jednodniowy ludności miasta Warszawy powinienby swoim szczegółowym opracowaniem, które jednak opóźnia się nieco, posłużyć za wzór jak się statystykę ludności traktować powinno. Wzorów takich nie brak wprawdzie zagranicą, a zwłaszcza w klasycznej krainie statystyki, w Bawaryi; ale społeczeństwo nasze, wychowywane w warunkach niesprzyjających statystyce i nieodczuwające jej potrzeby, musi pierwej na własnym gruncie wypróbować ją i na własnej skórze przekonać się o jej pożytku. Dlatego też umiejętne, praktyczne i naukowe, wyzyskanie rezultatów jednodniowego spisu miasta Warszawy uważamy za bardzo ważny krok naprzód i spodziewamy się, że od tego spisu, choćby najpierw za pośrednictwem owego tysiąca osób, które w nim uczestniczyły, ruch na polu statystyki naszej ożywi się i prawidłowiej rozwinie.

Dokładne oznaczenie liczby jednostek naszej narodowości jest trudnem jeszcze i z tego powodu, że z niektórych dzielnic dawnej Polski nie mamy zgoła cyfr nowszych i musimy się posilkować dawnymi, nieraz ćwierć wieku w tył sięgającymi. Pochodzi to stąd, że albo spis ludności nie był później wcale dokonywany, albo też choć go robiono, to jednak bez wypełniania rubryki narodowości. Tak się dzieje, między innymi, od lat wielu, w urzędowej statystyce gubernij litewskich i ruskich, ogłaszanej w odpowiednich „Pamiętnych książkach“. Summa więc ogólna i o tyle musi być błędną, o ile powstanie z cyfr reprezentujących różnoczesną nie jednoczesną ludność pojedynczych krajów i prowincyj. Częściowo i w przybliżeniu postaramy się ją doprowadzić do prawdopodobnej normy z r. 1882.

Najwięcej ze znanych nam pisarzy polskich zajmował się statystyką ogólnej ludności polskiej p. Stefan Buszczyński, który przed kilku laty, mieszkając przez lat siedem w Dreźnie, wertował bibliotekę tamtejszą, sprawdzał najnowsze wydawnictwa statystyczne niemieckie i rosyjskie, a w rezultacie, jako ostateczny wynik mozolnych krytycznych porównań, ogłosił w ogólnej tablicy, że summa Polaków, czyli, jak pisze, Polaków-Lechitów (prócz Polano-Rusów i Polaków Rusinów) wynosi 15 milionów. Nie mamy zamiaru ani miejsca po temu, żeby przytaczać pojedyncze cyfry tego obliczenia i roztrząsać ich wiarygodność. Bardzo nieprawdopodobną cyfra ta nie jest. Znakomity statystyk niemiecki Kolb podał w dziele swoim ludność polską na 12 milionów. Prawda, że w następnej

edycyści polknał 3 miliony i bez żadnego usprawiedliwienia liczy nas już tylko 9 milionów. Brachelli wspomina o 9,700,000 t. j.

4,772,000 w Rosyi

2,463,000 w Austrii

2,432,000 w Prusiech.

Autor artykułu „Polska“ w dykcyonarzu Larousse'a liczy w jednym miejscu 30 a w drugim 24 miliony Polaków! P. Budiłowicz, którego bezkrytycznie cytuje Encyklopedia Ogólna, zgadza się na cyfrę 9,492,162, licząc:

4,633,378 w Rosyi

2,404,584 w Niemczech

2,444,200 w Austrii

10,000 w Turcyi (?).

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że liczba mieszkańców Polski podczas pierwszego rozbioru dochodziła do 15 milionów a od tej pory upłynęło już z górą sto lat i że na tym obszarze ludność niezawodnie się podwoiła, to cyfra p. Buszczyńskiego nie powinna nikogo razić swoją przesadą, tembardziej, że łatwo wykazać niedokładność owych 9-milionowych cyfr Brachellego, Kolba i Budiłowicza przy szczegółowej analizie danych statystycznych, czerpanych ze źródeł, które nie mogą być podejrzywane o sprzyjanie naszej narodowości.

Królestwo Polskie miało w 1873 r. 6,398.793 mieszk. a w tej cyfrze według pp. Obruczewa i Suworina 65% Polaków. Licząc, że od r. 1873 ludność ta wzrastała tylko o 1% rocznie, dojdziemy, iż w r. 1882 wynosi ona 6,998,260, (pozornie wierna cyfra, niby urzędowa, wskazuje nawet 7,219,077) w niej więc, według cytowanych statystyków, będzie 4,548,869 Polaków. Ponieważ zaś wiadomo, że z pozostałej liczby ludności żydowskiej, b. unickiej, pochodzenia litewskiego oraz wyznania ewangelickiego znaczny procent używa potocznie języka polskiego, przeto z pewnością liczba osób w Królestwie, których język polski jest językiem rodzimym, wynosi conajmniej 5,000,000.

Dodać trzeba na usprawiedliwienie tej cyfry, która jest bezwarunkowo za niską, że statystycy rossyjscy niezmiernie powiększają liczbę narodowości ruskiej w Królestwie. Pp. Obruczew i Suworin liczą ich 1863 r. 640 tysięcy, P. Siemienow 930 tysięcy razem z Wielkorusami — niewiadomo zaiste, skądby te cyfry otrzymali, skoro w r. 1863 b. dyecezya chełmska miała tylko dusz 223 tysięcy a statystyk Czubińskij obliczał wtedy ludność rusińską Królestwa na 280.780 (w tem 11,000 mówiących po polsku).

Co do Cesarstwa Rosyjskiego, to p. Siemienow według danych 1864—65 r. pisze, iż w dziewięciu tak zwanych zachodnio-ruskich guberniach było 849 tysięcy Polaków, w innych guberniach Rosyi Europejskiej 69,000; na Syberyi 10,000; na Kaukazie 3,000 — razem więc w Cesarstwie 931,000. Cyfra ta również wzrosnąć musiała a nawet już wtedy była za małą, skoro p. Budiłowicz w r. 1863 zgadza się wspaniałomyślnie na 1 milion Polaków w Cesarstwie. Mimo przesiedlenia się znacznej liczby mieszkańców tej narodowości do Królestwa po r. 1863 cyfra ta zapewne także wzrosła dotąd; w każdym zaś razie nie jest przynajmniej mniejszą. Tak więc w Cesarstwie liczba Polaków wynosi:

1,000,000.

Bądź co bądź licząc tylko 6 milionów Polaków pod rządem rossyjskim, jesteśmy już bardzo dalecy od przytoczonych powyżej liczb a tem dalsi od bezmyślnie podanej przez jedno dzieło polskie (*Podręczna Encyklopedia Fowszechna*) cyfry 4,410,000. Wszakże nawet szkolne podręczniki geograficzne rossyjskie, u nas obowiązujące (Lebiediew), podają liczbę Polaków w Państwie Rosyjskiem na 5 milionów. A podręczniki te ściśle wykluczają z tej rubryki wszystkich żydów, ewangelików i prawosławnych, chociażby ci mówili po polsku.

Galicja według ostatniego obliczenia w 1880 r. ma 5,958,907 mieszkańców. Pospolicie dla procentowych wyliczeń narodowości trzymają się tu podziału wyznaniowego, twierdząc, że każdy mieszkaniec obrządku grecko-katolickiego jest Rusinem. Kto tylko zna bliżej życie galicyjskie, ten musi się zgodzić, że to zasada błędna. Ale gdyby nawet tak było, Rusini wynosiliby zaledwie dwie piąte całej ludności. Licząc jeszcze więcej i zgadzając się z p. Załęskim, że tylko 45.9% Polaków w Galicyi liczyć można, otrzymamy cyfrę 2,735,138, którą dopełniwszy garstką Żydów i Rusinów mówiących po polsku otrzymamy, że w tej prowincyi ogół ludności naszego języka wynosi niemniej jak

3,000,000.

Jeżeli dla dopełnienia cyfry tej ludności pod rządem austryackim dodamy w Księstwie Cieszyńskiem (według Śliwki i Korzistki)

180,000

na Bukowinie 18,000

na Spizu i w pozostałych częściach monarchii

40,000

to otrzymamy w Austrii ogólną cyfrę 3,240,000 Polaków. Źródła powyżej cytowane mylnie obniżają liczbę Polaków na podstawie tendencyjnych autorów niemieckich, którzy nie tylko polskości Szląska zaprzeczają, ale chętnie powiększali narodowość „ruteńską“, w której przez pewien czas widzieli żywioł centralizmowi przychylny. Jeszcze niedawno wydana geografia monarchii austriacko-węgierskiej Umlaufa podaje liczbę Polaków w całej Austrii na 2,463,000.

Tendencja ta uwydatnia się najwyraźniej w Prusiech i słusznie p. Buszczyński na kongresie geograficznym weneckim upominał się o to, żeby rządy wykluczyły politykę z prac wymagających takiej obiektywności jak statystyka. My jednak, zarówno tu jak poprzednio, trzymamy się źródeł urzędowych.

W. Księstwo Poznańskie miało, według tychże, 843,000 Polaków w r. 1871. Licząc że do r. 1882 przybywało tylko po 1% rocznie, mamy dziś 950,000.

Na Szląsku Pruskim Adamy liczył 666,666 w r. 1870. Cyfra bezwarunkowo za niska, bo tenże Adamy podaje na Szląsku średnim 57,209, a przecież już w r. 1865 dr. Triest obliczał na samym Górnym Szląsku 665,865. Według szematyzmu z r. 1869 dyecezya wrocławska (pruska część) tegoż roku miała 810,870 dusz w parafiach, w których kościelny język był polski. W obec tego, licząc jeszcze 57,209 Polaków ewangelików na Szląsku średnim otrzymamy, że cały Szląsk pruski ma w r. 1882 najmniej

900,000

ludności polskiej.

Prusy Zachodnie i Wschodnie razem mają według źródeł niemieckich

800,000

Polaków, a do tej cyfry trzeba jeszcze dodać około

20,000

na Pomorzu i w Brandenburgii.

Z tego wypada, że w Państwie Pruskim liczba ludności polskiej wynosi 2,670,000.

Do otrzymanej w ten sposób ogólnej liczby Polaków

11,910,000

trzeba jeszcze dodać kilkaset tysięcy rozproszonych po Europie i za Oceanem, a tym sposobem wypadnie nasz budżet liczebny, według źródeł „urzędowych“ na 12 milionów z górą.

Komentarze byłyby tu zbyteczne. Piórem naszym nie kierowała prosta chępliwość, bo chęć się z liczby śmieszną jest rzeczą, lecz konieczność usunięcia błędów, które bez kontroli powtarzają się w najpopularniejszych i poczytnych wydawnictwach, jak np. Encyklopedye i Podręczniki szkolne. Pragnęlibyśmy także przez tę luźną notatkę zachęcić miłośników statystyki do poważniejszego zajęcia się kwestyą ludności polskiej w szczegółach.

Filip Sulimierski.

INDYWIDUALIZM W ŻYCIU SPOŁECZNYM.

I.

Dotykając któregośkolwiek z wielkich zagadnień społecznych, pragnąc wyrozumieć istotę rozwoju każdej ważniejszej społecznej instytucji, spotkać się zawsze musimy na dnie z pytaniem: jakie stanowisko względem ogółu zajmuje jednostka, jakich praw odeń domagać się może i jak daleko nacisk przez społeczeństwo na nią wywierany usprawiedliwić się daje. Czy to razem z socyalistami zastanawiać się będziemy nad prawem własności i organizacją pracy, czy zajmować nas zacznie rola państwa jako wszechstronnej opiekuńczej instytucji, czy znów zapagniemy poznać zasadę kary i wogóle odpowiedzialności jednostek wobec społeczeństwa, bez rozwiązania pytań powyższych obejść się nie będziemy mogli. Od tego rozwiązania zależeć musi nasz pogląd na każdą z tych kwestyj, stanowisko, jakie wobec niej zajmiemy.

Odpowiedź na powyższe pytania, jeżeli niema być tylko wyrażeniem indywidualnych marzeń i pragnień, musi się opierać na faktach z dziejów rozwoju ludzkości zaczerpniętych. Chodzi tu mianowicie o wykazanie, jakim był stosunek jednostki do społeczeństwa na różnych stopniach ludzkiej kultury, od czego zależą napotymane w nim różnice, a wreszcie, czy w rozwoju społeczeństw ludzkich można się dopatrzeć pewnej pod tym względem prawidłowości. Innemi słowy, idzie o odpowiedź na pytanie: czy w postępie cywilizacji widzieć się daje stała dążność do przewagi pierwiastku indywidualnego nad społecznym lub naodwrot?

Zdania co do tego są różne a nawet wprost sobie przeciwne. Jedni wskażą nam syna pustyni, nieznoszącego władzy i monotonnych reguł towarzyskiego życia, osłoniętego poetyczną mgłą Farysa, uciekającego w bezludną przestrzeń i żywiołom nawet urągającego i porównać go każą ze spokojnym, potulnym obywatelem porządnie uorganizowanego społeczeństwa, wtlaczającym się co chwila w urobione formy, obawiającym się wszelkiego niezwykłego zjawiska i uśmiechniętym na widok policyanta. Tam powiedzą nam, macie w całej pełni duch jednostkowy, poczucie niczem niekrępowanej swobody, tu — zwierzę społeczne, dobrowolnego niewolnika, w którym cywilizacja zabiła indywidualne popędy.

Drudzy otworzą przed nami księgę dziejów. Karta za kartą przebiegać będą stopnie rozwoju ludzkości, przedstawiać tłumy półdzikich, zginiętych karki przed tyranem tytuł bóstwa przybierającym i bez słowa, bez myśli nawet oporu pastwiących się nad temi z pomiędzy siebie, na których padł wzrok jego niechętny. Odczytają nam opowieści o niezliczonych zaślępkach, wznoszących na skinienie dumnego władcy, wśród ofiar tysiącznych, bezcelowe stosy kamienia lub o straszliwych męczarniach, w których, przy odgłosie urągających mas, ginęli ci, co odważyli się myśleć odmiennie od innych. Potem zaś dadzą do ręki dzisiejsze konstytucye i kodeksy, oprowadzą po parlamentach i meetingach oraz wskażą stosy dzieł, broszur i dzienników głoszących zdania różnych, przeciwnych sobie stronnictw. Z tego zestawienia domyśli się już każdy ich słów. Tam, wyrzekną, widzieliście stada owiec, biegnące na oślep na odgłos bata pasterza lub ujadanie jego psów, tu macie ludzi myślących i czujących samodzielnie, o swe osobiste prawa się dopominających. Tam, w czasach barbarzyństwa, jednostka ginęła wśród masy, nie poczuwała się do żadnych praw i tych jej nie przyznawano; tu pod wpływem postępu cywilizacji indywidualium stanęło obok społeczeństwa jako samoistna, nieznaną dawniej siłą.

Stanąwszy w obec tych dwu sprzecznych poglądów, musimy przede wszystkim zaznaczyć, że niepodobna zaprzeczyć prawdziwości faktów przez obie strony do porównania użytych. Przyczyny więc tak jaskrawej różnicy zdań gdzieindziej szukać należy. Mojem zdaniem wynika ona z odmiennego pojęcia samej kwestyi a w znacznej części ze zbyt powierzchownego sądu o zjawiskach społecznych, które, niejednokrotnie na pozór zupełnie podobne, różnią się przecież zasadniczo, jeżeli do ich istoty dotrzemy.

Zwolennicy pierwszego poglądu, t. j. twierdzący, że wyższa kultura tłumi indywidualizm jednostek na rzecz instynktów społecznych, stoją na stanowisku przeważnie psychologicznem, obserwują jednostkę samą w sobie, bez względu na życie społeczne. Prócz tego grzeszą tem, że do porównań swych biorą fakta wyjątkowe, wywołane szczególnymi warunkami a przytem w znacznej części upoetyzowane, które znacznie tracą na swej doniosłości, gdy się im przyjrzymy zbliska i na zimno. Ich zdanie, właściwie mówiąc, stwierdza to zjawisko, że u ludów na niższym stopniu kultury stojących instynkta antyspołeczne w bezporównania wyższym znajdują się stopniu aniżeli obecnie; że jednostki nie czują w sobie silnego dążenia do łączenia się z innymi w stałe związki. To jednakże bynajmniej nie przesądza o stosunku ich względem owych związków, jeżeli do nich w ten lub inny sposób zmuszone zostały.

Dowodzi to tylko niechęci do wspólnego pożycia, skłonności do czynów temu pożyciu szkodliwych, ale nie poczucia swego *ja*, swych praw względem innych i względem ogółu. Indywiduum takie chętnie wydziera się z pod karbów społecznych, ale zmuszone koniecznością do ulegania im. ulega biernie, bezmyślnie jako sile odeń wyższej, nie czując, że samo jest częstką składową tej siły, że na nią pewien wpływ wywrzeć może.

Z drugiej strony przewaga w pewnej grupie ludzi instynktów antyspołecznych nie jest jeszcze tem, co nazywamy indywidualizmem t. j. poczuciem swej odrębności od innych. Popędy antyspołeczne również mogą być właściwością ogólną całej grupy, jednakową u wszystkich składających ją osobników. Jeżeli jeden Beduin wrywa się do swobodnego życia na pustyni to i drugi i dziesiąty tą samą pałą żądzą. Wszyscy są odbiciem jednego typu, wszyscy mają w sobie jedną i tę samą siłę odśrodkową, która działa w nich nieświadomie i czyni podobnemi do siebie jak dwie krople wody. Siłę tę nazwać poczuciem indywidualności byłoby to samo, co twierdzić, że kapryśne dziecko więcej ma w sobie samodzielności od poważnego męża.

Rozbierając w powyższych ustępach pogląd, głoszący stopniowy upadek indywidualizmu w rozwoju społeczeństw, zwróciłem do tej pory uwagę na jedną tylko grupę faktów, której zwolennicy jego do swych porównań używają t. j. faktów zaczerpniętych z bytu ludów półdzikich, mieszkańców stref gorących, które z natury swej mniej do życia społecznego zmuszają, a zatem wspierają antyspołeczne instynkta. Lecz nie jest to jedyna sfera, do której zwracają się po dowody stronnicy w mowie będącej teoryi. Do-

starczą im ich także społeczeństwa klasyczne, greckie i rzymskie oraz wieki średnie. Wśród wolnych mieszkańców drobnych rzeczypospolitych Hellady i dumnych obywateli Romy, wśród średniowiecznego rycerstwa widzą oni przykłady wysoko rozwiniętego indywidualizmu, którychbyśmy napróżno w pośród nas szukali. Lecz i to twierdzenie jest tylko wynikiem jednostronnego i powierzchownego zapatrywania się na charakter owych epok. Nie należy zapominać, że ustrój tych społeczeństw opierał się na przywileju, na przewadze niewielkiej stosunkowo garstki wybranych nad tłumem pogardzanym i poniewieranym. Przywilej zaś klasy panującej polegał w znacznej części na samowoli, na wyłamywaniu się z wszelkich norm w stosunku do pospółstwa, a samowola w tym względzie uważaną była za pewnego rodzaju cechę charakterystyczną każdego dobrze urodzonego, wyróżniającą go od przykutego do stałych norm tłumu. Ta właśnie buńczuczność może na pierwszy rzut oka wydawać się objawem silnie rozwiniętego indywidualizmu. Złudzenie jednak zniknie, jeżeli wejrzymy w stosunki klasy panującej, wziętej w oderwaniu od klas upośledzonych. Tu już kończyła się sfera indywidualnej swobody i rzymski *civis*, zarówno jak rycerz średniowieczny stawał się niewolnikiem idei powszechnej, zmuszonym ślepo ulegać zwyczajowi, odwiecznym formułkom i woli ogółu. Starożytni w swych liberalnych na pozór formach państwowych rozumieli tylko jednomysłność. Odstąpienie od niej było zawsze zdradą bez względu na pobudki, a stronnictwa, ten charakterystyczny objaw obecnego życia politycznego, pojawiały się wśród nich dopiero w chwilach upadku. Według nas pierwiastek indywidualny oznacza poczucie i poszanowanie praw każdego pojedynczego człowieka, dla tego, że jest człowiekiem, istotą mającą pewne własne swoje pragnienia i dążenia. Czynów panowania i przewagi jednych nad drugimi nie możemy przeto nazwać objawem pierwiastku indywidualnego, tak jak nim nie nazwiemy władzy człowieka nad zwierzęciem. Doświadczenie nawet uczy, że jednostki i klasy społeczne, manifestujące jaskrawie swą samowolę względem słabszych, odznaczają się wysoką służalczością i pokorą względem wyższych od siebie. Nie szukając daleko przykładów, wskazać tu można choćby tylko typ dawnego polskiego szlachcica, pełnego fantazyi i animuszu, co jednak nie przeszkadzało mu bynajmniej trzymać się pańskiej klamki, dworować po przedpokojach magnackich, nadstawiać karku dla zachcianki byle błazna mającego czem płacić i z pokorą rozciągać się na kobiercu pod bizuny.

Drugi z dwu rozbieżnych poglądów, dopatrujący się stopniowego wzrostu indywidualizmu w rozwoju ludzkości, przenosi kwestyę na grunt czysto społeczny. jedynie właściwy, gdy chodzi o określenie stosunku jednostki do społeczeństwa. Przyjmuje on jako gotowy fakt istnienia społeczeństw, fakt, wywołany potrzebą i niemogący uleść zaprzeczeniu bez względu na to, czy jednostki ulegają chętnie i z własnego popędu życiu towarzyskiemu, czy też poddają mu się jedynie wskutek nieprzeparłej konieczności. Główna zaś kwestya leży w tem, czy ustrój społeczny, ulegając ciągłym, stopniowym zmianom dąży do coraz wszechstronniejszego pochłonięcia jednostek, czy też pozostawia im niezależną sferę działania.

Trzymając się tej drogi, rzućmy okiem w najogólniejszych rysach na przemiany w rozwoju form społecznego bytu.

II.

Powszechne dawniej mniemanie, jakoby rodzina była pierwszym co do czasu związkiem społecznym i pierwowzorem wszystkich innych ludzkich połączeń, wobec badań najnowszych ostać się nie może. Dziś możemy już stanowczo twierdzić, że najpierwotniejsza forma wspólnego pożycia ludzi nie różniła się od takiegoż pożycia zwierząt, że było nią stado albo horda, t. j. grupa bez żadnej wewnętrznej organizacyi, bez podziału władzy i pracy, złączona raczej mechanicznie niż duchowo. Jedynem prawdopodobnie wyróżnieniem wśród jej członków było stanowisko przewodnika, któremu zapewne tylko w pewnych wyjątkowych razach np. wspólnej obrony ulegał ogół. Wobec braku prawidłowych związków małżeńskich o rodzinie mowy być nie mogło; pojęcie ojcostwa nie istniało i co najwyżej macierzyństwo, do pewnego stopnia, rolę odgrywać mogło. Nie ulega zresztą wątpliwości, że stan taki tylko w czasie najniższego okresu ekonomicznego rozwoju mógł mieć miejsce t. j. w epoce, w której myślistwo jedyne stanowiło zajęcie.

Z przejściem do stanu pasterskiego pierwotny ten ustrój uleść musiał zmianie. W peryodzie wyłącznego zajmowania się polowaniem, praca wyjątkowo tylko mogła łączyć członków stada; nie istniał też węzeł, wpływający ze stosunku do bogactwa, bo każdy mógł w zasadzie bez udziału innych wyciągnąć korzyść z owocu swej pracy. Pasterstwo wytworzyło przedewszystkiem pewien stały kapitał, kapitał wspólny, który stanowił nowy, silny węzeł członków grupy. Kapitał ten dalej zmuszał do systema-

tycznej, a nawet po części uorganizowanej pracy. To też u ludów paster-
skich spotykamy już pewną wyraźniejszą organizację społeczną. Grupa
przestaje być li tylko mechanicznie zjednoczonym stadem, łączy ją już
bowiem niejaka solidarność interesów z warunkowaną koniecznością wspól-
nego wyzyskiwania środków do życia. O tej formie społecznego bytu, zwa-
nej rodem, z patriarchą na czele, historia daje nam już jakie takie dane.
W tej to grupie spotykamy po raz pierwszy ślady cywilizacji we
właściwym słowa tego znaczeniu t. j. pewne, przez wspólne pożycie wywo-
lane objawy społecznego życia. Ojciec rodu, patriarcha występuje już jako
stały zwierzchnik pozostałej rzeszy, jako jej wódz, kapłan, rozjemca i go-
spodarz. Taki typ przedstawia nam podanie biblijne w osobie Abrahama
i jego synowca Lota. Obaj oni nie mają nad sobą żadnej wyższej władzy,
lecz są jedynymi naczelnikami podległych im rzesz a z drugiej strony
wszyscy im podwładni wprost i bezpośrednio od nich zależą. Patriarcha
z nikim nie dzieli się władzą; ród jego stanowi jednolitą całość i żadnych
w jego łonie niema uorganizowanych niższych kół społecznych.

Życie osiadłe, będące koniecznym następstwem zwrócenia się do rol-
nictwa, jako głównego zajęcia, powołało do życia organizację społeczną,
której Rzymianie miano *f a m i l i i* nadali, a z której bezpośrednio w skut-
tek różnych przemian cywilizacyjnych wywiązała się *r o d z i n a* w dzi-
siejszym słowa tego znaczeniu. Powiadam — „z którego wywiązała się
dzisiejsza rodzina“, — myliłby się bowiem ten, ktoby rodzinę pierwotną
chciał według współczesnych nam pojęć oceniać. Poczucie pokrewieństwa,
wynikającego z fizycznego faktu prokreacji, ze związku krwi, nie było
zarówno cechą pierwotnej rodziny jak i rodu. Rodzinę pierwotną łączyły
inne, bardziej zewnętrzne węzły a mianowicie: wspólne zamieszkanie, wspól-
na władza ojcowska i wspólna religia. Obcy przybysz, którego przyjęto do
rodzinnego ogniska, stawał się tak dobrym członkiem rodziny jak i ten,
który wśród niej ujrzał światło dzienne. Wchodził pod władzę ojca rodziny,
nabywał praw do wspólnej własności i obrony, a bogowie rodzinni rozsta-
czali nad nim swe opiekuńcze skrzydła. Z drugiej strony wygnany z niej,
choćby syn ojca rodziny zostawał sierotą, obcym dla swoich, istotą bez
mienia, bez bogów, bez opieki. To też wypędzenie z rodziny u wszystkich
ludów dawniejszych za srogą uważane było karę.

Ten ustrój rodziny dochował się najwybitniej w zabytkach staroży-
tnego Rzymu, gdzie wyraz „familia“ oznaczał pierwotnie nie krewnych, ale
wszystko, co pozostawało pod władzą jednej osoby a zatem także i niewol-

ników, było i majątek martwy. Lecz i u innych ludów np. w Indjach. u Słowian, zabytki tego stanu rzeczy aż nadto są wyraźne. Ustrój rodziny pierwotnej i rodu był pod tym względem prawie identyczny. Różnica między nimi wynikała ze sposobu życia. Związek rodowy u ludów koczujących, nieograniczonych zbytecznie miejscem zamieszkania, mógł się licznie znacznie pomnażać i stanowić niejako oddzielne plemię, samoistne i do żadnego obszerniejszego związku nienależące. Natomiast osiadła rodzina z natury rzeczy szczuplejsze grono indywiduów obejmować mogła, a w skutek tego nigdy nie występuje w dziejach jako jedyny, sam w sobie zamknięty związek społeczny.

Opisane powyżej trzy pierwotne formy społecznego bytu przedstawiają pierwszą najniższą fazę pod względem stosunku jednostki do społeczeństwa. Stosunek ten na tem mianowicie polega, że jednostka żadnej nie odgrywa roli w organizacyi społecznej, która ją całkowicie i wszechstronnie pochłania. Jednolitość zajęć i niewielka stosunkowo ilość członków nie jest w stanie wytworzyć wśród nich żadnych wyróżnień; wszyscy są sobie równi i do siebie podobni. wszyscy ślepo ulegają woli naczelnika, jedynej osoby, mającej pewne prawa i wyróżniające się stanowisko. Słusznie też zauważył jeden z najznakomitszych dziś badaczy starodawnych zabytków prawnych (Maine), że pierwotne społeczeństwa wcale nie znały jednostek, że były one połączeniem rodzin a nie indywiduów.

Wytworzenie się państw stanowi w dziejach stosunku jednostki do społeczeństwa ważną erę. Na dnie przyczyn, która przejście od bytu patryarchalnego do życia państwowego wywołała, spoczywają względy ekonomiczne. Dopóki nieliczna ludność znajdowała dla siebie i dla stad swych z łatwością pożywienie i praca nie stała się jeszcze środkiem do życia. drobne grupy mogły istnieć spokojnie obok siebie. Z chwilą gdy dawne zasoby natury wystarczać przestały, zaczyna się walka rodów i plemion o lepsze miejsce, a z czasem i o zdobycz. To już zmuszało oddzielne rody do ściślejszego łączenia się przeciw napastnikom, a następnie do napaści na innych. Z drugiej strony potrzeba zastosowania pracy ludzkiej do wyzyskiwania natury, konieczność ułatwiania sobie tej pracy przez użycie narzędzi, podniosła znacznie potrzeby i wywołała coraz to szczegółowszy podział pracy a co zatem idzie—wymianę. Szczupłe koło rodzinne nie mogło już czynić zadość wymaganiom ekonomicznego bytu; rodziny wchodzić musiały z sobą w stosunki zamienne, co dało nowe pole do nieporozumień i zatargów. Do rozstrzygnięcia wynikłych ztąd sporów, ojcowie rodzin, jako

reprezentujący strony, kompetentnymi być nie mogli. Natura więc rzeczy domagała się władzy wspólnej, wyższej nad ojców pojedynczych familij.

Te przyczyny złożyły się na wytworzenie związku państwowego. Nie należy do rozbieranego tu przedmiotu rozstrzygnięcie pytania, czy trafiały się lub mogły trafiać przykłady pokojowego, polubownego łączenia się rodzin w państwa, czy też te ostatnie zawsze drogą walki i podboju się wytwarzały. Dość, że gdy powstały, stworzyły dla jednostek nową, niezależną od rodziny sferę działania i powołały je do pewnego samodzielnego życia, a obok tego dały początek wyróżnieniom w łonie samego społeczeństwa. Państwo z natury swej opierało się na sile, na panowaniu jednej grupy nad innemi i jeżeli historia nie zachowała nam u kolebki wszystkich państw śladu podboju, to przecież wszędzie wyczytać w niej możemy jego ślady t. j. podział na klasy, na uprzywilejowanych i poddanych. Jednolitość zatem, charakteryzująca pierwotne formy społecznego bytu, ustępuje w państwie miejsca podziałowi ludności na grupy, różniące się prawami i zajęciem.

Z drugiej strony państwo, jako związek obszerniejszy, wymagało już kunsztowniejszej organizacji władzy. Jeden naczelnik, któryby na wzór ojca rodziny łączył w sobie wszystkie funkcje zarządu, wystarczyć nie mógł, otacza się więc zastępem pomocników, ludźmi zaufania, którym różne sprawy porucza. Otwiera to pole do odznaczeń i wywyższenia się dzielniejszym jednostkom. Dla nich opuszcza niejeden ciasną sferę rodzinnego pożycia i z konieczności usuwa się z pod wszechwładnej powagi ojca rodziny, która zresztą i w obrębie domowego koła przez prawo ograniczaną zostaje. Podczas gdy w czasach bytu patryarchalnego, każdy wydalony z rodziny stawał się istotą bez praw i opieki, teraz ma zawsze nad sobą władzę państwową, która i po za rodziną osłania jego osobiste bezpieczeństwo. Wyjście zatem z rodziny przestaje być karą a w wielu razach staje się korzyścią. Powoli wytwarza się pojęcie własności indywidualnej, jako nagrody osobistej pracy i zasług. Majątek, zdobyty na wojnie lub wysłużony na urzędzie publicznym, to pierwszy w dziejach kultury ludzkiej przykład zupełnej, osobistej własności wyróżnianej, przez wszystkie niemal dawniejsze prawodawstwa od własności rodzinnej, do której nikt wyłącznego nie mógł nabyć prawa.

Tym sposobem byt państwowy wpłynął na wybicie się jednostki pod wielu względami. Człowiek przestał już być wszechstronnie pochłaniany przez jedną grupę społeczną, bo należał do kilku, z których każda częściowo tylko indywidualizm jego krępowała. Należał przedewszystkiem do pań-

stwa wraz z innymi współobywatelami. Ale prócz tego miał swą odrębną sferę rodzinną, do której państwowe przepisy i urzędnicy w małym tylko stopniu przedzierać się mogły. Miał dalej pewne ściśle określone stanowisko według swej kasty lub stanu, stanowisko odrębne od członków innych kast. Wreszcie jednostki dzielniejsze, energiczniejsze, spełniające funkcje publiczne, wyróżniały się i swem osobistym położeniem i zasługami.

Rzecz jasna, że znaczenie jednostki w związku państwowym nie zawsze i nie wszędzie było jedno i toż samo. Zmiany jednak, jakie z biegiem czasu w stosunku tym spostrzegamy, zawsze stałe na korzyść indywidualizmu wypadają. Pierwotnie państwo, które wybawiło jednostkę od absolutnego znielowania w związku rodzinnym, dąży samo do zupełnego nią owładnięcia. Najściślej udało się to przeprowadzić państwom wschodnim, opartym głównie na teokratyzmie. Wszystkie państwa wschodnie urzędowe były teokratyczne, czy to miała w nich przewagę kasta kapłanów, czy też zostawały pod despotyczną władzą monarchy, ten bowiem zawsze za bezpośredniego przedstawiciela bóstwa był uważany. Ta przewaga pierwiastku religijnego, nadludzkiego musiała oczywiście gnębić samodzielność jednostek. Rozporządzenia władzy, przybrane w szatę przykazań bóstwa, musiały mieć bezwzględną moc dla wszystkich i nie mogły znosić wyjątków i odstępstw, a były tem cięższe, że wdzierały się w najdrobniejsze szczegóły prywatnego życia.

Teokratyczny pierwiastek istniał niezawodnie u wszystkich, nawet europejskich państw pierwotnych. Warunki jednak miejscowe nie sprzyjały mu do tego stopnia, że w dziejach ludów naszej części świata, spotykamy głównie formalne tylko jego ślady, dochowane we wróżbach, zapytywaniu o radę bogów i t. p. zjawiskach, które podrzędną w działalności społecznej odgrywały rolę. Granice zatem, w których jednostka swobodnie rozwijać się i działać mogła, rozszerzają się znacznie. U ludów świata starożytnego, Greków i Rzymian, widzimy już formę rządu, w której jednostki, przynajmniej należące do klasy wybranej, znaczny przyjmowały udział. Wysłowienie się z pęt bezwzględnej religijności popchnęło dzielniejsze umysły do badań i wytworzyło nową sferę wyróżnień na polu wiedzy. Swoją drogą przeceniać rozwoju indywidualizmu wśród ludów klasycznych nie należy. Idea ogólna, idea państwa przeważała stanowczo w Grecji i Rzymie, choć nie zawsze i nie wszędzie w tym stopniu co w instytucjach Sparty lub ideałach Platona, dążono przeciw do możliwego ograniczenia indywidualnych dążeń na rzecz istniejącego ustroju społecznego. Pomi-

mo znacznego udziału w rządzie, stronnictwa występują jedynie w formie wojen domowych, które ostatecznie doprowadziły do absolutnej władzy cesarów.

Nowy ważny krok ku indywidualizmowi uczyniła ludzkość przez chrystyanizm. Jak państwo rozdzieliło jedyną pierwotnie władzę patryarchy między różne organy, tak chrystyanizm rozróżnił królestwo tego świata od królestwa bożego, państwo od kościoła. Starły się więc ponad tłumami jednostek dwie władze, a starły się wrogo, w walce o panowanie nad temi jednostkami a co najważniejsza — z ich pomocą. Średniowieczne walki władzy duchownej ze świecką stanowią niezaprzeczenie jedną z najskuteczniejszych lekcyj, jakich historia ludom udzieliła. A były to lekcye, które uczyły ściągać do ziemi wystrzelone w nadziemskie sfery pojęcia, nauki, które przyczyn i pobudek działalności społecznej i jej sił na ziemi wśród ludzi szukać kazały. Walki te bezwiednie przyzwyczały masy ludzką a więc własną miarą oceniać osłaniające się w tajemniczości powagi. Z drugiej strony walczące dwie władze podkopywały się wzajemnie i pragnąc na swą stronę przeciwną jak najwięcej stronników, czyniły dobrowolne ustępstwa. Uchylający się z pod praw państwowych chronił się pod skrzydła kościoła; oponujący przeciwko władzy kościelnej znajdował opiekę w państwie.

Ten stan rzeczy powołał do życia krytycyzm, formę badania nieznaną prawie w starożytności. Wielu jego apostołów zginęło w walce o prawdę, ale idea zdobywała sobie pozycye. Od krytyki urządzeń kościelnych, od Waldensów, Wiklefów i Lutrów, przeniósł się krytycyzm do sfery badań politycznych, gdzie w pismach filozofów XVIII wieku doszedł swego szczytu. Przewaga państwa i systemat wszechstronnej opieki w wieku XVII i XVIII nie były bynajmniej trwałym tryumfem idei państwowej, ale raczej dążeniem do utrzymania przemocą tego, co usuwało się coraz bardziej z pojęć, a sławne „l'etat c'est moi“ wyrzeczone przez monarchę, odbiło się wkrótce, jakby echem, w ustach ludu.

Wiek XVIII był wiekiem świadomego przebudzenia się indywidualizmu. Jeżeli do tej pory, począwszy od zaczątków bytu państwowego, jednostka nabierała wobec ołeczeństwa coraz większego znaczenia, działo się to bezwiednie, nieświadomie, samą siłą faktów i naturą rzeczy. W wieku XVIII poraz pierwszy wystąpiła świadomie teoria indywidualizmu, głosząca samodzielność jednostki i jej swobodę za główny warunek pomyślności powszechnej. Zasadę tę podnieśli naprzód fizyokraci, głównie

zas Adam Smith i jego szkoła. Wystąpienie fizyokratów nie nosiło na sobie jeszcze cech zupełnej świadomości co do znaczenia jednostki w społeczno-ekonomicznym życiu, i korzyści, jakie z ich teorii jednostka odniosła, były raczej przypadkowe niż wyrozumowane. Zato poglądy szkoły Adama Smitha wyraźnie przedstawiły ją jako środek ciężkości ekonomicznego bytu, a jej swobodę — za niezbędny warunek prawidłowego rozwoju społeczeństwa. Dziś, gdy pod wpływem tych przekonań runęły w znacznej części dawne ograniczenia, jakiem i średniowieczny ustrój swobodę jednostek hamował, gdy wolna konkurencja stanowczo zyskała sobie prawo bytu w stosunkach ludzkich, absolutne twierdzenia i postulaty szkoły Adama Smitha znalazły przeciwników. Pominąwszy jednak krańcowe teorie socjalistyczne, które chciałyby oddać znów jednostkę ze wszystkimi jej zdolnościami, myślami i pragnieniami pod absolutne kierownictwo państwa, reszta krytyków zupełnej swobody ekonomicznej i społecznej nie podkopyje bynajmniej w zasadzie założenia szkoły indywidualistycznej. Wszyscy uznają swobodę za podstawę stosunków społecznych, ograniczenie jej zaś przez państwo ma być tylko wyjątkiem, który usprawiedliwić się daje o tyle tylko i tak długo, o ile w danym razie okaże się niezbędnym.

III.

W poprzednich ustępach starałem się przedstawić w ogólnych zarysach rozwój historyczny ustroju społecznego, zaznaczając, o ile na stopniowych jego zmianach zyskiwała jednostka. Wykazał on nam warunki, które z biegiem czasu wpływały na zmianę stosunku osobnika do społeczeństwa. Obecnie należy przejść do szczegółów i rozejrzeć się, w jaki sposób warunki te wprowadzały z wolna pierwiastek indywidualny do różnych zakątków życia społecznego.

Stosunek człowieka do środków materialnych, służących do podtrzymania jego istnienia, jest stanowczo podstawą wszelkiej organizacji społecznej. Z tego powodu forma tego stosunku czyli forma własności należy do najistotniejszych instytucji społecznych. Pierwotny ustrój wszystkich bez wyjątku ludów znał tylko własność wspólną, własność pewnych grup jak: plemienia, rodziny, gminy. Opuszczający rodzinę, wydany z niej, tracił prawo do rodzinnego majątku, przyjęty do niej stawał się przez to samo współwłaścicielem narówni z innymi. Ta wspólność majątkowa istniała po przejściu do bytu państwowego wszędzie, choć czas jej

trwania był różny, stosownie do miejscowych ekonomicznych warunków. Obok niej jednak wcześniej już występuje w państwach własność pojedynczych jednostek. Już wyżej wspomniałem, że służba publiczna pierwsza stworzyła własność indywidualną. Tak było w Rzymie, gdzie początkowo żaden z członków rodziny nie mógł posiadać własności i wszystko, co nabył, stawało się własnością ojca rodziny. Dopiero z czasem majątek, zdobyty na wojnie (*peculium castrense*) a następnie i wysłużony na urzędzie (*peculium quasi-castrense*) przechodził pod wyłączne rozporządzenie tego, który go nabył. Tak było i w wiekach średnich. Wszędzie wyróżniano majątki rodowe, które należały do całej rodziny i bez udziału wszystkich jej członków zbywane być nie mogły, od wysłużonych, nabytych, stanowiących zupełną indywidualną własność.

Rozwój życia państwowego i ekonomicznego sprawił, że wspólna własność coraz bardziej przechodzić zaczęła w indywidualną. Wspólność dogodną była dla wszystkich jej uczestników o tyle tylko, o ile wiodli jednostajne życie, jedno mieli zatrudnienie i nie dążyli do szerszej działalności. Z chwilą, gdy dla jednostek otworzył się szereg różnorodnych zajęć, dających pole do zysków i odznaczeń zależnych od osobistych zalet, wspólność stała się ciężarem. Wszystkie też prawodawstwa zaczęły popierać rozdział majątków między członków rodziny, dążąc powoli do kategorycznego przepisu, że nikt nie może być zmuszony do pozostawania w niepodzielności. W skutek rozdziału każdy członek rodziny stawał się wyłącznym panem swej części i pozostawał nim nawet wtedy, gdy nową stworzył rodzinę, której był ojcem. Dzieci nie nabywały już, jak poprzednio, praw do majątku za życia ojca i dopiero po jego śmierci zyskiwały prawo do spadku po nim. Tylko w niektórych zakątkach, gdzie rozwój ogólnego życia najmniej wywarł wpływu, i gdzie zabytki przeszłości najsilniej się dochowały, wspólna własność utrzymała się do naszych czasów, wymierając powoli pod naciskiem niesprzyjających jej warunków. Tą drogą stosunek człowieka do rzeczy radykalnej uległ zmianie. Pierwotnie służyło mu jedynie użytkowanie z nich na własne bezpośrednie potrzeby; do rozporządzenia nimi, do zmiany ich natury a nawet formy prawa mu nie przyznawano. Do tego ogół jedynie był władny. Obecnie wola jednostki panuje nad przedmiotami zupełnie i ogół tylko w wyjątkowych razach moc jej ogranicza.

W podobny sposób żywioł indywidualizmu wdarł się i do stosunków osób pomiędzy sobą oraz ich położenia społecznego. W epokach dawniejszych stanowisko każdego człowieka zgóry określone było zwyczajem

osobnieniu, celem zaś—wyzyskanie przez każdą jednostkę korzyści, których by sama osiągnąć nie była w stanie. Nadto dawniejsze przymusowe związki pochłaniały każdego ze swych członków różnostronnie, dawały mu stanowisko społeczne i narzucały formy towarzyskiego życia. Współczesne nam stowarzyszenia dotyczą jedynie pewnej, nader szczupłej strony interesów swych członków, najczęściej jednej tylko z tysiącznych ich potrzeb. Każdy może należeć do mnóstwa różnorodnych stowarzyszeń, nie tracąc bynajmniej żadnej z cech swego indywidualizmu. Samo nawet istnienie dowolnych stowarzyszeń byłoby niemożliwe przy dawnych przymusowych formach połączeń, wymaga bowiem zupełnej niezależności jednostek i zupełnego prawa rozporządzania sobą.

Uwzględnienie przez nowsze prawodawstwa jednostki nietylko w dziedzinie ekonomicznej się ujawniło. Wszystkie bez wyjątku części prawa w tym samym rozwijają się kierunku. Gdziekolwiek z konieczności jednostka w bardziej samodzielnej wystąpić musiała roli, starano się dawniej ograniczyć ją najróżnorodniejszymi formułkami, tak, że ideałem było uczynić zeń prostą maszynę do spełniania bezmyślnie prawie przepisanych formalności. Prawodawstwa usiłowały przewidzieć wszystkie możliwe przypadki, jakie w stosunkach ludzkich wydarzyć się mogły, i na każdy stanowiły osobne normy, które sędzia ślepo winien był stosować. Przepisywały dalej z drobiazgową skrupulatnością dowody, które powinny były w każdym wypadku służyć za podstawę wyrokowania, nie wchodząc w to, czy będą one w danym razie odpowiadały istocie rzeczy t. j. czy wzbudzą w osobach powołanych do wymiaru sprawiedliwości przekonanie o winie lub niewinności. Nieufność do ludzi, do ich sądu i zdania, tak daleko posuwano, że wolano powierzyć ślepeму losowi, przypadkowi, rozstrzygnięcie trafić się mogących wątpliwości. Udoskonalenie w tym względzie prawodawstw, stopniowe powoływanie rozumu i sumiennosci ludzkiej do wielkiego dzieła wymiaru sprawiedliwości, pozostawienie jednostkom oceny czynów dochodzonych i ich pobudek—jest niczem innym, jak powolnem zwyczajem indywidualizmu w życiu społecznem, uznaniem jednostki za samodzielną i rozumną siłę, zdolną do służenia sprawie publicznej.

Z tego również źródła płynie cały szereg reform w tych wszystkich dziedzinach, gdzie interes jednostki stykał się lub wchodził w kolizję z interesem ogółu, jak: dopuszczenie ludu do udziału w zarządzie państwowym i władzy prawodawczej, prawna ochrona jednostek przeciwko samowoli

sposobność wszyscy oglądać na własne oczy, lecz kryje się on z każdym dniem w coraz ciemniejsze zakątki, bo rozwój wiedzy, sprowadzając za koleją przyczynę zjawisk społecznych na ziemię, powołuje ludzi do sądu o to, co ludzkim jest wytworem i daje każdemu prawo głosu w obchodzących go sprawach. Że tak jest w rzeczywistości, a przynajmniej, że w tym kierunku ludzkość podąża, łatwo się przekonać spojrzawszy na około siebie. Nie spotykamy już bezwzględnych uwielbień, któreby bałwochwalczo ogół rzucały pod stopy jednej powagi, jak z drugiej strony nie masz absolutnych potępień. Najwięksi działacze na polu czy to polityki, czy wiedzy liczyć się muszą z przeciwnikami, z którymi walczyć trzeba równą bronią, bo im milczenia nakazać nie można. Potępiony przez jednych szuka opory u innych i dawne widmo exkommunikacji towarzyskiej nie straszy już tych, którzy chcą zerwać z powszechnem zdaniem i nową drogę czynom swym wytknąć.

Rezultatem całego wyżej powołanego szeregu zmian w instytucjach i życiu społecznem jest reforma w pojęciach o znaczeniu jednostki i jej roli w działalności powszechnej. Przewroty ekonomiczne i wywołane przez nie skomplikowane formy budowy społecznej, postęp wiedzy, burzącej stare przesady i wykazującej potęgę rozumu ludzkiego, wyprowadziły jednostki z biernego wykonywania płynących z góry rozkazów, obudziły poczucie jej własnych sił i dały bodziec do wystąpienia z czynną inicjatywą. Dawna wiara we wszechpotęgę państwa, przyznawanie mu całego istniejącego porządku i pociąganie go do odpowiedzialności za wszystkie braki i kłeski, ustąpiły miejsca nawoływaniom do inicjatywy prywatnej, i do ścieśnienia granic opiekuńczych instytucji. Jako ilustrację poglądów, jakie pod tym względem panowały wśród ogółu za czasów starego porządku, przytaczają następującą zresztą pomyślaną opowieść. Obywatel jednego z miast włoskich, wyszedłszy pewnego poranku na ulicę, dowiedział się, że pومیerali wszyscy miejscy dygnitarze i reprezentanci władzy. Z przerażeniem wrócił do domu, zatarasował drzwi i okna, oczekując ze śmiertelną trwogą, rozruchów i grabieży. Po dwu dniach próżnej obawy, ośmielił się wyjść na miasto i ujrzał otwarte sklepy, pracujące warsztaty i spokojnie przechodzących współobywateli. Na ten widok ze zdumieniem zawołał: „Teraz już nic nie rozumiem, więc tedy świat idzie o własnej sile!“ — Naiwny ów obywatel, mający zresztą i dziś jeszcze niejednego współwyznawcę, jest istotnie doskonałym typem pojęć epoki, w której indywidualizm faktycznie tylko i bezwiednie działał w społeczeństwie, zasłonięty przed oczyma ogółu wielką, o niezrozumiałej konstrukcyi machiną. Dziś oczy ludzkie przedarły

się już do jej wnętrza, i w niem każdy, patrzeć umiejący, widzi siebie i swych współbraci czyniących cuda, które kiedyś na karb tajemniczego Lewiatana kładziono.

IV.

Że wykazany powyżej rozwój indywidualizmu w życiu społecznem nie jest zjawiskiem przypadkowym, ale stałym, niezmiennym prawem cywilizacyjnym, tego dowodzi nie tylko jego wszechstronność, obejmowanie sobą wszystkich stron życia, ale także i ścisły związek z całym przebiegiem dotychczasowej kultury i psychicznymi właściwościami natury ludzkiej. Powyżej już wskazane zostały te główne przełomy w dziejach ludzkości, które zmusiły stopniowo jednostki do samodzielnej pracy w interesach ogółu a z drugiej strony, stwarzając coraz nowe związki społeczne, podkopywały despotyczny charakter dawniejszych. Jeżeli pierwotne państwo było znakomitą postać w rozwoju indywidualizmu, w porównaniu z poprzedzającym je bytem patryarchalnym, to podobnie dzisiejszy ustrój państwa góruje ponad pierwotnymi jego formami. Prąd do zacieśnienia sfery, na którą rozszerza się działalność władzy politycznej, nie zanika w naszych czasach. Pomimo silnej reakcji w duchu przeciwnym, wywoływanej tu i owdzie przez gwałtowniejsze ruchy, nie podobna zaprzeczyć dążności, przez same państwa nawet sankcjonowanej, do wytwarzania się nowych, nieznanych dawniej kół, które wciągają w siebie różne sfery potrzeb ludzkich, kiedyś wyłącznie przez państwo regulowanych. Instytucje samorządu miejscowego, stowarzyszenia obywateli w celach wzajemnej pomocy, przyznanie praw narodowości tam, gdzie te z interesami państwowymi stanęły w kollisioni—są to wszystko symptomata coraz bardziej, pomimo różnorodnych przeszkód, ustalające się we współczesnym nam życiu społecznym. A na tem rozczłonkowywaniu się społeczeństw zyskuje jednostka. Kto jednego ma pana nad sobą, jest jego niewolnikiem; kto wielu służy, nie zaprzedał się żadnemu i sam sobą rządzi. Ta prawda, którą tak łatwo w życiu potocznym skonstatować, jest niemniej słuszną, gdy pod nią stosunek jednostki do społeczeństwa podciągniemy. Żadna grupa społeczna, choćby najpotężniejsza, choćby nawet pozornie do absolutnego panowania nad swymi członkami dążyła, nie dopnie tego celu, jeżeli obok siebie inne związki uznaje. Dzisiejsze zaś państwo związki te nie tylko uznaje, ale nadto

uznawać musi, bo nie są jego wytworem lecz zdobyczą, którą na niem walczyły ludy.

Prąd, popierający rozwój indywidualizmu w życiu społecznym, znajduje usprawiedliwienie i w samych jednostkach.

Nauka stanowczo już stwierdziła fakt, że cywilizacja potęguję osobnicze wyróżnienia. Dziki, powiada jeden z najznakomitszych obecnych psychologów, tak pod względem duchowym jak i fizycznym ma fizyognomię plemienną albo trzodową, fizyognomię hordy, do której należy. Wśród społeczeństw i klas ucywilizowanych, nawet fizyczne właściwości nabierają coraz więcej cech indywidualnych. Łatwo zauważyć wielkie podobieństwo do siebie dzieci, które niknie następnie pod wpływem fizycznego rozwoju. W bezporównaniu wyższym stopniu da się to powiedzieć o właściwościach duchowych. Niewielka gromada półdzikich nomadów, cała jednemu oddana zajęciu i jeden tylko zakątek ziemi znająca, cała wreszcie na jednym poziomie umysłowości stojąca, czyż może mieścić w swem gronie indywidua o różnych potrzebach, poglądach i dążeniach? Wszyscy jej członkowie widzą i robią jedno i toż samo, jednym ulegają przyjemnościom i przykrościom, więc też jedne mają myśli i pragnienia. U nich o jednomyślność nie trudno, u nich chyba tylko potwór, do ogółu niepodobny, może odmienne mieć przekonania.

Lecz gdy wytworzą się w społeczeństwie różne klasy i zawody z których każdy przywiązuje do siebie cząstkę ogólnej masy, gdy klasy te i zawody staną ze sobą w sprzeczności i swych członków do walki zagrzeją, gdy wiedza, rozszczepiając się na tysiączne promienie, każdego innym blaskiem oświeci, gdy wreszcie wzrok ludzki pada nietylko na swój drobny zakątek, ale obejmie sobą ziemię od bieguna do bieguna, nie można myśleć i marzyć o jednolitości, o jednej owczarni. Każdy urabia zdanie swoje wedle potrzeb, które na swem stanowisku odczuwa a które dla innych obce są i niezrozumiałe, według tego atomu wiedzy, który mu trafem dostał się w udziale. Nakazać mu, ażeby czuł i myślał jak inni, którzy innem żyją życiem, co innego umieją i czego innego pragną, będzie dlań ciężarem, przeciwko któremu wszystkie swe siły wyteńczyć musi. Czyż wobec tego może się ostać budowa społeczna, któraby z góry każdemu wyznaczała jego miejsce i zmuszała do potulnego ulegania normom przez innych wynalezionym i na innych wypróbowanym? Tylko ciemnota lub strach może cudów takich dokonać; ale światła nie zdola zgasić choćby najidealniejsza doktryna, a strach w ciemnościach tylko ma swoje królestwo.

Dawne formy społeczne, krępujące jednostki i usiłujące osnuć je jak najściślej siecią przepisów, miały zresztą swoją rację bytu. Podyktował je, choć nieświadomie, instynkt zachowawczy społeczeństwa, który kiedyś nie bezzasadnie widział w jednostkach żywość całości organizmu wrogie. Egoizm mało rozwiniętych jednostek nie jest w stanie godzić się polubownie z interesem innych indywiduali i z celami ogółu. Z tym egoizmem, za bezpośrednimi tylko goniącym korzyściami, walczył ogół swą twardą i przygniatającą organizacją i musiał w interesie samozachowania walczyć wytrwale i bez litości, bo wszelkie ustępstwo groziło ruiną społecznej budowy. Dla dobra całości poświęcano części składowe, bo bez tego niemożliwe było istnienie. Jednocześnie z rozwojem indywidualizmu i jako konieczny jego warunek, wyrabiał się ludzki egoizm. Jednostki, kształcąc się i wnikając w istotę zjawisk, uczyły się patrzeć w przyszłość. Organizacja społeczna przestała być dla nich dziełem sił wyższych, dla dobra nielicznych jednostek kosztem reszty uformowaniem; ujrzały w niej korzyść własną i zyski, które tylko poszanowaniem interesów ogólnych osiągnąć się dają. To dobrowolne solidaryzowanie się interesów jednostek z interesem ogółu jest również odwiecznym prawem cywilizacyjnym, które rządzi postępem życia społecznego. Ucisk indywiduali przestaje czasem być warunkiem pomysłowości ogólnej. Z konieczności przeto stał się niesprawiedliwością, przeciwko której powstał duch ludzki i emancypację jednostek wywalczył.

To właśnie dobrowolne poczuwanie się jednostek do solidarności z ogółem dało powód do zdania, na początku wzmiankowanego a upadek indywidualizmu głoszącego. O ile zdanie to jest błędne, przekonywają dosadnie dzieje ludzkości, o ile jest szkodliwe ocenić potrafi ten tylko, kto nie czując w sobie popędu do fantastycznych wybryków, ceni swą niezależność i obawia się ją utracić. Dla nas nauka z dziejów płynąca brzmi jasno i wyraźnie. Widząc w nich ciągłą dążność do wyzwalań jednostek z więzów społecznych i rozumiejąc warunki, które prąd ten podsycają, zawsze uważać będziemy każdą teorię, każdą reformę przeciwną, za wsteczną, za krzywdę wyrządzaną cywilizacji.

Tego przekonania nie zachwieją w nas nawet chwilowe tryumfy sił, do przygnięcia jednostek i ograniczenia ich udziału w życiu społecznym zmierzające. Historia bowiem uczy, że droga postępu nie biegnie po linii prostej. Każdy ważniejszy krok naprzód zawsze wywoływał cofnięcie się, reakcję, która długie nieraz lata tłumila połą swej sukni płomień, dopóki

ten w popiół jej nie zamienił. Przeżyte, z pola schodzące żywiły mogą na czas jakiś wstrzymać rozwój indywidualizmu w życiu społecznem, mogą go nawet przytłumić, lecz będzie to tylko przyspieszeniem własnego ich końca. Nowe zaś dążenia, pragnące kosztem swobody jednostek odrodzić społeczeństwo, spotkają zawsze tylu przeciwników, ile się znajdzie trzeźwych i niezależnych umysłów.

Karol Dunin.

R O J E N I A

socyalistów polskich wobec nauki ich mistrza.

O möchten wir uns selber sehen,
Wie wir vor andern Augen stehen.
Manch' Irrthum würden wir entgehen
Und mancher Thorheit.

Borus.

„Międzynarodowy ruch socyalistyczny prądem swoim ogarnął z kolei i ziemię, w skład dawnej Polski wchodzące. Dziś już niepodobna zaprzeczyć, że ruch (s i c!) ten u nas istnieje, że znalazł grunt odpowiedni (?) i coraz więcej zyskuje zwolenników. (?)“

Temi słowy otwierają swój program „socjaliści galicyjscy.“

Że kilkudziesięciu ludzi umysłowo niedojrzałych zerwało się różnemi czasy do szerzenia nieznanych jeszcze dobrze im samym idej socyalistycznych w ziemiach, do składu dawnej Polski należących; że następnie niektórzy z nich za granicą przetłumaczyli kilka agitacyjnych broszur, zrodzili kilkanaście „programów“ dla rozmaitych nieistniejących partyj robotniczych polskich i kilka do nich odezw; że wydali kilkanaście numerów pism w lichym, a często i bardzo „nieliterackim“ stylu, cieszących się jednym, dwoma lub trzema prenumeratorem; że inni, dzięki głębszemu zastanowieniu się nad znikomością wielkich idej i celów wśród „zgangrenowanego materializmem“ świata, wrócili doń i wzięli się do spokojnej pracy według sił dla pożytku własnego i swego społeczeństwa — temu rzeczywiście zaprzeczyć niepodobna, — to fakt!

Żeby jednakże kiedykolwiek aż po dziś w którejkolwiek z dzielnic polskich miał się przejawiać jakiś rzeczywisty, poważny r u c h, zasługujący

na tę nazwę, a więc zbiorowy, socjalistyczny; żeby dla ruchu takiego istniał dziś u nas, a zwłaszcza w Królestwie, grunt odpowiedni, żeby on miał sobie zjednywać coraz więcej zwolenników, — tego dowieść byłoby trudno, — to świadomy lub nieświadomy wymysł garstki propagandzistów, usprawiedliwiający się celami ich apostołstwa, ale niemający nic wspólnego z rzeczywistością.

Że zaś tak jest, postaramy się dowieść. Naprzód pytanie główne: czy istnieją dziś u nas warunki odpowiednie dla rozwoju socjalizmu? Później pomówimy o tem, jakie, sztucznie zaszczepiony, wydał rezultaty, oraz jakich i ilu pozyskał zwolenników.

Wszyscy bez wyjątku socjaliści polscy za naukowego mistrza swego uznają znakomitego krytyka ekonomii politycznej, Karola Marksa. Przekonajmy się więc, czy twierdzenie ich, że społeczeństwo nasze przedstawia już dziś ¹⁾ materiał odpowiedni do rozniecenia w niem pożaru rewolucyi społecznej, zgadza się z odnośnymi poglądami tego uczonego. W tym celu musimy przede wszystkim jak najdokładniej, chociaż w krótkości, poznać czytelników z głównymi wywodami Marksa. Chcąc przytem walczyć z przeciwnikami na jednakiem polu, nie będziemy się tutaj wcale wdawali, w ocenę tych wywodów (choć niektóre z nich, jak tego dowiedli, między innymi, Dühring, F. A. Lange i M. Block, nie wytrzymują ścisłej krytyki) lecz poprzestaniemy na prostem ich streszczeniu.

Osią, około której się obracają dzieje rozwoju ludzkości, są, podług Marksa, stosunki ekonomiczne.

Każdemu okresowi rozwoju odpowiada i co więcej — jego grunt, jego podstawę, jego cechę stanowi właściwy mu system produkcyjny.

Podstawą i cechą obecnego okresu życia narodów cywilizowanych jest kapitał, który w dawniejszych epokach nie istniał, lub przynajmniej istniał tylko wyjątkowo i działał w bardzo ograniczonym zakresie. Główną i ogólną podstawą produkcyi stał się on dopiero w końcu XV, lub właściwiej na początku XVI wieku. Pierwszą formą przejawu kapitału wogóle są pienią-

¹⁾ Mówimy tu tylko „już dziś“ z powodu, który zaraz poniżej przytoczymy, jakkolwiek wątpimy, żeby nawet wogóle kiedykolwiek taka gwałtowna, radykalna i powszechna rewolucya społeczna, jaką prorokują socjaliści, wybuchnąć, a tem bardziej powieść się mogła. Przyczyny tego wątpienia, budzącego się we wszystkich praktycznych umysłach, umiejących dokładnie badać warunki rzeczywistości, świetnie przedstawił znakomity autor przetłumaczonej na język polski *Historji materializmu*, F. A. Lange, w swojej *Arbeiterfrage*. Winterthur. 1875, wyd. trzecie str. 249 i nast.

dze; pierwszą zaś postacią, w jakiej one objawiły się jako kapitał na początku okresu kapitalistycznego, był kapitał kupiecki i lichwiarski.

Pieniądze, jak wiadomo, istniały i w dawniejszych dobach ekonomicznych, nie były jednakże kapitałem, lecz tylko prostym środkiem wymiany, gdyż zakupywano za nie towary jedynie w celu osobistego ich spożycia. Każdy wytwórca sprzedawał niepotrzebny mu nadmiar produktu własnej pracy dla kupienia za otrzymane pieniądze potrzebnych wytworów pracy innych ludzi, pieniądź więc tutaj był tylko pośrednikiem wymiany. W kapitał zaś zamienia się on dopiero wtenczas, gdy jego posiadacz zakupuje towary nie potrzebne jemu samemu, lecz innym ludziom, i nabywa je w celu sprzedania ich innym z z y s k i e m, czyli w celu otrzymania z tej operacji większej summy pieniędzy, niż w nią pierwiastkowo włożył. Ten zysk, ten przyrost wartości, otrzymywany ze sprzedaży towaru, zakupionego właśnie w celu tej sprzedaży, nazywa Marks w a r t o ś c i ą d o d a t k o w ą (*Mehrwert*, ¹⁾ surplusvalue).

Jak z tego czytelnicy widzą, pojęciu kapitału nadaje Marks zupełnie inne znaczenie, niż ogół ekonomistów, którzy za kapitał uważają każdy produkt, będący środkiem do dalszej produkcji.

Ponieważ jednakże w społeczeństwie kapitalistycznym wszyscy są zarazem kupcami i sprzedawcami towarów, więc niepodobna zrozumieć, jakim sposobem kapitaliści mogą ze swej pieniężnej operacji odnosić zysk, czyli otrzymywać na niej wartość dodatkową?

Przy wymianie towarów zamienia się zawsze wartości równe, bo nikt by się nie zgodził wziąć mniej, aniżeli daje. Wreszcie chociażbyśmy nawet przypuścili możliwość takiego faktu, to i on nam jeszcze zysku kapitalistów (powstania wartości dodatkowej) nie objaśni. Bo gdyby wszyscy towary swoje sprzedawali, przypuścimy, o 10% drożej, niż one są warte, to każdy, jako kupiec, traciłby to, coby, jako sprzedawca, zyskał. Gdyby wszyscy na-

¹⁾ *Mehrwert* socjaliści polscy tłumaczą przez n a d w a r t o ś ć. Termin ten ze względu na swą krótkość byłby dogodniejszy od użytego przez nas za przykładem rosyjskiego tłumacza *Kapitału*, gdyby można było spolszczyć w podobny sposób odpowiadające temu terminowi wyrażenia: *Mehrarbeit*, *Mehrprodukt* i t. p. Ponieważ jednakże wyrazy: *nadpraca*, *nadprodukt* są duchowi języka polskiego przeciwne, przeto, dla jednolitości nomenklatury, wolimy użyć dłuższego wyrażenia: *wartość dodatkowa*, *praca dodatkowa* i t. p. Zastrzedz tu również winniśmy naszą nieodpowiedzialność za ciężki i niezgrabny styl w przedstawieniu wywodów Marksa, który jest jego właściwością i który my dla ścisłości sprawozdawczej musieliśmy zachować.

bywali taniej od rzeczywistej wartości towaru. to zaszedłby odwrotny stosunek, ale i na tej drodze wartość dodatkowa (zysk) powstać by nie mogła. Gdyby ktoś wyjątkowo oszukiwał swoich klientów, to mógłby się sam bogacić kosztem ubożenia innych, ale bogacenia się ogółu kapitalistów tym sposobem sobie objaśnić nie zdołamy. Pomimo to jednak widzimy, że oni ciągle się bogacą. Gdzie więc szukać źródła zysku kapitalistów, (wartości dodatkowej), kiedy prosty obieg kapitału wyjaśnić nam go nie może?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy zbadać źródło wartości towarów.

Każdy towar jest przede wszystkim przedmiotem zewnętrznym, rzeczą, mającą własność czynienia zadość pewnym potrzebom ludzkim. Każda rzecz, posiadająca tę własność, staje się przez to wartością użytkową, lub, używając terminu ogólnie przyjętego — użytecznością.

Pożyteczność przedmiotów nie jest jeszcze źródłem ich wartości¹⁾, która im nadaje zdolność wymiany na inne, czyli czyni z nich towary; istnieją bowiem użyteczności, które wartości nie posiadają, lub, innymi słowy, wartościami nie są, jak np. powietrze, woda, chociaż przeciwnie nie ma wartości, któraby nie była użytecznością.

Źródłem wartości, lub — mówiąc ciężkim, metafizycznym stylem Marksa — wspólną wszystkim wartościom i stanowiącą właśnie przez to jedność wszystkich wartości, różniących się cielesnie między sobą jako użyteczności, substancją społeczną jest praca.

„Rozpatrywane jako wartości, towary są tylko skryształizowaną pracą. Za jednostkę miary samej pracy służy średnia prosta praca, której charakter zmienia się w różnych krajach i w różnych epokach cywilizacji, lecz w danym społeczeństwie jest określony. Praca złożona uważa się jako praca prosta, podniesiona do potęgi, lub dokładniej, pomnożona, tak że np. mniejsza ilość pracy złożonej równa się większej ilości pracy prostej.“

Sprowadzanie pracy złożonej do prostej, przy ich porównaniu, dokonuje się za pomocą „pewnego społecznego procesu“, który Marks przyrzeka wyjaśnić dopiero w drugim, niewydanym dotąd tomie swego dzieła. Że jednakże ta redukcja się odbywa, dowodzi doświadczenie.

¹⁾ Wartość Marks dla odróżnienia od użyteczności, którą nazwał wartością użytkową (*Gebrauchswert*), nazywa wartością wymienną (*Tauschwert*). Uprościwszy, zgodnie z ogólnym zwyczajem pierwszy z tych terminów, nie mamy potrzeby używać i drugiego.

Za miarę wartości towaru służy ilość zawartej w nim „wartościotwórczej substancji“, czyli pracy; ilość zaś samej pracy mierzy się ilością czasu jej trwania, czyli czasu roboczego, wydatkowanego na wytworzenie danego towaru. Nie należy jednakże z tego wnosić, żeby, im leniwszy lub niezręczniejszy jest robotnik, tem cenniejszy miał być jego towar, gdyż za wartościotwórczy uważa się jedynie społecznie konieczny czas roboczy.

„Tym sposobem tylko ilość społecznie koniecznej pracy, albo społecznie konieczny dla wytworzenia jakiejkolwiek użyteczności czas roboczy określa wielkość jej wartości (*Werthgrösse*)“. Lecz ilość czasu roboczego, potrzebnego na wytworzenie danego towaru, zmienia się wraz ze zmianą wytwórczej siły pracy, która z kolei zależy od wielu rozmaitych okoliczności, między innymi od średniego stopnia zdolności robotnika, stopnia rozwoju nauki i jej technicznego zastosowania, od społecznej kombinacji procesu produkcji i warunków naturalnych. Im większa jest wytwórcza siła pracy, tem mniej potrzeba czasu roboczego na wytworzenie pewnego towaru, tem mniejsza jest ilość skryształizowanej w nim pracy, tem mniejsza jego wartość.

Z porównania dwu ostatnich wyników otrzymujemy ostatecznie formułę, że wielkość wartości danego towaru jest wprost proporcjonalna do ilości i odwrotnie proporcjonalna do wytwórczej siły, zawartej w nim pracy.

Samej praca — jako istota wartości — wartości mieć nie może. Mówić o wartości pracy jest takim samym nonsensem, jak mówić o wartości wartości lub o ciężarze ciężkości.

A teraz wróćmy do pozostawionego wyżej bez odpowiedzi pytania: skąd powstaje wartość dodatkowa?

Nie może ona powstać, jak wykazaliśmy, z prostego obiegu pieniędzy, czyli z kupna i następnej sprzedaży towarów. Ponieważ jednakże rzeczywistość dowodzi, że ona przy tym obrocie powstaje, więc źródłem jej musi być jakaś zmiana, zachodząca w którymkolwiek z czynników, wchodzących do tej operacji, czyli w pieniądzech lub w towarze.

W pieniądzech żadna zmiana zajść nie może, gdyż one realizują tylko cenę towaru, która przy zrobionym przez nas przypuszczeniu, że zawsze wymieniają się tylko równoważniki na równoważniki, nie różni się zupełnie od jego wartości. Zmiana więc musi zachodzić w tym towarze, który kupujemy za pieniądze; nie może ona jednak zachodzić w jego wartości,

ponieważ towary wymieniają się w ilościach wartościowo równoważnych, „musi więc ona pochodzić z jego wartości użytkowej (użyteczności), jak o takiej, czyli ze spożycia towaru“. Lecz, ażeby stąd otrzymać wartość, potrzeba mieć możność znalezienia na rynku takiego towaru, którego spożycie byłoby ucieleśnieniem (*Vergegenständlichung*) pracy, a więc stworzeniem wartości (*Werthschöpfung*). W społeczeństwie kapitalistycznym towar taki na rynku się znajduje: jest nim zdolność pracy lub siła robocza.

Ażeby jednak siła robocza mogła wystąpić jako towar, potrzeba dwu przedewszystkiem warunków: 1) ażeby właściciel jej mógł nią swobodnie rozporządzać, czyli ażeby był swobodnym właścicielem swojej siły roboczej, swojej własnej osoby i 2) „ażeby zamiast sprzedawać towary, będące produktem jego pracy, był zmuszony sprzedawać samą siłę roboczą, która zawiera się tylko w jego żywym organizmie, a nie w jakichkolwiek przedmiotach materialnych, będących ucieleśnieniem jej użycia czyli pracy“. Innymi słowy: potrzeba, ażeby nie posiadał żadnych środków produkcji, koniecznych dla wprowadzenia w działanie swej siły roboczej i ucieleśnienia swej pracy.

Jak z tego widzimy, dopóki z jednej strony istniało poddaństwo a z drugiej każdy wytwórca był posiadaczem środków produkcji, przy pomocy których mógł wyrabiać potrzebne mu do życia użyteczności, (co właśnie działo się w czasach poprzedzających okres kapitalistycznego sposobu produkcji), dotąd na handlowym rynku nie mogła się pojawić siła robocza w charakterze towaru. Mogło to więc nastąpić i nastąpiło rzeczywiście dopiero z chwilą zniesienia poddaństwa i jednoczesnego wywłaszczenia mnóstwa włościan przez feodałów, co w zachodniej Europie nastąpiło w początku XVI wieku.

Wtedy to dopiero po raz pierwszy w dziejach na rynku handlowym poczęli się stale i w wielkiej liczbie ¹⁾ pojawiać ludzie, zmuszeni, dla uchronienia się od głodowej śmierci, sprzedać jedyną swą własność, jedyny towar, jaki posiadali — swą siłę roboczą. Co jednakże mogło skłonić posiadaczy pieniędzy do zakupu tego towaru? Oto ta specyficzna jego własność, że spożycie jego jest wytworzeniem nowej wartości. Właściciel

¹⁾ Praca najemnicza nie była zupełnie obca i feudalnemu systemowi produkcji, lecz stanowiła tam tylko zajęcie uboczne lub przejściowe, podczas gdy w okresie kapitalistycznym stała się regułą.

pieniędzy zakupuje siłę roboczą w celu otrzymania przez spożycie jej, czyli przez pracę jej właściciela, nowej wartości.

Teraz zachodzi pytanie: czem się określa wartość siły roboczej? Naturalnie tak samo jak i wartość każdego innego towaru — ilością czasu roboczego, potrzebnego dla jej produkcji, a więc i reprodukcji.

„Rozpatrywana jako wartość, sama siła robocza przedstawia tylko pewną ilość średniej społecznej pracy w niej ucieleśnionej. Siła ta istnieje tylko jako własność żywego robotnika, a więc jej produkcja przypuszcza jego istnienie. Skutkiem tego produkcja siły roboczej, polega na odtwarzaniu i zachowaniu osobnika“. Czas więc roboczy, potrzebny dla produkcji siły roboczej, sprowadza się poprostu do czasu roboczego, potrzebnego dla wytworzenia środków utrzymania; lub innemi słowy: „wartość siły roboczej równa się wartości środków utrzymania, koniecznych dla podtrzymania życia właściciela tej siły“. Środki te zmieniają się co do swej jakości i ilości w różnych czasach i miejscach, a odpowiednio i wartość ich, a więc i wartość siły roboczej bywa różna, „lecz dla pewnego danego kraju, w przeciągu pewnego okresu istnieje zawsze pewien określony średni rozmiar koniecznych środków utrzymania“.

Przypuśćmy teraz, że na niezbędne środki utrzymania przez dobę potrzebuje robotnik 6 złp. i że dla wytworzenia wartości równoważnej tej sumie musi pracować 6 godzin. W takim razie posiadacz pieniędzy, nabywszy od robotnika prawo korzystania z jego siły przez dzień jeden, winien mu zapłacić 6 zł. polskich i, ażeby otrzymał równoważnik wartości za wydaną sumę, musi się od niego domagać w zamian 6 godzin pracy.

Gdyby nabywca siły roboczej wytworzoną przez robotnika użyteczność spożył sam, gdyby go wynajął w celu, żeby mu ten wytworzył rzecz osobiście mu potrzebną, wtedy oczywiście, chociażby w zamian za wydaną sumę otrzymał tylko wartość jej równą, wymiana ta przyniosłaby mu pożytek. Nie tak się jednak dzieje, gdy nabywca siły roboczej najmuje robotnika nie w celu, żeby mu on produkował użyteczności dla niego samego, lecz dla innych, — ażeby mu produkował towary na sprzedaż. Wtedy już, gdyby poprzestał na 6 godzinach pracy robotnika w zamian za swoje 6 złp., nie odniósłby stąd żadnej korzyści, bo za wyprodukowaną przez robotnika wartość otrzymałby również tylko 6 złp. Ażeby więc z kupna siły roboczej nabywca jej mógł odnieść korzyść, musi domagać się od robotnika pracy dłuższej, niż przez 6 godzin. — A czy ma do tego prawo?... — Najzupełniejsze: zapłaciwszy robotnikowi sumę równą wartości niezbędnych

środków utrzymania na dzień cały, ma on zupełne prawo żądać od niego pracy również przez dzień cały. Że praca ta większą wytwarza wartość od wartości niezbędnych środków utrzymania, to do robotnika, który za swą siłę otrzymał już wartość równą jej wartości, bynajmniej nie należy; — to tylko szczęście..... k a p i t a l i s t y ! — Tak, już nareszcie kapitalisty, gdyż pieniądze z chwilą, gdy posiadacz ich zdoła tak o b r a c a ć niemi, że z obrotu tego otrzymuje wartość dodatkową, zamieniają się w k a p i t a ł, a posiadacz ich staje się skutkiem tego k a p i t a l i s t ą. Mówimy o b r a c a ć n i e o b r ó c i ć dlatego, że jednorazowy obrót taki nie czyni jeszcze z posiadacza pieniędzy kapitalisty. Staje się on kapitalistą dopiero wtedy, gdy wartość dodatkowa, wytwarzana przez najętych przez niego robotników, których on tylko dozoruje, stanowi stałe źródło jego dochodów.

Jak widzieliśmy, proces wytwarzania wartości dodatkowej, czyli zamiany pieniędzy na kapitał, polega, według Marksa, na zakupywaniu siły roboczej i przedłużaniu dnia pracy ponad niezbędną potrzebę, czyli po nad ten czas, jaki jest koniecznie potrzebny do wytworzenia przez robotnika wartości, równej pobranej przez niego zapłacie. Czas potrzebny do wytworzenia tej ostatniej wartości nazywa Marks niezbędnym czasem r o b o c z y m; jego przewyżkę, czyli czas użyty na wytworzenie wartości dodatkowej — d o d a t k o w y m c z a s e m r o b o c z y m (*Mehrarbeitszeit*); pracę zużytą w tym czasie pracą dodatkową (*Mehrarbeit*), a jej wytwór — p r o d u k t e m d o d a t k o w y m (*Mehrprodukt*).

Ażeby robotnik mógł ucieleśnić w jakiejś użyteczności swoją pracę i wytworzyć tym sposobem wartość nową, musi mu kapitalista dostarczyć nieodzownych do tego celu środków produkcji, czyli surowych materiałów i narzędzi pracy. Te środki w czasie procesu pracy tracą swą użyteczność, bądź w części, bądź w całości; wartość ich jednak nie ginie, lecz przenosi się podczas pracy na nowy produkt, tak że jego wartość równa się sumie wartości, zatraconych na jego wytworzenie, środków produkcji, więcej wartość nowo wytworzona przez robotnika.

Ponieważ wartość zatraconych środków produkcji w nowym wytworze nie zwiększa się, lecz tylko się zachowuje, czyli zostaje niezmienną, przeto tę część kapitału, używanego przez kapitalistę do produkcji, którą przedstawiają narzędzia pracy i surowe materiały, nazywa Marks k a p i t a ł e m s t a ł y m.

Przeciwnie, ponieważ wartość siły roboczej nietylko się z a c h o w u j e w wytworzonym przez nią produkcie, lecz w z r a s t a o wielkość

wartości dodatkowej, dlatego tę część kapitału, którą przedstawia pieniężna wartość wszystkich sił roboczych, używanych jednocześnie przez kapitalistę w procesie produkcji, nazywa Marks kapitałem z m i e n n y m.

Stosunek pracy dodatkowej do niezbędnej, lub, co na jedno wychodzi, stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, (który równa się wartości kupionej za niego siły roboczej) określa w z g l ę d n ą w i e l k o ś ć w a r t o ś c i d o d a t k o w e j, czyli jej n o r m ę, która wykazuje stopień eksploatacji siły roboczej przez kapitał, czyli robotnika przez kapitalistę.

Ponieważ wysokość zysku kapitalisty zależy wprost od normy, wartości dodatkowej, więc rzecz prosta, że stara się on ją możliwie powiększyć. Dochodzi on do tego celu dwiema drogami: albo przy danej wielkości wytwórczej siły pracy przez a b s o l u t n e p r e d ł u ż e n i e d n i a r o b o c z e g o, albo przy danej wielkości dnia roboczego — przez p o w i ę k s z e n i e w y t w ó r c z e j s i ł y p r a c y.

Przy danym stopniu wytwórczości pracy niezbędny czas roboczy, czyli ta jego ilość, jaką robotnik potrzebuje pracować, ażeby wytworzył wartość, równą wartości, pobranej przez niego, zapłaty, jest wielkością stałą. Przedłużając więc dzień roboczy, czyli ogólny czas trwania pracy robotnika w ciągu dnia jednego, kapitalista przedłuża tym sposobem dodatkowy czas roboczy, przez co powiększa wytwarzaną przez robotnika w ciągu dnia wartość dodatkową.

Naturalną granicą długości dnia roboczego jest naturalna długość dnia wogóle, czyli 24 godzin. Tej granicy jednakże nigdy dzień roboczy dosięgnąć nie może, gdyż robotnik musi koniecznie mieć pewną ilość wolnego czasu na odpoczynek, sen i załatwienie różnych niezbędnych potrzeb życiowych i towarzyskich.

Kapitalista chciałby naturalnie ograniczyć tę ilość wolnego czasu do *minimum*; robotnik, przeciwnie, pragnąłby ją możliwie powiększyć; stąd między pierwszym a drugim wywiązuje się walka, której wynik stanowi właśnie o długości normalnego dnia roboczego w danym czasie i kraju, lub prowincyi.

Ponieważ każdą walkę rozstrzyga siła, przeto długość normalnego dnia roboczego w danym czasie i miejscu tem jest większą, im większą jest przewaga kapitału nad siłą roboczą, czyli władza kapitalisty nad robotnikiem. Władza zaś ta tembardziej się potęguje, im bardziej wzrasta bogactwo kapitalisty i ubóstwo, lub lepiej — trudność zdobycia sobie ka-

wałka chleba przez robotnika, co, według Marksa, postępuje równolegle. Dlaczego? Dowiemy się wkrótce. Wreszcie dowodzą tego faktu.

W ciągu XVII i w większej części XVIII jeszcze wieku płaca robotnika przemysłowego w Anglii była na tyle wysoka, że za cztery dni pracy mógł on wyżyć cały tydzień. Bezimienny autor *Essay on Trade and Commerce*, dzieła wydanego w roku 1770, przedstawiając złe skutki tego faktu, a mianowicie, że „fabryczne pospólstwo“ po większej części cztery tylko dni w tygodniu pracuje, a przez pozostałe dwa dni oddaje się próżniactwu, gani surowo to „wykroczenie przeciwko boskiemu przykazaniu“, które nakazuje święcić tylko jeden dzień w tygodniu a radząc zmuszać robotników siłą do wykonywania tego boskiego przykazania, dodaje: „Kuracya dotąd się zupełnie nie powiedzie, dopóki nasi przemysłowi biedni (*industrious poor*) ¹⁾ nie zgodzą się pracować 6 dni w tygodniu za tę samą płacę, jaką otrzymują teraz za 4 dni“.

„Dla wykorzenia lenistwa, marnotrawstwa i romantycznych bredni o wolności, jakoteż dla zmniejszenia podatku na korzyść biednych, dla pobudzenia ducha przemysłu i dla zmniejszenia płacy w manufakturach“ radzi dalej autor, ażeby wszyscy biedni byli zamykani w „idealnym domu roboczym“, który „powinien się stać domem strachu *House of Terror*“, i którego mieszkańcy byłiby zmuszeni pracować przez całe dwanaście godzin dziennie.

Gdy w wieku XIX wielki przemysł się rozwinął, gdy w ręku szczupłej liczby uprzywilejowanych skoncentrowały się wielkie kapitały, eksploatacja robotnika do tego stopnia się posunęła, że w czwartym, piątym i szóstym dziesiątku lat naszego wieku wszystkie państwa zachodniej Europy po kolei widziały się zmuszonymi wystąpić w obronie dzieci i kobiet pracujących w fabrykach i ograniczyć dla nich prawnie dzień roboczy do... tych samych dwunastu godzin, które w roku 1770 były postrachem dla dorosłych robotników mężczyzn! To też jak świadczy cytowany przez Marksa dr. Aikin „do roku 1690 było (w Anglii) bardzo mało, a może nawet nie było wcale kapitałów od 3,000 do 4,000 funtów szterlingów, zdobytych za pomocą przemysłu“. Jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku przemysłowcy byli tak stosunkowo niebogaci, że gdy na początku tego wieku „pewien manchesterski fabrykant postawił na przyjęcie gości butelkę zagranicznego (?) wina, wy-

¹⁾ Temi słowy ogólnie dawniej w Anglii określano robotników przemysłowych.

wołał tem zdziwienie i rozmaite domysły swoich sąsiadów“, a dopiero w roku 1758 poraz pierwszy zobaczono „pewną osobę, należącą do świata przemysłowego we własnym powozie“.

Jak z tych faktów widzimy, w początkach rozwoju kapitalistycznego systemu produkcji kapitały wzrastały bardzo powoli. Powodem tego była bardzo niewielka ich przewaga nad siłą roboczą. Niebogaci jeszcze przemysłowcy tak samo nie mogli się obejść przez czas dłuższy bez robotnika, jak ten bez zarobku, a skutkiem tego w walce o przedłużenie dodatkowego czasu roboczego nie mogli odnieść stanowczego zwycięstwa. Uciekali się też z prośbą o protekcję w tym względzie do państwa i otrzymywali ją. Od początku XV, przez cały przeciąg XVI wieku, wszyscy królowie angielscy wydawali statuty, z jednej strony nakazujące bić i piętnować, a w razie recydywy, obcinać nadto pół ucha ludziom „włóczącym się bez zajęcia“, z drugiej — określające *maximum* płacy robotnika.

Winniśmy tu jeszcze dodać, że Anglia nie przedstawiała bynajmniej wyjątku w tym względzie. I wszystkie inne państwa zachodnio-europejskie wydawały podobne statuty w XVI i XVII wieku.

Ażeby zrozumieć, dlaczego z biegiem czasu stosunki tak się zmieniły, że to samo państwo, które w XVI wieku zmuszało robotnika do pracy i oznaczało *maximum* wynagrodzenia roboczego, w XIX ujrzało się zmuszonem do ograniczenia czasu zajęć, a wkrótce może będzie zmuszone do oznaczenia *minimum* płacy, musimy zastanowić się nad drugim sposobem powiększenia normy wartości dodatkowej, czyli przedłużenia dodatkowego czasu roboczego, a mianowicie nad sposobem przedłużenia go przy danej wielkości dnia przez powiększenie wytwórczej siły pracy.

Dzieje rozwoju przemysłu przedstawiają trzy główne sposoby, za pomocą których kapitaliści doszli do takiego niesłychanego dawniej spotęgowania wytwórczej siły pracy, jakie ona przedstawia dzisiaj. Trzema temi sposobami są: kooperacya, podział pracy i produkcya maszynowa, a kolejnemu ich zastosowaniu w dziejach rozwoju kapitalistycznego systemu produkcji odpowiadają trzy stopnie: rzemiosło, rękodzielnictwo i wielki przemysł.

Kooperacya jest pierwszą, podstawową i nieodłączną od kapitalistycznego systemu formą pracy. Polega ona na zgromadzeniu wielu robotników, pracujących razem w jednym i tym samym, lub w różnych procesach produkcji, podług pewnego ogólnego planu. Wzrost wytwórczości pod tą formą polega w tych gałęziach produkcji, w których praca odbywa się na

wielkiej przestrzeni, (np. przy budowie domów), na tym znanym fakcie, że siła masy jednostek, działających razem, wywołuje potężniejszy skutek, niż suma pojedynczych usiłowań każdej z osobna. W tych gałęziach produkcji, w których takie wspólne działanie, takie zlanie wielu sił w jedną ogólną zastosować się nie daje, „już samo towarzyskie zetknięcie się między robotnikami wywołuje pewną emulację, pewne szczególne pobudzenie ducha (*animal spirit*), które powiększa indywidualną zdolność do pracy każdego pojedynczego robotnika.... Pochodzi to stąd, że człowiek jest z natury swojej, jeżeli nie zwierzęciem politycznym — jak mówi Arystoteles — to w każdym razie — zwierzęciem towarzyskim“.

Kooperacya nie była obcą i dawniejszym dziejowym okresom ekonomicznym, lecz oparta była na innej podstawie, a mianowicie na pracy niewolników, lub pewnej liczby wolnych producentów w celu wspólnego użytkowania z produktu pracy. W kapitalistycznej swej formie, czyli oparta na pracy najemniczej, kooperacya pojawiła się jednocześnie z wystąpieniem kapitału, gdyż kapitalista, najmujący pewną mniej lub więcej znaczną liczbę robotników, gromadził ich razem dla ułatwienia sobie nadzoru nad nimi, oraz w pewnych razach dla zmniejszenia sobie wydatków na narzędzia pracy.

Prosta kooperacya wszakże, jakkolwiek powiększyła wydajność pracy w stosunku do jednostkowej i stała się tym sposobem zyskownym przywilejem kapitału, nie była jeszcze tak potężnym środkiem powiększenia zależności robotnika od kapitalisty, jakim się stał dalszy stopień jej rozwoju: p o d z i a ł p r a c y.

Marks odróżnia dwa główne rodzaje tego podziału: społeczny i rękodzielniczy. Pierwszy polega na rozdzieleniu różnych gałęzi, rodzajów i gatunków produkcji między różnych specjalnych producentów; drugi — na rozdzieleniu częściowych czynności, właściwych pewnemu danemu gatunkowi produkcji lub dokładniej: właściwych produkcji pewnego danego towaru między różnych specjalnych robotników, których nazywa c z ę ś c i o w y m i (*Theilarbeiter*). Charakterystyczną cechą, różniącą te dwa rodzaje podziału pracy, jest to, że każdy ze specjalnych producentów, na jakich się dzieli społeczeństwo na zasadzie pierwszego, wytwarza t o w a r, g o t o w y do właściwego użycia, podczas gdy częściowy robotnik, którego stwarza rękodzielniczy podział pracy, n i e w y t w a r z a ż a d n e g o t o w a r u, tylko pewne oznaczone jego części, tak że dopiero wspólny produkt wszystkich częściowych robotników za-

mienia się na towar. „Podział pracy wewnątrz społeczeństwa warunkuje się sprzedażą i kupnem produktów różnych jej gałęzi; związek zaś pomiędzy pojedynczymi operacjami w rękodzielnictwie warunkuje się sprzedażą różnych sił roboczych jednemu i temu samemu kapitaliście, używającemu ich jako jednej zbiorowej (kollektywnej) siły roboczej. Podział rękodzielniczy przypuszcza koncentracją środków produkcji w rękach jednego kapitalisty; społeczny przypuszcza rozdział środków produkcji między wielu niezależnych wzajemnie od siebie producentów towarów“.

Spółeczny podział pracy jest wspólny wszystkim ekonomicznym okresom dziejów narodów cywilizowanych. Podział rękodzielniczy jest właściwy wyłącznie tylko systemowi kapitalistycznemu. Zajmiemy się więc nim tutaj bliżej.

Jak podział pracy wogóle, tak też i rękodzielniczy w szczególności opiera się na tym fakcie, że gdy ktoś stale zajmuje się jedną i tą samą czynnością, nabywa w niej daleko większej wprawy, a skutkiem tego odrabia ją daleko lepiej, dokładniej i szybciej, niż ci, co się nią zajmują tylko dorywczo, lub którzy ją przegradzają innymi czynnościami, trwającymi przez czas mniej lub więcej długi.

Podział rękodzielniczy pracy ma jeszcze tę, jemu tylko specjalnie służącą, własność powiększania wytwórczości, że robotnik częściowy zoszczędza tę stratę czasu, którą producent towarów gotowych ponosić musi na zmianę narzędzi pracy, często bardzo licznych przy większej złożoności produktów. Stosować go mogą w swych warsztatach ci tylko przemysłowcy, którzy wyrabiają towar w tak wielkich ilościach, że produkowanie każdej jednej tylko jego części składowej lub dokonywanie nad nim pewnej tylko oznaczonej czynności (jak np. wybijanie uszek w igłach, zaostrenie ich końców i t. p.) może dać stałe zajęcie jednemu przynajmniej robotnikowi, a więc ci tylko, którzy w swój przemysł mogą włożyć dość znaczny kapitał, potrzebny zarówno na zakupienie wielkiej ilości środków produkcji, jak i siły roboczej. Ponieważ zaś, im większą ilość danego towaru przemysłowiec wytwarza, na tem większą liczbę częściowych operacyj, dokonywanych przez osobnych robotników, może rozdzielić jego produkcją, czyli tem więcej może rozwinąć rękodzielniczy podział pracy i tem bardziej powiększyć przez to wytwórczą jej siłę, ponieważ przytem pomnażając tę siłę powiększa on zarazem dostarczaną mu przez nich wartość dodatkową, więc, jak z tego widzimy, podział pracy jest już

potężnym środkiem. sprzyjającym wzrostowi kapitału, a zatem i jego przewadze nad siłą roboczą. Potężniej jeszcze popiera wzrost tej przewagi produkcyjna maszynowa.

Nie mamy tutaj miejsca na zastanawianie się nad przyczynami i warunkami możliwości zastosowania maszyn do przemysłu; powiemy tylko ogólnie, że zastosowanie to umożliwione zostało głównie przez udoskonalenie narzędzi pracy, które wywołał i dokonał wielki rozwój jej podziału, a następnie przez wielki wzrost kapitałów przemysłowych. Jak wiadomo, jeden robotnik z pomocą maszyny może wytworzyć w ciągu danego czasu tyle produktów, ile przy najdoskonalszym nawet podziale pracy zdoła za ledwie wytworzyć 10-ciu, 100-u a nawet, w niektórych gałęziach produkcji, znacznie większą liczbą robotników w tym samym czasie. Maszyny więc są najpotężniejszym ze wszystkich środków powiększenia wytwórczej siły pracy.

Powiedzieliśmy wyżej, że przy danej wielkości dnia roboczego, norma wartości dodatkowej, czyli stosunek dodatkowego do niezbędnego czasu roboczego, zwiększa się w miarę wzrostu owej siły wytwórczej. Rozbierzmy teraz tę kwestyą bliżej.

Przypuśćmy, że w pewnej gałęzi produkcji, skutkiem np. jakiegoś nowego wynalazku, siła ta zwiększyła się dwa razy, tak, że w danej ilości społecznie niezbędnego czasu roboczego produkuje się obecnie danego towaru dwa razy więcej, niż poprzednio. W takim razie wartość tego towaru, która jak wiemy, mierzy się właśnie ilością, wydatkowanego na jego produkcję, społecznie niezbędnego czasu roboczego, zmniejszy się dwa razy. Jaką więc korzyść odniesie z tego kapitalista, że robotnik będzie mu dostarczał dwa razy większą ilość produktu, kiedy przy sprzedaży nie dostanie on za nią większej sumy pieniędzy, aniżeli dostawał poprzednio za dwa razy mniejszą ilość? Otóż korzyść w takim wypadku może odnieść kapitalista tylko wtedy, kiedy dany towar należy do liczby spożywanych przez robotnika, gdyż w takim razie skutkiem zmniejszenia się wartości owego towaru, zmniejszy się odpowiednio wartość niezbędnych środków utrzymania, a więc i wartość siły roboczej. Kapitalista może w takim razie zmniejszyć płacę robotnika i tym sposobem, nie powiększając długości dnia roboczego, otrzymać większą wartość dodatkową.

Doświadczenie jednakże uczy, że przemysłowcy starają się zniżyć cenę nie tylko tych towarów, które wchodzą w zakres spożycia robotników,

lecz wszystkich wogóle. Muszą więc w tem mieć jakiś interes? Rzeczywiście mają!

Gdyby wraz z powiększeniem przez jednego z przemysłowców wytwórczej siły pracy jego robotników lub maszyn, mogli jednocześnie i bezzwłocznie i w s z y s c y i n n i kapitaliści, produkujący ten sam towar powiększyć odpowiednio wytwórczą siłę pracy swych robotników lub maszyn, w takim razie żaden z kapitalistów korzyści na tem by nie odniósł. Ponieważ jednakże rzeczy się mają inaczej, a wartość towarów określa się ilością czasu roboczego społecznie niezbędnego, a więc wydatkowanego przez więk szość producentów, przeto kapitaliści, którzy naprzód zastosowują u siebie jakiś nowy sposób powiększenia wytwórczej siły pracy, ponosząc mniejsze koszty produkcji, niż ogół, a sprzedając swoje towary równie drogo lub mało co taniej, odnoszą na tem zysk dotąd, dopóki i inni nie zdołają również zmniejszyć odpowiednio swych kosztów produkcji. Ten to powód skłania kapitalistów do starania się wszelkimi możliwymi sposobami o zwiększenie wytwórczej siły pracy.

W wielkim przemyśle istnieje jeszcze drugi ważny ku temu powód.

Powiększenie wytwórczej siły pracy w wielkim przemyśle polega na zastąpieniu pracy robotników pracą maszyn. Jak już wyżej powiedzieliśmy, jedna maszyna, obsługiwana przez kilku, albo kilkunastu robotników, może zastąpić pracę kilkudziesięciu, a nawet kilkuset. Każda więc nowo wynaleziona lub ulepszona, pozbawia zajęcia pewną mniej lub więcej znaczną liczbę rąk. Pewna część tej liczby znajduje wprawdzie zajęcie przy produkcji maszyn, lecz nigdy cała liczba, bo gdyby wyprodukowanie jakiejś maszyny kosztowało tyle pracy, ile jej ona zastąpić może w innej gałęzi produkcji, w takim razie zastosowanie jej do przemysłu nie przedstawiało by żadnej korzyści. Tak więc ostatecznie każda nowo wynaleziona lub nowo ulepszona maszyna pozbawia zajęcia pewną liczbę robotników i wytwarza nadmiar siły roboczej na rynku. Nadmiar ten, nazwany przez Engelsa rezerwową armią przemysłu, z biegiem czasu nie tylko staje się zjawiskiem stałym, lecz ciągle się zwiększa. Tym sposobem zaofiarowanie siły roboczej ciągle wzrasta, zapotrzebowanie zaś jej zmniejsza się.

Stosunek ów pogorsza jeszcze ta okoliczność, że przy pracy maszynowej od robotnika nie tyle wymaga się siły, ile zręczności. Okoliczność ta wywołuje zastosowanie do przemysłu pracy kobiet i dzieci, które wytwarzają konkurencyą swym własnym ojcom, mężom i dorosłym braciom. W skutek tego cena siły roboczej spada; potęga kapitału i władza jego nad

robotnikiem wymaga się. Robotnik zmuszony jest zgodzić się na wszelkie warunki, jakie mu postawi kapitalista: zmuszony pracować dłużej za mniejszą zapłatę. Niesłuchanie szybkiemu i wielkiemu wzrostowi bogactwa kapitalistów odpowiada z drugiej strony niesłuchanie szybki i wielki wzrost nędzy proletaryatu. Ten kontrast, ta sprzeczność, to wyzyskiwanie bez granic siły roboczej przez kapitał, jest nieprzelamanym prawem, rządzącym kapitalistycznym systemem produkcji. Źródłem tej sprzeczności jest sprzeczność, na której się opiera kapitalistyczny system produkcji, między sposobem produkcji, a sposobem zawłaszczania. Kapitalistyczny sposób produkcji jest lawskros społecznym, ponieważ naprzód polega on na wytwarzaniu nie użyteczności osobistych, dla spożycia osobistego przez producenta, lecz towarów, czyli użyteczności społecznych, przeznaczonych dla spożycia społecznego, a następnie dlatego, że z biegiem rozwoju kapitalistycznego systemu produkcji towary coraz ogólniej przestają być produktami indywidualnymi, produktami indywidualnej pracy pojedynczych robotników, a stają się produktami społecznymi, produktami wspólnej pracy wielu robotników, zorganizowanych podług pewnego planu. Kapitalistyczny zaś sposób zawłaszczania jest indywidualny, gdyż produkt staje się własnością nie ogółu producentów, nie społeczeństwa, lecz tego indywidualnego, tego kapitalisty, do którego należały środki produkcji, potrzebne do wytworzenia tego produktu.

Żadnego kapitalisty winie za to nie można, że on we wszelki możliwy sposób stara się eksploatować robotnika, gdyż do tego wyzyskiwania zmusza go konkurencja z innymi kapitalistami, produkującymi ten sam, co i on, towar. Gdy jeden z nich przedłuży dzień roboty, lub zastosuje nową lub lepszą maszynę, i tym samym, w sposób, który zmniejsza koszt produkcji, sprzedaje swój towar taniej, w celu pozyskania sobie szerszego koła konsumentów, wszyscy jego współwłaściciele muszą go naśladować pod groźbą utraty nie tylko części dochodów, ale całego majątku. Do jakiegokolwiek gałęzi produkcji rękodzielnicę zastępuje wreszcie maszyna, nie tylko pozbawia ona chleba robotników, ale doprowadza zarazem do bankructwa wszystkich tych drobnych przemysłowców, którzy nie posiadają dość znacznego kapitału na to, abyby u siebie zaprowadzić i siebie produkcyjną maszynę.

Z drugiej znów strony dążąc ciągle do coraz większego spotęgowania wytwórczej siły pracy przy braku wszelkich wskazówek, podług których można by było regulować rozmiary produkcji stosownie do potrzeby konsumentów, system kapitalistyczny wywołuje często przepełnienie rynku towarem, co sprządza tak zwane przesilenie handlowe. Fabryki stają, dziesiątki, a często i setki tysięcy robotników tracą środki utrzymania, mniej zamożni kapitaliści bankrutują, a kapitały gromadzą się w coraz większych rozmiarach w rękę coraz mniejszej liczby uprzywilejowanych. „Z dojściem kapitalistycznego sposobu produkcji do szczytowego punktu jego rozwoju przesilenia handlowe stają się peryodycznymi. Od roku 1825, w którym nastąpiło pierwsze, tak zwane powszechne przesilenie, powtarza się ono stale mniej więcej co lat dziesięć. Tym sposobem kapitaliści, począwszy od wywłaszczenia robotników, zaczynają w końcu wywłaszczać się sami wzajemnie“. Nareszcie dochodzi do tego, że prowadzenia pewnych gałęzi produkcji żaden już indywidualny kapitał podjąć się nie może; powstają więc towarzystwa akcyjne. W końcu dla niektórych wielkich przedsiębiorstw, jak np. koleje i telegrafy, już i to nie wystarcza. Podjąć się ich może już tylko państwo!

Gdzie się fakta te przejawiają, tam one dowodzą, że siły produkcyjne społeczeństwa rozwinęły się już do tak kolosalnych rozmiarów, że kierownictwo jednostek stało się dla nich za słabem. Gdy siły te były rozdrobione, skoncentrować je i rozwinąć było zadaniem kapitału. Gdy zadanie to zostało spełnione, gdy, pchany potęgą naturalnych praw kapitalistycznego systemu produkcji wytwór działalności kapitalistów przerósł już ich indywidualne siły, gdy nie są już oni zdolni opanować tych sił produkcyjnych, które się pod ich kierownictwem rozwinęły, stają się już zbytecznym meblem w społeczeństwie, tracą rację swego bytu.

Jak już powiedzieliśmy wyżej sprzeczność pomiędzy społecznym sposobem produkcji, a indywidualnym sposobem zawłaszczania, na której się właśnie opiera kapitalistyczny system produkcji, jest podług Marksa, głównym źródłem wszystkich nierówności społecznych, wszystkich wad obecnego ustroju społecznego.

Ciągłe potęgowanie się tych wad wskazuje, że sprzeczność ta wiecznie trwać nie może. Kiedy z jednej strony bogactwo niewielkiej liczby kapitalistów, z drugiej wielkość nędzy i liczba proletaryatu dojdą do swego *maximum*, źródło złego będzie musiało zostać zniesione. czyli między sposobem produkcji, a sposobem zawłaszczania będzie m u s i a ł a zostać zaprowa-

dzona zgoda, co nastąpi przez uczynienie środków produkcji własnością społeczną. Wywłaszczycciele zostaną wywłaszczeni, a na miejsce ich wystąpi społeczeństwo. Rewolucyi tej dokonać ma proletaryat.

Przyszły ustrój społeczny przywróci, podług Marksa, zniesioną przez ustrój kapitalistyczny, własność indywidualną, lecz oprze ją na podstawie zdobyczy kapitalistycznej ery, czyli na podstawie kooperacyi wolnych robotników i ich wspólnego władania ziemią i środkami produkcji.

Już z tego zdania Marksa, że przyszłej rewolucyi społecznej dokona proletaryat, wynika, że przyspieszyć jej sztucznie żaden naród nie może, bo, na krok tak śmiały i ryzykowny, jak bunt przeciwko panującemu porządkowi rzeczy, mógłby ów proletaryat, nawykły do posłuszeństwa i znający potęgę środków, utrzymujących go w jego karbach, odważyć się chyba tylko pod naciskiem rzeczywiście rozpaczliwego położenia i wpływem świadomego poczucia własnej siły. Tam więc, gdzie antagonizmy społeczne nie dosięgły jeszcze swego szczytu, gdzie nędza proletaryatu nie doszła jeszcze do tego stopnia, żeby go do granic ostatecznej rozpaczki doprowadziła, gdzie liczba jego nie jest jeszcze tak wielka, żeby weń pewność zwycięstwa włąć mogła, tam żadna agitacya rewolucyi wywołać nie zdoła, tam wszelkie poświęcenia, boǳajby szlachetnych, lecz nie hamowanych rozumem zapaleńców muszą być zmarnowane; tam żadne ich usiłowania nic nie pomogą, bo nie będą miały realnej podstawy.

Marksa niejednokrotnie to powtarza, że rozwojem ekonomicznym narodów i społeczeństw rządzą niewzruszone prawa, że nigdy żaden naród przeskoczyć właściwej mu fazy rozwoju nie może, że zapowiadany przez niego przewrót społeczny nastąpi dopiero wtenczas, gdy system produkcji, stanowiący podstawę dzisiejszego ustroju, spełni już w zupełności swoje zadanie. Dlaczego więc socjaliści nasi nie korzystają z tych nauk swego mistrza? POCO marnują napróżno własne siły, zamiast je obrócić na pracę, któraby społeczeństwu rzeczywistą korzyść przynieść mogła. POCO zwłaszcza odciągają od nauki nieletnią młodzież, ażeby ją popchnąć do nieochybnej zguby?

Twierdzą oni, „że propaganda socjalistyczna jest u nas tak samo uprawnioną, jak na Zachodzie; że i nam już nic innego pomódz nie może, tylko radykalna zmiana ustroju społecznego, której przyspieszenia lud cały życzyć sobie musi, skoro tylko rozpozna istotne swe położenie“. ¹⁾

¹⁾ Program socjalistów galicyjskich, str. 9.

Lecz czyż rzeczywiście położenie naszego ludu jest tak bardzo rozpaczliwe? Czy rzeczywiście od kapitalistycznego systemu produkcji my się już niczego spodziewać nie możemy? Czy dosięgnął on już u nas szczytu swego rozwoju i przestarzał się? Czyż proletaryat u nas jest rzeczywiście tak liczny, i w takiej nędzy pogrążony, żeby mógł odważyć się na bunt i dokonać rewolucyi? Gdzie u nas szukać bodajby zaczątku tylko tej rezerwowej armii przemysłu, (która w Anglii np. podług świadectw, przytaczanych przez Marksa, do tak kolosalnych rozmiarów doszła) nie mogącej sobie znaleźć zajęcia i zmuszonej żyć kosztem dobroczynności publicznej.

Częściej u nas słyhać narzekania na brak robotnika, niż na brak zajęcia dla niego. Dzień roboczy w naszych fabrykach trwa zwykle godzin 11, a najwyżej 12. O takim przeciążaniu nadmierną pracą robotników, o takich nadużyciach nad nimi, jakich się dopuszczali przemysłowcy angielscy do czasu ograniczenia ich samowoli przez prawa fabryczne, u nas dotąd nie słyhać. Robotnicy fabryczni, posiadający pewien fach, w stosunku do swego niskiego poziomu umysłowego i niewielkich skutkiem tego wymagań, jak również w stosunku do ogólnej zamożności, lub lepiej — do ogólnego ubóstwa kraju, mają się wcale nieźle. Prości czyli nieposiadający żadnego fachu, nie opływają zapewne w bogactwo, lecz i nie umierają też z głodu, a tak jedni, jak drudzy, w miarę rozwoju naszego przemysłu, mają się coraz lepiej i są dość ze swego losu zadowoleni. Chociażby jednakże nawet tak nie było, to w każdym razie jest ich taka garstka, że nie mogliby ani nawet marzyć o pokonaniu tych potężnych armij, które zachowania dzisiejszego porządku rzeczy strzegą. Z motyką na słońce chyba nie mają zamiaru nasi socjaliści się porywać, bo by go nią nie zgasili, a mogłoby im ono mocno głowy przepalić.

Na dokonanie rewolucyi z pomocą robotników rzemieślniczych liczyć nie powinni, bo rzemiosło — to zabytek feodalnego jeszcze okresu, który nie przedstawiał żadnych danych dla rozwoju socjalizmu. Zapewne więc i w dzisiejszych jego szczątkach dane te samorodnie się nie rozwinęły.

Każdy mniej więcej robotnik rzemieślniczy ma nadzieję z czasem zostać majstrem, nie chciałby więc przyłożyć ręki do zaprowadzenia takiego ustroju społecznego, przy którym by na zawsze musiał zostać robotnikiem. Obietnice, że przy nowym ustroju społecznym będzie każdy pracował tylko 8 czy 6 nawet godzin, nie olśnią tych, co żywią nadzieję, że przy dzisiejszym ustroju, nie będą potrzebowali fizycznie pracować wcale, lecz tylko zarządzać pracą swych czeladników. Marks i Engels w swym manifestcie

komunistycznej partii mówią wyraźnie, że: „ze wszystkich klas (społecznych), które w obecnej chwili przeciwstawiają się burżuazji, tylko proletaryat przedstawia rzeczywiście rewolucyjną klasę. Inne giną razem z wielkim przemysłem, proletaryat zaś jest jego własnym wytworem ... Stan średni, drobni przemysłowcy, drobne kupiectwo, rzemieślnicy, — wszyscy oni walczą z burżuazją, ażeby zachować swe istnienie, jako średniego stanu... wszyscy są reakcyonistami, ponieważ starają się cofnąć koło historii“.

Na kimże więc socjaliści nasi mają zamiar się oprzeć? Na ludzie wiejskim? I o tem przebąkują. Socjaliści galicyjscy, nazywając się w swym „Programie“ partją robotniczą, dodają w odnośniku: „Naszym stosunkom więcej by może odpowiadała nazwa partji „ludowej“. Podczas gdy bowiem na zachodzie kadry przyszłej armii bojowej proletaryatu tworzą się z robotników fabrycznych, u nas rolę tę obejmie (w przyszłości, a więc jeszcze obejmować nie zaczął, chociaż „niepodobna zaprzeczyć, że r u c l i socjalistyczny u nas istnieje“), z d a j e s i ę lud wiejski, c h y b a b y rozwój przemysłu szybciej miał postępować, niż stopniowe wywłaszczanie ludu rolniczego (które podług zapewnień w tekście programu dosięgło już u nas niesłychanych rozmiarów). Ruch proletaryatu u nas z a p e w n e będzie przede wszystkim agrarnym. Obraliśmy jednak pierwszą nazwę (p a r t y i r o b o t n i c z e j) raz dlatego, aby zaznaczyć identyczność (za pomocą niewłaściwej nazwy) ruchu naszego z ruchem zachodnio-europejskim, dalej zaś dlatego, że radzibyśmy unikać nazw i haseł nietylko z istoty swej niejasnych, ale nawet już skompromitowanych i zdyskredytowanych skutkiem nadużycia ich“.

Tak tedy socjaliści polscy przyznają sami, że ekonomiczne stosunki nasze różnią się od zachodnio-europejskich, że nie wiedzą sami, kto u nas odegra rolę „przyszłej armii bojowej proletaryatu“, — czy robotnicy, czy lud wiejski — i nareszcie, że nazwa, jaką nadali partji, którą mają zamiar u nas utworzyć, nie odpowiada stosunkom naszym. Gdyby się zastanowili głębiej, dostrzegliby niezawodnie, że to nietylko nazwa, ale i rzecz sama, i ten cel, do którego dążyć postanowili „nie odpowiada stosunkom naszym“. Lecz wróćmy do głównie zajmującego nas obecnie pytania: czy socjaliści nasi mogą liczyć na zjednanie dla swych idei ludu wiejskiego. Twierdzą oni, że wywłaszczenie ludu polskiego przez wielkie kapitały postępuje ciągle z niesłychaną szybkością, że „wkrótce drobnej własności u nas już nie stanie“ i że „własność ziemska koncentruje się w ręku wiel-

kiego kapitału¹⁾ Ze twierdzenia te nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, że są tylko naciągnięte do użytku propagandy, przyzna chyba każdy, kto umyślnie nie zatyka uszu na dochodzące ze wszystkich stron, ze wszystkich dzielnic polskich narzekania na upadek większych posiadłości ziemskich. Bezwątpienia i drobna własność w ziemiach polskich, biorąc rzecz wogóle, nie stoi nader świetnie, a szczególnie w Galicyi nawet bardzo niepomyślnie; lecz powodem tego nie jest u nas bynajmniej żadne, wyimaginowane przez socyalistów, wywłaszczanie drobnych posiadaczy przez wielkie kapitały, lecz właśnie zbyt mała ich liczba i zbyt słaba działalność, czyli zbyt mały postęp przemysłu krajowego. bez którego rolnictwo rozwijać się nie może. Prawdy tego twierdzenia dowodzi fakt niezaprzeczoney, że we wszystkich miejscowościach, gdzie u nas przemysł się usadowił, a zwłaszcza gdzie się silniej rozwinął, byt ludności wiejskiej wogóle się polepszył, bo naprzód zwiększone zapotrzebowanie robotnika wywołało podniesienie się ceny pracy wogóle, a więc i zapłaty wiejskiego najemnika w szczególności, a następnie zwiększone skutkiem napływu zaludnienia zapotrzebowanie środków żywności spowodowało podniesienie się ceny produktów rolnych, co naturalnie wpłynęło na podniesienie dobrobytu włóscian. Tak więc rozwój przemysłu u nas nie złe skutki dla ludu przynosi, lecz dobroczynne, nie wywłaszcza nikogo, lecz tylko uwalnia cały ogół od haraczu płaconego zagranicy. Nie rewolucyi społecznej więc nam dziś potrzeba dla polepszenia bytu tak całego społeczeństwa wogóle, jak klasy robotniczej wszelkich odcieni w szczególności, lecz r o z w o j u p r z e m y s ł u .

¹⁾ Zdanie to ma się odnosić głównie do Galicyi, jak ono jednak jest gołosłowne i z rzeczywistością niezgodne, dowiedzie nam najlepiej statystyka. Według *Statystyki porównawczej Król. Polskiego* opracowanej przez Witolda Załęskiego, przestrzenie urodzajnych gruntów w Galicyi w roku 1875 podzielone były w ten sposób pomiędzy własnością większą i mniejszą, że 27% gruntów ornych było w posiadaniu pierwszej, a 73% w posiadaniu drugiej; łąk, ogrodów i pastwisk 23% posiadała większa, 77% mniejsza własność; lasów 90½% większa, a 9½% mniejsza; z całej nakoniec urodzajnej powierzchni przypadało na własność większą 42%, na mniejszą 58%. Według stałego kadastru liczone w Galicyi własności większych 7,435, mniejszych 793,970.

Jak ten stosunek przez kilka lat następnych się zmienił i czy się zmienił, nie posiadając statystycznych danych, dokładnie nie wiemy, lecz bardzo zmienić się nie mógł, ponieważ nie było żadnych ku temu powodów. Nie słyszeliśmy, żeby wielkie kapitały w Galicyi tak się rozrosły i tak gwałtownie drobną posiadłość pochłonięć miały.

Ale z naszymi socyalistami nic o rozwoju przemysłu mówić nie można. bo oni, źle zrozumiawszy swojego mistrza, którego teorye poznawali z rosyjskich broszur agitacyjnych i programów zagranicznych partyj robotniczych, uważają przemysł za przekleństwo ludzkości, spadające, jak biblijny grzech pierworodny, z pokoleń na pokolenia. Dajmy więc pokój rozprawom o przemyśle, a postarajmy się tylko wytłomaczyć naszym socyalistom, dlaczego nie mogą oni liczyć na dokonanie przewrotu społecznego przez lud wiejski.

Otóż przedewszystkiem dlatego, że, jeżeli nie większość ludu wiejskiego, (wziąwszy ogólnie wszystkie dzielnice polskie) to w każdym razie przynajmniej bardzo znaczną jego część ¹⁾ stanowią włościanie, posiadający mniejszy lub większy obszar gruntu i przywiązani tak do swego kawałka ziemi, że z pewnością bez namysłu conajmniej wydaliby w ręce policyi każdego, ktoby się do nich lub do ich wydziedziczonej braci ośmielił odezwać o zniesieniu prywatnej własności, następnie dlatego, że, jak to zauważył Marks, podczas gdy wielki przemysł koncentruje wielką liczbę robotników w jednym danem miejscu, a przez to wzmacnia ich siłę i, dodamy od siebie, ułatwia propagandę, rolnictwo rozrzuca proletaryat robotniczy na wielkie obszary, a więc osłabia jego siłę i utrudnia jego łączne poruszenia. Dlatego to właśnie w Europie zachodniej socjaliści niewiele liczą na lud wiejski i wszystkie usiłowania swego apostołstwa skierowują do robotników fabrycznych, tej jedynej, podług Marksa, klasy rewolucyjnej; jak również, nakoniec dlatego, że lud wiejski odosobniony od świata, wśród którego poglądy i idee obiegają szybko i zmieniają się prędzej jeszcze, jest wogóle, a nasz w szczególności, bardzo konserwatywny i niepoohopny do żadnych rewolucyj, a już najmniej do społecznych i ekonomicznych. Za najlepszy dowód w tym razie może służyć Irlandya, której lud pomimo straszego ucisku, jakiego doznaje od angielskich lordów, właścicieli jego zie-

¹⁾ W Królestwie np. w r. 1859 z ogólnej liczby ludności: rolniczej przypadalo na włościan posiadających ziemię 55%, na bezrolnych 37%. Stosunek ten po uwłaszczeniu polepszył się jeszcze, jak wnosić można z tego, że podczas gdy w r. 1864 liczono dymów włościańskich 220,943 z 3,718,769 morg. gruntu, w r. 1872 uznano za włościan właścicieli dymów 424 735 z 5,457,259 morg. gruntu (p. *Statystykę* Załęskiego str. 84 i 85). Ponieważ jednakże w Galicyi stosunek był odwrotny, przeto biorąc ogólnie wszystkie ziemie polskie razem, nie chcemy stanowczo twierdzić, że większość ludu naszego ziemię na własność posiada.

mi, pomimo że jest pogrążony w niesłychanej nędzy. Jakkolwiek podnosi od czasu do czasu bunt przeciwko swym panom i domaga się już to wolności politycznej (własnego parlamentu narodowego), już pewnych reform ekonomicznych (uwłaszczenia dzierżawców), nigdy jednak jeszcze nie zamarzył nawet o radykalnej zmianie ustroju społecznego, o rewolucji socjalistycznej. Jak wobec tego faktu socjaliści polscy mogą się ludzię przypuszczeniem, że nasz lud dałby się nakłonić do podniesienia takiej rewolucji? Pojąć tego niepodobna!

Tak tedy ostatecznie doszliśmy do wniosku, że na żadnej z klas, przeciwstawianych uprzywilejowanym, zwanym ogólnie przez socjalistów „burżuazją“, socjalizm u nas oprzeć się nie może. Może się jednak mylimy? Uspokójmy więc sumienie zbadaniem w rezultatach dotychczasowej działalności naszych socjalistów, która to mianowicie klasa społeczeństwa dostarcza im głównie coraz liczniejszych, jak twierdzą, zwolenników?

Socjalistyczne idee przeszczepione zostały na nasz grunt z zewnątrz, około roku 1876, przez wychowawców wyższych zakładów naukowych. Poczęli oni się krzątać wśród młodzieży i po pewnym czasie potrafilo sobie zjednać nader szczupłą garstkę zwolenników¹⁾.

Uważając się za dość już silnych, postanowili zacząć szerzyć propagandę wśród robotników i w tym celu nakreślili sobie plan zamierzonej działalności, który wydrukowany został w Brukselli pod tytułem: *Program socjalistów polskich*, a za miejsce wydania wskazywał Warszawę. Był on oparty na kosmopolitycznej zasadzie łączności wszystkich robotników bez różnicy narodowości i głosił krwawą rewolucją ekonomiczną, walkę na śmierć z burżuazją i państwem.

¹⁾ Główną przyczyną, która sprawiła, że socjalizm nie ogarnął u nas całego ogółu zapalnej bardzo, jak wiadomo, młodzieży naszej, obok zastanowienia, wyrobionego bolesnymi doświadczeniami narodu, obok wpływu postępowej prasy naszej, nawołującej do spokojnej pracy organicznej i studzącej chłodnymi argumentami niehamowany rozumem zapał, rwący się do słonecznych lotów na skrzydłach z wosku, był — pa try o t y z m. Nie dlatego jednakże, żeby socjalizm nie dał się pogodzić z tem uczuciem, lecz że przyszedł on do nas ze strony obcej i, że pierwsi jego pionierowie u nas, sympatyzujący właśnie z tą stroną, lub przynajmniej z rewolucyjnym jej elementem, zachowywali się wogóle względem idei narodowościowej wrogo. Świadomość też tej przyczyny, ograniczającej ich powodzenie wśród ogółu kolegów, tem bardziej ich jeszcze pobudzała do drwin i lżenia „naszego narodowego pa try o t n i e t w a“. Tym sposobem zdyskredytowali oni poniekąd swe idee. Późniejsi socjaliści starali się, ten błąd swoich poprzedników naprawić. Było już jednak zapóźno.

Program ten został później przedrukowany w Genewie dla użytku Krakowa z tą jedynie różnicą, że czy to z powodu mniejszego zaufania w krańcowość Krakowian, czy z innych może przyczyn, usunięto z niego przymiotnik „krwawa“ przy wyrazie „rewolucya“.

Mając już drukowany program, propagandziści polscy ożywili się. W celu nawiązania stosunków z robotnikami, niektórzy zamierzali wstąpić do warsztatów; ponieważ jednakże nie znali rzemiosła, a do prostych robót nie mieli ani sił, ani wprawy, więc zamiaru tego musieli zaniechać i postanowili dojść do celu inną drogą. Przebrani w bluzy, lub umyślnie poszarpane i zabrudzone odzienie, poczęli chodzić do szynków i bawaryj, położonych w okolicach fabryk, gdzie się wieczorem zbierali robotnicy. I tu im się jednakże nie wiodło. Nie znając ani zwyczajów i obyczajów, ani języka robotniczego, budzili oni w swych protegowanych nieufność. Tym sposobem, naturalnie, żadnego wpływu na nich wyrzeć nie mogli.

Nie wiem dokładnie, czy tą drogą, czy też za pośrednictwem dawnych swych kolegów, którzy nie skończywszy szkół, oddali się rzemiosłu, zdołali w końcu pozyskać sobie kilku, lub może wreszcie kilkunastu rzemieślników, w każdym jednakże razie bardzo niewielu, gdyż w procesie robotniczy żywioł stanowił bardzo mały zaledwie procent ogólnej liczby pod sądnych, złożonej przeważnie z uczącej się młodzieży, w części zaś ze skończonych już wychowanców wyższych zakładów naukowych.

Najlepiej wiedzie się socjalizmowi we Lwowie. Od kilku już lat wychodzi tam pod tytułem: *Praca* „dwutygodnik poświęcony sprawom klas pracujących“ z odcieniem socyalistycznym. W r. 1880 rozchodził się on w 110 egzemplarzach, lecz liczba prenumeratorów była mniejsza, gdyż niektórzy abonowali po kilka egzemplarzów. Jak mu się dziś powodzi, nie wiemy. Byt swój zawdzięcza on głównie energii i ofiarom materialnym jednego człowieka, który też głównie, za pośrednictwem kilku oddanych mu robotników, budzi i podtrzymuje ruch wśród rzemieślników. Urządzają oni wiece i podają petycje. Lecz wszystko to takie jest skromne w dążeniach i wymaganiach, takie pokorne w działaniu, że właściwie żadnego związku nie ma z tą gwałtowną i radykalną rewolucją społeczną, do jakiej dążą nasi socjaliści. A przytem gdy główny motor tego ruchu rzemieślników lwowskich, przekonawszy się, że usiłowania jego idą ostatecznie na marne, ustąpi. cały ten ruch zamrze.

W Krakowie agitacya socyalistyczna rozbudzona została przez przelotnych propagandzistów i najwięcej się ożywiła po ich przybyciu w końcu

1878 roku Ogólna liczba podsądnych w procesie Krakowskim wynosiła 35, a składała się głównie z uczącej się młodzieży: studentów, uczniów gimnazyów, seminariów nauczycielskich i szkoły sztuk pięknych. Żywiol pseudorobotniczy reprezentowało: 2 fotografów, 2 zecerów, 1 majster szewcki (na którego publicznie uskarżał się czeladnik, że go ździerał bez litości) i 1 cieśla, 15-letni chłopiec. Wreszcie wogóle wśród podsądnych wielu było nieletnich. Tak np. Mikołajski, uczeń 6-tej klasy gimnazjum, miał rok 16-ty, Wąsowicz 17-ty, Zieliński 17-ty i t. d.

Powodem procesu był tajemny druk broszury Liebknechta *Zu Trutz und Schutz*, w polskiem tłumaczeniu zatytułowanej „W obronie prawdy“. Jeden z drukarzy krakowskich chciał broszurę tę wytłoczyć jawnie na własny koszt i własną odpowiedzialność, lecz przywódcom agitacji wydało się to czynem za mało konspiracyjnym i dlatego wydali broszurę u innego drukarza tajemnie i położyli na niej za miejsce wydania — Poznań. Drukarz jednakże, obawiając się odpowiedzialności, spiskowców denuncyował i to spowodowało ich aresztowanie (na początku 1879 r.).

Zachowanie się podsądnych w czasie procesu nie było beznaganne. Chcąc sobie pozyskać sędziów, podawali się za gorących patriotów, podczas gdy na wolności szerzyli idee kosmopolityczne i drwili z „patriotnictwa“. Jeden z podsądnych powiedział podczas badania w imieniu wszystkich kolegów, między którymi było kilku zaciętych wrogów idei narodowościowej: „Gdybyśmy nie byli patriotami, nie bylibyśmy socyalistami“, a nikt przeciwko temu nie zaprotestował. Wypierali się też aresztowani wszelkimi siłami, wbrew oczywistym dowodom, wszelkich stosunków z socyalistami rosyjskimi. Proces trwał rok przeszło, lecz w końcu sędziowie przysięgli wszystkich podsądnych uniewinnili.

Po wyroku, główni naczelnicy propagandy udali się do Genewy i agitacja przycichła, a może nawet zagasła zupełnie, bo już oddawna o żadnym procesie socyalistycznym, ani o aresztowaniu nawet, w Krakowie nie slychac.

W Poznańskim, na gruncie polskim idee socyalistyczne dotychczas, o ile wiemy, nawet nie zakiełkowały. O wycieczce, jaką do księstwa zrobili socjaliści z Genewy, oraz o jej celu i rezultacie, pomówimy później. Tak tedy przegląd sześciolietniej działalności socyalistów naszych w kraju nauczył nas, że czerpali oni swych zwolenników wyłącznie prawie z młodzieży, należącej do uprzywilejowanych klas społeczeństwa, wśród warstw zaś opośredzonych nie znaleźli odgłosu. Podług Fr. Engelsa, przyjaciela ucznia i współpracownika K. Marksa, fakt taki dowodzi, że istniejący spo-

sób produkcji w danem społeczeństwie jeszcze się należycie nie rozwinął, jeszcze nie spełnił swego zadania i nie przeżył się, a dlatego na rewolucyą społeczną jeszcze nie czas ¹⁾). Wartoby było, żeby zapaleni zwolennicy społecznego przewrotu u nas o tem się poinformowali i nie wyciągali z dzieł swych mistrzów tych tylko nauk i wniosków, które ich życzeniom odpowiadają, bo nikomu tem pożytku nie przyniosą, a sobie samym niewątpliwą szkodę.

Jak dalece żadnego wpływu nie wywarła kilkoletnia działalność socyalistów naszych na naszą klasę robotniczą, dowiodły najlepiej zaburzenia antisemickie, w końcu zeszłego roku, i niedawne awantury w warsztatach drogi żelaznej W. Wiedeńskiej, w których ani jeden głos nie zdradził najmniejszego nawet śladu tego wpływu. Jeżeli więc agitacya socyalistyczna wśród naszej klasy robotniczej, czyli wśród najrewolucyjniejszej klasy społeczeństwa, nie wzbudziła żadnego oddźwięku, to jakże ludzię się można, żeby jej się lepiej wiodło wśród ludu wiejskiego, który widocznie sami nawet socjaliści nasi, pomimo swych programowych marzeń, uważali w rzeczywistości za nieusposobiony do dobrego przyjęcia ich idej, kiedy w praktyce nawet nie próbowali prowadzić wśród niego propagandy. Któż więc u nas przewrotu społecznego dokona? Burżuazya? — Kiedy jej interes własny każe strzedz zachowania dzisiejszego porządku rzeczy, który jej korzyści zapewnia. — Zapał młodzieży? Lecz on coraz bardziej słabnie i z czasem ostygnąć zupełnie musi pod zimnym podmuchem nieubłaganej rzeczywistości. Niema więc u nas chyba odpowiedniego gruntu dla przewrotu społecznego!

Mógłbym już na tem skończyć swój artykuł, ponieważ właściwie wyczerpałem już temat. Lecz czytelnik ciekawy jest zapewne dowiedzieć się, co porabiają rewolucyoniści nasi za granicą; postarajmy się więc w krótkości go o tem objaśnić.

Kilku wodzów pierwszej partji socyalistów polskich osiadło, w Krakowie, w celu prowadzenia tam propagandy, której rezultat już znamy; kilku zaś innych udało się wprost do Genewy. Połączywszy się tam z wy-

¹⁾ P. Herrn Eugen Dührings Umwälzung der Wissenschaft von Friedrich Engels. Leipzig 1877. Str. 123 i 124, a także ważną dla naszych marzycieli naukę na str. 131.

gnanym ze Lwowa p. Bolesławem L.¹⁾, poczęli oni wydawać pismo pod tyt.: *Równość*, w pierwszym roku zeszytami, w drugim, — nieskładanemi arkuszami. Zeszytów wyszło niby 12, lecz końcowe nosiły po 2 numera na okładce, chociaż były szczuplejsze od początkowych. W arkuszach nieskładanych wyszło 6 numerów i na tem skończyło się istnienie pisma, które w początkach miało trzech prenumeratorów, później dwóch.

Na pierwszych zeszytach *Równości* figurowali, jako redaktorowie pp. Bolesław L. i Kazimierz D. Pierwszy z nich jednakże, spostrzegłszy wkrótce, że redagowanie tego pisma nie przynosi mu zaszczytu, wystąpił ostentacyjnie z redakcyi, jakkolwiek nie zerwał jeszcze stanowczo z partją.

Na miejsce *Równości* w sierpniu r. 1881 począł wychodzić *Przedświt*, w formacie warszawskiego *Kuryera Porannego*, z początku co dwa tygodnie, później co miesiąc i rzadziej, tak, że do maja r. b. wyszło go tylko numerów 11. Miał podobno jednego prenumeratora, nie jestem jednakże tego zupełnie pewny. Po za tem rozsyłany był darmo wszystkim, kto tylko go przyjmować zechciał, ale pomimo to bardzo niewiele zyskał czytelników.

Oprócz tych pism wydali socjaliści w Genewie kilkanaście broszur, tak tłumaczonych, jak oryginalnych, oraz kilkanaście programów i odezw. Na niektórych drukach podawali za miejsce wydania rozmaite miasta polskie, a między innemi Warszawę, żeby przekonać świat, że istnieją u nas tajne drukarnie.

Zaraz od początku swego istnienia przejawiała *Równość* dążenia anti-patryotyczne i wogóle narodowości naszej wrogie. Objawiała to zarówno w okolicznościowych wycieczkach, jak w osobnych artykułach. Tak np. w nrze 2-gim grzmiał przeciwko patryotyzmowi p. Kazimierz D., w artykule zatytułowanym „Patryotyzm i socyalizm“. W nrze 4-tym wymyślał ktoś inny „Naszym patryotom“. — *Przedświt* w kierunku tym poszedł jeszcze dalej, jeżeli to było możebne.

W chwili, gdy cały nasz naród składał Kraszewskiemu hołd uznania jego zasług, *Równość* go zwymyślała. Gdy Jeż w korespondencyi do jednego z pism galicyjskich, nazwał naszych bohaterów dziećmi, odpowiedzieli mu

¹⁾ Znany u nas z nazwiska autorem słabej bardzo rozprawki, zatytułowanej *Socjologia Augusta Comte'a*, pisarzem sumiennym i dość czytany, lecz pozbawionym wszelkiej krytyczności sądu, pomimo to jednakże bezsprzecznie najpoważniejszym przedstawicielem socyalizmu polskiego.

gburowato. Wreszcie na wszelkie, chociażby czysto przedmiotowe, wystąpienia krytyki odpowiadali zawsze obelgami. W taki sposób np. zmieszali z błotem Świętochowskiego i Maciejowskiego (Sewera) za ich wystąpienie przeciwko socyalizmowi, później, jeżeli mnie pamięć nie myli, Lubowskiego i Orzeszkowę za ich powieściowe utwory.

Oburzeni na naszą prasę za to, że ona ich czyny ignorowała i twierdziła, że u nas socyalizmu niema, pomawiali ją ciągle o denuncyacye, jakkolwiek nie mieli ani jednego dowodu na poparcie tego oszczerstwa.

W programach, pismach i postępowaniu swoim, popełniali ciągle niekonsekwencye: to głosili krwawą rewolucyą, to postanawiali dojść do celu na drodze czysto parlamentarnej; jednocześnie oklaskiwali na wspólnkę z *Czornym pieredielem* (z którym żyli w najbliższych stosunkach ze wszystkich rosyjskich pism socyalistycznych) anarchistę Mosta, kiedy ten na publicznem zebraniu łajał Liebknechta i Bebla, i — posłali telegram z oświadczeniem swej solidarności na kongres socyal-demokratów niemieckich w Zürichu (w jesieni roku 1881), którzy właśnie na tym kongresie wyklęli Mosta i wykluczili go z partyi. W r. 1881 posłali znów podobny telegram na kongres anarchistów w Londynie, zwołany przez Krapotkina i Ludwikę Michel, a w październiku tegoż roku na kongres socyal-demokratów w Chur (Szwajcarya, kanton Graubinden) wysłali delegatów, którzy przyjęli orzeczenie kongresu, że najwięcej socyalizmowi szkodzą anarchiści, grożący ciągle krwią i rewolucyą, i że socjaliści nie chcą dokonywać żadnych gwałtów, lecz spokojnie zdobywać prawa na drodze parlamentarnej.

Widząc jednakże, że wszystkie te rzucania się nie robią jakoś hałasu, co głównym było ich celem, postanowili socjaliści nasi wyrobić sobie herostratową sławę ogłoszeniem zaguby dla własnej narodowości. — Było to w r. 1880. Polacy za granicą obchodzili uroczystość pamiątkową.

Socjaliści uscenizowali również w Genewie swoją „uroczystość“, porozsełali zaproszenia na wszystkie strony świata i porozlepiali na rogach ulic czerwone afisze, na których, wielkimi literami wydrukowane, uderzało wszystkich w oczy wstrętne hasło, którego powtórzyć tu nie możemy.

Z pomiędzy zaproszonych, Karol Marks, Fryderyk Engels, Paweł Lafargne i F. Lessner w zbiorowej odpowiedzi na zaproszenie dali naszym bohaterom delikatną nauczkę, zaczynając i kończąc swój list tym właśnie okrzykiem, przeciwko któremu miała się odbyć manifestacya i wykładając w treści listu zasługi, jakie ten okrzyk dla dobra ludzkości położył. Wszystko to jednakże nic nie pomogło. Manifestacya odbyła się. Główny

udział w niej, jako inicjatorowie i mówcy przyjmowali panowie: Kazimierz D., Ludwik W., Stanisław M. i Szymon D.

Dziki ten wybryk skłonił kilku rozsądniejszych członków partii do zerwania z nią i utworzenia oddzielnej grupy pod nazwą „Lud polski“. Inicjatywę w tym względzie podał Bolesław L. Grupa ta postanowiła oprzeć socjalizm w Polsce na gruncie narodowym. Działalność jej jednakże ograniczyła się dotychczas na wydaniu trzech dwukarteczkowych odezw (jednej programowej i dwóch okolicznościowych) i jednego również krótkiego „Przemówienia w rocznicę listopadowej rewolucji na obchodzie w Paryżu 1881 r.“, które to przemówienie w rzeczywistości na obchodzie miejsca nie miało, ponieważ go nie dopuszczono, lecz tylko w „Stowarzyszeniu robotników polskich“ wśród hałasów, krzyków, pogroźek i gwizdania ze strony słuchaczy.

Główna partya straszliwie się oburzyła na „Lud polski“ i naprzód uroczyście zaprotestowała przeciwko jego programowi, a następnie poddała go w *Przedświcie* krytyce, którą zaczerpnęła ze dwadzieścia razy więcej papieru, aniżeli zmarnował go sam przedmiot oceny.

Nie będziemy tutaj opowiadali wszystkich niedorzeczności jakie po sławetnej swej manifestacji popełnili lub napisali socjaliści z grupy *Przedświtu*, lecz winniśmy jeszcze wspomnieć o jednym ich bohater-skim czynie.

Jak już wzmiankowaliśmy, w Poznańskim na gruncie polskim socjalizm swego istnienia wcale nie przejawiał. Gniewało to bardzo rewolucjonistów naszych, którzy głosili ciągle światu, że istnieje tam aż 5 „zorganizowanych kół robotniczych“. Postanowili więc w końcu zeszłego roku, korzystając z wyborów do parlamentu, zarządzić między robotnikami poznańskimi agitacją i skłonić ich do głosowania nie za kandydata polskim, lecz za socjalistą — niemcem. Niegodziwą stroną tego przedsięwzięcia było to, że agitatorowie wiedzieli dobrze, jak trudno jest Polakom w Poznańskim przeprowadzić wybór rodaka i jak jest na rękę rządowi niemieckiemu wszelkie wśród polskich wyborców rozdwojenie, a pomimo to starali się je pomiędzy nich wprowadzić. Śmieszna — to, że zamiast już popierać kandydata, postawionego przez socjalistów niemieckich, zuchowie nasi przedstawili ze swej strony na kandydata kogo innego, a mianowicie niemieckiego socjal-demokratę, Bebla.

Po kilku tygodniach bezwzględnej agitacji propagandziści zostali za-
denuncjowani ¹⁾ i aresztowani. Pomiędzy uwięzionymi było trzech „pa-
tryotów“ z krakowskiego procesu. Lecz w Poznaniu sędziami byli Niem-
cy! Otóż dwu z tych patryotów (a szczególnie M., który w Krakowie
zapewniał świat cały, że jest Polakiem-patryotą), gardłowali, ile siły star-
czyło, przeciwko wszelkiej idei narodowej. Przeszła ich jednakże w tem
jeszcze ich współwinowajczyni, pewna podstarzała piękność ukraińska,
której nazwiska nie wymieniam przez współczucie dla jej męża, opuszczo-
nego przez nią dla młodych propagandzistów. To też pani ta skazana zo-
stała tylko na 1 miesiąc aresztu, podczas gdy nie więcej od niej winny
T-ski, który się wstydził naśladować swych kolegów, poniósł najcięższą
karę — 3 lata więzienia!

Na zakończenie sprawozdania z tej śmiesznej i wstrętnej zarazem
awantury winniśmy jeszcze dodać, że niewinny jej zupełnie Bebel nie otrzy-
mał w Poznańskim ani jednego głosu, i że, jak to proces wykazał, „5 zor-
ganizowanych kół robotniczych“ było czystą fikcją.

Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas.

Krok ten socjaliści nasi niejednokrotnie zrobili, to też zacząwszy swą
działalność, jako apostołowie, jakkolwiek nie p r a w d y, w ścisłym zna-
czeniu tego wyrazu, to w każdym razie przynajmniej — idei, która na
śmiech nie zasługuje, stali się w końcu śmiesznymi junakami, nie wolnymi
od zarzutu o wybryki niegodziwe.

Władysław Wścieklica.

¹⁾ Według zapewnień *Przedświitu*, przez dwa pisma polskie *Kuryera Poznańskiego*
i *Orędownika*.

Sprawa włościańska i służebności.

Upływa już 18 lat od czasu przeprowadzenia ostatniej reformy włościańskiej w kraju naszym. Ten napozór drobny okres zawiera takie bogactwo materiału do charakterystyki obecnych stosunków agrarnych, że chcąc zbadać warunki naszego rolnictwa, wykazać tamy, stojące na drodze do ich rozwoju i obmyśleć środki do usunięcia tych przeszkód, musimy koniecznie cofnąć się wstecz — do chwili prawodawstwa 1864 r., by przejrzeć wszelkie zmiany następne w ukształtowaniu naszych gospodarstw.

Dziś pisze się bardzo dużo bądź w sprawie upadających folwarków, bądź w sprawie podniesienia wytwórczości drobnych warsztatów przemysłu rolniczego. Zdawać by się mogło, żeśmy już przedmiot ten wyczerpali, żeśmy przedyskutowali wszystkie możliwe projekty reform, żeśmy wreszcie wskazali naszemu rolnictwu najwłaściwszą dla niego drogę postępu. Sądząc z ilościowego bogactwa, w istocie można by tak myśleć. Gdyby jednak ktokolwiek, nieobeznany z miejscowymi stosunkami, usiłował wyrobić sobie o nich zdanie na podstawie dziennikarskich artykułów i wiadomości, przyszedłby do zdania wręcz sprzecznego z rzeczywistością.

Prasa nasza stanęła w sprawie włościańskiej po stronie interesów większej własności, zapoznając i lekceważąc zupełnie interesy drobnej, których nawet nie starała się dotąd zbadać dokładnie.

Bądźmy otwarci. Kwestya włościańska posiada w kraju naszym zbyt doniosłe znaczenie ekonomiczne, ażebyśmy mieli traktować ją w sposób

dotychczasowy. Powszechnie uważają ją za *d r a ż l i w ą*; występujących szczerze w obronie własności włościańskiej posądzają o tendencje i ukryte plany. Ta parcytalność, to wzajemne posądzanie się, spowodowały właśnie jednostronność w traktowaniu najpoważniejszej sprawy kraju. Dzięki temu, sprawa ta dotąd nie została należycie wyjaśniona. Obracamy się w *zaczarowanym kole* — i to od lat 18-tu, nie chcąc raz zerwać jego ogniów.

Na usprawiedliwienie jednak prasy możnaby przytoczyć argument, że w kwestyi włościańskiej jest ona wiernym odgłosem panującej opinii.

Reforma włościańska wywołała zupełny prawie separatyzm pomiędzy folwarkiem a wsią. Więksi właściciele, *d z i e d z i c e* odosobnili się, zamknęli w sferze własnych interesów, pozostawiając włościan samym sobie. Po uwłaszczeniu aż do tej pory stosunki układają się coraz wyraźniej — wbrew kardynalnej zasadzie wzajemności i solidarności interesów wszystkich sił produkcyjnych kraju. Względem włościan zajęliśmy stanowisko, jak względem klasy społecznie i ekonomicznie wyrobionej, a więc zupełnie samodzielnej. Słowem, zachowujemy się tak, jak gdyby w 1864 r. kwestya włościańska została ostatecznie rozstrzygniętą.

Sądzimy, że życie nasze dostarcza zbyt dużo przykładów na poparcie powyższego zdania, ażebyśmy mieli je argumentować. Słaby, minimalny udział naszej inteligencji w sprawach gminnych, jej nieobecność na tylu ważnych stanowiskach, jak: pełnomocników gminnych, wójtów lub kasjerów, usuwanie się od urzędu sędziego gminnego — wszystko to świadczy, że więksi właściciele uważają świeżą emancypację włościan za ostateczny dyplom ich społecznego wykształcenia. Z drugiej znowu strony stosunki wiejskie świadczą najwymowniej o separatyzmie dworu i lekceważeniu interesów drobnej własności. Ileż to nie nasłuchaliśmy się i nie naczytaliśmy narzekań na służebności! Lecz za to głuchym milczeniem pokryto sprawę niemniej ważną, sprawę szachowniczych gruntów. Większa własność domaga się stanowczej regulacyi serwitutów włościańskich; głos ten, w zasadzie słuszny, dochodzi nas. Lecz jednocześnie nie możemy słyszeć wymagań i potrzeb własności drobnej, jej żądań usunięcia szachownicy. Często się zdarza, że właściciel usiłuje uregulować swoje stosunki służebnościowe z włościanami, lecz rzadkie są wypadki, by jednocześnie przeprowadził regulacyę gruntową. Postaramy się nawet wykazać poniżej na cyfrach, że więksi właściciele ziemscy, uwolniwszy majątki swe od służebności, zupełnie nie dbają o losy sąsiedniej własności włościańskiej.

Ten separatyzm, to pozostawianie włościan samym sobie objaśnia wiele objawów naszego życia wiejskiego, tłumaczy liczne zajścia pomiędzy dworem a wsią, protesty i skargi wzajemne, które z przed kratki sądowych dostają się na szpalty dzienników. W ten sposób urabia się opinia publiczna o stosunkach włościańskich. A opinia to dziś już bardzo stanowcza. Uważa ona gospodarstwo włościańskie za pijawkę, ssącą żywotną krew większej własności i uzbrojoną ku temu w liczne kategorie służebności, obciążających i tamujących produkcję folwarczną.

Opinia ta jest o tyle niebezpieczniejsza, że nie jest szczerą. Słuchając jej głosu, zdawało by się, że z całą świadomością celu dąży ona do pochłonięcia drobnej własności przez większą. Jeżeli bowiem dziś pisze się o folwarkach, jako o u p a d a j ą c e j własności ziemskiej, jeżeli występuje się przeciw służebnościom, jako przeciw jednemu z głównych warunków tego upadku, jeżeli — powtarzamy — odzywają się takie zdania dziś, gdy wartość ziemi podniosła się o 3—6 razy w stosunku do cen w początkach szóstego dziesięciolecia, gdy produkcja rolnicza robi ustawicznie znaczne postępy — jakież mogą być pobudki i cele podobnej opinii, która sprawą mniejszej wagi usiłuje zamaskować stokroć donioślejszą kwestyę? Opinia ta jednak nie wskazuje otwarcie celu, do jakiego dąży. Możemy się go tylko domyślać, choć wolimy nie domyślać się niczego, ażeby nie powiększać tego nieporozumienia, jakie już dziś panuje. Konstatujemy więc tylko, że sprawę włościańską, dotąd zapoznaną, sprowadzono na drugi plan, wysuwając naprzód sprawę służebnościową, zamiast szukać rozwiązania ostatniej, przez rozstrzygnięcie pierwszej.

A sprawa to pierwszorzędna dla całego naszego gospodarstwa krajowego. Niepodobna zaprzeczyć, że kraj nasz, w którym 80% ludności poświęca się rolnictwu, jest i musi być przeważnie rolniczym. W kraju zaś, gdzie włościanie stanowią 75—76% ludności i gdzie własność włościańska zajmuje przestrzeń 8,600,996 morg., a drobna własność wogóle (t. j. z dodaniem 704,154 morg. ziemi drobnej szlachty) wynosi 51% całej rolniczej przestrzeni kraju, spór o przewagę większych lub drobnych gospodarstw jest co najmniej bezcelowy. Interesy obu posiadają jednakową wagę na szali ekonomicznych potrzeb kraju. Lekceważyć więc interesy całej połowy sił wytwórczych, skupiać uwagę jedynie na drugiej, jej tylko sprawę forytować, nie starać się nawet poznać głębiej warunków obecnego bytu drobnej własności — to znaczy przeoczyć naturalną drogę naszego materialnego rozwoju. Przeszło 8½ mil. morg. — to potęga, z którą się liczyć

wypada, która może stanowczo oddziaływać na ogólne gospodarstwo. Jej ugruntowanie na trwałych podstawach racjonalnego rozwoju może być kiedyś obronną tarczą przeciwko niejednemu przesileniu ekonomicznemu.

Drobna własność zajmuje połowę powierzchni rolnej Królestwa. Lecz czy własność ta przez czas 18-to letniego istnienia zdołała stanąć na tak silnym gruncie, by w razie ekonomicznego przesilenia można było w niej skutecznie szukać tamy bezpieczeństwa, czy zdołała dojść do tej siły ekonomicznej, która z niej robi najprodukcyjniejszy warsztat rolniczy?

Oto pytanie pierwszorzędnej wagi, na które nie wahamy się z góry dać przeczącą odpowiedź. W kraju rolniczym połowa jego sił wytwórczych dotąd nie została uruchomiona, i to sił najbardziej energicznych i najbardziej wpływowych w sprawie produkcji. Ekonomia bowiem rolnictwa ostatecznie dowiodła, że drobna własność, na odpowiednim stopniu rozwoju, produkcją swą przewyższa nie tylko własność większą, lecz nawet i średnią. Sumienne poszukiwania przekonały nas stanowczo — pisze w tej mierze Passy — że na równych przestrzeniach i w tych samych warunkach, gospodarstwa drobne przynoszą największy dochód czysty. Że tak jest w Holandyi lub Francyi — to nie ulega wątpliwości, zarówno jak nie jest wątpliwem, że nasze gospodarstwa drobne bardzo jeszcze są oddalone od podobnego ideału.

Że jednak ideał ten jest u nas możliwy, przekonywają o tem pojedyncze wypadki, jakich nielicznie dotąd dostarcza gospodarstwo włościańskie. W opisach drobnej własności w Enc. Roln. spotykamy kilka takich przykładów, które dają wymowne świadectwo, że i u nas są warunki do rozwoju drobnych warsztatów rolniczych. Tak np. 38-morgowa osada Kalinowce w pow. zamoj. gub. lubel. przynosi rocznie 1014 rs. dochodu brutto, a 680.77 rs. czystego dochodu, kapitał zaś zakładowy przynosi 23%. Podobnie osada stumorgowa, Topola Królewska w łączyckiem, daje rocznie 2,000 dochodu brutto, netto zaś 1,033 rs., kapitał zakładowy przynosi 13%. O uprawie gruntu w obu osadach można sądzić z plonów. Gdy bowiem w całym Królestwie otrzymuje się średnio: dla oziminy 4,36 ziarna z jednego i dla jarki 4,74 ziarna, w badanych dwóch osadach plenność zbioru zboża jest znacznie wyższą — w Kalinowicach ozimina daje 7.66 ziarn, w Topoli 8.3 ziarn, jarzyna 9.8 i 7.1 ziarn. ¹⁾

¹⁾ Bloch J. G., Wpływ, II. Rolnictwo str. 17. — Łapicki Jul., Wielka i mała własność, Sten. t. I. 1877, tab. I.

Do rozwoju takich osad w kraju powinniśmy dążyć wszelkimi siłami, bo to jest własność gruntowa najtrwalsza i najprodukcyjniejsza. Lecz właśnie takie osady dziś są jeszcze i na długo pozostaną — wyjątkami.

Obecnie, własność włościańska jest dopiero materiałem, z którego możnaby wyrobić maszynę wytwórczą.

Podług najświeższych danych (w początkach 1881 r.) w Królestwie znajduje się 685,605 osad z przestrzenią 8,600,996 morg., na jedną więc osadę wypada średnio 12.5 morg. W podziale na pojedyncze gubernie cyfry powyższe układają się w następujący sposób: ¹⁾

Nazwa gubernii	Liczba osad	Prze strzeń		Średnio na osadę morgów
		morgów	pretów	
Warszawska	76.490	954.104	164	12.4
Kaliska	79.675	739.774	52	9.2
Kielecka	81.141	715.871	220	8.8
Łomżyńska	43.708	600.396	211	13.7
Lubelska	85.590	1.183.617	216	13.8
Piotrkowska	75.993	904.575	290	11.9
Płocka	49.471	527.696	69½	10.6
Radomska	76.616	839.805	48	10.9
Siedlecka	56.887	886.918	273	15.5
Suwalska	59.852	1.246.227	134	20.9
Przybyło	182	2.007	131	11.
Wogóle w d. 1. Stycz. 1881 r.	685.605	8.600.996	8½	12.5

Tabelka powyższa wskazuje, że tylko w czterech guberniach drobna własność posiada średnio większy obszar gruntowy — t. j. w gub. suwalskiej, siedleckiej, lubelskiej i łomżyńskiej, w pozostałych zaś przeważa liczba osad drobnogruntowych, t. j. z obszarem niżej przeciętnej 12½ morg.

¹⁾ Tabelkę tę ułożyliśmy na podstawie urzędowego Wykazu wsi i miast, znajdujących się w nich osad i przestrzeni gruntów włośc.; wykaz ten mieliśmy w kopii urzędowej z Minist. spr. wew.

Z dotychczasowego doświadczenia wiadomo, że gospodarstwa włościańskie na 8—15 morg. są w stanie przynosić znaczny dochód, byleby znajdowały się w odpowiednich warunkach. Są przykłady, że osady takie dają już do 13% (Enc. Roln.) Większość jednak gospodarstw włościańskich znajduje się dziś w stanie skrzepowanej produkcji. — W kraju naszym spotykamy dość wysoki procent osad z minimalnym obszarem gruntowym. Z drugiej znowu strony, przeważna większość zasobniejszych gospodarstw posiada grunta podzielone na drobne działki, porozrzucane na przestrzeni gruntów sąsiednich, bądź folwarcznych, bądź włościańskich. Przyjrzyjmy się bliżej tym interesującym i tak mało dotąd badanym stosunkom.

Ile może być w kraju naszym osad drobnogruntowych, t. j. liczących do 6 morg. przestrzeni — ściśle określić nie możemy. Odnośna statystyka urzędowa posiada rubrykę osad włościańskich w podziale na trzy kategorie: osad z przestrzenią do 3 morg., osad od 3—15 morg. i od 15 morg. Możemy więc mieć ścisłą tylko cyfrę osad pierwszej kategorii. Takich osad w chwili ostatecznego sprawdzania tabel likwidacyjnych, było w Królestwie 108,246. Że zaś od tego czasu do dziś stosunki włościańskie uległy znacznej zmianie, statystyka bowiem notuje zwiększenie się liczby osad wogóle i podział pewnej części osad na drobniejsze części, więc bez obawy błędu możemy przyjąć, że dziś cyfra powyższa podniosła się najmniej do 150,000. Jeżeli do tej cyfry osad do 3 morg. przestrzeni, dodamy liczbę osad z przestrzenią od 3—6 morg., którą w przybliżeniu możemy obliczyć na 100,000, otrzymamy 250,000 osad drobnogruntowych w Królestwie, które w stosunku do ogółu osad — 685,605, wyniesie 36.5%.

Cyfrы te wcale nie są wygórowane ¹⁾. Jeżeli nadto zwrócimy uwagę, że wiele z tych małych gospodarstw posiada grunta także nie w komplecie, lecz w szachownicy, łatwo zrozumiemy, w jak trudnem położeniu znajduje się dziś przeszło trzecia część drobnej własności włościańskiej.

Na teraz jednak, kwestya rozdrobnienia gospodarstw włościańskich, będąca np. w Galicyi kwestyą bytu dla tychże gospodarstw, w Królestwie nie przedstawia się jeszcze tak groźnie. Powoli rozwijający się dobrobyt włościan i co za tem idzie silne dążenie ich do skupu drobnych parceli i odpadków folwarcznych, neutralizują wpływ naturalnego podziału własności na części. Postęp zaś w produkcji większych gospodarstw wspólnie z ro-

¹⁾ Jeden z członków zjazdu leśnego w Warszawie podawał liczbę osad tej kategorii na 300,000.

snącym dobrobytem drobnych, przy silnym popycie sił roboczych, zawsze zapewniają bezrolnym łatwość korzystnego zarobku. To też w tem miejscu pomijamy nasuwające się pytanie, o ile interesy drobnej własności mogą być zaatakowane ze strony naturalnego jej rozdrobnienia. Poprzestajemy tylko na obiektywnem skonstatowaniu faktu, że dziś 36½% gospodarstw włościańskich posiada mniej niż 6 morg. przestrzeni.

Ta masa drobnogruntowych osad, posiadających ziemię częstokroć w szachownicy, a więc zależna ekonomicznie od sąsiednich obszarów folwarcznych, pozostaje dotąd — śmiało powiedzieć możemy — nieprodukcyjną. Uprawa czterech stupiętowych kawałków gruntu, leżących jeden od drugiego w odległości 1—2 wiorst, a jednak stanowiących jedną własność, nie może zapewnić już nie minimalnej hyperprodukcji, lecz nawet skromnego utrzymania właścicielowi. Ztąd też osadnicy ci nie mogą być uważani za gospodarzy — są to folwarczni lub włościańscy robotnicy, posiadający tytuły własności.

Przyjmując ostatecznie 3 morg. gruntu za średni obszar każdej z tych 250,000 osad, otrzymamy ogółem 750,000 morg. przestrzeni w Królestwie, która wskutek niekorzystnej konfiguracji nie może brać udziału w ogólnej produkcji rolniczej.

Rzecz znowu inna z większemi osadami włościańskimi, które nie przestają być produkcyjnymi, lecz których wytwórczość nie może się rozwinąć. Mówimy tu o osadach, których grunta są pomieszane bądź z folwarcznymi, bądź z włościańskimi obszarami. Takie osady stanowią dziś bezwątpienia najważniejszą stronę kwestyi włościańskiej.

Dotąd mało, prawie wcale nie zwracano na nią uwagi. Chcąc więc dać o ile można najwierniejszą charakterystyki drobnej własności, uciekamy się znowu do pomocy statystyki, z której w tem miejscu podamy tylko ogólne dane.

W ostatnich latach przed uwłaszczeniem, spotykamy częściowe usiłowania regulacji. Między innymi w 1860 r. z inicjatywy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wydane zostało prawo, przyzwalające na emisję nowej seryi listów zastawnych na cele regulacyjne. W 1862 r. znowu nadano właścicielom dóbr prawo żądania obowiązkowego urządzenia włościan. Lecz z obu tych praw właściciele nie korzystali, tak iż ukazy 1864 r. zastały w dobrach prywatnych większość włościan zupełnie nieuregulowanych.

Wkrótce po reformie włościańskiej, stosunki te nie tylko się nie poprawiły, lecz nawet dla wielu przyczyn jeszcze więcej się pogorszyły.

Najpierw, włościanom we wsiach prywatnych zwrócono ich dawne działki gruntowe, o ile działki te zostały nieprawnie wcielone do obszarów folwarcznych. Wypadki podobnego zwrotu miały miejsce w 1190 wsiach¹⁾ przyczyniając się do powiększenia już istniejącej szachownicy.

Taki sam skutek wywarło odjęcie własności większej gruntów włościańskich, które wbrew prawu z 1846 r. zostały przyłączone do folwarków. Dotyczyło to 20,000 osad z obszarem gruntowym 266,000 morgów, t. j. 8—9% wszystkich gruntów, będących w posiadaniu włościan dóbr prywatnych przed 1864 r.²⁾ Osady zaś te pozostawały w szachownicy, przy przejściu zaś w posiadanie włościan, uległy podziałowi na drobne części, który stosunki szachownicze jeszcze bardziej skomplikował.

Wreszcie, od czasu wydania ukazów 1864 r., szachownica pomiędzy gruntami dworskimi i włościańskimi rozwinęła się też wskutek utworzenia wielu nowych osad drobnogruntowych z obszarów dawniej dworskich, a które przeszły następnie na własność robotników folwarcznych i innych. Osady te znajdowały się w takim samym stosunku do gruntów dworskich, jak i działki dawnych włościan pańszczyźnianych.

Powyższe okoliczności, będące pojedynczemi punktami procedury nwlasczenia, przyczyniły się niewątpliwie do rozwoju stosunków szachowniczych, jakie istniały u nas w chwili stosowania reformy włościańskiej. Przekonywa o tem liczebny wzrost osad w tych wsiach, w których osady włościańskie nie zostały rozseparowane.

W 1863 r. na jedną wieś prywatną wypadało średnio 13 $\frac{1}{2}$ osad włościańskich. Powiększenie się liczby osad po 1864 r., dotyczy głównie tych wsi, które są położone przy folwarkach dóbr prywatnych. W tych to właśnie wsiach badane powiększenie dosięgło 32 osad na jedną wieś średnio. Dziś więc w każdej wsi jest przeszło 2 $\frac{1}{2}$ razy więcej osad włościańskich, w porównaniu z 1863 r. Tak znaczny wzrost liczebny osad w dawnych wsiach pańszczyźnianych da się z łatwością wytłomaczyć ogólnym wzrostem cyfry osad włościańskich od 1864 r. W 1863 r. w dobrach prywatnych znajdowało się 244,000 osad, w 1874 r. już o 80% więcej, mianowicie 440,000 osad. W tej zaś liczbie pozostawało w szachownicy co najmniej 300,000 osad. Do takich bowiem osad należy zaliczyć 144,000 osad pańszczyźnianych, będących w posiadaniu włościan w 1864 r., 55,000 osad po-

1) Postan. kom. len. T. XII, str. 13. Zap. sprawozd.

2) Postan. kom. len. T. XVII, str. 26. Zap. sprawozd.

wstałych z pustek i 100,000 osad drobnogruntowych, przeszłych na własność robotników folwarcznych, komorników i t. d. Osady dwóch ostatnich kategorii powstały po reformie i przeważnie we wsiach dawniej pańszczyźnianych, z kąd wynika, że liczba 144,000 osad w 1864 r. powiększyła się w przeciągu ośmiu lat o 155,000 czyli o 107%.

Wiadomą jest rzeczą, że nowe osady włościańskie powstały bądź wskutek podziału dawnych osad włościańskich, bądź z drobnych części gruntów dworskich, pomieszanych tak z gruntami folwarcznymi, jak i włościańskimi. Można więc przypuszczać, że w większości wsi, których dotyczy zaznaczony wyżej wzrost osad, jednocześnie powiększyła się i szachownica gruntowa. Bez obawy błędu można twierdzić, że 68% osad włościańskich w dobrach prywatnych pozostaje dotąd w stosunkach szachowniczych.

Obliczenia te, oparte na liczbie osad pańszczyźnianych nie są kompletne. Przed reformą, były wypadki czynszowego urządzania włościan bez gruntowej separacji. Osady takich włościan pozostały nieurządzonemi do czasu uwłaszczenia. Po uwłaszczeniu zaś sprawa regulacji gruntowej nie była przez długi czas podnoszona. Zajęło się nią dopiero prawo z 1875 r., choć w przepisach odnosnych nie możemy dopatrzeć się środków stanowczych. Prawo z 1875 r. jest skierowane tylko przeciwko szachownicy w gruntach włościańskich z dworskimi, a pomija zupełnie grunta wyłącznie włościańskie, które też dotąd pozostają w wielu miejscowościach nieuregulowane.

Ponieważ jednak posiadamy wiele wsi dawniej skarbowych, w których włościanie byli mniej więcej wcześniej urządzeni, a stąd i ich osady rozseparowane, powyższe stosunki cyfrowe przy uwzględnieniu tej kategorii osad przedstawiają się nam nieco łagodniej. Faktem jest, że największa szachownica panuje we wsiach, przytykających do folwarków. Wogóle zaś, w całym kraju na 700,000 istniejących dziś osad włościańskich najmniej 200,000 osad, t. j. 30% posiada grunta szachownicze.

Liczy te malują dostatecznie obecny stan drobnej własności. Komuż nie są znane trudności gospodarskie, pochodzące z szachowniczego rozkładu gruntów i te stosunki między dworem a wsią, jakie uznać musimy za bezpośredni tego rozkładu skutek.

Jeżeli sprawa dostatecznego gruntowego zabezpieczenia większej części ludności rolniczej posiada pierwszorzędne znaczenie dla bytu włościan, to niewątpliwie takie same znaczenie posiada sprawa racjonalnego

urządzenia gruntowej własności. Nie możemy myśleć o jednej, nie biorąc pod uwagę drugiej. A jednak dotąd, sprawa racjonalnego urządzenia gruntów drobnej własności stała zawsze na uboczu, jak gdyby drugorzędna, przedłużając termin ostatecznego rozwiązania kwestyi włościańskiej.

Stosunki szachownicze stanowią ważną przyczynę słabych postępów gospodarstwa włościańskiego. Włościanin nie jest w stanie ani dokładnie uprawić takich gruntów, ani zebrać plonów. Na każdym kroku jest on zależnym od sąsiada — w zasiewach musi się stosować do zasiewów na gruntach sąsiednich, w samej nawet eksploatacyi gleby nie może uwzględniać własnych potrzeb, lecz co chwila oglądać się na innych.

Dotyczy to nietylko włościan, lecz i dworów. Włościanie niejednokrotnie korzystają z szachownicy w ten sposób, że utrudniają gospodarstwo folwarczne. Szachownica więc jest tamą tak dla większych jak i dla małych własności i śmiało twierdzić możemy, że ona też przyczynia się jeżeli nie do zupełnego unieruchomienia znacznego obszaru gruntów w kraju naszym, to co najmniej do zmniejszenia ich produktywności. Z usunięciem szachownicy, zyskujemy prawie nowe grunta.

Lecz szachownica posiada nietylko wpływy czysto ekonomiczne. W niej też szukać należy przyczyny stosunków między dworem a wsią, nie zawsze dziś harmonijnych, — przyczyny częstych sporów i wzajemnych pretensyj. Kura przeskoczyła z gruntów wiejskich na folwarczne, owca, źrebak lub trzoda wlaźła w grunta dworskie — co się zdarza często w skutek bliskiego sąsiedztwa pomieszanych gruntów — i oto początek dowolnych kar, obciążających włościan; stosunki się zaostrzają, przechodzą w niechęć wzajemną i nienawiść, które częstokroć wybuchają pożarem, wzniesionym w stodole lub zabudowaniach folwarcznych.

Wiele się mówi i pisze o potrzebie ulepszeń w gospodarstwie włościańskim, lecz wszak najmniejsze ulepszenia stają się niemożliwe, dopóki istnieją grunta szachownicze. Regulacya tych gruntów powinna poprzedzać wszelkie reformy, jako pierwszy ich warunek.

Taka jest ogólna charakterystyka obecnego stanu drobnej własności w kraju naszym. Na zakończenie, winniśmy dodać jeszcze kilka rysów do powyższego obrazu, korzystając z materiału statystycznego, jaki dotąd opublikowany nie został.

Materiałem tym są wykazy nieruchomości, przyjętych do wzajemnego gubernialnego ubezpieczenia od ognia, składane peryodycznie przez zarządy gubernialne minist. spraw wewn. Wykazy te podają liczbę nieruchomości

ści ubezpieczonych i sumę ich ubezpieczenia, w podziale na dwie kategorie budowli włościańskich — położonych kolonialnie i niekolonialnie. Zważywszy, że z mocy ustawy o wzajemnem ubezpieczeniu gubernialnem, każdy budynek musi być zaasekurowany i że zaznaczona klasyfikacja budowli włościańskich daje miarę ich ekonomicznego stanu, wykazy statystyczne wydziału asekuracyjz uznać możemy za bardzo cenne źródło charakterystyki drobnej własności.

Na podstawie tego materiału, ułożyliśmy następującą tabelkę, co do której musimy objaśnić, że w rubryce drugiej oddział I dotyczy budowli

Nazwa gubernii	Oddział	Liczba budowli ubezpieczonych	Suma ubezpieczenia			Wogóle
			k l a s y			
			1	2	3	
r u b l e						
Siedlecka . .	I	11.575	2.422	13.000	2.155 672	2.171.112
	II	34.274	100.368	69.828	6.078.578	6.260.774
Lubelska . .	I	19.191	75.808	39.980	3.750.654	3.866.442
	II	43.904	94.432	160.766	7.425.182	7.680.380
Płocka . . .	I	71.998	70.574	304.286	1.370.158	1.745.018
	II		176.128	345.708	3.517.182	4.027.018
Łomżyńska . .	I	9.974	2.200	116 714	1.665.920	1.784.854
	II	19.603	70.562	198.080	3.290.450	3.359.092
Kielecka . .	I	22.521	9.070	126.794	3.142.994	3.278.858
	II	42.261	17.818	319.322	4.567.254	4.804.194
Kaliska . . .	I	26.101	136.026	1.108.816	4.417.658	5.660.480
	II	25.847	572.034	951.998	3.529.604	5.253.636
Warszawska .	I	29.164	131.298	826.850	7.207.210	8.165.358
	II	25.787	297.954	587.400	6.739.086	7.624.402
Radomska . .	I	30.836	45.300	135.218	5.546.938	5.727.456
	II	25.393	88.490	208.420	4.636.358	4.933.268
Piotrkowska .	I	86.558	147.456	515.208	5.185.838	5.776.702
	II		122.224	235.010	3.115.918	3.473.152
Suwalska . .	I	28.429	36.444	89.976	9.314.946	9.441.364
	II	19 068	47.006	62.348	4.590.480	4.699.794
W Król. Pol. .	I	225.343	656.798	3.276.840	43.757.968	47.619.644
	II	317.139	1.585.018	3.138.880	47.390.092	52.115.710
W obu oddział.		572.483	2.241.816	6.415.720	91.148.060	99.735.354

włościańskich położonych kolonialnie, zaś oddział II — budowli położonych niekolonialnie; wreszcie w rubryce 4-tej, klasa 1 dotyczy budowli z materiału niepalnego, klasa 2 — budowli z materiału mieszanego, i 3 — z materiału palnego.

Tabela ta zawiera przeciętną dla okresu pięciu lat — od 1874 do 1878 roku ¹⁾.

Z danych powyższych można wyprowadzić następujące wnioski, które wprawdzie nie wypowiadają nic nowego, lecz ze ścisłością statystyczną potwierdzają ogólnikowe wiadomości, jakie opinia o drobnej własności bez sprawdzenia podaje.

Najpierw, ponieważ ustawa wzajemnego ubezpieczenia gubernialnego, uważa za całą posesyę wszystkie budowle, stanowiące jedną osadę włościańską, kolonię i t. p. (p. 2 art. 22, D. P. t. 70, st. 375), przeto podział budowli na położone kolonialnie i niekolonialnie może być w części uważany za taki sam podział osad włościańskich. Odnośna zaś statystyka wykazuje, że w kraju naszym jest dziś znacznie więcej budowli drugiej kategorii, niż pierwszej: budowle położone niekolonialnie stanowią 55.3% wszystkich budowli włościańskich. Cyfra ta jednak i ten stosunek procentowy niewątpliwie ulega powolnej lecz stałej zmianie na korzyść powiększania się budowli położonych kolonialnie, ponieważ wszelkie nowopowstające gospodarstwa budują się przeważnie w ten sposób, podczas gdy stare, dawniej pourządzane wsie włościańskie przedstawiają zazwyczaj szereg sąsiadujących domostw. Powszechnem jest zdanie, że nasz włościanin nie jest zwolennikiem kolonialnej organizacji gospodarstw, że woli raczej poprzestać na małym, byleby być razem z sąsiadami, niż otrzymać więcej, lecz w odosobnieniu, zdala od innych. Jest to jeden z licznych rysów charakteru, jakie usiłują dopatrywać w naszym wieśniaku rzekomi znawcy ludu. Dążność do powiększania własności i mienia, pewnego rodzaju materializm, jest bezzaprzeczenia głównym bodźcem i zasadniczą cechą wyemancypowanego ekonomicznie włościanina. Dziś, na każdym kroku kieruje się on zasadą utylitarną, a ta wskazuje mu kolonialne urządzenie nie tylko budowli, lecz i gruntów.

Wszystkie budowle włościańskie, tak mieszkalne, jakoteż i przeznaczone na użytek gospodarstwa, należące bądź do gromad wiejskich, bądź

¹⁾ W liczbie budynków pominięto wiatraki, które pomieszczone są w oddzielnym oddziale budowli przemysłowych, sądzimy jednak, że ich liczba nie wpływa na ogólne stosunki tabelą objęte.

do osób prywatnych, w skład tych gromad wchodzących, — wszystkie są ubezpieczone na sumę blisko 100 milionów rubli. Że zaś budowle są przyjmowane do wzajemnego ubezpieczenia gubernialnego w całkowitej i nie niżej od $\frac{3}{4}$ ich wartości, możemy więc przyjąć, że powyższa suma ubezpieczenia jest zarazem sumą szacunku zabudowań włościańskich. Tu wyłączamy z obliczeń tylko budynki przemysłowe, do których głównie należą wiatraki. Wartość jednak tych ostatnich nie jest tak znaczną, a szacunek w stosunku $\frac{3}{4}$ wartości jest tak rzadki, że przy obrachunku średniej wartości budowli włościańskich śmiało możemy za jej wyraz przyjąć wskazaną sumę z góry 100 milionów rubli.

Podług tych obliczeń, jedna budowla włościańska przedstawia wartość średnio 170 $\frac{1}{2}$ rs. Tu zachodzi lekka różnica pomiędzy budowlami położonymi kolonialnie i niekolonialnie: w pierwszych jedna budowla przedstawia wartość średnio 164.3 rs., w drugich — 186.4 rs. Różnicy tej nie można tłumaczyć niższą wartością budowli położonych kolonialnie. Pochodzi ona raczej ztąd, że w przeważającej liczbie budowli niekolonialnych więcej się znajdzie droższych zabudowań, niż w mniejszej liczbie budowli kolonialnych.

Jak liche i słabo zabezpieczone od wypadków ognia są budynki włościańskie, sądzić można z tego, że na ogólną sumę 100 milionów rs. ubezpieczenia, wypada aż 91,148,060 rs. na ubezpieczenie samych tylko budowli klasy 3-ciej, t.j. zbudowanych z materiału palnego, jak drzewo i słoma. Wartość szacunkowa tych budowli wynosi prawie 91 $\frac{1}{2}$ % ogólnej wartości budowli włościańskich. Zważywszy, że budowle tej kategorii dużo mniej warte, niż zabudowania dwóch pierwszych klas, przekonywamy się o ich przeważającej jeszcze dziś liczbie. Budowle, postawione z materiału niepalnego, jak cegła, kamień, żelazo, są prawdziwą rzadkością — wykazują zaledwie 2.2% ogólnego szacunku. Budowle zaś mieszane, t. j. zbudowane częścią z materiału niepalnego, częścią z palnego, również jeszcze nie są rozpowszechnione, stanowiąc 6.2% wartości ogólnej.

Uogólniając dotychczasowe wnioski, widzimy, że budowle włościańskie są przeważnie drewniane, słomą kryte, a więc wystawione na ciągłe klęski i zniszczenie; zabudowania, więcej z tej strony zabezpieczone, są jeszcze tak wyjątkowe, że nie można się spodziewać rychłych na tem polu ulepszeń; obecne zasoby materialne włościan, a głównie szachownica w gruntach wiejskich krępują wszelki postęp, zmuszając drobnych gospodarzy do opędzania najpilniejszych potrzeb. Podejmowanie trwalszych re-

form i ulepszeń w dzisiejszych warunkach ekonomicznych drobnej własności jest prawie niemożliwym.

Dotąd, w charakterystyce gospodarstw włościańskich zajmowaliśmy się podstawą ich gospodarstwa — ziemią. Przyjrzyjmy się teraz głównemu czynnikowi eksploataowania tej ziemi — inwentarzowi.

Pozornie zdawać by się mogło, że pod względem inwentarza, stanowiącego ważny czynnik wytwórczy w każdym gospodarstwie, drobna własność zajmuje w kraju naszym uprzywilejowane stanowisko. Do podobnego wniosku mogła by upoważniać masa koni i bydła, przez włościan trzymanego.

Liczba koni, podług danych urzędowych, wynosi w Królestwie ogółem do 753,000 sztuk. Jeżeli wyłączymy z tego około 100,000 koni w posiadaniu osób, niemogących trudnić się hodowlą, pozostanie nam do hodowli właściwie koni sztuk 653,000, w tem 211,000 sztuk na folwarkach i przeszło dwa razy tyle, t. j. 442,000 sztuk w posiadaniu mniejszej własności, a więc włościan i drobnej szlachty.

Taką samą przewagą na korzyść drobnej własności widzimy i w dziale drugim inwentarza — w bydle. Na całej przestrzeni Królestwa znajduje się ogółem 2,835,000 sztuk bydła, że zaś w folwarkach znajduje się 617,900 sztuk, najznaczniejsza więc ilość bydła — 2,217,000 sztuk znajduje się znowu w rękach małych właścicieli po wsiach i w części w posiadaniu mieszkańców miast.

Liczby te, wątpimy, by mogły kogo w błąd wprowadzić. Prawdą jest, że włościanie posiadają masę inwentarza, lecz zarazem jest prawdą, że inwentarz to liche, w całym słowa znaczeniu. Rzecz bardzo prosta: włościanie trzymają dużo inwentarza dla nawozu, tak dużo, że nie mogą mu dać odpowiedniej paszy, której częstokroć, pomimo służebności pastwiskowej, brak dla wyżywienia tego inwentarza. Nędzne karmienie wpływa też ciągle na upadek koni i bydła włościańskiego. Z drugiej znowu strony, brak w kraju stacyj rozplodowych i brak wogóle dobrych reproduktorów silnie oddziaływa na rasę krajową, przez włościan głównie hodowaną. Reprodukatory przez włościan używane, to prawdziwe karykatury koni. Włościanie nie dbają o dobór ogierów, a choćby i dbali, to i wówczas nie zawsze mogliby zadość uczynić swej chęci, bo sprowadzenie rozplodnika jest jeszcze zbyt kosztowne nawet dla średnich gospodarzy.

A jednak bydło i konie włościańskie przedstawiają materiał, z którego mógłby powstać dobry inwentarz roboczy. Lecz na to potrzeba przekształcenia obecnych stosunków ekonomicznych drobnej własności i roz-

powszechnienia głównych czynników, niezbędnych w racjonalnej hodowli. Dopóki włościanie będą skrupowani w swych przedsięwzięciach melioracyjnych konfiguracją własności gruntowej, t. j. dopóki nie zostanie usunięta główna przeszkoda rozwoju drobnych gospodarstw, dopóty też wszelkie próby drugorzędnych ulepszeń muszą pozostać bezowocnymi.

Wobec tak słabego rozwoju gospodarstw włościańskich, każdy przyznać musi, że w dzisiejszych warunkach nie tyle ważną jest sprawa zapewnienia wszystkim własności i zabezpieczenia bytu bezrolnych, ile sprawa zapewnienia trwałych podstaw rozwoju drobnych gospodarstw.

Na zubożenie i liczebny rozrost klasy bezrolnych łatwo znaleźć skuteczne lekarstwo. Podniesienie kultury zapewni zawsze znaczny tej klasie zarobek, a z drugiej znowu strony, rozwijający się przemysł domowy złagodzi wszelkie trudności, jakie nastęrczyć może gospodarstwom włościańskim zbytnie rozdrobnienie gruntowe. Zawsze więc na pierwszym planie nierozstrzygniętej dotąd kwestii włościańskiej stać będzie potrzeba usunięcia tych wszystkich przeszkód, jakie stają obecnie na drodze do racjonalnego rozwoju drobnej własności.

Dziś kwestya włościańska polega na potrzebie segregacji gruntów szachowniczych i organizacji kredytu, dostępnego dla drobnych gospodarzy.

Z kolei wypada nam się zastanowić, jakie znaczenie posiada dla mniejszej własności sprawa służebności, sprawa, od rozstrzygnięcia której spodziewają się ekonomicznego wyzwolenia folwarków. Powszechną jest jeszcze skarga, że regulacya służebności napotyka przeszkody głównie ze strony włościan, że posuwa się bardzo powoli i że obecny jej stan bynajmniej nie rokuje szybkiego ukończenia sprawy. Doniosłość tej skargi znacznie się zredukuję, jeżeli w roztrząsaniu serwitutów staniemy na gruncie interesów drobnej własności i jej obecnego stanu ekonomicznego.

W zasadzie służebności uznane zostały przez samo prawo jedynie za czasową pomoc dla gospodarstw włościańskich. Regulacyi zaś służebności prawo to nie podjęło, pozostawiając ją wzajemnej, dobrowolnej umowie stron interesowanych. Ten brak reglamentacyi i pozostawienie rozstrzygnięcia kwestyi samym stronom zmusza nas do szukania przyczyn powolnego przebiegu sprawy nie w przeszkodach prawnych, formalnych, lecz w ogólno-ekonomicznych warunkach kraju i drobnej własności.

Do czasów uwłaszczenia praca włościan była przez długi szereg wieków wyzyskiwana przez folwarki, które swoje obszary gruntowe powiększały kosztem obszarów włościańskich. W ekonomicznym jednak intere-

się większej własności leżało podtrzymywanie choćby średniego dobrobytu robotników. To też w zamian za utratę ziemi, oraz powiększenie dni roboczych i rozmaitych kategorii robocizny, dziedzice nadawali włościanom na niektórych gruntach swoich dogodności w formie prawa użytkowania. Historyczny rozwój służebności przekonywa nas, że są one spuścizną z czasów pańszczyźnianych. Przed uwłaszczeniem służebności występowały zawsze w charakterze dobrowolnej ofiary ze strony większej własności, jako usprawiedliwienie wysokiej pańszczyzny. W miarę tego, jak włościanie coraz mniej posiadali gruntów, jednocześnie otrzymywali coraz więcej praw służebnościowych. Proces ten trwał od chwili pierwszego wypadku wyłączenia włościan i powstałej jednocześnie potrzeby wynagrodzenia ofiary w inny sposób.

Taki stan rzeczy istniał do szóstego dziesiątka lat bież. st., t. j. do chwili, gdy istniejące podówczas Towarzystwo Rolnicze podjęło kwestyę włościańską. Towarzystwo to było przekonane, że zamiana służebności powinna być dokonana jednocześnie z regulacją gruntów szachowniczych. Częściowe usiłowania pojedynczych członków, sporadyczne wypadki regulacji i urządzenia włościan w dobrach prywatnych, wreszcie urządzenia włościan w majątkach skarbowych — świadczą o tem dostatecznie. Wreszcie, w Tow. Roln. przyjęto ogólny wniosek, że urządzenie gruntowe włościan ma poprzedzać zamianę służebności ¹⁾, że samo zniesienie służebności, bez regulacji gruntów szachowniczych jest zgubne ²⁾, jako nieprowadzące do ostatecznego rozwiązania kwestyi włościańskiej i podające tylko środki paljatywne. W myśl tych wniosków, Towarzystwo Rolnicze uznaje potrzebę utrzymania służebności ³⁾, przynajmniej do czasu zupełnego zniesienia szachownicy.

Racjonalny pogląd Tow. Roln., jego uzasadnione wnioski, do których dziś nawet nic dodawać nie potrzeba, poszły obecnie w niepamięć. A chociaż większość osad z gruntami szachowniczymi posiada dotąd prawo do służebności, większa własność w słabym stopniu interesuje się sprawą regulacji gruntowej. Gdyby przeprowadzić zamianę służebności bez zniesienia szachownicy, powstała by większa niż dotąd zależność osad włościańskich od folwarków, wstrzymanoby zupełnie ekonomiczne wyzwolenie dro-

¹⁾ Roczn. Tow. Roln., T. XIV. str. 461.

²⁾ Tamże, str. 490 i 679, p. wyborny w tej mierze głos p. L. Górskiego.

³⁾ Tamże, str. 490.

bnej własności, zatamowanoby wytwórczość drobnych warsztatów rolniczych. Słowem, otrzymalibyśmy ten rezultat, na jaki w swoim czasie wskazywało już Towarzystwo Rolnicze.

Roztrząsanie służebności ze stanowiska interesów drobnej własności jest jedynie racjonalne i jako takie prowadzi do wytłomaczenia, dla czego przez szereg 18-tu lat sprawa serwitutowa rozstrzygniętą nie została.

Jeżeli zwrócimy uwagę na obecny stan ekonomiczny włościan, na ich pierwsze potrzeby i z tego punktu będziemy oceniali dotychczasowe rezultaty umów dobrowolnych względem zamiany służebności, przekonamy się, że sprawa ta nie posuwa się tak zółwim krokiem, na jaki ustawicznie skarżą się przedstawiciele większej własności. Pomimo licznych trudności, sprawa regulacji serwitutów posunęła się już o tyle, że dziś uwolniono 31% obszaru, obciążonego w 1864 r. służebnościami.

Oto rezultat umów dobrowolnych o zamianę służebności w okresie od 1864 do 1881 r.

Nazwa gubernii	Obszar obciążony służebnościami w 1864 r.	Od 1864 do 1881 r. uwolniono		Pozostaje
		w	ł ó k	
Lubelska	56.960	18.652		38.308
Siedlecka	38.507	12.819		25.688
Kaliska	38.500	9.764		28.736
Kielecka	36.815	7.354		29.461
Warszawska	35.172	13.050		22.122
Radomska	33.146	15.033		18.113
Piotrkowska	32.648	8.842		23.806
Płocka	31.452	10.277		21.175
Łomżyńska	19.053	5.034		14.019
Suwalska	8.069	2.523		5.546
W Królestwie	330.322	103.348		226.974

Tak więc na 330,322 włók, obciążonych służebnościami w chwili uwłaszczenia, do 1881 r. uwolniono 103.348 włók. Jeżeli sprawa zamiany serwitutów i nadal będzie rozwijała się w tym samym jak dotąd stosunku,

moglibyśmy przypuszczać, że ostateczne jej rozwiązanie nastąpi dopiero za 40 lat. Podobne jednak przypuszczenie uważać należy za błędne. Naszem zdaniem, dobrowolne umowy o zamianę służebności osiągną ostateczny swój cel daleko wcześniej, raz dla tego, że w miarę zmniejszania się obszaru, obciążonego tytułami serwitutowymi, zamiana ich będzie się stawała coraz łatwiejszą, powtórę zaś nie tracimy nadziei, że wreszcie przedstawiciele większej własności raz przekonają się, że dla uwolnienia się od służebności pozostaje im tylko umowa dobrowolna.

Silnie rozwinięta wśród włościan dążność do skupu ziemi, do powiększania gruntowych obszarów zdaje się coraz więcej sprzyjać zamianie służebności na grunta z zupełnym prawem własności. W lubelskiem np., gdzie w ostatnich czasach dążność ta wystąpiła jaskrawiej niż gdziekolwiekby indziej, gdzie dokonano parcelacji znaczniejszych obszarów, jednocześnie też zawarto stosunkowo więcej umów o zamianę służebności.

Dopóki jednak właściciele folwarczni będą marzyli o innych sposobach uwolnienia się od służebności i dopóki nie przestaną oskarżać włościan o wygórowane żądania w zamian za używalności pastwiskowe i leśne, dopóty sprawa serwitutowa w rozwiązaniu swem będzie się ciągle odwlekała.

Winę wszelkiej zwłoki w ostatecznym rozwiązaniu kwestyi serwitutowej dziedzice folwarczni przypisać powinni sami sobie. Zamiast bowiem wyzyskać przyjazne na razie okoliczności i w chwili uwłaszczenia przeprowadzić zamianę służebności, dziedzice z niechęcią odwrócili się od prawa o umowach dobrowolnych. Ztąd powstał skutek nieprzewidziany, choć do przewidzenia łatwy, bo zupełnie naturalny. W pierwszej chwili po uwłaszczeniu, włościanie świeżo obdarowani nie mogli i nie umieli jeszcze tak cenić swej własności jak dzisiaj i niewątpliwie zrzekliby się swoich praw służebnościowych za stosunkowo nieznaczne wynagrodzenie gruntowe. Dziś jednak stosunki się zmieniły. Dziś włościanin wie, co to jest własność gruntowa i dla tego też nadaje służebnościom częstokroć przesadne znaczenie, w nadziei, że ich kosztem znakomicie powiększy kiedyś swoje uposażenie gruntowe. Pamiętać nadto należy, że podwyższenie ceny ziemi nie mogło pozostać bez wpływu na jednoczesne podwyższenie się wartości służebności, że im szybciej będzie wzrastała cena majątków, tem większą cenę będą żądali włościanie za służebności.

O tej prostej konsekwencji w warunkach ekonomicznych zapomnieli nasi dziedzice. Więcej nawet, dziś jeszcze bowiem przedstawiciele więk-

szej własności noszą się z projektem wykupu służebności podług normy wynagrodzenia likwidacyjnego, tak jak gdyby od tego czasu do dziś warunki ekonomiczne pozostały bez zmiany. Jeżeli myśl podobna nie jest nie-szczera, to w zasadzie jest zupełnie nielogiczna.

Przypuszczenie nasze, że w miarę szybszego zawierania umów rozstrzygnięcie kwestyi służebnościowej również szybko dobiegać będzie swe-go kresu, nie jest bez podstawy. Przekonywa nas o tem statystyka dóbr w Tow. Kred. Ziemsk. stowarzyszonych¹⁾. Podczas gdy w 1865 r. ułożyło się o zniesienie służebności pastwiskowych 115 osad, a leśnych 110 osad, w 1869 r. zawarło umowy już 2,179 i 2,449 osad, w 1875 r. zaś t. j. w dzie-sięć lat po uwłaszczeniu jeszcze więcej, bo o służebności pastwiskowe 5,409 osad, a leśne 5,291 osad. Ponieważ w warunkach ogólnie-ekonomicznych, nie zaszła żadna zmiana, mogąca w tej sprawie wpływać ujemnie, należy się więc spodziewać, że postęp powyższy przerwany nie zostanie. W in-teresie przeto większej własności leży przyspieszyć zawieranie umów, do-póki służebności pozostają jeszcze w przystępnej cenie. Nic nie rokuje, ażeby ich wartość miała spaść kiedyś. Przeciwnie, przypuszczalna kryzys, która prędzej lub później musi dotknąć większą własność ziemską, jako skutek anormalnej wyżki cen ziemi, podtrzymywanej spekulacją, jeżeli nie pozostanie bez wpływu i na mniejszą własność, zawsze wywoła pod-wyższenie wartości serwitutów, ponieważ zagrożeni przesileniem włości-anie szukać będą punktu wyjścia i ratunku w pozostałych im jeszcze pra-wach służebnościowych.

Rozbiór pytania, o ile słusznem było pozostawienie rozstrzygnięcia kwestyi służebnościowej na drodze umów dobrowolnych — uważamy za spóźniony i bezcelowy; 18-letnia praktyka powinna przekonać strony inte-resowane, że dziś wszelka w tej mierze reforma napotkałaby zbyt wiele trudności. Kilka projektów skapitalizowania wartości serwitutów, jakie po uwłaszczeniu wyszły od sfer administracyjnych i osób prywatnych²⁾, pozo-stało bez skutku, obecnie zaś, sądząc z panującej opinii — której wyrazem

¹⁾ Zbiór wiad. stat., str. 87, tab. F.

²⁾ Mowa tu z jednej strony o Projekcie obowiązkowej segregacyi gruntów włości-anskich i folwarcznych oraz wynagrodzenia włości-anskich za służebności, opracowanym przez b. władzę centralną do spraw włośc. w Król. Polsk. i o podobnym projekcie jednej z komisji do spraw włośc., z drugiej zaś strony o projekcie p. Wojzbuna, opracowanym z całą ścisłością techniczną i gruntową znajomością przedmiotu.

jest poniekąd odpowiedź na znany wniosek dzisiejszego generał-gubernatorstwa — najmniej można się spodziewać podjęcia na nowo tej sprawy.

Dotychczas słyszeliśmy o jednej głównie przyczynie, dla której sprawa zamiany służebności tak daleką jest jeszcze od ostatecznego rozstrzygnięcia, mianowicie — o wygórowanych żądaniach włościan. O ile zdanie to ma słuszość, po tem, cośmy wyżej powiedzieli, pytanie to pozostawimy bez odpowiedzi. Natomiast, w ogólnych warunkach materialnego bytu włościan szukać będziemy przyczyn bardziej podstawowych, które wytłumaczą nam więcej szczegółowo i przekonywająco zwłokę w rozwiązaniu kwestyi serwitutowej.

Zwracając się przedewszystkiem do tych przeszkód, jakie nastęca drobna własność ziemska, winniśmy zatrzymać się na szachownicy, jako warunku pierwszorzędnym obecnego stanu ekonomicznego tej własności.

W istocie, z danych statystycznych, dotyczących regulacyi serwitutów, przekonywamy się, że szachownica jest jednym z główniejszych powodów zwłoki w ostatecznem rozstrzygnięciu kwestyi służebności. Gdyby dziedzice, podejmując układy o serwituty, nie pomijali sprawy regulacyi gruntów szachowniczych, niewątpliwie zamiana służebności dałaby daleko szybsze rezultaty. Lecz właśnie w rzeczywistości dzieje się wprost przeciwnie. Baczni przedewszystkiem na własny interes, właściciele folwarków lekceważą potrzeby gospodarstw włościańskich i głoszą o wygórowanych żądaniach przy zamianie serwitutów.

Tymczasem żądania te mniej są wysokie, jeżeli tylko sprawa zamiany służebności jest połączona ze sprawą regulacyi szachownicy. Dotąd za samą regulację gruntów szachowniczych w osadzie wynagrodzenie ze strony dziedziców wynosiło średnio 1 morg 149 prętów, t. j. w stosunku do średniego obszaru osady — $11\frac{1}{2}\%$; za samą zamianę służebności wynagrodzenie dochodziło w przecięciu do 2 morg. 108 prętów, t. j. 19% , wreszcie, za zamianę służebności i za regulację gruntów szachowniczych włościanie otrzymywali 2 morg. 243 pr., t. j. $21\frac{2}{3}\%$. Słowem, przy dokonywaniu pojedynczo zamiany służebności i regulacyi, włościanie otrzymywali razem $30\frac{1}{2}\%$ w stosunku do normy uwłaszczenia, zaś przy przeprowadzeniu regulacyi razem z zamianą otrzymywali tylko $21\frac{2}{3}\%$, t. j. o 30% mniej.

Dane powyższe, dotyczące 9-ciu gubernij Królestwa, jeszcze wyraźniej stwierdzają nasz wniosek, jeżeli będziemy je roztrząsali w podziale gubernij na dwie grupy: z większym i mniejszym obszarem gruntowym

osad. W 4 guberniach o średnim obszarze osad 15 morg., włościanie otrzymali za zamianę służebności 18 $\frac{1}{3}$ % w stosunku do uwłaszczenia, i 15% za zamianę, przeprowadzoną jednocześnie z regulacją. Stosunek ten świadczy, że włościanie chętnie zgadzają się na niższe wynagrodzenie, jeżeli w ustępstwie tem widzą środek szybszej regulacji swoich gruntów szachowniczych.

Wyjątek stanowią osady drobnogruntowe, których właściciele otrzymują większe wynagrodzenie za zamianę służebności i regulację gruntów, niż za samą zamianę.

Ażeby więc przyspieszyć rozwiązanie kwestyi serwitutowej, należy pamiętać o potrzebie regulacji gruntów szachowniczych. Tak tu, jak w wielu innych stosunkach agrarnych w naszym kraju, skutecznym środkiem może być parcelacya. Sprzedaż folwarcznych odpadków, o ile z jednej strony jest wstanie przyczynić się do zmniejszenia obciążeń hipotecznych na majątkach, o tyle z drugiej strony może wpłynąć na uregulowanie obszarów włościańskich, których grunta pozostają w szachownicy z folwarcznymi.

Lecz czy oprócz szachownicy niema już innych przyczyn, tamujących normalne rozwiązanie sprawy serwitutowej? Niestety, są i są dość liczne.

Dotąd nie postawiliśmy pytania: czy służebności są potrzebne gospodarstwom włościańskim lub nie. Przedstawiciele większej własności rozstrzygnęli tę kwestyę przecząco. Więcej nawet, — niektórzy z nich usiłowali dowieść, że wszystkie kategorye służebności są ciężarem tak samo dla małej własności ziemskiej jak i dla większej. Bliższe jednak zbadanie stosunków ekonomicznych w sferze drobnych gospodarstw włościańskich przekonywa nas o bezzasadności podobnego twierdzenia: dla wielu z tych gospodarstw służebności są nietylko pożyteczne, lecz nawet stanowią niezbędny warunek ich bytu.

Dotyczy to przedewszystkiem tych licznych jeszcze w kraju osad, które posiadają niedostateczną ilość pastwisk. Podług danych urzędowych, doprowadzonych do 1875 r., w Królestwie przeszło 51% wszystkich gmin wiejskich posiada osady włościańskie, którym brak dostatecznej ilości łąk. W osadach tych łąki stanowią zaledwo 10% ogólnej ich przestrzeni gruntowej. W tej jednak liczbie gmin znajdują się i takie, których uposażenie pastwiskowe nie wynosi nawet połowy cyfry powyższej. Te bowiem

51% zawierają w sobie 314 gmin, t.j. 24% wszystkich gmin w Królestwie, których łąki wynoszą mniej niż 5% ogólnej przestrzeni gruntowej ¹⁾).

Cyfry te obejmują okres do 1875 r. Od tego zaś czasu ilość łąk, lasów i pastwisk w całym kraju zmniejszyła się, z kąd należy wnioskować, że i stan rzeczy w roztrząsanych tu 51% gmin nie polepszył się wcale ²⁾).

Tak dziś więc, jak i przed 17-tu laty, znaczna zawsze liczba osad zaspakaja swoje potrzeby pastwiskowe za pomocą służebności.

Wobec nizkiego stanu rozwoju gospodarstw włościańskich w naszym kraju — pisze jeden z obrońców obowiązkowej zamiany służebności ³⁾, — tudzież wobec niedostatecznego wogóle uposażenia włościan w łąki i pastwiska, pasza bydła w lasach stanowi i długo jeszcze stanowić będzie warunek *sine qua non* istnienia włościan... Wobec takich okoliczności pozostawałoby tylko pogodzić się z koniecznością dozwolania włościanom użytkowania z pastwiska leśnego.

Jeżeli zwrócimy uwagę na statystykę umów o zamianę służebności i umów o jednoczesną zamianę gruntów i służebności, przekonamy się, że do końca 1873 r. średnio w każdym powiecie przystąpiło do umów o zamianę służebności 429, osad a do umów o zamianę gruntów i służebności — 186 osad. Od tej przeciętnej spotykamy znaczne wyjątki, mianowicie w powiatach, gdzie cyfra ta dochodzi do minimum. Tak w powiecie łomżyńskim w tym czasie zawarło umów pierwszej kategorii 20 osad, drugiej kategorii — 0, w pow. kolneńskim 7 i 0 osad, mazowieckim 24 i 0, ostrołęckim 0 i 0, marjampolskim 3 i 0, kaliskim 19 i łęczyckim 19. Te powiaty należą właśnie do miejscowości z osadami małorolnemi.

Wnioski powyższe znajdują zupełne usprawiedliwienie w statystyce dóbr stowarzyszonych w Tow. Kred. Ziemsk.

Po koniec 1879 r. ułożyło się o zniesienie wszelkich służebności średnio w gubernii każdej 62 dóbr i 2,697 osad, a w każdym powiecie średnio 7 dóbr i 317 osad. Zwrot od tej przeciętnej ku minimum spotykamy właśnie w tych powiatach, w których przeważają osady małorolne.

Następująca tabelka da nam bliższe w tej mierze objaśnienie ⁴⁾).

¹⁾ Dane wyjęte z Anuczyna: Zarysy stanu ekonomiczn. włościan w Król. Polsk. 1875.

²⁾ *Bibl. Warsz. Zesz.* IX, T. III, 1882 r. Nasza własność ziemska.

³⁾ J (ó z e f) K (r a s u s k i). Lasyrządowe w Kr. Pol., *Przegląd leśniczy zesz.* z paźdz. 1877 r.

⁴⁾ Tabelkę tę ułożyliśmy na podstawie wykazu 2 w Zbiorze na str. 228 i nast. oraz cytowanego wyżej W y k a z u s p r a w o z d a w e z e g o.

Liczba po- rządkowa	Nazwa powiatów	Liczba osad			Ilość ogólna	
		ogólna	z obszarem 15 morg. i więcej	z obsza- rem do 3-eh morg.	dóbr	osad
					które ułożyły się o zniesienie wszelkich służeb.	
1	Lipawski	5.613	1.391	2.996	3	88
2	Rypiński	6.013	1.096	2.786	1	21
3	Sierpecki	3.030	884	1.501	3	83
4	Ciechanowski	4.795	1.060	2.064	3	136
5	Przasnyski	3.029	737	1.201	1	12
6	Łomżyński	2.916	723	1.259	—	—
7	Szeczuciński	2.407	453	731	3	77
8	Kolneński	1.960	759	620	—	—
9	Ostrolęcki	1.811	347	753	—	—
10	Mazowiecki	1.818	688	679	4	64
11	Makowski	2.543	702	906	4	90
12	Suwalski	1.206	724	277	1	68
13	Sejneński	3.560	2.037	998	1	14
14	Augustowski	3.098	1.465	572	—	—
15	Kalwaryjski	3.336	1.776	1.034	2	144
16	Maryampolski	2.923	1.269	1.235	—	—
17	Wylkowyski	2.185	1.020	939	4	66
18	Władysławowski	2.691	1.954	632	—	—
19	Koniński	6.966	1.486	1.827	—	—
20	Kaliski	7.953	1.718	3.576	1	22
21	Sieradzki	8.239	970	2.295	4	99
22	Turecki	8.556	1.178	3.439	2	39
23	Ślupiecki	6.376	1.304	2.077	1	22
24	Łęczycki	6.210	1.319	2.895	3	82
25	Kielecki	3.417	757	488	1	23
26	Miechowski	7.207	590	1.685	—	—
27	Włoszczowski	4.906	895	1.427	—	—
	W 27 powiatach	114.424	29.302	40.592	42	1.150

Podana w tabelce tej liczba osad — ogólna i osad większych i drobnych — została wyjęta z Wykazów sprawozdawczych, ułożona po ostatecznym sprawdzeniu tabel likw. Naturalnie w liczbach tych zaszły dziś znaczne zmiany. Chcąc jednak przedstawić stan sprawy służebnościowej, nie mogliśmy uwzględnić tych zmian, jako często pochodzących właśnie od uregulowania tej sprawy i dla tego też wzięliśmy stosunek osad małorolnych do ogółu osad włośc. taki, jaki istniał w chwili zatwierdzenia tabel likw. i zestawiliśmy go z rezultatami umów do końca 1879 r.

W 27 powiatach wskazanych, liczba osad z przestrzenią niżej 3 morg. wynosiła w chwili zatwierdzenia tab. likw. 40,592. Powiększając tę liczbę w takim stosunku, jak to wyżej uczyniliśmy przy obliczaniu ogółu osad małorolnych w Królestwie, t. j. przez dodanie naturalnego rozdrobnienia i osad od 3—6 morg. gruntu liczących, otrzymamy w przybliżeniu 160,000 osad, czyli, że w 27 powiatach badanych, osady małorolne stanowią 64% wszystkich drobnych osad. Mamy więc przed sobą powiaty z przewagą osad małorolnych.

Tabelka powyższa wskazuje dalej, że w powiatach tych w okresie od 1864 do 1879 r. włącznie, zawarto znacznie mniej umów, niż w każdym innym powiecie. Gdy bowiem w całym kraju w czasie tym przystąpiło do ostatecznego uregulowania służebności 623 dóbr i 26,979 osad, w badanych zaś 27 powiatach, stanowiących blisko $\frac{1}{3}$ część kraju — tylko 42 dóbr (6%) i 1,150 osad (4%).

Wprawdzie cyfry powyższe dotyczą jedynie służebności na dobrach ziemskich, w Tow. Kred. stowarzyszonych, że jednak dobra te stanowią w Królestwie 76% własności większej, sądzimy więc, że uogólnienie wniosków powyższych nie będzie się sprzeciwiało istotnemu stanowi rzeczy.

Jakkolwiek na układ stosunków taki, jaki przedstawia powyższy wykaz, mogły wpływać i bezwątpienia wpływały rozmaite względy bądź czysto ekonomiczne, bądź znaczenia technicznego, w każdym jednak razie w ich liczbie wyróżnić należy przede wszystkim fakt, że w niektórych miejscowościach sami właściciele folwarków niechętnie przystępowali do umów, prowadzących za sobą zawsze powiększenie gruntowe drobnych rolników.

Ujmując powyższe uwagi w ostateczne wnioski, widzimy, że sprawa służebności pozostaje w ścisłym związku z kwestyą włościańską, że rozwiązanie pierwszej może nastąpić przy jednoczesnym rozstrzygnięciu ostatniej.

Ogólny stan ekonomiczny włościan, szachownica gruntowa — oto główne przyczyny powolnego rozwoju umów dobrowolnych. Pomijamy w ich rzędzie liczne fakty nietyle ekonomicznej natury, jak raczej wynikające z moralnego stanu gmin naszych, t. j. przedewszystkiem pokątne doradztwo, którego wpływ dominujący oddziaływa też i na sprawę służebności. Że podobne wpływy istnieją, że mogły się one utrwalić, czyjaż w tem wina, jeżeli w części nie większej własności i jej separatyzmu?

Z pośród środków, jakie byłyby w stanie przyspieszyć rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej i służebnościowej na drodze dobrowolnych umów, wyróżnić należy dwa głównie — parcelację i kredyt.

Przedewszystkiem zaś pierwszy z tych środków, gdyby tylko mógł trafić do przekonania „upadających właścicieli ziemskich“, dokonałby pożądanego unormowania naszych stosunków agrarnych.

Do parcelacji kwalifikują się w kraju naszym te wszystkie obszary folwarczne, których budżet gospodarczy nie może osiągnąć niezbędnego przy prawidłowym zarządzie bilansu. Uszczuplenie ich granic, zmniejszając środki nakładowe i dostarczając kapitału na zniesienie ciężarów hipotecznych, podniosłoby gospodarstwo folwarczne. Z drugiej zaś strony, parcelacja, prowadzona w majątkach, obciążonych służebnościami, powiększając liczbę zamożniejszych gospodarstw włościańskich, mogłaby choć w części przyczynić się do zmniejszenia szachownicy gruntowej, ponieważ na parcelację można by wystawić właśnie te grunta, które pozostają w szachownicy.

Co się wreszcie tyczy drugiego środka — kredytu, to ten jest niezbędnym dla szybszego zastosowania parcelacji. Ażeby bowiem sprzedaż odpadków i działów folwarcznych mogła znaleźć łatwych nabywców w szeregu drobnych właścicieli, a zarazem zapewnić dziedzicom pewien zysk z tej operacji, należy udostępnić włościanom kapitał przez zorganizowanie kredytu, który w dzisiejszych urządzeniach jest dla nich prawie niedostępny. Dotychczasowe rezultaty parcelacji są skutkiem nietyle środków kredytowych, jakimi rozporządza drobna własność, ile raczej zasobów materialnych, jakie też drobna własność w przeciągu 18-tu lat skapitalizować umiała. Pomimo braku kredytu, parcelacja posuwa się szybko naprzód; w jednej tylko gubernii kaliskiej, włościanie od 1864—1882 r. wykupili gruntów dworskich 50,000 morg. na sumę 3 mil. rs. Łatwo zrozumieć, o ile szybsze byłyby rezultaty, gdyby tendencye parcelacyjne znajdowały skuteczną pomoc w kredycie.

To też wobec niezaprzeczonej doniosłości parcelacji, musimy zwrócić się do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które jedno tylko w obecnych warunkach kredytu ziemskiego pomoc taką zapewnić jest w stanie. Nasuwa się tu pozorna trudność, ponieważ minimum obszaru, na jaki Towarzystwo udziela pożyczki, wynosi 90 morg., a takiego właśnie obszaru rzadko kiedy dosięgają gospodarstwa włościańskie. Trudność tę możnaby jednak pokonać. Wskazówkę w tej mierze daje nam poruszona w Petersburgu sprawa kredytu dla drobnej własności w instytucjach wzajemnego kredytu. Kwestyę tę postawiono w ten sposób, iż pożyczki mogą brać całe gminy, nie należące do Towarzystwa, a więc i nieodpowiadające za jego straty. Sądzimy, że przeszczerpienie tej zasady na nasz grunt, zależy tylko od inicjatywy właściwych sfer, t. j. przedewszystkiem Tow. Kred. Ziemsk.

Nie mogąc udzielać pożyczek na osady pojedyncze, Towarzystwo Kred. Ziemskie mogłoby udzielać je na grunta gminne, będące własnością gmin całych, lub na grunta, należące do grupy gospodarzy.

Nie przedstawiałoby to wielkiej trudności, ile że podobna forma własności istnieje u nas od czasu uwłaszczenia.

W chwili ostatecznego zatwierdzenia tabel likwidacyjnych, 424,727 osad posiadało $5\frac{1}{2}$ milionów morg. ziemi. W tej liczbie znajdowało się wówczas 434,367 morg. gruntów gminnych, które tym sposobem stanowiły prawie 8^o% całej przestrzeni własności włościańskiej. Dziś nie wiemy, o ile zmieniły się te stosunki. Że jednak obecnie liczba osad powiększyła się do 685,605, a przestrzeń ich przeszła do $8\frac{1}{2}$ mil. morg., możemy więc przypuszczać, że i cyfra gruntów gminnych również się powiększyła. Zresztą choćby nawet powiększenie to nie wpłynęło na zmianę powyższego stosunku procentowego, zawsze będziemy mieli 8^o% gruntów gminnych. Z czasem jednak procent ten znacznie się powiększy, mianowicie od chwili, gdy uzyska zatwierdzenie roztrząsany dziś w sferach rządowych projekt o dozwoleniu zarządom gminnym ziemie sprzedawane za długi i niedobory skarbowe przez licytacje, w razie gdyby suma zaofiarowana przez licytujących nie dosięgała sumy należności, pozostawiać jako własność gmin.

Przestrzeń w mowie będącą właśnie kwalifikujemy do pożyczek w Tow. Kred. Ziemsk. Grunta gminne ulegają kontroli całej gminy i są przez nią administrowane, co daje dobrą rękojmię produkcyjnego użycia pożyczek.

Wreszcie, nietylko grunta gminne mogą ułatwić Tow. Kred. Ziemsk. udzielanie pożyczek włościanom. Obecna trudność kredytu włościańskiego

z powodu wysokiego dla osad minimum gruntów, mogłaby też być pokonaną przez otwieranie kredytu grupie gospodarzy. W jaki zaś sposób ukształtują się stosunki włościan, zaciągających w ten sposób pożyczki, jest to już sprawa drugorzędna. Rozwiązanie jej przeprowadzą bezwątpienia najskuteczniej sami włościanie.

Myśl tę rzucamy pod adresem władz Tow. Kred. Ziemsk. w nadziei, że takowa zostanie należycie przez nie roztrząśniona.

Wyzyskanie bowiem środków, mogących przyspieszyć rozstrzygnięcie podniesionej przez nas kwestyi włościańskiej i serwitutowej, dotąd podjęte nie zostało, pomimo oczywistych korzyści nietylko dla jednej strony — włościan, lecz i dla drugiej — folwarków. Wyszukiwanie projektów obowiązkowej zamiany służebności, wobec nieprzyjaznej tendencyi w sferach kierujących, nie doprowadzi nigdy do celu, lecz przeciwnie, narazi sprawę na zwłokę. Projekty takie należy porzucić raz stanowczo, ile że i na drodze umów dobrowolnych można dojść do praktycznych rezultatów. Z losem tym większa własność zgodzić się powinna.

Warszawa, 10 września 1882 r.

Franciszek Olszewski.

PRÓBA CHARAKTERYSTYKI
SZLACHTY POLSKIEJ.

Niezlomne prawa rządzą światem, a więc i losami ludzkiemi. Pewnik ten dzisiaj za ustalony, zdaje się, uważać już wolno. Widoczniejszym jest on, o ile dotyczy przyrody; mniej oczywistym w stosunku do ludzkości, a szczególnie do jej dziejów. Dla czego? Dla tego jedynie, że nauki przyrodnicze dalej i pewniej postąpiły od socyologicznych. Gdy przyrodnik twierdzi śmiało, iż od pewnych wykrytych już praw niema w naturze wyjątków i prawa te umie dokładnie i stanowczo wyrazić, historyzof i socyolog przez analogię przeczuwa dopiero nieubłagane władztwo ich nad ludzkością, lecz nie może usystematyzować ich ostatecznie i wszechstronnie. Powodem tego nieustalenia jest naprzód niezmiernie skomplikowanie i niesłychana zawilóść przeczuwanych praw tych, a powtóre brak obrobienia niezbędnych ku temu zasobów.

Gdyby prawa te niewątpliwie i jasno były już wyrozumiane, zadanie moje niezmiernieby się ułatwiło. Należałoby tylko wskazać warunki geograficzne i plemienne narodu, dodać do nich szkic rozwoju wewnętrznego i zewnętrznego, a fizioznomija moralna czy całego ogółu, czy jednej warstwy wystąpiłaby tak jasno, jak w oczach botanika ukazuje się natura danej rośliny, gdy zdołał określić należenie jej do pewnej uprzednio już dobrze znanej rodziny. Lecz przy nieobecności ustalenia praw historyzofii wogóle, a nadto przy braku opracowania praw tych w stosunku do dziejów naszego narodu w szczególności, zadanie utrudnia się, nie mówiąc już

o konieczności wykonania jego w nader szczupłych rozmiarach i o skromności zasobów piszącego. Dlatego też próbą rozprawkę moją nazwałem i proszę pobłażliwego czytelnika, aby za takową ją uważał.

Bez genezy, wyjaśnienie czegokolwiek w przyrodzie jest niepodobniństwem. Bez przyjrzenia się rozwojowi i jego warunkom, nie zdołamy zrozumieć obecnego stanu duszy szlachcica polskiego. Przedewszystkiem więc należy rzucić okiem na warunki etnograficzne, geograficzne i historyczne, wśród których ta warstwa narodu naszego wzrosła i wybujała. W pierwszej przeto części przypatrzymy się przeszłości szlachty, bo tylko tą drogą wyjaśnić zdołamy jej obecną fizyognomię duchową, której drugą, obszerniejszą część poświęcić zamierzamy. Łańcuch konieczności dziejowej musiał i tu, jak wszędzie, wycisnąć swe ślady; terażniejszość tłumaczy się tylko przeszłością i jest sumą warunków krwi, miejsca, oraz okoliczności, wypadków, wpływów historycznych; każdy rys oblicza dzisiejszego jest wynikiem wpływów wczorajszych. A jeżeli ma być mowa o wnioskach praktycznych, to nie zapominajmy, że poznanie genezy czynników społecznych prowadzi nie tylko, według przysłowia, do *p r z e b a c z e n i a* złego, ale i do *z a r a d z e n i a* złemu. Można bowiem powiedzieć, że *tout comprendre, c'est tout pardonner et tout reparer*.

I.

W P Ł Y W Y P R Z E S Z Ł O Ś C I.

a) *Etnograficzne.*

Polacy należą do szczepu słowiańskiego, a ten do wielkiego plemienia aryjskiego. Jakie zarodki życia umysłowego wynieśli Słowianie ze swej kolebki aryjskiej? Jaki posąg moralny dano Polakom z rodzinnego domu słowiańskiego? Na pierwsze pytanie odpowiadano mało i domysłowo; na drugie więcej, ale, zdaniem mojem, z bardzo małą pewnością. Usiłowano nieraz określić ogólny charakter pierwotnych Słowian i Polaków, ale przekonywającego, pewnego nic nikt nie powiedział. Prawiono o specjalnej bierności jużto Słowian, już Polaków, o szczególnej u nich przewadze serca nad rozumem; komentowano owo sławne przezwisko *sclavus saltans*, owo pojawienie się wędrownych lutnistów Słowian w obozie greckim; rozprawiano o czaszkach słowiańskich i wyciągano z nich wnioski o umy-

słowości Słowian. Zdaje się jednak, że i ta bierność, i ta przewaga uczuć, i skłonność do tańca i muzyki, i te wnioski z czaszek nie tyle samych Słowian, ile wogóle ludy pierwotniejsze charakteryzują.

Nie rozwodzę się tedy nad ciemnym dotąd zagadnieniem, jaki był charakter Słowian wogóle, a Polaków w szczególności, gdy na arenę dziejów wystąpili. Tak mało o tem wiemy, iż najbezpieczniej jest tymczasem przyjąć wpływ etnograficzny za jakies *x* przypuszczalne i zwrócić raczej uwagę na lepiej znane inne warunki ukształtowania charakteru szlachty naszej. Zobaczymy niżej, że cechujące ją przymioty i wady, jak gościnność, odwaga, lekkomyślność, próżność, próżniactwo i t. d. znamionują wszelki lud pierwotny, jakakolwiek krew w żyłach jego płynie. Specyficznie zaś słowiańskich, czy polskich przymiotów lub przywar, zdolności lub niendolności doprawdy dotychczas nikt dowodnie nie okazał.

Zwrócić chyba należy uwagę na drobne wpływy, wynikające z obcego pochodzenia niektórych rodzin szlacheckich od Niemców. Ormian i t. d., oraz ze zmieszania krwi z innymi plemionami, a także na ludowe lub żydowskie pochodzenie wielu rodów; lecz i w tych razach wpływ żywiołów obcych tak zdaje się maluczkim, że w tej zwięzłej rozprawce mojej nie widzę potrzeby rozwodzenia się nad nim: ogólny typ szlachcica tak jest u nas jednolity, tak jednobarwny, że chyba mikroskop etnograficzny jakichś odcieni w nim dopatrzy.

b) Wpływy geograficzne.

Polska leży w północno-wschodniej Europie, o paręset mil od Rzymu i Paryża; graniczyła z nawpół-dzikimi niegdys plemionami; z cywilizacją rzymską nigdy nie stykała się bezpośrednio, więc z drugich i z trzecich rąk ją otrzymywała. Rozległe puszcze i pola zachęcały do myśliwstwa i rolnictwa. Brak gór zmuszał ludność do walczenia w polu i utrudniał obronę słabszych warstw od silniejszych. Brak bogactw przyrodzonych (kopalń, rzadszych roślin i zwierząt) usposabiał prawie wyłącznie do uprawy ziemi, którą silniejsi z biegiem czasu w ręce swe zagarnęli.

Takie są mniej więcej dane geograficzne, na których tle rozgrywały się dzieje nasze i rozrastała się uprzywilejowana klasa narodu.

Wyniknęły z tych danych następne warunki: opóźnienie cywilizacji i kultury, owa „młodszość“ Polski, albo, jak ja ją nazywam, długo przechowana jej pierwotność; rozwój ducha wojowniczego w narodzie i ułatwienie

przez to utworzenia się i umocowania warstwy uprzywilejowanej, oraz ciągle odrywanie obywateli od pracy organicznej; odbieranie cywilizacji przez różne pośrednictwa; ogólny charakter narodu sielsko-mysliwski; rozrzucenie jego po obszernych łąkach, brak miast i łatwych komunikacyj; napół wojskowa organizacja, nie tylko szlachty, ale prawie całego narodu; łatwe i ustawiczne porywanie się do broni, jako do *ultima ratio*, nie tylko względem wroga, ale i względem każdego współobywatela; zupełne poddanie się warstw uboższych i słabszych bogatszym i silniejszym; bezbronność miast i miasteczek (nie tyle z przyczyn geograficznych, ile z dziejowych, o czem niżej); przeważne oddanie się rolnictwu i skupienie gruntów w rękach szlachty i panów.

Jakie wpływy wywarły powyższe warunki na szlachtę, postaram się wskazać dalej; lecz już pobieżny rzut oka wskazuje na konieczne zarodki silnej zachowawczości, wspierającej się na podstawie bardzo stosunkowo późnej i pośredniej cywilizacji.

c) *Wpływy dziejowe.*

Jakiegokolwiek mieliśmy zaczątki cywilizacji własnej, w X wieku były one tak słabe, że dały się bezpowrotnie i do szczytu przygnieść starej, wytrawnej, imponującej cywilizacji rzymskiej.

Chociaż nam ją podawały napół barbarzyńskie ręce niemieckie, po części czeskie, chociaż otrzymaliśmy właściwie kopię kopii, prawie karykaturę urzędzeń, pojęć i wierzeń klasyczno-rzymskich, imponowały one jednak przodkom naszym, bo nieskończenie wyższymi były, duchowo i materialnie, od pierwocin rodzimej naszej cywilizacji. A przedewszystkiem urok kościoła dodawał wiejącym z zachodu i południa tchnieniom nieprzeartej, wszystko pochłaniającej siły.

Kościół katolicki w X wieku już był instytucją starą, wytrawną; już miał po za sobą tysiąc lat walk, doświadczeń, tryumfów i poniżeń; już był wsiąknął mnóstwo żywiołów kosmopolitycznych i nauczył się przemawiać do wszelkich poziomów cywilizacji, do wszystkich temperamentów; umiał się stosować do warunków wszelkich stref i epok; już posiadał cudowną rutynę, porywającą i unoszącą wszystkie świeże ludy. Obietnicami szczęścia wiekuistego, świetnymi hasłami równości, moralności, sprawiedliwości, współczucia dla biednych i poniżonych, a obok tego starorzyską okazałością obrzędów, szat, czarem wszystkich sztuk pięknych, usługują-

cych uroczystościom, dyscypliną sług swoich, urokiem majestatu dalekiego a nigdy nieoglądanego arcykapłana, praktycznem urządzeniem władzy nad sumieniami i mieniem wiernych, — całą tą potęgą władzy świeckiej, duchownej i tradycyi starorzemskich przemówił do wyobraźni praocjów naszych i przykuł serca ich na długie, bardzo długie wieki. Spostrzegli się oni z czasem, że słudzy tego kościoła często postępowali wbrew jego pięknym przepisom; ale to składano na karb ułomności ludzkiej a idealna gmina katolicka trwała w umysłach bez skazy, bo wierzone, że kościół to instytucja boska, ale nie ludzka. W XVI wieku zaleciały i do nas odgłosy buntu przeciwko niej i znalazły chętny u wielu postuch. Ale za mało było światła wogóle, za mało ufności w zdrowy, ludzki rozsądek reformatorów; zabrakło wodza-proroka nowej idei; nie było stanu średniego, ruchawszego zwykle od wieśniaków: tymczasem w Europie zapanowała groźna reakcja przeciw nowinkom i odbiła się u nas stokroć głośniejszym echem, niż same nowinki: najzdolniejsi ludzie wstąpili do szeregów reagujących kongregacyj i zwyciężyła wieś, zwyciężył twardy konserwatyzm, a zwyciężył znowu na długo, bo wszelki powrót do starej wiary, po chwilowem oczarowaniu i rozczarowaniu, odbywa się zwykle z niesłychaną energią i wróży długie trwanie.

Nie trzeba zapominać jednak, iż ów X-go wieku katolicyzm otrzymaliśmy, jak i całą cywilizację zachodnią, z drugiej i trzeciej ręki, i że wszczepił się u nas na gruncie pierwotnym. To poniekąd objaśnia trwałość i moc tak pierwszego sojuszu, jak i drugiego pojednania, zawartego po chwilowem zawahaniu się; tłumaczy to również pewną specyficzną postać naszego katolicyzmu, który, choć na całym świecie bardziej na powierzchownych obrzędach, niż na uszlachetnieniu duszy oparty, u nas jeszcze wybitniej temi znamionami się odznacza, co szczególnie na kobietach naszych widzieć się daje.

Jednocześnie z religią przybyły do Polski rzymskie pojęcia o bezwarunkowej własności ziemi; o wyższości ziemiaństwa nad wszystkimi innymi zatrudnieniami; o równości obywateli i ich nieograniczonych prawach nad niewolnikami; o świętości i nietykalności małżeństwa i rodziny, co i kościół sakramentem stwierdzał; o zacności odwagi wojennej; o tem, że *virtus*, męstwo, to cnota *per excellentiam*; o niższości handlarzy od wolnych obywateli, bo przecie w Rzymie tylko byli niewolnicy i barbarzyńcy kupczyli; o despotycznej władzy ojca rodziny nad żoną, dziećmi i domownikami. Nowe te pojęcia krzewiły się u nas z tem większą łatwością, że, jak

to już wspomnieliśmy, kraj sam przez się usposabiał do rolnictwa, drapieźni sąsiedzi zmuszali do ciągłej wojaczki, a oprócz przybyszów Niemców i Żydów nie było warstwy, któraby pomiędzy panem a niewolnikiem stanąć mogła.

Brak stanu średniego, jak wiadomo, wywarł stanowczy wpływ na upadek Polski; ale odcisnął też głębokie piętno i na charakterze szlachcica. Z początku nieliczna garść mieszczan Niemców ustąpić musiała przed szablami wojowników; później miejsce ich zajęli Żydzi; i ci nie mogli ani na chwilę pomyśleć o oporze; przybывая do nas, uciekali od krwawego prześladowania z zachodu; radzi byli, że Polska darowała im życie i pozwoliła zamieszkać; oddali za to w ofierze nie tylko godność swą obywatelską, ale i ludzką: stali się jak chłop pokornymi sługami wojowniczej szlachty i nigdy z tej roli nie wyszli. Zobaczymy później, jak ten brak hardego a silnego mieszczaństwa oddziałał niepomyślnie na charakter szlachecki.

Zachodni sąsiedzi nasi, pośrednicząc nam w udzielaniu cywilizacji, nie zdołali zaszczyć u nas czystego feudalizmu; ale nie obyło się bez silnych jego wpływów: pojęcie o bezwarunkowem prawie panowania silniejszego nad słabszym, rycerza nad chłopem, pewne romantyczne rozmarzenie wyobraźni, pewne rozkołysanie miłosne, dużo rycerskości w lepszym tego wyrazu znaczeniu, czystsze wyobrażenia o szlachetności, — wszystko to nie pozostało bez wpływu na praojców naszych. Rozbierając niżej składowe części duszy szlacheckiej, nie zapomnimy i o tych czynnikach.

Później, od XVI już wieku, wpływy włoskie i francuskie silnie na Polskę działały: ogląda form, grzeczne słowa, pozorna atencya dla dam, dużo rozpusty i lekkości zawdzięczamy tym romańskim wpływom; i o tem w dalszym ciągu pomówimy.

Tymczasem nie spuszczaćmy z oka najważniejszej okoliczności: z lekomyślnością i dobrą wiarą wszystkich ludów pierwotnych braliśmy masami dary zachodu; nie rozwijaliśmy kielków własnej cywilizacji, bo jeśli i posiadaliśmy takowe, to apostołowie duchowni i cywilni zachodu starannie i energicznie je deptali; więc naśladowaliśmy ciągle, a kto naśladowuje, ten zwykle robi gorzej i przesadza; grunt umysłów naszych nie był przygotowany do przyjęcia w krótkim stosunkowo czasie wielowiekowego dorobku zachodniego; otóż przyjmowaliśmy bez różnicy i złe i dobre, nie mieliśmy czasu przetrwać nabytków, chwytałyśmy mnóstwo rzeczy powierzchownie tylko, przesadzaliśmy w gorliwości, jak wszyscy niedostatecznie przygotowani neofici; przebieraliśmy miarkę w służalstwie Rzymo-

wi, szliśmy na skinienie jego w ogień, zapominając o własnych interesach: przedrzeźniając później Francuzów, paplaliśmy (i paplamy) ich językiem, zaniehbując własny; przyjmując za ewangelię zasadę rzymską o panach i niewolnikach. rodzonemu bratu naszemu, chłopu polskiemu, odmówiliśmy praw nietylko do ziemi, ale i do człowieczeństwa, a przesadzając Cycerońskie *nihil agricultura honestius*, obrzydziliśmy sobie i zohydziliśmy handel i przemysł, poniżyliśmy mieszczanina z jego łokciem i miarką — a sobie... grób polityczny wykopaliliśmy, a co gorsza. skaziliśmy i skrzywili charakter.

II.

TERA ŹNIEJSZOŚĆ.

Pod działaniem wyżej naszkicowanych wpływów rozwinęła się, prawem konieczności, moralna fizyognomia dzisiejszej szlachty naszej. Przypatrzmy się jej ile możności wszechstronnie, jaką się okazuje w życiu publicznem i domowem.

Życie publiczne wyraża się działalnością społeczną, polityczną. religijną i naukową; domowe — działalnością w rodzinie i najbliższem otoczeniu.

Przejdźmy kolejno wszystkie te strony działalności szlachcica i starajmy się odkryć jego usposobienia, pojęcia, zdolności, zalety i wady, które się składają na zabarwienie i kierunek tej działalności.

a) *Pojęcia i działanie społeczne.*

Rozrzucona na obszernej przestrzeni równin polskich, poddana wpływom, które nieuchronnie wywiera mieszkanie na wsi, w roli prawie samowładnych panów w domu i okolicy, nieposiadająca żadnej prawie własnej cywilizacji, poskramiająca pierwotność swej natury słabym hamulcem świecko-duchownej cywilizacji rzymskiej, podawanej przez ręce obcych pośredników; wiecznie stykająca się z poddańczemi warstwami narodu, oddanemi bez żadnych zastrzeżeń pod jej panowanie; niekrępowana, lub prawie niekrępowana władzą krajową; pojona maksymami obywatelsko-rzymskimi, a później rycersko-feudalnymi i szlachecko-francuskimi— szlachta nasza znalazła się na fatalnej pochyłości, na której. aby się nie pośliznąć, trzeba by mieć chyba nadludzką moc charakteru, a przynajmniej wielką powściągliwość, wyrabiającą się jedynie pracą długowiecznej cywilizacji.

Ze zaś tego hamulca nie było, wyrobił się więc i skryształizował ku końcowi XVIII wieku pewien zasób pojęć o szlachectwie i pewien typ odrębny, odmalowany świeżo przez p. Smoleńskiego, który używał doń farb, przez samą szlachtę na paletę mu nałożonych.

Jednakże w ciągu ostatnich lat stu pojęcia te znacznie się zmieniły i to, wogóle rzecz biorąc, na korzyść szlachty. Starły się rażące ostrości, przybyło dużo nowych żywiołów; ale dawne tło pozostało.

Pojęcie kasty, narodu w narodzie, pozostało prawie bez zmiany. Pod nowszym polem nie występuje ono tak otwarcie i naiwnie, jak niegdyś; ale dziś jeszcze szlachcic nasz wierzy w bezwzględną wyższość swą nad innymi klasami narodu i niechętnie łączy się z nimi związkiem towarzyskim lub rodzinnym. Wierząc w lepszość krwi i tradycyi szlacheckiej, gotów jest odmówić polskości takim nawet jednostkom, które, choć z innego plemienia i stanu pochodząc, miały się same za Polaków i jawne dowody uczuć obywatelskich złożyły. Wszak niedawno jeden z koryfeuszów szlacheckich, mówiąc o zmarłym L. Kronenbergu, użył wyrażenia: „choć nie był Polakiem“. Jakże dziwnie brzmiały te wyrazy w ustach człowieka, któremu jego wujaszek zarzucał pochodzenie ormiańskie, czy żydowskie.

Kto wierzy w moc przywileju, urodzenia i bogactwa, ten z konieczności nie wierzy w potęgę pracy i pracowitości. Sygurd Wiśniowski opowiada, że pewien dziki Australczyk otwarcie wyznał, że siebie tylko ma za wolnego człowieka, bo nie pracuje, a Anglika ma za bydlę, bo tylko bydlę pracuje. Jaskrawy to przykład pierwotnego pojęcia; nie stosuję go do szlachty naszej; chcę tylko nadmienić, ile tkwi pierwotności w nieposzanowaniu pracy. Zresztą wpływ dziejowy nie przyzwyczaił szlachty polskiej do niej: pracował za pana w polu chłop, w przemyśle i handlu Niemiec, Żyd, a czasem i mieszczanin polski. Pracowała zresztą i szlachta, ale dorywczo, wybuchowo; poświęcała mienie i życie, ale najczęściej doraźnie, a od pracy wytrwałej i nieprzerwanej odwykła, a raczej do niej nie nawykła. Ztąd też, obok pychy herbowej, drugi rys charakteru społecznego szlachty: skłonność do próżniactwa, brak wytrwałości w pracy i, co za tem idzie, lekceważenie pracy innych, albo lekceważenie innych, g d y pracują, lub nawet dla tego, że pracują.

Niewiara w pracę wytwarza pesymizm; nie ten filozoficzny, który jest pewną oderwaną formą myślenia, ale prosty, gruby pesymizm, który można streścić słowami: nic nie było, nic nie będzie. Kto nie umie pracować i cenić pracowitości, ten oczywiście nie wierzy w cuda pracy i wy-

trwania, ten nie wierzy, aby samopomocą mógł goić klęski prywatne i ogólne; całą ufność pokłada w odziedziczonych tylko zasobach: położeniu towarzyskiem, koligacjach i majątku. Ztąd też, gdy ten ostatni runie, szlachcic z rozpacz najczęściej marnie ginie. Pessimizm znowu prowadzi do fatalizmu, który stanowi jeden z wybitnych rysów duszy szlacheckiej. Wierzy ona w różne swoje i swojej ojczyzny posłannictwa, w pomoc nadprzyrodzoną, jutro lub pojutrze oczekiwaną, a w braku wiary mesyanicznej, czepia się złudnej mary przyszłych konjunktur politycznych, które upragniony cel marzeń naszych ziścić zapowiadają. Przyczyniają się do tego fatalizmem zabarwione wyobrażenia religijne, oparte na wierze w cuda i łaskę boską. Wszak przez lat dwadzieścia (1830—1850) ostatniem słowem poezji naszej było: „czekam cudu“, a i dziś nadzieje te nie przebrzmiały...

Człowiek pierwotny dąży do panowania nad otoczeniem: chce wszystko poddać swej władzy, rozszerzyć ile można działanie swej jednostki. Ta żądza władzy przeradza się z czasem, pod wpływem starć społecznych, w ambicję, czyli nieposkromioną żądzę władzy. U szlachty naszej wysokie pojęcie o swem położeniu i urodzeniu podsycą ambicję i chęć odznaczenia się. Gdy głębsze zasady skłaniają ambicję do nasycenia się na drogach prawdziwie obywatelskich i gdy te drogi istnieją, wtedy staje się ona bodźcem do najszlachetniejszych i najpożyteczniejszych wysiłen. Ale przy braku wyższego ukształcenia i zacniejszego pola do zużytkowania ambicyi, przeradza się ona w próżność. Chce się odznaczyć, ale niema czem i niema gdzie: więc się pragnie zaimponować choćby zaletami ciała, choćby urokiem fortuny i wykwintności, choćby okruszynami pożyczanej mowy i oglady.

Na wybujały rozwój próżności pomiędzy szlachtą naszą wpływa jeszcze okoliczność, o której tu po raz pierwszy i ostatni wspominam: istnienie wpośród niej klasy magnatów. Nie mówię o tej klasie oddzielnie i łączę ją w obrazie ogólnoszlacheckim, naprzód dla tego, że muszę być zwięzłym, a powtóre, że klasa ta na ogół nie wiele się różni od rzeszy szlacheckiej i stanowi poniekąd, w złem i dobrem, jej kwintesencję, i wogóle muszę pominąć dokładniejsze wycieniowanie różnic, które niezaprzeczenie istnieją wśród samejże szlachty. Ograniczam się ogólnikową wzmianką, że poczynając od najuboższej, zaledwie nad lud prosty wznoszącej się, a kończąc na arystokracji, oświecenie idzie z początku wzrastając, a potem znowu słabnie, przechodząc w blichtry; pracowitość zaś wzmagą się w odwrotnym kierunku.

Jednem z marzeń próżności szlacheckiej jest: dorównać panom. Źródło popędu tego leży w ogólnoludzkiej naturze i charakteryzuje wszystkie plemiona i czasy; ale nigdzie może w tak naiwnej i pierwotnej postaci nie występuje jak u nas. Ile zabawnych a smutnych komplikacyj pociąga za sobą to pięcie się do arystokracji, ile fortun szlacheckich rujnuje a serc wykrzywia, to głoszą ciągle powieści nasze, które bardzo często ten temat obierają.

Próżność, objawiająca się czasami w dzieciunnej, prawie pierwotnej formie. należy do wydatniejszych rysów szlachcica naszego. Większe ukształcenie moralne i naukowe sprowadziłyby ją mogło na tor szlachetnej ambicyi, a gdyby ta się znalazła, toby się odkryły i sposoby jej nasycenia. Lecz, że nie chodzi tu mnie o prostowanie, lecz tylko o malowanie charakteru szlachty, więc przechodzę do dalszych uwag.

Próżność nasza odbija się we wszystkich prawie stronach działalności i charakteru naszego, ogarniając jak zaraza wszystkie klasy narodu i mącąc pojęcia i postępowanie ogółu. W wychowaniu, w drażliwości na cudze zdanie o nas, w dobroczynności, gościnności i t. d., wszędzie sporą jej dozę odkryć i wskazać można. Każdy nierad jest ze swej pozycyi, pragnie ją ukryć i wzdycha do wyższej. Wszyscy poniekąd jesteśmy jak owi pasażerowie wagonu trzeciej klasy, z których każdy czuje się w obowiązku uniewinnić się, że tylko przypadkiem i skutkiem niezwykłych okoliczności nie jedzie drugą klasą...

Brak zamiłowania i wdrożenia do wytrwałej a systematycznej pracy, odwieczne tradycje rycerskie i wojenne, wszczepione w niedbającą o jutro płochość pierwotnego człowieka, przyzwyczajenie do działalności porywczej i do jednorazowych poświęceń, łatwowieczne przejmowanie się mistycznymi nadziejami, a w znacznej części wpływ dawniejszej daty ideałów i narowów francuskich, wytworzyły naszą lekkomyślność narodową, która najwybitniej w duszy szlachcica naszego się ujawnia. Z dziwną łatwością rzucamy się na awantury polityczne, z niesłychanym brakiem pomiarkowania tracimy fortuny, zapominamy o zobowiązaniach, uczynionych w najlepszej zresztą wierze, zmieniamy postanowienia, zawody, przedmioty uwielbienia, zamiłowania, nawet dobre nałogi. W ostatnich latach jednakże, jak i w wielu innych względach, dostrzegać się daje znaczne spowężnienie, okupione kosztem strasznych ofiar i strat, publicznych i prywatnych. Lekkomyslność nasza doprowadziła jednak do tego, że podobno suma długów na dobrach szlacheckich, jeżeli nie przewyższa, to dorównywa

ich wartości; a ileż to ziemi przeszło już bezpowrotnie w ręce Niemców, szczególnie w Poznańskim!

Pozostawiając dalszym studyom uchwycenie drobniejszych odcieni tej strony charakteru szlachty, która się ujawnia w stosunkach społecznych, zamieszczam tu na zakończenie parę przygodnych uwag, które mi nasuwają najświeższe gazety.

Dużo piszemy i mówimy teraz o Żydach. Zarzucamy im brak patriotyzmu, dążność do tworzenia narodu w narodzie, używania odrębnego szwargotu, zabobonne trzymanie się przestarzałych przepisów przestarzałej religii i t. p. Otóż zapytuję nieuprzedzonych braci szlachty, czy nie byłoby rzeczą właściwą ku nam skierować tych samych zarzutów? Czy rzeczywiście rozumna ofiarnosc tak dalece szlachtę odznacza? Czy nie stanowi ona i czy nie usiłuje stanowić narodu w narodzie? Czy nie szwargocze z kiepska po francusku? Czy nie ulega pewnym przestarzałym zabobonom średniowiecznym, według których odbywanie pewnych praktyk wyżej się ceni od czystości serca i zapanowania nad sobą? Rzuć kamień, kto bez grzechu..

A oto jedna z wielu korespondencya z prowincyi, wydrukowana w niepodejrzaniem o antypatyę dla szlachty *Słowie* (1882 nr. 112).

„Zapytujesz mnie o . . . ską szlachtę. Jest tutaj kilku ludzi dobrej woli i wyższego ukształcenia, — reszta, pożałuj się Boże! Majątki często kolonizują i wyprzedają Niemcom, lepiej gdy włościanom. Młoda generacya tu i ówdzie żyje nad stan, zaciąga długi u Żydków i urwisuje się. Nazywają ich tutaj dziundziurami. Można ich łatwo rozpoznać: ubierają się w granatowe kolory. Szkoda, że nie w zielone z żółtem, byłoby to więcej zgodne z wewnętrzną treścią tych pseudo-panków z pozorów, młodych bankrutów i zdechlaczków. Panny oceniły jak należy takich konkurentów, koszyki idą gęsto. Pytasz o sprawy gminne, o ludową oświatę, o pracę u podstaw. A któż to u nas o takich rzeczach myśli! U nas pożyczka się na trzy procenty na miesiąc i narzeka na ciężkie czasy, wspomina o lepszych i rozprawia o tym bestyi Bismarku! Statystyki żadnej dać Ci nie mogą, bo w tak zwanym Adres-kalendarzu, wydawanym przez miejscowy Rząd gubernialny, cyfr żadnych niema, a zebrać je obecnie nie łatwo... Zresztą o czem tu pisać? Ciemno wszędzie... i kwita! — Szanowni czytelnicy, dodaje sprawozdawca, otrzymać taki list od człowieka, z którym się spędziło młodość, otrzymać taki list od kolegi z ławy szkolnej i uniwersyteckiej

i być najwewnętrzniej przekonany, że ten człowiek nie kłamie i błędnie i stronniczo nie sądzi... to rzecz przykra“.

Nie wymieniam miejscowości, wpiszcie, jaką chcecie, z każdej korespondencya będzie prawdziwą.

Nie mogę też nie przytoczyć choć kilku trafnych wierszy ze świeżo wydanego obrazka z życia szlachty ukraińskiej p. t. *Wszyscy za jednego*, przez Włodzim. Wysockiego (str. 13). Ileż prawdy i gorzkiej ironii wypowiadają następujące słowa :

O dobre chęci nasze, o najlepsze cele!
Któż was, jak my Polacy, posiada tak wiele?
O szczytne chęci polskie, czynami jałowe,
Dziatki nasze rodzone, chwasty narodowe!
Jak bujnie w sercach naszych i głowach rośniecie,
I jak nam z wami dobrze na tym bożym świecie!
Gdyby was, dobre chęci, nie było broń Boże,
Któżby kark nasz opasły ozdobił... w obrozę?...

b) *Charakter polityczny.*

Ponieważ działalność społeczna ściśle się wiąże z polityczną, więc i rysy pierwszej w znacznej części wspólnymi są z charakterystyką pojęć i czynów politycznych szlachty.

Brak wytrwałości, nawyknienia do pracy i lekkomyślność znamionują i polityczne jej usposobienie. Grałiśmy dotychczas w politykę, jak w loteryę; stawialiśmy nieraz wszystko na jedną kartę, licząc na pomoc nadprzyrodzoną, lub sławne „jakoś to będzie“. Gorzkie zawody nie wytrzeźwiły dotąd masy politykantów naszych: większość jeszcze astrologuje po niebie dyplomacycznym, zaniedbując najprostsze i najbliższe obowiązki.

Zresztą o naszej działalności politycznej nie wiele jest do powiedzenia, dla tej prostej przyczyny, że brak nam pola do popisu. Mówić więc można chyba o ideale politycznym, jaki każdy szlachcic w sercu nosi. Ideał ten zaprawdę bardzo trąci średniowieczny, Główną charakterystyką jego jest arystokratyzm i zachowawczość. Tam, gdzie możność pewnego działania politycznego odkryła się dla nas, staramy się ten ideał wcielić. Łączymy się tedy stale z żywiołami zachowawczymi i arystokratycznymi innych narodowości, stajemy w sprzeczności z prądami liberalnymi i demokratycznymi, a tym sposobem zarobiliśmy sobie w całej

Europie na opinię zakutych konserwatystów, ba, wsteczników. Prowodyrowie wmawiają w nas, że tą drogą najpewniej do celu pragnień trafimy. Jeżeli tym celem ma być chwilowe nasycenie średniowiecznych marzeń i popędów, to mają oni słuszność, ale czy coś trwałego, zdrowego i dla całego ogółu narodu pożytecznego zdobędziemy, o tem dalej i głębiej patrzący ludzie wątpią.

Lecz znowu schodzę z obranej drogi: unosi mię uczucie, bardzo zresztą zrozumiałe. Wracam do rzeczy i formułuję znów zdanie moje o politycznych usposobieniach szlachty. Nieufność do szerokich zasad liberalnych i postępowych, uparta zachowawczość, chęć przewodzenia nad innymi klasami narodu, oto rysy politycznych aspiracji szlachty naszej. Zdaje się jej, że cała urodziła się na to, aby tworzyła izbę lordów zachowawców.

Zresztą przywykliśmy wiele słyszeć o jej patriotyzmie; sama ona najwięcej o nim rozpowiada i zarzuca innym stanom brak uczuć obywatelskich. Nie śmiem zaprzeczyć gorących uczuć; nie odmawiam zdolności do ofiar i poświęceń w danym razie; ale, jak wszędzie, tak i tu, uczucie, ów pierwotniejszy czynnik duszy, bierze u szlachty górę nad rozumem, a chwilowe porywy przeszkadzają wytrwałości, i w rezultacie bywa *minus*. Każdy z nas marzy o wyższym stanowisku; nie umiemy i nie chcemy zadowolnić się pracowitem a wytrwałem wypełnieniem obowiązków skromnego sędziego gminy, albo członka jakiej rady powiatowej. Umiemy czasami w chwilowem uniesieniu całe mienie wraz z życiem poświęcić; ale składać codziennie grosz wdowi na różne zakłady, projekta, pomniki i inne cele publiczne, to jakoś nam trudno idzie. Mnóstwo pięknych zamiarów, głoszonych przez czasopisma, upada dla braku środków; a najwięcej składek płynie nie z kół szlacheckich. Dzienniki rolnicze upadają, albo zaledwie tleją; najpożyteczniejsze książki rozchodzą się w małej liczbie i to wśród warstw nieherbowych. A czemże, w naszym położeniu, mamy dowodzić patriotyzmu, jeżeli nie łożeniem na to, co cieniem jest działania politycznego? Pozbywamy się ziemi z niesłychaną lekkomyślnością; czy to także dowód patriotyzmu? Paplamy, czytamy, nawet myślimy po francusku; czy i to przez patriotyzm? Oslabia i to moją wiarę w wielką miłość kraju u naszej szlachty, że tam, gdzie może, nie stara się zbliżyć do ludu, ażeby go bliżej poznać i nań wpłynąć: kto szczerze kraj kocha, tenby rad podwoić jego siły; a lud przecie, to siła, którą sprzymierzyć nie trudno, a pożytecznie. To samo da się powiedzieć o stosunku do Żydów.

Z drugiej znów strony często, zbyt często widzimy u naszej szlachty zaślepienie patryotyczne, pochodzące nie tyle ze spotęgowania uczucia, ile z niejasnego pojmowania rzeczywistych faktów i korzyści. Należy do dobrego tonu lajać i spotwarzać nieprzyjaciół, a przesadzać w wychwalaniu rzeczy własnych. Zdawałoby się, że sprawiedliwość względem siebie i obcych najbardziej byłaby pożądaną i zaszczytną. Owszem, nieuprzedzone a bliższe poznawanie nieprzyjaznych nam społeczeństw, wynajdywanie w nich życzliwych nam żywiołów i ich wyzyskiwanie przyniosłoby stokroć większy pożytek od szowinizmu. Miesza się też często spora doza obłądy do objawów naszego patryotyzmu: nieraz czujemy słuszność zarzutów, ale próżność i nałóg zwalania wszystkich win na cudze barki nie pozwala nam głośno wyznać prawdy; a przytem zdaje się nam, że wyższa dyplomacya wymaga, byśmy ran i wad naszych przed obcymi nie obnażali; kłamiemy więc świadomie, choć z dobrą wiarą, ale kłamiąc, wchodzimy na takie bezdroża i zaprowadzamy taki zamęt w pojęciach, że potem sami nie wiemy, co prawda, a co pobożne kłamstwo.

Obcy zarzucają nam niesforność i niekarność, brak jedności i dyskrecyi. Są to grzechy dziedziczne, pierworodne; zdaje mi się jednak, iż twarda szkoła doświadczenia wywarła pewien wpływ dodatni na te przywary. Chociaż się nie podziela zasad i dążeń Stańczyków, przyznać im jednak trzeba znaczny postęp w karności, jednomysłności i dyskrecyi. Metoda się ulepszyła, obyż oczyściły się i ich ciasno-feudalne zasady.

Na zakończenie pozwalam sobie przytoczyć słowa E. Orzeszkowej ze świeżo ogłoszonej broszury jej *O Żydach* (str. 81). Dla braku miejsca cytuję najważniejszy tylko ustęp nas tu obchodzący i proszę, aby czytelnik resztę sam doczytał.

„Patrzmy na Czechów. Kilkadziesiąt lat zaledwie upłynęło, odkąd ocknęli się oni z dwuwiekowej apaty, uczuli w sobie znowu tętna życia narodowego i zapragnęli czynić zadość potrzebom narodu. W chwili ocknięcia się spotkali się oni twarzą w twarz z potężnie rozwiniętym na ziemi ich przemysłem niemieckim. Cóż? Wzięli się z nim za bary i dotąd jeszcze walczą; ale wielki przemysł w połowie, a drobny całkiem prawie znajduje się w ich ręku. Jeżeli zapragniecie statystyki, udowadniającej fakt ten, poproście o nią pierwszego lepszego wykształconego Czecha, który chętnie wam ją ukaże, bo i posiada ją, i słusznie jest z niej dumny. Jeżeli zaś zapytacie: dla czego Czesi w krótkim stosunkowo przeciągu czasu zdolali z jednej z dróg życia i bogactwa swego zsunąć znaczną ilość możnych

i wytrawnych Niemców? Odpowiem wam, że stało się to dzięki rozszerzonemu pomiędzy nimi duchowi demokratyzmu, niosącemu z sobą demokratyczną siłę, prostotę, pracowitość, rachubę i cierpliwość.“

c) *Strona charakteru religijna.*

W drugiej połowie XVII-go wieku pomiędzy reakcją katolicką a szlachtą zawarty został milczący, ale wymowny pakt: szlachta zaprzysięgła trzymać się do upadłego i bronić kościoła, a kościół za to przyrzekł patrzeć przez szpary na pewne wybryki szlacheckie. W pakcie tym interesa kościoła postawiono wyżej, niż dobro i los ojczyzny. Pod działaniem demoralizującego wychowania jezuickiego i wogóle klerykalnego, moralny charakter szlachty naszej obniżył się o dużo stopni, a jednocześnie i pojęcia jej religijne zmateryalizowały się i zgrubiały. Tą drogą doszliśmy do obecnego stanu kościoła u nas i do dzisiejszych o nim pojęć szlacheckich. Mówię tu głównie o mężczyznach, bo kobiety nieco inaczej stanęły, o czem parę słów niżej powiem.

Dzisiaj szlachcic nasz nie ma wysokiego wyobrażenia o duchowieństwie swoim, bo się przekonał, że umie ono wchodzić i ze swoimi i z obcymi w niezbyt zaszczytne kompromisy. Uszanowanie, które okazuje księżom, opiera się raczej na konwencyonalnem przekonaniu, że polityka wymaga, ażeby szlachta trzymała się z duchowieństwem. Na dnie serca jednakże szlachcic nasz jest sceptykiem i bardzo skłonny, jeżeli nie do zerwania z kościołem, to przynajmniej do oczyszczenia i poskromienia jego ambitnych popędów. Dość wspomnieć, jak sympatycznie przyjęto u nas zapowiedź Wielopolskiego o zamiarze jego niedopuszczenia państwa w państwie.

Zresztą już wspomniałem, że jak katolicyzm wogóle, tak i w stopniu spotęgowanym nasz polski, odwołuje się przeważnie do praktycznego zachowania się wyznawców, niezbyt się troszcząc o moralne ich podnoszenie; więc i pobożniejsi wśród szlachty raczej powierzchownie i formalnie są takimi.

Nie tyle przeto skutkiem głębokich przekonań religijnych, ile raczej przez źle zrozumianą dyplomację patryotyczną szlachcic nasz głośno i dużo gada o jakimś opatrnościowym ślubie Polski z Rzymem, o Polsce możebnej tylko z katolicyzmem i przez katolicyzm; tyle zresztą posiada zdrowego rozsądku, że w gruncie w to nie bardzo wierzy, ale że tak prowodyrowie dyplomatyczni twierdzą, a usiłuje być karnym, gdyż mu ciągle zarzucano niesforność — więc: *jurat in verba magistri.*

Na ogół szlachcic nasz pod względem religijnym daleko bliżej stoi ideału człowieka nowożytnego, niżeli pod społecznym; tolerancya przeważa w nim stanowczo nad jednostronnością, a tępy konserwatyzm religijny przeradza się coraz to silniej w postępowe poglądy.

Znane są przyczyny innego kierunku na tej drodze kobiet szlacheckich. Oprócz wpływów, z natury rzeczy wynikających, wychowanie i mniejszy udział w działalności politycznej i społecznej usposobiły je bardziej klerykalnie; mnóstwo jest pomiędzy nimi bigotek i dewotek; ale też, prawem konieczności, w ostatnich czasach nie mało z pomiędzy nich wpadło w drugą ostateczność. Brak gruntowniejszego kształcenia w obu razach wybitnie się okazuje: wsteczne i postępowe popędy, tocząc się na gruncie nie tyle rozumu, ile uczuć, wytwarzają pewien zamęt w ich sercach i pojęciach; emancypacya szuka sobie jeszcze drogi i trafić na nią nie może. Jednakże i w tym chaosie, pod łagodzącym wpływem oświaty i lepszych mężczyzn, zapowiadać się zdaje zwrot ku lepszemu.

d) Inteligencya.

„Straciwszy ojczyznę, największe dobro dusz szlachetnych i zajętych interesem powszechnym, jesteśmy pod twardym wyrokiem, potępiającym nas na stłumienie i uduszenie w sobie tych poruszeń, które w nas wlały wychowanie, nałóg i żądza szczęśliwości publicznej, które ożywiały i podnosiły wszystkie nasze władze umysłu, sposobności i talenta. Trzeba dziś Polakowi przeżyć samego siebie, stworzyć sobie inną duszę i zamknąć uczucia swoje w ciasnych granicach osobistego bytu. Jest to prawda okrutne przeznaczenie, ale jest prawem niczem nie mogącej się pokonać konieczności, której uledez potrzeba. Użyjmy pożytków oświecenia na zrobienie nam znośnym tak srogo nas dojmującego losu“.

Tak pisał Jan Śniadecki na początku 1803 roku. Upłynęło lat ośmdziesiąt od owego czasu, a jednakże brak gruntu naukowego, to najslabsza i dziś jeszcze strona umysłowości szlacheckiej. Pojęcia społeczne, polityczne i religijne od razu podniosłyby się znakomicie, gdyby światło obfitami promieniami ją rozjaśniło.

Wprawdzie po strasliwym upadku oświaty w ciągu XVII-go i XVIII-go wieku wiele zmian ku lepszemu zaszło; ale daleko jeszcze do tego, aby się zatarł zgubny wpływ reakcyjny tych stuleci na inteligencyę krajową.

Jakże dziwna zachodzi sprzeczność pomiędzy wygórowanymi roszczeniami szlachty do panowania i przewodzenia na drodze społecznej i politycznej, a tym szczupłym zasobem wiedzy, którym rozporządza!

Wychowanie domowe opiera się przeważnie na bałwochwalczej czci dla francuzczyzny; w piątym lub szóstym roku życia królewięta nasze przechodzą zwykle pod opiekę bony Francuski. Rodzice bardzo mało sami zajmują się dziećmi: sługi i bony, to prawie jedyni ich wychowawcy; matka poświęca im jedną, najwyżej dwie godziny na dobę: resztę jej czasu pochłaniają tak zwane obowiązki towarzyskie.

Są to rzeczy tak dobrze nam znane z życia i powieści, że nie warto ich tu opisywać, dość potrącić wspomnieniem. Młody nasz szlachcic rzadko kiedy kończy gimnazjum, bardzo rzadko odbywa uniwersytet. Nie mamy odpowiedniej statystyki, lecz zdaje mi się, że przeciętnie na dwudziestu szlachty nie znajdzie się jeden, któryby porządnie wyższy zakład naukowy przebył. W dalszym żywocie szlachta mało czyta, a jeżeli czyta, to takie książki, których wolałaby nie czytać. Czasopisma i książki naukowe polskie rozchodzą się przeważnie w kołach nieszlacheckich.

Jak dalece szlachta nasza mało ceni oświatę, ztąd widzieć można, że mimo nawoływania, dotychczas nie pomyślała o założeniu ani wyższej szkoły technicznej, ani wyższej szkoły dla kobiet.

Te ostatnie, owczym torem tradycyi, kształcą się przeważnie w sztukach pięknych, przyjemnych, a kształcą się szybko i powierzchownie, sposobem cieplarnianym. W obu płciach ogłada towarzyska i pozory wyżej są cenione i rozwinięte od gruntowności.

Zaufanie w przywilej urodzenia i majątku, brak nawyknienia do pracy, lekceważenie mowy ojczystej, wdrażanie małych dzieci do rozmowy w kilku naraz językach i wynikające ztąd przytępienie umysłu: wszystko to razem wytwarza stosunkowo bardzo niski poziom wykształcenia wśród naszej szlachty. A niższość ta sprowadza konieczne i liczne następstwa. Któż nie wie, że zabobony społeczne, zakuty konserwatyzm, niedołęztwo polityczne, fanatyzm religijny, skrzywienie całego charakteru moralnego, głównie i jedynie, wszędzie i zawsze z ciemnoty pochodzą.

Tu więc, w niedostatku naukowego ukształcenia szlachty, leży klucz do odgadnienia całej skomplikowanej jej natury. Wszystkie rysy jej charakteru zabarwiają się tem pierwotnym znamieniem, które nazwiemy pierwotnością, czy średniowiecznością, czy „młodszością“, zawsze na jedno wyjdzie.

e) *Charakter prywatny i domowy.*

Wogóle rzecz biorąc, szlachcic nasz korzystniej się przedstawia w życiu prywatnym i domowym, niżeli w publicznym. Przyczyną tu jest zawsze ta sama młodszość cywilizacji jego: łatwiejszy jest postęp w stosunkach mniej skomplikowanych, więc też prędzej dojrzewa.

Cechą charakterystyczną szlachty naszej jest przenoszenie pojęć życia prywatnego na arenę publiczną; ową serdeczność i tak zwaną „poczciwość“, ów ciaśniejszy punkt widzenia, cnoty niższego rzędu i węższej doniosłości szlachcic nasz wnosi do działań swoich publicznych, gdzie nie zawsze są one na miejscu, a często szkodzą zamiast pomagać. Zbyt często unosi się on polityką uczuć i namiętności, świadcząc o przewadze w duszy swej serca nad rozumem, pierwotności nad cywilizacją.

Oto dosadne słowa, wyjęte ze świeżo ogłoszonego drugiego ciągu *Szkiców* Klina (str. 27), tak zgodne z moim poglądem:

„Czułości i czułościowości wszędzie wprawdzie możesz napotkać, lecz w takim komplecie jak u nas na pewno nigdzie nie znajdziesz. Uczucia zawsze są źródłem wszelkich przykrości i niepowodzeń; dla nas są one nieszczęściem. Gdybyśmy chcieli choć połowę ich wyrzucić z siebie, a drugą podlać nieco rozumem, jak na początek; gdybyśmy raz wreszcie przyszli do tego przekonania, że nie czule, ale rozumne tylko narody mają prawo bytu na tej ziemi i pojąwszy na koniec tę prawdę dziejową, tak w życiu prywatnym, jak publicznym rozumowi tylko i tylko jemu powierzyli władzę nad sobą...“

Tłem stosunków prywatnych naszego szlachcica jest niewątpliwie uczciwość. Bardzo rzadko popełnia on czyn nieuczciwy z namysłem; najczęściej bywa nierzetelnym przez lekkomyślność, lub brak wytrwania w dopełnieniu zobowiązań.

Jest tu jednak odcień, który należy uwzględnić. Szlachcic nasz czuje się obowiązany do uczciwego obchodzenia się głównie z równymi sobie; względem innych warstw nie powiem, żeby z zasady był nierzetelnym, ale zwykle nie robi sobi tyle skrupułów w interesie z chłopem lub żydem, ile z bracią szlachtą.

Gościnność, ludzkość, uczynność niezawodnie też należą do zalet naszej szlachty, chociaż i tu bywa ona często skłonniejszą do świadczenia swoim. Chciwym rzadziej bywa szlachcic, niż rozrzutnym; przyjacieli

z niego wierny i poświęcający się; zapala się łatwo gniewem, ale urazy nie chowa i łatwo ją przebacza; szczerzy jest, czasami do zbytku i nie w miejscu; wogóle jako człowiek prywatny, bardzo piękne ma zalety, którym brakuje tylko wyrobienia i pomiarkowania rozumem.

Trudno uwierzyć, ale tak jest w istocie: życie rodowe u nas nie wygasło. Każdy prawie szlachcic umie na pamięć rodowód swój i koligacye i względem najdalszych powinowatych czuje się więcej obowiązany, niż względem pierwszego lepszego rodaka lub bliźniego. Dziś jeszcze podpadły szlachcic znajdzie pewny przytułek w domu najdalszego powinowatego i nie wstydzi się go przyjąć, uważając jałmużnę dalekiego krewniaka za rodzaj powinności.

Rodowość ta daje się we znaki Galicyanom, jeżeli wierzyć ich niedyskrecyom: nepotyzm kwitnie podobno w tak zwanej partyi krakowskiej, jak za dobrych starych czasów.

Francuzka ogląda nie przeszkadza naszemu szlachcicowi dać uczuć nieszlachcie jej mniemaną niższość; mówiliśmy już o wysokiem pojęciu, które żywi o swym klejnocie; nic dziwnego, że przy takowem trudno mu się przezwyciężyć i uznać zasługę w nieherbowym człowieku. Żarciki ze śmiesznych nieraz naprawdę dorobkiewiczów uprzyjemniają zabawy szlacheckie; powtarzają się wprawdzie po cichu, ale się powtarzają.

Te same znamiona, któreśmy w charakterze społecznym i umysłowym szlachty zauważyli, odbijają się i w stosunkach prywatnych: ta sama próżność, lekkomyślność i brak naukowego wykształcenia główny ton ich wystąpieniom towarzyskim nadają.

W stosunkach domowych przeważa serdeczność. Dawny despotyzm ojca rodziny prawie przeminął i tylko wybuchowo, atawistycznie się czasem ujawnia; nieraz z pod francuskiego poloru zawarczy szorstki wybryk staropolski, ale to na krótko i bez konsekwencji.

Stosunek męża do żony, ojca do dzieci i pana do sług na ogół wcale bywa znośny. Czasami unosi szlachcica pierwotna żywość i krewkość względem rodziny i domowników, ale kończy się zwykle na chwilowem zapomnieniu się.

Dziwnie niesprawiedliwym bywa mąż szlachcic względem swej żony w następnym względzie. Sam spędza zwykle młodość dość rozpustnie i hulawczo; nie ma wytrwałości do ukończenia szkół, wczesnie puszcza się w świat uciech i zabaw, i czy to na wsi, czy w mieście, nie poskramia swych lowelasowskich popędów. Złe te nałogi wnosi potem do pożycia

małżeńskiego; ale od żony wymaga bezwarunkowej wierności i gotów jest strasznych czynów się dopuścić w razie zawodu. Rys ten dowodzi zupełnie pierwotnego poglądu: co mężczyźnie wolno, to kobiecie wara.

Brak możności odznaczenia się w zawodach publicznych i społecznych, połączone z niskim stopniem ukształcenia, zmusza szlachtę naszą zużywać swe siły fizyczne i majątkowe w ciasnym kole uciech i zabaw towarzyskich. Nieprzyzwyczajenie do pracy umysłowej lub fachowej, brak wiary w jej godność i skuteczność sprawiają, iż szlachcic nasz tyle ma wolnego czasu, że nie wie, co z nim począć. Ztąd mowa u nas o „przepędzaniu“ i o „zabijaniu“ jego! A przepędzamy go i zabijamy, jak możemy, aby się sprawdziły słowa poety, że „czas płynie, gdyby woda“. Bawić się i bawić, to główna podstawa życia towarzyskiego szlachty. Ciągłe odwiedzenie się wzajemne, zjazdy imieninowe, urodzinowe, śluby, pogrzeby, podróże do daleko zamieszkałych krewnych, na jarmarki, wystawy, za granicę, polowania, jazdy do Warszawy, kosztowne karnawały w stolicy — wszystkim tem „zabija się“ czas, którego jest „jak wody.“

Życie szlachty wiejskiej robi wrażenie ciągłych godów, ciągłej uroczystości. Kobiety tańczą, stroją się, kokietują, mężczyźni grają w karty, popisują się psami i końmi, strzelają do celu, paplają o wielkiej polityce, wszyscy z próżniactwa ogadują się wzajemnie, jedzą tego, piją wcale nie-
złe, dowcipkują, a weseli są i swobodni, jakby nic nigdy nie stracili i jakby wszystko najlepiej i najpomysłniej działo się na świecie.

Tymczasem w domu dzieci są na łasce sług i obcych dozorców, gospodarstwo wlecze się leniwie, również na łasce sług, nie zawsze sumiennych i pracowitych. Wielkie potem zdziwienie, że dzieci się hodują źle i głupie, a interesa podupadają. To też połowę rozmów szlacheckich wypełniają narzekania na sługi, guwernerów i guwernantki, zostawione bez dozoru i wskazówki.

Czyż mam dalej prowadzić ten obraz naszego żywota wiejskiego, tyle razy malowany w mnóstwie powieści zdolnych naszych autorów?

Ale nietylko w naszych, lecz i w obcych utworach znajdziesz, czytelniku, żywy konterfekt braci szlachty naszej. Jeżeli pragniesz szczegółów portretu, czytaj *Numę Roumestana* i dziw się, jak podobnym jest ten Gaskon do naszego typowego szlachcica. Czytaj *Obłomowa*, czytaj charakterystyki szlachty hiszpańskiej i plantatorów w południowych Stanach Zjednoczonych: znajdziesz tam, *mutatis mutandis*, te same znane postacie,

gdyż wszędzie na świecie jednostajne przyczyny sprowadzają jednostajne skutki.

Nie świetny zaprawdę obraz musiałem namalować. Staralem się jednak nie przesadzać i być bezstronnym; jeżeli się pomylił, to winy pewno szukać należy nie w złej chęci, lecz w niudolności mojej.

Zresztą czyż wolno oczekiwać świetnego wizerunku tej warstwy narodu, która, zuchwale wzięwszy na swe barki całą władzę krajową, a z nią i całą odpowiedzialność za losy narodu, doprowadziła go do bankructwa?

A jednak, powtarzam, zrozumienie i poznanie prowadzi do przebaczenia i naprawy wszystkiego.

Jan Karłowicz.

PIERWSZA KARTA HISTORII RELIGII.

Upadek metafizyki, której zadaniem między innymi było odkrycie przedmiotu wierzeń religijnych; zaniechanie przez psychologów poszukiwań w duszy ludzkiej specyficznych uczuć religijnych wprowadziło studia nad religią na zupełnie nowe drogi. Wykluczona z dziedziny filozofii zwróciła religia baczniejszą uwagę na siebie, jako wybitne zjawisko historyczne, wszystkich badaczy życia społecznego; jako potężny czynnik cywilizacyjny stała się przedmiotem gorliwych poszukiwań tych, którzy dla dokładniejszego poznania współczesnego stanu ludzkości badają wszechstronnie jej przeszłość.

Początki religii sięgają początków życia dziejowego i jak one kryją się w pomroce bardzo odległej przeszłości. Wszystko to więc, co tylko wyjaśnia przeszłość ową, rzuca w skutek tego światło i na religię, bądź to tłumacząc wierzenia różne, bądź też odsłaniając instytucje na tych wierzeniach oparte. Każda przeto nauka, której tylko przedmiotem jest przeszłość, zarówno etnografia jak i archeologia, zarówno lingwistyka jak i mitologia, zaczęły dostarczać materiału dla poznania religii. W miarę starodawności tego materiału wzrasta znaczenie jego. Im bardziej bowiem cofamy się w przeszłość, tem większy znajdujemy wpływ religii na życie społeczne i umysłowe. I dochodzimy nakoniec do takiej epoki, w której wyobrażenia religijne stanowiły, rzecz można, jedyny zasób wiedzy, poznawanie tych wyobrażeń jedyną funkcję umysłową, w której jedyną in-

stytucją społeczną była korporacja kapłańska. jedynem prawem—przepis obrzędowy.

Zastosowanie metody porównawczej do materiału, dla odtworzenia wyobrażeń religijnych czerpanego ze źródeł różnorodnych, wydało świetne rezultaty. Posługując się nią, badacze objęli w jedną całość wszystkie religie, odkryli prawa zasadnicze ich rozwoju, uporządkowali je w pewne systematy. Miejsce filozofii religii zajęła w piśmiennictwie narodów przodujących w oświacie u m i e j ę t n o ś ć religii. E. Burnouf, znany archeolog francuski, wydał w 1872 r. *La Science des Religions*. Znako- mity lingwista Max Müller, twórca u m i e j ę t n o ś c i języków, napisał współcześnie z Burnoufem *Introduction to the science of Religion*. Uczony etnograf angielski E. Tylor w dziele poświęconem pierwotnej kulturze ludzkości (*Primitive culture, 2 v. 1872*) rzuca podwaliny teorii a n i m i z m u; na niej wznosi gmach religij dziejowych.

Lecz żyjemy w epoce, w której nietylko sfera technicznych wynalaz- ków przynosi co dzień niemal zdobycze nowe. Owszem, rozbudzona działalność na polu technicznym ułatwia badania naukowe, przyspiesza rozpowszechnienie rezultatów tych badań. Dzieła Burnoufa i Müllera, chociaż dopiero przed laty dziesięciu wyszły, nie obejmują wszystkich, obe- cnie już znanych religij. Również i Tylorowi, gdy traktował on o pier- wotnej kulturze i podawał teorię religij pierwotnych, nie były jeszcze znane materiały, które podstawę główną teoryom owym dostarczyć mogły.

W przeciągu ostatnich czterech dziesięcioleci archeologowie odnaleźli w Mezopotamii rozmaite zabytki starożytnej kultury miejscowej, od dwóch przeszło tysięcy lat w ziemi leżące; paleografowie odczytali znaki pi- smienne na owych zabytkach, chociaż do żadnego znanego im dawniej pi- sma nie były one podobne; lingwiści odtworzyli nowe dla siebie języki; hi- storycy odkryli nieznaną epokę w dziejach Azji przedniej, posuwającą te dzieje wstecz o wieków kilkadziesiąt.

Wśród narodów występujących w tej epoce istniał był jeden, o któ- rym jeszcze w dziejach nic do czasów obecnych nie wiedziano, którego imienia nawet nie przechowały tradycje późniejsze. O istnieniu narodu tego zaświadczyły pomniki piśmiennictwa, w oryginalnym jego przecho- wane języku. Znaczną część tych pomników stanowią K s i ę g i Ś w i ę t e. Księgi te objawiają nam religię dotychczas nieznaną. Nosi ona na sobie wszelkie cechy oryginalności zupełnej i przedstawia czysty, pełny, zam- knięty w sobie systemat religii pierwotnej, jaka powstać mogła w natural-

nym rozwoju społeczeństwa. Już te względy zapewnić jej mogły wyjątkowe miejsce w u m i e j ę t n o ś c i religii. Znaczenie jej atoli jeszcze bardziej wzrosło, skoro poznano okoliczności, które wpłynęły na przechowanie ksiąg świętych tego narodu i obroniły je od wszelkich tych przeróbek i uzupełnień, jakim podległy z biegiem czasu wszystkie bez wyjątku księgi tego rodzaju innych; gdy zbadanie faktów historycznych wykazało głęboką starożytność narodu samego, a specjalniejsze studia nad językiem i pomnikami wykryły pochodzenie jego; наконец, gdy odkryte pochodzenie kazało w narodzie tym uznać dawniejszą od wszystkich znanych w czasach historycznych ludność tej ziemi.¹⁾

Tak więc historia religii zyskała pierwszą kartę, autentyczną i oryginalną.

Nim atoli przeczytamy tę kartę, wypada nam poznać sam naród, rozpatrzyć owe księgi jego święte.

I.

Jak uprzywilejowany stan w narodzie, jak jeden naród w państwie, a w każdej danej epoce dziejowej jedno zwykle państwo stają na czele wszystkich i mają się za przedstawicieli całości; tak też w naszym dziejowym okresie dwa szczepy, aryjski i semicki, stanęły na czele innych i uchodzą we własnym przekonaniu za jedynych przedstawicieli ludzkości. Przeto doba dziejowa rozpoczyna się od chwili, gdy należące do tych dwóch szczepów plemiona, opuściwszy pierwotne siedliska, rozeszły się szukać innych obszerniejszych. Przeto świat historyczny zamknięty został w obrębie zajętych przez nie posiadłości. A pracy ich przypisano wszelkie dorobki cywilizacyjne; jedynie ich uzdolnieniu—podniesienie i uszlachetnienie rodzaju ludzkiego.

Lecz czem jest minuta w dobie, tem tylko bezwątpienia nasz okres dziejowy w okresie człowieka na ziemi.

Aryowie i Semici, nie stanowiąc pierwotnej ludności ziemi, nie są wyłącznymi twórcami cywilizacji obecnej: będą oni raczej szczęśliwymi spadkobiercami i uzdolnionymi kontynuatorami pracy cywilizacyjnej ludów

¹⁾ Do tej pracy służą mi głównie dzieła następujące:

Fr. Lenormant: *La Magie chez les Chaldéens et les origines Accadiennes*. 1874.

Tegoż: *La divination et la science des présages chez les Chaldéens*. 1875.

Tegoż: *La langue primitive de la Chaldée et les idiomes touraniens*. 1875.

Tegoż: *Etudes Accadiennes*, tome III. 1879 (zawiera teksta).

starożytniejszych od siebie. Nim bowiem o władnęli w Azji temi krajami, w których następnie znane z dziejów pozakładali państwa, kraje te już były zamieszkałe przez rozmaite ludy, które tylko ustąpiły przewadze przybyszów. Okres więc dziejowy, objęty naszymi tablicami chronologicznymi, nie jest pierwszym w dziejach ludzkości. Poprzedzał go inny, w którym inna rasa odgrywała rolę w naszym przez kaukaską podjętą.

Rasą tą była t u r a ń s k a.

Że okres nasz był poprzedzony przez czasy znane pod ogólną nazwą s c y t y j s k i c h, od nadawanego przez historyków greckich niektórym bliżej im znanym plemionom turańskim miana; że turańczycy zajmowali wszystkie kraje historyczne i stanowili dawniejszą w nich niż aryowie i semici ludność, przypuszczali już i historycy pierwszych wieków ery naszej. Lecz o tych scytach sami oni nie wiele co wiedzieli, a jeszcze mniej znajdowali w historykach poprzednich.

Przyczyny tego szukać należy w stosunkach, w jakich odrazu stanęli aryowie i semici do plemion turańskich, zamieszkujących kraje, do których wtargnęli. Stosunki te maluje dokładnie jeden wyraz: walka. Walka to była długą, gdyż przechodziła z pokolenia na pokolenie; zaciętą, gdyż obu walczącym stronom szło o podstawy do życia; niestanną, gdyż prowadził ją sąsiad z sąsiadem o miedzę. Gdy zwycięstwo przechyliło się ostatecznie na stronę przybyszów, pamięć walki zatarła wszelkie inne we zwycięzcach wspomnienia. Dawniejsi mieszkańcy w wyobraźni nowych stawali tylko jako wrogowie, których imię samo było już groźbą, istnienie—wiszącą ciągle niebezpieczeństwem. I jeśli niewdzięczność jest własnością wszystkich spadkobierców, przechodzi ona w nienawiść do tych, którzy istnieć przestali, gdy do spadku po nich doszło się przez mordy i rabunek. W tradycjach i mytach ludów późniejszych obraz turańczyków dawnych przechował się jedynie tylko taki, jak go wspomnienia owych wielewielokowych walk i grozy z nimi związanej wytworzyły; jak go nienawiść szczepowa i uprzedzenie zabarwiły.

Odtworzona na podstawie zabytków odnalezionych w Mezopotamii, nieznaną dotychczas epoką dziejów starożytnych, właśnie wskutek tego dla ogólnego dziejoznawstwa ma tak doniosłe znaczenie, że w jej obrębie spotykają się i z sobą się zlewają dwa okresy wspomniane, że w niej występują jednocześnie na scenie dziejowej dwie rasy różne, z których jedna miała za sobą przeszłość niezgłębioną, druga przyszłość zagadkową przed sobą. Przedstawicielami nowego porządku rzeczy stają się w niej dwa

ludy semickie, znane następnie w historii jako Babilończycy i Asyryjczycy. Przedstawicielami dawniejszej Azji Mniejszej ludności, przedstawicielami rasy skazanej w tym kraju na zaturę — nieznanymi dotychczas nawet z imienia Akkado-Sumirów. ¹⁾

Oni to mianowicie są owym odkrytym przed laty dziesięciu, a w dziejach starożytnych zapomnianym narodem. Oni jedyni turańczycy starożytni, których poznać możemy bliżej na podstawie autentycznych pomników piśmiennych.

Pomniki te, aczkolwiek ich autentyczność nie może podlegać żadnej wątpliwości, nie wszystkie doszły do nas bezpośrednio od Akkado-Sumirów. Znaczną ich część, i to najważniejszych, przechowali i nam przekazali późniejsi mieszkańcy Mezopotamii, Babilończycy i Asyryjczycy.

Nie będzie to jednakże zasługą wyjątkową zwyciężkich Semitów, jeżeli w kraju przez nich zajęтым nie zostały całkowicie zniszczone zabytki piśmienne dawniejszych jego mieszkańców. Nie będzie to w rzeczy samej nawet hołdem złożonym pamięci tych mieszkańców, jeżeli Semici pomniki piśmiennictwa ich wydarli grożącemu im zatraceniu. Do tego czynu zmusiła ich konieczność. Przechowywanie staranne owych pomników leżało w ich interesie. Nic przeto wymowniej nie zaświadczy o wartości odkrytego narodu, jak ta okoliczność, że, ginąc, potrafił wycisnąć na zwycięzcach nigdy niezatarte znamię swej kultury oryginalnej. I nic innego nie wydobyło obecnie tego narodu z zapomnienia, nic innego nie wskrzesiło go w dziejach, jak to, że pomimo najfatalniejszych warunków, skazujących go na zagubę, pomimo przewrotów politycznych, przeistaczających rdzennie stosunki etnograficzne, zdążył ślady istnienia swego wyryć na kartach historii cywilizacji.

Przybywszy do Mezopotamii, Semici zastali Akkado-Sumirów, stojących na bardzo wysokim stosunkowo do siebie stopniu kultury technicznej i umysłowej.

¹⁾ W napisach pamiątkowych starożytnych monarchów chaldejskich, a następnie asyryjskich, czytamy, że panowali oni nad dwoma ludami Akkadami i Sumirami. Jedni uczeni, jak Lenormant, w Akkadach widzieli turańczyków, drudzy, jak Oppert, Menant, w Sumirach. Dopiero na 5-tym (1881 r.) kongresie orientalistów dr. Haupt udowodnił, że zarówno pod Akkadami jak i Sumirami należy rozumieć plemiona rasy turańskiej. Powstała ztąd konieczność nazywania turańczyków mezopotamskich obu wzmiankowanymi nazwami.

Akkado-Sumirowie posiadali pismo własne. Pismo to było zgłoskowym. Jak każde zgłoskowe powstało i ono, wskutek bardzo długiego procesu, z obrazowego. Przeto było ono ściśle związanem z językiem wynalazców i zachowało znaczną ilość ideogramów. Semici przyjęli to pismo. Lecz ponieważ nie potrafili poradzić sobie tak, jak inna ich gałąź (kanaańska) poradziła następnie z pismem egipskiem, przeto, przyjąwszy pismo Akkado-Sumirów, utrzymali wartość zgłoskową, nadaną postaciom przez wynalazców pisma, i tylko w pewnych wypadkach znaczenie brzmienia pojęciowe tłumaczyli na własny język. Wynikło z tego takie położenie rzeczy, że babilończycy i asyryjczycy chcąc posiadać należycie sztukę pisania we własnym języku musieli poznać poprzednio pismo Akkado-Sumirów, czego bez znajomości ich języka dokazać nie mogli. Elementarze układane przez semitów dla nauki czytania stanowiły zarazem dla nich słowniki języka Akado-Sumirów i takie znaczenie przechowały i dla nas.

Akkado-Sumirowie pisma swego nie używali tylko wyłącznie na napisy pamiątkowe, mieszczono je po pałacach i świątyniach. Doszli oni do piśmiennictwa rozległego i, co stanowi główną jego cechę, zupełnie oryginalnego. Piśmiennictwo to było wynikiem naturalnym długiego rozwoju kulturowego, produktem pracy umysłowej nieprzeliczonych pokoleń, obejmowało podstawy główne cywilizacji pierwotnej i zaspakajało jej wszystkie potrzeby. Zawarło przeto w sobie sumę spostrzeżeń dokonanych na polu praktycznych zajęć, jako to: w rolnictwie, ogrodnictwie, administracji, rzemiosłach; pierwsze próby kodyfikacji prawa obyczajowego, pierwsze próby odtwarzania życia w opowieściach, na koniec k s i ę g i ś w i ę t e.

Chociaż Semici stali znacznie niżej pod względem kultury od Akkado-Sumirów, jednakże różnica pomiędzy nimi nigdy nie dochodziła do rozmiarów tej, która dzieliła ludy celtyckie, lub germańskie na początku ery naszej od Greków i Rzymian. Przywłaszczenie sobie piśmiennictwa greckiego wymagało odpowiedniego ukształcenia estetycznego i filozoficznego; piśmiennictwa Akkado-Sumirów tylko odpowiedniego uobyczajenia, pozbycia się mianowicie pierwotnej dzikości, wyrobienia w sobie upodobania do zajęć umysłowych. Poznanie literatury klasycznej, przypuściwszy możebność tego, wynosiło odrazu Celtów i Germanów na szczyt rozwoju umysłowego; poznanie literatury akkado-sumirskiej otwierało Semitom tylko drogę do pracy umysłowej, ułatwiało zajęcia techniczne.

Semici mezopotamscy przywłaszczyli sobie piśmiennictwo Akkado-Sumirów, a przywłaszczyli drogą nam znaną, za pomocą przekładów.

W skutek jednakże specjalnych trudności, wynikających z rodzaju pisma, nie mogli poprzestać na przekładach wyłącznie i zadowolnić się jedynie niemi. Przechowywali więc starannie oryginały, które tylko opatrywali przekładami, mieszczeni tuż obok tekstu, jak idą one w naszych wydaniach, zwanych *pagina fracta*.

Wraz z pismem przyjęli Semici od Akkado-Sumirów również i materiał do pisania, oraz sposoby techniczne postępowania. Pisali bowiem jak i tamci na wyrobionych z gliny cegiełkach, które, po wytłoczeniu na nich znaków pismiennych, umiejętnie zasuszali, Zbiory takich cegiełek stanowiły ich biblioteki i archiwa. A ponieważ materiał był trwały, pismo na nim niby rzeźbione, księgozbiory takie przechowywać się mogły bardzo długo i nie podlegać tym uszkodzeniom, które grożą naszym. ¹⁾

W taki sposób sami semici, jak to widzimy, uratowali od zatracenia pomniki starożytniejszego od swego pismienictwa, w którym mamy wszelkie prawo poszukiwać ostatnich śladów cywilizacji okresu dziejowego, nasz okres poprzedzającego. Pomniki te przechowywane w księgozbiorach babilońskich i asyryjskich, po zniknięciu w Mezopotamii Akkado-Sumirów, podtrzymywały znajomość ich języka, a przez to i pamięć istnienia wśród późniejszych mieszkańców własnej ich niegdys ojczyzny. Wykopywane zaś obecnie ze zwalisk miast mezopotamskich wskrzeszają dla wiedzy historycznej naród, stanowiący resztki pierwotnej ludności Mezopotamii, w której możemy upatrywać pracą umysłową podniesionych, nobyczajeniem wyższym uszlachetnionych potomków człowieka kopalnego. ²⁾

Większą część tych pomników, co zresztą znając charakter kultury starożytnej wogóle łatwo jest przewidzieć, stanowią utwory, których treścią są wierzenia religijne, których forma wykazuje, że były używane przy rozmaitych obrzędach religijnych. Te to właśnie pomniki stanowią **Księgi Święte Akkado-Sumirów.**

¹⁾ Zainteresowany temi odkryciami naukowemi czytelnik i w ojczystem swem pismienictwie znajdzie w tym przedmiocie prace, z których zaczerpnąć będzie mógł informacji obszerniejszych i wskazówek bliższych. One są: *Król Assur-pani-pal i jego biblioteka* (Bibl. Warsz. za r. 1877). *Pomniki pismienictwa babilońsko-asyryjskiego* (Ateneum, za 1881 r., nr. styczniowy, za 1882, nr. lipcowy). Nakoniec *Dzieje literatury powszechnej*, wydawane przez Lewentala, zawierają *literaturę babilońsko-asyryjską*.

²⁾ Jak wiadomo, w budowie czaszek ludzkich, pochodzących z czwartorzędowej epoki geologicznej, antropologowie znajdują podobieństwo do czaszek współczesnych nam plemion **turańskich**, zamieszkujących północne części Azji i Europy.

Podzielić pomniki te możemy na dwie grupy. Grupa pierwsza obejmie utwory mniejszych rozmiarów, zbliżone do siebie treścią czarodziejską. Będą to więc głównie zaklęcia, zamawiania rozmaite i hymny przy czarach używane. Utwory te przechowywane były nie pojedynczo, lecz, jak to wnosić należy z numeracyi cegiełek oraz powtarzanego na każdej tytułu jednego, zbierano je w większe, odrębne całości. Obecnie już dwa znane są takie zbiory. Pierwszy zawiera 28 zaklęć na rozmaite duchy, zastosowanych do wszelakich przygód życiowych. Drugi, rozmiarami znacznie przewyższający poprzedni, składa się z pięćdziesięciu przeszło cegiełek, wśród których nieuszkodzone zawierają od 300 do 400 wierszy pisma. Wskutek tak znacznych rozmiarów znajdujemy w nim większą już różnorodność co do utworów i podział na części.

Część pierwsza nosi osobny tytuł „Złe duchy“. Już sam tytuł ten wskazuje specjalny użytek pomieszczonych tam zaklęć. Część druga składa się z zamawiań chorób. Część trzecia mieści hymny do bóstw.

Ponieważ i one miały również jak zaklęcia i zamawiania odwracać zło, wpływać na bieg chorób, odpędzać duchy, czary i uroki, przeto nazwać je możemy czarodziejskiemi. Jednakże i do nich zaczyna już wchodzić żywioł mityczny. Niektóre z tych hymnów wyliczają w formie litanii duchy dobre, bóstwa opiekuńcze, mające pospieszyć na pomoc, dopełnić czynów wymaganych. Kilka znowu opiewa wartość cudowną i wpływ nieprzewyciężony talizmanów różnych.

Grupę drugą tworzą wyłącznie hymny, których zadaniem nie było już dokonywanie czarów, lecz sławienie bóstw rozmaitych, do których bywały zwracane. Przeto różnią się one od hymnów wchodzących do grupy pierwszej tem, że żywioł mityczny, zaledwie w tamtych uwzględniany, stanowi w nich tło główne, a przytem występują w nich przeróżne już uczucia, uwydatniają się pojęcia rozleglejsze. Ponieważ śpiewano je przy obrzędach publicznych, czego widoczny ślad pozostał w formie, więc mianować je w celu odróżnienia od tamtych możemy obrzędowemi, lub, uwzględniając treść — mitycznemi.

Również i co do formy znajdujemy w nich ważną różnicę. Wszystkie wybitne cechy stylowe hymnów czarodziejskich, a mianowicie, krótkie ustępy, zdania urywane, ozdobne porównywania, dobór przeciwstawień i w nich zwraca na siebie uwagę czytelnika. Lecz co w tamtych było rzeczą rzadką, niby przypadkową, tu stało się regułą ogólną. Myśl wyrażoną w zdaniu jednym, drugie, tuż za nim idące, uzupełnia za pomocą bądź to innego

porównania, bądź też innego określenia — co stanowi różnicę pomiędzy językiem miarowym, mową używaną w poezji, a prozą. Jestto *parallelizm*, spotykany następnie jako forma utworów poetyckich w piśmiennictwie kilku ludów późniejszych (Egipcyan, Hebreów, Semitów mezopotamskich).

Sam fakt przechowywania przez Babilończyków i Asyryjczyków ksiąg religijnych Akkado-Sumirów świadczy wymownie, że i Semici owi, pomimo odrębności wierzeń, wyniesionych z pierwotnej swej ojczyzny, również za święte księgi te uważali i jako święte do swego piśmiennictwa wprowadzili; że, pomimo odrębnego kultu narodowego, do którego niechybnie przed wtargnięciem do Mezopotamii byli już doszli, nakazywane przez te księgi święte obrzędy praktykowali. Jednakże pomimo tak żywego zainteresowania się niemi, uniknęły one losu wszystkich ksiąg tego rodzaju. Ponieważ były napisane w języku zupełnie różnym od języka semickiego, przeto uzupełniać je i przerabiać, jakby to zrobili ze swemi, semici nie mogli. Pozostały więc one wyjątkowo w pierwotnej swej formie i oryginalnej postaci. Nie podległy zaś żadnym zmianom, przechowały wierzenia wszystkie w zupełnej czystości, mity w pierwotnym kształcie i całości.

Księgi te przeto odkrywają nam obraz prawdziwy religii pierwotnej, a przytem mogą wykazać, jak się w rzeczywistości pojęcia religijne rozwijały, uczucia kształciły i komplikowały.

II.

Religia wyjątkowe, pochłaniające wszystkie inne sfery działalności ludzkiej stanowisko swoje w czasach starożytnych zawdzięcza temu, że wówczas była jedynym produktem umysłowości człowieka. Religie starożytne przedstawiają się nam jako jedyne na swe czasy systematy wiedzy, jako encyklopedye ogólne, zawierające w zarodku wszystkie nauki i oznajamiające zarazem z praktycznymi czynnościami. Każda z nich zaspakajała w zupełności powstającą w miarę rozwoju umysłowego w człowieku ciekawość; każda stanowczo a stosownie do stanu umysłów rozwiązywała wszystkie te kwestye, których rozwiązania podejmowały się następnie różne nauki.

Stanowczość w rozwiązywaniu kwestyi wszelakich wypływała z metody dogmatycznej. I chociaż posługując się nią religia bardziej uspakajała umysły, niż je zadawała, prędzej je wzbogacała wpajaniem pewnych

wiadomości, niż rozwijała roztrząsaniem podawanych faktów, zawsze atoli budziła myśl i, odrywając ją od wyłącznego zaprzątania się potrzebami chwili, unosiła w sfery abstrakcyi. Dla tego właśnie w każdej religii znajdujemy własną a właściwą jej kosmogonię, zastępującą w całości kosmologię, znajdujemy własną fizykę, astronomię. A nawet z postępem czasu religia objęła etykę i politykę, gdy człowiek zaczął zdawać sam sobie sprawę ze swych czynności, rozważać pobudki postępów, zastanawiać się nad skutkami każdego kroku swego; gdy zaczął badać losy społeczeństwa, pojmować jego ustrój i potrzeby.

I dalej. Religia będąc pierwszym przejawem w człowieku zastanawiania się nad sobą i otaczającym go światem, przedstawiała zarazem pierwsze pole dla wyobraźni jego. Ztąd pochodzi zespolenie się jej w czasach pierwotnych ze sztuką. Ztąd piętno religijności na pierwszych płodach fantazyi twórczej.

Nim człowiek uzdolnił umysł swój do pojmowania i formułowania abstrakcyjnych praw bytu; nim obserwacya dostarczyła mu owych tysiąca faktów, z których o istnieniu tych praw mógł wywnioskować; nim doszedł nakoniec do zrozumienia swej roli i znaczenia w tej nieskończonej zarówno w czasie jak i w przestrzeni całości, którą my wszechświatem zwiemy, pomiędzy nim a sobą pomieścił nieznaną potęgę, po nad niego i po nad siebie je wyniósł, jego i siebie poddał ich władzy; a to wszystko dla wytłomaczenia sobie zagadki bytu, dla wyjaśnienia celu własnego istnienia.

Lecz czy to myślą zagłębiał się człowiek w początek wszechrzeczy i rozważał jaki koniec ma spotkać wszystko to, co istnieje tylko, czy też w wyobraźni powstałymi istotami zaludniał wyobraźnią stwarzane światy, zawsze punktem środkowym badań stanowiących tło systematów religijnych pozostawał on sam dla siebie, jedynie sam. Pojęcia, do jakich człowiek w danej chwili dochodził o sobie i o stosunku swym do otaczających go przedmiotów i istot, służyły tym badaniom za punkt wyjścia. Poziom wiedzy ogólnej skierowywał je ku tej lub owej stronie. Stopień wykształcenia estetycznego wyobraźni tak lub inaczej je zabarwiał. Historia przeto religii będzie pod pewnym względem historią pojęć, do jakich człowiek dochodził w rozwoju swym dziejowym o sobie i o świecie i na jakich w pewnych okresach dłużej lub krócej się zatrzymywał.

Politeizm antropomorficzny, jaki prawie wyłącznie panował w kilkunastu wiekach poprzedzających erę naszą, powstać i rozwinąć się mógł wtedy dopiero, gdy człowiek odkrył był w sobie te własności, które prze-

niósł następnie na bogów, gdy z poznania stanu rozmaitego swego umysłu, swych uczuć i dążeń utkał tło dla mitologii.

Nie postać atoli i uczucia własne uderzać człowieka w sobie przedewszystkiem mogły, skoro poczynął zastanawiać się nad sobą, lecz sam fakt istnienia, przejawiający się w ruchu, czynie. Przedtem nim obdarzył bogów postacią swą i uczuciami, musiał on dojść do przedstawienia sobie czegoś zewnątrz siebie istniejącego, różnego od tego wszystkiego, co zmysłami dosięga a niezależnego od siebie. Nim pozwolił bogom historycznym, uosabiającym ich tysiące, zamieszkać we własnych światach, w otoczeniu tysięcy, czuł się człowiek pierwotny okrażony ze wszech stron istnościami niewidzialnymi na ziemi. Nim bogowie ze szczytu Olimpu, z gwiazd wzniesionych nad firmamentem, z przestrzeni nadpowietrznych lub głębi ziemi rządzić człowiekiem a następnie i światem zaczęli, rządzili już człowiekiem z sąsiedztwa najbliższego, z góry tuż obok leżącej, z dna rzeki przyległej, rządzili nim kryjąc się po kątach mieszkania, zaczajeni w sprzętach rozmaitych domowych.

Bogów o ludzkich lub zwierzęco - ludzkich postaciach poprzedzały w czasie tłumy duchów bezpostaciowych. Politeizm jako systemat religijny był wynikiem p o l i d e m o n i z m u ¹⁾.

Lecz czy pierwsze duchy, będące w porządku rzeczy rodzicami bogów, istnienie swoje w pojęciach człowieka pierwotnego zawdzięczają logicznemu rozumowaniu, opartemu na stosownych, chociaż błędnych spostrzeżeniach? Czy też są one wynikiem wyobraźni pobudzonej pewnem uczuciem? Poznanie stanu umysłu i warunków bytu ludzi pierwotnych tylko na drugie pytanie pozwala odpowiedzieć twierdząco. A nadto wykazuje ono, jakie to było uczucie, które pobudziło w tym wypadku wyobraźnię.

Najsilniejszym uczuciem ze wszystkich, którym podlegał człowiek w czasach pierwotnych istnienia swojego, było uczucie strachu. Trwożył go sąsiad współlubiegający się z nim o kęs mięsa; trwożył dziki zwierz mogący go rozszarpać; drżał on przed każdym groźniejszym zjawiskiem przyrody; uciekał obawę, gdy spostrzegł zmianę w swoim usposobieniu; gdy poczuł ból lub niemoc w swoim ciele; wśród cichości przerażał go każdy

¹⁾ Przekładam nazwę polidemonizm, wprowadzoną przez Tiele'go (*Manuel de l'histoire des Religions*, 1880) do historii religii dla oznaczenia pierwotnej epoki, nad nazwą nadawaną tej epoce przez Tytora. Przytem czytelnik znający teorię animizmu Tytora znajdzie, że nawet i w genezie swej jest on różny od polidemonizmu.

dźwięk wybitniejszy, głos donioślejszy, a nawet głuchy szmer, skoro niewiedział, z kąd one pochodzą; wśród ciemności — każdy ogień, którego on sam nie rozniecił, każda światłość niespodziewana. Wzniecały przeto strach w człowieku zarówno istoty znane mu dokładnie, przedmioty różne, o których istnieniu przekonywały go zmysły, jak też zjawiska atmosferyczne i geologiczne, których istoty wytłomaczyć sobie nie umiał. Przerażały jednakowo złudzenia własnych zmysłów, jak i zmiany doświadczane we własnym organizmie. Uczucie strachu ciągle go gnębiące kazało mu wszędzie dopatrywać się sidiel na sobie zastawionych, wszędzie widzieć nieprzyjaciół nań czyhających; kazało czuć się bezustannie otoczonym znanymi i nieznanymi niebezpieczeństwami, widzialnymi i niewidzialnymi wrogami. Otóż owym nieznanym niebezpieczeństwom przypisywał on przyczynę taką, jaką spostrzegał w znanych; niewidzialnym wrogom przyznawał to istnienie, jakie czuł sam w sobie. Zjawiska przyrody, wskutek nieznamości jej, poczytywał za objawy istnienia istot tak samo żyjących jak on sam. Złudzeniom zmysłowemu, zmianom doświadczanym we własnym organizmie przyznawał byt realny. W taki sposób powstały duchy złe.

W życiu atoli obok przygód złych człowiek spotyka i dobre, obok zjawisk przyrody niszczących, zjawiska dobroczynne, obok przedmiotów szkodliwych, przedmioty pożyteczne. Te same warunki, które wytworzyły złych duchów, powinny były następnie wytworzyć i d o b r y c h. Wówczas to wszystkie objawy życia stały się wynikiem walki pomiędzy duchami złymi i dobrymi. Los człowieka, owej ofiary i przedmiotu tej walki, zależał od równowagi sił walczących.

Lecz wprowadzenie na świat dobrych duchów nie zmieniło położenia rzeczy. Jeżeli sprawek duchów złych unikać należało, pomoc dobrych zapewniać sobie potrzeba było. A któż kiedy mógł być pewnym, że wszystko już zrobił, co tylko mógł zrobić, by tę pomoc sobie zapewnić, że nie opuścił, niczego nie zaniedbał? Tak więc wiara w istnienie duchów wogóle ciężkim legła brzemieniem na umyśle i usposobieniu ludzi wierzących. Każdy bowiem swój postępek, swoje mienie, zdrowie, powodzenie, życie, uczynił człowiek zupełnie zależnym od duchów kapryśnych a swawolnych. One otaczając go nieustannie, utrzymywały w wiecznej niepewności i trwodze. Panowanie duchów było uciążliwszem od najdokuczliwszej niewoli.

Religia Akkado-Sumirów, jak ją przedstawiają znane nam już z pochodzenia i treści księgi święte dwóch warstw historycznej ludności Mezopotamii, jest właśnie owym pierwotnym p o l i d e m o n i z m e m. W utwo-

rach składających te księgi spotykamy, w jeden systemat zebrane, te wszystkie pojęcia, które należało przedtem dla odtworzenia obrazu pierwotnej religii zbierać rozpryskane po rozmaitych religiach późniejszych, lub odzyskiwać w wyobrazeniach religijnych, współczesnych nam ludów dzikich.

Przeglądając atoli te utwory, nie należy zapominać o jednym. Choć one wszystkie są zebrane obecnie w jedną całość, owej całości nie stanowiły zawsze, pochodzą bowiem z rozmaitych czasów. Jeśli te rozpoczynają epokę polidemonizmu, tamte ją kończyć muszą. Przeto gdy w tych dojrzymy brzask pierwotnych idei religijnych, tamte przedstawiają rozkwit tych idei, inne znowu ostatnie ich przekształcenie się na schyłku epoki, w chwili gdy ona przechodziła już w inną.

Pierwotny mieszkaniec Mezopotamii wszystkim duchom nadawał jedną, gatunkową nazwę *Zi*. Nazwa ta miała oznaczać to co żyje, i istnieje, jak to wnioskować można ze znaczenia tego pierwiastku. Takie *Zi* przebywały w każdym miejscu i w każdym przedmiocie. Były więc *Zi* mieszkające na słońcu, na niebie, na ziemi, pojmowanej jako całość, w górach, lasach, wodzie, ogniu i t. d. Od miejsca zamieszkania zależała ich potęga i znaczenie. Duch słońca potężniejszym był od ducha drzewa lub kamienia. Duch ziemi z natury rzeczy miał władzę nad duchami znajdujących się na ziemi przedmiotów. Były więc duchy starsze i młodsze, ważniejsze i mniej ważne. Najpotężniejsze te, które z czasem w bogów się przekształciły, nosiły nazwę *an*, *dimer*. Po nich szły *mas*, *lamma*, *utuk*. Nakoniec, *alad* (niszczyciel), *maskim* (czyhający), *gigun*. *Zi* wyższego rodzaju, dobre, od *Zi* złych nie nazwą osobną, lecz stosownymi tylko przymiotnikami były odróżniane. Tylko ostatnie, jak o tem świadczy nazwa dwóch, były wyłącznie złe duchy. Jakkolwiek wszystkie *Zi* owe miały specjalne miejsca zamieszkania, mogły jednakże odbywać wędrówki, oddziaływać na siebie, walczyć z sobą.

Z natury rzeczy człowiek więcej doznaje w życiu przeciwności niż powodzenia; bardziej pamięta o chwilach przykrych niż pomyślnych; wtedy tylko czuje, że był zdrow, kiedy przyciska go choroba; niebezpieczeństwa, którym podlega, wstrząsają nim silniej niż nęcą przyjemności. Akkad i Sumir, przypisując wszystko zło spotykane w życiu sprawom złych duchów, ich tylko bać się byli zmuszeni. Bojaźń przed nimi pochłaniała wszystkie inne uczucia. Dla tego więcej było rodzajów złych duchów. Dla tego one prawie wyłącznie zaprzętały jego umysł. Sprawki ich bywały przedmiotem

gawęd i opowiadań. Parę urywków przechowanych z takiego opowiadania wtajemniczą nas w nie. Oto jeden z takich urywków :

„Z kraju do kraju przebiegają.
Niewolnicy odbierają możność zostania matką.
Kobietę wolną z domu, gdzie dzieci porodziła, wydalają.
Dzieci z domu ojca wypędzają.
Gołębim trafić do gniazda przeszkadzają.
Ptakom w locie skrzydła płaczą.
Jaskółki zewnątrz gniazda w przepaść topią.
Wółu zabijają, jaguię zabijają.
Z domu do domu wciskają się.
Żadne drzwi ich nie zatrzymają.
Żadna zasława nie odeprze.
Jak żmija w szpary się wczolgują.
Pod dachem niby wiatry dmą.
Małżonkę uścisku męża pozbawiają.
Dziecko z kolan ojca spędzają.“

Ten zaś istotę ich opiewa, głównych wylicza :

„Jest ich siedem, jest ich siedem.
W głębiach oceanu jest ich siedem.
Niebios burzycieli jest ich siedem.
W głębiach oceanu, w miejscach ukrytych wznoszą one...
Nie są to mężczyźni, nie są to kobiety...
Żon nie znają, dzieci nie mają.
Nie wiedzą, co jest porządek dobry, dobry czyn.
Ni prośb, ni modłów nie słuchają.
Są jakoby robactwo mnożące się po górach.“

Nieograniczone środki, niedająca się wyczerpać pomysłowość w ro-
bieniu złego wszystkim istotom nie zadawalniała złych duchów ostatecznie.
Pospieszały one z pomocą, skoro tylko człowiek chciał jeden szkodzić dru-
giemu. Skutkiem tej pomocy człowiek rzucał uroki.

Wobec tylu i tak groźnych niebezpieczeństw gdzież należało człowie-
kowi szukać ratunku? Co mogło mu dostarczyć broni do walki z tylu ja-
wnymi i skrytymi wrogami. Oto s ł o w o. Człowiek sam jeden wśród tylu
istot, będąc obdarzony mową, właśnie w mowie widział moc swoją, w niej
potęgę swą mieścił. Wymawianie słów znanych, przy ściśle wykonywaniu
przepisanego obrzędu, mogło pomódz złej ludzkiej doli, mogło oddalić zgu-
bne skutki działalności złych duchów, lub przez nie działających ludzi,

chroniło od niebezpieczeństw i chorób, odwlekało śmierć, ratowało w niedoli. Słowa te były bądź to zaklęcia, bądź to zamawiania.

Oto jedno z takich zamawiań przeciw urokom.

„Jako daktyl ten jest rozerwany na części, tak niech będzie urokowi. Ogień płonący spali daktyl. Od gałęzi oderwany nie powróci już do niej. Na pokarm podany nie zostanie. Człowiek, który rzucił uroki, syn jego starszy, żona, czary rzucone... niech wszystko razem będzie rozerwane jak oto ten daktyl na części i niech ogień to wszystko pochłonie. Urok niech odejdzie. Niech ja ujrzę światło“.

Treść tego zamawiania każe przypuszczać stosowną akcję z daktylem i ogniem. Przy odmawianiu kilku innych zamiast daktyla były używane: cebula, węzeł rozwiązywany, wełna, kawał tkaniny.

Zaklęcia służyły przeciw duchom złym. W tym atoli razie człowiek działał nie bezpośrednio, lecz przez ducha dobrego. Wzywał pomocy dobrego. Skuteczną pomoc mógł tylko udzielić duch potężniejszy. Dwa za takowych uchodziły; *Zi anna*, duch nieba, *Zi kia* duch ziemi. Poznanie kilku takich zaklęć da pojęcie o wszystkich.

„Zaklęcie. Ducha (*ana*) złego, ducha (*utuk*) złego, ducha (*utuk*) pustyni, ducha góry, ducha morza, ducha błót, ducha (*alad*) złego posiadającego siłę potężną, napelniającego strachem wielkim, ducha złego władającego ciałem, ducha wstrząsającego wszystkim, duchu nieba, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

„Ducha mieszkającego w człowieku, ducha władającego człowiekiem, ducha (*gikim*) zło czyniącego, ducha złego, duchu niebios, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

„Chorobę wnętrzości, niemoc, rznięcie w żołądku, chorobę, która nie opuszcza, chorobę żył, chorobę, która nie ustępuje, chorobę złą, duchu niebios, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

W hymnach zwracanych do duchów (*ana*), przebywających w ciałach niebieskich lub żywiolach, autorowie rozpatrywali czynności tych duchów. Malowało to ich potęgę. Obrazowe zaś przedstawienie rzeczy dawało początek mitom.

Oto jest urywek z hymnu do ognia:

„Ogniu, władco potężny, który się wznosisz na ziemi,
Wojowniku, synu oceanu, który się wznosisz na ziemi!
Ogniu, płomieniami swemi błyszczącemi
niecisz światło w przybytku ciemności,

ustanawiasz losy wszystkiego, co nosi imię
Kto mięsza ołów i miedź? To ty!
Kto czyści srebro i złoto? To ty!
Kto towarzyszy niewieście o licu z rogami? To ty!
Kto napawa w noey przestrachem pierś zbrodniarza? To ty!

Jak niewiele potrzeba było, by z wyrażenia „towarzyszy niewieście o licu z rogami (księżycowi)“, lub „napawa pierś zbrodniarza przestrachem“, fantazya ludowa, przyjawszy je za realne fakty, wytworzyć mogła opowiadania o kochanku lub opiekunie księżycy, i o istocie jakiejś wszechwidzącej i wszechobecnej, która niedozwoliła zbrodniarzowi spełnić jego zamiary w danej okoliczności.

Oto znowu urywek z hymnu do księżycy:

„Panie, władco duchów, który na niebie i na ziemi sam jesteś najwyższy, ojczy, oświecicielu, duchu obfitości. królu duchów, którego światło potężnieje, rogi nabierają siły, członki się kształtują, broda jasnieje wspañiale, gdy obejdziesz swój krąg... Litościwy, który wszystko rodzisz, po nad istotami żyjącymi twój przybytek jasniejący wznosisz; ojczy litościwy, odnowicielu, którego ręka podtrzymuje życie na ziemi“...

I znowu mamy gotowy obraz do mitu, o istocie, która przebiega kręgi rosnąc, potężniejąc, która żywi wszystko na ziemi, a więc rządzi nią. Dalszy ciąg tego hymnu przybiera wspaniały polot myśli i znajdujemy w nim nawet ową obrazowość i siłę wyrażen, któremi hymny religijne hebrajskie wsławiły się z czasem.

„Na niebie kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy!
Na ziemi kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy!
Twa wola ogłoszona na niebie i duchy nieba padają na twarz przed nią!
Twa wola ogłoszona na ziemi i duchy ziemi padają na twarz przed nią!
Twój rozkaz zabrzmiał w górze jako wiatr w ciemnościach, i oto ziemia
rodzić zaczyna.
Twój rozkaz zaledwo doszedł do ziemi, i oto roślinność już się pokazała.
Twój rozkaz unosi się nad miejscami zamieszkałemi i wierzchołkami gór
i wszędzie istoty żywe rozmnaża.
Twój rozkaz rodzi prawdę i sprawiedliwość i prawdę pomiędzy ludźmi
utrzymuje.
Kto może poznać twą wolę?
Kto ci dorównać zdoła?“

W tym ustępie światłu przypisana już jest moc utrzymywania życia i utożsamiono je z prawdą i sprawiedliwością. Również ten zwrot potężdze materyjalnej ducha księżycy nadaje własności etyczne.

Im bardziej wzrastała potęga duchów i szlachetniała ich istota, tem większy przedział powstawał pomiędzy nimi i człowiekiem. Nakoniec okazała się potrzeba pośrednika. Najodpowiedniejszym pośrednikiem mógł być syn. Oto jeden z hymnów czarodziejskich, w którym widzimy występującego już syna ducha ziemi.

„Zakłęcie. Złorzeczenie złego jak duch zły na człowieku ciąży. Głos przeklinającego ciągle wisi nad nim. Głos nie dobry na nim spoczywa. Złorzeczenia złego są przyczynami czaru, obłądu.

Oto człowiek. Złorzeczenia złego duszą go. Duch dobry jego oddalił się z ciała jego... Głos złorzeczącego jako zasłona pokrywa go i obarcza.

Silik-mulu-ki udzielił mu swej opieki, do ojca swego, do domu pana ziemi, wszedł i rzekł: ojczcie mój, złorzeczenie złego jako duch zły na człowieku ciąży. Dwa razy przemówił następnie: co zrobił ten człowiek, nie wie, ani też wie czemu podlega.

Pan ziemi synowi swojemu Silik-mulu-ki odpowiedział: Synu mój, jak to ty nie wiesz? Czyż potrzeba bym Cię nauczył? Co ja wiem, to i ty wiesz.

Pójdź mój synu, Silik-mulu-ki, z miejsc wspaniałych wysłuchaj go, los zły jego oddal, od złego go losu uwolń“...

Silik-mulu-ki, występujący w tym hymnie w roli pośrednika, w innym sam staje się przedmiotem uwielbienia. Jest to rodzaj dyalogu pomiędzy Silik-mulu-ki i jego czcicielem. Czciiciel wypowiada:

„Przed strachem, który rozsiewasz, któż ujdzie?
Twa władza jest jako oręż potężny, który się rozpościera nad niebem
i ziemią“.

Na to Silik-mulu-ki:

„Rozkazuję morzu, i morze się wygładza;
Rozkazuję burzy, i burza milknie.
Rozkazuję łożysku rzeki Sippary (Eufrates).
Wola Silik-mulu-ki podnosi wody jej“.

Zdumiony czciiciel wykrzykuje:

„Panie, tyś wielki, któż ci dorówna?“

Lecz nie tylko w kierunku mitologicznym spotykamy rozwój pojęć religijnych. Parę utworów dowodzi dość głębokiego wniknięcia w stan wewnętrzny duszy, maluje umiejętnie usposobienie człowieka zostającego

pod wpływem wspomnień zbrodniczych lub przygód nieszczęsnych, wykazuje znajomość istotnych warunków istnienia.

„Panie, gniew serca twego niech się uspokoi.
Duch (*dimer*), którego nie znam, niech się uspokoi.
Duch (*dimer*), który zna rzeczy nieznanne, niech się uspokoi.
Robiłem źle i tego nie wiedziałem.
Dopuszczałem się przestępstw i tego nie wiedziałem...
Pan w gniewie serca swojego poczerwieniał na mnie.
Duch (*dimer*) w zapaleczywości swej przywalił mię...
Upadłem i nikt ręki mi nie podał.
Od płaczu zaniemiałem i za rękę mię nie schwymano.
Prośbę moją powtarzałem głośno, nikt mię nie wysłuchał.
Jestem powalony, w omdleniu, nikt mię nie ratuje...
Losy ludzi ¹⁾ są wyryte w piśmie a nikt nie zna pisma tego...

„...Usiadł w płaczu, w słowach bolesnych serce jego się rozrywa.
W płaczu srogim, jękach strasznych jako synogarlica zamilkł.
Wzywał on ducha (*ana*) swojego jako dziecię, boleść wszelako nie
opuściła go...
Przed duchem (*ana*) swoim w płaczu nieutulonym leży on z twarzą
ku ziemi zwróconą...“

Stan zgnębienia, w jakim w tym utworze znajdujemy człowieka, przedstawiany jest jako wynik złych czynów jego. Lecz przytem brzmi straszna skarga na obojętność duchów wyższych, przyszłych bogów, na cierpienia ludzkie, skarga, którą z czasem miał Prometeusz powtórzyć; a ponad wpływy tych duchów wzniesiono przeznaczenie, napisane, lecz nikomu nieznanne, któremu w religiach późniejszych mieli uleż i sami bogowie.

Jakkolwiek nieznanem nam jest obecnie, i prawdopodobnie nigdy znanem nie będzie, ile wieków, czy też tysiącleci, upłynęło pomiędzy pierwszym zaklęciem a najpóźniejszym hymnem, wchodzącym do ksiąg świętych Akkado-Sumirów, w każdym razie epoka objęta utworami w tych księgach zawartemi ciągnęła się bardzo długo, skoro widzimy w niej taki postęp pojęć religijnych.

Polidemonizm pierwotny przechodzi w tej epoce wszystkie stopnie prawidłowego rozwoju i dochodzi do politeizmu, który tak konsekwentnie

¹⁾ Dosłownie: ludzie (wyraz oznaczający pojęcie zbiorowe). . jest zapisane i nikt nie zna tego (pisma?).

i wspaniale został rozwinięty następnie przez rozmaite ludy semickie i aryjskie.

Lecz nie tylko prawidłowy rozwój pierwotnych pojęć religijnych może zwrócić naszą uwagę w księgach świętych Akkado-Sumirów. Oto księga ta świadczy wymownie, że i turańczycy przyjęli udział w wytworzeniu religii historycznych. Pomijając już bowiem tę okoliczność, że polidemonizm Akkado-Sumirów bezpośrednio się łączy w czasie z politeizmem Assyryjczyków, Greków, Rzymian, w każdej, co jest ważniejszą rzeczą, z późniejszych religii, znajdujemy wyraźne ślady wyobrażeń ich religijnych i nawet ich obrzędy.

Z wprowadzeniem do umiejętności religii polidemonizmu Akkado-Sumirów dzieje historycznych religii przekraczają naszą epokę dziejową i wchodzi do epoki s y t y j s k i e j. Pierwsza przeto karta historii religii, utworzona z ksiąg świętych Akkado-Sumirów, może rozszerzyć ramy historyczne naszej cywilizacji i stanowić ogniwo, łączące bezpośrednio na gruncie realnym nasze wyobrażenia religijne z wyobrażeniami ludzi pierwotnych.

I. Radliński.

ECHA

z epoki kamiennej.

Cofając się myślą w głąb wieków, widzimy światła dziejowe słabnące i gasnące. Gdzie pisane źródła ustają, tam się historia kończy; i dalej spotykamy już tylko ciemną otchłań niepochwytanych przemian, których ani treści, ani nawet zakresu historyk ocenić nie może i przez których mglistą zasłonę daremnie usiłowałby dotrzeć wzrokiem do pierwszej jutrzenki społeczeństw.

Co było przedtem? Jak powstały te, względnie wysokie cywilizacje, które nas u progu dziejów zdumiewają? O tem historia milczy, jeżeli nie chce nadnaturalnych legend brać za dobrą monetę.

Tak było przez długie wieki, i zdawało się, iż już nigdy nauka dziejów poza źródła pisane nie sięgnie.

Tymczasem, dzięki wytrwałości pewnej liczby dziwaków, zbierających skorupy, kości i kamienie, światło poczęło się przedzierać przez tajemniczą zasłonę wieków.

Stosy tych marnych resztek, zrazu bezmyślne i nieciekawe — przemówiły. Przemówiły potężnym głosem oczywistości, który zdawał się na to tylko tak długo drzemać w głębi ziemi, żeby z tem większą siłą zbudzić i oświecić jednych, wstrząsnąć i zachwiać drugich.

Śmiało indukcyje Schmerlinga i Boucher de Perthes'a o głębokiej starożytności rodu ludzkiego, o współczesności zaginionych ras ludzkich z wygasłemi już w pierwszych wiekach historii zwierzętami, o pierwotnej

dzikiej kulturze, stawały się z każdym dniem oczywistsze i wkorzeniały się z wolna w oporne mózgi ortodoksów.

Wielki reformator geologii, Karol Lyell, który w r. 1833 przypuszczenia Schmerlinga uważał za mrzonki, w lat dwadzieścia dwa potem oświadczył publicznie, że, ulegając faktom, „człowieka przedhistorycznego“ uznaje.

Od tej chwili w obozie niedowiarków poczęły się mnożyć dezercye; w r. 1860 nawróciła się angielska *Royal Society*, po niej inne Akademie i — obóz zwinęto. W nauce człowiek przedhistoryczny nie ma już dziś przeciwników.

* * *

Pierwotną epokę ludzkości nazywamy k a m i e n n ą, a nazywamy ją tak dlatego, że obejmuje ona te wieki, w których nie znając użytku metali, człowiek przedhistoryczny do wyrobów swoich posługiwał się prawie wyłącznie kamieniem.

Krzemienie, dyoryty, serpentyny, jaspisy i t. p. twarde minerały, służyły mu za jedyny materyał do wyrobu narzędzi i orężów, o ile takowych nie mógł przyrządzać z drzewa, rogu lub kości. Z kamienia wyrabiał on nietylko młotki i maczugi, ale także siekierki, groty, noże, strzały do łuków a nawet piłki do rznięcia drzewa i kości.

W najdawniejszych pokładach geologicznych wyroby te są bardzo niedołężne, tak dalece, iż nieraz wahać się można, czy je uznać za istotne narzędzia, czy też tylko za przypadkowo foremne odłamki. Ale obok nich spotykamy inne, bardziej wykończone i do celu zastosowane, niekiedy nawet gładko i zręcznie szlifowane.

Dziesiątki tysięcy takich zabytków widzieć można w gabinetach europejskich. Znajdywano je w głębi ziemi, w pokładach tak zwanych c z w a r t o - a nawet i t r z e c i o r z ę d o w y c h, obok kości mamuta i innych zwierząt zaginionych, w Europie, Azji, Afryce i Ameryce.

Epoka więc kamienna ukazuje się nam w głębi wieków, jako okres pierwszej najniższej kultury, nietylko bardzo długotrwałej ale i bardzo rozległej. Były to primicye cywilizacyjne, przez które wszystkie ludy przejść musiały. Był to ów prolog do dramatu dziejów, którego historycy w kronikach odszukać nie mogli — prolog, wcale nie według reguł sztuki napisany, bo i zanadto jednostajny i zbyt długi.

Nie dosyć na tem. Ma on jeszcze jedną wadę, w oczach naszej niewiedomości. Oto: nie wiąże się wcale z pierwszym aktem. Odkryliśmy epokę

kamienna, ale nie wiemy jak ją przylatać do pierwszych wieków historii. Wszystko tam bowiem inne: i ludzie i role. Starożytny Egipt, Indye, Chiny — toż to potężne cywilizacje! Ani ich pytać o strzałki kamienne i o tych biednych przodków, którym wszystko szło jak z kamienia. Piramidy ich nie znały.

Gdzież więc most łączący te dwa światy?

* * *

Dla ludów o wczesnej cywilizacji epoka kamienna minęła tak dawno, że świadome o niej tradycje zaginęły. Historia nie wskazuje nam nawet na pewno, gdzie i kiedy zaczęto przetapiać metale. W legendach mongolskich o raju występuje już metalurgia. Raj miało to być miejsce ukryte między skałami, w którym, gdy raz wielki ogień rozpalono — metale w gładkach zawarte topić się poczęły, i tym sposobem, zdobywszy umiejętność przetapiania ich, pierwsi ludzie raj porzucili i poszli w świat na podboje.

Opierając się na tych legendach, możnaby wnosić, że szczerp mongolski pierwszy począł obrabiać metale. Lecz z drugiej strony, między dzikimi plemionami Afryki środkowej znajdujemy bardzo wczesny przemysł żelazny, usprawiedliwiony tą okolicznością, że ruda żelazna, tam znajduwana, jest łatwiej od innych topliwą.

Ścisłej historycznych wskazówek jest niewiele. W Chinach, według ostatnich badań Pfitzmaiera, okres żelazny zapanował dopiero za czasów Tsina, na 300 lat przed naszą erą, ale sama umiejętność przetapiania żelaza (thie) jest o wiele starszą; wspomina o niej bowiem księga Szuking już na 2200 lat przed Chr., — tylko że wówczas panował przemysł bronzowy. Bronz, będący mieszaniną miedzi i cynku, jako łatwiej topliwy niż żelazo, prawie też wszędzie wcześniej był używany; zwolna tylko ustępując miejsca żelazu, tej wielkiej dźwigni cywilizacyjnej, bez której my dzisiaj z trudnością dalibyśmy sobie radę.

W Egipcie znano je równie dawno jak w Chinach, a obrabiano prawdopodobnie wcześniej — chociaż i tutaj w pierwszych wiekach historii bronz przeważa.

Bronz zaś znany był od czasów niepamiętnych i w Chaldei i w Indyach, a nawet zdaje się, iż on dał nazwę innym metalom. Chaldejskie *ayanh*, sanskryckie *ayas* znaczyło bronz, miedź (łac. *aes*) lub metal w ogólności. Tak, iż gdy pieśni Rig-Vedy chcą nazwać żelazo, rzadko nazywają je osobnem mianem *syama*, częściej: „czarnobłękitną miedzią“.

Jednym słowem, bardzo dawno znanym było żelazo, jeszcze dawniej miedz — a o przemyśle kamiennym księgi milczą.

Nie tylko milczą, ale nie wiedzą co sądzić o znajdujących w ziemi krzemieniach dziwnego kształtu. Jedne każą wierzyć, że były to spadłe z nieba a przez bogów rzucone skamieniałe gromy; inne niby, domyślniejsze, przypuszczają, że te, które mają kształt siekier, musiały być niegdyś z żelaza, tylko czas zamienił je na kamienne.

Czy podobna jednak, ażeby pamięć epoki kamiennej tak ze szczętem zginęła?

Nie zginęła pamięć — zginęła tylko świadomość.

* * *

Powiedział Schiller, że co ginie w życiu — odżywa w pieśni; w pieśni, to znaczy w religii, w legendach, w mitach.

W tej więc pieśni gminnej, szerzej pojętej, szukać będziemy owego mostu między starym i nowym światem, owej, jak ją nasz wieszcz nazywa, legendowej „arki przymierza między dawnymi i młodszymi laty“.

Wspomniałem już, że niektóre stare księgi przypisują bogom rzucanie siekier kamiennych. Dlaczego bogom?

Jest w tem cała epopeja.

Bogowie są zawsze starsi od ludzi. Są zawsze bardziej konserwatywni; powiedziałbym nawet — zacofani. W służbie bogów nie to lepsze co lepsze, ale co starsze. Jeżeli więc gdzie, to tutaj, przeszłość musiała się zasklepić, skryzalizować i bronić do upadłego.

Najdawniejszy, albo jeden z najdawniejszych bogów indyjskich *Indra*, trzymał w ręku grot kamienny.

Między symbolami piorunowej władzy Jowisza w Rzymie, przechowywane były siekierki kamienne.

Strzały, siekierki i młotki kamienne figurowały w świątyni Cybeli jako kamienie zjedzone niegdyś przez Saturna.

Starogermański bóg gromu, Donar czyli Thor, trzymał w ręku młot kamienny.

Nareszcie starosławiański Perun al. Piorun uzbrojony był także grotem krzemienistym; a w podaniu o stworzeniu świata czarny bóg bił takimże młotem w przedwieczny dąb, chcąc go zwalić na złość białemu bogu.

Dlaczego lud, który sam już znał użytek metali, przypisywał jednak wyższym od siebie i potężniejszym bogom broń tak marną i niedołężną? Czemu ich nie uzbroił przystojniej?

Bo na to nie pozwalała t r a d y c y a. On nie rozumował dlaczego tak wyobrażać trzeba a nie inaczej; wiedział tylko, że tak wyobrażali przodkowie, a ci, jako bliżsi bogów, musieli wiedzieć, co robią.

Według relacji Kirkora, posąg Pioruna wykopany w Kijowie miał być rzeźbiony z drzewa, głowę miał srebrną, brodę i wąsy złote, ale broń — krzemienną. Nie brak więc metali, ale tradycja zmusiła artystę do uposledzenia go w ten sposób.

Tradycja ta, choć już nierozumiana, tkwiła głęboko w życiu, a przede wszystkim w najmniej postępowym jego objawie: w obrzędach.

Egipcianie, jak widzieliśmy, znali doskonale żelazo, rzeźbili niem piramidy — ale żaden kapłan egipski nie odważyłby się do obrzędów swej wiary, np. przy balsamowaniu ciała, użyć narzędzia żelaznego.

Był to metal nieuświęcony przez tradycję — nieczysty, i używać go nie było można, podobnie jak dziś nie możnaby świec woskowych przy ołtarzu zastąpić lampami Edisona. Kapłani więc egipcjscy używali nożów krzemiennych.

Za Egipcjanami poszli Żydzi. I u nich np. pewną ceremonię chirurgiczną uskutecziano nożem kamiennym: „Tedy wziąwszy Zefora k r z e m i eń o s t r y, i t. d.“ (2 Mojż. IV, 25).

Żelazo zaś było dla celów religijnych nieczyste. „A jeżeli ołtarz kamienny uczynisz mi — mówi Pan — nie buduj go z ciosanego kamienia; bo jeżeli byś żelazne naczynie twoje podniósł nań, spługa wisz go“ (2 Mojż. XX, 25).

Zamiast wyrazów: „żelazne naczynie“ Wujek tłumaczy: „nóż twój“, ale zarazem objaśnia, że chodziło tu o to, ażeby „przy ciosaniu kamieni, żydom nie zachciało się znaki zabobonne na nich wyrabiać“. Tekst jednak o żadnych znakach zabobonnych nie wspomina a w ks. 5, XXVII, 5, czytamy u Wujka: „I zbudujesz tam ołtarz Panu Bogu Twemu, k t ó r e g o się ż e l a z o n i e t k n ę ł o“. Widocznie więc chodziło o samo żelazo, nie tylko o znaki, któreby niem wyrzyć można.

I u innych ludów spotykamy jeszcze narzędzia krzemiennie używane do celów zabobonnych, odwieczną tradycją uświęconych.

Według Pliniusza, chcąc z drzewa balsamowego szacowny sok wydobyc, trzeba nacinać jego korę małym ostrym krzemieniem, gdyż drzewo umrze, jeśli się użyje żelaza.

U Fenicyan, a jak się zdaje i u innych ludów starożytnych, istniał zwyczaj następujący:

Gdy dwaj ludzie chcieli zawrzeć z sobą przymierze, trzeci obowiązany był ująć ich dłonie jedną ręką, a drugą trzymając ostry nóż krzemienisty, nacinał nim wewnętrzną stronę dłoni; kroplą krwi z tego przecięcia pomazywał siedm kamieni leżących przy drodze, i dopiero wtedy układ był zawarty. Dzisiaj ze zwyczaju tego pozostało tylko, jako objaw szczątkowy, tak zwane „przecinanie zakładu“, które się już bez przelewu krwi obywa.

W Grecyi i w Rzymie używano także toporków krzemienistych do zabijania ofiar poświęconych. Stąd przysłowie łacińskie „*inter sacra et saxum*“ być między ofiarą a kamieniem — co odpowiada naszemu: „między młotem i kowadłem“.

Podobno w Albanii dziś jeszcze utrzymuje się sztuka wróżenia z wnętrzości zwierząt, otwieranych zapomocą ostrych krzemieni.

Po za obrzędami kościelnymi, pozostałości epoki kamiennej przybrały inną formę zabobonu.

Znajdując w ziemi siekiery przedhistoryczne, nie wiedziano już, co one znaczą, ale głucha tradycja nadawała im jakieś znaczenie tajemnicze; przypuszczano, że do czegoś służyć muszą i zrobiono z nich — talizmany.

Takie talizmany odnajdujemy tu i owdzie przez cały ciąg historycznych wieków, w sprawie coraz to ciemniejszych legend i teoryj.

W epoce kamiennej dawano zmarłym do grobu siekiery, wraz z wielu innymi przedmiotami. Ten zwyczaj odnajdujemy jeszcze u Chaldejczyków, ale, rzecz godna uwagi, z chwilą gdy przestano rozumieć, że to mogły być istotne siekiery, przeznaczone do obrony nieboszczyka na tamtym świecie, zamiast kamiennych, dawano siekiery tej samej formy, ale już z gliny wypalanej!

W Assyryi i w Babilonie, u Etrusków i Germanów, w Grecyi i w Rzymie, nawet dziś jeszcze wśród ludu „strzałki piorunowe“ (litewskie „perku-na kulka“) przechowywane są jako talizmany. Chronią one od piorunu i od pożaru.

Zamiłowani w tradycji Chińczycy, nawet oświeceni, do dziś dnia przechowują je jako szacowne amulety — nie mówiąc już o tem, że na wyspie australskiej Hawai są jeszcze czczone jako święte.

* * *

I mowa niektórych ludów zachowała szczątkowe ślady tej pierwszej kultury.

Według Franciszka Lenormant, w języku chińskim znak ideograficzny, oznaczający siekierę, jest do dziś dnia tym samym, co i dla oznaczenia kamienia.

Coś podobnego spotykamy w Egipcie. Egiptologowie sprzeczali się długo między sobą o to, czy pierwiastek *ba* znaczy kamień, czy też żelazo. Nie mam tu zamiaru mieszać się w nieswoje rzeczy, ale kto wie, czy obie partye nie miały słuszności. Pomijam fakt, że pierwiastek *ba* zdaje się być bardzo wieloznacznym, bo miał oznaczać także duszę — ale co do samej identyfikacji żelaza z kamieniem rzecz wyjaśnia się następującą okolicznością. Całkowita nazwa żelaza ma być nie *ba*, lecz *ba-en-pe*, co znaczy dosłownie „kamień z nieba“ (spadły). Stąd w mowie Koptów zowią żelazo *benipe*. A jeżeli tak, to możemy przypuścić, że pierwotnie żelazo uważano jako kamień spadły z nieba. Wiadomo, że niektóre meteoryty bardzo są bogate w żelazo — a właśnie w Afryce znajduje się ich wiele. Ponieważ leżały na powierzchni ziemi, można przypuścić, że pierwiej z nich użytkowano niż z właściwych rud żelaznych, których szukać trzeba było w głębi. Powtórę, żelazo takie daje się obrabiać a raczej łupać bez przetopienia, co tem więcej usprawiedliwia wczesne jego użycie w czasach, kiedy wysokiej temperatury otrzymać nie umiano. W Grenlandyi, gdzie żelazo meteoryczne trafia się w blokach cetnarowych, rozbijają je na odłamki i z tych odłamków wybierając ostre, składają noże przez osadzenie ich w drzewcu. Być więc może, iż w ten sam sposób postępowano pierwotnie w Egipcie, zwłaszcza że dzikie plemiona środkowej Afryki i dziś jeszcze, tak jak Grenlandczycy, obrabiają żelazo za pomocą młotów kamiennych bez ognia.

Że zaś pierwotnie żelazo nazywano kamieniem, to równie mało dziwić nas powinno, jak to, że w Indjach nazywano je czarno-błękitną miedzią, a pojęcie miedzi mieszano z pojęciem metalu.

* * *

Szukając dobrze, możemy i między istotnymi narzędziami ludów starożytnych znaleźć jeszcze kamiennne.

Na polach Maratonu znajdowano obok strzał bronzowych strzały krzemienne, pomimo, że już w pieśniach Homera bohaterowie walczą wyłącznie brązową bronią. Miecze, które Fenicyanie rozwozili po Europie, były także brązowe. Przemysł żelazny zwolna tylko się przyjmował.

Herodot wspomina nawet, że niektóre nędzniejsze pułki perskie, rodem z Afryki, podczas wojen z Grecją uzbrojone były w strzały łupane z „czarnego krzemienia“. Takie strzały znajdowano także w szańcach Cezara pod Perigueux, jak i w nierównie starszych obozach egipskich, koło Synai.

Czy jednak na podstawie podobnych faktów można wnosić, że starożytni pamiętali epokę kamienną, że wiedzieli o jej istnieniu? Nie sądzę. Ci, którym metal był za drogi, mogli poprzestawać na krzemieniu, ale nie idzie zatem, żeby wiedzieli o istnieniu epoki, w której wcale metali nie znano. Zbyt wiele wody upłynęło od tego czasu — zbyt wiele młodocianych cywilizacyj wzniosło się i upadło, ażeby czas nie zatarł jasnych wspomnień, pozostawiając tylko echo legend nierozumianych już i przeobrażonych przez naród.

O ile mi wiadomo, z autorów starożytnych jeden tylko Lukrecyusz, wielki twórca poematu o n a t u r z e r z e c z y, zdawał się mieć poczucie tych odwiecznych przemian. Twierdzi on, nie mówiąc zresztą na jakiej podstawie, że pierwotnym orężem człowieka były „zęby, gałęzie i kamienie“, że długi czas nie znali ludzie ognia, że pierwszej zaczęli przetapiać bronz a potem dopiero żelazo.

Ale były to raczej domysły niż wspomnienia — inaczej bowiem trudnoby nam było zrozumieć, jakim sposobem wszyscy autorowie starożytni uważali znajduwane lub przechowywane po świątyniach siekierki za kamienie piorunowe, p o d o b n e tylko do siekierek (*similes securibus* — *Plinius XXVII, 51*). A przekonanie to było tak upowszechnione w całej Europie, że jeszcze u nas w wieku zeszłym ks. Gaudenty Pikulski pisał o tem „jak się piorun robi“, biorąc strzałki kamienne za skamieniałe pioruny.

* * *

Oprócz właściwego sobie przemysłu, epoka kamienna pozostawiła nam także nieocenioną spuściznę w odkryciu ognia.

Łatwo się domyślić, że wynalazek ten, dalej sięgający w przeszłość niż pierwsze próby metalurgii, jeszcze mniej po sobie pozostawił wspomnień. O świadomej tradycji, któraby wskazywała gdzie, jak i kiedy po raz pierwszy ogień otrzymano, nie może też być mowy — i jeśli Lukre-

cyusz zapewnia nas, iż był czas, kiedy ognia nie znano, to czyni to tylko na podstawie teoretycznego przypuszczenia, że wszystko musiało mieć swój początek.

Lecz czy my i dzisiaj możemy mieć dowód na to, że była w kulturze ludzkiej epoka bez ognia?

Bezpośredniego na to dowodu archeologia dać nie może, ale natomiast daje go, chociaż pośrednio tylko, mitologia. Jest nim fakt istnienia mitów o wynalazcach ognia. Skoro wierzono, że ten czy ów, bóg czy półbóg, ludzi ogniem obdarzył, to tem samem uznawano w tradycyi rzeczywistość epoki bez ognia. Ale jak się bez niego obywano? Jak przyrządzano pokarmy, jak się ogrzewano w zimie?

Są to pytania, które nam, pieśczołom cywilizacji, stawiać wolno — ale które brakiem naiwności nie grzeszą.

Trzeba bowiem wiedzieć, że człowiek dziki i dzisiaj jeszcze bardzo mało używa ognia. Mieszkańcy ziemi ognistej, którzy wywołują go krzesząc krzemieniem o piryt żelazny, nie używają go jednak ani do ogrzewania swych chat, ani do gotowania pokarmów. Wielki to już zbytek, jeśli wróciwszy z polowania i zasiadłszy wkoło, grzeją przy nim zziębnięte nogi. Eskimosi, podobnież, używają ognia raczej do oświetlania niż do ogrzewania, a zapomocą swoich lamp z wielorybiego tłuszczu topią tylko śnieg, nie gotując wcale pokarmów.

Nie można do tych pierwotnych stosunków przykładać naszej miary, i gdyby ktoś, powodując się prostą rozważką, sądził, że chyba tylko w krajach ciepłych ludzie mogą się obywać bez ognia — to byłby w błędzie, ponieważ właśnie na północy jest stosunkowo więcej ludów obywających się bez niego, niż pod równikiem. Te fakta nie rozum tłumaczy, tylko tradycya. Ogień łatwo mógł być odkryty pod równikiem — pod biegunem było to prawie niemożliwem. Ludy, które nauczyły się otrzymywać go, przekazywały tę sztukę następcom i ci przyzwyczajali się do używania ognia, chociażby w tym szczupłym zakresie, na który trudność krzesania go pozwalała. Przeciwnie, na północy, całemi wiekami przyzwyczajano się obywać bez niego, tak, że nawet wówczas, gdy sztuka ta przyszła z południa, w konserwatywnych umysłach dzikich nie budziła wielkiej ochoty do usiłowań w tym kierunku. Obywali się bez ognia przodkowie, obędziemy się i my — n a j b u d e j a k b u w a ł o.

Ale bo też zapalanie ognia w warunkach pierwotnej kultury nie należało do rzeczy wygodnych. Trzeba pewnej dozy wytrwałości, ażeby

trzeć o siebie dwa kawałki drzewa, dopóki się płomieniem nie zajmą. A przytem, można przypuszczać, że ludy, które ten wynalazek, dający im przewagę nad innymi, posiadały, nie kwapiły się z popularyzowaniem swojej wiedzy. Owszem, zachowywały ją w tajemnicy. Legendy pozwalają nawet przypuszczać, że długi czas tylko kapłani uprawiali tę sztukę, w tajemnicy przed tłumem.

Nie powinno nas też dziwić, że, obok ludów względnie oświeconych, spotykały się takie, które wcale ognia przyrządzać nie umiały. Do niedawnego jeszcze czasu, Tasmańczycy byli w tym wypadku. Znali wprawdzie użytek ognia, ale chcąc go dostać, musieli go pożyczyc od innych, a pożyczwszy, p r z e c h o w y w a ć starannie. Czynność tę pełniły kobiety, nosząc w ręku wolno płonące pochodnie, które zapalały jedną po drugiej, starając się w koczowniczym życiu plemienia ogień zachować.

O innych też plemionach australskich wiemy, że do niedawna jeszcze, nie umiając, przynajmniej w porze wilgotnej, przyrządzać sobie ognia, odbywały nieraz długie podróże celem pożyczenia go od sąsiadów; podobnie jak u nas jeszcze wiejskie kobiety, od chaty do chaty, pożyczają sobie żarzewia.

Z pierwotnej zaś konieczności utrzymywania ognia, powstało późniejsze obrzędowe p r z e c h o w y w a n i e.

Zrazu, jak np. w Indyach, było to pół potrzebą, pół zwyczajem.

W każdej rodzinie, kobiety, zajmujące się gospodarstwem, obowiązane były czuwać nad tem, aby ogień całkiem nie wygasł.

Panna młoda, wstępując w progi męża, rozpalala ognisko i za utrzymanie go brała na siebie odpowiedzialność. Była więc, w dosłownem tego zdania znaczeniu, „kapłanką domowego ogniska.“ I ztąd niewątpliwie poszło to wyrażenie, właściwe ludom europejskiej rasy.

Za czasów greckich zwyczaj ten zaczął już upadać. Utrzymywano go tylko przez poszanowanie przeszłości i, nie obciążając już wszystkich rodzin obowiązkiem strzeżenia swego ogniska, pozostawiono go specjalnie temu poświęconym dziewicom, westalkom.

Tę formę, już czysto tradycyjną, religijną, praktycznie bezpożyteczną, przechowywały długi czas jeszcze niektóre ludy (z n i c z l i t e w s k i), aż nareszcie zmarniał całkiem, pozostawiając tylko szczątkowe objawy stałych światła religijnych i retorycznych wyrażań.

Jest to historia, powtarzająca się przy wszelkiej zmianie stopni kultury. Czynność jakaś była konieczną w danych warunkach, te warunki

przestały istnieć, ale przyzwyczajenie do czynności pozostało — pozostało pod formą poszanowania dla zwyczaju przodków.

Przechowywano więc ogień na cześć przodków, na cześć bogów, których ci przodkowie czcili. Zdawało się bowiem ludziom, że się coś zerwie, co ich wiąże ze światem, że prysnie nić dziejowa, łącząca przeszłość z przeszłością, jeśli, broń Boże, ogień odwieczny wygaśnie.

* * *

Jeżeli zaś ogień uważano za święty, to miał on do tego nierównie większe prawa niż wiele innych rzeczy za święte uważanych. Wszakże to on ukazywał się człowiekowi jako siła potężna, ożywiająca i niszcząca zarazem. Wszakże to on zstępował z nieba z promieniami słońca i z gromem błyskawicy, albo znów w postaci wznieconego płomienia unosił się ku niebiosom. Wszakże to on wreszcie był tą siłą oczyszczającą i niweczącą zarazem; a jak woda obmywając bieli, tak on wypalał i przetapiał. Był dobroczynnym, ponieważ ogrzewał, ale był groźnym zarazem, ponieważ palił tych, co się poufale doń zbliżyli.

Nie można też odmówić pewnego prawdopodobieństwa przypuszczeniu Caspariego, że dopiero odkrycie ognia dało pohop do rozwoju pojęć religijnych. W samej rzeczy, o ile historia głębiej sięga w przeszłość, wszędzie odkrywa nam pierwszych kapłanów, jak k a p ł a n ó w o g n i a.

Cześć ognia była tak naturalną ze stanowiska pierwotnej kultury, że upowszechniła się, czy też powstała odrazu, w najdalszych zakątkach ziemi. U progu dziejów spotykamy ją jeszcze w Indyach, w Chinach, Chaldei i Judei, u Persów i Medów, u Greków i Rzymian, u Scytów i Sarmatów, u Słowian i Litwinów, w Arabii i Egipcie, w Meksyku i w Peru. To też niema chyba religii, nieco starszego pochodzenia, w którejby ogień nie grał jakiejś roli w najgłówniejszych obrzędach, w języku i w wyobrażeniach dogmatycznych. Są to już tylko objawy szczątkowe, a więc poprzemieniane, poskracane ze znaczeniem zmienionem lub bez znaczenia, ale śledząc krok w krok ogniwa przeszłości, widzimy, że sięgają one dalej niż historyczne początki kultu lub zwyczaju, w którego skład wchodzi.

Niegdyś na cześć boga-ognia (w Indyach *Agni: ignis*—ogień), palono stopy ofiarne, około których tłum skupiał się uroczyście; dziś między ludem naszym pozostał jeszcze zwyczaj s o b ó t e k czyli ogni świętojańskich, palonych już nie wiadomo na co i dla kogo. Lecz jakby dla stwierdzenia, że zwyczaj ten nietylko naszych bajecznych, ale wogóle przedhistorycznych sięga czasów, tu i owdzie jeszcze przestrzegają wieśniacy,

ażebym stopy sobótkowe zapalano płomieniem przez tarcie drzewa otrzymanym. Zwyczaj ten nazywamy pogańskim, ale i w czysto kościelnych obrzędach istnieją szczątki dawnego kultu. Do takich należy np. „święcenie nowego ognia“, które jest pierwszą ceremonią wielkiej soboty.

* * *

Palenie świec na grobach, miało niegdyś za cel oświecanie drogi duszom, które swe ciała odwiedzić chciały, a zarazem odpędzanie duchów złych, które ognia i wogóle światła znosić nie mogły. Dziś jest to zwyczaj pełen poezji i rzewności, ale przy naszych dzisiejszych pojęciach, bez znaczenia. Mimo to przechowuje się jeszcze tak gorliwie, że np. w Serbii widzieć można lampy bezustannie płonące na grobach. U nas zapalają je tylko w dzień zaduszny.

Pochodnie i świece noszone przy pogrzebach są także zabytkiem odwiecznym. Niegdyś były to płonące łuczywa, któremi stos zapalano — dziś służą tylko do próżnej ostentacji.

Mimo jednakże tej zatury celów i znaczeń pierwotnych, forma utrzymuje się. Palą się jeszcze lampy przed obrazami świętych, święci się ogień, noszą świece, a żadne nabożeństwo, chrzciny, ślub, czy pogrzeb wystawniejszy obyć się bez nich nie mogą. Nie mówimy już, że światła na pogrzebach noszone mają odstraszać złe duchy, ale, gdy umrze człowiek zasłużony, „oddajemy mu cześć“ ofiarą świec.

W Czechach i w Galicyi objaw ten przybrał formę dość oryginalną, niekiedy bowiem dla uczczenia zmarłego zapalają się w biały dzień uliczne latarnie gazowe. Samo pojęcie, wedle którego zapalenie świec miało służyć do odpędzania złych duchów, pochodziło prawdopodobnie z czasów życia koczującego, kiedy rozpalano ogniska dla odstraszenia prawdziwych „złych duchów“, t. j. zwierząt dzikich. Później zaginęło, ale i dziś jeszcze krajowcy północnej Australii, zmuszeni do przepędzenia nocy w bliskości grobów, nie zasną inaczej, jak pozapalawszy pochodnie; a zapewne i nie jeden z naszych dziadów kościelnych nie zgodziłby się stróżować przy ciele nieboszczyka, gdyby nie było otoczone świecami.

Podobną rolę odgrywały w pierwotnych czasach grzechotki różnego rodzaju, do których później przyłączyły się bębny i dzwony.

I one odpędzały złe duchy.

Według brahminów „dwie rzeczy są niezbędne przy wszelkich obrzędach: wielka ilość lamp i dzwon“ (Dubois, Lubbock).

W czasach, kiedy sądzono, że wszelkie zło od złych duchów pochodzi, starano się je odpędzać jaknajdziwszym wrzaskiem. Niektóre dzikie plemiona usuwają w ten sposób zaćmienia słońca lub zażegnują burze. Duch zły, który miał zamiar pożreć słońce lub zniszczyć zasiewy ludziom, zostaje w ten sposób nastraszone, i zło ustaje.

W nowszych jeszcze czasach dzwonek loretański wielokrotnie odpędzał u nas burze, a zaraza uciekała przed procesjami, które z hałasem i brzękiem przebiegały miasta hiszpańskie.

Oczywiście, przedhistorycznym tym praktykom nadawano już znaczenie bardziej postępowe, chrześcijańskie.

Grzechotki nie odstraszą już złych duchów, ale służą jeszcze jako symbol smutku, w wielkim tygodniu np., zastępując dzwony. Zresztą zeszyły na zabawki.

* * *

Rzecz godna uwagi, że i żelazo służyło do odpędzania złego. Że ono musiało być straszne pod postacią mieczów najezdźnika, dla ludów pogrążonych jeszcze w kulturze kamiennej, łatwo zrozumieć. Świadczą o tem zresztą dochoowane tu i owdzie legendy.

Ludy wojownicze i postępowe ceniły je jako talizman swej potęgi, tchórzliwe i zacofane drżały przed niem jak przed biczem bożym.

Normandowie, plemię dzielne i podbójcze, czcili żelazo i mieli szczególny szacunek dla kowali. Do nas, jak przypuszcza Szajnocha, tradycyjne poszanowanie rodowych szabli mogło przejść od Normandów lub Scytów. Scytowie bowiem także czcili żelazną szablę jako symbol Marsa. Herodot świadczy, iż corocznie poświęcano jej tak wiele bydła, że dostawała wogóle więcej ofiar niż wszyscy inni bogowie.

Gdzie przemysł żelazny wcześniej się rozwinął, tam umiano ocenić jego wartość, i jak czczono rzeki lub zwierzęta pożyteczne, tak też podobnym kultem święcono żelazo, p r z e z w d z i ę c z n o ś ć. Tak np. wojownicze plemię murzyńskie z Irawo, miasta wschodniej Iruby, jak podaje Burton, nie dawno jeszcze ubóstwiała żelazną sztabę, na jej cześć odprawiając kosztowne obrzędy.

Przeciwnie, ludy łagodniejszego temperamentu, lub te, które w skutek pierwotnego zacofania pozwoliły wrogom wypróbować na swych karkach wyższość przemysłu żelaznego, żywiły przed nim zabobonną trwogę.

Strach ten zamienił się z wolna w przesąd dziedziczny, którego już nic dziś nie usprawiedliwia, ale który nie mniej trwa jeszcze. „Dżinnowie

(czarodzieje) wschodu, mówi Tylor, mają taki strach przed żelazem, że sama jego nazwa jest przeciw nim zaklęciem; podobnie, według popularnych w Europie wierzeń, żelazo rozpędza elfy i czarownice, paraliżując ich władzę; skąd można wnosić, że wiara w te fantazyjne istoty należy jeszcze do epoki kamiennej. Dlatego to nowy metal jest tu przedstawiony jako straszny i wstrętny — a dalej dodaje, że z tej samej przyczyny używano żelaza (zwykle zgiętego w podkowę) jako prezerwatywy przeciw czarom. W tym celu połowa stajni, obór i chlewów angielskich jeszcze dziś zaopatrzona jest w podkowy żelazne wbite w próg. I u nas spotkać można toż samo, nawet w domach mieszkalnych. „Gdy wieśniak znajdzie na drodze podkowę, uważa to za traf szczęśliwy: zabiera ją i przybija na progu chaty. Ma to przynosić szczęście“ (Rulikowski). Tenże autor podaje, że gdy topielec przychodzi do żony w nocy, wdowa, dla odpedzenia go, kładzie na progu i na oknach k o s y ż e l a z n e.

Nasze panie nie wierzą już w takie rzeczy, ale rade noszą bransolety złote w kształcie podkowy, z napisem „*porte-bonheur*“.

* * *

Wróćmy do ognia.

I z nim była podobna historia jak z żelazem. W jednych budził podziw tylko i wdzięczność, w drugich strach. W mitach perskich lub indyjskich, będących odbiciem wysokiej cywilizacji, ogień jest raczej światłem i ciepłem dobroczynnym niż płomieniem niszczącym. Przeciwnie u Hebrajczyków, pełnych jeszcze dzikości i barbarzyństwa, resztki czci ognia mają tylko charakter grozy. Pan i Bóg ich był bowiem „ogniem trawiącym, Bogiem zawistnym“ (5 Mojż. IV, 33, 36, 11, 12, 24). To też żydzi bali się przystępować do tego ognia i woleli rozmawiać z nim przez tłumacza: A wszystkim lud widział głosy (według wydania berlińskiego *g r o m y*) i błyskawice i brzmienia trąby i kurzącą się górę: a przestraszeni i bojaźnią zdjęci stanęli zdaleka, mówiąc: „Mów ty do nas, i słuchać będziemy: niech Pan do nas nie mówi, byśmy snadź nie pomarli.“ (2 Mojż. XX, 18, 19).

Przekonanie, że rozmowa z Bogiem twarzą w twarz zabija, płące się ciągle z resztkami kultu ognia, wskazując swe pochodzenie, inaczej całkiem niezrozumiałe. „Słyszał li kiedy który naród głos Boga mówiącego z p o ś r o d k u o g n i a, jakos ty słyszał, a żyw został?“ „Dał ci z nieba usłyszyć głos swój, aby cię wywiczyl, a na ziemi ukazał ci o g i e Ń s w ó j w i e l k i, a słowa jego słyszałeś z p o ś r o d k u o g n i a.“

Mowa tu poprostu o wybuchach wulkanicznych, które uważano za przemówienie bóstwa, podobnie jak to czyni dziś jeszcze wiele ludów dzikich w Ameryce. Że tak jest, świadczą następujące ustępy: „Tedyście przystąpili, a stanęliście pod górą, a owa góra pałała ogniem aż do samego nieba, a była na niej ciemność, obłok i mgła“. „I mówił Pan do was z pośrodku ognia: słyszeliście głos jego, aleście kształtu żadnego zgoła nie widzieli.“

Chrześcianizm oczyścił Boga miłości z tych ogniowych symbolów, przelewając własności „trawiące i zawistne“ na ducha złego i jego ogień piekielny.

W księgach jednak pozostała pamiątka po wrażeniach, jakich doznawał człowiek pierwotny wobec groźnych a niezrozumiałych dlań zjawisk przyrody.

* * *

W rasie indoeuropejskiej, a także u niektórych ludów amerykańskich pojęcie ognia jako ciepła i światła łączy się z pojęciem powstania istot żywych w sposób dość rubaszny. Asocjacja ta powstała z przekonania, że źródłem zarówno ognia jak i poczęcia jest tarcie, a trwała tak uporczywie, że dzisiaj jeszcze pogląd ludowy, po najrozmaitszych przeobrażeniach, jakim uległ, każe bocianowi jednocześnie podpalać chaty ludzi złych i przynosić dzieci ludziom dobrym.

Prof. Mierzyński wykazał bardzo szczegółowo związek tej asocjacji z najdawniejszymi wierzeniami ludów pierwotnych. Ten, który pierwszy dał poznać ogień, był zawsze ojcem „pierwszych ludzi“, a w rzeźbach staromeksykańskich znajdujemy nawet wprost połączenie obu procesów: tego, który wytwarza ogień i tego, który daje początek ludziom, o czym w specjalnych dziełach można znaleźć wyjaśnienie.

Nie ulega też wątpliwości, że wydobywanie się płomienia wskutek tarcia dwu kawałków drzewa pojmowano jako rodzenie się ognia. Dla ludów pierwotnych nie był on oczywiście procesem chemiczno-fizycznym, przy którym węgiel łączy się z tlenem, lecz był istotą, istotą w drzewie utajoną, mogącą się zeń wydobyć przez pożarcie go. Jeżeli my dziś jeszcze mówimy, że pożar pochłonął np. stodołę, to używamy wyrażenia szczątkowego, które dziś właściwie nie ma sensu, ale które go miało za czasów, gdy palenie pojmowano jako pożeranie drzewa przez boga Agni. Nawiasem mówiąc, Bóg-Agni nie był właściwie bogiem, ale

pośrednikiem między bogami a ludźmi, był, jak się wyrażają wtedy, „naj-pierwszym kapłanem zanoszącym ofiarę niebu.“

Co to znaczy? Niebo i Ziemia były niegdyś czczone jako dwa bóstwa męskie i żeńskie. Pojęcie to zaginęło już za czasów historycznych, trwając tylko w krajach najbardziej konserwatywnych, np. w Chinach, i pozostawiając tylko na całej kuli ziemskiej liczne objawy szczątkowe w języku. Niebo u większości ludów jest jeszcze rodzaju męskiego, ziemia żeńskiego. Niebo obejmowało ziemię miłownie i dawało początek wszystkim innym istotom. Za czasów rzymskich niebo nie było już czczone; ale *sub Jove* znaczyło zawsze tyle co: p o d n i e b e m. A my dziś mówimy jeszcze: oby ci N i e b o poszczęściło, zamiast oby ci B ó g poszczęścił i t. p. Otóż Niebo, jak każdy dawny bóg, potrzebowało pokarmu, żeby żyć.

W hymnach wedyjskich często spotykamy przekonanie, że całe niebo, jak i składające je gwiazdy, karmią się parami, które z ziemi ulatują i jeżeli kiedy nazywają modlitwę „pokarmem bogów“, to dlatego, że wyobrażano ją sobie jako parę z ust wychodzącą i ulatującą ku niebu. Stąd późniejsze wyrażenia przenośne o wznoszeniu się modlitw w obłoki. Jeszcze filozof grecki Thales sądził, że „słońce i gwiazdy czerpią pożywienie z morza“, a Dyogenes z Apolonii dodawał, że jeśli niebo się obraca (pozorny dzienny obrót sklepienia), to dlatego, że potrzebny mu pokarm w danym miejscu wyczerpuje się. Przenosi się więc z miejsca na miejsce, jak to czyni bydło na paszy.

Jeżeli zaś Niebo potrzebowało pokarmu, to któż mu go miał dostarczać?

Rolę tę mógł spełniać tylko ogień, ponieważ ciepło, sprowadzając parowanie, a płomień i dym, przesyłały je w górę. I oto dlaczego ogień był pierwszym kapłanem, pośrednikiem między Niebem a Ziemią.

O f i a r a więc w znaczeniu religijnem była pierwotnie karmieniem bogów. Podobnie jak od dzikiego zwierza broniono się rzucaniem mu na pastwę drobniejszej zwierzyny, tak też składano je Niebu, aby gniew jego przebłągać i łaski sobie zaskarbić. Składano mu datki przez pośrednictwo ognia. On pochłaniał ofiarę i w postaci dymu przesyłał ją niebu. Gdy dym szedł prosto w górę, znaczyło to, że o f i a r a była przyjętą. Opanować ogień i kazać mu służyć ludziom, bądź dla nich samych, bądź dla pośrednictwa z bogami, było też czynem zuchwałym wprawdzie, ale wzniosłym i godnym uwiecznienia w mitach. Wynalazcy ognia są też zawsze pochodzenia boskiego i oni to właściwie dali początek „ludziom.“ Ci,

którzy ognia nie znali, którzy tej iskry niebieskiej nie posiadali, nie byli jeszcze ludźmi. Z nim dopiero dusza ludzka, będąca również natury ognistej, zesła z nieba na ziemię. Prometeusz jest „ojcem pierwszych ludzi“, a zarazem „dawcą ognia.“ Tak samo w Peloponezie Foroneus. Rolę te spełniały także mistyczne ptaki.

Picus, dzięcioł, niby ptak, niby bóg, niby człowiek, opiekuje się nowonarodzonymi, a jednocześnie doradza Numie, jak ma z nieba zwabić ogień na ziemię. Bocian wreszcie powracający z wiosną odradzał naturę i sprowadzał ogień niebieski. Zapalał chaty i znosił dusze. Skąd to uparte w mitologiach przekonanie, że niektóre ptaki: dzięcioł, bocian, orzeł mogą przynieść ogień z nieba?

Jest to proste i rzeczywiste spostrzeżenie. Gdy powietrze jest nalaadowane elektrycznością, zwłaszcza przed burzami wiosennymi i letnimi, dzioby i szpony ptaków fosforyzują bardzo silnie, i człowiek pierwotny, jak w niczem tak i w tem, nie wyszał z własnego palca przekonania, że bocian może nieść w łapie gło wnię do p o d p a l e n i a, a w dziobie p ł o m y k i d u s z l u d z k i c h. Na tej samej zasadzie orzeł pozostał zawsze ptakiem błyskawic, a jako trzymający w szponach pioruny, był pierwaj bożkiem egipskim (bóg zwycięstwa Horus) zanim stał się herbem rzymskiego cesarstwa.

* * *

A teraz zapytajmy jeszcze, czy z pozostałych legend i innych objawów szczątkowych możnaby się domyślić, w jaki sposób doszedł człowiek do wynalazku ognia?

Prometeusz wykradł ogień niebu, a więc mógł go zapożyczyć poprostu, zapalając gałąź od pożaru wznieconego przez piorun (z nieba). Wykradł go z ogniska Zeusa, a więc mógł go istotnie wykraść z obozowiska jakiegoś wodza, którego lud posiadał już sztukę otrzymywania ognia. Za co, jako za zdradę tak szacownej tajemnicy, został przykuty do skały. Prometeusz miał pochodzić z nad brzegów Czarnego morza, z tych mianowicie okolic, w których istnieją źródła naftowe, wydzielające gazy samozapalne, a więc może to było „ognisko Zeusa.“ Ale wszystkie te szczegóły były prawdopodobnie tylko echem zdarzeń różnych, zlewem odrębnych wspomnień. Zasadnicza wskazówka zdaje się tkwić najgłębiej, bo w samym nazwisku Prometeusza. Jest ów wynalazca ognia niewątpliwie postacią mityczną, której biografję ludy aryjskie przyniosły z Azji, przerabiając ją po drodze. Otóż m a t h znaczy po sankrycku t r z e ć, p r a

tylko co pierwszy, pierwotny, *pramathā* więc, zgrecka *Prometheus*, będzie ten, który pierwszy pocierał.

I oto w jaki sposób biografia mniemanego wynalazcy rozplywa się w nieosobisty proces dziejowy. W czasach, kiedy ogień wynajdywano, wynalazcami były tłumy i wieki.

* * *

Ogień pożerał całopalenia. To, co położono na stosie, znikalo; musiało więc gdzieś iść niewidzialnie. Szło tam, gdzie szedł sam Agni — do nieba. Szło uduchownione czyli ulotnione. Nie zwierzę, jako zwierzę, dostawało się niebu, ale tylko niezniszczalna jego cząstka, gazowa, lotna dusza. Zachodziło jednak pytanie, czy zniszczona w ten sposób istota traciła byt indywidualny, czy też tylko zmieniała formę.

Na pytanie to różne ludy odpowiadały rozmaicie: o ile jednak sądzić możemy ze składu grobów epoki kamiennej, już wówczas, niektóre przynajmniej plemiona, wierzyły w nieśmiertelność. Skoro do grobów obok popiołów zmarłego kładziono różne jego narzędzia i świeżo zabite zwierzęta, to widocznie przypuszczano, że te mogą mu być przydatne na tym świecie, że się wszystko ze śmiercią nie kończy. Być też może, że utrwalanie się tej wiary wpłynęło na zarzucenie pogrzebowego palenia ciała, a wprowadzenie grzebania, które do dziś dnia przetrwało.

Jaskinie grobowe zamykano szczelnie kamieniem, celem niedopuszczenia dzikich zwierząt; później w podobny sposób zabezpieczano ciała w obszernych kamiennych dolmenach; później w pniach dębowych wydrążonych, z których wreszcie powstały nasze trumny. A zawsze chodziło o to, żeby ciało w całości zachować. W dolmenach starano się nadto, aby kamień zwierzchni nie cisnął zmarłego; przypuszczano bowiem a wiarę tę podzielali jeszcze najstarsi filozofowie greccy, że trup może u czuć nacisk. Dla tego to podpierano kamień zwierzchni dwoma pionowemi, a mowie naszej do dziś dnia pozostała lokucya nekrologowa: *sit ei terra levis*, niech mu ziemia będzie lekką.

Niektóre pogrzebowe obyczaje dzikich przodków przechowało rycerstwo w formie zlagodzonej. Tak np. niegdyś koń zmarłego rycerza palony był wraz z nim na stosie, teraz prowadzą go tylko za pogrzebem, żalobnie przybranego, a szablę i kask składają na trumnie, podobnie jak dawniej łuk i siekiere.

Składanie ofiar pogrzebowych „na drogę“ zmarłemu. właściwe epoce nowo-kamiennej, wydało w następnych wiekach całe szeregi form przej-

ściowych od krwawych ofiar przedhistorycznych, aż do poetycznego zwyczaju Rzymian składania kwiatów i wieńców. Zamiast zwierząt zabitych na pokarm, przynoszono tylko owoce, potem — tylko kwiaty! Zamiast palenia konia, palono tylko jego wizerunek papierowy, co do dziś dnia ma miejsce w Chinach. Albo też, jak to się praktykuje jeszcze u Tatarów, postępowi kapłani, paląc tylko papierową kopię konia, uważali za właściwsze oryginał zatrzymać sobie.

Zamiast prawdziwych siekierokamiennych składano (jak u Chaldejczyków) gliniane. Zamiast ofiar w naturze—pieniądze; przypuszczano bowiem, że i na tamtym świecie postępowi zrobił swoje, że i tam za pieniądze wszystkiego dostać można. Ta forma utrzymuje się jeszcze w Rosyi. Nareszcie z upadkiem dawnej wiary, zamiast pieniędzy prawdziwych dawano tylko marki papierowe, niby złote lub srebrne, które wyrabiają na wielką skalę chińczycy. A przez podobne względy oszczędności, zamiast całkowitego odzienia składano tylko nitki z niego wyciągnięte, co jest dziś jeszcze obyczajem wielu plemion indyjskich. Eskimosi ofiarowywali zmarłemu m o d e l e oszczepów; egipcyanie i etruskowie u d a n e kosztowności.

Mimo jednakże tej dążności do oszukiwania zmarłych, u wielu ludów utrzymało się jeszcze składanie p o k a r m ó w (np. ryż nasypywany do trumny w Rosyi), a u pierwotnych chrześcian spotykamy nawet dbałość o przyjemność i wygodę nieboszczyka; w katakumbach bowiem poznajdywano grzebień i zabawki.

Trzeba przyznać, że pod względem poszanowania dla zmarłych nie dorównujemy starożytnym. Niegdyś, kamienni nasi przodkowie, dawali zmarłemu wszystko, co miał i co sami mieli najlepszego: i siekierki pięknie gładzone i prosiątko świeżo zarżnięte, niekiedy i konia i żonę i sługi; później, przynajmniej „psa i sokoła“ i „w usta piasztr wybity w Carogrodzie“; a my dziś dajemy obrazek za trzy grosze, i niejedyn spadkodawca olbrzymiej fortuny, dzięki oszczędności sukcesorów, będzie musiał pokazać się na tamtym świecie w starych butach i wyszarzanym fraku.

Tak jest, zmieniliśmy się bardzo. Nikomu dziś przez głowę nie przejdzie, żeby religijna cześć dla zmarłego męża miała się posuwać aż do spalania na wspólnym stosie „nieutulonej w żalu wdowy.“ A przecież ci pogańscy nasi przodkowie, którym tak często wszelkich szlachetniejszych uczuć odmawiamy, uważaliby sobie za hańbę, gdyby kilku z nich przynajmniej nie poszło dobrowolnie na stos, na którym ginął ukochany ich wódz i dobroczyńca.

W niektórych dolmenach we Francji znaleziono czaszki ludzkie w oryginalny sposób uszkodzone. Nie były to rany, lecz wycięcia sztuczne czyli tak zwane *trepanacye*: na wierzchu głowy wylupany był krążek kości, ale sam krążek znajdował się tuż obok. Z kształtu brzegów tkanki kostnej, widocznie zagojonej, i z samych czaszek, wniósł Broca, że krążki te były wycinane prawie zawsze lub zawsze na człowieku żywym, i że operacyi tej podlegały indywidua młode, niekiedy nawet dzieci.

Co to mogło znaczyć?

Ponieważ na rzeźbie jakiejś bogini przedhistorycznej zauważono krążek bardzo do takiej kości podobny, Broca więc domyśla się, że i owe wycinki składano na ofiarę jakiemuś bożkowi, a samo wycinanie mogło być formą inicjowania młodych ludzi do jakiegoś obrządku kapłańskiego.

Późniejsze odkrycia nadały temu przypuszczeniu wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Przy dzisiejszem złagodzeniu obyczajów są to dla nas rzeczy trudne do pojęcia, ale w owych czasach, kiedy człowiek sam się mniej cenił, skorszym był w ofiarach dla bóstwa i dla tradycyi. Gdyżona mówiła do męża: ja ciebie nie przeżyję, nie było to figurą retoryczną, ale obietnicą samobójstwa; gdy chciano zawrzeć przymierze, nie poprzestawano na podaniu sobie ręki, nacinano je nadto do krwi, by obie krwi zmieszały się na znak przymierza, a gdy przyszedł dzień święcenia bóstwa, tłumy całe rzucały się na pastwę różnorodnych molochów, byle tylko ich łaskę sobie zaskarbić. W Kartaginie jeszcze za czasów historycznych w ten sposób poświęcano corocznie setki dzieci; u różnych ludów zakonnicy kaleczyli się dobrowolnie, a Mojżesz wielokrotnie jeszcze czuł potrzebę zapowiadać kapłanom, synom Aaronowym, żeby „na ciele swoim rzezania nie czynili“ (3 M. XXI, 5).

Z chwilą, kiedy złagodnienie obyczajów wytepiło całopalenia i innego rodzaju ofiary z życia, pozostawał jeszcze zwyczaj upuszczania sobie krwi na cześć bóstwa. „Oddać krew swoją w ofierze Panu“ nie było wówczas prostą hiperbolą, ale dosłowną prawdą. Czy choroba dolegała, czy nie-szczęście przesładowało, upuszczano sobie krwi, a krew ta była opłatą, za którą bóstwo dawało się ubłagać lub przebłagać. Ogólna metoda terapeutyczna, polegająca na puszczeniu krwi we wszelkich możliwych chorobach, metoda, która jeszcze za niedawnych czasów ułatwiała chorym przejście przez *Stryx*, była tylko świeckiem wznowieniem tej religijnej medycyny przedhistorycznej, według której, chcąc się wyleczyć, trzeba było przede wszystkim przebłagać gniew bóstwa—ofiarą. Wówczas wiedziano przynajmniej, co robiono, ale nasz wieśniak, który, ulegając przedwiekowej

tradycyi, puszcza sobie krew w każdym zmartwieniu, jest już tylko sam dla siebie ofiarą własnej niewiadomości.

Przepraszam za zboczenie. Zmierzałem do tego, że, jeśli takie istniały niegdyś obyczaje, jeśli różne uszkodzenia cielesne przechowały się do dziś dnia tu i owdzie w obrzędach religijnych, to nie powinno nas dziwić, że młodzieniec z epoki kamiennej, chcący jakimś bożkowi poświęcić swe życie, dawał mu na zadatek krążek ze swej czaszki, który przyozdabiał jego popiersie, podobnie jak dziś jeszcze nogi, ręce i serca odlane ze srebra przyozdabiają nasze ołtarze. Fakt zaś, że po śmierci takiego kapłana składano mu inny krążek, albo może i ten sam dla załatania dziury w głowie. dowodzi tylko wiary w nieśmiertelność i starania, żeby zmarłemu, na tamtym świecie, nie zabrakło jednej klepki w głowie.

Zobaczmy teraz jak ten dziki zwyczaj z wolna się przeobrażał.

Wiadomo, że deformowanie czaszek dzieciennych należy do bardzo popolitych obyczajów, w Ameryce zwłaszcza i w Australii. W wysokim stopniu odznaczają się sztuczną deformacją czaszki staroperuwiańskie. Ścisłano je w wieku niemowlęcym między dwiema deskami w ten sposób, że przód i tył spłaszczaly się, dając głowie, widzianej z góry, kształt rogaty i znaczną szerokość! Są to też najkrótsze ze znanych czaszek. Ale oprócz tych zboczeń ogólnych, można na niektórych z nich zauważyć inną jeszcze osobliwość, a mianowicie szczególnego rodzaju okrągłe zagłębienie na szczycie głowy, w tylnym końcu s z w u s t r z a ł k o w e g o ¹⁾, jak gdyby wielkim palcem wyciśnięte.

Gdy to spostrzeżenie zakomunikował na zjeździe przyrodników we Lwowie w r. 1875, p. Kubary, znany podróżnik z Australii, dodał, że podobne wgłębienia sztuczne spotykał także na starych czaszkach polinezyjskich, lecz znaczenia ich nie mógł sobie objaśnić.

Otóż zupełnie takie same piętna znane już były na niektórych czaszkach przedhistorycznych z epoki mamuta, a mianowicie na sławnej czaszce z Oleno, zdradzającej zresztą rasę dobrze rozwiniętą. Można się więc domyślać, że owe wyciski, trafiające się mniej więcej w tych samych miejscach, co dziury okrągłe dawniejszych czaszek, były już z ł a g o d z o n ą f o r m ą t r e p a n o w a n i a. Zamiast wycinać całkiem, przestawano na wyciśnięciu dołka. Co miało oznaczać takie piętno? trudno wiedzieć

¹⁾ Szew strzałkowy idzie przez środek głowy wzdłuż, od wierzchołka kości czołowej do wierzchołka kości potylicowej, oddzielając kość ciemieniową lewą od prawej.

ale musiało ono być znamieniem jakiejś wyższości, ponieważ groby staroperuwiańskie, z których wspomniane czaszki wydobył p. Jelski, miały być z wielką starannością budowane.

Przejdźmy do trzeciego ogniwa.

Gdy już większa część ofiar na uszkodzeniu ciała opartych zaginęła, pozostał jeszcze zwyczaj ofiary z włosów. Obcinano je i rzucano na pastwę ogniowi. Stąd tradycyjny przesąd, że włosów na ziemię rzucać się niegodzi, lecz że trzeba je spalić w piecu. W nieszczęściu golono także głowę, ażeby ofiarą włosów bóstwo przebłagać. Gdy prawemu Egipcyaninowi kot zdechł, golił brwi na znak żałoby.

Oprócz tego pewien sposób golenia głowy służył za cechę kasty. W Indiach np. istniały szczegółowe pod tym względem przepisy. Kupcy i rolnicy nosili całe głowy ogolone; zakonnicy i pustelnicy (fakirowie) długie włosy; wojownicy z rodów królewskich podgalali głowę dookoła, zostawiając czub na wierzchu (podobnie jak u nas dawna szlachta); wreszcie wychowańcy z kasty brahminów, już wcześniej, od chwili poświęcenia się Bogu, ulegali operacyi wygolenia wierzchu głowy z pozostawieniem tylko korony włosów, a operacya ta powtarzała się następnie przy wyswięcaniu na kapłana.

W chrześcijaństwie wreszcie i owo wygalenie złagodzone, dając mu tylko zakres małego krążka, zdobiącego głowy naszych księży.

* * *

Tak tedy między trepanacją z epoki kamiennej a tonsurą dzisiejszą istnieje, według wszelkiego prawdopodobieństwa, związek genealogiczny.

Wszystko się wiąże w historii, i wielkie fakta i drobiazgi. Jak w dziedzinie fizyki, tak i w zakresie socjologii nic nie ginie, wszystko się tylko przeobraża. W starym wykluwa się nowe, w nowym prześwieca stare.

Człowiek, który w danym okresie cywilizacyi obalał dawne przesady, obalał je na to, aby postawić inne, w części nowe, w części jeszcze starsze. A jeśli kiedy posunął się istotnie krok naprzód, to długo przedtem zataczał się w prawo i w lewo, wracał, o drodze zapominał, własnego się zapierał dorobku i nieraz tylko ciężkie „bicz boże“, takie jak nędza, głód i niewola, pchały go naprzód, w pogoni za własnym ideałem.

Już to, przyznać trzeba, że mechanizm dziejowy nie mógłby służyć za wzór wynalazcom ekonomicznych maszyn. Chyba jako przykład objaśniający, w jaki sposób, przy największej sił utracie, najmniejsze skutki w najdłuższym czasie osiągać.

Ale... Nie nam, dorobkowiczom najmłodszej cywilizacji, nie nam spadkobiercom tej niemal syzyfowej pracy długich wieków, naigrawać się z niedołęztwa naszych przodków. Było, jak być musiało. Szło wolno, ale szło ostatecznie naprzód. Czy we wszystkim? Mniejsza o to; dość, że w jednym.

Oświata — wielkie słowo — stała się ciałem. Za oświatą poszło złagodnienie obyczajów, które jest również faktem niewątpliwym; a za niem — za niem poszła zniewieściałość charakterów, charłactwo fizyczne i szwindle giełdowe.

Doprawdy! lękać się trzeba, czy umielibyśmy, w naszej epoce elektrycznej, równie żarliwie bronić swych ideałów, jak niegdyś przedhistoryczni nasi ojcowie żelazną piersią osłaniali swe kamienne bogi.

Julian Ochorowicz.

WIARA

w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej.

STUDYUM HISTORYCZNE.

Nie chodzi nam w studyum niniejszem o wiarę kleru i ludu, lecz tej grupy społecznej, która z pozycyi swojej przodowała w ojczyźnie i przedstawiała część narodu najlepszą. Kler z urzędu i fachu, bez względu na wewnętrzne przekonania, wierzył, czy wierzyć zalecał w stuleciu trzynastem tak samo, jak w epoce jezuickiej lub później i dlatego reprezentować umysłowości narodu nie może; lud znowu, nie z urzędu i fachu, lecz dla braku stosunków z cywilizacją zasklepiony w ściśle zawartem kole poglądów, również, lubo nie tak bezwzględnie, jak duchowieństwo, mandatu do reprezentacji owej wyrzec się musi. W rzeczypospolitej jedynie szlachta z pewną domieszką mieszczaństwa w poglądach swoich podlegała wpływom różnym i zmianom, więc tylko wierzeń tej grupy społecznej wolno użyć do wymiaru intelektualnego stanu narodu. Zwróciwszy z tego względu bacność na szlachtę, ku przedstawieniu jej wiary zacerpiliśmy z pamiętników, w których człowiek z myśli swoich i uczuć zwykł się wywnętrzać najszczerzej.

I.

Relikwie i przedmioty, mające własność cudowną w kościołach krakowskich. Miejsca cudowne w kraju. Koronacye obrazów i cuda. Pielgrzymki do miejsc świętych krajowych i obcych. Praktyki nabożne: obchodzenie stacyi mgły Pańskiej, vota, braetwa, modły, umartwienia i wstępowanie do klasztorów. Wpływ duchowieństwa, misye, jubileusze i kary kościelne. Pobożne fundacye i legata, przygotowanie się na śmierć i pogrzeb. Formalizm religijny w niebezpieczeństwach i troskach, przy ocenie faktów i ludzi. Prześladowanie dysydentów i przechodzenie na katolicyzm. Pobożne samochwalstwo i cudotwórstwo ludzi żyjących.

Szczodroblivość wieków średnich tak hojnie zaopatrzyła kościoły polskie w aparat różnego gatunku relikwii i cudownych obrazów, że zasóbnych świętości społeczeństwu, pod względem religijnym rozegzaltowanemu najmocniej, do praktyk nabożnych mógł wystarczyć zupełnie. Podarowała wdowa po Krzywoustym mnichom z Zwiefalten takiego rodzaju szczegóły, jak: ułomek krzyża świętego, kawałek kajdan św. Piotra, ząb św. Jana Chrzciciela, Pankracego i św. Cecylii, trochę krwi Zbawiciela, nieco pokarmu Matki boskiej i rękę św. Szczepana ze skórą, paznokciami i mięsem (1); nie zabrakło nam przecież w XVII stuleciu przedmiotów natury tej samej, a wartości niemniejszej lub wyższej. W kościele dominikańskim św. Trójcy w Krakowie pokazywano ozdobny krucyfiks, w którym było „prawdziwe drzewo krzyża świętego i trzy tarny z korony cierniowej, skropione krwią Chrystusa Pana; ziemia kwią świętą tegoż Pana polana, oraz cząstka kamienia z grobu jego i cząstka gąbki, którą przytykano do ust jego świętych, octem i żółcią oną napełniwszy“; znajdowała się w tymże kościele „cząstka sukienki Chrystusa Pana, kawałek purpury, którą był przyodziany na pośmiejach u Heroda; cząstka słupa, u którego był biczowany; relikwia znaczna szaty Panny Maryi przenaświętszej z rańtucha jej i z sukienki; mleko z piersi tejże przenaświętszej Panny i Bogarodzice, także ziemia z grobu jej i z miejsca tego, na którym była poczęta bez zmazy; kamień z góry Oliwnej, kamienia cząstka, na którym Chrystus siedział“ (2) i t. p. W kościele Bożego Ciała w Krakowie przechowywano „palec św. Jana Chrzciciela, którym ukazał Chrystusa Pana“ (3); u św. Katarzyny i Małgorzaty „rękę św. Szczepana, znaczną relikwię św. Jana Chrzciciela, część odzienia jego, oraz krople mleka i krwi św. Katarzyny“ (4); w kościele zaś Panny Maryi Wniebowzięcia znajdowało się

(1) Hoffmann. Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII. Kraków, 1872. Str. 64 i 67. (2) Pruszez. Klejnoty stołecznego miasta Krakowa, albo kościoły. Kraków, 1650, str. 48. (3) Tamże, str. 68. (4) Tamże, str. 61.

„ciało całe jedno z młodzianków onych, które Herod kazał zabijać“ (1). Relikwii znacznych każdy kościół krakowski posiadał sporo. Ojcowie kameduli bosi w kościele św. Michała Archaniola i Józefa przechowywali „głowy całe św. Flawii, św. Klaudy i św. Teresy“ (2); kościół Wszystkich Świętych „z towarzyszek św. Urszuli jedną głowę“ (3); w kościele św. Marka znajdowała się „głowa cała zupełna św. Doroty“ (4); u Panny Maryi Wniebowzięcia „głowa cała św. Rozyny panny i druga głowa z jedenastu tysięcy dziewic“ (5); u św. Katarzyny i Małgorzaty „czaszka z głowy św. Ambrożego, św. Rocha i św. Konstantego“ (6); w kościele Panny Maryi Śnieżnej na Gródku „św. Laurency panny i męczenniczki cała kość z ręki, a św. Benedykty czelusć cała z zębami“ (7); w kościele Panny Maryi Wniebowzięcia „palec cały z ciałem św. Rozyny“ (8); u św. Barbary „ręka panińska z ciałem i skórą św. Katarzyny męczenniczki aleksandryjskiej“ (9); w kościele zaś św. Mikołaja pokazywano olejek, który z kości tego świętego wyciekał (10).

Relikwie, krucyfiksy, obrazy i naczynia po świętych własność posiadały cudowną. W kościele św. Anny w Krakowie „przy grobie przewielebnego błogosławionego Jana Kantego ślepi, głusi, chromi, wrzodowaci i chorobami różnemi ścisniani u Pana Boga przez przyczynę tego świętego zdrowie upraszają i opętani wolni od dyabelstwa zostają“ (11); u św. Piotra i Pawła na Tyńcu z ciał: Jędrzeja opata, Meślawa, Grzegorza i innych „częstokroć wielka wonia wychodzić zwykła, a zwłaszcza *in Augusto*, jak się to trafiło w r. 1636“ (12); trumna bł. Michała Giedrocia, ustawiona w zakrystyi kościoła św. Marka w Krakowie, skuteczną była ludziom na gorączki i febry (13). Gdy w kościele Panny Maryi Wniebowzięcia odświeżyć chciano krucyfiks, — „malarz, który był na odnowienie sporządzony, doznał zaraz, że nie jako kamienia, ale jako człowieczego ciała się dotknął... czego potem doświadczali i drudzy“ (14); w kościele św. Wojciecha Niemiec jeden z krucyfiksu „bardzo żałobliwego“ widywał światłość (15); u św. Marka krucyfiks „rozmawiał częstokroć z bł. Michałem“ (16). W kościele św. Katarzyny i Małgorzaty obraz Panny Maryi „światłość niebieska często oświecała, przy nim głosy anielskie słychane

(1) Tamże, str. 39. (2) Tamże, str. 16. (3) Tamże, str. 17. (4) Tamże, str. 30. (5) Tamże, str. 33. (6) Tamże, str. 62. (7) Tamże, str. 35. (8) Tamże, str. 39. (9) Tamże, str. 40. (10) Tamże, str. 71. (11) Tamże, str. 21. (12) Tamże, str. 84. (13) Tamże, str. 30. (14) Tamże, str. 37. (15) Tamże, str. 41. (16) Tamże, str. 30.

były, śpiewające antyfony“ (1); w tymże kościele obraz Panny Maryi pokazywał się przy śmierci niektórym ludziom pobożnym (2); w katedrze św. Wacława przy drzwiach zakrystyi obraz umęczonego Chrystusa do bł. Jadwigi, królowej polskiej „mawiał i rękę do niej wyciągał, jakoby na błogosławieństwo, gdy się przed nim modliła“ (3). W jednym z kościołów pozwalano ludziom pobożnym, a chorym używać ku wyzdrowieniu szklanki, z której św. Jadwiga podczas postu zażywała napoju (4); przy kościele św. Michała i Stanisława „wodę z tej sadzawki, w którą był wpadł palec św. Stanisława, ludzie nabożni brali i przez przyczynę świętego doznawali rozlicznych pociech“ (5).

Na obszarze Rzeczypospolitej miejsc cudownych liczba była niemała. Pomijając Częstochowę, rozgłosne były Gidle, gdzie „obraz cudowny najświętszej Panny, przez rolnika w ziemi pługiem wyorany“ (6); Sejny, w których klasztor dominikański cudownym obrazem najświętszej Panny słynął (7); Obory, Skępe, Studzianna, Kalwarya, Piekary, Antokol, Żyrowice, Mińsk, Zbirki, Piotrowin, Wislica, Leśna, Sokal, Poczajów, Łuck, Latyczów, Berdyczów, Wilno, Święta-Lipka, Jarosław, Rzeszów, Podkaminie, Kodeń, Troki, Leżajsk, Bochnia, Pajęczna, Tuchów, Krasnobród, Myślenice, Klewań, Kodeń, Zdzierz, Dzierzków i wiele innych. Rozsławiało zwykle daną miejscowość objawienie się Matki boskiej na drzewie lub w ziemi, w rozmaitych rozmiarach i kształtach. Ku uczczeniu cudu wznoszono najprzód figurę, później kaplicę, w końcu kościół lub klasztor. We wsi Szara-Wola, parafii tomaszowskiej, żył Jakób Ruszczyk, włościanin przez lat 24 w opętaniu od szatana będący. Krewni, przyjaciele i sąsiedzi oprowadzali go po różnych miejscach świętych, by od ducha nieczystego mógł być uwolnion, ale zawsze napróżno. W r. 1640, w dzień najświętszej Panny Maryi Śnieżnej dręczony od szatana przybiegł do Krasnobrodu; wracając zaś z miasta do domu, zszedł z drogi i ku odpoczynkowi legł na ziemi pod sosną. Zasnął, a przez sen ten głos usłyszał: postaw tu figurę, albowiem na tem miejscu będzie się odprawiała chwała syna mojego, a na znak wiedz, iż jesteś od szatana uwolnion. Ruszczyk podniósł się, głosu jednak żadnego nie słyszał, jasność tylko nad sobą ujrzał niezwykłą, a na siłach czuł się krzepkim zupełnie. Stosownie do objawionej woli z nieba, postaw

(1) Tamże, str. 62. (2) Tamże, str. 63. (3) Tamże, str. 6. (4) Tamże, str. 60. (5) Tamże, str. 65. (6) Dyaryusz Chrapowickiego. Warszawa, 1845, str. 53. (7) Pamiętniki Matuszewicza. Warszawa, 1876. I, 256.

wił Ruszczyk figurę drewnianą obok sosny, pod którą spoczywał. Odgłos cudu tłumy ludu na owo miejsce sprowadzał. Chorzy, kulawi, głusi i ślepi, uzdrowieni mocą niebieską, weseli wracali do domu. Około r. 1648 Kozacy figurę z sosną, na której pobożni pozawieszali *rota* w obrazkach i blaszkach, podcięli i wszystko, co kosztowniejsze, zabrali. Po uspokojeniu kraju, mieszkańcy Krasnobrodu przybyli na miejsce, łaskami słynące, by podziękować Bogu za wybawienie ich z rąk wroga, lecz przy figurze i sosnie nic nie znaleźli, prócz małego obrazka, który był dziwnie wyraźny i świeży, gdy inne niszczały od sloty. Obrazek ten, wyrażający najświętszą Pannę i dzieciątka Jezus, niby na rozrzuconych pieluszkach złożone na ziemi, pobożni ze czcią największą i rozrzewnieniem podnieśli i z uszanowaniem w domu pewnego mieszczanina złożyli. Zbudowano później kaplicę, do której obrazek wprowadzony i pod straż dominikanów oddany został (1). W podobny sposób stał się głośnym obraz w Studziannie (2), w Żyrowicach „wielkością swoją niedochodzący jaja gęsiego“ (3), posądek w Skępem i t. p.

Corocznie niemal powiększała się liczba miejsc świętych; osobliwość jakąś znaleźć było można w każdym prawie kościółku. Remigjan Koniecpolski, biskup chełmski, w r. 1633 kościół Wincentego Kadłubka z grobu podniósł w Jędrzejowie i szczątki świętego w ozdobnym złożył ołtarzu, przy którym „ludzie wielkie swe pociechy odnoszą“ (4); w Olwicie „cudowną najświętszą Pannę przeniesiono w r. 1671 do kaplicy, wymurowanej sumptem plebana“ (5); „w r. 1710, dnia 20 marca, na św. Joachima episcop piński *ritus graeci*, Kulczycki, inkwizycją czynił w Wysocku u jezuitów o cuda nowozjawione przez Matkę bożą w Udrycku“ (6); w r. 1712 biskup łucko-brzeski, Aleksander Wyhowski, wysłał do Pińska komisję ku zbadaniu cudów pewnego Świętego jezuitę. „Gdzie ja — pisze Franciszek Szyrma — doznawszy *patrocinio* jego łaski boskiej nad chorującym, a prawie konającym synem moim, musiałem przysiądz *coram officio pastoralis* na te fawory, po dwa kroć doznane

(1) Opis klasztoru dominikanów w Krasnobrodzie (Rękopism). (2) Historia panowania Jana Kazimierza przez nieznanego autora. Wyd. Raczyńskiego, Poznań, 1840. II. 314. (3) Dzieła Bartoszewicza. Kraków, 1880, VII, 200. (4) Przyłęki. Pamiętniki o Koniecpolskich. Lwów, 1842, str. 183. (5) Dyaryusz Chrapowickiego. Str. 255. (6) Dyaryusz Franciszka Szyrmy (1691—1732). Rękopism, udzielony nam przez p. Adama Czaplicę z Wilna.

nad tymże synem, który dotąd z instancyi jego żyw..." Takąż komisyę w r. 1719 wyznaczył biskup Prebendowski, w r. 1730 Rupniewski (1). Maryanom z Rasnej radzono, aby się o beatyfikacyę *venerabilis patris Stanislai Papczyński*, fundatora swego zakonu starali (2). W r. 1713 Krzysztof Zawisza „ciała całego relikwie św. Felicyana męczennika“, otrzymane od papieża Klemensa XI w Rzymie, w kościele mińskim jezuitów lokował solennie (3); w Boćkach w r. 1739 uroczyscie wprowadzano cierń Chrystusa Pana do kaplicy, zbudowanej na to umyślnie (4). Wizerunki nowo-kanonizowanych świętych umieszczano w kościołach wśród wielkiej wystawy i tłumów ludu. W r. 1671 „z wielką magnificencyą i kosztem“ wprowadzano do bernardynów w Wilnie obraz kanonizowanego niedawno św. Piotra z Alkantary (5); w r. 1727 „introdukcyą (za co sit *Deus benedictus*) św. Stanisława Kostki, *os de ossibus nostris* i św. Alojzego *Societatis Jesu* w Pińsku z wielkim tryumfem, z asystencyą całego powiatu“ (6). Ceremonia ta — powiada Szyrma — przez dni trzy trwała; obrazy na wozie tryumfalnym celebrowane były do wnętrza świątyni.

Obrazy, głośne w rzeczypospolitej z cudów i łask, wyróżniano od innych przez koronacye, które w pierwszej połowie XVIII wieku powtarzały się często. Po uspokojeniu kraju od Szwedów i Sasów, August II wyprawił poselstwo do papieża Innocentego XI z prośbą o koronacyę wizerunku Matki boskiej częstochowskiej, na skutek czego biskup chełmski Krzysztof Szembek 8 września 1717 r. ceremonii wobec tłumów ludu dokonał. W roku następnym podobną ceremonię odbył w Trokach biskup wileński, Brzostowski; w r. 1723 staraniem Jana Fryderyka Sapięhy koronował obraz kodeński biskup łucki, Rupniewski; w r. 1724 świadkiem uroczystości takiej był Sokal (7). W r. 1727 wobec tłumów i czterech szwadronów wojska złożył na obrazie w Podkamieniu biskup łucki dwie, poświęcone przez Benedykta XIII, a przez kasztelanica wołyńskiego, Cetnera, przywieszone korony (8); jednocześnie odbyć się miała koronacya obrazu żyrowickiego (9), dopiero w r. 1730 dopełniona przez metropolitę kijowskiego, Atanazego Szeptyckiego (10). Za Augusta III odbyło się koronacyi trzy-

(1) Tamże. (2) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 306. (3) Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy. Warszawa, 1862, str. 29. (4) Pamiętniki Matuszewicza. I. 92. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 235. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Dzieła Bartoszewicza, VII. 198—218. (8) Dunia Karwicki. Szkice obyczajowe i historyczne. Warszawa, 1882, str. 136. (9) Dyaryusz Szyrmy. (10) Dzieła Bartoszewicza. VII, 205.

odpędzał straszliwe łuny“ (1). W Studziannie „nad proceder natury, mocą wszechmogącego Boga, białogłowa, ślepą będąc, przejrzała nagle w kaplicy“ i z pociechą powróciła do domu; inna palec oderznięty odzyskała przed cudownym obrazem; szlachcic pewien, „któremu przez podcięcie żyły ręka uschła była i żaden z cerulików onego uleczyć nie mógł, aby palcami władać mógł, za łaską cudownej Matki boskiej“ wyzdrowiał, jakby nigdy nie doznawał kalectwa „i wielu ludzi, przybyłych zdaleka, w utrapieniach i potrzebach swoich jawną pociechę, wspomóżenie odebrali i łaskę, o czém nikt przeczyć nie może“ (2). „Dziwnym sposobem, bez wszelkiej pomocy ludzkiej, chyba za samą anielską asystencyą i usługą“ w r. 1617 po dwa razy obraz Matki boskiej uchodził i wracał z Bydgoszczy do Obór (3). Za jego wpływem w r. 1627 chorąży ziemi chełmińskiej odzyskał zdrowie; w r. 1628 mieszczanin golubski uleczył dziecko; w r. 1630 Wawrzyniec Slepowicz wyszedł z puchliny; w r. 1634 przewidziało ślepe trzyletnie dziecko; w r. 1666 niejaka Okońska wyleczyła się z wrzodu. W r. 1678 Nieszawa za sprawą Matki boskiej oborskiej uniknęła morowego powietrza; w r. 1679 Łazarskiemu z Golubia, choremu mocno, gdy się Matce boskiej polecił, zdawało się, jakoby wychodził z łaźni i ozdrowiał zupełnie; w r. 1680 matka uratowała dziecko, dziewczka z Torunia odzyskała wzrok, kulawy owczarz paraliżu się pozbył. W r. 1689 Kozłowski z Bobrownik, westchnąwszy do Matki boskiej wraz z córką, uratowany został od utonięcia w Wiśle; w r. 1690 Morski z Kilinowca, ofiarowawszy się Matce boskiej, wyzdrowiał, chociaż już konał. W r. 1722 stracił gorączkę sędzia bobrownicki, Przeciszewski; w r. 1726 Teresa Brzeska siebie od kalectwa, a córkę wyratowała od śmierci; w r. 1746 Magdalena Krasieńska z oka straciła łuszczkę i t. p. Wogóle pomiędzy rokiem 1627 a 1785 zdarzyło się około sześćdziesięciu cudów w Oborach (4). W kościele wiślickim przy niewielkiej kamiennej statui najświętszej Panny, „przed którą Władysław Łokietek nabożnie się modlił i za łaską a pomocą najświętszej Panny przywrócony został do tronu“, nieszczęśliwi doświadczali łask wielu i cudów (5); za przyczyną bł. Jana Kantego „doznał łaski pańskiej w swej ciężkiej chorobie Jakób Zadzik, biskup krakowski, w r. 1638, czego i przedtem inszych wiele, różnemi chorobami złożeni, a z tych 83 od rozumu

(1) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 92. (2) *Historja pan. Jana Kazimierza II.* 434. (3) Ks. Smoleński. Cztery kościoły w z. dob. żyńskiej, str. 22. (4) Tamże, str. 24—39. (5) Pamiętniki Matuszewicza. III. 25.

odchodzących, konających także sześciu, prawdziwie umarłych szesnastu doznali“ (1). Podczas pożaru kościoła św. Floryana w Krakowie widziany był patron owej świątyni na powietrzu z naczyniem wody. Po widzeniu owym pożar zgasł zaraz, „zaco w Poniedziałek przewodni po mszy świętej obywatele z postronnymi ludźmi św. Floryanowi dziękują, uciekają się do niego i ucieszeni bywają“ (2). Niektóre wizerunki przemawiały i klasnęły rękami, z innych lzy ciekły lub krew. Podczas restauracji kolegiaty św. Jerzego w Gnieźnie „słyszano przedziwne, melodyjne śpiewania i głosy przededniem“; to znowu „niby chodzące osoby, rękami poklaskujące, jakie to poklaskiwania zwyczajnym są znakiem radości, wesela i ukontentowania“ (3). W Dzierzkowie „obraz najświętszej Panny podczas zgromadzenia wielkiego tłumu ludzi, na nabożeństwo zebranych, dnia 22 lipca 1664 r. lzy jak perły hojnie wylewał“ (4); krucyfiks w Iłży nad wojną domową, przez Lubomirskiego wznieconą, płakał (5); toż samo uczynił krucyfiks w sali trybunalskiej w Lublinie, gdy źli sędziowie w sprawie ubogiej wdowy niesprawiedliwy wydali wyrok. Bóg, do niego przybity, zesłał szatanów na powtórne roztrząśnienie tej sprawy, poczem nieprawi sędziowie karki połamali na schodach (6). W kościele panien norbertanek w Busku, „przy słupie biczowanego Chrystusa Pana wyobrażenie świeżemi kroplami krwi, jakoby odnowionem biciem wyciśnionemi, spływało“ (7); w kościele katedralnym gnieźnieńskim „dwoma dniami krew ciekła z pasyi Chrystusa Pana na ołtarzu ku stronie północnej“ (8). Chrystusowi u dominikanów w Poznaniu wyrzynały się zęby; w Kcyni odrastające mu włosy strzydz musiano corocznie (9).

Do miejsc cudownych zbiegali się ludzie nabożni i często i w liczbie znacznej. Królowie rozpoczynali panowanie swoje od pielgrzymki na Skalkę, „gdzie krew przelał dobry i prawdziwy pasterz, który ganił zbytki królowi Bolesławowi Śmiałemu“ (10). „Ustawnie do Studzianny wielkie

(1) Pruszez. Klejnoty st. m. Krakowa, str. 21. (2) Tamże, str. 74. (3) Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, wyd. Raczyńskiego. Wrocław, 1844, str. 176. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 312. Kochowski. Liryka polskie, wyd. Turowskiego, str. 115. (5) Szujski. Dzieje Polski. Lwów, 1864. III. 482. (6) Pamiętniki Koźmiana. Poznań, 1858. I. 16 i 331. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 312. (8) Kochowski. Liryka polskie, str. 92. (9) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego. Poznań, 1858, str. 14. (10) Dyaryusz K. F. Obuchowicza (Balińskiego) Pamiętniki historyczne do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce XVII wieku. Wilno, 1859, str. 23.

tłumy ludzi, ofiarujących się Panu Bogu w swych uciskach, płynęły; czasem jednego dnia więcej 20,000 przybywało“ (1); w lipcu, 1650 r. na 40,000 ludu było w Częstochowie na akcie przeniesienia obrazu i ulokowania go w nowym ołtarzu (2); w r. 1727 wprowadzano do kościoła pińskiego obrazu świeżo kanonizowanych świętych z „asystencyą całego powiatu“ (3).

Dla nawiedzenia miejsc świętych i do obcych udawano się krajów. Hieronim Radziwiłł, wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski i inni peregrynowali do grobu Chrystusa (4); Chrapowicki dla przyjęcia katolicyzmu jeździł w r. 1637 do grobu św. Antoniego do Padwy (5); Obuchowicz w r. 1675 nawiedza podczas jubileuszu *limina* świętych apostołów *Petri et Pauli* (6). Krzysztof Zawisza, zdążając do Loretu „na cześć najświętszej Pannie“ milę szedł pieszo. Cieszy się, że go wpuszczono za ołtarz, „gdzie komin najświętszej Panny“; że mu „prezentowano splendory kaplicy“: miseczkę, z której najświętsza Panna jadała; pieluszki, któremi spowijała Pana Jezusa; sukienkę wełnianą, w której wraz z domkiem swoim do Loretu przybyła. „Oto wszystko — powiada — ocieraliśmy rozmaite paciórki i agnuszki, także wzięliśmy wody, którą ksiądz oplukiwał miseczkę“ (7). Zauważył Zawisza, „że przez morze i teraz znaczna bieleje droga, którądy aniołowie do Loretu niesli domek najświętszej Panny“; widział okno, „którądy archanioł Gabryel wchodził, zwiastując“; miejsce, „gdzie ona modliła się natenczas“, i dziwi się, że nie ubywa domku, „który ludzie na relikwie dłubią i biorą.“ W Assyżu ocierał Zawisza paski brackie o pisma, regułę, suknię i t. p. przedmioty, pozostałe po św. Franciszku (8); oglądał w kościele rzymskim stół, na którym św. Grzegorz jadał i u którego aniołowie obiadowali z nim często (9); u św. Pawła widział krucyfiks, „do którego św. Brygida modliła się i święte duchowne miała pieszczoty“; u św. Jana lateraneńskiego przypatrywał się źródłu, jakie wytrysło w miejscu, gdzie padła głowa św. Pawła (10); pokazywano mu dwa miejsca, na których była krew Zbawiciela; słup, u którego przywiązany i biczowany był Chrystus; chustę Weroniki z twarzą

(1) Historia pan. Jana Kazimierza II. 433. (2) Tamże, I. 129. (3) Dyaryusz Szyrmy. (4) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 186. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 4. (6) Dyaryusz T. H. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 58). (7) Pamiętniki Zawiszy, str. 86. Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, str. 120. (8) Pamiętniki Zawiszy, str. 87. (9) Tamże, str. 90. (10) Tamże, str. 91.

Pana Jezusa i t. p. (1). „Można było spostrzec → powiada Moszczyński — pielgrzymów we właściwych im sukniach, idących do Kompostelli, Jerozolimy i Rzymu, a przynoszących w powrocie dostatek relikwiarzy, *agnus Dei*, paciorków i medalików.“ Pielgrzymujący za Augusta III niejaki Wolski, ubrany był w żupan aksamitny czarny, podszyty lamą srebrną i ozdobiony na lewym boku czerwonym krzyżem; krzyże miał haftowane na butach, konchę morską na srebrnym łańcuszku, zawieszoną przy płaszczu, za pasem czerwonym paciórki, a w rękę wysoką podróżną laskę (2).

Obchodzili pobożni w miejscach cudownych stacye męki Pańskiej, składali *vota*, zapisywali się do bractw i ćwiczyli się w modłach. Stacye męki Pańskiej budowali panowie lub księża na podobieństwo jerozolimskiej Kalwaryi. „W Pakości Działyńscy fundowali kalwaryę męki Chrystusa Pana, miejsca po jerozalemsku reprezentującą“ (3); „Zebrzydowski, wojewoda krakowski, bywszy, w Jerozolimie i wzięwszy należytą dymensyę tamtych stacyi, znalazł we wszystkim podobne miejsca w dobrach swoich zebrzydowskich.“ Pomurował w nich stacye i, bernardynów sprowadziwszy, nazwał Kalwaryą (4). Chrapowicki drogę męki Pańskiej obchodził przez godzin cztery rano, po południu drogę najświętszej Panny przez godzin trzy (5); Matuszewicz na obejście stacyi w Kalwaryi Zebrzydowskiej poświęcił dzień cały. „Zaraz po południu — powiada — wyszedłszy, a po bardzo przykrych górach chodząc i niemal rakiem łażąc, tudzież przez czterdzieści kamiennych schodów kłęcząc i na każdym schodzie po jednym pacierzu mówiąc, ledwośmy to obchodzenie w nocy skończyli“ (6). W Wielki Piątek procesya tak zwanych kapników ze śpiewaniem obchodziła mękę Pańską, biczując się przy każdej stacyi. Jednego z kapników ubierano w komżę i kapę, na głowę kładziono *velum* od kielicha i z ciernia uplecioną koronę. Miał on wyobrażać Zbawiciela, idącego na górę Kalwaryi, wkładano mu przeto na ramiona i krzyż, z dość ciężkiego zrobiony drzewa. Gdy, postępując krok za krokiem, na jedno kolano przykładał, idący za nim bili go, wołając: „przystępuj Jezul!“ (7).

Król, magnat i nędzarz w różnych okazyach składali w miejscach cudownych *vota* rozlicznych kształtów i rozmaitej wartości. Królewicz Jan

(1) Tamże, str. 92. (2) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 18. (3) Historia pan. Jana Kazimierza II. 378. (4) Pamiętniki Matuszewicza. III. 31. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 173. (6) Pamiętniki Matuszewicza. III. 31. (7) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 16.

Kazimierz. przypisując wyzdrowienie swoje cudownej opiece Matki boskiej, ofiarował się jej w kościele karmelitów we Lwowie i na obrazie srebrną zawiesił tablicę (1); wywdzięczając się za ratunek w niebezpieczeństwie, złożył przy grobie bł. Jana z Dukli rękę złotą, ważącą siedmset dukatów (2); w r. 1667 składał *rotum* w Częstochowie z prośbą o uspokojenie ojczyzny i wyzdrowienie królowej Ludwiki (3). Sobieski po zwycięstwie podhajeckim „*rotum* srebrne Matce boskiej w Studziannie wraz z wojskiem oddał“ (4); Marcin Kalinowski het. pol. kor. wywdzięczał się w tenże sposób Matce boskiej częstochowskiej za oswobodzenie z niewoli krymskich Tatarów (5); Chrapowicki składał „tablicę srebrną sporą i sztuczki rubinowe“ za małżonkę i siebie „na intencję chorej ręki lewej“ (6). W Studziannie „dawali *rotu* srebrne, na których wyrażali doznane cuda; zawieszali na ścianach kule i szczudła; powróceni z niewoli kajdany i pęta; ci, którzy wzrok odzyskali w ślepotcie, przybijali do ołtarza oczy, zrobione z kruszcu lub wosku“ (7).

Dla ćwiczeń duszy zapisywano się do bractw, liczba których w XVII stuleciu wzrosła olbrzymio. Oprócz najstarszych w Krakowie: najświętszej Panny Maryi i Wniebowzięcia najświętszej Panny Maryi, istniały: związane przez jezuitów na cześć i nieustanną adoracją najświętszej Maryi Panny stowarzyszenie sodalisów maryjańskich, arcybractwo miłosierdzia i męki Pańskiej, bractwo Trójcy świętej, najświętszego sakramentu, serca Jezusowego, św. krzyża, różańca i szkaplerza, niepokalanego poczęcia Bogarodzicy, siedmiu boleści najświętszej Panny, Opatrzności boskiej, pocieszenia najświętszej Panny, ratunku dusz, św. Anny, św. Antoniego padewskiego, paska św. Franciszka, św. Tekli, imienia Maryi, św. Łazarza, św. Rocha i t. p. W XVII wieku nie było kościoła bez bractw kilku lub przynajmniej jednego; u samych jezuitów w Kaliszu utrzymywało się dwanaście, z których połowa przypadła na cześć Matki boskiej, a reszta pod wezwaniem innych patronów i świętych (8). Wkładały bractwa na członków obowiązki nabożne i przepisywały odpowiedni kościelny uniform. Fundowane przez biskupa Marcina Szyszkowskiego przy kościele św. Franciszka w Krakowie używało kap czarnych z malowanymi trupiami głowami i z na-

(1) Kubala. Szkice historyczne. Lwów, 1881. Serya I, str. 9. (2) Tamże, I. 12. (3) Historia pan. Jana Kazimierza II. 416. (4) Tamże, II. 435 i 447. (5) Tamże, I. 129. (6) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 54 i 155. (7) Historia pan. Jana Kazimierza II. 433. (8) Encyklopedia powszechna Orgelbranda. IV, 247 — 250.

pisem: „Pamiętaj człowiecze na śmierć“ (1); przy kościele św. Anny używano kap szarych. Należenie do bractwa różne zapewniało korzyści. „Ktokolwiek w bractwie przy kościele Nawiedzenia najświętszej Panny na Piasku jest i szkaplerz, podany od najświętszej Panny Maryi nabożnie i z wielką uczciwością nosi, a według stanu swojego w czystości żyje, — takiego Panna najświętsza w dzień sobotni, pierwszy po śmierci z czyśca wybawi i do chwały królestwa niebieskiego zaprowadzi. Potrzeba tylko życie i powinności brackie, od Panny Maryi oznaczone, zachować: nosić na sobie szkaplerz z wielkim uszanowaniem; mięsa nie jadać we Środy; pacierze konwierskie, albo laików, albo też *officium* o Pannie najświętszej karmelitańskiej odprawować; koronkę także, siedm pacierzy, a siedmdziesiąt pozdrowienia anielskiego odmawiać“; w dni robocze „przynajmniej po siedm pacierzy, tyleż pozdrowienia anielskiego i *credo*“ (2). Inne bractwa obowiązki na członków wkładały mniejsze, ale też i nie tak doniosły przynosiły pożytek. Zawisza, zapisując się do bractwa u panien benedyktynek w Mińsku, obrał sobie cztery tylko godziny do roku na cześć najświętszego sakramentu t. j. 2 sierpnia, 2 listopada, 2 lutego i 2 maja (3). Nie mógł za to korzystać z odpustów tych „co u św. Piotra na Watykanie“ i nie miał szansy wyzwolenia się z czyśca w pierwszy dzień sobotni po śmierci.

Modlono się z zapalem i często. Matuszewicz „nieraz w nocy wstawszy, dyscyplinował się, klęcząc; pacierze zrana i na wieczór zawsze długo i nabożnie mawiał; często do św. Franciszka Ksawerego ze ścisłym postem *decemdia* odprawował i do św. Barbary osobliwiej był nabożnym; żywoty świętych co dzień czytał i Tomasza à Kempis“ (4). Dowiedziawszy się o śmierci brata, Matuszewicz zaraz do kościoła jezuitów do konfidenta swego się udał i przez dwa dni płakał (5); wojewoda podlaski, Sapieha, z okazji utraty syna „poszedłszy do kościoła, padł krzyżem przed najświętszym sakramentem“ i tak blisko godzinę leżał (6). Niektórzy miewali zwyczaj codziennie trzech mszy słuchać (7); inni w miejscach cudownych, krzyżem leżąc, obecni byli na kilku (8). Podczas Zmartwychwstania Pańskiego „od Wielkiego Czwartku — powiada Zawisza — aż do Niedzieli bawiłem się na nabożeństwie; Panu Bogu na cześć i na chwałę klęczeliśmy godzinami po parze aż do jutrzni u grobu Pańskiego“ (9); inną

(1) Pruszcz. Kleynoty st. m. Krakowa, st. 19. (2) Tamże, str. 77 i 78. (3) Pamiętniki Zawiszy, str. 46. (4) Pamiętniki Matuszewicza. II. 24. (5) Tamże, I 176. (6) Tamże, I. 8. (7) Dyaryusz Szyrmy. (8) Pamiętniki Matuszewicza. I. 257. (9) Pamiętniki Zawiszy, str. 66.

razą „od dwunastej w Piątek godziny kolejno klęczano, nie opuszczając nocy, aż do dwunastej na Niedzielę“ (1). Nie wystarczało podczaszemu koronnemu, Czackiemu, jedno święto Bożego Ciała, wyrobił sobie przeto przywilej na drugie, odbywane w ostatnie dni zapust z czytaniem czterech ewangelii i z procesją przy ołtarzach w Porycku (2). W podróży zwiedzano kościoły i słuchano nabożeństw (3). „Przededniem — powiada Chrapowicki — przybiegłem do Krynek dla rorat; że ich ksiądz nie chciał odprawiać, aż ze mszą zwyczajną niedzielną, — pojechałem do Odelska na one, (4).

Ekscentryczniejsi zadawali sobie męczarnie. Przez cały wielki post — powiada Moszczyński — można było widzieć po wszystkich parafialnych kościołach i klasztorach procesyje kapników, na czele których szedł niosący ukrzyżowanego Chrystusa, a na końcu postępowali dwaj z czarno malowanymi laskami. Wszedłszy do kościoła parami i klękawszy, z dyscypliną w rękach rozkładali się krzyżem. Okryci zaś byli szerokimi, z grubego płótna, otwartymi na plecach worami; głowę osłaniali spiczastym kapturem z dziurami dla oczu i ust. Za uderzeniem lasek, padłszy na ziemię, podnosili zasłony z pleców i zaczęli się biczować. „Jedni mieli dyscypliny rzemieńne z przypiekanymi końcami, drudzy druciane, a niektórzy z metalowymi gwiazdeczkami na końcu, dla rwania ciała. Biczowali się zaś tak mocno, że krwią pluskali klęczących blisko, lub też siedzących w ławkach“ (5). Zmarły w r. 1694 chorąży piński, Bazyli Godebski, przez cały post wielki na gołym ciele nosił łańcuszki i pancerz (6); opasywała się łańcuchami ostremi Anna z Lubomirskich, hetmanowa Rzewuska (7); kasztelan brzeski, Abramowicz, konając „w piersi mocno się bił tak, że aż znaki od sygneta, na palcu będącego, zostały“ (8). Mikołaj Koniecpolski, sędzia sieradzki „*sterilis nonagenarius in coelibatu et quod maximum pura virgo*“ dokonał życia (9); Jan Koniecpolski, spostrzegłszy, że rodzice chcieli go żenić „*a in virginitate żył in longinquum*“, uciekł z domu i po obcych tułał się krajach (10). Skrupulatność w zachowywaniu postów dochodziła do szczytu. Nie chciały wraz z pobożnymi ludźmi przyjąć klasztorów wyrobio-

(1) Tamże, str. 74. (2) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 85. (3) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 29. (4) Tamże, str. 182. (5) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 16. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Rzewuski. Kronika podhorecka, str. 34. (8) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 94. (9) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 164 i 428. (10) Tamże, str. 189.

nej przez biskupa Czartoryskiego i opublikowanej w dyecezyi poznańskiej bulli papieskiej, pozwalającej ze względów higienicznych używać w poście w miejsce oleju nabiału (1). Śmiertelnie chory „w Sobotę, jak był bardzo nabożny do najświętszej Panny, tak dzieciom nakazał pod błogosławieństwem swoim, aby go nie oszukali, a, uchowaj Boże, z mięsną esencją, a nawet z masłem czego nie dali“ (2); dziwi się Krzysztof Zawisza, że „imci panna sędzianka na lutni przygrywała i ta muzyka zgorszenia w post nie czyniła“ (3). Pobożność uwydatniano nawet w ubiorze. Szlachta kolorowe suknie nosiła od Niedzieli do Piątku, w Piątek czarne, w Sobotę popielate (4).

Pobożni rodzice chętnie dzieci swoje widzieli w stanie duchownym, a i sami częstokroć osiadali pod starość w klasztorach. Chrapowicki oddaje córkę do brygidek w Grodnie (5); kasztelan sieradzki, Walewski, ma córkę panną zakonną w Wieluniu (6); Anna Koniecpolska w tymże Wieluniu służbie bożej poświęca dwie córki (7); tyleż marszałek koronny Zygmunt Myszkowski (8); Krzysztofa Koniecpolskiego, wojewody bełzkiego pięć córek (9), Paska tyleż pasierbic „nie z żadnego przymuszenia, albo z jakiej potrzeby (bo dziewczki były urodziwe i z posagiem), ale z samego boskiego natchnienia“ — zakonnicami pomarło (10). Franciszek Szyrma jezuitą miał brata, córkę bazylianką, z synów trzech jezuitów, dwóch franciszkanów (11). Stefan Czarniecki miał pięciu braci w stanie duchownym (12); Józef Wybicki księdzem miał stryja i brata, siostrę zakonną, sam również w murach klasztornych pragnął się zamknąć (13). Starościna dobczycka wstąpiła pod starość do teresek w Krakowie (14); hetmanowa Rzewuska zapisuje się w r. 1740 do tercyarek św. Dominika i przybiera imię Kolumby (15); hetman Wacław Rzewuski, za przykładem dziada swojego, Michała, zapisawszy się do tercyarzy św. Franciszka, przywdziewa habit (16).

Przewodniczyli w praktykach nabożnych księża, szczególnież zakonnicy, liczba których w XVII stulecia olbrzymio wzrosła. Do istniejących

(1) Moszczyński. Pamiętnik do historyi polskiej, str. 20. (2) Pamiętniki Matuszewicza. II. 5. (3) Pamiętniki Zawiszy, str. 66. (4) Pamiętniki Koźmiana. I. 336. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 102. (6) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 164. (7) Tamże, str. 184. (8) Tamże, str. 200. (9) Tamże, str. 183. (10) Pamiętniki Paska. Petersburg, 1860, str. 239. (11) Dyaryusz Szyrmy. (12) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 333. (13) Pamiętniki Wybickiego. Wyd. Raczyńskiego. Poznań, 1840, t. I. (14) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 200. (15) Rzewuski. Kronika podhorecka, str. 34. (16) Tamże, str. 129.

w czasach dawniejszych przybyli: reformaci, bonifratrzy, oratoryanie, misyonarze, karmelici bosy i bazylianie; — w ogóle około 600 klasztorów rozrzuconych było po kraju (1). Zakładali mnisi liczne bractwa nabożne; w konfesyonale i z ambony, w celach swoich i w wycieczkach za kwestą zachęcali do pielgrzymek, rekolekcyi i modłów; zaszczepiali w masach pochop do praktyk religijnych i do egzaltowanej dewocyi. Działali za pomocą fundowanych przez panów i hałaśliwie odprawianych misyi (2); wpływali przez liczne, do ołtarzy przywiązane odpusty i tak zwane miłościwe lata, których w XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku naliczyć można niemało. Obchodzono jubileusz w r. 1645, nadany „z wielkimi duchownymi łaskami“ (3); w r. 1650 (4), w 1663 na uproszenie ratunku przeciwko nieprzyjacielowi krzyża świętego (5); w r. 1692, w 1694 „na uproszenie zgody *principum christianorum*“; podobnie w r. 1696, 1707, 1724, 1727 i 1731 (6). Zuchwałym grzesznikom grożono niedopuszczeniem do sakramentów, odmówieniem pogrzebu i kłatwą (7). „Przeklęty niechaj będzie w domu i na dworze, przeklęty w mieście i na roli; przeklęty niechaj będzie siedząc, stojąc, jedząc, pijąc, robiąc i śpiąc. Przeklęty niechaj będzie tak, iż w nim zdrowego członka nie będzie od wierzchu głowy aż do stopy nożnej. Niechaj wypłyną wnętrzności jego, a ciało jego niech robactwo roztoczy. Niechaj będzie przeklęty z Ananiaszem i Zaphirą, niechaj będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niechaj będzie przeklęty z Abironem i Dathanem, których ziemia żywo pożarła. Niechaj będzie przeklęty z Kainem mężobójcą, niechaj mieszkanie jego będzie spustoszone; niechaj będzie wymazany z ksiąg żyjących i ze sprawiedliwemi niechaj nie będzie pisany i pamiętka jego na wieki niechaj zaginie. Niechaj na ostatnim sądzie przeklęty będzie z dyabłem i z anioły jego i na wieki niechaj zginie, jeżeli się nie upamięta“. W ten sposób 4 maja 1612 r. w kościele Wszystkich Świętych klął synod krakowski Aleksandra Koniecpolskiego „ze wszystkiemi temi, co mu radę i pomoc jakimkolwiek sposobem dawali, co mu fawowali, którzy się cieszyli z tego; którzy wiedzieli, a nie przestrzegali i nie dali znać“, gdy uwoził z klasztoru dwie panny (8). Przychodziło tu ducho-

(1) Szujski. Dzieje Polski. III 481. (2) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 184. Pamiętniki Matuszewicza. III, 163. IV, 37. (3) Dyaryusz K. F. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 13). (4) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 136. (5) Tamże, II. 244. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Kitowicz. Pamiętniki do pan. Augusta III. T. I. str. 23 i 24. (8) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 211.

wieństwu z pomocą i państwo. Za przeżycie przez rok i sześć niedziel w kłątwe kościelnej, podobnie jak za bluźnierstwo przeciwko religii katolickiej i niewykonywanie przez lat kilka spowiedzi wielkanocnej, pociągano do odpowiedzialności sądowej i karano surowo (1).

Ksiądz umiał pozyskać zaufanie rodziny i wśliznąć się do najskrytszych tajemnic; człowieka, którym pragnął ovladnąć, nieodstępny był cieniem i niepodzielnie nad sumieniem jego panował. Ludzie bogaci ciągle przy sobie kapłana z jakiegoś zgromadzenia mieswali (2); inni drzwi domu dla zakonników otwierali na oścież i przedstawiali z nimi niemal codziennie (3). Bez benedykcyi kapłana szlachcic w dłuższą drogę puścić się nie śmiał (4): w podróży z księżmi jadł obiad, u ojców w klasztorze nocował (5). Konfident godził zwaśnione małżeństwa (6), w nieszczęściu koił boleści (7); pobudzał do hojności na kościół i redagował testament, którym znaczną część mienia przelewano na cele pobożne.

Matuszewicz „do wystawienia kościoła i klasztoru kamienieckiego najwięcej we wszystkim dopomógł; sprawił siła aparatów kościelnych i organy, oprócz tego gotowemi pieniędzmi dawał. W dobrach swoich: Szeszowie, Horodyszczu i Rohaczach nowe cerkwie powystawiał i jałmużnami nadał; kościołowi janowskiemu, na reperacyę jego, kilka tysięcy złotych wysypał; na odnowienie kościoła wilanowskiego tysiąc dał złotych. W Radzanowie, miasteczku swoim, kościół nowy wystawił; na murowanie kościoła bernardyńskiego w Ratowie złożył kilka tysięcy; nareszcie maryanów w Rasnej fundował“ (8). Jerzy Ossoliński, kanclerz w. koř. „ołtarz w Częstochowie wspaniały Panny przeczystej wystawił; w dobrach swoich Klinatowiczach kościół osobliwą strukturą zbudował, ufundowawszy przy nim kapitułę kanoników“ (9); Stanisław Lubomirski za życia swego wystawił dwadzieścia kościołów i onym fundusze opatrzył (10). Kasztelan krakowski, Stanisław Koniecpolski, testamentem z 22 sierpnia 1682 roku zapisuje kościołowi farnemu w Koniecpolu 30,000 złp., kmiecia jednego i dwóch półrolników; do konwentu kościoła na Jasnej Górze częstochowskiej ofiaruje „pierścień brylantowy w rauty wysoko rznięty, w złoto opra-

(1) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. Wyd. Raczynskiego, Poznań, 1840—41. T. I. 243. (2) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 184. (3) Dyaryusz Chrapowieckiego, str. 71. (4) Tamże, str. 52 i 54. (5) Tamże, str. 173. (6) Pamiętniki Matuszewicza. III. 169. (7) Tamże, I. 176. (8) Tamże, II. 24. (9) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 120. (10) Tamże, I. 96.

wny; do tego perłę gruszkową wielką“ i sumę zł. 5000; klasztorowi w Studziannie 3000 zł.; klasztorom: w Leżajsku, Sokalu, Przyrowie, Gidlach, Podkamieniu i Mstowie po zł. 500; kościołowi brodzkiemu zł. 3000, szpitalowi koniecpolskiemu zł. 2000. Jan Aleksander Koniecpolski klasztorowi w Podkamieniu „dla ozdoby miejsca tamtego“ 4000 zł. testamentem wyznacza; takąż sumę zapisuje dla obrazu w Sokalu, kościołowi w Częstochowie 3000 zł. i pierścień, a oprócz tego funduje dwie misye.

W testamentach wypowiedano swe *credo* i przedsiębrano środki ku zapewnieniu sobie rozkoszy nieba. „Umierać chcę — pisze Stanisław Koniecpolski — w wierze św. katolickiej... Artykuły wszystkie wiary świętej tak trzymam i trzymać będę do skonu życia mego, jako kościół powszechny katolicki trzyma i wyznawa rzymski. Duszę moją, ciężkimi grzechami zmazaną, oddawam w ręce temu, który ją stworzył — najwyższemu Bogu, prosząc płacliwie majestatu jego przenaświętszego, aby nie pomniał na występki młodości mojej, ale żeby mi one przez wylanie niewinnej krwi Chrystusa Pana, za przyczyną najświętszej Panny Bogarodzicy Maryi i wszystkich świętych z nieogarnionego miłosierdzia swego odpuścić raczył. Ciało, jako z ziemi wzięte, ziemi aby jako najprędzej było oddane, bez wszelkich wytwornych kosztów; kapłanów tylko świeckich i zakonnych z ubogimi żebrakami i szpitalnemi jako najwięcej zgromadzić, których nakarmiwszy, każdemu księdzu, co miał mszę świętą, po zł. sześciu, ubogiemu też po złotych trzy aby dano mieć chcę i oto dla miłości bożej proszę, żeby za tę jałmużnę grzeszna dusza moja przed majestatem najwyższego Boga kapłańskimi i żebrackimi modlitwami ratowana była“. Za legat dla kościoła w Koniecpolu żąda: „trzymać przy nim kapłanów, z których trzech *cum aliis ministris ecclesiae* mają zawsze *curs* albo *officium parvum beatiss. Virginis Mariae* na każdy dzień śpiewać; we Środę każdą i Piątek po jednej mszy świętej *pro animabus defunctis* za moich świątobliwych antecesorów i moją duszę, a w Sobotę mszę świętą śpiewaną *de immaculata conceptione beatissimae Virginis Mariae perpetuo* odprawować mają... Oprócz tych mszy świętych, *tenentur* każdy przełożony kościoła do odprawowania czterech mszy świętych kwartalnych *pro animabus fundatorów et mea*. Czwarty zaś kapłan, *de vita et doctrina probatus*, aby na każdą niedzielę i święto według kościoła św. katolickiego kazanie na ambonie w kościele farskim miewał“. Ojców dominikanów prosi „aby wszystkie *sacrificia* i *mortificatie* swoje, także jedną mszę śpiewaną na kwartał odprawowali“ za duszę; w klasztorach: częstochowskim i w Studziannie mają zakonnicy po siedm mszy *per totam*

provinciam odprawiać. W tem wszystkim powoduje nim: wdzięczność za „dobrodziejstwa przeczystej Panny Maryi, Matki bożej, za której przyczyną wielokrotnie odbierał błogosławieństwa i łaski“; bojaźń — aby ciężkie grzechy „przed majestatem boskim popełnione“ nie zatrzymały go długo „od oblicza najwyższego Boga“; nadzieja, — że za przyczyną Matki boskiej „po śmierci dostąpi dusznego zbawienia“. „Tak tedy — kończy Koniecpolski — przy miłościwej i nigdy niezbrodzonej łasce bożej rozporządziwszy wszystko, powtóre duszę moją grzeszną w ręce najwyższemu Bogu, stworzycielowi swemu, w obronę i opiekę najświętszej Pannie, Matce syna bożego, odkupiciela i zbawiciela mego i wszystkich świętych polecam“ (1).

Przewidując śmierć bliską, dygnitarze rezygnowali z urzędów i schyłek życia przepędzali w klasztorach. Marszałek w. kor. Opaliński „gotując się na śmierć, abdykował to ministeryum, resztę dni Bogu poświęciwszy w Leżajsku, u bernardynów, przy cudownym obrazie Panny przeczystej“ (2); Jan Kazimierz na radzie senatu w r. 1668, na sejmie i w akcie abdykacji oświadcza, jako „składa koronę, ażeby miał czasu trocha wolnego przygotowania się na tamten świat“ (3). W ostatnich chwilach baczono pilnie, iżby „ducha swego, *omnibus sacramentis* dobrze uzbrojonego, Panu Bogu oddać“. Kazano się chować w habitach (4), pod ołtarzami lub progami kościołów; na płytach grobowych ascetyczne ryć polecano napisy. Wojewoda sieradzki, Aleksander Koniecpolski, pochować się kazał w sklepie pod ołtarzem wielkim „i tak w to potrafić, aby, gdy kapłan celebrować będzie, stał nogami na głowie“ (5); podsędek piński, Tokarski, złożony został pod bocznym ołtarzem; Szyrma pod progiem kościoła franciszkanów pińskich (6); wojewoda krakowski, Jan Wielopolski, pogrzebać się kazał we drzwiach u reformatów w Warszawie i położyć kamień z napisem: „Tu leży niegodny grzesznik, módlcie się za niego“ (7).

Zalecano w testamentach, żeby pogrzebowi towarzyszyło jak najwięcej księży zakonnych i świeckich; jakoż gromadziła się jednych i drugich liczba ogromna. Za trumną hetmana Stanisława Koniecpolskiego w Brodach w r. 1646 szło karmelitów szarych i franciszkanów par 16, bernardynów par 23, dominikanów par 32 i świeckich księży niemało (8). Na

(1) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 375—389. (2) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 105. (3) Tamże, II. 464, 472., 478. (4) Pamiętniki Matuszewicza. II. 10. (5) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 215. (6) Dyaryusz Szyrmy. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 461. (8) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 293.

pogrzeb hetmana w. kor. Radziwiłła zakonników, księży świeckich i presbiterów unickich zebrała się liczba tak duża, że się w Nieświeżu pomieścić nie mogła. „Kazał tedy książę wojewoda wileński namioty swoje, których i wielkich i siła jest bardzo, porozbijać dla duchowieństwa za miastem“ (1). Matuszewicz na pogrzeb ojca sprowadził 324 księży *ritus latini*, 150 *ritus graeci uniti* i bractwa (2). Kiedy procesya konduktowa stała przed kościołem, ciało wynoszono dopiero ze dworu (3). Po skonie bogatszych w całej okolicy rozbrzmiewał pogrzebowy głos dzwonów, w kościołach odprawiano egzekwie, prawiono mowy i śpiewano msze liczne. „Rozesłałem — powiada Matuszewicz — do Brześcia do wszystkich kościołów i do innych, w okolicy będących kościołów i cerkwi pieniądze na trzydniowe po ojcu dzwonicie“ (4). Podczas pogrzebu hetmana w. kor. Radziwiłła odprawiano msze po wszystkich świątyniach „od północy aż więcej do południa“ (5). Starano się o ostentację największą. „Wynieśliśmy — powiada Matuszewicz — nieodżałowanego ojca naszego i na katafalk, na saniach zrobiony, wstawiliśmy. Konie w kapach czarnych ubrane były. Gdyśmy stanęli z ciałem przed kościołem, maryanie z krzyżem wyszli. Miał jeden z nich przemowę, potem wzięli trumnę na ramiona swoje i postawili na katafalku w kościele. Druga znowu w kościele na ambonie maryńska przemowa była, a nazajutrz solenne egzekwie, wigilie wszystkich zakonów“ (6). Pierwszego dnia za msze święte płacił Matuszewicz *gratitudinis ergo* po tynfów pięć i za wigilie śpiewane każdemu zakonowi po czerwonym złotym jednym; prałatom świeckim i proboszczom *pro dignitate* każdego jednym mniej, drugim więcej czerwonych złotych, presbiterom ruskim po tynfów trzy. Drugiego dnia księżom łacińskim za mszę świętą po trzy tynfy i za śpiewanie wigilii po czerwonym złotym, a presbiterom ruskim po tynfów dwa (7).

Formalizm religijny nie odstępował człowieka nigdzie i nigdy. Tarczą był wśród niebezpieczeństw i trosk; stanowił miarę do oceny faktów i ludzi; odgrywał rolę bussoli we wszelkich stosunkach, życia.

Przekonanie było powszechne że „najpierwszy szlachcic w niebiosach, który swego syna jedynego wydał na męki i żydem go zrobił“ — dla narodu polskiego szczególną ma słabość; że Matka boska, proklamowana uroczyscie królową polską, skrzydeł opieki swojej nie zwinie nigdy. Dla zła-

(1) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 36. (2) Tamże, II. 90 i 28. (3) Tamże, II. 28. (4) Tamże, II. 28. (5) Tamże, IV. 36. (6) Tamże, II. 28. (7) Tamże, II. 91 i 92.

godzenia gniewu bożego wypada tylko komplementów zażyć i czułościowych grzeczności, praktyk nabożnych i modłów. Każdy ciągle miał imię Boga na ustach; w owych to czasach „Niech będzie pochwalony...“ wprowadzone bullą papieską wraz ze stu dniami odpustu, przyjęło się i zakorzeniło w całym narodzie (1). Na ukrócenie sejmikowych tumultów skuteczną była patyna (2); dla odniesienia zwycięstwa wystarczyło wydanie bitwy w uroczystość Niepokalanego poczęcia najświętszej Maryi Panny (3), pobłogosławienie broni (4) i pocieranie jej świętościami różnemi (5), śpiew: *o gloriosa Domina* (6) i okrzyk: Jezus! (7). Jan Kazimierz, wracając ze Szląska do Polski „całe noce, u drzwi kościelnych krzyżem leżąc, modlił się, na pomoc Boga wszechmogącego wzywając“ (8); Matuszewicz, konkurując o pannę, jeździł „na Antokol do Pana Jezusa nazareńskiego, cudami sławnego“, przez dwa Piątki odbywał spowiedź i przyjmował komunię (9). W kłopotach procesowych do św. Franciszka Ksawerego *decemdia* odprawiał, modlił się do najświętszej Panny w Mińsku (10), rozsyłał pieniądze na klasztory i na szpitale (11), częste czynił spowiedzie, jałmużny i na trycezymy dawał (12), w kościele bernardynów w Warszawie „bardzo rzewnie, niemal z ryczeniem przed najświętszą Panną płakał, oddając się jej opiece i prosząc o konkluzę pomyślną“ (13). Pragnąc dla partyi swojej na sejmiku dobry pozyskać sukces „dał na trycezymę na mszę świętą za duszę zmarłych, spowiadał się, wotywy przed św. Antonim ze śpiewaniem: *si quaeris miracula* słuchał i na szpitalu sypał jałmużny“ (14). Inną razą co miał monety posłał franciszkanom do św. Antoniego na msze święte i na *si quaeris miracula* „aby za intencją tego wielkiego świętego patrona... nie przyznał się do tego z bojaźni, w czem nie był winien“ (15); to znowu „przez nabożeństwa, jałmużny i dawanie na trycezymy na ratunek dusz zmarłych“ chciał się dowiedzieć, do jakiego politycznego ma przystąpić stronnictwa (16). Podczas pożaru wzywano protekcji św. Floryana, przy ciężkich porodach św. Tadeusza, *in desperatis* patrona (17).

Nie zapominano o formach religijnych nawet przy wymiarze przestępstwa. Głębokość salin wielickich równa się prześpiewaniu godzin o nie-

(1) Kubala. Szkice historyczne. II. 312. (2) Pamiętniki Matuszewicza. III. 160. (3) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 173. (4) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 72. (5) Pamiętniki Paska, str. 41. (6) Tamże, str. 6. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 76. (8) Tamże, I. 278. (9) Pamiętniki Matuszewicza, II. 99. (10) Tamże, II. 148. (11) Tamże, II. 165. (12) Tamże, II. 262. (13) Tamże, II. 274. (14) Tamże, III. 23. (15) Tamże, III. 192. (16) Tamże, IV. 215. (17) Dyaryusz Szyrmy.

pokalanem poczęciu najświętszej Panny (1); głębokość studni lanckorońskiej powolnemu zmówieniu psalmu (2). Tem bardziej ze stanowiska formalizmu religijnego oceniano wartość człowieka. Porządnego dyssydenta charakteryzowano krótko: „człowiek rozumny, ale kalwin obrzydły“ (3); za to August III, choć miał pewne defekta („bez których żaden człowiek nie może być“), — ale był „pan prawowierny, przykładny, rzymski katolik, wcale nabożny, bo codziennie mszy świętej, klęcząc, słuchał, a potomstwo swoje liczne boskiej providencyi oddawał“ — no, i na katolicyzm nawracał Bryła (4). Gdy na elekcyi w r. 1764 rozprawiano o wyznaniu przyszłej królowej, — „niechby — mówiono, choć nie nabożną, ale przynajmniej katoliczką była królowa“ (5). Aspiracya powyższa najlepiej może charakteryzuje religijny czasów tamtych formalizm i dobrze tłómaczy pobudki, dla których nieustannie przeciwko dyssydentom toczono wojnę.

Gdy dzisiejszy papież Klemens — pisze Jewłaszewski — będąc jeszcze kardynałem, znajdował się u króla Stefana w Wilnie, — siedział: u stołu ks. Niedźwieckiego kanonika ze sługami kardynała, Włochami. Ci, gdy się dowiedzieli, że ewangelik, dziwowali się bardzo, jako mnie śmiały ksiądz kanonik na obiad do siebie wzywać; a kiedy on im przelożył, że u nas z tego względu żadnej nienawiści nie bywa i miłujemy się, jako z przyjaciółmi dobrymi, — chwalili to Włochi. Teraz (w początkach XVII stulecia) — ciągnie dalej ów autor — między różnemi wiarą ani już pytać o miłość, szczerłość i prawdziwe dobre zachowanie się... O! — pokrzykuje — dałby Bóg, aby łagodniejsze wieki nastać już mogły (6).

Nim owe łagodniejsze nastały wieki, przez ciężkie dyssydenci musieli przejść bicze.

Zalecali ojcowie w testamentach swym dzieciom wytrwałość w katolicyzmie, dla inowierstwa nienawiść. „Napominam was, dziatki moje — pisze Koniecpolski — najprzód przy wierze świętej katolickiej rzymskiej, w której ja umieram, abyscie mocno stojąc, heretyctwa i nowszych nauk, którekolwiek i jakimkolwiek sposobem się wnoszą, strzegli... Każdy masz się cieszyć, iż esz synem tej matki, t. j. kościoła powszechnego, który wszystkich świętych matką wspólną jest i na której łonie umrzeć szczęśliwsza rzecz jest, aniżeli się od początku urodzić, gdyż nigdy się nie uro-

(1) Pamiętniki Matuszewicza. III. 29. (2) Tamże, III. 31. (3) Historia pan. Jana Kazimierza I. 267. (4) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 120. (5) Tamże, IV. 290. (6) Pamiętnik Teodora Jewłaszewskiego (1546—1604). Warszawa. 1860, str. 13.

żyć lepsza jest, aniżeli w tym kościele nie umrzeć“ (1). „Wnuku mój! pi-ze inny Koniecpolski w rodowodzie swojego domu; to było w pradziadach woich, że byli, żal się Boże! ewangelikami...“ (2). Dzieci zalecenia ojców pełniły ściśle i nienawiść ku dyssydentom prezentowały rzetelnie. „Wy-choź — woła Kochowski w B a n d o n a a r y a n y, s e j m e m w a r-za wskim z korony polskiej wywołane — swacho Babi-
onu, nierządniczo wszeteczna, sarmackiego mólu tronu, ojczyzny hańbo wieczna! Fora z dwora, precz z korony, atejska bezbożności, któraś przez swój jad szalony matki gryzła wnętrzności“ (3). „Ateistowie, dyabli syno-wie... psi niecnotliwi“ — nuci znowu Potocki (4). Ileż razy na sejmach żądała szlachta, żeby heretykom „dóbr, ani urzędów nie dawać“ (5), z se-natu rugować (6) i wreszcie — „wykorzenie w ojczyźnie“. Jakoż usuwano niekatolików z urzędów; za namową księży (7) tamowano im na sejmach swobodę głosu, nie pozwalano zasiadać na sądach. W r. 1648 upominali się dyssydenci o krzywdę Niemiryca, że go, jako arianina, niedopuszczono do podkomorstwa w województwie kijowskiem (8); w r. 1748 domagano się, żeby generalnego dyrektora poczt w rzeczypospolitej, jako „dyssydenta *in religione*“ zrzucić z urzędu (9). Na sejmie z r. 1718 krzyknęli Mazurowie i Litwa, jako poseł Piotrowski „nie może mieć głosu w państwie katolic-kiem, ponieważ jest sektarz“ (10); w r. 1717 siedmiu deputatów dla różnicy w religii opuścić musiało trybunał (11). W punktach ugody z Kozakami w r. 1648 i w umowie hadziackiej zastrzeżono, aby w projektowanych aka-demiach: kijowskiej i litewskiej „żadnych sekt: arianskiej, kalwińskiej, luterskiej profesorów, mistrzów i studentów nie było“ (12). Obawiano się, żeby obecność dyssydentów nie wywołała gniewu bożego i nie naraziła kraju na klęski. Więc Zygmunt III polecał hetmanowi Koniecpolskiemu „aby w obozie polskim nie było protestanckich ministrów, a nawet w mie-ście, pod którem wojsko blisko leży obozem“. Gdy hetman odpowiedział: „moja rzecz w obozach, a nie w miastach, — zwłaszcza z strony religii, co

(1) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 221. (2) Tamże, str. 188. (3) Kochow-ski. Liryka polskie, str. 109. (4) Potocki. Wety parnaskie (przy W o j n i e c h o c i m s k i e j, wyd. Lewentala, Warszawa, 1880, str. 418). (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 134. (6) Tamże, str. 163. (7) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, 347. (8) Historia pan. Ja-na Kazimierza. I. 16. (9) Pamiętniki Matuszewicza. I. 194. (10) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 347. (11) Pamiętniki Zawiszy, str. 347. (12) Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza. Warszawa, 1853. I. 12 i 21.

mi nie jest do ręki podano“,—rząd czynić,— król jegomość niezadowolnienia swego utaić nie mógł (1). Podczas oblężenia w Zbarażu, kalwińskich predykantów, że w namiocie śpiewali, żołnierze katoliccy, tumult zrobiwszy, chcieli rozsiekać (2). W r. 1750 Warszawa poraz pierwszy ujrzała pogrzeb luterski, za który oficyał warszawski, Grzegorzewski, za wpływem pobożnej żony Augusta III złożony został z urzędu (3). Wypędzenie z kraju „obrzydłej i szalonej“ sekty arianów (4), proces Łyszczyńskiego, rzeź wileńska z r. 1682 (5), sprawa święto-michalska, toruńska i t. p.; konstytucye z r. 1717 i 1733 — o prawowierności katolickiej, a nienawiści herezyi, świadczą wymownie.

Ku wyłącznemu panowaniu katolicyzmu pobożnie wzdychano, jak Otwinowski, który na łonie prawdziwej wiary pragnął mieć Szwedów (6); nęcono do niego dygnitarstwami, jak np. krajczego Ogińskiego (7); byli i tacy — jak sędzia lubelski, Jan Koniecpolski, — którzy teologiczne z herezykami toczyli spory (8). Zabiegi obfity wydały owoc. Katolicyzm pozyskiwał obok pomniejszych rodziny takie, jak: Tomickich, Opalińskich, Chrapowickich, Koniecpolskich, Leszczyńskich i Górków (9).

Ludzie tych czasów o religijnych zasługach swoich przeświadczenie mieli najlepsze i nie taili bynajmniej, że więcej nad powinność czynili niekiedy dla Boga. Koniecpolski nie bez jawnej chępliwości w testamencie powiada: „uczyniłem ja za pomocą najwyższego Boga dosyć, nie z samej tylko powinności, ale z należytej odemnie ku wywyższeniu nierozdzielnej w Bóstwie imienia Trójcy przenaświętszej ochoty“ (10). Nie dziw, że ludziom, którzy woleli „na sto kul flintowych iść, aniżeli na jedną różańcową paciórkę“ (11) i którzy o nadmiarze swych zasług twierdzić mogli tak śmiało, — nie szczędził Pan Bóg dobrodziejstw; niedziw, że ich zdolności cudotwórstwa obdarzał. Wszakże Stanisław z Bogusławic Sierakowski — opat świętokrzyski, († 1662) „jeszcze żyjący“ modlitwami wielu chorych

(1) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 103 i 104. (2) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 65. (3) Kitowicz. Pamiętniki do panowania Augusta III. T. I, str. 41 i 42. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 349. (5) Pamiętnik Jana Cedrowskiego (Balińskiego) Pamiętniki, str. 152. (6) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 316. (7) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 139. (8) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 189. (9) Łukaszewicz. Wiadomość historyczna o dyssydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku. Poznań, 1832, str. 106. Dyaryusz Chrapowickiego, str. 4, 27, 51. Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 187. (10) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 378. (11) Pamiętnik Matuszewicza. IV. 5.

uzdrowił (1); pani Pstrokońska, pacierzami karmiona i postem, krzyżem świętym rozpędzała nawałnice i chmury (2).

II.

Tłumaczenie zjawisk. Fakt poprzedza przepowiednia lub prognostyk z zachowania się zwierząt, ptactwa, owadów. Pożary, pioruny i głód. Komety i zaćmienia, astrologia i wróżby. Dni feralne i sny. Teologiczne objaśnianie wypadków politycznych, spraw życia codziennego i zjawisk przyrody. Oprócz Boga na losy człowieka wpływa szatan. Prześladowanie czarów i dyabła. Dziwy z nieboszczykami i okazywanie się duchów.

Cudownością karmiona myśl ojców lekko w nadprzyrodzone unosiła się sfery i ku objaśnieniu otaczających człowieka zjawisk obfite znajdowała tam źródło. Bez analizy, za pomocą kilku teologicznych formuł, potrafili ludzie tych czasów przeniknąć naturę każdego faktu, z łatwością umieli objaśnić wszystko, przewidzieć nawet tajemnicę przyszłości. Ku ich pomocy lub trwodze zjawiały się od czasu do czasu indywidua, duchem obdarzone proroczym; oznajmiały o mającym nastąpić fakcie prognoptyki różne i sny; — słowem Pan Bóg o woli swojej, czy to przez zaznaczenie takowej na kartach tajemniczej księgi przyrody, czy za pomocą bezpośrednich objawień i wizyi, najskrupulatniej ludzi uprzedzał.

W Assyżu franciszkanin, Józef de Copertino, po dwakroć Janowi Kazimierzowi przepowiadał przyszłość i pomyłki nie robił (3); niejaki Kobylński „przewieszczał, że Tatarowie wpadną do Polski, co i skutek pokazał“; w r. 1668 zawsze widywał we śnie „św. Wojciecha w ubiorze kapłańskim, objawiającego, że gdy zgodnie sejm odprawowany nie będzie, — pewna zguba narodu czeka“ (4). Klęskę batowską przepowiadał człek jakiś „czyli też szatan“, w Ledyżynie nad Bohem siedzący w grocie. „Idźcie co prędzej powiedzieć hetmanowi — mówił — aby się z tego kraju umknął, albo też miał się na ostrożności, bo przychodzi szalony pijak, który mu brodę ogolić chce; obawiać się trzeba, żeby ta brzytew, ostra bardzo, głowy razem z brodą nie zdjęła“ (5). Włóczył się po kraju za Augusta III

(1) Historia pan. Jana Kazimierza II. 174. (2) Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, str. 29. (3) Historia pan. Jana Kazimierza II. 487. (4) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 13. (5) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 150.

wózkiem, zaprzężonym w kozy, niejaki Komornicki i, mając się za świętego proroka, przepowiadał pospólstwu i obywatelstwu dopóty, aż mu biskup kamieniecki zagroził więzieniem (1). Zakonnicy częstochowscy wielkanoc z r. 1655, w rubryceli dla dyecezyi krakowskiej nazwaną *Dominica resurrectionis et victoriae*, mieli za wróżbę zwycięstwa nad Szwedem (2); przepowiednią klęsk Karola XII pleban średzki w archiwum swego kościoła spisana znalazł na kartce: *Frustra petendo Poloniam, recto perdes Livoniam, brevi conculcaberis, amplius non audiet te Pomerania, plorabit super te Succia; o miser Carole! quo vadis, peribis.* „To wszystko — powiada Otwinowski — spełniło się na królu szwedzkim, bo całkiem stracił, co był Gustaw Adolf, naddziad jego, w Niemczech i Infantach sąsiadom powydzierał i Pomeranii całej postradał“ (3).

Był to „zły znak“, że przed potrzebą batowską pod chorążym hetmana Kalinowskiego koń się wyrwał, a chorągiew padła na ziemię (4); że na pogrzebie hetmana Koniecpolskiego rumak, na którym rycerz dla kruszenia kopii wjechał, przeląkł się i ludzi potłukł. „Było takich niemało, którzy *curiose* w rzeczy wglądając, owo zamieszanie kościelne, przez strwożonego konia uczynione, *sinistre* tłómaczyli, wróżąc pewną a prędką w odczyźnie naszej konfuzyę“ (5). Padł koń pod Rakoczym, gdy na wojnę wyjeżdżał do Polski (6); miotał się, wierzgał i dół na dziedzińcu wygrzebał, gdy się Tarło na pojedynek z Poniatowskim wybierał. Były to „złe omnia, a raczej przestrogi boskie“. Mówiono Tarle: „oto koń miotaniem swoim nadzwyczajnem i dołem wykopanym przestrzega, że zginiesz“ (7).

W obozie pod Cudnowem „rzecz dziwna stała się: orzeł wielki z pierściami gołemi i chudy, z obozu moskiewskiego wyrwawszy się, do naszego przyleciał, potem, do tatarskiego kosza odleciawszy, krążył wokoło. Złapano od Tatarów, nogi i szpony długie miał i skrzydła miał do latania silne, ale dużo zgłodniały był. Był to prognostyk, który wnet się odkrył, bo za tym orłem dwóch z obozu moskiewskiego do naszego przybyło o pokój, miłosierdzia upraszając“ (8). Zapowiedzią zwycięstwa Lubomirskiego pod Częstochową w r. 1665 były kruki i wrony, wieszające się wśród krakań

(1) Moszczyński. Pamiętnik do Historji polskiej, str. 19. (2) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 125. (3) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 354. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 146. (5) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 299. (6) Pamiętniki Paska, str. 4. (7) Pamiętniki Matuszewicza. I. 150. Kitowicz. Pamiętniki do pan. Augusta III. T. I. str. 17. (8) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 104.

nad królewskimi i Litwą (1); gołębica biała, krążąca nad polem podczas elekcji w r. 1669, wróżyła obiór dobrego, lecz krótko mającego panować monarchę (2). Za znak znamienitego szczęścia uważał Pasek, gdy trznadel, u drzwi namiotu jego uslawszy gniazdo, zniósł jaja i wysiedział pisklęta (3); za niedobry Matuszewicz poczytywał prognostyk, że przez jego kolaskę „jastrząb skowronka uganiał, dopędził i porwał“ (4).

Podczas wotowania na króla Michała rój pszczół, nadciągnąwszy od wschodu, do jednej chorągwi województwa łęczyckiego przyleciał i upadł. Ksiądz pleban z Woli dobrą zapowiadał ztąd przyszłość, a poeta do nakreślenia takiego wiersza wziął asumpt: „Rój ten szczęśliwą wróżbą potwierdza nasz wybór; wróży dobrego króla, oraz złote czasy; bo gdy lgną skrzętnie pszczoły do tego imienia, twój król Michał, Lechijo, miód tobie przynosi“ (5).

Za zły uważano prognostyk pożar zamku w Krakowie w r. 1649 (6) i uderzenie na chorągiew piechoty pioruna, który „nrwawszy drzewa szmat, na warcie stojącego żołnierza zabił“ (7); za przepowiednię śmierci Jana III miano zgorzenie w dzień Młodzianków w r. 1695 pałacu kaźmierskiego, w którym mieszkał królewicz Jakób (8). Były wróżby i klęsk Karola XII, jak: głód w Szwecji w tym roku, w którym zasiadł na tronie, zgorzenie pałacu królewskiego w Sztokholmie, uderzenie gromu w Wismarze i t. p. (9).

Ważniejsze, niż gaśnięcie świec w kościele (10) lub odesłanie przez Jana Kazimierza kapelusza kardynalskiego do Rzymu (11), zapowiadały wypadki komety, „na podmiesięcznych sferach zapalone gniewu bożego pochodnie, nigdy bez uszczerbku nie świecące królestwom“ (12), oraz zaćmienia.

Kometa, która się pokazała d. 3 października 1604 r., a trwała do początku r. 1605, połowę świata wielkiej nabawiła trwogi, w przekonaniu

(1) Tamże, II. 356. (2) Kochowski. Roczników Polski klimakter IV. Lipsk, 1853, str. 11. (3) Pamiętniki Paska, str. 55. (4) Pamiętniki Matuszewieca. IV. 241. (5) Kochowski. Klimakter IV, str. 30. Chrapowicki, str. 131 i 132. (6) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 39. (7) Tamże, I. 54. (8) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 2. (9) Tamże, str. 355. (10) Pamiętniki Matuszewieca. I. 150. (11) Dyaryusz K. F. Obuchowicza. (Balińskiego Pamiętniki, str. 17). (12) Kochowski. Psalmodya polska. Wyd. Turowskiego, str. 36.

zaś astrologów krakowskich nieomylnie klęską wróżyła publiczną (1); inna, z r. 1618 „wprzód osmańskim wtargnięciem a naostatek powietrzem morowem niepomalu utrapiła Polaków“ (2). Gdy w r. 1648 Chmielnicki stanął pod Zamościem, ukazał się „nad miastem smok wielki ognisty, który, ogon swój w gębę wzięwszy, po kilku godzinach zgasł“ (3); w tymże roku nad zamkiem krakowskim pomiędzy obłokami wystąpił krzyż, w który niby z łuku godziły dwie strzały. „Jedna mimo poszła, druga w krzyż uderzyła, potem człowiek w zbroi, z dobytym pałaszem czyli orężem wystąpił... Co się tłómaczyło śmierć króla Władysława, a potem zniesienie hetmanów przez Kozaków pod Korsuniem“ (4). Z powodu komety w r. 1654 „przyszłej nieszczęśliwości w ojczyźnie wszystkie były *peragra*“ (5). W roku 1664 „straszny i wielki kometa, przez kilka miesięcy trwając, oczom ludzkim swoją groźną srogością i im dłużej trwał, tem bardziej serca struchlałe trwożył, wróżąc skutki niedobre, które nastąpiły niebawem“ (6). W roku następnym d. 9 lipca podczas rokoszu Lubomirskiego „ukazały się na niebie dwa słupy w samo południe, świetne promienie po niebie roznosząc; w pół godziny, zszedłszy się do kupy, chorągiew z dwoma ogonami reprezentowały, pokazując nadchodzącej klęski prognostyk“ (7). Takież wrażenie czyniły zjawiska: w r. 1680 (8), krzyż z mieczem i trzy słupy na powietrzu w r. 1699 (9), trzy księżycy w r. 1701 (10), w r. 1721 trzy kolumny, z hukiem ścierające się z sobą i trzy słońca na niebie (11). W roku 1744 „gwiazda wielka, ogromności księżycy w pełni, z ogonem, nakształt miotły szerokim i długim“ nabawiała niemalej trwogi. „Jedni prawili, iż kto się tej gwiazdzie przypatruje, ten roku nie dożyje; drudzy, że któryś monarcha europejski umrze; inni, że będzie głód; inni, że powietrze; inni, że wojna“. Okazała się w rezultacie zaraza na bydło, przez lat kilkanaście wszczynająca się ciągle (12). Podobną rolę odgrywały zaćmienia: dnia 24 marca 1652 r. księżycy, we dwa tygodnie potem słońca (13); w r. 1666 jedno

(1) Siarczyński. Obraz wieku panowania Zygmunta III. Poznań, 1843. T. I. 44.
(2) Latopisiec Jerlicza. I 34. (3) Tamże, I. 71. (4) Tamże, I. 72. (5) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 187. (6) Pamiętniki Paska, str. 169. Latopisiec Jerlicza II. 95. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 349. Latopisiec Jerlicza. II. 99. (8) Kochowski. Psalmodya polska, str. 36. (9) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 188. (10) Pamiętniki Wawrzyńca Rakowskiego (1701—1711). Żytomierz, 1860, str. 150. (11) Pamiętniki Zawiszy, str. 359. (12) Kitowicz. Pamiętniki do pan. Augusta III. T. I. str. 7 i 8. Pamiętniki Matuszewicza I. 148. (13) Kubala. Szkice historyczne. II. 168.

słoneczne, a dwa miesięczne (1); d. 23 września 1699 r. słoneczne (2). Zapowiadały one karę bożą, to intencję powstrzymania ludzi od złego, „aby za niezwykłymi obrotów niebieskich praktykami mogła się reflektować zawziętość na krew braterską, niebieskich postrachów przerażona cudami“ (3).

Z komet i zaćmień astrologowie „różne czynili konjektury:“ przepowiadali wojny, zniszczenia i głód, powietrze, drożyznę, pożary, powodzie i burze (4). Podczas wygnania swego na Szląsku kazał Jan Kazimierz wraz z senatorami prognostykować matematykom, jak długo trwać będzie nieszczęście. Astrolog Mikołaj Żórawski „erygował figurę, ale onej nie klarygował“, za usilnem naleganiem dopiero powiedział: „odzyskasz wasza królewska mość państwo, ale nie umrzesz w Polsce, ani królem...“ (5). Sprawdziła się „predykacya z uszykowanej konstelacyi uczyniona“, że Kazimierz, wypędzony od Szwedów, państwo odzyska, ale za granicą zakończy życie (6). Awanturnik włoski, Fornika, przepowiadał Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, że skronie jego ozdobi korona, z powodu czego ambitna matka sposobiła syna prosto do tronu (7). Przy przyjściu na świat każdego dziecka skrupulatnie notowali ojcowie, pod jakim urodziło się znakiem. „Dnia szóstego *Decembris* przededniem godzin dwiema i *pro die Festi s. Nicolai episcopi*. który był niedzielny, pod znakiem barana, pod aspektami czerwonymi wszystkimi, a słońce było *in capri cornu*, dał Pan Bóg syna“ (8); drugi syn „o godzinie wtórej z południa, pod znakiem kozierozca, aspektami czerwonymi wszystkimi, a słońce było *in tauro*“ (9). Dnia 26 października, dniem pod wagami“ (10); to znowu „pod kozierozcem w dzień ryb“ (11), albo „pod zodyakiem ryb, a dzień pod strzelcem“ (12).

Oprócz fachowych astrologów i kalendarzy, odsłaniali tajemnice i zwyczajni wróżbici. „Mieszkał w Wilnie — powiada Matuszewicz—jeden pasamanik, Niemiec, wielki chiromancista, który umiał skarby odkrywać i wielkiej był eksperyencyi... Pokojowym Sapiehy z rąk wyczytał, że panu ukradli szkatułkę i przepowiedział, że wprędce obaj obwieszeni będą i że jeden z nich urwie się od szubienicy i żywym zostanie. Miał ten pasa-

(1) Latopisiec Jerlicza. II. 109. (2) Pamiętniki Zawiszy, str. 362. (3) Historia pan. Jana Kazimierza II. 312. (4) Tamże, I. 151. (5) Tamże, I. 234. (6) Tamże, II. 488. (7) Materiały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III. Lwów, 1857. I. 10. (8) Dyaryusz Szyrmy. (9) Tamże. (10) Pamiętniki Rakowskiego, str. 25. (11) Tamże, str. 43 i 47. (12) Tamże, str. 121.

manik chiromancista *virgam coryli*, t. j. różeczkę laskową widelkowatą, z którą chodził, za obadwa końce w obudwu rękach trzymając. Przyszedł na jedno miejsce, nad którym się owa różeczka zaczęła ku ziemi w rękę wykręcać i powiedział, że tam są minerały. Dawał każdemu też różeczkę trzymać, każdemu się z rąk wykręcała. Narobił potem świeczek łojowych, które przytykał na temże miejscu do ziemi, a gdy mu gasły, powiedział, że teraz nie można tego skarbu wykopywać, aż trzeba do kilku niedziel czekać planety Saturna. Przytem powiedział, że nie każdy może skarb pod tym planetą wykopać, ale potrzeba, żeby jego planeta albo horoskop był do wykopania skarbów szczęśliwy...“ (1) Szlachta chiromancistę owego do odszukiwania skarbów wzywała, zarówno jak cyganki, które kazały na miejscu wskazanem zabijać dzieci lub kury (2).

Dni feralne czyli „krytyczne“, jak 13,19 i t. p. wywoływały pomiędzy ludźmi nieporozumienia i kłótnię (3); nie pozwalały nic zabić na łowach (co zapisywano *pro memoria* myśliwym) i na różne narażały przykrości (4); sny znowu uprzedzały o wypadkach dość ważnych, zdefiniowanych i bliskich.

Śpiącemu podczas nabożeństwa Michałowi Wiśniowieckiemu pokazał się wymalowany św. Andrzej męczennik, przepowiadał mu rychłe otrzymanie korony i ku stwierdzeniu wróżby włożył na głowę księcia własny swój wieniec (5). „Śnił mi się ojciec mój — pisze Matuszewicz; dał mi niewielki fascykuł papierów, dokumentów starych i obrazek św. Antoniego, na ćwiartce wielkiego papieru piórkiem rysowany. Dając ojciec te dokumenta, rzekł: naści te papiery, będą ci potrzebne. Wyśnił mi się po roku ten sen, bo gdy mieliśmy sprawę, tedy ja szukałem papierów, imieniowi naszemu służących i, tychże dokumentów szukając, znalazłem obrazek, piórkiem rysowany św. Antoniego takż, jaki mi przez sen dał ojciec“ (6). „Śniło mi się dwiema niedzielami przed przypadnieniem sprawy mojej — pisze tenże Matuszewicz — jakoby na czólnie dobrem płynął jakimciś kanałem szerokim i głębokim, wodą bardzo bystrą i jakoby miał pod pachami dwa wiosła. W tem jakoby mi coś obydwu wiosła z pod pach wyrwało i już bez żadnego płynąłem. Potem niby nadpłynęła laska marszałkowska, ale mizerna bardzo, pokrzywiona, sękowata, sosnowa i cienka, którą laskę wzięwszy, zacząłem nią robić, jak wiosłem. Tymczasem ów

(1) Pamiętnika Matuszewicza. II. 14. (2) Tamże II. 15. (3) Pamiętniki Zawiszy, str. 59. (4) Dyaryusz Szyrmy. (5) Kochowski. Klimakter IV, str. 31. (6) Pamiętniki Matuszewicza. II, 32.

mój człen nowy i dobry zrobił się starym i bardzo ciekącym tak dalece, że zaczął tonąć. Aliści najświętsza Panna porwała mnie za ramię i, wyrwawszy z wody, posadziła na jakiejś łące pięknej, nad brzegiem kanału. Sen powyższy Matuszewiczowi ze wszystkim się ziścił, jak bowiem z początku szczęśliwie płynął i sprawę w Mińsku wygrał, to w trybunale, za laski księcia miecznika, interes jego stanął najgorzej i tylko dzięki najświętszej Pannie obrót przyjął szczęśliwszy (1). Inną razą śniło mu się, że złapał gołębia bardzo wielkiego, bardzo białego, ale bardzo chudego. Urodził mu się wkrótce „synaczek bardzo mizerny, zaledwo do żyjącego podobny, czarny i żółty. Ofiarowała go matka najświętszej Pannie: dziecię nietylko żyło, ale coraz lepiej mieć się zaczynało, a wielką po sobie pokazywało dobroć.“ Więc się sen ów o złapanym gołębiu wielkim bardzo białym i chudym sprawdził zupełnie (2), podobnie jak inny, że bratowa jego, przez próg przechodząc, dostała krwotoku i zmarła (3). Nawiedzały ludzi i wizye, odzwierciadlające wyłącznie egzaltację religijną, rozwiniętą pod wpływem praktyk nabożnych i modłów. „W sam dzień św. Szczepana — pisze kupiec krakowski z XVII stulecia — miałem sen, jakoby nie w mieszkaniu, ale gdzieś wysoko pod niebem leżał. Patrząc w górę, widzę niebo wypogodzone, ptactwo przelatujące i czuję powietrze wiosniane... Znowu w kilka tygodni śniło mi się, że wszedł do jakiegoś przestronnego gmachu i zobaczyłem za stołem siedzącego starca, — osobę poważną z siwą długą brodą, a obok niego miluchne chłopiątko. Z czegom się bardzo cieszył, alem się zaś frasował, że trzeciej osoby, t. j. najświętszej Panny nie widział“ (4).

Sam fakt, czy to natury publicznej, czy posiadający charakter czysto prywatny; doniosły, czy znaczenia małego, — podobnie, jak prognostyk, nadprzyrodzone zawsze miał źródło i teologicznemu tylko objaśnieniu podlegał. Ile razy gromada przystępowała do akcji i działała coś zgodnie, obecny był tam Duch święty. Za jego to sprawą „tak wielu zgromadzonych, a różnych strojem, humorami i wiarą“ okrzykiwało monarchę (5); darem Ducha świętego był obiór marszałka sejmikowego (6), zawarcie z nieprzyjacielem pokoju i t. p. Do tego stopnia nie przypuszczano w tego rodzaju akcyach wpływu czynników innych, że gdy za życia Jana

(1) Tamże. II. 149. (2) Tamże. III, str. 14 i 16. (3) Tamże. IV. 23. (4) Kubala. Szkice historyczne. II. 313. (5) Historia pan. Jana Kazimierza I. 21. (6) Tamże, I. 154.

Kazimierza postanowiono wybrać następcę, poczytywano ten zamiar za niemożliwy zgoła, bo przeciwny naturze. „Na sejmie z r. 1661 wszyscy nadstawiali ucha, jaki to dziw, że król Polakom miał się z głowy urodzić“ (1); „dowcip ludzki chciał wystawić króla, którego sama tylko moc boża daje, zwabiwszy na elekcyę niezliczone gromady i na jednego skłaniając zgodę“ (2). W innych wypadkach działał sam Pan Bóg, Matka boska lub święci. Za Jana Kazimierza „królestwo polskie z tryumfem wypędziło nieprzyjaciół, niosąc prawdziwej Opatrzności boskiej hieroglifikę, iż niesfornych Polaków ona tylko utrzymuje i broni“ (3). Król „na pomocy wszechmocnego Boga i Panny przenaświętszej fundując się bardziej, niż na ludzkich sukcesach, powrót swój do królestwa Opatrzności boskiej przypisywał;zywając Boga i Panny przeczystej, konfederacyę uczynił z niebem, na upodobanie i dyspozycyę boską poruczając się całkiem“ (4). Podobnie Pan Bóg „eliberował lud swój“ za panowania Augusta II, „bo w takie nieszczęścia uwikłaną była ojczyzna, że się to nie zdało rozumem ludzkim, aby naturalnemi sposobami przyjść miała do swego bytu i zostać w całości“ (5). Widomie Pan Bóg ujawniał swoją dla narodu polskiego sympatyę, gdy podczas bitwy pod Beresteczkiem zasiadł w obłokach na złotym tronie w otoczeniu aniołów z koroną i mieczem, a opodal, w chmurach, ogród i napis w środku złotemi literami umieścił: *salvator mundi*; widomie i Matka boska ojcom naszym sprzyjała, skoro obozy polskie nakrywała swym płaszczem (6) i wielokrotnie orężowi naszemu zapewniała zwycięstwo. Najświętszej Pannie zawdzięczał oblężony w Moskwie Gosiewski, że w dniu pewnym stracił ludzi tylko dwudziestu, gdy się spodziewał „tysiącami głową nalożyć“ (7); zwycięstwo pod Zborowem przypisywał Jan Kazimierz obrazowi Panny przeczystej z klasztoru bełskiego bazylianów, „przed którym w nocy, krzyżem leżąc, modlił się, aby obronicielka królestwa polskiego z toni wyprowadziła ojczyznę“ (8); „wiktoryę pod Beresteczkiem otrzymał król przez łaskę bożą i przyczynę Panny przenaświętszej, której obraz cudowny miał przy sobie z Chełma wzięty, z monasteru ojców bazylianów, unitów“ (9); Stanisław Maciej Rzewuski, w bitwie pod Podhajcami otoczony przez Tatarów, oddał się z chorągwią pod opiekę Matki boskiej

(1) Tamże. II. 117. (2) Tamże. II. 110. (3) Tamże. I. 216. (4) Tamże I. 291. (5) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 339. (6) Kubala. Szkice historyczne. I. 243. (7) Marchoeki. Historia wojny moskiewskiej. Poznań, 1841, str. 139. (8) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 87. (9) Dyaryusz K. F. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 34).

ile możności mojej być mogło, a tak za miłosierdziem boskiem zacząłem mieć w województwie afekt i łaskę“ (1).

W klęskach publicznych i nieszczęściach prywatnych upatrywano karę za grzechy. „Za grzechy nasze dopuścił Pan Bóg“ w r. 1648 śmierć Władysława IV i wojnę z Chmielnickim (2); z powodu grzesznego ożenienia się Jana Kazimierza z wdową po bracie „doznała Polska różnych wojen i plagi“ (3). Karol XII zagarnął kraj nasz, bo „Pan Bóg chciał skarać Polaków za grzechy, rozum im odjął, że sami leżeli w kajdany“ (4). Za jawne cudzołóstwo miał August II 16 marca 1704 r. „wielką klęskę w bogactwach i ludziach przez pożar“ (5); że krzywo zaprzysiął na *pacta conventa*, — poniósł klęskę od Szweda i musiał „altranszadzkiem trakta-tem akceptować prawie niepodobne rzeczy z wielkim wstydem i szkodą“ (6). Za profanację „świątnic“ i naczyń kościelnych skarał Pan Bóg Karola XII, „że sam po bicz poszedł do Moskwy“ (7). Skarał Pan Bóg Ogińskiego, że, będąc w podróży, w dzień Bożego Narodzenia nie chciał mszy słuchać (8); Matuszewicz za zaniedbanie nabożeństwa „pisząc dwa listy ważne, w odwrotne je włożył koperty“ (9). Ojcowie jezuici za przymuszanie piwowara do warzenia miodu w „babskie święto“, t. j. w dzień św. Anny, nawiedzeni zostali pożarem (10); małżeństwu, przeklinającemu się wzajemnie i nadaremnie wzywającemu imienia Boga, rodzi się potwór (11). Wysilona w jednym kierunku fantazyja intencją boską w najniewinniejszych, przypadkowej czysto natury podejrzywała zdarzeniach. Nic dziwnego, że zastanawiała śmierć Jana III, zaszła w dzień obioru na króla (12); lecz niepospolitej trzeba było inwencji, żeby palec boży dopatrzeć w uwiezieniu wojewody ruskiego Jabłonowskiego z tego pokoju, w którym ojca podczas elekcyi namówił na stronę Augusta i w tym dniu, w którym, zapraszając króla do Polski, wyjechał z Warszawy (13); lub żeby w pogromie Karola XII przez cara Piotra widzieć karę za grzechy, popełnione przeciwko Piotrowi rzymskiemu (14). Objasniano wprawdzie te fakta filozoficzną

(1) Tamże. I. 88. (2) Dyaryusz F. K. Obuchowicza (Balińskiego Pamiętniki, str. 18). Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik (1655—1660), wyd. Wojcieckiego. Warszawa, 1852 r. str. 184. (3) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 40. (4) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 62. (5) Pamiętniki Zawiszy, str. 228. (6) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 339. (7) Tamże, str. 113 i 340. (8) Pamiętniki Matuszewicza. I. 202. (9) Tamże, II. 9. (10) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 359. (11) Latopisiec Jerlicza, II. 139. (12) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 1. (13) Tamże, str. 213. (14) Tamże, str. 131.

zasadą: *respondent ultima primis*; właściwie jednak wmawiano w poważnego Boga koncepta, jakie się tylko w głowie bardzo wesołej kabalarki mogły urodzić.

Zresztą, zjawiska przyrodnicze, pozbawione cech prognostyku lub kary i niemające na losy człowieka wpływu, teologicznie również objaśniano, jak wszystko. „Za miłosierdziem boskiem, przy opiece Bogarodzicy, pod której imieniem zbudowany sieciechowski kościół i za przyczyną św. Benedykta „Wisła pod Sieciechowem zmieniła swoje koryto“ (1); mogiła Wandy dla tego „jest w pół zielona, a na połowie żadna trawa nie rośnie“, bo jako królowa owa „poganką była, tak w pół trawa nie rośnie; a jako dziewictwo konserwując, bogom się ofiarowała i, z mostu w Krakowie w Wisłę wskoczywszy, utopiła się,—tak dla jej dziewictwa ofiary trawa w pół rośnie“ (2).

Oprócz królującego nad światem Boga, na losy człowieka wpływały złe duchy,—upadli aniołowie, posiadający siłę olbrzymią i rozum, czyhający na nieszczęście ludzkie na ziemi i męczarnie duszy za grobem. Dla osiągnięcia swych celów chętnie ofiarowali usługi ludziom, gotowym z nimi współdziałać, — czarownikom i czarownicom, siejącym na ziemi utrapienia i klęski. „Czary—według ogłoszonej w r. 1701 broszury p. t. Czarownica powołana — jestto sposób pewny albo nauka, jak broić i dokazować dziwnych rzeczy przez pewne znaki albo hasła z pomocą szatańską, które to znaki albo hasła, jako i wszystka ta nauka bezecna czarostwa, postanowiona i podana od dyabła.“ Poważnie brano peregrynacye niewiast starych na łopatach lub miotłach; nie wątpiono o umiejętności czarownic przenoszenia nabrału z miejsca na miejsce; przyrządzania mlecznych trunków, zażegnywania i odżegnywania uroków (3) i o rozlicznych, zdziałanych przez nie klęskach i figlach. Przez czary nieprzyjaciele chcieli Jewłaszewskiemu zamącić miłe pożycie z żoną (4); czarom przypisywano śmierć hetmana Koniecpolskiego (5), Filona Tyszkiewicza (6) i Samuela Karola księcia Koreckiego, zmarłego w dzień ślubu (7). Szwedzki generał Würz „miał swoje z czarownikami konszachty i wróżby, jako Finom rzecz

(1) Ks. Gacki. Benedyktynski klasztor w Sieciechowie. Radom. 1872, str. 5. (2) Pamiętniki Matuszewicza. III. 26. (3) Siarczyński. Obraz wieku panowania Zygmunta III., T. I, str. 44—46. (4) Pamiętnik Jewłaszewskiego, str. 31. (5) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 303. (6) Pamiętnik Cedrowskiego (Balińskiego Pamiętniki, str. 145). (7) Przyłęcki. Pamiętniki o Koniecpolskich, str. 287. Historia pan. Jana Kazimierza. I. 106.

przyzwoita dyablami orać“ (1); gdy po kapitulacji opuszczał z wojskami Kraków, — szli za nim: aryanie, zdrajcy, zbiegowie, rabownicy i czarownicy (2). Bohdan Chmielnicki czarowników i czarownic używał, aby mu przyszłe wróżyli rzeczy (3); za czary uważano jedną ze zdobytch pod Beresteczkiem na Kozakach chorągwi, że zamiast wianka miała przyczepioną nad grotem skórę zajęczą (4); w r. 1707 Kozacy w województwie krakowskim „dziwnym sposobem, podobno czarami rzeczy, zachowanych w ziemi, od kilku lat tam leżących, dobywali“ (5). Podczas powietrza w r. 1667 „ludzi umarłych odkopywali, przypatrując się i doświadczając czarów... Trupy chusty na sobie — powiada Jerlicz — jedzą i krwi pełne: takim ucinają rydlem głowy i krew idzie, jako z żywego. Co na kilkunastu miejscach znaleziono, odkopując trupów w Dnbnie, Morawicy i indziej“ (6). Niekiedy miano wątpliwość, czyjemu wpływowi przypisać dany wypadek: „ledwom nie umarł — powiada Zawisza — czy z przepicia, czy też z uroków“ (7).

Autor broszury p. t. Czarownica powołana przeciwko czarom trzy gatunki podaje lekarstw: przyrodzone, duchowne albo kościelne, t. j. nadprzyrodzone i moralne, czyli pospolite. Pierwsze są nieskuteczne. czart bowiem, „będąc dobrym fizykiem, *applicando activa passivis* może snadnie moc i siłę lekarstw stępić“; wypada przeto „zażyć mądrego i bogobojnego egzorcyisty, nie natrętowskiego ale od zwierchności kościelnej wystawionego na to porządnie.“ Rolę egzorcyistów odgrywali zwyczajnie księża, używający kropidła, gromnic i kłatw. Na każdym odpuszcie widzieć było można opętanych, przeraźliwym krzyczących głosem i księży, kładących na nawiedzonych przez czarta relikwie lub kropiących święconą wodą (8). Gdy w r. 1652 od czarów ruskich połowa mieszkańców Korczyna, opętana przez dyabła, wrzeszcząc srodze, broiła dziwy, — ojcowie bernardyni „zakleli, aby tak nie wołali i około tych ludzi pracowali, uwalniając ich od czarów i pokus“ (9); podczas oblężenia Częstochowy jeden z paulinów przeciwko gusłom nieprzyjacielskim wezwał potęgi boskiej, zaćmione powietrze egzorcyizmami oczyścił i zabiegi czarodziejskie najeźdźcy usunął (10);

(1) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 313. (2) Tamże, I. 317. (3) Tamże, I. 41. (4) Kubala. Szkice historyczne. I. 290. (5) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 128. (6) Latopisiec Jerlicza. II. 115. (7) Pamiętniki Zawiszy, str. 66. (8) Moszezyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 15. (9) Kubala. Szkice historyczne. II. 155—168. (10) Kordecki. Nowa gigantomachia, str. 72.

żyto zawite ks. Kozielski, ślepy franciszkanin, spalił gromnicą (1). Byli i egzorcyci „niewystawieni od zwierzchności kościelnej porządnie:“ na kuracyi u takiego umarł w r. 1712 w Borunach w młodym wieku „nikczemie, jako najnędniejszy mizerak“, oczarowany, nasłanych szatanów pełen, ostatni z domu Karol Chodkiewicz (2).

Podjezrzanych o czary i stosunek z dyabłami pociągano przed sądy, torturowano i skazywano na śmierć, zwyczajnie przez spalenie na rozstajnych drogach. W r. 1625 sąd ławniczy miasta Kozienic wydaje wyrok na siedm czarownic, że były przyczyną ciągłej posuchy (3); w r. 1648 sąd turkowski na spalenie skazuje Annę Jedynaczkę i Annę Bogdanę, że „z szatanami przymierze poczyniły do złych uczynków“; w r. 1664 Agnieszkę Podgolankę, że „udała się do złych spraw i czartowskich konwersacyi z innymi towarzyszkami swemi; że na miejscu niezwyčajnem z duchami, majestatowi boskiemu przeciwnemi, zażywała biesiady i ludziom szkodziła na zdrowiu“ (4). Przyznawały się na torturach niewiasty, jako miksturą z mleka i utartych na proszek grzybków polewały cudze zagony; że przyrządzały dla młodzianów napój miłosny, a z liści, złożonych na krzyż, różnokolorowe robiły myszy (5). Niejakiemu Kaczanowskiemu, że się ożenił bogato, rodzina żony wytoczyła proces „o czary, za któremi się ożenił“ (6); w r. 1728 sądzono w Krakowie Kazimierza Kamińskiego, „że się był *cum anima* oddał czartowi i na to cyrograf krwią własną podpisał“. Ze względu na małoletność, zamiast kary śmierci kazano mu przez rok „*solemniter* nabożeństwa, różańce, spowiedzi odprawiać i siedmkroć pielgrzymować do miejsc świętych“; żeby zaś i ciało bez moryfikacyi nie było odłano mu przed aktem oczyszczenia pięćdziesiąt batów (7).

„Za dyspozycyą boską, czy za sprawą szatana“ z nieboszczykami nadzwyczajnie działy się dziwy. Podczas pogrzebu poległego pod Szklowem pułkownika Złotarenki „trup zaczął się ruszać, powstawać, jęczyć i straszyć... Podniósł z trumny ręce, z których poczęła krew płynąć i wołał: utykajcie!“ Opowiadał o tem w Warszawie w lat kilka Danjel Wyhowski (8), według zaś relacyi Jerlicza „ogień jako słup, z ołtarza pow-

(1) Dyaryusz Szyrmy. (2) Pamiętniki Zawiszy, str. 301. (3) Siarczyński. Obraz wieku panowania Zygmunta III. T. I, str. 44—46. (4) Milewski. Pamiętniki historyczne krajowe. Warszawa, 1848, str. 352 i 353. (5) Album uczącej się młodzieży polskiej, poświęcone Kraszewskiemu. Lwów, 1879, str. 485—500. (6) Pamiętniki Zawiszy, str. 211. (7) Biblioteka warszawska z r. 1844, t. II. 213. (8) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 204.

stawszy, ogarnął wszystkich, przy nabożeństwie będących i popalił, a cerkiew z trupem zgorzała“ (1). W grób Tymoszka Chmielnickiego piorun uderzył, sklep i kości rozrzucił (2). Jewłaszewski widywał latawca „nie tylko w nocy, ale i we dnie“ (3) i niemiłe miał spotkanie z ognistym człowiekiem. „Porwałem — powiada — zza pasa nóż i uderzyłem w niego, a on, zniknąwszy, znów się w kącie ukazał i znowu szedł do mnie. Jam czapkę na niego rzucił i otwarłem okno; dzień zaczął się robić i widziadło zniknęło“ (4). Podczas powietrza w r. 1652 widywano morową dziewczę, płynącą w rozmaitych postaciach przez uroczyska, cmentarze i bagna; widziano pochód śmierci, otoczonej duchami zmarłych na zarazę ludzi i zwierząt. Wziąwszy na się postać podłego zwierzęcia, trupa ludzkiego lub suchej gałęzi, — odprawiały one tańce wokoło szkieletu śmierci, okrytego czarną płachtą, a jadącego na wozie, zaprzężonym w dwa woły (5). Pokazywały się duchy poległych pod Montwami. Pułkownik kozacki Czop w białych sukniach do króla wołał: „chciałeś mięsa, — otóż go masz, jedz go; a ty, panie Lubomirski i związkowi, nie zabijajcie nas“ (6). Zmarły w r. 1662 Paweł Borzęcki, troje kajdan mając na nogach, pokazał się idącemu na mszę świętą koledze i prosił, iżby za niego psalm pokutny *miserere* odprawił (7). Nie było domu magnata, czy majątnego obywatela — powiada Moszczyński, żeby po śmierci pana lub pani nie pokazywała się dusza sługom lub księżom i nie żądała ku pozyskaniu nieba nabożeństw. Zostawiały częstokroć duchy znaki wypalonej na stołach ręki... (8).

III.

Moralność w stosunku do wiary i stan jej. Interesowność, prywatność, przekupstwo, pijaństwo i rozpusta. Okrucieństwo i serwilizm. Moralność w życiu publicznym. Przyczyny demoralizacji i rozkwitu wiary w Polsce w XVII i w połowie XVIII wieku. Reakcja powszechna, wychowanie szkolne, wpływ duchowieństwa i kłeski krajowe. Najazdy nieprzyjaciół, powietrze, szarańcza, nieurodzaj, głód i trzęsienia ziemi. Zwiększającą trwogę komety, zaćmienia i powtóry.

Nieoddawna, lecz utarty już pewnik, że dogmatyzm religijny z plagami na grzeszników za życia, z czysciem i piekłem po śmierci nie urabia

(1) Latopisiec Jerlicza. I. 179. (2) Tamże. I. 179. (3) Pamiętnik Jewłaszewskiego, str. 33. (4) Tamże, str. 14. (5) Kubala. Szkice historyczne. II, str. 155—168. (6) Latopisiec Jerlicza. II. 111. (7) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 182. (8) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 14.

społeczeństw moralnych, — równie dobrze na gruncie XVII wieku u nas, jak gdzieindziej się stwierdza. Drżący przed Bogiem i czartem, pomimo zatapiań się w modłach, ciągłego zwracania myśli ku niebu i podziwiania na każdym kroku cudów, — ojcowie nasi nie mieli wykształconych w sobie moralnych pobudek, niezbędnych do nadawania dodatniego kierunku czynom. Zapewne, że jednostka pod wpływem dogmatyzmu od popełnienia zbrodni mogła się wstrzymać i pod groźbę kar doczesnych czy wiecznych postęпки swoje ubierać w cechy szlachetne; pomimo tego dla braku owych pobudek na wyżynie moralnej utrzymywała się rzadko. Przy płytkości podstawy etycznej do popełnienia niecnoty usposabiał człowieka nawet sam dogmat, według którego można było za grzechy Boga przebłagać przez umartwienia i modły. Dlatego też w życiu społeczeństwa naszego z XVII stulecia i czasów późniejszych wszystkie grzechy główne rysują się ostro obok pobożności i silnie rozwiniętej dewocji. Brojono, gdy jeszcze nie zaschły rany na wyćwiczonym za grzechy grzbiecie, by znowu na gołym ciele ostre nosić łańcuchy. Zdaje się, że ekonomja moralna ludzi ówczesnych miała jedynie na celu nieustanną kompensatę wykroczeń za pomocą religijnego formalizmu i wiary.

Obok hojności i rozrzutności pospolitą była wśród szlachty interesowność i chciwość. „Króla Augusta — powiada Otwinowski — posadzili na tron, bo wielka była sława o jego bogactwach; udawano, że miał mieć w skarbie swoim sztuki srebra tak wielkie, jako młyńskie kamienie“ (1). Synowie z chciwości nie wypełniali testamentowej woli swych ojców: legatu Koniecpolskiego na kościół nie wykonali: syn, wnuk i prawnuk „dla różnych impedimentów i trudności“ — w wymierzeniu pewnego obszaru gruntu i wypłaceniu 30,000 złotych (2). Nie wstydził się szlachcic chwycić rozrzucanych po koronacyi przez podskarbiego pieniędzy (3); cofnąć wyzwania na pistolety za porcelanową tabakierkę wartości kilkudziesięciu dukatów (4); pożyczać czerwone złote oberzniete pod warunkiem wypłaty długu ważkami (5); żywić do przyjaciół pretensję, że go nie wiazali na imieniny antałem starego wina (6); skarżyć się, że go pan możny w tes-

(1) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II, str. 8. (2) Przyłęcki. Pamiętnik o Koniecpolskich, str. 377, 399. (3) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 157. (4) Pamiętniki Matuszewicza. III. 213. (5) Tamże. II. 198. (6) Pamiętniki Zawiszy, str. 144, 116.

tamencie przepomniął (1). Chwilą obecną nie zadawalniano się nigdy. Chrapowicki w r. 1669 został wojewodą i córkę wydawał za mąż, a jednak, zamykając dyaryusz, napisał: „skończony rok 1669, daj. Boże, lepszy przysły“ (2). Interesowność z ram stosunków prywatnych wkraczała i w sferę publiczną. Prymas Szembek „bardziej dom swój kochał, niżeli dobro publiczne“ (3); „mirołam“ Radziejowski, obrażony na króla, że krewniakowi jego nie dał urzędu, — tem większy znajdował pochop do sekretne go służenia Szwedom (4).

Przekupstwo, zwane przez współczesnych „żydowską szablą“, chlebem było powszednim. Szlachcic brał pieniądze od pana, magnat od króla lub dworów, o co nieraz hałasowano na sejmikach i sejmach (5). Deputat Przeciński wziął od Radziwiłła za sprawę 200 czerwonych złotych, cug koni, karetę i dwie beczki wina; od przeciwników zaś jego 300 czerwonych złotych i cło trzyletnie, drugie tyle czyniące rocznie (6). Dwaj marszałkowie trybunałów: wielkiego i skarbowego „obydwa brali od stron sobie przeciwnych; nareszcie, gdy się im emulacye sprzykrzyły, rzekł jeden do drugiego: czego się mamy kłócić: i ty ber i ja ber, a zgodzimy się z sobą“ (7). Zatarło się nawet poczucie złego w tym względzie. Marszałek nadworny kor. Mniszech wyrzucał kasztelanowi brzeskiemu, Abramowiczowi, że na sejmiki i ufundowanie trybunału 4000 dukatów z przyjaciółmi dostał od Francyi: „jakby to był jaki kryminal *status* — powiada Matuszewicz — od króla francuskiego, tak wielkiego, brać z miłosierdzia jego bez żadnych najmniejszych kondycyi suplement... Rezolwowaliśmy się, byleby Francya nas chciała suplementować, brać od niej pieniądze, nie zważając na gniewy“ (8).

Pijaństwo stało się tonem, panującym zarówno pod strzechą ubogiego szlachcica, jak w pałacu milionowego magnata. Hetman Pociąg „często wał zawsze z wielkim zbytkiem i sam pił“ (9); oficera saskiego przez dni kilka podejmował tak hojnie, że nieszczęśliwy „wpadłszy w gorączkę, uciekł z resztą zdrowia i wkrótce umarł“ (10). W nocy, w jednej koszuli, przyłączał się hetman do pijących pod stodołą szlachciców (11). Hetman polny lit. Radziwiłł, podczas popisu wojska pod Zabłudowem przyjmując

(1) Dyaryusz Szyrmy. (2) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 188. (3) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 225. (4) Tamże, str. 22. (5) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 8, 75, 78 i 118. (6) Pamiętniki Matuszewicza. I. 151. (7) Tamże, II. 220. (8) Tamże, II. 316. (9) Tamże, I. 26. (10) Tamże, I. 27. (11) Tamże, I. 28.

Augusta III „napił się tak mocno, że, gdy króla przeprowadzał do Białego-stoku, nie mógł usiedzieć na koniu“ (1). Książę Karol Radziwiłł „nigdy mizerną szklanką i powoli nie pił, ale miał wielką, więcej niżli kwartową i tę zawsze duszkiem wychylał pełną.“ Upiwszy się, szedł do kaplicy, „tam godzin ze dwie albo więcej śpiewał godzinki, różańce i inne pieśni nabożne, że się aż zawrzeszczał i wytrzeźwiał“. (2) Niejaki Bułharyn twierdził „pod sumieniem, że w jego familii ta jest obserwacya, aby koniecznie w wigilię Bożego Narodzenia jak najmocniej się upić“ (3). Oprócz tak głośnych, jak ordynat ostrogski, Janusz książę Sanguszko, kasztelan zawichowski Borejko, „zabójca ludzkiego zdrowia“ krajczy kor. Adam Małachowski (4), — dobrze pił Marcin Matuszewicz (5), deputat wileński Czyż (6), mnóstwo pochłaniający wódki marszałek związkowy z czasów Augusta II, Górzyński (7) i wielu innych. Byli mistrzowie, którzy kosz wina szampańskiego przez swywołę i żart wypijali w przeciągu godziny; Komarzewski i Świejkowski poszli z księciem Lubomirskim o zakład, że we dwóch tylko beczkę starego węgryna pochłoną. Napelniali kielichy przez podstawianie ich pod otwór beczki, aż wypróżnili całą (8). Pito na chrzcinach, weselach, imieninach, odpustach i stypach; pojono konkurenta, żeby dobrze go zbać (9); stronnika politycznego, czy nie tai jakich skrytości (10). Po pijanemu potwornych dopuszczano się zbytków. Radziwiłł okuć kazał swą siostrę, a z Pacem strzelał do kobiet. „Jak w piekle było — powiada Matuszewicz — kiedy się książę napił i drudzy“ (11). Z pijaństwa ludzie kończyli życie. „Ze zbytniego picia win starych“ zmarł podkomorzy lit. Mniszech i podstoli Rzewuski (12), starodubowski starosta Zawisza (13) i inni.

Z pijaństwem w parze szła wyuzdana rozpusta. Nie wierzymy wierszowi: „w Polsce co wieś, to zamtuż, a miasto Sodoma“ (14); wątpić jednakże o życiu swywołnem ojców zasady niemamy żadnej. Taki hetman Mikołaj Potocki „więcej radził o kieliszkach i szklankach, niżeli o dobru rzeczypospolitej; w nocy — będąc sam w latach podeszłych — radził o pannach... Z powodu pijaństwa ustawicznego i wielkiego wszeteczeństwa zatracił

(1) Tamże, I. 154. (2) Tamże, IV. 81. (3) Tamże, III. 219. (4) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. T. III. 188 — 202. (5) Pamiętniki Matuszewicza. III. 216. (6) Tamże, I. 144. (7) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II. str. 261. (8) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 5. (9) Pamiętniki Matuszewicza. II. 18. (10) Tamże, I. 26. (11) Tamże, IV. 82. (12) Tamże, III. 50. (13) Tamże, III. 214. (14) Przy dyaryuszu Szyrmy.

wojsko“ (1). Stronnicy Leszczyńskiego, zebrani w r. 1735 w Królewcu, „bardzo hojnie, aż do zbytku żyć poczęli, w inklinacye i rozkosze powdawali się tak dalece, że wielu w nieprzystojne wpadło choroby“ (2). Krajczy lit. Radziwiłł, uwięziwszy żonę i dzieci, trawił życie wśród metres. Harem jego składał się z kobiet uwiedzionych, kradzionych, porwanych gwałtem, zakupionych od rodziców lub księży. Na folwarku chował młode o pięknych twarzyczkach różnego stanu dziewczęta, jako kadetki (3). Księżę Karol Radziwiłł lat ośmnastu nie doszedł, a w bezecenstwach najwstrawniejszych przewyższył mistrzów (4); komisarz w dobrach Ogińskich, Wieluński, pozwany został do sądów, że za urzędowania swego *violavit* pięćdziesiąt dziewczek (5). Usiłowano nawet rozpuścić nadać organizację; ksiądz kanonik Krasowski założył w tym celu bractwo i odpowiedni napisał statut. Pozywany po grodach, ziemstwach, trybunałach, konsystorzach i nuncyaturze, — usprawiedliwić się potrafił dopiero w Rzymie (6). Kobiety zawiązywały romanse z mnichami (7) lub kornetami od husarów (8); podstarzali mężczyźni wzmacniali stargane siły sztucznych środków użyciem. Zmarł od nich w kilka niedziel po ślubie hetman Stanisław Koniecpolski (9); z tejże przyczyny zgał i Stanisław Potocki (10). Najosobliwszym jednak okazem jest marszałek nadworny lit. Janusz Sanguszko, który, porzucając żonę młodą i piękną, do amatorów używał mężczyzn. Jednemu za wierne służby siedmnaście wsi i miasto Koźmin darował (11).

Znęcanie się nad słabymi, gorsząca w stosunkach z ludźmi swywola, wzajemne spotwarzanie się i urąganie prawu, — były tak pospolite, jak cięcia „żydowskiej szabli“ lub napełniony węgrzynem kielich. Tortury i takiego rodzaju kary, jak: targanie kleszczami, ucinanie członków, ćwierutowanie, sadzanie na kół, przykładanie do boku szyn rozpalonych, ścieranie popom plesza rozpalonym kamieniem lub cegłą (12), — uprawnione i praktykowane były przez władze; jurysdykcya patrymonialna śmiercią karała karbowego za niepilność, szubienicą za branie pośladków zboża lub odmie-

(1) Latopisiec Jerlicza I. 64. (2) Pamiętniki Matuszewicza. I. 50. (3) Tamże, I. 201. (4) Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III. Wyd. Raczyńskiego, Poznań, 1841. T. I. 42. (5) Pamiętniki Matuszewicza. I. 165. (6) Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, str. 60. (7) Pamiętniki Matuszewicza. I. 102. (8) Tamże, IV, 241. (9) Latopisiec Jerlicza. I. 49. (10) Tamże. II. 115. (11) Pamiętniki Matuszewicza. II. 47, 51. (12) Latopisiec Jerlicza. II. 79, 81, 94.

rzanie go z czubem (1). Za zbiegostwo, połączone z kradzieżą, obrzynano uszy, połowę nosa i wypalano na czole znaki; za nieprawne stosunki parobek wzamian za karę śmierci otrzymywał 200 kijów, kobieta 100miot, a połowę tego mąż za nietrzymanie żony w karności (2). Po zwycięstwie w roku 1702, odniesionem pod Niemirowem nad Kozakami Paleja, 70,000 (?) wziętych w niewolę chłopów nacechowali panowie obcięciem lewego ucha (3); łowczy księcia Radziwiłła po 500 i więcej plag za małe przewinienia polecał odlewać chłopom, a na obławie za niedopilnowanie zwierza kazał ich wieszać (4). Podstarości w dobrach pani Matuszewicz, szlachcic Łastowski, z otrzymanych z polecenia dziedziczki kilkuset razów w dni kilka umarł (5); głośny awanturnik, Wołodkiewicz, świadków przeciwnej w procesie strony kazał do połowy zakopywać w ziemię (6). Krajczy lit. Radziwiłł, bijąc syna pięściami, nabił mu garba (7); matki różgami zmuszały córki do wyjścia za mąż (8). Rabowała szlachta w dzień biały kramy (9) i bezczeszczyła żydowskie świętości. Niejaki Grabowski „poszedł pijany do szkoły żydowskiej w Brześciu i na kontempt żydom siadł w pośrodku *pro opere naturali*“ (10). Znieważanie czynne rzadkością nie było; od bicia w gębę padali szlachcice o ziemię, jak snopy (11). Za wcielenie bezprawia służyć może zmarły w r. 1649 strażnik w. kor. pan Samuel Łaszcz. Z kilkuset banitami, rozbójnikami i złodziejami plądrując wszędzie „na Pana Boga nie dbał, ani prawa pospolitego bał się, ani ludzi poczywych wstydził... Na majątności szlachty najężdzał, gwałty czynił, mordował, uszy i nosy obrzywał; panny i wdowy, gwałtem biorąc, za oprawce swoje oddawał... Banicy mając na sobie 236, a infamii za różne ekscessa 37, za nic sobie ani książąt, ani paniąt, ani wojewodów miał“ (12). Ten pan Samuel Łaszcz banicyami owemi podszyć sobie kazał ferezyę (13).

Obok tego wszystkiego czołgał się niski serwilizm, tem wstrętniejszy, że się ujawniał w postępkach ludzi, którzy w stosunkach z niższymi celowali hardością i dumą. Podczas godzinek o niepokalanem poczęciu najświętszej Panny, gdy w pieśni: *Zawitaj ranna jutrzeńko* przychodziło do słów: „sprawuj senatorskie rady,“ — wszyscy się pijanemu Radziwiłłowi,

(1) Lubomirski. Rolnicza ludność w Polsce od XVI do XVIII w. Warszawa, 1862, str. 35. (2) Tamże, str. 36. (3) Otwinowski. Pamiętniki do pan. Augusta II., str. 48. (4) Pamiętniki Matuszewicza. III. 85. (5) Tamże, I. 125. (6) Tamże, IV. 107. (7) Tamże, IV. 22. (8) Tamże, I. 118. (9) Tamże, I. 137. (10) Tamże, I. 73. (11) Tamże, I. 137., II. 170. (12) Łątopisiec Jerlicza. I. 49 i 50. (13) Historia pan. Jęna Kazimierza. I. 39.

jako wojewodzie, przez pochlebstwo kłaniali (1). Matuszewicz, mając sprawę w trybunale, objeżdżał deputatów, do nóg ich krzyżem padał i szlochał; takiej zaś biegłości w płakaniu nabrał, że, skoro do którego deputata przyjechał i mówić zaczął, zaraz mu łzy z oczu płynęły (2). Hardy ten w stosunkach z innemi szlacheć Flemingowi, chcąc go dla siebie zjednać, umiał bezzczelnie schlebiać i całował go ciągle po brzuchu (3).

Niecnotę w sprawach publicznych krzycząco ilustrują zrywane dla widoków prywatnych sejmiki i sejmy, rokosze magnatów i bunty. Nie miały wstydu skonfederowane w r. 1662 wojska, błagane przez stany Rzeczypospolitej o ratunek ojczyzny, powiedziec: „że nieprzyjaciel następuje, — *condolet* wojsko, ale niech mu ci dają odpór, którzy sobie sami, a nie rycerstwu *probatam* przypisują *virtutem*; że i *han urget* w Ukrainę wojnę, — podziękować mu zato, a że on ma dostatek komunika, — posłać mu piechoty i armatę, która *non sentit* z nami, może *reprimere hostem*, mając zwłaszcza *fidem* Kozaków, których już sprobowaliśmy cnoty. Że król jegomość do obcych brać się musi posiłków, rozumiemy, że te darmo na wojnę nie pójda, ale lepiej nam to dać starym doświadczonym sługom, niżeli nowym, których jednak, prosim, niech jego królewska mość nie zaciąga, bo ich na granicach witać będziemy“. Była przecież w tym związku szlachta, trzymająca wójtostwa i spożywająca *panem bene merentium*; nie sromiała się jednak nieszczęsnemu krajowi urągać; tym, którzyby ku jego obronie chcieli pośpieszyć, śmiała nawet grozić orężem (4). Rehabilitowano zbrodniarzy, których należało piętnować hańbą; w politycznych opryszkach upatrywano ofiary niesprawiedliwości ojczyzny. „Przybył ze Szwedami — powiada kronikarz — i Hieronim Radziejowski, któremu podkanclerstwo niesłusznie odebrano, mścić się na nieprzyjaciółach i instygatorach, — bez miłosierdzia z państwa wypędzony niewinny wygnaniec... Cóż miał czynić? Rzeczpospolita na niego instygowała; papież, cesarz, król francuski nic nie wskórali, musiał się udać do Szwedów. Kiedy mu przyjaciele nie pomogli, u nieprzyjaciela ojczyzny szukał pomocy“ (5). I niebył to stronniczy na tę sprawę pogląd pisarza, gdy bowiem po śmierci Karola Gustawa Radziejowski do kraju wrócił, — „włos mu z głowy za uczynek zdradziecki nie spadł, a nietylko, żeby go pal miał spotkać, albo katowska ręka nad głową jego być, ale jeszcze mu i wesele z żoną jego sprawowano i tryumfowano“ (6).

(1) Pamiętniki Matuszewicza. IV. 80. (2) Tamże, II. 150, 166. (3) Tamże, III. 94.

(4) Biblioteka warszawska z r. 1858. T. IV, str. 518. (5) Historia pan. Jana Kazimierza. I. 220. (6) Latopisiec Jerlicza. II. 67.

Ludzie tacy przy całej nabożności swojej i westchnieniach ku niebu na bicze satyr Opalińskiego zasługiwali chyba najsluszniej.

* * *

Spółczeństwo polskie z XVII i połowy XVIII wieku pod względem wiary ze współczesnymi narodami zachodu w pokrewieństwie zostaje bliskiem. W epoce ogólnej reakcyi, jaka ogarnęła Europę po wstrząśnieniach religijnych w wieku XVI, ludy katolickie zachodu tak samo czciły relikwie, wierzyły w cuda, oddawały się praktykom nabożnym i objaśniały zjawiska, jak u nas; tak samo również narody protestanckie teologicznemu dały się unieść prądowi, wierzyły w dyabła i czary, we wpływy komet i gwiazd, w astrologię i wróżby. Mysmy w zapale religijnym wypędzili w tej dobie arianów, a Hiszpania w r. 1610 — 800,000 Maurów, Francya po odwołaniu edyktu nantejskiego pół miliona kalwinów, w r. 1731 Salzburg do 20,000 ludzi, podejrzanych o protestantyzm. Spaliliśmy w r. 1689 oskarżonego o ateizm Łyszczyńskiego; pod topór kata oddaliśmy w r. 1724 dziesięciu mieszczan za znieważenie kollegium jezuickiego w Toruniu; śmiercią karaliśmy bluźnierców; — w Rzymie rzucono na stos Giordano Brunona, więziono Galileusza, w r. 1725 w protestanckich Prusach skazano bluźniercę na wyrwanie języka i stryczek, w Edynburgu za takiż postępek jeszcze w połowie XVIII wieku powieszono studenta. Tak samo, jak nasz Jan Kazimierz, Albert Wallensztejn z układu gwiazd czytał swą przyszłość; podobnie, jak ów małoletni, sądzony w r. 1728 Kazimierz Kamiński, — marszałek francuski Luxembourg wchodził w układy z szatanem. Prześladowaliśmy czary, — nie przebaczał im również i zachód. W jednym z niemieckich hrabstw drobnych od r. 1640 do 1651 spalono około 1000 czarownic, pomiędzy którymi były dzieci od jednego do sześciu lat życia; w biskupstwie bamberskiem na 100,000 ludności pomiędzy r. 1627 a 1630 spłonęło 285, w biskupstwie würtzburgskiem w przeciągu lat trzech (1727—1729) przeszło 200 osób płci różnej i wieku. Chwalił się sędzia z Fuldy, że sam skazał na spalenie około 700 ludzi, a miał nadzieję do tysiąca doprowadzić liczbę swych ofiar.

Wiara, jaką w XVII i w połowie XVIII wieku spostrzegamy u ojców, wykwitła z nasion reakcyi powszechnej; że grunt u nas znalazła dla siebie dobry, że się rozrosła szeroko i bujnie, — niezawodną tego przyczyną wychowanie i tak zewnętrzne, jak wewnętrzne warunki, wśród których nieszczęśliwy naród smutne włócił życie.

Gdy dziecko uczono jeść, przed podaniem pokarmu rączki jego składano w znak krzyża na czole, ramionach i piersiach; gdy pierwsze poczęło wymawiać słowa, — pacierza je uczono natychmiast. Nie dano nic spożyć, dopóki młodsze nie przeżegnało się przynajmniej, a starsze jakiej części pacierza nie powiedziało na pamięć (1). W szkołach jezuickich zakazywano młodzieży myśleć, zacierano w niej żywość dowcipu i łatwość pojęcia, — obciążano za to głowy tajemnicą łaciny (2) i do pobożności wdrażano. Oprócz nabożeństw w kościołach i miesięcznych spowiedzi, których niewolno było zaniedbać pod karą plag (3), — śpiewać kazano codziennie litanie o Pannie najświętszej (4) „słuchać *sacrum*, *officium B. M. V.* i *rosarium* odprawiać, nucić pieśni nabożne, w święta prawić oracye., (5). Matuszewicz, mając lat dwanaście, jako uczeń retoryki szkół jezuickich w Brześciu, miał „długą w kościele publiczną oracyę w uroczystość Niepokalanego poczęcia najświętszej Panny Maryi *in laudas immaculatae conceptionis*“ (6). Co miesiąc dawano kartki, z których każda zawierała sentencyę, podaną przez jakiego świętego, a zachęcającą do cnoty. Świętego autora sentencyi posiadacz kartki miał za patrona przez miesiąc i ku wykonaniu cnoty wzywał jego pomocy (7). Odgrywano dyalogi o nawróceniu się jakiej znanej osoby na katolicyzm (8), albo „o jednym bogatym człeku, świat rzucającym i do Jerozolimy pielgrzymującym, gdzie na górze Kalwaryi w osobliwszem nabożeństwie ducha swego Panu Bogu oddał“ (9). Żeby na przyszłych szermierzy katolicyzmu przysposobić swych uczniów, — oprócz dysput zwyczajnych, które w szkołach o różnicach pomiędzy religiami urządzali jezuiti co tydzień, — miewano po dwakroć w roku rozprawy znaczniejsze, a jawne. Jeżeli teolog dyssydencki do dysputy nie stanął, — miejsce jego zastępował uczeń jezuicki klas wyższych (10). Zachęcali też mistrze wychowawców swoich i do czynnego „wykorzenia heretyków w ojczyźnie“. Z ich to namowy w dniu 13 kwietnia 1606 r. około trzystu uczniów jezuickich, uzbrojonych w strzelbę, napadło w nocy na kościół luterski w Pozna-

(1) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I., str. 13 i 14. (2) Pamiętniki Józefa Wybickiego. Wyd. Raczyńskiego. Poznań, 1840, t. I. str. 7. (3) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I., str. 70. (4) Pruszez. Klejnoty. st. m. Krakowa, str. 25. (5) Tamże, str. 27. (6) Pamiętniki Matuszewicza. I. 5. (7) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I. 70. (8) Dyaryusz Chrapowickiego, str. 245. (9) Pamiętniki Matuszewicza. I. 6. (10) Łukaszewicz. Wiadomość historyczna o dyssydentach w m. Poznaniu, str. 93, 94.

niu, rozpędziło strażę i zniszczyło budowle żelazem i ogniem (1); jednocześnie zburzyli gmachy braci czeskich (2), a w r. 1614 i 1616 ponawiali napaści, aż zbory zrównali z ziemią (3). W r. 1682 studenci wileńscy „nastąpiwszy gwałtownie, zburzyli i rozrzućili zbór; domy, w których księża ewangeliccy mieszkali, zniszczyli. Księgi palili, księży, którzy się pod trumny ludzi umarłych pochowali przed strachem, powyciągali i pastwili się strasznie. Z grobów dobywali trupy, mężczyzny umarłe na białogłowy umarłe kładli, wołając: *crescite et multiplicamini...* A przy nich miał być jakiś jezuita *incognito*, zakrywszy twarz, żeby go nie poznano“ (4).

Wdrażano w dewocję i zaszczepiano fanatyzm, a dostępu do światła broniono pilnie. Wszakże, gdy w konwiktie pijarskim zaprowadzano wykłady fizyki, — jezuita na dyalogu w szkole warszawskiej usiłował nową naukę zożydzić i wysmiać (5); gdy około roku 1749 wydrukowano w kalendarzyku opinię, że się ziemia obraca, a słońce stoi, — i własnych przeciwko bezbożnej teorii nie omieszkali zażyć rozumów i inne zakony potrafili podburzyć (6).

Dopełniali mistrzów tak zwani dyrektorowie tyrańscy a dzicy, którym szkoła powierzała swych uczniów (7). Brutalne ich postępowanie z młodzieżą do tragicznych niekiedy doprowadzało następstw. Józef Sapięha wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał, gdy mu dyrektor za konwersację z damą „żadnej cenzurze niepodlegającą“ dał plagi (8). Ciż sami dyrektorowie przez życie zdrożne dawali uczniom zły przykład i zaszczepiali w nich najszpetniejsze nałogi. Matuszewicz miał, będąc w szkołach, inspektora, od którego przejął inklinację do częstowania i picia (9). Przeniesiony z Drohiczyna do szkół jezuickich warszawskich, — „mając — powiada — dyrektorów niebardzo *morigenes*, którzy napijania się nie wystrzegali i nas na reduty *alias* tańce publiczne i gry w karty z sobą brali, — znacznej odmianie w dobrej ś. p. ojca edukacji uległem“. Pić do tego nie wystrzegali się stopnia, że przed dyalogiem zapominał o roli (10).

Wychodziła przeto ze szkoły młodzież zdemoralizowana i ciemna; wynosiła z niej nałóg do praktyk nabożnych bez moralnych pobudek; nie

(1) Tamże, str. 142. (2) Tamże, str. 145. (3) Tamże, str. 148, 150. (4) Pamiętnik Cedrowskiego (Balińskiego Pamiętniki, str. 152). (5) Kollataj. Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach pan. Augusta III. T. I. 50. (6) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. T. I. 29, 30. (7) Pamiętniki Wybickiego. I. 7. (8) Pamiętniki Matuszewicza. I. 7. (9) Tamże, I. 4. (10) Tamże, I. 6.

umiała racjonalnie najprostszego objaśnić zjawiska i pogardę żywiła dla nowości i nauki. Stąd to najlepsze głowy tych czasów wydają: „Siedm psalmów albo hymnów na pacierza części siedem“; „Hymny i pieśni na różne teksty ewangeliczne“; „Ogród paniński pod sznur pisma świętego i doktorów wysadzony“; stąd wyrzeczenie kasztelana lwowskiego Fredry na sejmie w r. 1661: „wołę przy dawnych prawach oponować się i, tych nienaruszywszy, wołę błędzić, aniżeli, zdeptawszy one, być mądrym“ (1). „Że wszelkie nowe wynalazki są rzeczypospolitej szkodliwe — wygłasza ciało sejmowe w r. 1662 — doświadczenie świadczy ustawne“ (2): „ojczyźnie — głosi znów kronikarz — szkodzą, którzy rozszerzają nauki, albowiem próżniactwo tylko i życie delikatne z nich płynie“ (3).

Dalsze życie rozmodlonego a zepsutego w szkole młodzieńca znowu płynęło pod sterem księży niemoralnych i ciemnych. Strażnicy sumień rekrutowali się często z awanturników lub ludzi z obawy kary za zbrodnię, czy z innego powodu, przytułku szukających w klasztorze. Przyjmuje habit franciszkański awanturnik, ściągany za odprawianie nabożeństwa bez święceń (4); bernardynem zostaje oficer, za zabójstwo i najazdy skazany na śmierć (5); przywdziewa kaptur łowczy, obawiający się pańskiej niełaski z powodu ucieczki charta (6); rewokujący z kalwinizmu, osądzony na ścięcie zdrajca (7); wstępuje do zakonów w r. 1730 kilku pińskich studentów, za zabójstwo horodniczego dekretem trybunalskim skazanych na gardło (8). Ludzie tacy „obracali prewenta na lubieżności i nikiemne pieszczoty“ (9), a w pijaństwie rzadko się komu dali wyprzedzić. Znał ich z tej strony głośny Borejko, zapraszał przeto z pobliskich klasztorów po parze i po trzy lub pięć dni pijackie z nimi wyprawiał orgie, — przestrzegając naturalnie, żeby w swoim czasie odśpiewano mszę świętą i odmówiono kapłańskie pacierze (10). Wyzyskiwanie pobożnych ludzi najprzedniejszym było ich celem. Wojewodzinę sandomierską, Firlejową, opanowali jezuita do tego stopnia, że im majątności wszystkie i dochody oddała, szczęśliwa, że bez troski o sprawy doczesne rozmyślać mogła o niebie i obcowaniu z świętymi. Jakoż dwaj nowicyusze, przybrawszy charakter św. Alojzego i św. Stanis-

(1) *Historia pan. Jana Kazimierza*. II. 125. (2) *Tamże*, II. 161. (3) *Tamże*, I. 375, 376. (4) *Tamże*, I. 141. (5) *Pamiętniki Zawiszy*, str. 348. (6) *Pamiętniki Matuszewieca*. I. 97. (7) *Historia pan. Jana Kazimierza*. II. 148. (8) *Dyaryusz Szyrmy*. (9) *Historia pan. Jana Kazimierza*. II. 175. (10) *Kitowicz*. *Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III*. T. III. 189, 191.

sława Kostki, poczęli się w sposób mistyczny dewotce objawiać. „Wizye te bardzo się podobały Firlejowej; święci zaś do takiej doszli poufałości, że nawet biesiadowali w przytomności wielu. Nieraz dała się słyszeć niebieska muzyka; nieraz pobożna Firlejowa tańczyła ze św. Alojzym lub ze św. Stanisławem Kostką. Pewną była, że niebieskie słodycze miała w nadgrode nabożeństw i oddalenia się od świata“ (1). Kanclerzynę kor. Szembekową z Babic namówili znowu na peregrynację do grobu Chrystusa, dla oszczędzenia zaś damie fatygi wyrobili w Rzymie przemianę ślubu na podróż do miejsca, które wskaże konfident i na rozdanie na cele pobożne sum takich, jakieby pociągnęło *votum* pierwotne. Okazało się po wyrachowaniu kroków z Babic do Jeruzalem, że Szembekowa powinna była na podróż poświęcić lat pięć. Oddała przeto na czas taki jezuitom swe dobra, przywdziała suknie pielgrzymie i w towarzystwie czterech ojców duchownych peregrynowała po olszynie babickiej, odbywając przepisane nabożeństwa i biorąc codziennie błogosławieństwo na drogę (2). Księża świeccy byli nielepsi. Pleban gosławicki opowiadał ciemnemu kolatorowi swemu, Łąckiemu, że nieboszczyk Lubrański, dawny dziedzic Gosławic „na koniu ognistym w nocy przez sufit w izbie stanął“ i mówił, że do tego czasu zostaje w czyścju, albowiem nie wypłacił przeznaczanego na utrzymanie pięciu księży funduszu. Oznajmił przytem dowcipny pleban, że Lubrański obiecał się i Łąckiemu pokazać w takiej samej postaci. Oczywiście, dobroduszny kolator, by siebie od nawiedziny, a Lubrańskiego uwolnić z czyścja, nie omieszkął sprawy z proboszczem załatwić (3). Nie wstydził się biskup łucki, Kobielski, zażądać pięćdziesięciu dukatów za pozwolenie na wprowadzenie maryanów do nowozałożonego klasztoru w Rasnej (4); nie miał sromu kanonik łucki, surrogat konsystorza janowskiego, proboszcz wysocki „przysłać na wszystko duchowieństwo inhybicyi, aby się nie ważyło eksportować ciała, dopóki mu *quarta pars funeralium pro jure parochiali* wypłaconą nie będzie“ (5); nie wahali się księża nieproszeni dla zarobku zjeżdżać na pogrzeb (6). Pleban dawidgradzki, ukradłszy rodzicom córkę, sprzedał ją krajczemu Radziwiłłowi za 200 dukatów (7); kanonik Krasowski organizował ohydne bractwo.

(1) Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach pan. Augusta III. T. I. 77—88. (2) Tamże, I. 87—89. Podobnyż fakt, dotyczący podkomorzyny poznańskiej, Czartoryskiej, przytacza Moszczyński (Pamiętnik do historii polskiej, str. 21). (3) Moszczyński. Pamiętnik do historii polskiej, str. 14. (4) Pamiętniki Matuszewicza. I. 99. (5) Tamże, II. 28. (6) Tamże, II. 33. (7) Tamże, I. 201.

Jeżeli wychowanie i wpływy księży działały na społeczeństwo w kierunku demoralizacyjno-pobożnym, — to z drugiej strony olbrzymie klęski, jakie przez cały ciąg XVII i połowę XVIII wieku trapiły naród, dla wszechstronnego rozkwitu pietyzmu zrobiły resztę.

Najazdy Szwedów, Moskali, Tatarów i Turków; wojny domowe za Zygmunta III, Jana Kazimierza i Augusta II niszczyły kraj i przejmowały mieszkańców trwogą. Powietrze morowe przez cały wiek XVII grasowało prawie bez przerwy: w r. 1601—1603, 1623—1625, 1627—1632, 1637—1639 (1), w r. 1641 i 1642 (2), od 1652 do 1654, w r. 1661 i 1662 (3), w r. 1667 (4) i 1704 (5). Podczas powietrza, panującego w r. 1624 i 1625 zmarło 2375 osób w samej w Warszawie, w Gdańsku 10,454 padło mieszkańców (6). Najstraszniejszą jednak była tak zwana czarna śmierć (*mors nigra*), która pojawiła się najprzód na Ukrainie po bitwie pod Beresteczkiem, a poszła ze wschodu do Lwowa i Krakowa, następnie dorzeczem Wisły na północ. Po 150 w Krakowie, w okolicach po 250 ludzi padało dziennie. Stracił Kraków podczas tej klęski około 37,000 mieszkańców. W niektórych miejscowościach panowała zaraza aż do r. 1655. W r. 1653 grasowała w Toruniu i Gdańsku, gdzie 11,600, a w Sieradzu w r. 1654 — 2000 umarło ludzi. Po miastach, miasteczkach i wioskach puste domy stały otworem, a w nich trupy leżały, jak snopy; żywi uciekali do lasów szukać schronienia po norach zwierząt (7).

Jednocześnie robak niszczył zasiewy, grasowała szarańcza, panowały nieurodzaje i trapił głód ciężki. W r. 1630 do tego stopnia owad na Rusi zjadł zboża, że chleb pieczono z suszonych liści i ziela (8); ponowiło się to w lat sześć (9), a w r. 1645 szarańcza na Ukrainie i Podolu spadła tak wielka, że ciężarem swoim łamała gaje brzozowe i wywracała z korzeniem dęby (10). W r. 1651 dla nieurodzaju i głodu, panującego przez lato do żniw, ludzie, karmiąc się liśćmi i zielem, puchli i na gościńcach padali martwi; kupami z Rusi czerwonej, Podola i Wołynia, opuszczając miasteczka i wioski, przed głodem uciekali na lewy brzeg Dniepru. Matki własne zjadały dzieci, zarzynano na pokarm ludzi (11). W r. 1662 nad Wisłą i Bugiem

(1) Kubala. Szkice historyczne. II. 155—168. (2) Latopisiec Jerlicza. I. 45 i 46. (3) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 147, 188. Latopisiec Jerlicza. II. 65. (4) Latopisiec Jerlicza II. 115. (5) Pamiętniki Rakowskiego, str. 28. (6) Biblioteka warszawska z r. 1852, t. III, str. 214. (7) Kubala. Szkice historyczne. II. 155—168. (8) Latopisiec Jerlicza. I. 38. (9) Tamże, I. 66. (10) Tamże, I. 48. (11) Tamże, I. 113, 120.

mróz zniszczył jarzyny, owoce i żyta, a powódź unosiła inwentarz i chaty (1); w r. 1668 ptactwo dzikie wdzierало się dla braku pożywienia do budynków i chałup (2). Drożyzna dochodziła do tego, że w r. 1636 za funt pieprzu płacono na Ukrainie zł. sześć, w r. 1651 za macę mąki żytniej zł. 120 (3). Z powodu fałszowanej za Jana Kazimierza monety cena towarów w Polsce wzrosła w trójnasób, czerwony złoty spadł nisko, a szelągi zupełnie straciły wartość (4). W r. 1650 „w nocy przed kury“ i w r. 1652 trzęsła się ziemia (5); nadomiar zaś trwogi okazywały się na niebie komety w postaci ognistych smoków, krzyżów i słupów; ćmiło się słońce i księżyc i rodziły się ohydne ludzkie potwory. W r. 1669 urodziło się pod Dubnem dziecko z głową, jak wiadro, z kośćmi pogruchotanemi, z zębami tak dużemi, jak świńskie, bez oczów, z nogami krzywemi, a jelitami i płucami na wierzchu (6); w r. 1699 wydała na świat pani Tymowska zająco-jeża (7); w r. 1710 urodziła niewiasta na Kleparzu niemowlę o dwóch głowach na jednym karku (8).

Dotkliwość klęsk tyłu była dla człowieka tem większą, że ich ani rozumiał, ani nie miał sposobu wystąpić z nimi do walki; że go bardziej, niż stroną widomą, tajemniczością swoją torturowały moralnie. Widział, że się grunt pod stopami usuwa; spostrzegał siłę, pchającą w przepaść; lecz ani konsekwencyi w działaniu nieszczęścia, ani natury jego pojąć nie umiał. Zawieszonemu w otchłani tajemnic podała rękę nauka o grzechu i karze, o pokucie i ujawnianiu się woli bożej w zjawiskach przyrody. Rozumiejąc, że klęski są karą za grzechy, które znowu kompensuje pokuta, — zapełnił sobą kościoły i stał się dewotą; uwierzywszy, że Pan Bóg zwykł wolę swoją ujawniać, — szukał takowej wszędzie i przy pomocy fantazyi wszędzie umiał ją znaleźć.

Duch prawdy — powiada Lecky — przejawiający się w stopniowym rozroście pogardy dla fałszu i niedowierzenia rzeczom wątpliwym, jest jedną z najprzedniejszych cywilizacyjnych zdobyczy, którą głównie wielkim filozofom XVII stulecia trzeba zawdzięczać. Oprócz zastosowania badawczych metod, podkopali oni stare przesady, zohydżając łatwowierność i ucząc, że z fałszem nieubłaganą należy prowadzić walkę, nieufać pewni-

(1) Tamże, II. 67. Historia pan. Jana Kazimierza. II. 189. (2) Latopisiec Jerlicza. II. 130. (3) Tamże, I. 44, 120. (4) Historia pan. Jana Kazimierza. II. 50, 227, 459, 468. (5) Latopisiec Jerlicza. I. 113. II. 102. (6) Tamże, II. 139. (7) Otwinowski. Pamiętniki do panowania Augusta II, str. 28. (8) Tamże, str. 183.

kom przodków i skrupulatnie analizować zasady ich wierzeń. Zalecali ludziom kształcenie w sobie miłości prawdy dla samej prawdy, — uczucia, które wyzwalały umysł z pęt różnych wpływów, nie lęka się zrezygnować z ulubionej teorii i zerwać z nałogiem. Każdy z tych mężów z nadzwyczajnym mistrzostwem napadał na błędy, stanowiące rdzeń starych poglądów. Descartes nauczał, że zasadą wiedzy jest zerwanie z przesądem i rozciągnięcie nad wszystkim kontroli własnego rozumu. Locke przedstawiał konieczność określenia granic ludzkich zdolności, a teorią, wymierzoną przeciwko ideom wrodzonym i mistrzowską analizą entuzjazmu cios zadał śmiertelny mniemaniu tych, którzy usiłowali pewną grupę zjawisk duchowych usunąć z pod badań. Bacon zalecał opieranie teorii na doświadczeniu i faktach.

Myśmy filozofów takich nie mieli, a głos obcych do uszu ojców nie doszedł. Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, przez zmiany w systemie wychowania, uprawę nauk przyrodniczych i popularyzowanie poglądów pisarzy zachodnich, odważyliśmy się przeciwko wierze niezakończoną dotychczas rozpocząć walkę.

Władysław Smoleński.

Śmielsze błyski humoru satyrycznego

w literaturze staropolskiej.

(Szkicowe studyum).

I.

Ustrój i charakter zamarłej przy schyłku przeszłego stulecia rzeczypospolitej usposabiał czynnych członków narodu do refleksyj społeczno-państwowych, do krytyki różnych sfer życia publicznego. W ciągu trzystu lat z górą ten ruch dośrodkowy podtrzymuje całą literaturę, wszystkie jej warstwy żywotne przenika. Nie pogłębia się on, nie świeci pierwszorzędnymi potęgami wiedzy, ale ogarnia całą niwę rodzimą i staje się dla ogółu chlebem powszednim. Obok niewielu cennych pomników, napotyka dzisiejszy badacz, na szlakach zagasłej przeszłości, niezliczoną ilość broszur i świstków politycznych. O złoty owoc tam trudno; bo praca naukowa jest w starej Polsce rośliną egzotyczną, a dążenie za postępem — ideją niepopularną. Naród nasz, na mocy prawa koniecznego, staczając się po linii pochyłej w przyszłość, miał oczy w przeszłość zwrócone. Kto chciał kroczyć naprzód, przebierał się w przodków swoich szaty. To też zarówno plan reformy państwowej Konarskiego, jak dzieła prawodawcze wielkiego sejmku, uchodzą za restytucję odwiecznych ustaw.

Duch konserwatyzmu, który odbija się tak wyraźnie na obliczu poważnych robót, spoczął całym swym ciężarem i na negatywnej twórczości narodu, na satyrze polskiej, stanowiącej ukrytą, sekretną, że tak powiem, stronę niejednokrotnie sprzecznych z zamiarami czynów widomych. Otwórzmy którąkolwiek z książek XVI-go, XVII-go, XVIII-go wieku; zajrzyjmy do Kochanowskiego, Klonowicza, Starowolskiego, Opalińskiego,

W. Potockiego, Naruszewicza, Krasickiego — każdy z nich utyskuje na upadek obyczajów, każdy w grobach praojcowskich szukając wzorów do życia, śpiewa oklepaną wrotkę: „Nie tak to *illo tempore* bywało!“

A więc literatura staropolska była wogóle zwierciadłem rozkładającej się stopniowo maszyny państwowej, niezdolnem do inicjatywy dzieckiem z posepnymi narowami starca? Trudno zdobyć się na odpowiedź stanowczo przeczącą. W wieku XVII-tym przyświecała nam wprawdzie reformacja, a w XVIII-tym idee rewolucyjne encyklopedystów francuskich; ale dźwignie te, na niwie naszego bytu i piśmiennictwa, wchodziły zazwyczaj w kompromis z dążnościami przeciwnej natury. Postępowcy nasi lubowali się zawsze w półświatłach — półcieniach, a ten ich temperament znajduje swój wyraz nietylko w urzędowej satyrze, ale i w humorystyce polskiej. „O! co to, to nieprawda—krzykną tłumnie czytelnicy—umieliśmy się śmiać całemi ustami — dowodem: *Figliki Reja*, *Fraszki Kochanowskiego*, *Jovialitates* Wacława z Potoka...“ Tak jest, żartowaliśmy serdecznie; dowcipy rubaszne sypały się, jak z rękawa, szczególnie, gdy nam „pełną“ nalano; dalecy od pruderyi, nie krępowaliśmy się więzami zdawkowej przyzwoitości... Ale były to wyjątkowe chwile, murem chińskim oddzielone od poważnej zadumy. Przekonania zresztą, jakieśmy na ich łono złożyli, nie trąciły bynajmniej radykalizmem: co najwyżej — pozwoliliśmy sobie w nich zdemaskować hipokryzję celibatu i wyrazić niewiarę w świętość „ojców świętych.“ Na co się zdobył szlachcic, na to zdobyć się mógł i bernardyn podochocony. To też gdy zarzucano nam nieprawomyślność, zasłanialiśmy się wygodną tarczą łacińskiego przysłowia. „*Nemo omnibus horis sapit.*“ I szydząc z obłudy, byliśmy sami obłudnikami.

Z tem wszystkiem warto przejrzeć typowe plody humoru tendencyjnego z doby reformacji i encyklopedyzmu. Czuć w nich odrodzenie ducha, czuć zdrowe powietrze wyżyn dziejowych.

Z pomiędzy wyrobów literatury negatywnej XVI-go wieku, najpospolitszym okazem są *Fraszki* Jana z Czarnolasn. Odślaniają się w nich wszystkie czule strony charakteru poety — lekka myśl plywa po falach życia, namiętności młodzieńcze grają swobodnie. Miejsce maski oficjalnej, okrywającej oblicze dworaka królewskiego, zajęła przejrzysta gaza biesiadnicza, pod którą, na rachunek czarów bachusowych, można bezkarnie płatać figle mądrości. Nie dopytasz się tam jednak śladu pokus właściwych olbrzymom — ironia humorysty nie mierzy w niebo, nie nurtuje

głębin społecznych. Wino i „podwika“¹⁾, pobudki Anakreontowe, są dobrymi przewodnikami natchnienia dla muzy wesołej. Szlachcic dworzanin płąsa rytmicznie z pucharem w ręku, jużto sam, jużto w parze, i wśród głośnego śmiechu rzuca kiedy niekiedy błyszczącą barwę z kryjącej się przed światłem obłudy:

„Ja inaczej nie piszę, jeno, jako żyję,
Pijane moje rymy, bo i sam rad piję.
Nie mierź mię biesiada, nie mierzą mię żarty,
Podczas i czepiec, więc też pełne tego karty.
Co po sykofancyey? — Chcesz mię miary w życiu
Nauczyć, a sam, księżę, dyabła nosisz w ukryciu?“

Fraszki — to pomnik wystawiony bóstwu życia towarzyskiego: wszystko, co mu nie sprzyja: pycha, zawiść, łakomstwo, hipokryzja — pada, jako trofeum u jego piedestału. Eklezjastycznemu, *vanitas vanitatum!*“ wtoruje biesiadnicze „*gaudeamus!*“ Niekiedy poeta bez względu na godność sztuki zbyt obnaża występłą naturę — jakby chciał dowieść, że człowiek jest tylko „zwierzęciem zepsutem...“ Cokolwiek mu jednak zarzucić można, trudno nie dostrzedz, że działa on tu przeważnie w duchu reformacyi, że idzie, śmieiej niż gdziekolwiek, za prądem czasu; *ś w i ę t o k r a d z k ą* bowiem dłonią dotyka szaty kapłańskiej i dzieło Hildebrandowe ze sfer *p o d n i e b n y c h* na błotnistą ziemię sprowadza. A nie są to bynajmniej wyrazy bezmyślnej fantazyi piwosza. Wierszyk „na posła papieskiego“²⁾ był w swoim czasie objawem powszechnej reakcyi w duchu obywatelskim, inne znów (np. „*O k a z n o d z i e j e*“) sprawdzian swój znajdując nietylko w świadectwach dziejowych, ale i w żywych obrazach epoki bieżącej; w sprośnej nawet fraszce *O k a p ł a n i e* („prawo jest, aby kapłan nie mógł pojąć żony“ etc.) tkwi zdrowa krytyka celibatu z niezachwianego, bo naturalistycznego stanowiska.

Co za kontrast z *Fraszki* przedstawia *Satyr, męt dziki*, utwór pokrewny, ukuty w tej samej, co i one, pracowni! Zupełny brak dowcipu i chłód urzędowy, połączony ze zgrzybiałością myśli — świadczą wy-

¹⁾ Kwef, zasłona kobieca.

²⁾ „Pośle papieski rzymskiego narodu,
Ucsysz nas drogi, a sam chybiasz brodu.
Nawracaj lepiej, niżli twój woźnica,
Strzeż nas tam zawiść, gdzie płacz i tęsknica.“

mownie o dobrowolnem spełnieniu ducha. Poeta, przemawiając do króla i do narodu, pogrąża się tęsknem okiem w toń zapadłej przeszłości; ubolewa on nad degeneracją szlachty, która za Zygmunta Augusta odwykła już nieco od zajęć rycerskich i pługom a komiegiom pierwszeństwo przed mieczem dała. Skarga na zbytki, na upadek obyczajów zajmuje znaczną część tej sztywnej, nawskroś prozaicznej ramoty. Niewiele ma ona wspólnego z naszym przedmiotem; zasługuje wszakże na uwagę, jako przeciwieństwo *Fraszek*, jako satyra o d s w i ę t n a, w porównaniu z codzienną. W ulotnych wierszykach biesiadniczych przemawia do nas żywy człowiek, silnie tchnieniem wieku owiany; tu — pedant-kaznodzieja, postać typowa, odarta z wybitnych cech indywidualności; tam widzimy jednostkę, niemal sprzyjającą reformie religijnej; tu — prawowiernego szlachcica, który „nie uczył się w Lipsku ani w Pradze wiary, i nie wie, jako kazać w Jenowie u fary“, szlachcica anachronicznego, krótkowidza, co się skarży, iż wynikiłe ze zbytków ubóstwo nie pozwala obywatelom budować klasztorów. ¹⁾

Na łanach XVII-go wieku spotykamy się z licznymi naśladowaniami *Satyra*, który, jak widać, niesłychane w Polsce miał powodzenie. Sam Andrzej Rysiński (około r. 1640) skreślił dwie próby imitacyjne, o nieco żywszym, niż oryginał, kolorycie: *Satyr na twarz Rzeczypospolitej*, i mało dziś znaną rzadkość bibliograficzną: *Satyr na twarz dworską*. W kilka lat potem (r. 1648) jakiś bezimienny polityk puścił w obieg *Satyr nowego z chorej głowy* — przeciw smutnym bohaterom potrzeby piławieckiej. Nie koniec na tem: nad wartość popularna ramota odżyła raz jeszcze w epoce Stanisławowskiej, pod piórem Gracyana Piotrowskiego, pijara, który w r. 1773 ogłosił utwór: *Satyr przeciw zgorzeniu wieku naszego, za powodem Satyra J. Kochanowskiego*, etc.

Cieszyły się zawsze powodzeniem i *Fraszki* Jana z Czarnolasu. W okresie wszakże jezuicko-makaronicznym ciężką przebywały próbę, spoczął bowiem na nich zarzut nieprawomyślności.

Druga połowa XVII-go w. i pierwsza XVIII-go były to dla umysłów polskich trudne, iście inkwizycyjne czasy. Wespazyan z Kochowa, gorący wielbiciel i naśladowca Jana z Czarnolasu, człowiek serdeczny, ale krótkowidzący, ortodoksyjny szczwacz arianów, poddawał się, jak sam pisze, surowej, teokratyczno-policyjnej krytyce księdza cenzora i z „liry-

¹⁾ „Kto dziś zamek założy, kto klasztor zbuduje?“

kami“ swemi ledwo uszedł oficjalnej klątwy. Fraszki (epigramata) tego pieśniarza nie ustępują swemu pierwowzorowi polskiemu. ¹⁾ Mało oryginalne, starają się przedewszystkiem o pieprzną zaprawę. Ze szczególną też predylekcyą biorą na ostrze dowcipu sprawę małżeńską i stosunki płciowe. Oto kilka przykładów:

O p a n n a c h.

„Panna, gdy panną, miewa anielską naturę;
Szedszy za mąż, jeżową wdziewa na się skórę.“

S e k r e t.

„Pigułki nie rozgryźnij, żony nie drażń bracie,
Z obojga niepochybna gorzkość pójdzie na cię.“

O k o r n u t a c h, z a ż o n a m i.

„Często niewinne żony małżonkowie winią,
Iże im rogi na łbie, jak satyrom, czynią.
Lecz każdy niech swej spyta, wiem—tak mu odpowie:
„Niech będzie róg.“ i t. d.

Niekiedy znaleźć w nich można ciekawe błahostki, wymownie wiek swój charakteryzujące, np.:

N a s t a d ł o j e d n o.

„Ciężki na stan szlachecki wieków naszych czasie!
Mąż się kowalstwa uczy, żona kozy pasie.“

Ze stanowiska zdrowej moralności, tendencya tego epigramatu zasługuje na wzdargę; ale jestto pylek dziejowy, którym nie godzi się pomiatać. Wiemy, czem był klejnot szlachecki w dawnej Polsce; powinniśmy też wiedzieć, że wartość jego wobec opinii publicznej rosła w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do oświaty społecznej: że więc chwila najwię-

¹⁾ Wyraz pierwowzór użyliśmy tu w znaczeniu względnem. Wiadomo bowiem, że Jan Kochanowski, jako autor epigramatów żartobliwych, pomieszczanych z poważnymi pod ogólną nazwą (Anakreonta, Katulla, Marcyalisa i innych), żywcem je często-kroć do swego zbioru wcielał. Wespazyan Kochowski, idąc torem, udeptanym przez Jana z Czarnolasu, jeszcze mniej się troszczył o oryginalność. Przerabiał on nie tylko starożytne, ale i współczesne plody dowcipu (korzystał między innymi z epigramatów łacińskich angielskiego wierszopisa, Jana Owena, zmarłego w r. 1622). Kochanowski odtwarza oryginały, Kochowski jest niejednokrotnie naśladowcą z drugiej, nawet z trzeciej ręki.

większej swobody, czy swawoli politycznej, i zarazem największego skrepowania ducha pod strażą duchowieństwa, była kulminacyjnym punktem rozwoju pogodnych wyobrażeń o wpływie herbów na losy świata. Wprawdzie i Jana Kochanowskiego posądzić można o lekceważenie pracy przemysłowej, gdy śpiewa:

„Próżna to, niech mi wierę, jako kto chce, łaje,
Niemasz dziś w Polsce, jedno kupy a rataje.“

Ale „księciu poetów“ Zygmuntofskich idzie tu raczej o wskrzeszenie wieku bohaterskiego, aniżeli o koronację stanu, który już wówczas nie na mieczu, lecz na ziemi potęgę swą gruntował.

W epigramacie *Pares ab Adam* („Równi, od Adama“) Kochowski z innego tonu zanucil:

„Gdy Ewa kądziel przędła, Adam ziemię kopał,
Kto tam był szlacheć wtenczas i kto komu c h t o p a ł?
Tak Adam gdy nam ojcem, Ewa gdy nam macią,
Wszystcyśmy sobie równą z tych rodziców bracią.“

Nie npoważnia nas to jednak do przekreślenia wyrażonego dopiero eo hipotetycznego sądu o typowych przekonaniach poety Wespazyana. Fraszka bowiem *Na stadło jedno* — jest ze względu na swój przedmiot ściśle konkretna, podczas gdy epigramat *Pares ab Adam* (z napół ukrytą ironią w nagłówku) należy do kategorii pajęczych komunałów.

Cichy drogowskaz innego szlaku dążeń i pojęć moralnych z doby jezuickiej znajdujemy w dwuwierszu: *K t o p a n e m*.

„Wszak Pan poznany od uczniów jest w łamaniu chleba;
Kto daje panem (chleb), panem nazywać go trzeba.“

Gdy w pobieżnej analizie humorystyczno-satyrycznych piodów Kochanowskiego i Kochowskiego — porównamy nawiasem dwie epoki, mimowoli przychodzi tu na myśl przemowa do króla, stanowiąca przedśpiewek „Satyra:“

„Panie mój (to najświętszy tytuł u swobodnych)“ etc.

Satyr jest miernotą, zarówno pod względem artystycznym, jak filozoficznym; ale ten wstęp odsłania w autorze głębokie poczucie godności obywatelskiej. Do wniosków poważnych szczegółów dany nie otwierał drogi, nie było wiadome, że okres jezuicki (1650—1750), wobec Zygmuntofskiego,

i Stanisławowskiego, ma charakter wilgotnej niziny przekonań i czynów, leżącej między dwoma skromnej wielkości pagórkami. Wolno nam tedy powiedzieć, że apostrofa Kochowskiego jest głosem, godnym szlachcica z czasów przedmożnowładczych; żarcik zaś Kochanowskiego, dworskim dowcipem, który zdradza upowszechnienie tytułu pana, równoczesne z rozrodzeniem się plemienia królewiąt, karmiących całe stada ogłupiałej szlachty.

Obniżył się więc poziom, zwięził widnokrąg pojęć w dobie jezuickiej. Fraszka tendencyjna nie mogła już być tak, jak dawniej, swobodna. Królewicęta, zdeptawszy powagę rządu, same stanęły na piedestale, a bujniejszym umysłem groziła poświęcana maczuga cenzury kościelnej. Z zakonów nie wolno już było żartować. Wymownem świadectwem takiej przymusowej czi dla habitu jest wiersz poety Wespazyana do światowego zakonnika:

„Kto z dobrej woli do tej wnijdzie wieże,
Niechaj się światu całe już obrzeże;
Bo być źle na dwie roztargniony stronie —
Trudno wraz służyć Bogu i mamonie.“

Jestto rzecz dydaktyczna, do tego stopnia prawomyślna, że można by ją śmiało z ambony wygłosić. Ale kto wie, czyby się był w dalszym ciągu biednemu wierszopisowi język nie rozwiązał, gdyby roztropność nie doradziła... przyłożyć w porę plastru mileczenia:

„Ale cyt, lutni, prawda tyka w sadno,
Poderznąć ¹⁾ struny, za to będziesz miała,
Co choleryczne serce wzruszy snadno;
Żeś o zakonnych ludziach pisać śmiała.“

W wieku XVIII-tym, dzięki idejom płynącym z Zachodu, rozswitało nowe odrodzenie, wyższe i radykalniejsze od reformacyjnego. Odwieczne powagi silnie zaatakowano. Dowcip, skropiony rosą postępu, wystrzelił w górę. Widzimy to już w satyrach Naruszewicza, stojącego, jak wiadomo, na rozdrożu dwu epok. Ciemnotę, nieuctwo, „szarą pyszkę“ i podłość smaga on niemiłościwie. Drwił z ziemianina, co

„siedząc nad herbarzem z nosem osiodłanym,
Pochycha, że pan przodek jego był hetmanem.“

1) Poderznąć — poderznąć ci.

Oburza się przeciw nierządowi i stawia pod pręgierz podłe dworactwo zaprzędanej magnatom tłuszczy szlacheckiej :

„Kaź nam, panie, rozegnać sejmik, na skinienie
Twoje, wszystko tak pierzchnie, jak przed słońcem cienie.“

Nie śmie bluźnić ideałom przeszłości — w sprawie kościelno-religijnej jest konserwatystą; ale bez wahania zdiera z obłudy jedwabną maskę :

„A ówże gryzpacierz, wilk w baranlej skórce,
Co kościanemi gałki pobija na sznurze :
Już na wszystkich obrazach polizał pokosty,
Podziurawił łysiną cerkiewne pomosty ;
Co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy,
A on sam łgacz, i pieniacz, i zdierca łakomy...“

Nie skarży się, że w Polsce są „jedno kupcy i rataje“; owszem, gardząc uprzywilejowaniem próżniactwem, szanuje pracę przemysłową :

„A z tej liczby zabawnych, można mówić śmieie,
Chłopi tylko a kupcy są obywatele.“

Wytworniejszy od Naruszewicza, Krasicki nie jest w swych satyrach tak surowym, jak on, weredykiem : jaskrawych barw nie lubi, rzadko rumieniec na twarz wywołuje. Miłośnik pół-prawd, arcy mistrz pół-tonów, potrafi zgrozę zbrodni wystawić umiejętnie pod światło kinkietów salonowych. Naruszewicz omija najdrażliwsze kwestye, biskup warmiński dotyka ich czarodziejską różczką swego dowcipu, i do pewnego stopnia zobojętnione, przeprowadza przez czyściec słowa pisanego. Ten charakter żartobliwej muzy „księcia poetów“ Stanisławowskich nigdzie się z taką wyrazistością nie odbił, jak w *M o n a c h o m a c h i i*, połączonej z *A n t y m o n a c h o m a c h i ą*. Wszystkie niemal warunki sprzyjały szczęśliwemu usnuciu epopei humorystycznej, pod nagłówkiem *w o j n y m n i c h ó w*. Grunt rzeczywistości przedstawiał szeroką do niej podstawę. Polska, jako siedlisko zabobonów, była Hiszpanią północną, gdy w r. 1773 bulla *Ganganellago* zadała cios najpotężniejszej z korporacji mnisznych. Wypadek ten mógł zaprawdę dodać otuchy wolnomyslnemu biskupowi do schłostania biczem satyry tych towarzystw, które z Jezusowem, pod względem władzy nad umysłami, porównywać się nie śmiały. Zatargi też mię-

dzy mnichami należały oddawna do zjawisk najpospolitszych. Akta przeszłości wymownie o tem świadczą. Ręka w habit ubrana, niejednokrotnie wśród klótni domowej gwałtów dokonywa. Kitowicz naprzykład w swym Opisie zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III opowiada, jak toruńscy reformaci (należący do t. z. „provincyi polskiej“) po długim procesie z prowincyałem „pruskim“, opanowali „przybytek boży“ drogą zwykłego w starej Polsce zajazdu. Wzorów litewskich dostarczał nietylko *Le lutrin de Boileau*, ale i cały skarbiec encyklopedystyczny, z pismami Woltera w koronie. Fryderyk II, „Salomon północny“, nie szczędził zachęty, a atmosfera ustronia *Sans-Souci* urokiem sławy zagrzewała wenę satyryczną. Talent poety mógł sprostać zadaniu. Stała tylko na przeszkodzie szata arcykapłańska i charakter polaka, skłonny do kojarzenia sprzeczności. Obaczmy, jaką ma wartość ta najśmielsza i najokazalsza z pośród typowych satyr staropolskich.

Budowa *Monachomachii* nie przedstawia nic oryginalnego; *Antymonachomachia* jest jej wiernym cieniem. Tu i tam klasyczna sprężynka, pod nazwą „Jędzy“, wprawia w ruch całą maszynę. Jednostajność efektów, rozciągająca się aż do pozornych dowcipów dla rymu, i puste gadulstwo, właściwe naśladowaniom, są niewątpliwie plamami tej perły w koronie biskupa warmińskiego. Ale nie żądajmy od wierszopisa, aby, nie będąc tytanem, wyszedł z ram swego wieku. Jest on i tak lepszy od wielu, a *Monachomachia* — to przecie najdowcipniejsze z jego dzieci duchowych. Nie zaleca się ona urokiem pierwszorzędnej twórczości, ale błyszczy tu i owdzie srebrem plastyki mistrzowskiej. Siłacz Gaudenty, co „ręką nie piórem umiał dokazować“, i „skromnie udatny, pokornie wspaniały“ Hiacynt — są to postacie, które z pośród gromady ciemnych a drzemiących opileców wypływają na wierzch, siłą dłuta swego twórcy. Oto sylwetka mnicha, obdarzonego od natury wdziękami uwodziciela:

„Skromnie udatny, pokornie wspaniały,
U sióstr zakonnych pierwszy po doktorze.
Kształtny, wysmukły, hoży, okazały,
Posuwistymi kroki po klasztorze
Płynął — Zefiry z kapturem igrały.“

Hiacynt, wyprawiony wraz z Gaudentym w poselstwie od dominikanów na „górze Karmelu“, z mandatem wyzwania na dysputę mądrych ojców sąsiedniego klasztoru, zrećnie spełnia swą misję; pojawia się on,

dla ozdobienia sceny, i w pogodnym epilogu; ale w gorącej rozprawie nie uczestniczy, skwapliwie unika boju i rozkoszemu Erosowi przed Aresem pierwszeństwo daje:

„Wtenczas, gdy złością uwiedzione mnichy,
Wzięły się nagle do uzzonej broni;
Hiacynt miły, łagodny i cichy
Porzucea bitwę i od wojny stroni.
Słodkie rozmowy przerywały śmiechy —
Zegar zbyt prędko bieży, prędko dzwoni:
Płyną w zaciszy szczęśliwe momenta —
Wesół Hiacynt, dewotka kontenta“.

Godna swego Abelarda, Heloiza przedstawia doskonały typ umilającej katolickim derwiszom pełne pobożnych umartwień życie doczesne:

„Postać jej wdzięczna, oczy, choć spuszczone,
Przecież niekiedy błyszczą się jaskrawie:
Choć w świętej mowie słóweczka pieszczone,
Krył się subtelny kunszt w skromnej postawie.
Westchnienie, wolnym jękiem powleczone,
Umiała mieścić w potocznej zabawie.
Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy —
Przy Hipolicie—głos synogarlicy.“

Ruch dramatyczny, pomimo jednostajności położenia, przenika całą satyrę. Nie zachwyca mię jednak ani dysputa w IV pieśni, gdzie zamiast żywych okazów mniszego krasomówstwa, wchodzi w grę scholastyczne nazwy różnych trybów wnioskowania („*celarent*“, „*baroco*“ i t. p.); ani nawet zręcznie naszkicowana bójka w pieśni V, która prawdopodobnie leżała, między innymi wzorami, na biurku wieszczki Adama, przy pisaniu V-tej a może i IX-tej księgi najświetniejszego poezji naszej arcydzieła; daleko wyżej cenię pieśń II-gą — z ojcem Rajmundem, fatalnie gubiącym pantofel, strwożonym złą wróżbą, nieczułym na wołanie przyjaciółki, co czeka u fôrty, — z alarmem, jaki to zdarzenie wśród grona ojców karmelitów nagle wywołało, ze zjawieniem się wreszcie, niby cienia Banka, posłów dominikańskich w osobie Gaudentego i Hiacynta. Jestto najżywsza i najklasyczniejsza karta *M o n a c h o m a c h i i*. W VI-tej pieśni z konieczności zatrzymuje się akcja — na pobojuwisku świeci jutrzienka zgody, pod postacią bachusowego „*palladium*“, z wyrzeźbionym wyobrażeniem

czterech pór roku, olbrzymiego pucharu, który mimowoli przypomina „arcyserwis“ z XII księgi *Pana Tadeusza*.

Obok niepospolitej, jak na owe czasy, wartości artystycznej, *Monachia* szczyli się potęgą myśli postępowej, tonem śmiałej ironii wolnego człowieka, uderzającej na „rozkoszne siedliska świętych próżniaków“, gdzie „biali i szarzy, czarni i kafowi — w trzewikach i bosi mędrcy“ — piją, tyją, bzdurzą, sieją plotki i rozpustę płodzą. Nie koniec na tem. Nasza epopeja żartobliwa rzuca miejscami tak jaskrawe, radykalistyczne światło na całą armię piastunów poświęcanej tradycji, że mimowoli rodzi się pytanie: czyto jest rzeczywiście satyra przeciwko klasztorom tylko wymierzona? Przytoczmy, dla przykładu, jedną, niewinną n apozór wrotkę z księgi I-ej:

„W tej zawołanej ziemiańskiej stolicy i
Wielebne głupstwo od wieków siedziało;
Pod starożytnem schronieniem świątyni
Prawych czcicieli swoich utuczało.
Zbiegał się wierny lud, a w okolicy
Wszystko odgłosem uwielbiana brzmiało.“

Zapomnijmy na chwilę, że owa „zawołana stolica ziemiańska“ przedstawia tu skarykaturowany nieco typ miasteczek polskich, graniczących między wsią a miniaturowym grodem; przenieśmy tę świętą osadę nad Tyber i nazwijmy ją *Roma*... Przed logiczną konsekwencją podobnego przypuszczenia cofnąłby się niewątpliwie sam Ignacy Krasicki, który nie tylko dalekim był od radykalizmu, ale co dziwniejsza — występował często w roli szyderycy swego wieku i wielbiciela przeszłości. W tym biskupie modnym, w tym ufryzowanym arcydowcipnisiu z czasów Stanisławowskich dużo jest „miedzi złoconej“, dużo sztuczek pseudo-myślicielskich, gdzie filozof „sianem się wykręca...“ Urobiona wśród warunków życiowych, dwulicowość umysłu kazała pisarzowi, wykarmionemu mlekiem idei XVIII-go stulecia, bluźnić im częstokroć, a w najlepszym razie zaślubiać figlarnie postęp z zacofaniem i mazać lewą ręką, co się prawą nakreśliło. *Monachia* byłaby szczęśliwym okazem jednolitości harmonizujących z duchem czasu przekonań, gdyby nie ta smutna okoliczność, że ma ona bladą siostrę syamską, *Antymonachia*. W ostatniej pieśni tego poematu, zakrawającego na widmo skruchy pisarskiej, objawia się mnichom na dnie dzbana czworogarncowego prawda, niebianka alegoryczna niesłychanie uprzejma, która słowiczemi wyrazy komunikuje pija-

nemu gronu oświadczenie sympatii przyjacielskiej od autora Monachomachii, wraz z odgłosem szczerego, naturalnie, przekonania o świętości... zgromadzeń klasztornych. Nie wiadomo, czyto drwiny „galantoma“, czy skrucha literata. W każdym razie Antymonachomachia wobec Monachomachii jestto lewica, przekreślająca w części dzieło prawej ręki, krok w tył, po dwu krokach naprzód. Krasicki nie przeniwierał się tu więc odwiecznej metodzie naszych postępówców.

II.

Poza drużyną typowych uprawiaczów humoru satyrycznego, którzy w stosunku do wytrwalszej powagi i warownej strażnicy konserwatyzmu, t. j. do systemu ustalonych wierzeń zachowali się jużto przyjaźnie, jużto dwuznacznie, natrafić możemy na odważne jednostki, co, zgodnie z duchem czasu, szły naprzód z pochodnią ironii, nie zacierając ustępstwami śladów swej drogi. Nie są to zapewne olbrzymy, ale w każdym razie postacie, zasługujące na szacunek: żarty ich w danym zakresie nacechowane śmiałością, nie chwieją się, nie przekreślają wzajem, a za tło i tarczę służy im zawsze stal przekonania postępowych. Takim konsekwentnym działaczem na niwie dowcipu tendencyjnego był w XVI-ym stuleciu Mikołaj Rej, w XVIII-tym Tomasz Kajetan Węgierski. Obaj dziś nie cieszą się poważaniem; oddzieleni od siebie przestrzenią wieków, podobni charakterem i temperamentem, słyną, jako bluźniercy salonowej przyzwoitości: tamten (pomimo naczelnego w porządku czasowym stanowiska) ma opinię nieuka i gbura, ten — lekkomyślnego bezecnika i paszkwilisty. W dalekiem echu zdobytej sławy jest bezwątpienia wiele słuszności: Rej rzeczywiście nie był uczonym, a młodzieńki szambelan Stanisława Augusta biegał, jak niedoświadczone chłopię, po manowcach żywota, gonił namiętnie za rozkoszą, i co pomyślał, to napisał. Z tem wszystkim, wobec naszego przedmiotu, nie są to marne gaduły, ni posągi dwulicowego Janusa (o które w Polsce nie trudno); są to dwa umysły z czystszeo, niż inne, tworzywa, wierne drogowskazy idei swego czasu, domagające się od nas czci i wyróżnienia.

Satyra Mikołaja z Nagłowic dotyka różnych sfer życia praktycznego; ze szczególną jednak siłą uwydatnia się w obronie dwu zasad: „prawego szlachectwa“ i protestantyzmu.

Za nic skarby i przywileje odziedziczone po przodkach, gdy im nie wtoruje zasługa osobista. „Jeśliżes szlachcic, żywze poczciwie, jak na

szlachcica przysłusze;“ śmieje się z gawiedzi, co oddaje cześć groszowi i okadza herby:

„Jedni gdy łańcuch uźrzą, wnet mu się kłaniają
Już nie pana, lecz złoto za szlachcica mają.
Snaż na sprosnego osła gdyby gi (go) ułożono,
I temuby poczciwość z daleka czyniono
.....
Drudzy się chlubią herby narody staremi —
A wszystko allegując zawždy przodki swemi.
Przodek niewiem jaki był, leez potomka prawie
Mógłby właśnie z..... zwać na każdej rozprawie.“

Granice stanu uprzywilejowanego są dla Reja brzegami areny czynów i spostrzeżeń. Gdy pisze o człowieku, myśli ciągle o szlachcicu polskim; ale chce go podnieść moralnie, chce ujrzeć w nim „drzewo cedrowe na Libańskich górach“, imponujące „głuchym a prostym drzewom;“ nie zasklepia się zatem w uwielbieniu, i smagając słabe strony życia szczęśliwych karłów, występuje niekiedy w roli trybuna ludu (patrz *Wizerunek* r. XI, p. n. „Solon“). Najwdzięczniejszym wszakże dla naszego utalentowanego samouka polem działalności była walka o reformę religijną, o prawo życia według ewangelii. Tu z bogaciła się jego wiedza i zaostrzył do wciip. W poemacie filozoficznym *Wizerunek żywota człowieka poczciwego*, ułożonym na wzór Palingienesowego *Zodyaku*, szturmuje on do różnych bastyonów rzymsko-katolickiej twierdzy. Drwi niemiłosiernie z wystawnej teatralności obrzędów:

„Tłuką dzwony, śpiewają, kropidły machają,
Kurzą, piszczą w organy, nisko się kłaniają.
Zgola święcą i świece, chodzą po kolędzie
Z wodą świętą i z sobą też biegają wszędzie.
Ognie palą i chodzą pięknie z procesyją,
Na Judasza fukają a Jezusa biją, —
.....
Owa nadobnie patrzeć; jeśliże to miło
Panu Bogu, mnieby się nigdy nie sprzykrzyło...“

Na celibat spogląda, jako na maskę rozpusty i zwierzęcego wielożeństwa, — a klasztory, mianowicie panięskie, uważa za przybytki więzienne — wynalazku szatana — przeznaczone dla ofiar gwałtu i obłąkania:

„Takież i owy czajki, co na głowie platek
Noszą z harasu ¹⁾, rzkomo opuściwszy świeatek.
Ano bodaj tak zdrowa, by powoli było,
Jakoby się i z płatkim w tanka nie skoczyło.
O szaleni rodzicy, którzy tak działają,
Że pocziwe dziewczeczki do tej klozy dają!
Zasz nie lepiej chytrego tem szatana zdradzić:
Wydać za mąż panienkę i przyjaciół nabyć?”

Duszę namiętnego protestanta przenika bezwzględna nienawiść ku starym przedstawicielom i sługom nawy Piotrowej. Gdy wspomina o nich, fantazyja jego wysila się na wynajdywanie coraz to obelżywszych epitetów: nazywa ich wilkami o postawie baranka, kąkołem, „marnem nasieniem, co zawsze w słup roście“, „wodą plugawą“ — słowem, jestto szyderca z pod sztandarów reformacyi, daleki od wchodzenia w układy z nieprzyjacielem.

Zauważono niegdyś, że w *Żywocie człowieka pocziwego*, książce napisanej mową niewiązaną, wydanej w dziewięć lat po *Wizerunku*, Rej nie napada już na katolicyzm, że więc dziełko to zdradza większy, niż poprzednie, spokój i harmonię psychiczną. Z tego powodu *Żywot człowieka* urósł niepospolicie wobec opinii narodowej — niegrzeczny dla duchowienstwa, pełen brutalnej ironii, *Wizerunek* strącono pogardliwie do ciemnic Hadesu. Debatowano jednak, co sprawiło w autorze tak cudowną odmianę, i z Trzeciekim w rękę — odgadnięto (1), że Mikołaj z Nagłowic, mogący mieć wówczas przeszło lat 60, dochodził właśnie, czy doszedł już do właściwej wiekowi męskiemu dojrzałości, i co za tem idzie, wziął rozbrat z polemicznymi zabawkami, któremi się parał w 53 i 55 wiosnie swego życia. Mniemanie to, powtarzane *usque ad nauseam* przez powołanych i niepowołanych, nie wytrzymuje żadnej krytyki. Prawdopodobniejszą o wiele wydaje się nam hipoteza prof. Szujskiego (*Odrodzenie i reformacya*, str. 91), który zjawisko dane uważa za skutek powszechnego już jakoby, około 1566 r., ostygnięcia namiętności religijnych w Polsce. Ruch protestancki doszedł właśnie wtedy do swego apogeum; ale była to zarazem chwila, poprzedzająca pierwsze brzaski reakcyi katolickiej: w Brunsbergu (1564) i w Pułtusk (1565) stanęły już posterunki Towarzystwa Jezusowego. Trudno się jednak zgodzić z historykiem na to, że *Żywot czło-*

¹⁾ „Gatunek lekkiej materji wełnianej (Linde).“

wieka pocziwego nie nosi na sobie „cechy wyznaniowej.“ Owszem, wyznanie pisarza świeci na kartach wymownem piętnem; z relikwią katolicką łączy je chyba tylko nienawiść do antytrynitarzów (*Capitulum IV*). Autor unika widocznie polemiki z papistami, ale im nie ustępuje. Mówiąc o wyborze zawodu, nastęrcza młodemu ziemianinowi chleb dworski lub żołnierski (o duchownym — ani wzmianki); artykuł zaś: „W jakim jest omierzeniu żywot bezzakonny u Pana“ — mierzy wyraźnie, choć pośrednio, w samo sedno instytucyj katolickich. Słowem, jest to dzieło protestanta, przemawiającego do współwyznawców tak, jakby już cała Polska była opanowanym przez nich krajem, jakby po rozproszeniu bojowników starego obozu, zwycięzka chorągiew reformacyi nad nim powiewała. Bezwzględne o wrogach milczenie, gorsze od najzjadliwszej satyry... Któżby śmiał powiedzieć, że jest ono synonimem przyjaźni, lub nawet tolerancji? Jakie powody znagiły Mikołaja z Nagłowic do zawieszenia walki z katolikami, czy, połączona z pogardą, pewność zwycięstwa, czy ustawiczne między protestanckimi wyznaniem rozterki, czy też osobiste znużenie, — trudno rozstrzygnąć; to jednak pewna, że raczej — śmiertelna nienawiść, niż przyjaźń. Do podobnego wniosku doprowadza nas i ten ważny szczegół: że choć na głównej linii wywodów etycznych i społecznych danego dziełka nie zaczepiał autor bezpośrednio księży katolickich, to jednak rzucił na nich jaskrawy promień żartu w przykładach i akcesoryach. W artykule np. charakteryzującym stan rycerski, znajdujemy anegdotkę „o jednym opacie, który stracił był chuć do jedła“, a po trzydniowym głodzie, strzeżony pod kluczem, cudownie odzyskał — opowiedzianą tonem tak komicznym, że czytając ją poraz pierwszy, od serdecznego śmiechu wstrzymać się prawie niepodobna. Poważna ze swego charakteru postać odgrywa tu rolę błazna w kłopotcie lub kota z przyczepionym do ogona pęcherzem. Szczegół ten, rozważany jako osobnik, jest bezwątpienia pomysłem niewinnym, wyrazem jowialności typowej w rodzaju opowiadań Paska; ale w połączeniu z całym łańcuchem wywodów danego dziełka wobec rozmyślnych przemilczeń, które bądź cobądź zdradzają zimny rozbrat, po długiej walce z nieprzyjacielem, ma on wartość świadectwa lekceważącej nienawiści.

Żywot człowieka pocziwego, blada podobizna *Wizerunku*, nie przedstawia wyższych tonów satyry społeczno-religijnej. Jeżeliśmy o nim mówili, to jedynie dlatego, aby okazać, że arcypatryarcha naszego piśmiennictwa i w tej próbie autorskiej utrzymał się na stanowisku swych przekonań, podszeptanych przez ducha wieku. Poglądy na „prawe szlache-

ctwo, oraz cała, woniejąca silnie konserwatyzmem, filozofia „środka“ w obu głównych dziełach są zgola identyczne. Różnostronną wszakże analizę utworów Mikołaja z Nagłowic pozostawiamy dziś na uboczu i kontentujemy się jedynie przeświadczeniem, że Rej, jako satyryk—apostoł reformacyi, jest śmiałym kolorystą, niezacierającym lewą rękę tego, co prawa nakreśliła.

Tomasz Kajetan Węgierski, prawowite dziecko swego wieku, ów meteor, co zabłysł w literaturze na lat kilka (1773—1779), i zgasł, zostawiając po sobie zimne wspomnienie, był jednym z najbystrzejszych i niezawodnie najśmielszym z satyryków polskich. Te pierwszorzędnne zalety umysłu stały się dla poety istną puszką Pandory: spowodowały wczesne, przyspieszające zgon, tułactwo i zjednały mu wielu nieprzyjaciół — nietylko za życia, ale i po śmierci. Żywy odgłos oburzenia, jakie niegdyś wtórowało sarkastycznym wierszykom nieszczęśliwca, znajdujemy w pseudo portrecie literackim, skreślonym ręką... wicie przecież, czyją. Napróżno byśmy tam szukali rysów zgasłego przedwcześnie pracownika; choć farby i wzory malarz miał pod ręką. Niech nas to jednak nie dziwi; postaci takie, jak Węgierski, nie odbijają się nigdy w ortodoksyjnym zwierciadle ze strony licowej. Grzbiet, wierzchołek głowy (ozdobiony zazwyczaj rogami), pięty śmiałka—szatana mogą w niem jeszcze znaleźć swój wizerunek; ale nigdy oblicze. Gdyby się był przynajmniej Węgierski poprawił, możnaby było pokazać go grzecznym dzieciom; ale cóż—umarł przedwcześnie, i to wtedy, gdy lepsze począł rokować nadzieje... Lepsze? Wszakże na księcia Walii, u schyłku życia, na tułactwie złośliwą napisał satyrę... Rozpustnik i gadatliwy dowcipniś miał on chorobliwą skłonność do klecenia paszkwilów. Jaka szkoda, że przyjaciele od serca nie starali się o wyleczenie z tej gorączki niebezpiecznego pacjenta! Owszem, ordynans lekarski, noszący na sobie cechę posuniętej daleko cywilizacji, wydano; ale zastosowaniem nikt się nie śmiał zająć: bardzo prosty i zapewne skuteczny środek przeciw złemu proponował czcigodny Trębecki, szambelan o giętkim karku i posłusznym języku, poeta z bezdenną skarbnicą natchnień, złożoną w depozycie u chlebobdawcy (zrazu Stanisława Augusta *et consortes*, a potem jego wroga, Szczęsnego), autor wreszcie kilku paszkwilów, gdzie słabych na ząb szyderstwa brano... Musiał to być środek nielada, kiedy mąż, co niedawno ze sławą znakomitości zstąpił do grobu, serdecznym darzy go poklaskiem: „Czego zaś najwięcej żałować, że to, czem mu za warszawskie paszkwile groził Trębecki — to jest bo le-

sną admonicyą po grzbiecie (*sic!*) — pozostało w stanie groźby. Zapewne byłoby go to uleczyło od tej wady charakteru"... Spuśćmy zasłonę... Krew uderza do głowy i duch się zasępia. Lepiej już przestawać z najniebezpieczniejszymi pacjentami, niż czytać recepty naszych psychiatrów.

Drobna wiązka utworów Tomasza Kajetana, ocalonych od zagłady — obrzezanych i pomieszanych z obcymi w edycjach Mostowskiego i Breslauera — przedstawia różnej wartości próby rymotwórcze, tłumaczenia, przeróbki i wiersze oryginalne. Za wzór utalentowanemu młodzieniaszkowi służył z początku Trębecki, potem Wolter; niedługo on wszakże był kopią swoich mistrzów, szybko wyzwał się z pod władzy powag. Nawet przekłady Węgierskiego świadczą zarówno o dobrem zrozumieniu oryginału, jak o samorzutności ducha, niecierpiącej obcego lennictwa. Dowód na to znajduję, między innymi, w próbie, należącej prawdopodobnie do najrańszych pierwocin, mianowicie w swobodnym tłumaczeniu etycznego poematu Woltera *De l'égalité des conditions*, podanem przez wydawców za oryginał:

„Lecz mi kto pewnie powie: co za błąd straszliwy!
Nie jestże nad drugiego stan jeden szczęśliwy?
Pana podsędka bardziej nie radażby żona,
Aby ją, na sprężynach giętkich zawieszona,
Po balach, po asambalach kareta woziła,
Niż żeby do kościoła skarbniczkiem jeździła?
Mnich, co na jutrznię w zimie wstawać musi rano,
Lub któremu po kweście w mróz chodzić kazano,
Co w piątek bez winy bierze dyscyplinę,
Niechciałbyż być biskupem chociaż na godzinę,
Aby sobie wygodnie, czasem nie sam może,
Zemdlone złożył członki na puchowe łożę“?

Zestawmy to spolszczenie z francuskim pierwowzorem:

„Hé quoi, me dira-t-on, quelle erreur est la vôtre!
N'est-il aucun état plus fortuné qu'un autre?
Le ciel a-t-il rangé les mortels au niveau?
La femme d'un commis courbé sur son bureau.
Vaut-elle une princesse auprès du trône assise?
N'est-il pas plus plaisant pour tout homme d'église
D'orner son front tondu d'un chapeau rouge ou verd
Que d'aller, d'un vil froc obscurément couvert,
Recevoir à genoux, après la u d e ou m a t i n e,

De son prieur cloître vingt coups de discipline?
Sous un triple mortier n'est-on pas plus heureux
Qu'un clerc enseveli dans un greffe poudreux?"

Już stąd widać, że młodziutki rymopis pragnął ideje zachodnie przeszcześcić na grunt swojski, a choć nie był rzeźbiarzem słowa, nie zacierał jednak miejsc drażliwych, owszem, starał się chłopięcą żądzą obnażenia prawdy prześcignąć samego mistrza.

Ta sama dążność z nierównie większą siłą wyraża się w *Organach*, bliższej, a słabszej znacznie od *Monachomachii*, podobiznie *Pulpitu*. Samodzielnosc poety krępują tu jeszcze ciasne karby modnego naśladownictwa, a rodzimy dowcip znajduje swe ujście w pojedynczych tylko wyrażeniach i sylwetkach, rzuconych mimochodem w fałdy pożyczanej szaty. Trudno też, miłując prawdę, nie zrobić jednej uwagi, ku obniżeniu wartości *Organów*: brzęczy w nich szpetny, właściwy wiekowi dysonans. W humorystyczny opis walki między proboszczem a organistą, o prawo wyboru baby do kalkowania, wplótł poeta osobistą skargę na niepopłatność talentu:

„ . . . Czekam ci, zawsze jak goły, tak goły,
Kiedy kto w niedostatku i rozum się cieśni:
Ot niewiem, co wam powiem w tej tu piątej pieśni,
Jak organów przywiodę znowu na plac dzieje?
I kogut, zjadłszy ziarnko, milej trochę pieje.“

Nie przynosi to wprawdzie ujmy jego honorowi; bo dopominając się o pomoc materyjalną, nie pochlebiał podłości, pióra swego na targ nie woził, a żył w wieku mecenasów, gdy dwory spełniały obowiązek cywilizacyjny dzisiejszych redakcyj i księgarni wydawniczych. Zbytecznem byłoby przypominać, że wszystkie znakomitości literackie przeszłego stulecia rosły na ciepłym łonie protekcyi pańskiej. Była to więc choroba, a raczej organiczna ułomność wieku; nikt wogóle z pisarzy nie był od niej wolny. Ale dzisiaj, gdy wyszlachetniał pogląd na sztukę, a ze zmianą warunków, oczyszcila się atmosfera społeczna, głos żołądka, prośba o datek razi nas w epoce — nawet humorystycznej.

Silniej od wzorów zagranicznych wpłynęły na charakter poety stosunki miejscowe. Podłość i obłuda, z ciemnotą w parze, pobudzały do uderzenia w strunę satyry, a naiwny optymizm panegirycznych wierszydeł, powszedniego chleba możnowładców i bogatszej szlachty, brzmiały dokoła w chwili, gdy państwa ościenne tylko co dokonały pierwszego na Rzeczy-

pospolitej rozbioru, oburzał młodziana i przyspieszył, jak sędzę, proces psychiczny, którego owocem było nagie szyderstwo. Dość jasny wykładnik takiego rodowodu pesymistycznych tendencji pisarza znajdujemy w jego charakterystycznej apostrofie „do wierszopisów“:

„Biskupi, kanonicy, świeccy i pijarzy,
Słowem wszyscy, którym się wiersze pisać zdarzy,
Czyńcie, jak ja, bazgrajcie, drukujcie, co chcecie,
Ale wszystkich bez braku nie chwalcie tak przecie.
Gdziekolwiek się obróczę, w które pójdę strony,
Wszędzie nudnymi rymy jestem zarzucony.
Ten człeka bez sumienia poczeiwym być głosi,
Ten przedawcę ojczyzny w niebiosa wynosi,
Tego, co za pieniądze urzędu nabędzie,
Wielbi i w zasłużonych chce go mieścić rzędzie.
Wiersze piszą, byleby czyje imieniny
Wiersze piszą, byleby czyje urodziny,
Jeszcze wiersze, byle kto sprzykrzywszy sam w domu,
Ślubował przy ołtarzu kaci wiedzą komu.
Jęczę prasy i biedni drukarze się poca,
Głupie się mózgownice ledwie nieprzewrócą;
Obiecują ojczyźnie poprawę zlej doli —
Dlaczego? — że się żeni jakiś pan podstoli“.

Niezależnie od tego, atmosfera dworska rozgrzała przedwcześnie i zepsuła krew młodą, zachęcając do fabrykowania pryapowych zwierciadełek. Poeta miał dowcip — a bezwstyd był w modzie — posypało się więc na bruk stołeczny mnóstwo sprosnych wierszydeł, w rodzaju takich, jak *Przypadek w piwnicy*, *Żona sen*, i t. p. Nikt już dzisiaj nie śmiałyby nic podobnego drukować, a ktoby zapragnął skruszyć kopię w obronie tego rodzaju literatury, naraziłby się pewno na jednomysłne — chociaż nie wiem, czy szczerze — „veto“. Wówczas jednak najmniej przeciwko temu powstawano: naturalizm w humorystycznym szkicowaniu stosunków płciowych znalazł całe tłumy wielbicieli.

I gdyby był Węgierski poprzestał na tytule poety przedpokojów i buduarów, a od czasu do czasu powiał w górę kadzielnicą pochlebstwa, nie doznałby był nigdy prześladowania, a krytycy potomni usypaliby mu kopiec nieśmiertelnej sławy. Ale nie należał on do rzędu przykładowych dworaków: hipokryzja i niskie pochlebstwo nie znalazły w nim czciciela; zamiast się płaszczyć przed możnymi, cenzurował ich bez ceremonii w genialnych foto-

gramach, niewłaściwie ochrzczonych zelżywą nazwą paskwili¹⁾). Powiadam: nie w ł a ś c i w i e — bo charakterystyczną cechą tego rodzaju utworów jest bezmiennosc i potwarcze kłamstwo, a Węgierski pisał, co myślał, nie zapierał się płodów swego pióra. Jaka szkoda, że je tak skwapliwie niszczone, że dotąd jeszcze, pomimo upłynionych stu lat z górą, chowają się gdzieś na dnie kosza tajemnic domowych! Gdyby nie to, że ślepa zeni-
sta skazała poetę na wygnanie, gdyby nie drażliwe samolubstwo i głupota, lubująca się tylko w kadzidlach, mielibyśmy dziś może oryginalną galerię portretów, kreslonych z natury, piórem — namiętne wprawdzie, ale dziel-
ne i nieposzlakowane uczciwie. Byłaby to zaiste jedna z najpiękniej-
szych pamiątek po zapadłem w grób widmie „złotej wolności“...

Kto ciekawy dowiedzieć się, jakie to cnoty Węgierski w mniemanych swych paszkwilach znieważał, niech odczyta wiersz „Na wjazd do Warszawy senatora w r. 1778“.

„Niespracowany senator, choć w drodze,
Dźwiga na sobie swej godności znaki:
Wstęgi na piersiach, ledwie nie na nodze,
Opończa nawet wydaje, kto taki.

.
Cała Warszawa byłaby się zbiegła
Z powinszowaniem uczcić przyjazd miły,
Lecz pańska skromność w tem była przebiegła,
Że bryki, maże przystęp zaważyły.
Uwielbiaj i ty, muzo, w skromnej mowie,
Wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie“.

Prawdziwą zasługę umiał on cenić; na stosunki społeczne patrzył poważniej, niż niejeden z ówczesnych statystów. Uprzedzeni arystarchowie nasi sądzą, że do r. 1779 czy 80, był to jedynie płochy młokos, kalający, dla próżnej sławy, dobre imię wielkich mężów i zacnych niewiast, — że podróż dopiero przymusowa na poważniejsze go zwróciła tory. Jestto bezzasadne mniemanie, gładki a napuszony (może tendencyjny) paradoks, nic więcej. Trudno zaprzeczyć, iż doświadczenie życiowe, kilkoletni pobyt za granicą, rozszerzony znacznie obszar stosunków towarzyskich, wpłynęły

¹⁾ Bielawski, biedna ofiara częstych Węgierskiego pocisków, nie należał do „nożnych“, ale wystawił nędzną komedyjkę pod egidą króla Jegomości. Nie można więc brać za złe satyrykowi, że protegowane niedołęstwo ośmieszał.

dotatnio na umysł poety; — ale nie wywołały w charakterze przewrotu. Wiersz „do Jędrzeja Zamojskiego“, napisany między r. 1776 a 1778, dowodzi wymownie, że nasz satyryk, jeszcze przed narysowaniem „Portretów pięciu Elżbiet“, nietylko trzeźwo oceniał ówczesny stan swego społeczeństwa, ale nawet przewidywał konkluzję, jaką w danym zakresie wyprowadzi konieczność dziejowa z przeszłych i bieżących premis ¹⁾. Byłemu kanclerzowi składa poeta wyraz czci w tonie, godnym obywatela rzeczypospolitej:

„Komu naród układu praw swoich powierza,
Kto szacunek publiczny zasługą wymierza,
Kto umie złożyć urząd, tak, jak go sprawować,
Temu może Węgierski imienin wieszować“.

Ale gorzkim zwątpieniem nawskróś przenikniony, nie wróży powodzenia nowemu kodeksowi praw narodowych:

„Nie jestem z tych, co przyszłość malują szczęśliwą.
Przeszłe dzieje boleścią rażą mię dość żywą“..

Satyryk-humorysta, człek z płochości słynący, przeczuł tu niemal smutną chwilę z r. 1780, bezecną scenę deptania w izbie sejmowej dojrzałego projektu, na który całe wieki czekały. Ci, co w pomysłach poety sprosne tylko widzą figle, powinnyby ten akord poważny wpisać do swego albumu i wyuczyć się go na pamięć. Duchownym nie śmiemy tego proponować; bo poeta, wolteryanin, silnie podejrzewany o ateizm, nie zdradził w swych płodach najmniejszego dla nich szacunku. Antypatya pisarza ku uprzywilejowanemu od wieków stanowi wyraziła się jaskrawo w wierszu „do księdza Węgierskiego“, któremu satyryk doradza porzucić niewdzięczny zawód wierszoklety i pójść drogą, przez dostojników kościoła rzymskiego z dawna udeptaną:

„Porzućże Apolina i z większym honorem
Stań się jakiej piękności dusznym dyrektorem;
Albo jeśli się sądzisz jeszcze nader trwałym,
Staraj się wdziękom jakim podobać zdawniałym.
Cięższa trochę powinność, przykrzejsza jest praca,
Lecz się rzucone ziarnko stokrotnie powraca.

¹⁾ Utwór ten, prózny ironii, cechuje od początku do końca powaga wieszczar-myśliciela.

Wkrótce zmienisz w fiolet czarną rewerendę,
Porzucisz dla biskupstwa ubogą prebendę;
A codzień w coraz wyższe wynosząc się sfery,
Będziesz zalegał krzesła i dźwigał ordery;
I na starość w lubieżnym spoczawszy seraju,
Pójdiesz, jak święty biskup, prosto stąd do raju.
Nam świeckim nieuchodzą wcale takie żarty,
Zarazby nas w moc swoją zagarnęły czarty:
Lecz wy, co z panem Bogiem codzień rozmawiacie,
Co go codzień pijecie i codzień zjadacie,
Łacniejsza wam z nim zgoda: Aleksander szósty
Wam wszystkie te pomyślne wyjednał odpusty.
Gdyby księdza którego Bóg chciał sądzić ostro,
Nie sypiałem z mą córką, rzekłby ani z siostrą,
Ziomków nie zabijał, monarchów nie wadził,
Za cóżbyś mię choć przy nim w niebie nie posadził?
Niemasz co na to mówić, i upewniam ciebie,
Że możesz żyć, jak zechcesz, będziesz pewnie w niebie“.

Szczytem śmiałości satyrycznej w kierunku kościelno-religijnym jest wiersz „do Ogińskiego, hetmana w. l.“ — Pod pozorami płochego żartu brzmi w nim potężny akord śmiechu tytanów, na jaki pewno nie zdobędzie się lada pisarz o pośredniej sile:

„Niewiem prawdziwie, mospanie hetmanie,
Co się na tamtym świecie ze mną stanie.
Ksiądz Łuskina ¹⁾ powiada i wierzyć mu trzeba,
Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.
Cóż robić? — kiedy w księgach mego przeznaczenia
Tak stoi: wyrok losu ciężko się odmienia.
Żał mi jednak, że mnie tam zła prowadzi droga,
Bom ciekawy i radbym widzieć Pana Boga,
Jak poważnie na tronie z dyamentów siada,
Jak zręcznie, bez ministrów, tą machiną włada —
Bo jak moim rozumem słabym mogę sądzić,
Trudno kawalkiem ziemi, trudniej światem rządzić“.

Mógłby ktoś zarzucić autorowi rażącą nieproporcjonalność między natchnieniem i celem a środkami logiczno-artystycznymi: aby pochwalić

¹⁾ Jezuita i redaktor, czyli, jak dawniej nazywano, autor *Gazety Warszawskiej* od roku 1774 do 1793.

orkiestrę słonimską, uorganizowaną przez znakomitego protektora sztuki, czyż potrzeba było brać na ząb dowcipu biblijne „Hosanna“, tak zuchwale zaostrzać pociski i miotać je aż ku górnej sferze przedwiecznych tajemnic! — Zmniejszy się jednak w naszych oczach wina człowieka-poety, jeżeli zauważymy, że celem szyderstwa nie jest tu bynajmniej czyste pojęcie przyczyny przyczyn, wzniosła abstrakcja wszech-ideałów, lecz jedynie parodia tego wszystkiego, co wzniosłe, sklecona dłonią ciemnoty i fałszu..., zmniejszy się i wina satyryka próbującego sił na niwie panegirycznej, gdy przypomnimy sobie poważne zasługi Michała Ogińskiego, nie jako człowieka z piersią stalową, ale jako rozumnego a utalentowanego obywatela, krzewiciela przemysłu i fundatora kanału, który dotąd imię jego nosi.

Na podstawie tego, cośmy dotąd, mając w ręku drobną wiązkę próbek młodocianych, o Węgierskim powiedzieli, nie wahamy się zaliczyć go do drużyny orląt polskich. Obdarzony dowcipem i wielką bystrością umysłu, gorący czciciel prawdy, nieubłagany wróg obludy, dzielny pisarz zapowiadający mistrza, mógł on, przy umiarkowańszym nastroju etycznym i sprzyjających warunkach, stać się epokową gwiazdą piśmiennictwa. Schodząc z pola miał lat 24, a ileż to razy w szczęśliwszych rzutach pióra, tendencją radykalistyczną i śmiałym polotem dowcipu prześcigał swe wzory. Genialnemu dziecięciu wieku duszno było w atmosferze literatury naśladowniczej. Charakterystyczne, chociaż skąpe światło na wybijającą się z karbów mody żądzę samodzielności w tworzeniu rzuca małeńki wierszyk: „Myśl o poezji“:

„Jeśli do ciężkiej przykuty roboty,
Mam bawić innych wśród mojej tęsknoty,
Jeśli wiersz tylko z pracą wymuszony
Wiecznej pamięci ma być poświęcony,
Jeśli smutnego słuchając prawidła:
Mam bujnej myśli hamować wędzidła,
Zbyt obarezone chętnie kruszę pióra;
Dla mnie świat polem, granicą natura“

Niewola ducha i narzucona sztywność formy były więzami dla młodego poety; mściwa obluda — maczugą dla zuchwałego satyryka, co śmiało ilustrować rysy bogów i bogiń Rzeczypospolitej.

* * *

W powyższej wiązance sylwetek starałem się głównie o scharakteryzowanie ważniejszych zjawisk humoru satyrycznego w literaturze staro-

polskiej i o uwydatnienie kontrastu, jaki zachodzi między chwiejnością typowych jego przedstawicieli (jak Kochanowski, Kochowski, Krasicki), a doniosłym, stanowczym głosem idących za europejskimi prądami, samodzielniejszych jednostek (Rej, Węgierski). Myśl przewodnia i szczupłe ramy pracy kazały się nam ograniczyć na odtworzeniu śmielszych przeważnie tonów tendencyjnego żartu, tonów, gdzie podmiotowa siła dowcipu skojarzyła się z ważnością przedmiotu. Posępny morał bez dowcipu i humor bez satyry, wobec wyrażonego w nagłówku zadania, mogły nas tylko nawiasowo zajmować. To też zarówno pesymista o Katonowem obliczu, w rodzaju K. Opalińskiego, jak Chryzostom Pasek ze swą dobroduszną jowialnością pozostali na uboczu, nietknięci.

Antoni Gustaw Bem.

WYCHOWANIE PRZESZŁE I OBECNE.

(SZKIC).

Ilekcroć pragniemy sprawiedliwie ocenić to, co jest, zawsze mamy pewien obowiązek zwrócić się ku przeszłości. Geneza bowiem stawania się każdego faktu już sama przez się mówi o nim jak najwymowniej; a na takim rodowodzie oparte ludzkie twierdzenia nabierają dopiero wartości. To też, mając tutaj przedstawić rezultaty wychowania nowoczesnego, mimowolnie sięgamy myślą w dzieje i zapytujemy, jakie to koleje, oraz reformy przechodziła ta edukacya człowieka, jaką obecnie mamy w Europie. Trudno jednakże zaczynać od pierwostanu ludzkości, trudno się zbytecznie rozwodzić i podawać systematyczny obraz historii pedagogiki. Zdołamy tu zaledwie nakreślić szkicowy przegląd, w którym zaznaczone zostaną kroki postępu, uczynione na polu wychowania w przeciągu jakiego tysiącolecia. Owe kroki posłużą nam może do wymierzenia obecnego postępu i do zaznaczenia niektórych dążeń ku lepszemu w przyszłości.

Wiadomo, że bardzo już wczesnie zakładano w chrześcijańskiej Europie tak zwane szkoły parochialne, więc odpowiadające niby dzisiejszym szkołom ludowym. Pamiętać jednak trzeba, iż punkt ciężkości wieków średnich nie mógł tkwić w wykształceniu mas; cele pedagogiczne ówczesne miały na oku głównie wychowanie duchowieństwa. Aby tej potrzebie kościoła zadosyć uczynić, fundowano szkoły przy klasztorach i kościołach katedralnych. Z pomiędzy szkół klasztornych zasłynęły przedewszystkiem benedyktyńskie, których zadaniem było nietylko kształcenie księży, ale

także wychowanie wogóle. Są to — możnaby powiedzieć — embryony dzisiejszego szkolnictwa. Prawie od połowy XII-go wieku szkoły benedyktyńskie zaczęły mocno chylić się do upadku, a to z powodu wielkich bogactw i w ślad za tem idącego sybarytyzmu mnichów. W XIII-tym więc stuleciu łatwo było zasłynąć swemi szkołami franciszkanom, oraz słynnym z prześladowania kaczerzy dominikanom. W szkołach klasztornych przeciążano uczniów pamięciową naukę.

Już jakoś w połowie VIII-go wieku biskup w Metz, widząc z jednej strony karność benedyktynów, ich wziętość i znakomite powodzenie, a z drugiej strony powszechne rozprzężenie obyczajów kleru świeckiego, zgromadził przy swej katedrze księży i zalecił im wspólne życie w klasztornym rygorze, oraz nauczanie młodzieży. I wtedy to powstały szkoły katedralne, które miały wprowadzić za główny cel kształcenie księży, niemniej wszakże otwarte były i dla ludzi świeckich. Zapewne tą drogą najprzód nauka zaczęła wychodzić w świat poza mury klasztorne i poza zwarte szeregi kasty. Tak w szkołach klasztornych, jako też katedralnych główną figurą był *scholasticus*, ksiądz, który tu pierwotnie nauczał filozofii, teologii, języka i literatury; później zaś — przy znacznym napływie uczniów, bywał on jedynie głównym kierownikiem i zwierzchnikiem szkoły. Podwładnym jego był *rector*, który pierwotnie nauczał nauk: czytania i pisania, rachunków, gramatyki łacińskiej; później jednak zastępował on w nauczaniu scholastyka, kiedy ten obarczony został znaczną pracą zarządu w szkole. Trzecim z rzędu w średniowiecznej hierarchii szkolnej był *cantor*, podlegający władzy scholastyka i rektora; on to nauczał głównie śpiewu kościelnego, przygotowywał kalendarz, a — w miarę swego uzdolnienia — nauczał także w szkole różnych przedmiotów.

W późniejszych czasach już i po mniejszych miastach zakładano szkoły z urządzeniem podobnem do katedralnych; ale tu nauczano tylko *trivium*. W miarę tego jak się wzmagały bogactwa księży, wzrastała jednocześnie ich gnuśność, a w ślad za tem szedł upadek szkół, pod kierunkiem duchowieństwa pozostających. Już w połowie XII-go wieku księża sprzedawali urzędy szkolne ludziom świeckim; i ten właśnie stan rzeczy ma bardzo duże znaczenie dla sprawy postępu, przez to bowiem wystąpiła możność wyrabiania się oddzielnego a niezależnego nauczycielskiego fachu. We wszystkich szkołach, o których powyżej była mowa, rząd wychowawczy polegał na surowych karach: bito i ogładzano uczniów bez litości, a ci swoją drogą byli niezmiernie krnąbrni oraz

zuchwali; nierzadko w szkole średniowiecznej przychodziło pomiędzy zakonami do bójek, których rezultatem bywała śmierć albo śmiertelne rany. Podręczniki szkolne z powodu ogromnej drożyzny książek mało kiedy dostawały się uczniom do ręki. Najbardziej rozpowszechnione były gramatyki łacińskie: Pryscyana i Donata; również: *Satyrykon* Capelli, *De septem disciplinis* Kasyodora, *Doctrinale* Aleksandra Döle. Sposób nauczania zupełnie odpowiadał duchowi czasu. Nauczyciel mówił, czytał lub dyktował; uczniowie słuchali, pisali i uczyli się na pamięć. Samodzielność zarówno uczniów jak i nauczycieli była nadzwyczajnie rzadkiem zjawiskiem; dogmaty kościelne krępowały swobodę myślenia oraz badania. Moralny upadek księży pociągnął za sobą podkopanie ich powagi; zaczęto szydzić z ciasnej uczoności, zwanej scholastyką, która, poczawszy od XIV-go wieku, traci coraz więcej uroku; a umiejętność wogóle, sztuka nauczania zaś i wychowywania w szczególności zaczynają torować sobie nowe drogi.

Obok duchowieństwa wieki średnie posiadały jeszcze inny stan uprzywilejowany, mianowicie rycerski, który przeciwstawiał się potężnej władzy kościelnej i pielęgnował kiełki późniejszej narodowej świadomości. Rycerze albo panowie mieli odrębny gatunek edukacji. Siedmio, lub ośmioletni szlachecki synek dostawał się na dwór pana i tutaj, jako paź, ćwiczył się we władaniu szablą, w poprawnym, dworskim sposobie mówienia, oraz przyswajał sobie wykwintniejsze maniery, gdy szło o zachowanie się przy stole, podczas rozmowy z damami i t. d. Z czternastym rokiem życia młodzik taki — jeśli się chciał kształcić i w naukach, posyłany był do szkoły klasztornej; jeżeli zaś nie, to zostawał giermkim rycerza, a po otrzymaniu ostatniego policzka mógł nosić ostrogi i miecz, spełniając obowiązki koniuszego, piwniczego it.d. Polowanie, taniec, służba przy damach należały także do dobrego wychowania rycerskiego. Nareszcie giermek, gdy się tego okazał być godnym, zostawał w 21 roku życia pasowany na rycerza, a przysięga, którą składał, mniej więcej tak brzmiała: „Będę zawsze mówił prawdę; będę bronił religii i jej sług; będę się ujmował za słabymi, uciśnionymi, za wdowami, oraz sierotami; będę walczył w obronie czci szlachetnych niewiast i z nieprzyjaciółmi chrześcijaństwa.“

Ale dla rozwoju idei pedagogicznej obfitszym w dobre następstwa był stan mieszczański, który się przeciwstawiał księżom i rycerzom. Trudno tu opisywać, jak stan ten zdobywał sobie pozycję i jak się organizował stopniowo, a coraz silniej. Rzemiosła, handel, wynalazki były potężnymi dźwigniami, które zjednały mieszczaństwu nader wysokie znacze-

nie. Nie wojenne i zaborcze, lecz pokojowe, braterskie zjednoczenie się z sobą ludzi wyszło na świat ze stanu mieszczańskiego. Trzeba się było komunikować pomiędzy sobą w ważnych sprawach handlu i rzemiosła, w sprawach niezbędnych życiowych potrzeb. A jakże to uczynić można bez nauki, bez sztuki pisania przedewszystkiem? Początków szkół miejskich środkowej Europy szukać należy w stosunkach handlowych Niemiec z miastami włoskimi, takimi jak Medyolan, Florencyja it.d., gdzie się już młodzież mieszczańska kształciła. A były to czysto świeckie zakłady szkolne. Taki pierwotny nauczyciel szkoły miejskiej wzywał mieszkańców do nauki czytania oraz pisania, wywiesiwszy nad drzwiami domu swego tablicę z silnie reklamującym go napisem. Wieki XIII-ty i XIV-ty odznaczają się już żywą krzątaniną około dzieła wykształcenia kupców i rękodzielników. Rzecz prosta, iż duchowieństwo usiłowało tu wpływ swój wywierać; bo przecież ono tylko było uprzywilejowane na punkcie szkolnictwa i samo uważało się pod tym względem za jedynie kompetentne. Niejednokrotnie wynikały stąd poważne zatargi i spory, które się objęły aż o papieskie uszy. Mieszczanie, te pracowite mrówki, musieli się okupywać na wszystkie strony i panom i księżom. Tym ostatnim jednakże w rzeczonyj kwestyi pedagogicznej chodziło wyłącznie o zwierzchnictwo i o dochody, zresztą nie troszczyli się wcale o to, kto, jak i czego nauczał. Nauczyciel przeto szkoły miejskiej był dosyć swobodny i od jego indywidualności całkowicie zależała dobroć tejże szkoły. Musimy tu wszakże dodać, iż po największej części wartość takiego pedagoga, zarówno pod względem inteligencyi, jak moralności, była tak niską jak pensya, którą pobierał. Nauczanie odbywało się tutaj podług wspomnianej już metody scholastycznej, a najlepsza szkoła mogła, co najwięcej, włożyć ucznia w biegłe mówienie zepsutą łaciną i układanie lichych wierszy. Na osiągnięcie takich celów zużywano ogromną ilość czasu, tak, że 30-to letni uczniowie nie stanowili rzadkich przypadków. Karność polegała na prawie: „Kto żałuje motelki na swego syna, ten go nienawidzi i gotuje mu złą dolę.“ Kij przeto, czy różga — nauczały porządku, uwagi, pilności, cnoty i zachowania się dobrego.

Sam nauczyciel częstokroć nie miał nigdzie domu; z łaski go żywiono, dawano nocleg itd.; nie miał on żadnych praw obywatelskich, więc go też i dobro miasta wcale nie obchodziło. Nie dziw tedy, iż chwycił nieraz za kij pielgrzymi i w towarzystwie licznego tłumu chłopaków, oraz młodzieńców przechodził z miasta do miasta, znosząc głód, zimno i wogóle nędzę

ostatniego stopnia. Towarzystwo takie pedagogiczne nadawało sobie samo nazwę braci bachusowych. Młodsze dzieci, przebywające w tem gronie, musiały po drodze kraść i żebrać, ażeby dostarczać środków do życia starszym bachantom, którzy ze swej strony źle odpłacali się malcom, traktując ich biciem i okrutnymi obelgami. Cóż tu mówić o wychowaniu z dzisiejszego punktu widzenia, a wobec najskromniejszych nawet wymagań? Zresztą ktoby się chciał bliżej obznajmić z owym pedagogicznym romanizmem, temu radzimy odczytać autobiografię Tomasza Plattera, który tego rodzaju żywot przez długi czas prowadził.

Duży wpływ pedagogiczny, zwłaszcza na wychowanie ludu, wywarło tak zwane „bractwo dobrej woli“, założone w XIV-tym wieku przez Gerharda Grote w Deventer. Ponieważ członkowie tego bractwa nie byli mnichami, przeto obcowanie ich z ludem sprowadziło bardzo dobroczynne następstwa dla sprawy wychowania. Z łona też owego towarzystwa wyszedł Tomasz a Kempis, którego dziełko „O naśladowaniu Chrystusa“ liczy parę tysięcy wydań. Zresztą zgromadzenie „braci dobrej woli“ należy zważać jako awangardę reformacyi.

Zakładanie szkół wyższych albo uniwersytetów przypada na wieki XI-ty i XII-ty. Przodowały pod tym względem Włochy, gdzie najprzód powstały szkoły wyższe: w Salerno dla lekarzy i w Bolonii dla prawników. Niemniej także—zupełnie niezależnie od duchowieństwa—powstała i w Paryżu taka wyższa szkoła, w której nauczano teologii oraz filozofii. Ówczesni uczeni niemcy musieli się więc kształcić za granicą, dopóki Karol IV-ty nie założył uniwersytetu w Pradze r. 1348; poczem szybko już powstawały szkoły tego rodzaju w Wiedniu, Heidelbergu, Kolonii it.d. Był to głos o światło, protest przeciw ciemności. Ale księża i na tym punkcie powstrzymywali postęp swoją żelazną ręką.

Widzimy z powyższego, iż Włochy w owych czasach dawały impuls Europie; tutaj to martwy scholastycyzm przeobraził się w odrodzenie klasycyzmu, co znaczy, iż badania starożytności nie stały już na usługach kościoła, ale popierały ogólnoludzkie wykształcenie; stąd też poszła i nazwa humanizmu. Krzewicielami tego kierunku byli całemu światu znani mężowie: Dante Alighieri, Giovanni Boccaccio i Francesco Petrarka, których działalność przypadła na wiek XIV-ty. Ruch ten prędko przeniósł się do Niderlandów oraz Niemiec, gdzie miał licznych reprezentantów, a głównie w XV-tym i XVI-tym wieku Jana Reuchlina oraz Erazma z Rotterdamu, istnych bohaterów humanizmu. Pierwszy z nich powiedział:

„ś-go Hieronima ubóstwiam jak anioła, a Mikołaja z Liry jako nauczyciela ale prawdę czczę jak Boga.“ Drugiego mniej należy uważać za pedagoga, a więcej jako męża niezmiernej nauki i niepospolitej wymowy. Ci dwaj uczeni podminowali do szczytu starą scholastyczną rutynę nauczania, jakkolwiek na oświatę mas nie mieli oni bezpośredniego wpływu. Pod ich parciem musiały ustąpić z wyższych szkół podręczniki pisane mniszą łaciną, a miejsce ich zajęli rzetelni klasycy rzymscy i greccy. Ogół jednak ludzi, całe narodowe warstwy nie rozumiały tej potrzeby, nie było jeszcze przygotowania dostatecznego, aby stoczyć energiczną walkę z hierarchią duchowną. Wyjątki tylko krzepko stanęły pod nowym sztandarem, jak np. szlachetny Ulrich v. Hutten, którego znane są entuzjastyczne słowa: „Niemcy przejrzały, sztuki się odradzają, umiejętności kwitną, umysły się budzą, uchodzi barbarzyńska ciemnota!“

Wędrowki uczniów, którzy przechodzili z miejsca na miejsce i rozpraszali się wśród tłumów, powstanie drukarni — oto są dzielne czynniki, które zwolna wprowadziły, ale nieustannie i skutecznie pracowały tu i owdzie dla dobra postępu, zwłaszcza też po miastach. Powoli, bardzo powoli gotowała się gwałtowna burza, która błyskawicami dobroczynnymi dla plonów przyszłości rozświetliła te strasznie ciemne i ponure sklepienia nocy średniowiecznej. Ta burza, to reformacja, która wstrząsnęła potężnie całą budową społeczną, więc i wychowaniem. Widzieliśmy dotychczas, jak się wychowywali duchowni, rycerze, mieszczenie; ale wiekowi reformacji przypadła w udziale najszlachetniejsza część, bo powołanie do oświaty ludu i powszechne skruszenie pęt duchowej niewoli. Odkrycie Ameryki oraz drogi morskiej do Indyj Wschodnich, wynalazek druku, Kopernikowski system — wszystko to rozszerzało coraz bardziej widnokrąg myślenia, wszystko to przygotowywało obrzęd pogrzebu wieków średnich. Uroczystość ta przypadła na wiek XVI-ty. Nie będziemy w tem miejscu wspominali dziejów reformacji kościelnej i zasług, jakie na tem polu położył dzielny mnich, Marcin Luter. Obchodzi nas bowiem głównie kwestya wychowania. Reformacja przedewszystkiem sprawiła, iż każdy człowiek bez pośrednictwa księdza mógł się teraz sam odnosić do Boga, a przez to zniknęła owa olbrzymia przepaść, jaka się znajdowała pomiędzy księdzem i nie-księdzem. Każdy człowiek mógł odtąd sądzić i rozbierać sprawy religii. W tem już tkwi bardzo ważny punkt ulepszenia metody wszelkiej umysłowej pracy, ponieważ podkopaną została zasada powagi, a wolna nauka mogła wznosić swój gmach na gruzach rozbitego dogmatu. Ta okoliczność musiała

bezw warunkowo wyrzucić ważny wpływ pedagogiczny i na zasady moralne, albowiem dogmat zmuszony został ustąpić miejsca prawdzie. Reformatorowie tacy, jak Luter, Melancton, Bugenhagen, Zwingli i Kalwin zwrócili też szczególną uwagę na wychowanie ludu, ogłaszając, iż prawdy święte powinny być w narodowym języku wypowiedane. Teraz dopiero wystąpiło na jaw usiłowanie pogodzenia dobra kościoła z dobrem ludzkości. Lud musiał się uczyć własnego języka, aby mógł poznać zasady religii, aby mógł czytać Pismo święte. Zwiększyły się też środki materialne szkół, gdyż wiele dóbr klasztornych przeszło na ich korzyść. Zreformowane uniwersytety stały się ogniskami niezależnej nauki, a wprowadzone do szkoły nauki przyrodnicze torowały drogę dzisiejszym szkołom realnym. Przytem uznano konieczność nauczycielskiego wykształcenia, a nawet dotkniętą została kwestya przymusu szkolnego. Szczególny nacisk kładziemy na te okoliczności, bo kreśląc ten pobieżny obraz szkolnictwa, widzimy tu pierwsze podwaliny, oraz zasady dążności do emancypacji szkoły. Jednakże pamiętajmy dobrze, iż niełatwy jest postęp tam, gdzie stary porządek głęboko zapuścił swoje korzenie. Zdobyta swoboda wiary i sumienia nie odrazu poprowadziła do swobody naukowej, raczej stąpano w dalszym ciągu jeszcze po wydeptanych ścieżkach scholastycyzmu. Łacina, greka i hebrajszczyzna były celami głównymi wykształcenia, a nauk przyrodniczych, oraz matematyki nauczano z autorów starożytnych. Tak więc, początek było dużo obiecującym, ale nie wykonano programu i nauka zesłała do wyrazowej uczoności, albo, jak to nazwano, wyrazowego realizmu. Dzisiejsze przecenianie po gimnazyach nauk klasycznych zyskało sobie podstawę w owych czasach jeszcze. Różga znowu wystąpiła i zastępowała brak talentu nauczycielskiego. Mianowany nauczyciel otrzymywał do rąk oficjalnie różgę, jako godło swego zawodu. Nawet Trotzendorf, wielka po-reformacyjna powaga pedagogiczna, który uznawał uczucia ambicyi, nie usuwał jednakże różgi.

Władza kościelna atoli nie próżnowała wobec świeckich zabiegów protestantyzmu. Występują jezuita w 2-giej połowie XVI-go wieku. I oni nauczają także łaciny, a wszelkie narodowe języki zostają z ich planu szkolnego wyrugowane. Blichtr uczoności pomyslnie tu prosperuje, chodzi bowiem głównie o to, aby uczniowie mówili płynnie językiem Cycerona. Uczniowie jezuita uczyli się także filozofii oraz teologii, ale przytem chodziło głównie o obronę kościoła. Samodzielność była ugniatana w najwyższym stopniu, gdyż ćwiczone głównie pamięć, zaniedbując zupełnie myślenie, jako

też uprawę uczuć. Wszczepiano nienawiść dla kacerzy, a przytępiano rozmyślnie uczucia rodzinne. W „Krytycznej historii zasad edukacji francuskiej“ pana Compayré na str. 180 t. I. czytamy, iż młody szlachcic tyrolski, Jan Babtysta Schulthaus, umieszczony w kolegium jezuickim, nie chciał się wcale przywitać z odwiedzającą go matką, a zapytany przez nią, jakaby tego była przyczyna, odrzekł: „mniejsza o to, iż jesteś moją matką, dosyć mi na tem, że jesteś kobietą.“ Ten sam młodzieniec po śmierci swej rodzicielki nie okazywał najmniejszego smutku. Karność szkolna u jezuitów polegała na ślepem posłuszeństwie, a religijność ich wychowanców była pozorną i obłudną. Za odznaczenie się bowiem w pobożności wynagradzano, za brak zaś religijnych uczuć wymierzano kary. Ambicję podniecano nadmiernie. Szpiegostwo nietylko wynagradzano, ale nawet donosicielom i denuncyantom za wierne ich zasługi przebaczano duże winy. Kar cielesnych w zakładach jezuickich wymierzano mało i funkcję tę w danym razie spełniał świecki korektor, albowiem członkowie towarzystwa Jezusowego pilnie bacz yli, ażeby zakon sam nie naraził się w czemś uczniowi, który z czasem mógł zostać znakomitym dygnitarzem. Wychowawcze zasługi jezuitów sprowadzają się do tego, że nauczyciele ich odznaczeni się znaczną pilnością i usilnością; że porządek i czystość przestrzegane były w szkole wzorowo; że pielęgnowano troskliwie chorych uczniów, a ze zdrowymi obchodzono się łagodnie; że wreszcie przyzwyczajono dzieci do grzecznego, a nawet wykwintnego zachowywania się. Nigdy wszakże powyższe zalety nie zdołają wynagrodzić szwanków, na jakie tu narażone zostało rzetelne wychowanie młodzieży przez poniżenie ludzkich uczuć, przez odwracanie serca uczniów od rodziców i ojczyzny, przez wszczęcie nietolerancyi, przez protegowanie donosicieli, przez wychowywanie religijnej obłudy i wogóle przez skażenie charakteru, oraz zabicie samodzielności.

A jakże się miała sprawa edukacji ludowej w czasach po reformacyi? Zaprawdę bardzo powolny postęp uwidocznił się na tem polu. Szewc, krawiec, mularz, nawet i szynkarz, lub grabarz spełniali nieraz obowiązki nauczyciela w szkole ludowej, niekiedy zaś zajmował to stanowisko parobek proboszcza, który jednocześnie młócił w stodole, rąbał drwa na podwórzu i t. d. Budynek szkolny stanowiła pierwsza lepsza licha chata, w której razem z uczniami mieściła się i trzoda nauczyciela. Przedmioty nauczania w ówczesnej szkole ludowej były następujące: katechizm i śpiew kościelny, czytanie i pisanie, a od czasu do czasu ćwiczenia rachunkowe. Pa-

mięciowe wyuczanie się katechizmu stanowiło krótko ujętą metodę szkoły ludowej w XVI-tym wieku. A jednak godną uwagi jest okoliczność, iż wtedy już znaną była głosowa metoda czytania, proponowana w Niemczech przez Ickelsamera. Co się tyczy rachunków, te mało któremu nauczycielowi były dostatecznie znane. A choć się i znalazły książki, przedmiot ten traktujące, to gdzieżby je byli w stanie zrozumieć tacy nauczyciele ludowi, jakich właśnie co tylko przedstawiliśmy. Karność i tym razem utrzymywano przy pomocy kija, obelg, obrywania uszu, targania za włosy i t. d.

Szkoły ludowe więc, zarówno protestanckie, jak katolickie, stały jeszcze bardzo nisko, co było naturalnym wynikiem wpływów poprzednich, których reformacja nie zdołała odrazu usunąć. Zimny protestantyzm dbał teraz z kolei rzeczy i przede wszystkim o czystość religii swojej; wytworzył on ortodoksyę, która wprawdzie w inny sposób, ale niemniej dokuźliwie ciążyła na edukacji mas. Barbarzyństwo rygору w połączeniu z oschłym formalizmem religijnym gniotło młodociane umysły i dusiło w zarodzie wszelką samodzielność. Fanatyzm zaś protestancki w niczem nie ustępował katolickiemu. Dosyć postępu, że rozpoczęto dzieło wychowywania ludu, że odczuto i uznano tę potrzebę; reszta byłaby się wyrobiła, gdyby nie wybuch 30-letniej wojny, która w sto lat po reformacji podkopała i te tak słabe podwaliny.

Już atoli wśród złych stosunków owej epoki występowali dzielni ludzie, którzy umieli zwrócić uwagę na błędy współczesne i użyźniali chwaśtem porośłą niwę szkolnictwa. Na czele ich stoi Bakon z Werulamu, co, ukazując przyrodę i świat rzeczywisty jako źródło wiedzy, skruszył martwy dogmatyzm kościoła i bezpłodny formalizm szkoły. Teorya naukowa wytknęła tu drogę pedagogice, wykazując dowodnie, że wychowanie człowieka i nauczanie wesprzeć się powinno również na obserwacji oraz doświadczeniu. Tymi też ślady poszedł przede wszystkim Komeniusz. Ale ten wielki pedagog nie wzniósł się jeszcze do tej wysokości, ażeby badać i obserwować naturę wychowywanej jednostki; on tylko zwrócił uwagę na świat zewnętrzny, stanowiący otoczenie człowieka, co stanowi punkt wyjścia dla nauczania poglądowego. Wyprowadzać prawa oraz zasady wychowania z subiektywnych właściwości rodzaju ludzkiego umieli dopiero Montaigne, Locke i genialny Rousseau. Ale całą tę pracę dotychczasową na polu pedagogiki możnaby nazwać przygotowawczą analizą. Wszędzie tkwił niedostatek, bo wszędzie panowała jednostronność kierunku. Dopiero synteza — że tak powiem — nauki wychowywania potomstwa ludzkiego przy-

padła istnie natchnionemu umysłowi nieśmiertelnej sławy Pestalozzi'ego, wielkiego reformatora i twórcy wszystkiego, co jest najlepsze w nowoczesnej edukacji. Odtąd możemy już mówić o umiejętnej pedagogice i o pedagogach, z których jedni opierają się na starej psychologii, jak Niemeyer, Schwartz, Graser, Schleiermacher itd.; inni trzymają się w wychowaniu poglądów nowej psychologii, jak Herbart, Benecke itd.

Leż to trudów i wielkich poświęceń trzeba było, aby wśród mazołów ciężkich praktycznych zajęć wytworzyć wzniosłe cele dzisiejszej szkoły, mianowicie też szkoły ludowej! Któż nie będzie podziwiał wielkiej postaci takiego Komeniusza, który, przygnieciony srogimi cierpieniami, wśród niepospolitych własnych nieszczęść przez pół wieku pracował nad uszczęśliwieniem ludzkości za pomocą wychowania? Komu nie zabije żywo serce współczuciem, gdy sobie wspomni zbawcę nieszczęśliwych, ojca sierot, wychowawcę biednego ludu, Pestalozzi'ego? Trudno mu było żyć na świecie, tak zawzięci byli nieprzyjaciele, tak ciężko pracował wśród głodnych, obdartych i przedwcześnie znikczemnionych dzieci, tak szczerze żył dla ludu. A jakaż była nagroda? Oto, na mogile wielkiego męża drobna dziatwa wiejska z nauczycielem swoim odśpiewywała mu pieśń wiecznego spoczynku. Czyż nie mamy oddać hołdu i niezmordowanemu Diesterwegowi, który nas nie tylko słowem, ale czynem swoim nauczał i ciągle naucza, że udziałem pedagoga jest praca nieustająca nigdy, praca gorzka, pełna zawodów, przed którą jednak cofnąć się nie wolno?

Po tym przeglądzie przeszłości zastanówmy się nad obecnością i skreślmy obraz wychowawczych rezultatów, które nie tylko stanowią ważny dział całkowitej bieżącej cywilizacji europejskiej, ale także są już poniekąd punktami wytycznymi i sztańdami, powiewającymi nad przyszłością; bo w świecie — jak mówi wielki poeta — „wszystko jest owocem i wszystko jest nasieniem.“

Całość wychowania obraca się około niewielu punktów, z których najważniejszym jest przedmiot wychowania, t. j. w y c h o w a n i e. Zrozumienie wszechstronne tej kwestyi zaznaczamy jako krok postępu niezmiernej doniosłości na polu pedagogiki. Dla wychowawcy są: szkoła, nauczyciele, środki wychowawcze. Do niego również stosują się metody, formy i cele wychowania. Postęp ten w pedagogice zawisł od powszechnego, wielorakiego i wielostronnego postępu ludzkości, więc także od rozwoju nauk w ogóle, a w szczególności antropologii, — zawisł od postępu moralności i od wyższej dbałości ludzi o przyszłość własnego gatunku, —

od urzędzeń społecznych i politycznych, od nieustannie rozwijających się potrzeb ludzkich coraz wyższego rzędu. To, co pod powyższemi względami zostało dokonane, i w miarę, o ile dokonane zostało, oddziaływa współrzędnie w danej miejscowości na edukację narodową, wplecioną w dany ustrój społeczny i nadaje jej charakterystyczny wyraz.

Ale w pedagogice umiejętniej czasów obecnych najbardziej reformującym czynnikiem jest psychologia, której postępy wpłynęły więcej niż cokolwiekbądź na uporządkowanie i zorganizowanie czynności wychowawczych oraz na właściwe ich stosowanie. Trzeba było niejako zajrzeć wewnątrz człowieka, objaśnić sobie liczne procesy duchowe, aby umieć wychowywać młode pokolenie. Dopóki to nie miało miejsca, wychowywano młodzież do celów jakichś panujących w danym czasie idei. I dzisiaj także, o ile pedagogika praktyczna nie jest oparta na zasadach, wziętych z racjonalnej antropologii, o tyle dzieło wychowania jest zacofane tu i owdzie. Gdziekolwiek więc wychowują dzieci do jednego jakiego celu, np. w interesie kościoła, kasty, państwa i t.d., tam według nowszego kryterium wychowanie takie uznane zostaje jako jednostronne i niedostateczne. Zarówno bowiem nauka jak i codzienne doświadczenie życiowe wskazują, że rozwój człowieka związany jest nie z jednym celem, ale z wielością celów. Gdzieby wychowanie zdążało znowu do wyłącznego uprawiania jedynie duchowych władz młodego człowieka, tam usiłowanie pedagogiczne tego rodzaju byłoby stanowczo daremnem i chybnem, a nowożytny pedagog musiałby je potępić, jako fałszywe i szkodliwe. Logicznie bowiem tylko można mówić i pisać o fizycznej oraz duchowej stronie człowieka, ale w rzeczywistości jest to jeden organizm i nierozzerwana całość, w której ciało stanowi podstawę oraz warunek zjawisk psychicznych. Naturalnie, to samo i tem bardziej daje się powiedzieć o pedagogicznych usiłowaniach rozwinięcia jednej jakiejś duchowej właściwości człowieka, np. uczuć estetycznych, religijnych, pamięci, wprawy językowej i t.d. Nie jedna bowiem władza jakakolwiek lub przymiot, ale wszystkie władze ludzkie dane są człowiekowi w jego pierwotnem uzdolnieniu po to, aby odpowiednio rozwinięte zostały. Żaden kierunek wyłącznie, ani żadna władza przeważnie nie powinny być uwzględniane przez pedagoga, ale wszystkie uprawiane według dobrej normy, której utraffenie decyduje o naukowem przygotowaniu oraz osobistej wartości wychowawcy. Bezprawnie tylko może sobie ktoś na własną rękę pozwalać eksperymentów, ale jednocześnie musi on przyznać, iż nie rozwija człowieka do pełnego ludzkiego życia. Z tego też

punktu widzenia nie można się zgodzić na banalnie oklepany frazes, według którego porównywa się ogrodnika z pedagogiem. Ogrodnik właściwie wychowuje jedną tylko część rośliny, taką, która jest dla niego pożyteczną, np. kwiat w róży, liście w herbacie, bulwę w kartoflu i t. d. Pedagog ma wychowywać całego człowieka. Dla ogrodnika lub dla chodowcy zwierząt pożądane być może, aby osobniki kształcone straciły nawet pewne cechy, które są dla nich pożyteczne, ale tylko nie przedstawiają korzyści dla człowieka. Wiadomo np., iż w chowie trzody chlewnej chodzi o wytworzenie jak największej ilości tłuszczu, co—trudno przypuścić, aby leżało w interesie owych nierogatych czworonogów. Życie tak zwanych egzotycznych roślin jest też bardzo smutne, gdyż lada mroźna noc świadczy, że ogrodnik nie miał na oku odporności tych istot na wpływy zewnętrzne. Krytyka pedagogiczna powinna zatem wykroczyć poza wszelki romantyzm porównań i wyłączyć pojęcie wychowania z rzędu powierzchownie tylko podobnych do niego czynności; bo już niezależnie od tego, że co innego jest organizm ludzki a co innego roślinny lub zwierzęcy, istnieje tu olbrzymia różnica w celach, środkach i sposobach chowu.

W czasach minionych — jak widzieliśmy — nie zadawano sobie trudu i nie badano całej natury dziecka, a jakiś uczony starej daty nie spodziewałby się znaleźć naukowego zadowolenia w badaniu fizjologii i psychologii niemowlęcia. Tymczasem te właśnie obserwacje były niezbędnymi, ażeby pedagogika mogła się przeświadczyć, z jakim to kapitałem człowiek przychodzi na świat i w co się później ten kapitał obraca. Otóż przekonano się, iż człowiek przynosi na świat cały fizyczny swój ustrój, wykończony anatomicznie, i że temu ustrojowi potrzeba tylko wzrostu, podczas gdy cały wyższy system duchowej organizacji stać się dopiero musi; bo jakżeby bez podniet świata zewnętrznego mogły być u noworodka wytworzyć się wyobrażenia, pojęcia, sądy i t. d., wogóle ludzkie myślenie. Przy pomocy badań fizjologicznych i psychologicznych określono znaczenie zmysłów i oznaczono szczegółowo ważny ich udział w procesach duchowych. To, co wiemy o zmysłach, o całym aparacie ruchowym, o nerwach, spoczynku i t. d. jest już dostatecznym, abyśmy się gruntownie przeświadczyli o związku naszego ducha z ciałem, o związku tak niesłusznie rozerwanym niegdyś. Z tem zaś jednocześnie dany nam jest punkt wyjścia dla wychowania człowieka. Trzeba bowiem zacząć pracę u podstaw, zacząć ją od fundamentów, kształcić to, od wykształcenia czego dopiero zależy dalszy rozwój. Wszakże człowiek, pozbawiony zmysłów i ruchów, nie mógłby się rozwinąć umysłowo ani moral-

nie. Nie jestże to dobrą wskazówką, iż fizyczność właśnie stanowi podstawę życia duchowego, że procesy psychiczne polegają na ustaleniu procesów niższych zwierzęcych i wegetacyjnych? Wychować zwierzę—jak mówi H. Spencer—jest to więc najpierwsza czynność edukacyjna. Należy dziecku zapewnić posiadanie i używanie tego organizmu, którym go przyroda obdarzyła, ale którego samo dziecko bez pomocy starszych utrzymać i rozwinąć nie zdoła.

Jesteśmy przeto na gruncie tego działu wychowania, który się zowie wychowaniem fizycznym. Nie istnieje tu żadna wyłączość czynności wychowawczych, ale taki jest ich naturalny porządek, iż się zaczynają od pielęgnowania ciała. Małe dziecko potrzebuje długiego snu, właściwego pokarmu, dobrego powietrza, opieki, troskliwości i ustrzeżenia przed wpływami zewnętrznymi. Jeżeli zaś tylko te czynności wykonywa człowiek i jeśli one mają dla niego duże znaczenie, to muszą być usystematyzowane i wykonywane celowo, jak wszystko, co robi człowiek. Trzeba się więc tego nauczyć, a następnie—naukę pogodzić z praktyką. Jeżeli wychowawca nie wie, dlaczego ma dbać o zdrowie i siły fizyczne dziecka, wtedy praca jego jest nałogową, machinalną czynnością, pozbawioną głębszego interesu, niemogącą się udokonać. Znajomość przeto budowy ludzkiego ciała i jego fizyologicznych procesów jest niezbędną dla każdego, kto się zajmuje wychowaniem małej dźiatwy. Trudno bowiem—jak chcą niektórzy pedagogdzy—przy każdej lżyce rosołu, przy każdej zmianie powietrza lub za każdym krzyknięciem niemowlęcia przyzywać zaraz lekarza. Kto sądzi, że te sprawy należą do nianiek, ten chce tylko, aby rzetelni wychowawcy mniej od nianiek umieli. O ileż zresztą szlachetniejszą czynnością może być zajmowanie się pedagoga wychowaniem umysłowem lub moralnem, a mniej szlachetną dbałość o fizyczny organizm dziecka? Ktoby nam to chciał tłumaczyć na niekorzyść tego ostatniego zajęcia, takiego opinię musielibyśmy zakwalifikować gwoli napiętnowania w książce *O przesądach w wychowaniu*. Dla nas odżywianie dziecka, jego proces trawienia, oddychanie, czystość i pielęgnowanie skóry oraz systemu nerwowego, troska o całość narządów zmysłowych i t. d. są przedmiotami pedagogicznie zupełnie równo-uprawnionymi z wychowaniem umysłowości, moralności, fantazyi, uczuć i t. d. Najwyżej stoi taki pedagog, który rzecz swoją najlepiej wyrozumiał i najlepiej ją wykonywa, nie zaś ten, który za prace pobiera najwyższe honorarium, lub wypełnia niby to jakieś wyższe zadania.

Zobaczymy, jaka jest fizyologiczna podstawa żywienia człowieka. Działalność organizmu polega na przyswajaniu sobie i wydzielaniu pewnych ma-

teryj. Pokarm przeprowadzony zostaje do krwi, krew zaś oddaje każdej cząstce ciała to, czego jej potrzeba. Jeżeli tak jest, to życie oraz zdrowie polega na dobrem wytworzeniu krwi, na jej obszernem i nietamowanym krążeniu oraz na wydzieleniu zużytego materiału. U człowieka dojrzałego w żywieniu chodzi o utrzymanie równowagi przy wymianie materij. Je się tyle, ile potrzeba, aby wynagrodzić ubytki czyli straty poniesione. Większy jakiś deficyt pociąga potrzebę wyższej dostawy odżywczego materiału. Dziecię jednak je więcej, niż potrzeba do pokrycia strat w organizmie, bo ono musi nie tylko straty takie powetować, ale jeszcze musi i wzrastać. Cele żywienia dziecka oznaczają się więc jako utrzymanie organizmu, popieranie wzrastania oraz uchylenie stanów słabości. Co się tyczy środków odżywiania, nie możemy się tu zbyt rozwodzić nad wartością różnych pokarmów; dodajemy tylko, iż pokarmy zdrowe, naturalne, podane dziecku w dobrej mierze, wspierają trawienie—więc utrzymują zdrowie. Przytem i to ważne, że użycie takich pokarmów wczesnie wpływa na zapobieżenie łakomstwu i niewstrzemięźliwości. Znaczenie swoje ma też i metoda odżywiania, to jest zachowywanie pod tym względem punktualności, baczenie na temperaturę pokarmu, jako też jego formę; gdyż żywność łatwo rozpuszczalna, w płynie lub drobno podzielona, jest dla trawienia lepszą, aniżeli pokarm w stanie stałym i twardy. W odżywianiu dzieci tkwią już pierwsze przywyki do przyzwyczajenia, systematyczności oraz porządku. Przy tej okoliczności można malców włożyć do zachowywania czystości, do powolnego spożywania pokarmów i należytego ich żucia. Wogóle w całym wychowaniu fizykiem najmniejszych nawet dzieci chodzi nie tylko o dobrobyt ciała, ale istnieją tu zarodki późniejszych cnót i moralności. I ta okoliczność nie uszła uwagi pedagogów.

W następstwie zwraca się uwagę na oddychanie, w skutek którego tlen, wnikający z powietrza do krwi, czyni tę krew zdolną do tworzenia tkanek. Oddychanie jest bardzo ważnym procesem życiowym, którego zawieszenie sprowadza śmierć. Wychowawca przeto winien dbać troskliwie o organa oddychania i o dostarczanie im dobrego powietrza.

Okrom żywienia i oddychania, należy zwrócić uwagę na skórę, która jest nie tylko ważną powłoką, utrzymującą ciepło, ale także organem wydzielenia; ona to bowiem codziennie oddaje na zewnątrz wiele gazów, potu, łoj i łusek. Kąpiele oraz czysta bielizna są więc pożądanymi zarówno w interesie zdrowia, jak i podniesienia zmysłu czystości oraz porządku. Dalej jeszcze—nie powinno ująć bacności dobrego pedagoga znaczenie ruchu

i spoczynku. Dopóki dziecię jest niemowlęciem, śpi ono dużo, gdyż tego domaga się proces vegetacyjny, ale w miarę, jak się proces ów zmniejsza, jak ustaje przewaga życia roślinnego, dziecko ożywia się ruchem, używa swoich mięśni, które wreszcie oddaje pod zarząd woli oraz rozumu. Niekiedy i w późniejszym życiu młodego człowieka może się jeszcze utrzymać tu przewaga funkcji vegetacyjnych, skąd powstaje stosunek nienormalny, zwany lenistwem. Sprzyja temu bezwarunkowo nadmiar pożywienia i zbytek spoczynku. Kształcić ruchowy aparat dziecka jest dziś bardzo ważnem zadaniem wychowawczem. Naturalnie, jest tu mowa o tak zwanych dowolnych ruchach, których właściwe pielęgnowanie decyduje o zdrowiu, sile oraz zręczności wychowanka. Ruch działa także dobroczynnie na podniesienie czynności płuc, wywołuje żywą cyrkulację, jako też pobudza skórę do lepszego wydzielania. Miarowy ruch sprowadza sen spokojny, który pokrzepia cały organizm, a życiu duchowemu używa pogodnej swobody. Gry, spacer, gimnastyka, pływanie, ślizganie się na łyżwach są to czynności wysoko wychowawcze. Wśród zajęć tych, pełnych życia zyskuje się nie tylko na sile, zdrowiu i zręczności, ale są to wyborne lekcje samodzielności, które wykształcają męskość oraz praktyczną energię. Jeżeli przy tem wszystkim ma miejsce uczciwy nadzór pedagogiczny, wówczas malcy pozyskują sobie ważne cnoty, uczą się ładu i karności, prawidłowości używania sił, zdobywają sobie ducha towarzyskiego. U nas zarówno dziewczęta, jak chłopcy za dużo w szkole siedzą, za mało mają możliwości swobodnych ruchów, przez co znika niejednokrotnie ich zdrowie i szczęście. Nauka pedagogiki wzywa atoli wychowawcę, aby się wszędzie rządził mądrym umiarkowaniem. Niech więc przypadkiem nie zostanie on entuzjastą na punkcie np. gimnastycznych ćwiczeń.

Pielęgnowanie nerwów oraz zmysłów stanowi nowy wzgląd ważny, który z naciskiem zaznacza nowożytna nauka o wychowaniu. Bo nerwy i mózg stanowią centralny zarząd ludzkiego ciała. Z nimi zaś organa zmysłów połączone są tak, iż w skutek tego związku występują na jaw psychiczne zjawiska wyobrażeń, pojęć, uczuć, dążeń i t. d. Nie dziw przeto, że tak ważne narządy powinny być przedmiotem nader troskliwego pielęgnowania. Widzieliśmy, iż wychowanie starszej daty nie zwracało uwagi na wszystkie te względy. Szarpano dzieci za uszy, targano za włosy, co—naturalnie—nie mogło być korzystne ani dla mózgu, ani dla słuchu. Nie dawano też bynajmniej baczenia na delikatny zmysł wzroku i na porządku dziennym było złe oświetlenie szkoły oraz przeciążanie uczniów pracą, odbywaną przy

nieustannem wlepianiu oczu. To samo niedbalstwo, pochodzące z braku wiedzy, łatwo można sprawdzić w kwestyi odżywiania, oddychania, pielęgnowania skóry i t. d. Wierząc zaś w stanowczy rozdział ducha a ciała, nikt z średniowiecznych pedagogów nie przeczuwał nawet związku edukacyi fizycznej z wychowaniem umysłowem i moralnem. Dziś są przecież jeszcze tacy, którzy mocno powątpiewają o tych sprawach!

Ten rzut oka na sprawy jednego tylko działu pedagogiki, dotyczącego fizyczności wychowawca, następuje nam parę oderwanych uwag w myśl nowożytnej filozofii. Główne prawo postępu i hasło jego wyraża się przez zdążanie od pojedynczości do złożoności. Wszelka jednostronność znamionuje stany niższe i pierwotniejsze, wielostronność zaś — stany pochodne, wyższe. Im cel człowieka jest wyższy, tem wielostronniejszy być musi, tem liczniejszych środków i sposobów używać trzeba, aby go osiągnąć. Wielostronną jest praca, do wykonania której człowiek musi powołać wszystkie swoje władze oraz siły, poświęcić jej cały swój czas i wolność. Do takiego stanowiska zdaje się dzisiaj aspirować zawód pedagoga, przeciwstawiając się ciasnej jednostronności czasów minionych. Taki punkt widzenia rozwija rozległy widnokrąg dla rzetelnego specjalisty. Człowiek, istota postawiona na tak wysokim szczeblu w rozwojowej drabinie stworzeń, nie może być rozpatrywany i badany w jakimś zacieśnionym zakresie, ani też wychowywany ze względu na jedną jakąś właściwość. Czyż nie jest widocznem, że przewaga po którejkolwiek stronie upośledza człowieka i cofa go wstecz niejako? Rozwój człowieka jest tak wielostronny, jak wielostronną jest nauka wychowania, albo odwrotnie. Ale rozwój ten musi być jednocześnie harmonijnym, to jest takim, ażeby żadna władza nie funkcyonowała kosztem władz innych. Prawo fizyologiczne, popłacające i w psychologii, brzmi, że nadmierne używanie lub zupełne zaniedbanie jakiejś zdolności w każdym razie naraża człowieka na brak i szwank. To prawo reguluje harmonię władz ciała w stosunku do władz duchowych. Kto przeto pracuje fizycznie jednostronnie, ten musi pracować nieuchronnie na szkodę swoich władz duchowych i na odwrót. Bo w organizmie człowieka, to tak jak w życiu społecznem: kto pracuje najwięcej i najpilniej, ten powinien być najlepiej wynagradzany. Podług tej najwyższej sprawiedliwości mięśnie u ręki kowala biorą największy posiłek ze krwi; jeżeli zaś mniej jest czynny mózg, zostanie on tu odjezdzony. Ważna to wskazówka dla matek, ojców, pedagogów,—wskazówka, poświadczona przez historję a indukowana przez nową umiejętność, tak że wielostronności, harmonii i dobrej miary w pedagogice

niktby nie powinien negować. Powyższe pobieżne uwagi o wychowaniu fizycznym zdają się mocno przemawiać, iż pedagogika na tej tylko drodze może się nadal rozwijać.

A teraz zwrómy się do wychowania umysłowego i moralnego, które już poruszyliśmy. Streszczony jego bezstronny przegląd powinienby tylko sprawdzić ogólne nasze twierdzenie.

Wychowanie dzisiejsze nietylko się strzeże szczególnego uwzględnienia jednej jakiejś władzy lub właściwości w zmysłowo-duchowej organizacyi człowieka, ale również wszechstronnem ono jest, gdy chodzi o stosowanie metod, form oraz środków nauczania. Obecnie pedagog nie może się posługiwać jedną wyłącznie formą nauczania. Nie wypełnia on godnie roli nauczyciela, jeżeli uczniom swoim zadaje tylko lekcye do wyuczenia się na pamięć i następnie przesłuchuje ich w szkole. Nauczyciel nie powinien się trzymać jakiegoś szematu, który mu się wydaje być najlepszym i najwygodniejszym. Śmiesznym i niepedagogicznym jest np. entuzjazm do tabelaryzowania historycznych faktów, pojęć matematycznych; a niektórzy pedagogicy chcą nawet nauczać języków starożytnych za pomocą kolorowych tablic. Dobry nauczyciel 19-o wieku nie może być ani wyłącznie poglądowym, ani wyłącznie wykładającym w sposób osłuszny czyli akroamatyczny. Również nie powinien on się posługiwać jedynie egzaminującą albo erotematyczną formą nauczania. Użycie bowiem tej czy innej formy zależy zupełnie od rozwojowego stadyum ucznia, nie zaś od dowolności nauczyciela. Wszystko ma tu zdążać do tego, aby uczeń osiągnął pożądaný rezultat, co się nie stanie, jeśli jego umysł nie bierze udziału w sprawie własnego oświecenia. Nauczyciel musi wiedzieć niezbędnie, o co mu chodzi w danej chwili; musi być zupełnie świadomym, czy w umyśle ucznia chce właśnie wywołać jakieś zupełnie nowe procesa i zjawiska, czy też chodzi mu tylko o ich utrwalenie oraz powtórzenie. Gdy chodzi o kształcenie małych dzieci, które dopiero po raz pierwszy mają materiał naukowy, wtedy nauczyciel ma obowiązek używać przeważnie metody analitycznej, stosując do niej różne formy nauczania: już to poglądanie na przedmioty, już objaśnianie ich, już zapytywanie i t. d. Tą drogą bowiem uczeń dochodzi do opisu i zwolna przygotowuje sobie coraz szersze oraz uporządkowane pojęcia, co go też usposabia do syntetycznego i genetycznego myślenia. Ale i tu nauczyciel wiedzieć jeszcze jest obowiązany, kiedy, względem kogo i w jakim celu stosuje daną metodę. To samo a z równą słusznością ma się rozumieć, kiedy rzecz idzie o stosowanie indukcyi oraz dedukcyi. Uważny pedagog musi znać umyśl

swojego ucznia, a jako dzielny nauczyciel powinien panować zupełnie nad swoim naukowym materiałem i skojarzywszy ten obowiązek pedagoga z biegłością znawcy, potrafi on w przedmiocie swoim zrobić właściwy wybór oraz zastosować najodpowiedniejszą metodę.

Wszędzie wskazać można wielostronność wychowawczych zadań i celów, wszędzie też można przedstawić wielostronność sposobów nauczania; a wszystko to związane jest jak najściślej z wielostronnością kierunków rozwoju ludzkiego; wszystko wpływa naturalnie, nie apryorycznie i dowolnie, lecz aposteryorycznie oraz prawidłowo. Natura człowieka decyduje o jego wychowaniu, pojętem szeroko w sposób nowożytny. Wszędzie tu chodzi o to tylko, jakie są potrzeby człowieka i o ile one zaspokojone być mają, ażeby jedna władza nie wzrastała kosztem drugiej, wytwarzając przez to człowieka niedołęznego może, a bezwarunkowo jednostronnego. To samo trzeba rozumieć i o różnaitości środków nauczania. Cała przyroda, całe życie ludzkie z jego doświadczeniem oraz produkcjami cywilizacji, umiejętność oraz sztuka kwalifikują się i oddają w ręce pedagoga, który ma to wszystko przekazać wychowującym się pokoleniom.

Ale jesteśmy dotąd w zakresie wychowania umysłowego. Jakkolwiek ono duże ma znaczenie, chociaż się łączy i wplata we wszystkie duchowe zjawiska, biorąc w nich udział, tak, iż możemy z Herbartem powiedzieć, że niema wyobrażeń bez uczuć, a uczuć bez woli i odwrotnie; niemniej jednak teoretycznie wydzielamy zjawiska myślenia z całości zjawisk duchowych. Wstępujemy na grunt psychologiczny, na którym człowiek czuje się szczęśliwym lub nieszczęśliwym i według tego uczucia kieruje swemi czynnościami. Stąd biorą życie i utrzymanie zjawiska woli, a dla pedagogiki jest tu wielce obiecujący dział, zwany wychowaniem moralnem. Ponieważ człowiek nie rodzi się ani złym, ani dobrym, ani moralnym, ani niemoralnym, przeto dobrym oraz moralnym stać się dopiero może przez wychowanie. Teologiczne naciągania i rozprawianie o skłonności do złego nie mają żadnej podstawy; raczej powiedziećby można, iż człowiek, na mocy panującej dążności rodzaju ludzkiego w kierunku moralności, rodzi się dobrym, ale że zaniedbana edukacja i pozostawienie dziecka samemu sobie skłaniają je do powtórzenia niższego moralnego rozwoju starożytnych swoich przodków. Albowiem nowsze moralne cechy nie nabrały jeszcze tyle siły, ażeby wobec nich ustąpiły popędy stare. Powszechne cnoty rodzaju ludzkiego w jego cywilizacyjnem stadium muszą być przekazane młodemu wychowawcowi w myśl nowożytnej moralnej normy. Celem wychowania na tem polu nie jest posłuszeństwo lu-

dziom, choćby i wychowawcom, ale posłuszeństwo prawu moralnemu. Jednakże trudno wymagać, aby każdy człowiek uznawał za moralnie dobre lub za moralnie złe to wszystko, co uznaje inny; przeto w wychowaniu chodzi o wykształcenie niezależnego moralnego sądu. A jakże powstaje tego rodzaju proces psychiczny? Oto, należy przedewszystkiem nauczać wychowawca, aby oceniał każdą rzecz i każdy stosunek według istotnej wartości. Wszystko, co służy do zaspokojenia potrzeb ciała, stanowi hierarchię niższych potrzeb człowieka i musi też być oceniane właściwie, to jest nie powinno być przeceniane lub niedoceniane w stosunku do potrzeb wyższych, sprowadzających uzacnienie duchowości naszej.

Zasady etyczne są to przyrodnicze rozkazy, których głos przenika całe stworzenie: wszędzie dobro jednostki jest niższe, niż dobro gromady; wiemy, że ta jednostka „musi zniknąć, aby ocalał jej gatunek”—mówi Paweł Mantegazza. Jeżeli więc młody człowiek wyżej stawia potrzeby ciała aniżeli potrzeby ducha, wtedy złym jest jego sąd moralny; a to samo też ma miejsce, jeśli przekłada dobro osobiste nad dobro ogółu. Hierarchia dóbr moralnych wskazuje również, że dobro ludzkości nie może być poświęcone dla interesów życia rodzinnego. Z przeceniania i niedoceniania, z nieumiejętności oceniania różnych rodzajów dobra oraz zła wypływa przeto brak lub niedostateczność sądu moralnego, co znowu decyduje o niedostatecznym lub zupełnie złym wychowaniu moralnym. Właściwe oceny rzeczy oraz stosunków, a następnie dobre moralne sądy prowadzą do bezpiecznych życiowych maksym i ostatecznie zakładają fundamenta pod budowę charakteru. Cały człowiek ze swoją fizycznością i duchowością odbija się w tym—że tak powiem—najpowszechniejszym rezultacie edukacji. Jednostkowe temperamenta, jakoś zewnętrznego otoczenia oraz warunków i jakoś pierwotnego posagu, który dziecię na świat z sobą przynosi, odgrywają tu swoją rolę i przyczyniają się do wywołania ogromnej ilości charakterów: silnych i wytrwałych, chwiejnych lub słabych, złych i niskich, wielkich, sympatycznych, małych, niegodziwych, samolubnych, przewrotnych i t. d. Wychować człowieka tak, aby czuł szczęście i doznawał radości ze swoich uczuć oraz czynów, mających na względzie dobro bliźnich,—aby nienawidził zła, ale kochał jednak ludzi,—aby nigdy nie przełożył dóbr niższych nad wyższe,—aby nie stawiał wyżej ludzi stanowiska, fortuny lub wielkiego rodu nad ludzi zasługi,—aby cenił bogactwa jako środek, nie zaś cel życia,—aby postępowanie w tym duchu uważał sobie za wysoki obowiązek, którego niespełnienie przyprawiłoby go o niezadowolnienie z siebie samego,—aby nic nie czynił dla jakichś nagród lub z oba-

wy kar, ale zarówno nagrody jak i kary uważał jako naturalne następstwa swych czynów, leżące w naturalnym porządku rzeczy, — wychować takiego człowieka — mówimy — znaczy nie mniej ani więcej, jedno obdarzyć społeczeństwo ludzką jednostką moralną, o samodzielnym charakterze i wrażliwym sumieniu. Wielkie jest bogactwo celów i zadań wychowania moralnego, albowiem obowiązki człowieka odnoszą się do przeróżnych pól, na których on musi umieć występować i działać: już to jako człowiek, już — obywatel, ojciec, syn, współziomek i t. d. Wysokie zjawisko moralności społecznego człowieka nie może polegać na jakimś jednostronnym a letnim sentymencie dla spraw całej ludzkości albo narodu, — na jakiejś krzykliwej filantropii wyłącznej, która oswabadza ujarzmione ludy całego świata, a nie baczy na własną rodzinę lub rodaków. Musi to być gruntowne, mądre, pełne mężkości wykończenie całego hierarchicznego ustroju uczuć moralnych. Pedagog powinien to szeroko rozumieć, że jego wychowaniec ma nie jeden obowiązek spełnić, ale dużo obowiązków, — że nie może on, jako obywatel, antycypować uczuć dla całego świata, sponiewierawszy np. uczucia synowskie, ojcowskie lub inne. Szczerłość i prawda muszą towarzyszyć przeprowadzeniu tego dzieła, przyczem, jeśli wychowawca utrzyma dobrą miarę oraz przezorność, okaże się niezawodnie, iż moralność nie tylko nie jest dla człowieka obcą, ale że on jest dla niej zrodzony i nieustannie ją udoskonala. Szerokiem jest pole wychowania moralnego oraz bardzo rozległy zakres jego poglądów; my pragniemy jedynie na tej niwie zaznaczyć wielostronność czynności pedagogicznych czasów obecnych w przeciwstawieniu do poprzedniej pod tymże względem jednostronności. Dawniej wystarczało młodzieńcowi, ażeby był ślepo uległy dla kościoła lub starszych; dzisiaj takiej ślepej uległości nie wymagamy, ona bowiem nie jest bynajmniej celem wychowania. Nieposłuszny uczeń nie jest jeszcze złym i przy całym swoim nieposłuszeństwie, zwłaszcza jeśli ono jest jawne i uczeń dopuszcza się go nie za oczami nauczyciela, może on być dzielnym chłopcem. Dawniej, ażeby wpajać moralność, działano przez kary i nagrody, dzisiaj zmienił się już znacznie pogląd na tę sprawę. System nagród uważa się jako stanowczo szkodliwy pod względem wychowawczo-moralnym, ponieważ dobre postępowanie tylko jest naturalne, nie zaś złe. Kary znowu uważają się dzisiaj, jako zło niezbędne w wychowaniu, i bywają tylko w ciężkich ostatecznościach stosowane, ale bynajmniej nie w myśl jakiejś mściwości nad dzieckiem, słabem fizycznie i moralnie nieudolnym. Kara stosuje się w nadziei oraz chęci wsparcia niedostatecznych dążeń wychowawcy. Podobnie jak w umysłowym rozwoju

dziecka zwraca się nieustannie uwagę na stopień uzdolnienia i przygotowania wychowawca, tak samo rzecz się ma, gdy idzie o rozwój moralny. Reguła powszechna co do tych punktów brzmi: postępować od rzeczy łatwiejszych do coraz trudniejszych. Wymagajmy od dzieci tyle, na ile je stać. Naturalnie, iż to, co nazywamy wolą, musi być uważane jako produkt rozwoju, nie zaś jako przyrodzona władza człowieka. Wola staje się tak samo, jak się staje rozum człowieka—przez wychowanie. Jeżeli tak jest, to nie można mówić o przełamaniu woli i narzucaniu dziecku woli swojej, bo fakt wychowawczy tego rodzaju jest gwałtem przeciw naturze ludzkiej. Dzisiejszy pedagog, oświecony światłem psychologii, wie dobrze, iż kłamstwo dziecka nie jest jeszcze kłamstwem, ani kradzież nie jest kradzieżą. Bo kto nie zna prawdy i przeważnie rządzi się fantazją, ten prawdy mówić nie może. Kto nie wie, co to jest własność, ponieważ widzi, iż co należy do ojca, matki, należy także do niego, ten nie jest złodziejem. Aby osiągnąć rezultaty w wychowaniu moralnym, pedagog nie ucieka się dzisiaj do długich kaznodziejskich perorowań, ale daje też dziecku właściwą sposobność doświadczania. Bo nic i w nikogo wmówić nie można, jeśli on nie jest przygotowany do przyjęcia nauki. W najlepszym razie nieudolne dziecko chwytą same dźwięki wyrazowe, albo skłania się do wykonywania form zewnętrznych, skąd zarówno oświecenie umysłowe jak i moralne udoskonalenie niewielkie korzyści odnosi.

Wobec tych spostrzeżeń, na polu teraźniejszego wychowania zebranych, możemy chyba śmiało mówić o postępie; możemy twierdzić, iż pedagogika starsza grzeszyła nieustannie jednostronnością. Stawiano sobie bowiem jeden cel i, aby go osiągnąć, poświęcono wszystkie inne cele; używano zawsze jednych i tych samych środków wychowawczych; stosowano jedną metodę. Ten niedostatek był nieuchronnym jednak, zważywszy, iż nauka o człowieku była w pieluchach.

Nie myślimy robić jakichś wyrzutów pedagogom przeszłości; konstatujemy tylko fakt, że prawu postępu stało się zadosyć. Wyrzut zaś i nagana dadzą się stosować do tych, którzy grzeszą nieposłuszeństwem dzisiaj jeszcze względem rzeczoności prawa. Ci bowiem, którzy popełniali błędy niegdys, już przez to samo torowali drogę postępowi; ale ci, którzy stary błąd uprawiają i krzewią, czynić to mogą jedynie przez uboczne tendencje, poświęcając wychowawcze interesa dla stronnicych uprzedzeń.

Opierając się na powyższem przedstawieniu rzeczy, możemy poniekąd sprawiedliwie wnosić, jaką będzie bliska przyszłość wychowania, co tu

przedstawiamy aforystycznie i zgodnie z dążeniami nowożytnych pedagogów. (Porównaj: J. M. Guardia *L'éducation dans l'école libre*). Szkoła przede wszystkim stanie się instytucją wolną i niezależną od wszelkich wpływów zewnętrznych. Jej zarząd cały będzie w rękach uzdolnionych pedagogów, którzy swobody tej użyją na korzyść wychowawczych celów i nieustannych reform ku lepszemu. Tylko pod tym warunkiem może być mowa o dobrym wyborze członków ciała wychowującego i nauczającego, o ścisłym przestrzeganiu sposobów oraz metod, o wychowaniu idącym od wewnątrz młodego człowieka, nie zaś polegającym na zewnętrznej rutynie.

Wszelki przymus zostanie usunięty z wychowania, a miejsce kar oraz nagród zastąpi uczucie odpowiedzialności moralnej oraz obowiązku. Jeśli to raz postawione zostanie poważnie, praktyka pedagogiczna znajdzie sobie drogi odpowiednie. W ten bowiem tylko sposób można będzie oddawać ze szkoły społeczeństwu użytecznych i dzielnych obywateli.

Wychowanie pozbędzie się wszelkiego dyletantyzmu. Wychowywać dzieci i pisać o wychowaniu będą tylko ludzie zupełnie przygotowani do zawodu i jedynie temu zawodowi oddani.

Materyalne położenie nauczyciela będzie dostatnie, a praca nie będzie go przeciążała tak, iżby pozbawiony został możności dalszego doskonalenia się.

Nauczanie będzie się rozpoczynało w języku ojczystym, a obce języki będą nauczane wtedy dopiero, kiedy młody człowiek należycie dojrzeje pod względem umysłowym. W ten sposób znikną francuzkie, niemieckie i angielskie papugi, a wykształcą się ludzie rozumni, myślący i mówiący własnym językiem przede wszystkim, a następnie cudzoziemskimi.

Nauka religii reprezentowana będzie nie przez teologa, ale przez pedagoga i nie w kierunku wyznaniowym, t. j. rozszczepiającym ludzi, ale w kierunku bratającym i jednoczącym ich pod hasłem nieustannego moralnego doskonalenia się według ideału, jaki ludzkość pielęgnuje o bóstwie. (Porów. Dr. Dittes *Religiöse Erziehung*). Wiedza przyrodnicza zajmie w szkole godne siebie stanowisko, tak iż w szkole ludowej prawdziwy patriotyzm wesprze się na poznaniu krajowej przyrody. W szkołach średnich wykład nauk przyrodniczych będzie zdązał do dania pojęcia o przyrodzie jako jednej całości ożywionej i kierowanej przez siły wewnętrzne; przyszły wychowaniec będzie pojmował stosunek swój do przyrody, jako wspólnej ojczyzny wszystkich ludzi, w której być obcym przynosi człowiekowi wstyd i jest dla niego szkodliwe.

Nauka języków starożytnych ograniczy się do gruntownego rozumienia autorów greckich i rzymskich, zaniechane zaś zostanie nieprodukcyjne marnowanie czasu nad rozmaitemi extemporaliami.

Wykład historii obejmie w sobie naukę o budowie i organizacyi państw, oraz społeczeństw, a prowadzony będzie z uwzględnieniem nieustannem geografii i ziemioznawstwa wogóle; przyczem należycie uwzględniona zostanie historia umiejętności, sztuki i wynalazków.

Przy nauce języków nowożytnych zadawane będą uczniom wypracowania w takich tylko kwestyach, które uczniowie najgruntowniej rozumieją, co stanowczo mocno zredukuje dzisiejszą literacką blagę.

Żadna szkoła nie będzie zaniedbywała ćwiczeń ciała i sanitarnych względów. Zakłady więc gimnastyczne powstaną wszędzie, a gimnastyka będzie figurowała na planach obok innych zajęć szkolnych.

Wychowanie elementarne albo ludowe będzie mniej polegało na nauce czytania oraz pisania, a głównie na rozwinięciu umysłu człowieka, na wytworzeniu charakteru oraz samodzielności.

Podczas wszelkich egzaminów nauczyciele, pragnący wyrozumieć stopień umysłowego rozwoju ucznia, nie będą wyszukiwali tego, czego uczeń nie umie, ale ocenę swoją oprą na tem, czego on się rzeczywiście nauczył.

Serdeczny atoli, szczery stosunek wychowawców z wychowancami, obcowanie, polegające na takcie z jednej strony, a na szacunku z drugiej, odda wychowaniu przyszłych pokoleń największą usługę. Aby się temu zadożyć stało, powstaną liczne, dobrze urządzone i mądrze kierowane nauczycielskie seminaria.

Ale najgłówniej wszyscy pedagogowie, którym honor i szczęście ludzkości leży na sercu, oczekują urządzenia elementarnej, powszechnej szkoły, gdzie będzie miało miejsce ostateczne zrównanie ludzi, bez względu na stan, majątek, wyznanie lub płeć.

Adolf Dygasiński.

SPÓR O NAUKI PRZYRODZONE W SZKOLE.

I.

Znana bajeczka o Stańczyku opowiada, że ukazawszy się na rynku krakowskim z twarzą owiazaną, dowiódł, że lekarzy jest więcej, aniżeli ludzi jakiegokolwiek innego zawodu.

Gdyby dziś jeszcze Stańczyk tegoż samego chciał bronić twierdzenia, nie wiem, czyby mu tak łatwo przyszło zakład wygrać, jak przed trzystu laty; nie dla tego bynajmniej, iżby zastęp owych niepowołanych lekarzy miał się zmniejszyć, ale że od owego czasu przybyło obficie polityków i ekonomistów, a radców pedagogicznych, którzy tak łatwo umieją prawić, jak i czego uczyć należy, namnożyło się chyba bez liku.

Byłoby to wszakże istotną niesprawiedliwością, gdybyśmy na bujny ten rozrost niepowołanych pedagogów sarkać chcieli, lub uważali go za jakiś objaw zabawny. Jeżeli po wszystkie czasy tak licznie występował ów ród lekarzy Stańczykowych, to dla tego, że sprawy zdrowia najbliższemu człowiekowi obchodzą i na pierwszym planie warunków bytu jego się mieszczą; namnożenie się tedy pedagogów jest niewątpliwą skazówką, że społeczeństwo zdołało już ocenić ważność sprawy wychowania i że ją stawia w rzędzie najpilniejszych zadań. Znaczenie jej łatwiej może, niż gdziekolwiek bądź indziej, zrozumieć można było u nas, gdzie rozwój i upadek szkolnictwa szedł zawsze równomiernie z tętnem ogólnej pomysłowości kraju.

Nie wzbraniajmyż tedy ludziom i o medycynie i o pedagogice prawić dowoli, pod jednym wszakże warunkiem, — niech rozumieją, o czem chcą

prawić. Każdy lekarz aż nadto wie dobrze, jak męczącą jest rozmowa z człowiekiem, który ani o czynnościach organizmu, ani o istocie chorób pojęcia nie ma żadnego; i dobrze, gdy na rozmowie tylko się kończy: statystyka zaledwie mogłaby powiedzieć, ile zagłady szerzy nieumiejętne leczenie felczerów i szarlatanów.

Choć nie tak wyraźnie, nie lepiej ma się rzecz i z pedagogiką; podobnież nieudolne rozprawy, także same rady, nieoparte zgoła na znajomości celów nauczania i wartości pedagogicznej wykładanych nauk.

W krajach nawet, gdzie wychowanie publiczne największej doznaje pieczy i gdzie najlepiej jest uorganizowane, szkolnictwa zgoła za doskonałe, za odpowiednie potrzebom obecnym społeczeństwa uważać nie można; okazuje się to już w ciągłych nawoływaniach o reformę szkół i w częściowych usiłowaniach o jej przeprowadzenie.

W obec powszechnego tego prądu nauki przyrodzone, powołując się na wysoki swój rozwój teoretyczny, na doniosłość olbrzymią swych zastosowań praktycznych, na ów górujący wpływ wreszcie, jaki wywierają na wszystkie dążenia czasów naszych, domagają się godnego siebie stanowiska w szkole. I znalazły też zarówno gorących stronników, coby pragnęli cały system nauczania na podstawie ich oprzeć, jak i nieprzyjaciół nieprzejednanych, którzyby radzi zgoła im wstępu do szkoły odmówić.

Wprawdzie nie są one w szkole żadną zgoła nowością; już ustawa Komisji Edukacyjnej w dosyć obszernym zakresie zamieściła je w rzędzie przedmiotów szkolnych, i dopóki szkoły nasze pod wpływem pamiętnej tej ustawy pozostawały, nauki przyrodzone zawsze w planie ich miejsce znajdowały. Charakterystycznym jest, że ustawa Komisji Edukacyjnej zaleca nauczycielom przy wykładzie odczytywanie odpowiednich ustępów z pism starożytnych; wskazuje to, że nauki przyrodzone stopniowo tylko zdobywały sobie niezależność, sprawa ich wszakże traktowaną była spokojnie, obojętnie. Gorączkowość dopiero, która w ostatnich czasach całem życiem społecznem owładnęła, wdarła się i w dziedzinę pedagogiki i doprowadziła do namiętnego traktowania jej zadań, a pytania, co dawno już wydawały się rozjaśnione i rozstrzygnięte, poruszono na nowo i zamącono. Medycyna wykazuje w pokoleniu naszym nadmierny rozrost chorób nerwowych; możnaby mniemać, że nerwowość ta, drażliwość osobliwa z jednostek przeszła na społeczeństwa całe. Stan ten rozdrażnienia u nas silniej niż gdzieindziej jest posunięty: niehygieniczne warunki bytu, powietrze przytłumione, wzmagają wogóle stan chorobliwy.

Zarzuty stawiane wprowadzeniu nauk przyrodzonych dwojakiej są natury; jedne podnoszą się ze stanowiska właściwie pedagogicznego, inne ze względów, któreby można nazwać względami ocalenia publicznego. Rozpatrzmy jedne i drugie.

II.

Lat temu kilkanaście zalecano gorąco społeczeństwu naszemu zwrót do nauk przyrodzonych; zachwalano je wszakże niezbyt zręcznie. Przedstawiano je jako naukę faktów, jako wiedzę istotną, w przeciwstawieniu do nauk luźnych, wiotkich, jakby treści pozbawionych. Fakta tylko, głoszone, posiadają cenność, po nie tylko schylać się warto, one tylko umysł nasz bogacą i one tylko praktycznie zastosować się dadzą.

Ale i ci także, co w imię najwালniejszych zasad pedagogicznych wstępu naukom przyrodzonym do szkoły bronią, tenże sam nóż obosieczny przeciw nim zwracają. Nie chcą, nie mogą oni dopuścić do szkoły przedmiotu, który umiejętność całą zasadza na gromadzeniu wiadomości, który ma na celu jedynie obładowywanie umysłu wychowanka faktami, szczegółami, a do myślenia go nie nakłania i władz jego rozumowych nie wyrabia.

Zarzut to ciężki, i byłby niewątpliwie stanowczym, gdyby był słusznym. Fakta bowiem nigdy nie stanowią nauki, choćby zasób ich był najobfitszym; gdyby umiejętność nasza polegać miała jedynie na skrzętnem notowaniu i zaciąganiu do roczników wiedzy szczegółów nowo poznawanych, to najdoskonalszą jej formą byłaby encyklopedia alfabetyczna, bo ta uwalniałaby nawet pamięć od pracy; w razie potrzeby fakt każdy dawałby się bez zmydy odszukać, a stopień wiedzy każdego oceniałby się według rozmiarów posiadanej przezeń encyklopedyi. Istotny wszakże rozwój nauki polega nie na ilościowym jej zasobie, ale na tem, jak ona o władnęła swym przedmiotem, jak dalece w wewnętrzzną jego istotę wniknęła i ile posunęła się w zdobyciu ogólnych praw, zjawiskami rządzących.

I nauczanie też każde nie może mieć na celu obładowywania umysłu wychowanka zasobem szczegółów i faktów, ale ma ono na oku właściwe zastosowanie metody nauki do rozbudzenia i rozwinięcia władz umysłowych ucznia; nie o sam materiał tu idzie, ale raczej o gmach z materiału tego zbudowany. Nie to bowiem, co wiemy, ale jak wiemy, stanowi umysłową posiadłość naszą, nad którą nie panuje przygoda, której nie zniszczy czas, nieprzyjaciel srogi naszych skarbów umysłowych.

Nieporozumienie to jest następstwem błędnego pojmowania nazwy metody doświadczalnej, która każe napozór przypuszczać, że praca doświadczalna wypełnia od początku do końca każde badanie umiejętne. Metoda doświadczalna jest rzeczywiście drogą obserwacji i doświadczeń, jest metodą poznawania rzeczy z faktów zbieranych drogą dostrzegania, ale fakta nie wypełniają całego badania; są one podstawą, są i uwieńczeniem gmachu, ale nie jego wiązaniem, są rzeczywiście alfą i omegą, ale nie całym alfabetem, którego do czytania w księdze przyrody używamy.

Początkiem tym doświadczalnym różnią się nauki nowoczesne od nauk znanych w starożytności i wiekach średnich, które się na podstawie dyalektycznego organonu Arystotelesa wyrabiały; zwrót ku doświadczeniu sprowadził nauki na grunt realny, rzetelny, dał im treść istotną. Dawna sylogistyczna metoda Arystotelesowa uczyła łączyć między sobą pojęcia już gotowe, ale nie wskazywała, jak się nowe pojęcia tworzą i odkrywają. Rozwój wszakże istotny polega nie na przedstawianiu w postaci coraz odmiennych wniosków tego, co już wiemy, ale na zdobywaniu wiadomości nowych; tu trzeba było drogi nie dowodzenia rzeczy znanych, ale odkrywania i wynajdywania nieznanich, — a tą właśnie jest metoda doświadczalna, czyli raczej i ogólniej indukcja. Była ona jakby zasłoną przed wzrokiem ludzkim zakryta, a po jej zdarciu ukazała się droga otwarta i do pomysłnego celu wiodąca. Odtąd datuje się już ciągły, nieprzerwany postęp wiedzy.

Badanie przyrodnicze przeto rozpoczyna się od rozpatrywania, od zbierania szczegółów drogą dostrzegania i doświadczenia, — dostrzeganie jest więcej bierne, doświadczenie czynne; doświadczenie bowiem jestto wywołanie umyślne zjawiska w warunkach do obserwacji najkorzystniejszych. Zadaniem indukcji jest wyprowadzenie z tak poznanych faktów pojęć, praw ogólnych; doświadczenie przeto jest jedynie początkiem indukcji, która się przy niem zatrzymać nie może, ale wydobyć ma z niego prawa, któremi się zjawiska objaśniają. Indukcja jestto droga, za pomocą której przechodzimy od szczegółów do ogółu, od części do całości, od zjawisk do praw, od dostrzeżeń do pojęć. Prosty więc zbiór, zestawienie doświadczeń i faktów nie jest jeszcze indukcją, tylko jej początkiem; fakta są znane, ale są jeszcze odosobnione i niepołączone, dopóki nie zostaną związane zasadą uogólniającą; posiadamy perły, ale aby je zeszczepić, trzeba je na sznur nawlec.

Pojęcie to ogólne nie mieści się w zjawiskach, lecz winno być przez rozum wyprowadzone; przez liczne przypuszczenia przebiegać musi umysł,

zanim natrafi na pojęcie istotne, a z różnych możliwości wybierze stosowną pomysłowość, ostrożność, troskliwość, gotowość do odrzucenia przypuszczeń, skoro się w czemkolwiek z faktami nie zgadzają, — zaledwie podolać mogą indukcji, wydobyciu praw ogólnych ze szczegółów poznanych.

Naukę indukcyjną porównywa Bakon do pracy pszczoły, która z kwiatów pól i ogrodów zbiera materyał, ale przerabia go własną swą siłą; i nauka musi przedewszystkiem materyał swój zbierać, a następnie rozumem go przerobić, abyśmy go pojąć mogli.

A nietylko w rozporządzaniu zebrany materyał zachowuje rozum tak wybitne znaczenie, — prowadzi on i samą obserwację i doświadczeniem kieruje. Zwykle dostrzeganie, doświadczenie popolite, które jest niejako własnością i dziedzictwem całej ludzkości, wywołało zapewne pierwsze rozbudzenie myśli naukowej, ale to niemożę stanowić podstawy badania indukcyjnego, które wymaga doświadczenia umiejętnego i pewnego; w dawniejszej to filozofii, mówi Bakon, postępowano z doświadczeniem jak w państwie, gdzie działania polityczne przedsiębiorą się nie według listów i rad wiarogodnych posłów, ale według pogłosek miejskich; dostrzeżenia niejasne, zawile, prowadzić mogą jedynie do pojęć rzekomych, błędnych, dla tego też doświadczenia, na których oprzećby się można, winny być pewne. Doświadczenie popolite jest jedynie macaniem w ciemną noc dla znalezienia drogi, stosowniejsza wszakże czekać dnia lub latarnię zapalić. Wszystkie nasze wrażenia, zmysłowe i duchowe, noszą piętno umysłu obserwatora, a zmysły nasze są chwiejne, słabe i wsparte być muszą rozumem; on to rozpala pochodnię i rozjaśnia noc nas otaczającą. On obmyśla doświadczenia według celu założonego, według pytania, na które mają one dać odpowiedź, wynajduje pomocnicze narzędzia i przyrządy.

Z należycie tylko prowadzonych doświadczeń indukcja wysnuwa prawa natury, a według tego postępowania porównywa Bakon gmach nauki do piramidy, której podstawę stanowi historia i doświadczenie, której wyższe piętra zajmują prawa i przyczyny coraz ogólniejsze, a na której wierzchołku występuje nakoniec najwyższe prawo natury. Człowiek nie znajduje się na szczycie tej piramidy, owszem stanowisko jego przypada u jej spodu; lotne skrzydła wyobraźni, zuchwale skoki spekulacji nie powiodły go na ten szczyt upragniony; pozostała tylko droga powolna i mozolna stopniowego wstępowania przez wszystkie piętra pośrednie, droga skromna, ale bezpieczna i pewna. Trzywiekowe usiłowania wydały plon obfit-

szy zapewne, niż mogli o tem roić wielcy przewodnicy, co pierwsi na nią stąpili.

W istocie, drogi tej naukowej nie można porównać lepiej, jak do takiego wstępowania na górę, na piramidę. Ale posuwając się coraz wyżej, patrzymy nietylko na cel u góry nam przyświecający; nie znajdujemy się na szczycie, na który indukcya ma nas wprowadzić, ale gdziekolwiek się znajdujemy, na ilekolwiek postąpimy, zwracamy się wstecz i obejmujemy wzrokiem drogę przebytą. O ileż obszerniejszy przedstawia się nam wtedy widok!

Wdrapując się mozolnie w górę, nie mogliśmy się rozglądać na strony, już to że okolice te zakryte były przed nami, już że umyślnie odwracaliśmy wzrok, aby nie rozrywać uwagi i nie zbić się z obranej ścieżki.

Z góry dopiero wzrok obejmuje całą okolicę, dostrzega tysiączne szczegóły, które nam uchodziły, poznaje liczne drogi, któremi schodzić można. Zstępujemy niemi już bezpieczniej i śmielej, widzimy, że wszystkie schodzą się u punktu, do któregośmy doszli, i wszystkie z niego wyprowadzają. Jestto droga wręcz przeciwna, przejście od ogółu do szczegółów, od pojęć do faktów, od praw do zjawisk. Jestto metoda filozofów, a umysłowi ludzkiemu tak ponętna, że zespoliwszy się z nią u samego zarania wiedzy, po tysiącoleciach zaledwie usiłowań poznał, że po manowcach błędzi, że, aby z góry zstępować, trzeba się na nią najpierw wdrzeć, że dedukcyę winna zawsze indukcya poprzedzać. Nauki przyrodzone bynajmniej się dedukcyi nie wyrzekają, posilkują się nią również gorliwie, jak każda inna gałąź wiedzy, ale używają jej wtedy dopiero, gdy indukcya wzniosła je na wysokość, z której już obszar pewien objąć mogą.

A właśnie ta droga powrotna, przejście do szczegółów, stanowi dopiero potwierdzenie indukcji; jeżeli pojęcia i prawa z doświadczeń otrzymane są słuszne, to rzetelnemi też winny być wszystkie wnioski, wysnute z tak zdobytej zasady ogólnej. I tu znowu przybywa w pomoc doświadczenie, ale w charakterze zgoła odmiennym; nie służy ono za punkt wyjścia badaniu, ale ma być potwierdzeniem wniosku wyprowadzonego z osiągniętej już zasady; nie pytamy się tu przyrody, jak przebiega nieznane nam zjawisko, ale pytamy się, czy zachodzi w niej zjawisko, które przewidujemy; jeżeli ono nastąpi, stanowi to o dokładności całej pracy, w przeciwnym razie ciąg rozumowań był błędny i należy go zmienić; tak prowadzone badanie ma przeto samo w sobie źródło oceniania swej rzetelności i dokładności.

Rys ten pobieżny nie może być pełnym obrazem metody przyrodniczej; szło nam tylko o odparcie zarzutu, że nauki przyrodzone są jedynie nagromadzeniem luźnych faktów. Metodę przyrodniczą, doświadczalną, zwykłą indukcyjną nazywać, jest ona wszakże raczej indukcyjno-dedukcyjną, bo istotne badanie postępuje obiema drogami; indukcja prowadzi do zdobycia prawdy, której zakres rozszerza dedukcja, podając zarazem możność jej oceny. Indukcja i dedukcja wiążą się ze sobą na każdym kroku w nauce; nie masz indukcji, któraby nie pragnęła zmienić się w dedukcję, ani nie ma dedukcji, którejby indukcja nie poprzedziła. A skoro dedukcja występuje w nauce wtedy dopiero, gdy ta zdobyła już prawa ogólne, gdy stanęła już na wyższym piętrze piramidy Baconowej, przeto skalą niejako rozwoju nauki może być stopień używanej przez nią dedukcji. Za pewność zaś dedukcji poręcza pewny, logiczny i ścisły język matematyczny, którym się posługuje, a który już i indukcji potężne oddaje usługi.

Metodzie to swej nauki przyrodzone zawdzięczają i blask swój zewnętrzny, polegający na zastosowaniach praktycznych, które normują sposób życia dzisiejszego pokolenia, i rozkwit swój teoretyczny, którym tak wygórowały nad inne gałęzie wiedzy, że im za wzór służą. Nauczone bowiem tak pomysłnym przykładem, metodę tę przyswoiły, a raczej przyswajają sobie i inne nauki: prawo, historia, lingwistyka, archeologija, etyka poważne na tem polu przedstawiają usiłowania. A lubo nie idzie tu o identyczne stosowanie metod w badaniu natury użytych, to zawsze nauki przyrodzone przedstawiają wzór praktyczny zastosowania ogólnych jej zasad. Dla tego to znajomość ich niezbędną jest obecnie dla każdego, kto się jakimkolwiek badaniom naukowym oddaje, tak jak dawniej wymaganą była znajomość logiki, — i to samo już silnie przemawia za naukami przyrodzonymi w szkole, która sposobić ma do studyów uniwersyteckich.

Przeciw temu pogładowi stronnicy wyłącznego klasycyzmu w gimnazyach znajdują silny napozór argument w zdaniu Liebiga, który żadnego nie przypisywał znaczenia przygotowawczym wiadomościom przyrodniczym, jakie uczniowie jego ze szkół wynosili, byleby dokładnie w językach starożytnych i matematyce wyćwiczeni byli. Należy wszakże pamiętać, że za czasów Liebiga metoda szkolna nauk przyrodzonych niedostatecznie jeszcze wyrobioną była, a przy pobieżnem traktowaniu nie mogły one tak korzystnie oddziaływać na umysłowe wyrobienie uczniów, jak przedmioty gruntownie wykładane. Nadto, uwagami powyższymi pragnęliśmy wykazać konieczność oswojenia się z duchem nauk przyrodzonych przez tych, któ-

rzy się innym, a nie przyrodniczym studjom oddać zamierzają. A nawet i co do samychże studentów nauk przyrodzonych niepodobna dziś tak pomiać owemi wiadomościami przygotowawczemi, któremi Liebig pogardzał; sam rozwój ilościowy tej gałęzi wiedzy stanowi już ciężki dla początkujących szkopuł, nieprzygotowany zgoła przyrodnik albo medyk na pierwszych już lekcjach chemii napotyka takie mnóstwo nowych pojęć i wiadomości, że tworzy to w umyśle jego istny chaos, i nie przesadzimy zgoła, jeżeli powiemy, że półroczna przynajmniej potrzeba, aby zrozumiał, jak tej nowej zupełnie dla niego rzeczy uczyć się należy.

Ale na szkołę średnią nie można spoglądać wyłącznie jako na zakład przygotowawczy do uniwersytetu, nauki szkolnej niepodobna rozbić jedynie jako podstawy dalszych studyów naukowych. Coraz głośniejszym się żądaniem, aby szkoła średnia sama dla siebie cel stanowiła, aby opuszczając ją młodzieniec posiadał należyte wyrobienie umysłowe i zasób wiedzy, odpowiadający wymogom życia społecznego. Rzeczą jest znaną, że zajęcia, a przedewszystkiem nauki, jakim się człowiek oddaje, wybijają piętno i na ogólnym jego sposobie myślenia, a odnosi się to nietylko do dalszych, wyższych nauk, ale już i zajęcia umysłowe początkowe ślady pewne pozostawiają. Każda zapewne nauka wprawia umysł do ścisłego, logicznego rozumowania, ale tylko nauki przyrodzone nakłonić go mogą do opierania wszelkiego rozumowania na podstawie faktycznej, pewnej i znanej, i nazwyczajnie do istotnej rozważki. Człowieka bowiem wtedy tylko rozważnym nazwać można, jeżeli przedewszystkiem umie okoliczność daną należyście rozpatrzyć i dane zebrać, jeżeli dalej z danego przypadku wyprowadzić umie prawo ogólne i nakoniec wysnuć ztąd należyte wnioski,—a cały ten przebieg przedstawia właśnie trzy te stopnie, któreśmy w badaniu przyrodniczym zaznaczyli, — obserwację, indukcję i dedukcję. Aż na zbyt wszakże pochopni jesteśmy do uciekania się wyłącznie tylko do tej trzeciej czynności umysłowej, do budowania gmachów w powietrzu lub na gruncie chwiejnym, które podmucha najlżejszy wywraca. Ztąd to właśnie ta obfitość lekarzy Stańczykowych, którym ani na myśl nie przyjdzie, że przed udzieleniem porady trzeba przedewszystkiem objawy chorobne zbadać i na ich zasadzie źródło choroby wysledzić. A nietylko w drobnym tym wypadku kardynalny ten błąd myślenia występuje; napotykamy go w rozprawach i całych książkach, o których powiedzieć można: słowa, nie prócz słów; a za ledwie przypomnieć potrzeba, ile to genialnych nawet systemów filozoficznych dla braku silnej podstawy runęło od słabych pocisków.

Z pośród narodów europejskich u Anglików niewątpliwie występuje najwyżej rozwinięta zdolność myślenia indukcyjnego, a objawia się to zarówno w pracach ich filozofów, jak w czynach ich politycznych i sprawach życia powszedniego, i dla tego to naród ten trzeźwym nazywamy. Niepodobna zaprzeczyć, że do takiego trzeźwego, rozważnego na rzeczy zapatrywania się młodzież wychowywać należy, a najpewniejszą po temu drogę przedstawiają nauki przyrodzone, które tę właśnie metodę najlepiej wyrobiły i z nią się zespoliły. Metoda, nigdy rzeczy z oka niespuszczająca, najskuteczniej walczyć może z matactwem, w którym dużo słów, a mało rzeczy.

III.

Dotąd zajmowała nas jedynie metoda, jakkolwiek bowiem jest ona formą nauki tylko, to wszakże w nauczaniu, gdzie przedewszystkiem o formowanie umysłu, o rozwój władz jego idzie, metoda przeważnie ma znaczenie; niemniej jednak i ogólny charakter nauki, którą się zajmujemy, na kierunek nasz myślenia oddziaływa; charakter ten nauki jest wynikiem zarówno jej treści, jak i stopnia jej rozwoju. Najwybitniejszą taką cechą nauk przyrodzonych jest najdokładniejsza prawidłowość, bezpośrednia zależność skutku od przyczyny, najzupełniejsza zgodność zjawisk z prawami. Zasada ta prawidłowości stanowi obecnie podstawę wszystkich poglądów naszych na przyrodę, a ogólne o niej pojęcie przeszło już do świadomości powszechnej, wyrabiała się wszakże ona zwolna i długo, w miarę, jak nauka zdobywała coraz większą liczbę praw, jak coraz lepiej rozpatrywała się w ogólnem życiu przyrody, im więcej umiała wywołać zjawisk w przewidywanych z góry warunkach. Podobnie i umysł każdego człowieka zwolna tylko dochodzi do istotnego zrozumienia tej zasady, do zupełnego oswojenia się z tem pojęciem niezbędnej konieczności, rządzącej wszelkimi objawami świata materialnego. A jak w nauce jest ono źródłem wszelkich badań i dociekań, tak też, skoro się w umysł już wdroży, utrzymuje go w ciągłem zajęciu, pobudza go do pracy, przedstawia mu jasno istotne zadanie nauki: ono to uczy człowieka dopatrywać ładu i składu wśród zawilosci pozornych, staje się potężnym bodźcem rozważli, kierownikiem życia praktycznego.

Uwagi te o wpływie nauk przyrodzonych na kierunek myślenia usprawiedliwiają się i oddziaływaniem ich na inne gałęzie wiedzy ludzkiej. Jeżeli dziś dostrzegamy prawidłowość i konieczność tam, gdzie niedawno

jeszcze widziano działanie przypadku i samowoli, to narozbudzenie poglądu tego wpłynął niewątpliwie przykład i rozwój nauk przyrodzonych.

A gdybyśmy tu od tego rozpatrywania się w zarysach ogólnych przejść mogli do rozejrzenia się w szczegółach, jawniej jeszcze wystąpiłoby to oddziaływanie przyrodoznawstwa na inne nauki. Dostyc nam wszakże odwołać się do walnego prawa zachowania czyli niezniszczalności materji i siły, do zasady wzajemnego związku i jedności sił przyrody, do owej głośnej nareszcie teoryj stopniowego rozwoju i doskonalenia się tworów: ktokolwiek choćby pobieżnie śledzi ruch umysłowy naszych czasów, wie dobrze, jak silnie i ożywczo prawdy te wpłynęły zarówno na filozofję jak i nauki społeczne. Jednakże drogi i wspólne hasła zbliżyły między sobą rozpierzchłe gałęzie wiedzy, których, mimo wszelkich usiłowań, filozofja idealistyczna zjednoczyć nie zdołała i które, owszem, pod jej przewodem doszły do rozbratu zupełnego, przypominającego niemal czasy średniowieczne, gdy przyroda uległa potępieniu i stanowiła zaprzeczenie i zagładę ducha, a świat materialny uważano za niegodny badania. Pogląd idealistyczny nie zdołał wytworzyć ogólnej zasady, obejmującej zarówno materialne i duchowe objawy świata; a to już samo okazuje niemoc jego i uczy, dla czego ustąpić musiał zapatrywaniu się przyrodniczemu na wszelkie zjawiska świata. Dlatego też obowiązkowe niegdyś słuchanie kursów filozofji przez wszystkich studentów uniwersytetu coraz mniejszą posiada wagę, a natomiast pracujący w różnych obszarach nauki coraz silniej czują potrzebę przyswojenia sobie wiedzy przyrodniczej.

Niepodobna nam też tu pominąć i innego jeszcze dobroczynnego wpływu, jaki nauki przyrodzone wywierają na rozwijający się umysł wychowanka: więcej, aniżeli jakikolwiek inny przedmiot szkolny, przyczyniają się one do rozbudzenia samodzielności. Zapewne, i napisanie wypracowania stylowego i rozwiązanie zadania matematycznego zmusza ucznia do pokonywania trudności, powoduje zadowolenie i rozbudza wiarę we własne siły; ale zawsze opracowuje on tylko tematy zadane przez nauczyciela, najczęściej wedle udzielonych przez niego skazówek, wedle formuł przez naukę wskazanych; do samodzielnego stawiania pytań mało tam jeszcze jest miejsca. W naukach przyrodzonych przedmiot badań sam się uwadze ucznia narzuca, po każdej lekcyi ma on obszernie pole do stosowania prawd poznanych do świata otaczającego, wciąż następują mu się rzeczy i zjawiska, które wytłomaczyć sobie pragnie. Dla przykładu przytoczymy tylko zdeterminowanie rośliny lub dokonanie rozbioru chemi-

cznego; to już nie zadanie odrobione, ale rzecz poznana, zbadana. Mniej niż gdziekolwiek indziej uczeń potrzebuje tu przysięgać na słowa nauczyciela.

IV.

Rozpatrywaliśmy dotąd wartość pedagogiczną nauk przyrodzonych jedynie ze stanowiska nauczania formalnego, którego celem jest ćwiczenie, rozwój i doskonalenie władz umysłowych. Zgadza się chętnie na to, że względ ten ma znaczenie pierwszorzędne, że stanowi on naczelną zadanie szkoły, ale nie możemy go uważać za cel jej wyłączny. Obok nauczania formalnego występuje i materalne, dążące do uposażenia umysłu wychowawca pewnym zasobem wiadomości, a drugie to zadanie szkoły coraz większego nabiera znaczenia, coraz się silniej naprzód wysuwa. Z tego względu rozpatrywana sprawa wychowania wyłącznie klasycznego stanowczo jest przegraną, — młodzieniec, opuszczający gimnazjum klasyczne, przedstawia rażąco, uderzająco brak wiadomości najprostszych, najpotrzebniejszych, i choćbyśmy najwyżej cenili znajomość języków starożytnych i korzyść ćwiczeń gramatycznych, to w każdym razie przychodzi zapytać: czego się on po ośmioletnich męczarniach nauczył? Dotkliwemu temu zarzutowi nauki przyrodzone nie ulegają; nie masz tam lekeyi, któraby obszaru wiedzy ucznia nie rozszerzyła, któraby nie rozwinęła widnokregu jego pojęć. Nikt nam tu nie robi zarzutu, iżbyśmy obstawali za ładowaniem umysłu mnóstwem faktów, bo przecież względ ten na drugorzędnym stawiamy miejscu, a przedewszystkiem szło nam o wykazanie właściwie pedagogicznego znaczenia nauk przyrodzonych, ich konieczności ze stanowiska nauczania formalnego; a to niewątpliwie tylko podwyższyć może ich wartość, że wypełnione są treścią realną, to jest rzetelną, istotną.

Choćbyśmy nawet, dzielając pogląd przestarzały, który dziś bezwarunkowo już utrzymać się nie da, uważać chcieli szkołę średnią jedynie za zakład przygotowawczy do studyów dalszych, to ważność w niej nauk przyrodzonych wypływa już z uwag wyżej przywiedzionych. Konieczność ich wszakże w szkole występuje wyraźniej jeszcze, jeżeli ta odpowiadać winna i własnemu swemu celowi, jeżeli opuszczający ją wychowawcy nie tylko być mają rozwinięci umysłowo, ale wychodzić winni zarazem wykształceni i opatrzeni zasobem wiedzy, któryby stanowił pewne przynajmniej przygotowanie do różnych zawodów życia dzisiejszego.

i chemii, botaniki i mineralogii, nie może wydać mechanika lub fabrykanta, ogrodnika lub górnika: ani to w celach jej się mieści, ani czasu jej na to starczy. Chociaż tedy nauczanie szkolne nie wytwarza praktyków gotowych, niemniej jednak rzeczą jest niezaprzeczoną, że nauki przyrodzone bliżej się z praktyczną stroną życia wiążą, aniżeli inne przedmioty szkolne, i że rzeczy tej w wykładzie zaniedbywać nie należy. Temu, co bezpośrednio ze szkoły rzuca się na pole techniczne lub rolnicze, choćby szczupły zasób tych wiadomości ułatwi posuwanie się naprzód w nowym zawodzie, pozwoli się oprzeć na podstawie teoretycznej, bez której z podrzędnego stanowiska wybrnąć niesłychanie trudno. A czyż dla przyszłego urzędnika, kupca, adwokata ogólne wiadomości techniczne będą zbyteczne, czyż brak ich każdemu wreszcie człowiekowi nieraz dotkliwie czuć się nie daje? Całe nasze życie upływa wśród zastosowań nauk przyrodzonych, wszystkie udogodnienia, całe polepszenie warunków bytu naszego zawdzięczamy jedynie ich postępowi; a kto jest tak obojętnym, że wszystkie te dobrodziejstwa nauki przyjmuje, nie troszcząc się o ich źródło, to jednak zapomnieć nie może, że on sam prawom przyrody ulega i wszystkie sprawy życiowe wiążą go z otaczającą przyrodą, a higiena, o której tyle się teraz mówi, której znajomość tak się gorąco wszystkim zaleca, jest jedynie jedną ze stosowanych gałęzi ogólnego drzewa wiedzy przyrodniczej.

Niewątpliwe tedy pożytki ze znajomości nauk przyrodzonych płynące przekonywają wielu; ale mówią znów oni: dzieci nasze przeciążone są pracą szkolną, a nadmiar wiedzy, którym umysły ich obciążamy, szkodliwie na zdrowie ich, na rozwój ich fizyczny wpływa; jakim sposobem wepchnąć tak liczną grupę przedmiotów, które się ogólną nazwą nauk przyrodzonych obejmuje, czyż pod tem przeładowaniem nie pęknie struna i tak już nadmiernie wyprężona? Zarzut ten, zapewne, dotkliwym jest bardzo dla szkoły nowoczesnej, ale nauki przyrodzone razi on najslabiej. Przyroda jakby przemocą narzuca się uwadze ludzkiej od lat najwcześniejszych, ona to budzi pierwsze zaciekawienie dziecka, każdy twór natury, każde zjawisko stanowi zagadkę, której rozwiązanie umysł dziecka posiadać pragnie. Te przeto pierwsze, mimowiedne wrażenia stanowią już materiał, który nauki przyrodzone dalej obrabiać i w umyśle dziecka rozwijać mają. Nasuwają się one tedy uwadze ucznia swobodnie i bez mozołu, nie wymagają sztucznej zachęty i przymusu; jeżeli tylko właściwie są prowadzone, dzieci i dorastająca młodzież słuchają ich chętnie, a nauka ich nie nuży.

Utyskiwania zresztą na nadmiar pracy tyczą się głównie nawału zadań pozaszkolnych, piśmiennych i pamięciowych; tu jednak uczeń już na lekcji korzysta tyle, że w domu niewiele pozostaje do zrobienia; rzecz bowiem sama, okaz, doświadczenie, ożywiający monotoność szkolną, podtrzymują jego uwagę i nie pozwalają jej się rozrywać. Przy wykładach właśnie nauk przyrodzonych uczeń najlepiej nawyka do uwagi i zaczyna pojmować, że winien z każdego wykładu korzyść odnosić, że nauczyciel jest w klasie do nauczania, a nie do zadawania tylko i słuchania lekcji. Uczeń przede wszystkim w samej szkole, a nie po za nią, uczyć się winien; zadanie to najlepiej spełniają właśnie nauki przyrodzone i z tego już choćby względu przypada im prawo obywatelstwa w szkole. Wstęp do niej ułatwia im nakoniec osobiwa ich giętkość, w skutek której każda ich gałąź daje się wybornie naginać do każdego wieku, do najrozmaitszego rozwoju umysłowego, zarówno dobrze prowadzić się dają w szkole początkowej jak i w wyższej. Błędnym zgoła jest zwyczaj dawny, uważający historję naturalną za przedmiot właściwy dla klas niższych, a fizykę i chemię ograniczający do klas ostatnich; i jeden i drugi dział nauki równie dobrze wykładanym być może i dzieciom i uczniom starszym i wykładanym być powinien. Wtedy tylko nauki przyrodzone zupełną przyniesć mogą korzyść, gdy podobnie jak inne zasadnicze przedmioty szkolne, nauka języka, matematyka, geografia i historia, przez cały ciąg szkoły traktowane będą. Powiedziano: czegokolwiek uczyć, byleby uczyć dobrze. Zasada ta niewątpliwie słuszną jest o tyle, że czegokolwiek się uczy, należy uczyć dobrze; ale nauki nie są to surogaty, któreby jednakie w pedagogice miały znaczenie. Matematyki nie zastąpi historia, ani geografii gramatyka. I nauki przyrodzone mają właściwe sobie zadanie, którego nie spełni żaden inny przedmiot szkolny; usuwanie ich ze szkoły sprowadza dotkliwe szkody dla wychowanców, a w dalszym ciągu i dla społeczeństwa całego.

V.

Rozbiór wartości pedagogicznej nauk przyrodzonych i ich znaczenia praktycznego wykazuje pożytek i konieczność wprowadzenia ich do szkoły, a społeczeństwa domagają się tego głośno. Sprawa ich wszakże idzie oporem, zaledwie, że wrót im uchylają, szerokiego wzbraniają im dostępu. Górują nad całym ruchem umysłowym czasów naszych, wybijają na nim swe piętno właściwe, wiążą się z życiem praktycznym, prowadzą za sobą ro-

zwój przemysłu, rozrzutną dłońią sypią dobrodziejstwa, przeobrażają, doskonałą formy życia codziennego; szkoła tylko, która przecież ma być łącznikiem między nauką a życiem, przez którą wiedza z wyżyn swych ma się na ogół przelewać, która ma być rozsadnikiem światłych, pożytecznych obywateli, szkoła tylko usuwa się z pod ich wpływu.

Zdobyły sobie wprawdzie stanowisko przeważne w szkołach realnych, ale tam odgrywają rolę czysto praktyczną, uważane są tam jako źródło chlebobdajne, nie jako materiał pedagogiczny; znajdują tam kryjówkę tylko, nie zaś należyty udział w wychowaniu publicznem, które w pełnym swym blasku w gimnazjum tylko występuje. Szkoła nawet żeńska, w ruchach swych swobodniejsza, dosyć je już szeroko w zakres swój przyjęła, a skutkiem zbiegu okoliczności wytwarza się, u nas przynajmniej, ten dziwaczny stosunek, że w pokoleniu młodem daleko lepszą napotkać można znajomość tych nauk wśród kobiet, aniżeli wśród mężczyzn. Igdyby nie piśmiennictwo popularne, do którego nauki przyrodzone, dzięki nadmienionej już wyżej swej giętkości, szczególnie się nadają, ogół aniby przypuszczał, że tam myśl czyjaś tajniki przyrody przedziera.

Gdy zapytamy o powód tego osobliwego wstępu szkoły do nauk, które świat cały dziś głośno wielbi, to niewątpliwie na pierwszym planie postawić wypadnie — po prostu rutynę.

Dzisiejsze gimnazya nasze sięgają początkiem swym w wieki średnie, w czasy, gdy po długiej, ponurej pomroce umysłowej pragnienie wiedzy zwolna budzić się poczęło. Wiedzy tej trzeba było szukać w ocalonych szczątkach pism greckich i rzymskich; greczyzna i łacina wypełniły tedy szkołę średniowieczną, bo one to tylko powieść mogły do skarbnicy dawnej nauki. Zwrót do języków starożytnych zwiastował epokę rozbudzenia, odrodzenia; łacina i greczyzna stały się znamieniem postępu. Ale tymczasem życie wartkim rwało się pędem, utorowało sobie nowe szlaki, nauka zerwała krępujące ją więzy starożytne, przyswoiła sobie języki nowe, narodowe, a szkoła, wierna początkowi swemu, zasklepiła się w klasycyzmie, nauka języków starożytnych jest dotąd jej głównym przedmiotem, który nawet historję i matematykę jakby z łaski traktuje.

W obronie języków starożytnych pisano bardzo wiele; pomimo to, co do ich znaczenia pedagogicznego taka panuje niejasność, że gdy jedni radzą nacisk większy kłaść na gramatyczną budowę tych języków, inni za cel główny uważają zapoznanie się z literaturą grecką i rzymską.

Nikt zaprzeczyłoby nie chciał zapewne, że gramatyka stanowi bardzo ważny środek kształcący, że oddziaływa silnie na ćwiczenie umysłu. Wielu wprawdzie pedagogów jest zdania, że gramatyka języka ojczystego i innych nowożytnych też same oddać może usługi, co nauczanie języków dawnych; ale przeciw temu znowu da się przytoczyć, że języki żywe nie pozwalają się ująć w formę tak skryształizowaną, tak ścisłą, jak umarłe; dla nauczania tedy formalnego, dla ćwiczenia, gimnastykowania umysłu przedstawiają wartość znacznie mniejszą. Jakkolwiek tedy zastąpienie łaciny językami nowożytnymi, ze względu na praktyczną tych ostatnich potrzebę, dla ogółu przedstawia powab szczególny, zupełne z nią zerwanie nie byłoby może łatwym, ani pożądanym.

Druga zaleta, z nauczania języków starożytnych wypływająca, polegać ma na korzyści, jaką uczeń odnosi z zapoznawania się z piśmiennictwem dwu najcelniejszych narodów starożytności; poważna ta literatura rozbudza poczucie najwyższych ideałów ludzkości, prowadzi do zrozumienia życia duchowego Greków i Rzymian, którzy byli poprzednikami i mistrzami dzisiejszej naszej kultury; a tem samym umożliwia pojmowanie własnych naszych etycznych i estetycznych poglądów; w tem znaczeniu zwykło się wychowanie klasyczne za jednoznaczne z humanitarnem uważać.

W tym rodzaju wypowiedziano wiele bardzo pięknych słów i wzniosłych myśli; idzie tylko o to, czy rzeczywiście nauczanie greczyzny i łaciny urzeczywistnia nadzieje na niem opierane. Zapewne, że ten tylko należyce ocenić zdoła prądy umysłowe własnego swego czasu, komu nie obcem jest życie duchowe pokoleń minionych; prawda i to, że Grecy i Rzymianie byli mistrzami naszymi, ale nie jedynymi mistrzami. Jesteśmy spadkobiercami ich uczuć i myśli, ale i oni byli spadkobiercami narodów, co ich na widowni dziejowej poprzedziły; zajmują oni wspaniałą ustęp dziejów powszechnych, ale ich nie wypełniają całkowicie; tysiącolecia są przed nimi, tysiącolecia nas od nich oddzielają. Dokładne przeto rozumienie przeszłości wymaga znajomości kultury narodów i plemion dawno zamierzonych, których zabytki piśmiennicze dziś dopiero uczymy się wynajdywać i odgadywać, i silniej jeszcze literatury ostatnich kilku stuleci, w ciągu których życie umysłowe mknęło prądem żywszym, jakby dla wynagrodzenia długiego, średniowiecznego uspienia; łacina i greczyzna część tedy tylko wychowania humanitarnego stanowić mogą, ale go nie wypełniają zgoła.

A przytem, zachodzi jeszcze pytanie, czy ściśle, a często przesadnie gramatyczny wykład umożliwia jasne ujęcie treści czytanego ustępu, czy

zwłaszcza pozwala odczuć jego piękno? Czysto wierszy Homera, albo dwieście Wirgila' przepracowanych przez rok poprowadzą do istotnego rozumienia tych poetów, czy wreszcie szkolny sposób traktowania literatury starożytnej nie wiedzie do rezultatów wręcz przeciwnych zamierzonemu celowi, i w miejsce zamiłowania niechęć do niej i wstręt budzi? Takby się zdawało z tego, co widzimy wokoło siebie; niewielu zapewne potrafilibyśmy naliczyć takich, co po opuszczeniu szkoły zaglądają jeszcze do książki łacińskiej lub greckiej, a nie wszyscy też, pomimo ośmioletnich bezustannych nad nią mozołów, łatwoby sobie z nią poradzić zdołali. Jeżeli młodzieniec wynosi ze szkoły miłość dla Greków, uwielbienie dla Rzymian, to zawdzięcza to raczej wykładowi ich historyi, aniżeli znajomości ich języków. Jeżeli naprawdę idzie o wzbudzenie zamiłowania do literatury starożytnej, to pewniejszą, zdaje mi się, drogę przedstawiają wzorowe jej przekłady. Słyszymy wprawdzie często, że przekład oryginału nie nastąpi, ale zasada ta ma taką samą wartość, jak mnóstwo innych zdań zdawkowych, któreśmy przywykli od dzieciństwa powtarzać; ci, co je wygłaszają, sądzą chyba, że cała wartość wybitnego pisarza polega tylko na doborze, na grze wyrazów, niepodobnej do oddania w obcym języku.

Gdyby szkoła rzeczywiście umiała w wychowancach swych wzbudzić zamiłowanie do poważnej i pięknej literatury, byłoby to zapewne niemałą jej zasługą w czasach rozwielenia gazetiarstwa, gdy uczniowie podług szkolną czytają już nie romanse zakazane, ale blahe pisemka poranne, co od młodu już przykuwają ich umysł do drobiazgów życia powszedniego, usypiają go z wolna i odstręczają od książek, których czytanie pewnej pracy myśli wymaga.

Rutyna to tedy tylko, powtarzamy, wypełnia plan szkolny łaciną i greczyzną, rutyna rządzi szkołą i tem gorliwiej broni dostępu do niej naukom przyrodzonym, że wprowadzają one żywioł wręcz jej przeciwny, żywioł postępu, ujawniający się w ich szybkim, uderzającym rozwoju. Jeżeli zważymy, jak mało, przynajmniej pod względem pojmovania otaczającego nas świata, postąpiła filozofia abstrakcyjna od Platona i jego poprzedników aż do Hegla i jego następców, dziwić się nie będziemy zastłości wieków minionych, których rozwój umysłowy szedł pod chorągwią tej filozofii. Dzisiejszemu życiu umysłowemu przodują nauki przyrodzone, żywa ich ruchliwość oddziaływa na wszystkie stosunki ludzkie, a pod ich wpływem jeden dziesiątek lat widzi więcej zdobyczy umysłowych i mate-

ryalnych, niż całe wieki poprzednie. Ale żywy ten postęp budzi nieufność, gdzie rutyna włada.

VI.

I inny wzgląd jeszcze wznieca nieprzyjaźń ku naukom przyrodzonym.

Jestto śmiałość, z jaką do celu swego dążą prosto, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo. Zuchwałość, z jaką się wdzierają w tajniki przyrody. Zuchwałość ta obraża uczucia tłumu.

Stara to historia. Z pomieszaniem językami rozproszyli się po ziemi potomkowie Noego, gdy dotrzeć zamierzili aż do nieba, by mu tajemnice jego wydrzeć; wieża ich w gruzy runęła. Do skał Kaukazu przykuty, jęczy nieszczęśliwy Prometeusz, rzucony na pastwę sępa, co ciało jego rozdziera; szlachetny dobroczyńca ludzi, sprowadza im ogień z nieba, szerzy między nimi kunszt i umiejętność; ale Jowisz jest mściwy, a grecki nawet lud wyrzeka się mądrości tak niebezpiecznej. A nad polską ziemią zawieszony w przestrzeni pokutuje biedny szlachcic, co własną swą duszę za mądrość zaprzedał dyabelską.

Jak Grek od Prometeusza przyjmuje lud od wiedzy przyrodniczej dary, które mu ona tak sownie rozrzuca, ale od niej samej trzyma się zdala, broni jej wstępu do skarbu swych pojęć naiwnych.

Pusty nas śmiech porywa, gdy słyszymy, jak to kapłani chińscy brzękiem przerażających swych tamtamów odpędzają smoka, co dobroczynne pochłonąć chce słońce. Ale tak samo jak bieg ciał niebieskich, tak i ruchy powietrza stałym ulegają prawom, a deszcz i susza nieczułe są na lzy i błagania ludzkie; niestety, i czynności organizmu ludzkiego również niezłomnym i koniecznym ulegają prawom, a wszelkie prośby nasze nie zdołają wrócić zdrowia wycieńczonemu chorobą ciału drogiej nam osoby.

A dokąd światło wiedzy przyrodniczej przenika, pojęcie to prawidłowości objawów natury ustala się w umysłach i ruguje pierwotne, dziecinne poglądy na przyrodę, naiwną wiarę w baśń i cudowność. Ale pojęcia te dawne długo opór idejom stawiają nowym, zanim stanowczo w walce nie ulegną.

VII.

Z innym jednak zastępem nieprzyjaciół sumiennie należy się naukom przyrodzonym porozumieć.

Pokolenie nasze, wołają oni, jest zmateryalizowane, brudny egoizm zagościł w sercach, pogoń za zyskiem przygłusza wszelkie porywy szlachetne, w poniewierkę poszło, co niegdyś wielkiem było i wzniosłem.

Jęki te głoszą wprawdzie często ludzie, co pięknymi słowy kryją myśli swych jałowość i serc swych nędzę; ale są one też często wyrazem boleści nieklamanej.

Prąd ten nazwano zamerykanizowaniem się naszych obyczajów; a choćbyśmy się na nazwę tę nie zgodzili, niemniej jednak istnieniu jego zupełnie zaprzeczyć nie możemy.

Ale wyszukali oni także i przyczynę wszystkiego tego złego, znają źródło tej klęski moralnej.

Nauki to przyrodzone, mówią oni, wygoniły ducha, ubóstwiły materję i siłę, wymyśliły walkę o byt, człowieka od małpy wyprowadziły. Ztąd to wygasła cześć ideału, niski materializm w sercach zagościł, siła stanęła przed prawem.

Ludzie ci umieją wszystko tłumaczyć. Anglia gnębi Irlandyę, zagarnęła Indye, chciałaby Wschodem całym zawładnąć. Ale nie znacie może przyczyny tej zaborczości? Oto Newton wymyślił ciężenie powszechne, a zasada ta tak dalece wżarła się w myśl Anglików, że ją w swych działaniach politycznych urzeczywistniają. Nie pojmujemy wprawdzie, dla czego Newton nie mógł urodzić się w Berlinie albo gdzieindziej; ale to zgoła nie przeszkadza rozumowaniom jednego z krytyków Darwina.

Możnaby powiedzieć, że we wszystkich tych zestawieniach raczej zbliżenie wyrazów, raczej grę słów, aniżeli głębokość myśli znajdujemy.

Bo przedewszystkiem, czyż w dziejach człowieka dziś poraz pierwszy dopiero napotyamy rozkwit materializmu praktycznego, czyż utyskiwań na złość i niegodziwość ludzką nie znajdujemy u pisarzy przeróżnych czasów, gdy o naukach przyrodzonych nic jeszcze nie wiadano? Czyż powszechniejsze źródło złego nie bije z ogółu naszych stosunków społecznych i ekonomicznych, czemuż tylko nauki przyrodzone przed trybunał swój powołujecie, czyż ekonomia polityczna nie bliżej się wiąże z praktycznym życiem człowieka, czyż nie wykazano błędności wielu jej zasad, co tak długo gospodarstwem społecznem rządziły?

I czyż to od darwinizmu dopiero datuje się walka ta z nauką toczona, czyż nigdy jeszcze zasad jej w imię ocalenia publicznego nie potępiano? Darwinizm to ustęp tylko jeden, to epizod tylko tego długiego sporu, którego początek nad Wisłą się rozegrał. Bo słuchajcie, — ziemia jedynym

była światem w całej przestrzeni, słońce istniało na to, by świeciło jej w dzień, a księżyc z orszakiem gwiazd by cienie rozpraszał; a wszystko jej się kłaniało, dokoła niej się obracało. Bóg ziemię tę umiłował nade-wszystko, zstępował na nią osobiście, ulubieńcom swoim się ukazywał. Człowiek pojmował stosunek swój do Stwórcy, był jego dzieckiem ukochanem, nagradzanem lub karaniem wedle czynów swoich. I oto jedna księżka zepchnęła ziemię z tego stanowiska wyłącznego, wyniosłego; królowa stworzenia stała się drobiazgiem nieznacznym, pyłkiem, którego zatura nie zdołałaby zerwać ogólnej harmonii świata; nie słońce jej służy, ona to sama wraz z szeregiem innych ziem dokoła słońca się toczy, a wśród tych towarzyszek swych nawet do skromniejszych należy. I każda gwiazda jest słońcem i dokoła tych słońc nieprzeliczonych znów krążą zapewne bryły, które o naszej ziemi nic nie wiedzą, jak ona nic o nich nie wie. Co większa, to piękne kryształowe sklepienie nad nami, ta siedziba wybranych, nagroda tych, co tu na dole cierpią, samo to niebo w nic się rozwiało, to efekt optyczny, złudzenie, nic więcej.

Zaiste, nigdy i niczem nie mógł być umysł ludzki silniej wstrząśniętym, ani uczucie jego silniej obrażonym; sądził, że to Bóg się od niego oddala, jakby sieroctwo uczuł w tej niezmierzonej, niepojętej, bezgranicznej przestrzeni. I zdawało się, że pogląd ten zetnie wszelkie moralne podstawy świata ludzkiego, że namiętności rozpasane nie znajdą już tamy, co je dotąd na uwiezi trzymała.

A wszakże sprawy ludzkie dalej poszły zwykłym swym torem, nie przybyło występku, nie ubyło cnoty, taż sama co zawsze pstra gmatwanina barw jasnych i ponurych mroków.

Wobec tych pojęć zasadniczych, poruszonych przez dzieło Kopernika i wielkich jego następców, sama kwestya pochodzenia człowieka wydaje się już sprawą podrzędną. Zdetronizowanie ziemi zepchnęło i jego z naczelnego miejsca, a kto dlań jeszcze odrębne w przyrodzie utrzymać pragnie stanowisko, jest epigonem tylko tych, co ziemię unieruchomić chcieli. Ale jak nauka Kopernika cnoty z ziemi nie wypłoszyła, tak i darwinizm zagłady jej nie sprowadzi. Odwołanie się to do dziejów systematu Kopernikowego jest koniecznem zawsze, gdy idzie o rozproszenie obaw niebezpiecznego wpływu teoryj naukowych.

A czyż nakoniec boleść nasza, czy utyskiwania nasze na materializm chwili, na zuchwałość hipotez przyrodniczych zdołają zatrzymać, cofnąć bieg czasu, czyż ocalenia szukać będziemy w pojęciach, co w przeszłości

zatonęły; czyjaż potęga, czyjeż lzy zawrócić je zdołają? Niestety, i poeta nie ma słów pociechy dla biednej dziewczyny, której kochanka zawierucha porwał.

„Wstecz nie płyną wody, rzeki,
„Twój kochanek z Zaporóża
„Nie powróci na wiek wieki.“

Nie pomogą i wątle tamy, któremibyśmy chcieli prąd myśli powstrzymać. Czyż rozprzestrzenianiu się pojęć nowych kres położymy, gdy naukom przyrodzonym wstęp do szkoły zamknijemy, albo gdy krzyknijemy, precz z hipotezą ze szkoły? Hypotezy są celem nauki i bodźcem jej rozwoju, zrastają się z nauką, w całokształt jej wchodzą. Czyż pomijać będziemy pytania, co to jest światło lub ciepło, jaka to siła rządzi ruchami ciał niebieskich, jak się to buduje cząsteczka związku chemicznego? O ile na drodze tej w szkole posunąć się można, każdy dobry podręcznik nauczy. Gdy hipotezę wytrącimy, zasłonimy cel idealny nauki i pozostawimy jej zaledwie strzępy praktyczne, — na to chyba, aby się młodzież coraz lepiej oswajała z pytaniem, ile jej nauka przyniesie. Ale w tem właśnie streszcza się niebezpieczeństwo materjalizmu. Na błędnej jesteśmy drodze, jeżeli źródło jego w nauce dopatrujemy, boć nauka, dążenie do prawdy, do idealnych, najwyższych celów człowieka należy. Aby być zbawcą ludzkości nie dosyć palcem Darwina wytykać; trzeba mieć odwagę puścić się na wzburzone fale stosunków społecznych i tam przyczyny złego wysondować, tam szukać na nie środków zaradczych.

I sędzę, że rozprzestrzenianie wiedzy przyrodniczej raczej do tych ostatnich, aniżeli do pierwszych zaliczyć wypadnie.

Stanisław Kramsztyk.

O SŁOWIANACH WE WŁOSZECH.

Z nazwą, oznaczającą pewną liczbę ludzi tej samej kategorii, t. j. z nazwą narodu, ludu lub też plemienia, łączymy zwykle wyobrażenia trojakiemu gatunku:

1. polityczno-narodowe czyli państwowe.
2. literacko-narodowe czyli narodowe w ścisłym znaczeniu tego wyrazu.
3. etnograficzne czyli plemienne.

Język mówiony w swych rozmaitych narzeczach i gwarach jest wyrazem oczywistym i naturalnym jedności etnograficznej; język pisany jest przedstawicielem jedności literacko-narodowej; wspólny zaś rząd i jednolity ustroj społeczny, jako też wyrobiony patryotyzm polityczny, nadają pewnej liczbie ludzi cechę tej samej „narodowości“ państwowej.

Tylko co wymienione pojęcia trojakiemu gatunku mogą krzyżować się i łączyć się w sposób bardzo rozmaity tak między sobą, jako też z innymi żywiołami większej lub mniejszej doniosłości.

Tak np. wzmiankowaliśmy o uczuciu patryotyzmu, jako o cesze charakterystycznej narodowości państwowej. Ależ uczucie podobne właściwym jest niekiedy jedności literackiej. Co więcej, nawet jedność etnograficzna nie jest pozbawioną pewnego poczucia solidarności gatunku.

Obok patryotyzmu państwowego znajdujemy w niektórych państwach patryotyzmy częściowe różnych narodowości, wchodzących w skład tych

państw. Te patryotyzy częściowe mogą się doskonale godzić z uczuciem wspólnego patryotyzy politycznego, a niekiedy nawet go wzmacniać; chociaż z drugiej strony mogą też z nim walczyć mniej lub więcej zacięcie. Podobne wypadki spotykamy w pewnych federacjach ludów, jak np. w Austrii, gdzie uczucie wspólnego patryotyzy politycznego jest wogóle znacznie słabsze, aniżeli patryotyzy narodowe różnych ludów, wchodzących w skład tego państwa wielojęzycznego. W Szwajcaryi poczucie jedności politycznej przeważa najzupełniej nad patryotyzmami częściowymi różnych narodowości szwajcarskich (narodowości niemieckiej, francuskiej, włoskiej, gryzońskiej).

Niekiedy patryotyzm państwowy chwili obecnej i patryotyzm tradycyjny zburzonej jedności państwowej znajdują się ze sobą w otwartej walce, której mogą położyć koniec albo wzajemne ustępstwa, albo też zasymilowanie słabszej narodowości przez mocniejszą. Nie potrzebujemy szukać daleko przykładów podobnego rodzaju. Tu także należeli np. Grecy, zawojowani przez Turków.

Z powyższego wynika, że we wszystkich kwestjach tego rodzaju należy przedewszystkim określić, czy pewna liczba indywidualów ludzkich należy do kategorii ogólniejszej dobrowolnie, czy też wbrew własnej woli i wbrew własnym sympatyom. Stosownie do kategorii, można tu odcieniać różne stopnie.

1. Co się tyczy jedności politycznej w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, to jest się zmuszonym należeć do niej przez samo urodzenie się w granicach pewnego państwa i tylko przez emigracyą można się wyzwolić.

2. Co do „narodowości“ literackiej, znajdującej wyraz dotykany we wspólnym języku piśmiennym, to należenie do niej nie wzbudza w nas wcale uczucia przymusu. Jest to fakt wolnej świadomości narodowej, pod warunkiem naturalnie, ażeby dane indywidualum mogło pod względem moralnym wnieść się aż do poczucia swojej narodowości.

3. Pod względem etnograficznym, sama natura określa należenie do pewnego plemienia. W tym wypadku nie potrzeba wcale poczucia należenia do tej lub owej kategorii narodowej, jak również brak zupełnie wszelkiego przymusu. Do całości etnograficznej należy się i nie może się nie należeć po prostu przez samą naturę, bez udziału tak świadomości i wolnej woli, jako też bez udziału przymusu państwowego. Jest się Polakiem, jeżeli się mówi po polsku; jest się Litwinem, jeżeli się mówi po litewsku; jest się Niemcem, jeżeli się mówi po niemiecku, i t. d.

Uczucia polityczne, jako też wyobrażenia o granicach różnych narodowości, nie tylko politycznych, ale nawet literackich, mogą się zmieniać w ciągu wieków, stosownie do przypadkowości historycznych, stosownie do wyznań religijnych, do stopnia oświaty i cywilizacji, stosownie nareszcie do środków (centrów) ciężenia politycznego i literackiego (wielkich miast, stolic) i t. d., — gdy tymczasem język mówiony pozostaje zawsze cechą niezmienną i niezaprzeczoną danego plemienia. Można zmienić z biegiem czasu swój język; ale, kiedy się ma język pewnego plemienia, należy się przez to samo do tego plemienia.

Większość mieszkańców Alzacji i Lotaryngii, chociaż należąca do plemienia germańskiego, czuła się pomimo to i zapewne dotychczas się czuje przyciąganą przez Paryż, jako przez wielkie centrum cywilizacji francuskiej. Czuli się oni i czują się dziś jeszcze francuzami, bez względu na właściwości swego narzecza, jako też bez względu na należenie do tego lub owego państwa. A jednakże, przez wzgląd na swój charakter etnograficzny, zachowany niezmiennym w ciągu wieków, byli oni od samego początku Niemcami i są też nimi w chwili obecnej.

Bardziej szczegółowy rozbiór tej nader zawikłanej kwestyi poprowadziłby nas za daleko. Możemy się więc ograniczyć temi kilku uwagami, tem bardziej, że sam tytuł rozprawy ułatwia nasze zadanie, określając z góry, z jakiego stanowiska będziemy mówić „o Słowianach we Włoszech“.

Włochy są państwem jednolitem, znającym pod względem politycznym jedynie tylko Włochów. Językiem szkoły, administracji i literatury jest tam jeden tylko język włoski; pod względem więc narodowo-literackim może być tam mowa także tylko o Włochach, bez względu na to, jakiego narzecza lub też gwary używają oni w życiu potocznym.

Choćby nawet zresztą Włochy były państwem federacyjnym wielojęzycznym z równo uprawnieniem języków literackich, to i tak nie mogłoby być wątpliwości co do stanowiska, z którego mamy mówić o mieszkających we Włoszech Słowianach. Przecież wyraz „Słowianie“ oznacza dotychczas pojęcie czysto naukowe; „panslawizm“ zaś nie tylko polityczny, ale nawet literacki jest jeszcze mrzonką, niepodobną do urzeczywistnienia.

Możemy więc mówić o Słowianach we Włoszech jedynie pod względem etnograficznym.

Otóż pod tym właśnie względem państwo włoskie, tak jednolite pod względem politycznym, literackim i artystycznym, przedstawia dość znaczną różnorodność. Prawda, że i przewaga etnograficzna znajduje się we

Włoszech na stronie Włochów, chociaż zresztą podzielonych na bardzo wiele dialektów, prawie niezrozumiałych jeden dla drugiego. Obok jednak Włochów etnograficznych spotykamy we Włoszech innoplemieńców: z jednej strony inne plemiona romańskie czyli łacińskie, jako to Friulanów czyli Furlanów, oraz Italo-Gallów, pośrednich co do języka między Prowensalczykami i Włochami, z drugiej zaś strony plemiona obce, a mianowicie: Niemców, Albańczyków, Greków, Słowian i t. d.

Słowian spotykamy nie tylko we Włoszech północnych, ale także w południowych. We Włoszech południowych jestto po prostu kolonija serbska (a może serbsko-bułgarska), jak tego dowodzi historia i oczywiste powinowactwo lingwistyczne z Serbami za Adryatykiem. Przeciwnie we Włoszech północnych spotykamy dalszy ciąg Słowian austriackich, których przybycie na ziemię, dziś przez nie zajmowane, gubi się w pomroce wieków ubiegłych.

Rozpoczniemy nasz przegląd od Słowian we Włoszech południowych. Stanowią oni, jak już powiedziano, osadę czyli koloniją dość świeżej daty.

Nie odwiedzałem osobiście tych Słowian. W braku więc własnych badań muszę polegać na artykułach p. Makuszewa ¹⁾ i prof. Ascoli ²⁾, którzy byli sami na miejscu i zebrali tam jakie takie dane do charakterystyki tego plemienia. Oprócz drukowanego artykułu prof. Ascoli mogłem także korzystać z jego notat rękopiśmiennych, udzielonych mi przezeń uprzejmie w r. 1873, a zawierających kilka uwag bardzo interesujących i skądinąd nieznanych.

Obaj wzmiankowani uczeni bawili tam tylko po parę dni i zebrane przez nich dane, zwłaszcza co do języków i literatury ludowej, są, zdaje się, bardzo niedokładne.

Kilka mniej więcej obszernych artykułów i wzmianek o Słowianach we Włoszech południowych ogłosili drukiem miejscowi uczeni. Prace ich wlicza p. Makuszew. Do nich mogę dodać znany mi króciutki artykuł Lejeana ³⁾.

¹⁾ О Славянахъ Молизскаго графства въ южной Италиі Викентія Макушенова (Записки Императ. Акад. Наукъ. XVIII. 1870).

²⁾ A s c o l i, Saggi ed appunti (Politecnico. Milano, marzo 1867).

³⁾ Guillaume L e j e a n, Les Slaves des Deux-Siciles. (Revue orientale et américaine publiée par L. de Rosny. III. Paris, 1860, pg. 337—340).

Całkiem są nieznane, tak data dokładna przybycia tej kolonii słowiańskiej do Włoch południowych, jako też okoliczności, które mogły spowodować to przesiedlenie się. Jednakże pośrednie wskazówki źródeł historycznych pozwalają robić przypuszczenia mniej lub więcej prawdopodobne.

Zajęcie półwyspu bałkańskiego przez Turków, upadek państwa serbskiego po klęsce na Kosowem Polu w r. 1389 i t. d. zajmowały zapewne ważne miejsce między okolicznościami, które zmusiły pewną część Serbów, a może także Bulgarów, do opuszczenia ziemi rodzinnej i wywędrowania po za Adryatyk.

W r. 1870 było we Włoszech południowych jeszcze około 4500 do 5000 mieszkańców, mówiących narzeczem słowiańskim. Dodawszy jednak do nich mieszkańców wsi sąsiednich, którzy z pewnością pochodzą od przodków Słowian, otrzymamy w przybliżeniu 20,000 mieszkańców pochodzenia słowiańskiego.

Trzy wsie, zamieszkałe obecnie przez Słowian we Włoszech południowych: *Acquaviva Collecroce*, *San Felice Slavo* i *Monte Mitro* - leżą około Termoli nad morzem adryatyckim, w powiecie (distretto) Larino, w hrabstwie czyli prowincji Molise, której stolicą jest Campobasso. Najbliższą rzeką jest Biformo.

Ze zwyczajów, z literatury ludowej i t. d., jednym słowem z tego wszystkiego, co nadaje pewnemu ludowi odrębną cechę i co stanowi jego indywidualność plemienną, u Słowian we Włoszech południowych pozostały tylko nieznaczne szczątki.

Jeden tylko zwyczaj zachowano dość wiernie, a mianowicie obchód uroczystości *M a j a*, w dniu 1-ym maja. Uroczystość ta rozpoczyna się o 6-jej zrana i składa się z następujących obrządków.

Ośmiu mężczyzn, wybranych z pomiędzy najstarszych we wsi, niosą po drzewie, ozdobionem kwiatami, wstążkami i piernikami. Przed nimi kroczy chłopak, przebrany za *M a j a*. Cały jego ubiór od stóp do głowy składa się z gałęzi, liści, kwiatów i wstążek. Jego samego wcale nie widać pod tem przebraniem; pozostawiają mu tylko otwory na oczy. Przy dźwiękach muzyki idą tak do kościoła. *M a j* zatrzymuje się przed drzwiami kościelnymi. Wychodzi ksiądz, odmawia przed nim modlitwę i udziela mu błogosławieństwa. Wtedy wieśniacy, towarzyszący *M a j o w i*, wchodzą do kościoła, ofiarując księdzu co mają najlepszego w tej porze roku, jako to: szparagi, sér, placki, (kołaczki) i t. p. Następnie kłękają przed ołtarzem, poza którym leżą nasypane dwie kupy prosa i śpiewają modlitwę po włosku (po słowiańsku bo-

wiem nie wolno śpiewać w kościele). Poczem wychodzą, mając na czele M a j a, obchodzą z muzyką domy prywatne i życzą tam szczęśliwego lata. Muzykanci siadają na ziemi, inni zaś stają koło nich, na przodzie M a j. Ośmiu starców dzielią się na dwa chóry. Czterej rozpoczynają śpiew, — po słowiańsku,—a czterej inni im odpowiadają. Śpiewają też wszyscy chórem. Śpiew ten trwa dosyć długo, przy czem M a j od czasu do czasu tańczy. Samo przez się rozumie się, że procesya po domach prywatnych rozpoczyna się od domu s y n d y k a (wójta), jako naczelnika wsi. Obszedłszy wszystkie domy, udają się na poblizki pagórek, gdzie palą m a j (t. j. oryginalny ubiór przebranego za Maja chłopaka), i późnym wieczorem, rozochoceni wracają do domu z pieśniami i z muzyką. Prócz tego ćwiczą się w strzelaniu do celu.

Inny zwyczaj, dosyć interesujący, ma miejsce podczas nocy Bożego Narodzenia. Zapalają wtedy niewielkie wiązki drew przed domami pryncypałów (gospodarzy), narzeczonych, przyjaciół, którzy nawzajem są obowiązani dawać im pić i jeść. Te wiązki drew nazywają smereke (jałowce). Tej samej nocy, w wigilią Bożego Narodzenia, głowa rodziny powinien zapalić tak wielkie polano, jakie tylko może utrzymać i polano to powinno się palić dopóty, dopóki całkiem nie spłonie. Polano to nazywa się b a d n i a k, jak i u innych Serbów. Przez całą tę noc nie gaszą świateł i nie sprzątają ze stołów. Wigilia i sam dzień Bożego Narodzenia nazywają się d a n e b o ż j e (dnie boże).

Na Młodzianków (Innocenti), w trzy dni po Bożem Narodzeniu, mężczyźni, starzy i młodzi, mają prawo uderzać dłonią po plecach każdej kobiety, którą spotkają. Jednakże trzeba zauważyć, że włościanin nie bije pani. t. j. żony szlachcica (galantuomo), gdy tymczasem szlachcic bije swobodnie włościankę. Mówią tylko, uderzając: „dzisiaj jest dzień Młodzianków,“ a kobieta wtedy wcale się nie sprzeciwia. Na Nowy Rok role się zmieniają: kobiety biją, a mężczyźni znoszą razy bez szemrania. Ten zwyczaj przypomina poniekąd zwyczaj zachowany między innemi w Rosyi. Na Wielkanoc można tu pocałować każdą osobę, byleby tylko przy tym powiedzieć: „Chrystus zmartwychwstał.“

W okolicy, o której mowa, obchodzoną bywa rocznica przybycia Słowian do tego kraju, nie tylko we wsiach pozostałych słowiańskimi do dnia dzisiejszego, ale nawet w S. Giacomo, oddawna zitalianizowanym. S. Giacomo święci ten wypadek w ostatni piątek kwietnia, gdy tymczasem w innych wsiach uroczystość ta ma miejsce w pierwszy piątek maja.

Zupełnie zaginął inny zwyczaj, o którym opowiadał Ascolemu jeden ze starców; starzec zaś ten słyszał o tym zwyczaju od swojej babki, przypominającej go sobie z czasów swej młodości. Na Nowy Rok, w południe, kobiety miejscowe udawały się do źródła (fontana) i napełniwszy każda po wiadrze wody i postawiwszy je na głowie, szły na plac, śpiewając i tańcząc. Poprzedzał je mężczyzna z gitarą albo też mandoliną, oraz kobieta z bębenkami (tamburelli). Po przybyciu ich na plac, mężczyźni tworzyli koło, a kobiety rozpoczynały pośród tego koła taniec, trzymając ciągle wiadra na głowach i oblewając przytem wodą twarze mężczyzn za pomocą czerpaczki miedzianej; czyniły to tak długo, dopóki pozostawała choć jedna kropla wody w wiadrze. Zwyczaj ten zdaje się zdradzać pewne podobieństwo ze znanym dobrze w Polsce *d y n g u s e m* czyli *ś m i g u s e m*, w drugi dzień Wielkiej Nocy.

Z tańców Słowianie we Włoszech południowych znają *t a r a n t e l l e* i *s p a l l a t e*, podobnie jak ich sąsiedzi Włosi.

Śpiewają ci Słowianie najczęściej pieśni włoskie; z pieśni słowiańskich zaś pozostały przeważnie tylko szczątki, pozbawione zwykle sensu i ciągu.

Najpełniejszymi z tych pieśni słowiańskich są może: 1) serya kupletów, śpiewanych podczas uroczystości *M a j a*, i 2) pienia pogrzebowe. Żale podobne (*n e n i j e*), recytowane w czasie pogrzebów albo przez specjalistki-płaczki, albo też przez krewnych zmarłego, spotykamy prawie u wszystkich ludów starożytnych i nowoczesnych.

Niektóre z tych pieni pogrzebowych u Słowian hrabstwa Molise są prawdziwie wzruszające swoją prostotą i głębokiem uczuciem. Tak np. siostra starsza, która straciła naprzód brata, a potem młodszą siostrzyczkę, w następujący sposób oplakuje swoje nieszczęście, idąc za trumną siostry:

„Bracie mój, wyjdź na spotkanie naszej dzieciny: zaprowadź ją przed Boga. Przygotuj dla niej drogę; wszak wiesz, że nasza dziecina jest maleńką“.

Zapisano także dość wdzięczną piosnkę pasterską; następnie pieśń, śpiewaną przede drzwiami narzeczonej; i nareszcie urywek pieśni epicznej, urywek ballady, opiewającej, jak się zdaje, przygody miłosne pięknej *M a r y i* i wiejskiego uwodziciela, *I w a n a* *K a r ł o w i c z a*. Ten ostatni urywek, z którego dziś pozostało zaledwie dwanaście wierszy, przypomina swoim rytmem pieśni epiczne Serbów z za *A d r y a t y k u*.

Żadna prawie z tych pieśni nie ma osobliwej wartości poetycznej. Jako przykład przytaczam piosnkę, śpiewaną przez młodzieńców przede drzwiami narzeczonej. Oto oryginał:

Ustani sa, newista
su dole mmasziature,
su donile biłwe josz postól
— fer kukule fer kukule.

To znaczy:

Wstań, narzeczona,
Są tu (u dołu) posłowie (ambasadorowie),
przynieśli pończochy i trzewiki
— fer kukule fer kukule.

Niektóre z przysłowiów naszych Słowian są wcale dowcipne. Oto niektóre z nich w polskim przekładzie.

- Pies szczeka, wiatr unosi.
(Zastosowywane do oszczercy).
- Wielka ryba pożera małą.
- Dziś piękny, jutro ślepy (O zmienności losu).

- Kto ma jednego wieprzaka, robi go
tłustym (tuczy go); kto ma jednego
syna (jedynaka), robi go złym (psuje
go przez złe wychowanie).

Słowianie hrabstwa Molise nie mają obecnie własnego ubioru narodowego i ubierają się, jak ich sąsiedzi Włosi. Dziewczyny (t. j. kobiety niezamężne) chodziły dawniej, prawie do ostatnich czasów, z gołą głową. Jeszcze za królestwa Obojga Sycylii ten niewinny zwyczaj, który uważano za wybitnie słowiański, nie miał szczęścia podobania się biskupowi i wogóle duchowieństwu włoskiemu, zgorzornemu jakoby podobną nieprzyzwoitością. Skutkiem tego biskup nakazał odmawiać komunii tym, które chodziły do kościoła z gołą głową. Ten środek jednak wcale nie pomógł; żartowano sobie z niego i na tem się skończyło. Wtedy duchowieństwo włoskie uciekło się do środka skuteczniejszego: oświadczone upartym, że nie będzie im dozwolone wychodzenie za mąż, dopóki nie pokryją głowy. Następnie przy drzwiach kościelnych postawiono żandarmów, poleciwszy im wpuszczać do niego tylko pokryte głowy. W skutek tych prześladowań dziewczyny zaczęły obwiązywać sobie głowę chustką; dla odróżnienia się jednak od kobiet zamężnych przywiązują ją sobie pod brodą za pomocą wstążki.

Język Słowian w hrabstwie Molise jest językiem serbo-chorwackim, silnie zmodyfikowanym przez wpływ cudzoziemski.

Język ten zniknie zapewne w krótkim czasie, ale nie zniknie bez śladu. Nazwy miejscowości, kilka nazwisk, a nawet pewna ilość wyrażań, które przejdą z pewnością do gwary włoskiej, mającej zastąpić u tych Słowian ich obecną mowę, będą zawsze świadczyć o poprzednim istnieniu tej mowy; jak świadczą zresztą o niej w okolicach sąsiednich, gdzie potomkowie dawnych Słowian mówią od dość dawna po włosku. Tak np. wyraz *d i d* (dziad, ojciec ojca lub matki) używany jest do dziś w S. Biase i innych wsiach niegdyś słowiańskich.

Formułą pozdrowienia u Słowian we Włoszech południowych jest „*c h w a l a B o g u.*“ Innych Słowian, z którymi się spotykają, albo też którzy ich odwiedzają, jako to: Serbów, Bułgarów, Rosyan i t. p., nazywają: *n a s z a k r w* (nasza krew), *n a s z j e z i k* (nasz język), *n a s z a c z e l e d* (nasza rodzina), *b r a t j a n a s z a* i t. p. Wyraz *n a r o d* jest im nieznany.

Każdy cudzoziemiec, a raczej innoplemieniec, jest dla nich Włochem (Vlah). Odróżniają jednak Albańczyków, zwanych przez nich Greci (Grecy).

Italianizacyi wsi słowiańskich sprzyja bardzo konieczność zawierania małżeństw z Włochami; trudno bowiem między samymi Słowianami znaleźć dwie osoby, nie znajdujące się między sobą w związku bliższego lub dalszego pokrewieństwa. Indywidua zaś, które byłyby w stanie opłacić dyspensę, ażeby dostać pozwolenie na zaślubienie krewnej, należą do wyjątków.

Opowiadają, że Nicola Neri, Słowianin z Acquaviva Collecroce, który swój patryotyzm włoski musiał opłacić śmiercią na szafocie w r. 1799, uważany więc za jednego z męczenników wolności włoskiej, nie wyrzekal się pomimo to swego pochodzenia słowiańskiego; przeciwnie, przybywając na ziemię rodzinną dla odwiedzenia krewnych i współrodaków, powtarzał im zawsze: *n e m o j t e z g u b i t n a s z j e z i k* (nie zatracajcie naszego języka).

Istnieli w ostatnich czasach, a może nawet dziś jeszcze istnieją szlachetni patryoci słowiańsko-włoscy, żywiący piękne nadzieje, że język słowiański nigdy nie zniknie w tych okolicach. Co więcej, spodziewali się upoważnienia ze strony rządu na założenie szkoły słowiańskiej, ażeby młodzież, obok języka Dantego, mogła studyować także język Wuka Karadzića i Gundulića. Wątpić można, czy te piękne i szlachetne nadzieje urzeczywistnią się kiedykolwiek i czy będą w stanie powstrzymać potok asymilacyi etnograficznej. Tak mały listek, oderwany od drzewa, na którym wy-

rósł, staje się bezsilnym i nadaremnie walczyłby z wichrem, który go porywa i z sobą unosi.

Przechodzę teraz do Słowian we Włoszech północnych. Tutaj czuję się daleko pewniejszym; mogę się bowiem oprzeć na swoich własnych bardzo drobiazgowych spostrzeżeniach i badaniach.

Słowianie ci zamieszkują na granicy austriackiej Włoch wschodnio-północnych stoki i wyniosłości gór, znanych pod nazwą Alp julijskich, u których stóp rozciąga się żyzna równina friulska, zamieszkaana przez Friulanów czyli Furlanów, a nieco dalej przez Włochów. Wogóle można powiedzieć, nie popełniając wielkiej niedokładności, że wszystkie zachodnie stoki poprzeczne Alp julijskich, oddzielonych rzeką Fellą od Alp karnijskich, są zamieszkałe przez Słowian. Znaczna część stoków Alp julijskich znajduje się właśnie w granicach Włoch dzisiejszych.

Pierwotnie terytorium słowiańskie rozciągało się o wiele dalej ku zachodowi. Dowodzą tego nazwy oczywiście słowiańskie miejscowości, dosyć odległych od dzisiejszych siedlisk Słowian Włoch północnych. Tak np., według karty topograficznej sztabu generalnego austriackiego, — posuwając się ku zachodowi, znajdujemy przed rzeką Tagliamento: Pasion Schiavonesco, Sclaunico, S. Maria di Sclaunico, Lestizza, Virko, Lonca, M. del Potocco, Sterpo.

Nad samym Tagliamento, na jego lewym brzegu, ku wschodowi: Gradisca, Gradiscutta, Belgrado, Goricizza, Gorizzo (P. Colloredo), Glaunico, Sella.

Na prawym brzegu tej rzeki, ku zachodowi: Gradisca, Postonizico.

Nareszcie jeszcze dalej ku zachodowi, w sąsiedztwie Pordenone, znajduje się wieś Sclavons.

Najbardziej zasługuje na uwagę nazwa Gradisca (t. j. warownia, cytadela). Około jednej wsi, tak nazwanej, znajdujemy szczątki warowni podobnej ze swej budowy do warowni starożytnych, spotykanych w innych krajach słowiańskich, jako to w Łużycach (Hrodziścio), w Polsce (Grodzisko), w Małorosyi (Horodyszczce) i t. d. Fakt ten dowodzi na pewno, że Słowianie osiedlili się na wybrzeżach Tagliamento w bardzo dawnych czasach.

Zupełnie niewiadomą jest data przybycia Słowian do Włoch półno-

nych. W żadnym dokumencie historycznym nie znajdujemy o tym najmniejszej wzmianki.

Niektórzy uczeni przypuszczają, że Wenetowie Juliusza Cezara byli właśnie Słowianami. Bądź jak bądź, pierwsza wzmianka kronikarska o Słowianach we Włoszech północnych znajduje ich tam od dawna osiadłymi ¹⁾).

Paulus Diaconus opowiada o wojnie między Friulanami i Słowianami i oznacza nawet ściśle miejsce walnej bitwy. Donosi on także, iż dwa te ludy wogóle nie sympatyzowały wcale ze sobą; to tłumaczyłoby bardzo wybitną nienawiść międzynarodową, istniejącą między nimi jeszcze za dni naszych.

Fakt, że Słowianie zajmują góry i wzgórza, gdy tymczasem żyzne równiny pozostają w wyłącznym posiadaniu plemienia łacińskiego, może być objaśniony dwojako:

albo Słowianie zajmowali pierwotnie część równin i zostali następnie odparci w góry;

albo też chcieli zejść ze swych gór jałowych i nieuprząnych dla zajęcia równin żyznych i zieleniejących się, ale ich wrogowie, lud innoplemienny, oparli im się i powstrzymali ich zagony.

Słowiańskie nazwy miejscowości, rozsiane dosyć daleko, **nawet** poza Tagliamento, zdają się przemawiać za pierwszym przypuszczeniem.

W każdym razie jest faktem niezaprzeczonym, że dziś Słowianie Włoch północnych są zamknięci w górach i na podgórzach.

Zajmują oni cały powiat Ś-go Piotra (*distretto di S. Pietro degli Schiavi* albo też *S. Pietro al Natissone*), części wzgórzyste powiatów Cividale, Tarcento, Gemona i nareszcie część południowo-wschodnią górzystego powiatu Moggio. Jedynie tylko w powiecie S. Piotra tworzą Słowianie całość administracyjną, oddzieloną od innych. W innych zaś powiatach, poczynając od patryarchów Akwilejskich, następnie za czasów Rzeczypospolitej Weneckiej, w czasie panowania Austryaków za Napoleona I, i nareszcie we Włoszech dzisiejszych, byli oni i są obecnie zmieszani z łacińską (romańską) ludnością Friulanów, nie tylko w tych samych powiatach (*distretti*),

¹⁾ Przyjmowane są zresztą następne „inwazyje Słowian“ do tych krajów :

1) Hunno-Awarowie ze „Sclavi“ w r. 611;

2) „Sclavi Carantani“ w r. 670;

3) „Sclavi Vindi et Crobati“ r. 718.

(Por *Il confine orientale d'Italia* del Prof. Amato A m a t i etc. Milano 1866, pg. 105).

ale nawet w tych samych gminach (komunach). Jedyne tylko w gminie Rezyi, oraz w dwu gminach powiatu Tarcento znajdujemy prawie wyłącznie ludność pochodzenia słowiańskiego. W innych gminach Słowianie są pomieszani z Friulanami. Ten podział administracyjny zależy przedewszystkiem od położenia geograficznego: umieszczone na pochyłościach gór, miejscowości słowiańskie ciążyły, można powiedzieć, ku friulańskim centrom administracyjnym, położonym na równinie, u stóp tych samych gór.

Według spisu ludności z r. 1871, w gminach czysto słowiańskich było tu 26,474 mieszkańców; do tego należy dodać Słowian siedmiu czy też ośmiu gmin z ludnością mieszaną, tak że ogólna liczba Słowian we Włoszech północnych przewyższa zapewne 30,000.

Słowianie ci nie mówią wcale narzeczem jednolitem i wspólnem im wszystkim; przeciwnie, dzielą się oni na kilka gwar, przedstawiających dość znaczne różnice.

Przedewszystkiem trzeba wyłączyć Rezyanów, zajmujących tu część najbardziej posuniętą ku północy terytorium słowiańskiego. Inni Słowianie Włoch północnych nazywają się Slowinami (a nie Slowenami). Ale nawet w obrębie tych Slowinów należy odróżnić dwa dialekty dosyć wybitne, a które możemy nazwać, według głównych odpływów, przecinających ich terytoria: 1) dialektem rzeki Nediży (Natisone), 2) dialektem potoku Teru (Torre).

Wszystkie te dialekty różnią się stanowczo od dialektów słowiańskich z tamtej strony granicy włosko austriackiej, chociaż same ich kraje graniczą bezpośrednio.

Rezyanie tworzą plemię całkiem osobne. Slowiny, co do języka, bliżsi są Serbo-Chorwatom, aniżeli Slowencom austriackim (Krajncom, Chorutanom). Trzeba zauważyć, że Słowianie Włoch północnych, z wyjątkiem Rezyanów, sami siebie nazywają „Slowinami“, gdy tymczasem lud sloweński w Austrii aż do ostatnich czasów brał swe nazwy od prowincyj, przez niego zamieszkiwanych. Że zaś główną prowincją ludu sloweńskiego jest Krajna, więc też nazwa „Krajncy“ była między nim najbardziej rozpowszechnioną.

Wyraz „Slowin“ oznacza po prostu „Słowianina“ i niema żadnego znaczenia specjalnego. Nazwa ta, „Słowianin“ nie jest wcale powszechnie znaną u samych Słowian, ale w różnych modyfikacjach (Slowen, Slowin, Slowak i t. d.) używana jest przedewszystkiem tam, gdzie różne plemiona słowiańskie na północy, na zachodzie i na południu, ale nigdy na wscho-

dzie, — stykają się bezpośrednio z ludami innego pochodzenia, bądź to germańskiego, bądź łacińskiego, bądź też nakoniec madziarskiego. Nazwa „Słowianin“ dała początek wyrazowi łacińskiemu „sclavus“ (niewolnik, włoskie „schiavo“, franc. „esclave“), który, uległszy rozmaitym przeobrażeniom, stał się w końcu u Włochów północnych, w formie „*ciau*“, prostym wyrażeniem pozdrowienia, równoważnego z „servus“, „servo“, franc. „serviteur“ niem. „diener“, a nawet jeszcze bardziej poufałego.

Spotykamy też u Słowian inne imiona, które nie oznaczały dawniej żadnego osobnego plemienia, ale służyły po prostu do oznaczenia wogóle Słowian w bezpośrednim zetknięciu się z innymi plemionami czyli rodzinami lingwistycznymi. Tak np. „Serbowie“ lub „Sorbowie“, — skąd chciano wyprowadzać wyraz łaciński *servus* (niewolnik, sługa), — oraz „Wendy“ lub „Windy“, który to wyraz zestawiano ze starożytnym „Veneti“ i którym sąsiedni Niemcy nazywają Słoweńców Karynty i Styryi (Winden, windisch), oraz Serbów-Łużyczan w Saksonii i Brandenburgii (Wenden, wendisch).

Kolejny opis oddzielnych plemion słowiańskich we Włoszech północnych rozpoczynam od Rezyanów ¹⁾.

Rezyanie, w liczbie około 3,300, zamieszkują kąć północno-wschodni Włoch, w powiecie (distretto) Moggio, prowincyi Udine. Ich terytoryum graniczy z cesarstwem austryackiem i składa się z dwóch dolin, z większej doliny rzeki Rezyi (Resia) i z mniejszej doliny rzeki Wilczej (Uccea), gdzie przebywa co najwyżej około 500 mieszkańców.

Góra Canino oddziela dolinę Rezyi od cesarstwa austryackiego, gdy tymczasem dolina Wilczej otwartą jest właśnie ku Austrii. Najbliższą stacją kolei żelaznej jest Resiutta, a stamtąd wygodna droga bita, prowadzi między górami wprost do centrum doliny rezyańskiej.

¹⁾ Blżej interesujących się tym plemieniem i jego nadzwyczaj oryginalnym językiem odsyłam do następujących swoich dzieł i rozpraw:

Опыт фонетики резыанских говоров, 1875, — Резыанскій катихизис, 1875.

Резья и Резьяне. (Ze zbiioropisma Славянскій Сборникъ. III. Petersburg, 1876, — Глоттологическія (лингвистическія) замѣтки, 1877.

Note glottologiche intorno alle lingue slave e questioni di morfologia e fonologia ario-europea (z „Atti del IV Congresso internazionale degli Orientalisti,“ Firenze, 1881).

Одніско.

Co do historii gminy Rezyi, nic prawie nie wiemy. Dokumenta, do niej się odnoszące, są stosunkowo dosyć świeżej daty i pochodzą z epoki, kiedy to plemię oddawna już usadowiło się w swojej dolinie. Zresztą, starannie poszukając, może by się dało odnaleźć jakie dane z czasów dawniejszych. Zapewniano mię, że w dawnym archiwum miasteczka Moggio (stolicy powiatu) były niegdys ciekawe dokumenta, tyczące się Rezyi, ale archiwum to zostało rozdzielone na trzy części i przeniesione do Wenecyi (do Archiwum państwowego w starożytnym klasztorze *de'Frari*), do Cividale i do S. Daniele. Znane dotychczas dokumenta opactwa Moggio wspominają o Rezyi i to mianowicie jako już o zamieszkałej przez Słowian, dopiero od r. 1100.

Szczątki ruin zamku, znajdujące się w Rezyi właśnie w miejscowości, zwanej *Grad* (zamek), wskazują dosyć jasno, że musiał tam niegdys rezydować pan feudalny. Trudno jednak przypuścić, ażeby Rezyanie odrabiali kiedykolwiek pańszczyznę. Przynajmniej nie pozostało wcale śladów epoki pańszczyźnianej ani w ich języku, ani w ich podaniach, ani w ich zwyczajach, ani też zwłaszcza w ich charakterze. Również zdaje się bardzo prawdopodobnem, że nie byli oni nigdy czynszownikami (fermierami), ale że byli zawsze panami małego kawałka ziemi, przez nich posiadanego. Choć biedni, żyli zawsze wolnymi i niezależnymi.

Opuszczając różne osobliwości, charakteryzujące Rezyan pod względem socyalnym i etnograficznym, pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na niektóre jedyne szczegóły.

Kobiety rezyańskie noszą ubiór oryginalny, cały czarny i w miarę możności jedwabny, krojem zaś swoim i kolorem przypominający ubiór mniszek prawosławnych np. w Rosyi. Tylko zamiast kołpaka, właściwego mniszkom, noszą one na głowach czarne, zwykle jedwabne, chusteczki. Dziś ubiór ten zaczyna wychodzić z użycia, ustępując miejsca używanemu w sąsiednich okolicach przez kobiety friulańskie i słowiańskie.

Rezyanie posiadają taniec własny, któremu towarzyszy nuta monotonna, ale dosyć oryginalna i, jeżeli się nie mylę, przypominająca muzykę Sabaudczyków.

Jak Słowianie hrabstwa Molise, Rezyanie obchodzili niegdys uroczystość *Maja*, *Majnyk*, ze szczególnymi obrzędami. Za naszych dni uroczystość ta przerodziła się w proste święto religijne.

Inne zwyczaje rezyańskie nie są zbyt interesujące.

Pod względem społecznym, Rezyanie są nawskróś demokratami. Choć biedni, ponizają się jednak bardzo rzadko. Tak panów, jak i wieśniaków traktują prawie w ten sam sposób, zwracając się do wszystkich z prostym „wy”, i nie używając wcale innych dodatków, w których wyraża się mniej lub więcej wyrafinowana i arystokratyczna grzeczność innych Słowian włoskich. We wzajemnych stosunkach, t. j. w stosunkach Rezyan z Rezyanami, zachowują zwykle pewną godność. Młode dziewczęta i młodzi chłopcy, jeżeli nie spoufalili ich znajomość z lat dzieciennych, mówią sobie „wy” i nigdy prawie się nie „tykają”.

Gleba Rezyanów nie wystarcza na ich wyżywienie. W skutek tego muszą sobie po większej części szukać zarobku po za granicami zakątka rodzinnego i tylko niewielka liczba może ciągle w nim pozostawać. Ale, chociaż zmuszeni zarabiać na życie zdala od kraju, nie szukają prawie nigdy kariery sługi lub też urzędnika. Praktykują różne rzemiosła i zawody, od galganiarza do hurtowego handlarza owocami, ale prawdziwą rzadkość stanowi Rezyanin, zostający w służbie u człowieka prywatnego lub też u rządu. Stosuje się to nie tylko do mężczyzn, ale także do kobiet. Dla tego to nie starają się wcale o ukończenie studyów i o otrzymanie bardziej starannego wykształcenia. Ich ukształcenie elementarne, ich doświadczenie i nareszcie ich zdolności, istotnie niepospolite, zupełnie im wystarczają do praktykowanych przez nich rzemiosł i handlu. W każdym pokoleniu znajduje się co najwyżej dwóch lub trzech księży pochodzenia rezyańskiego, prócz tego, jako o prawdziwej rzadkości, opowiadają o jednym nauczycielu gimnazjum, wykładającym niegdyś, zdaje się, w Marburgu, a urodzonym w Rezyi. Oto cały zastęp tak zwanej „inteligencji”, wychodzącej z łona plemienia rezyańskiego.

Następujący zwyczaj może służyć jako rys charakterystyczny Rezyanów. W czasie jedzenia każde indywiduum dostaje osobny talerz, osobne nakrycie i osobną porcję. Pozwalam sobie twierdzić, że w tym zwyczaju, jakkolwiek bardzo nieznaczającym z pozoru, objawia się silnie rozwinięte poczucie indywidualizmu i przywiązanie do własności osobistej. U innych Słowian Włoch północnych, jako też u Słoweńców w Austrii, w wielu domach włościańskich współbiedniacy jadają ze wspólnej misy.

Rezyanie są wystawieni na silny wpływ żywiołu romańskiego. Bardzo jest prawdopodobnem, że w niedalekiej przyszłości zmienią swój własny język na język, zapożyczony od swych zachodnich sąsiadów. Dotychczas jednak trzymają się dość silnie swej indywidualności plemiennej. Przy-

czyną tego są, zdaje się: 1. przedewszystkim ich odosobnienie etnograficzne, 2. jedność administracyjna, gdyż tworzą osobną, wyłącznie rezyańską, gminę, 3. ich stosunkowa niezależność kościelna, sami bowiem wybierają sobie proboszcza, oraz sami zarządzają swoją parafią. 4. Nakoniec narodowość etnograficzną Rezyan podtrzymuje silnie w nich rozwinięte poczucie ich indywidualności plemiennej, w różnicy od innych, bezpośrednio z nimi graniczących, plemion, nietylko romańskiego, ale nawet słowiańskiego szczepu. Prócz tego wielu Rezyanów czuje się świadomie członkami wielkiej rodziny słowiańskiej.

Jedynym zabytkiem literackim — jeżeli tak wolno nazwać — Rezyan jest „Katechizm rezyański“, wydany przeze mnie jako dodatek do „Zarysu fonetyki rezyańskiej“.

Literatura ludowa Rezyanów jest dosyć biedna. Jednakże jedna seria ich bajek jest dosyć ciekawą, ponieważ możemy w niej widzieć szczytki eposu zwierzęcej (Thierepos), zastosowanej do okoliczności miejscowych i do charakteru plemiennego danego ludu. Oprócz tego znajdujemy tu kilka opowiadań treści mniej więcej mitologicznej, dosyć znaczną ilość zagadek, do których Rezyanie czują szczególną słabość, oraz kilka pieśni, nie mających zresztą żadnego znaczenia.

Sami Rezyanie utrzymują, że są pochodzenia ruskiego, t. j. że ich przodkowie przybyli z Rosyi. Mniemanie to, podzielane także przez ich sąsiadów, musi być bardzo świeżej daty, co najwyżej z końca zeszłego wieku. Zapewne jaki uczoney miejscowy, zwiedziony podobieństwem brzmienia *Resia, Russia*, — wyciągnął z niego podobny wniosek, który rozprzestrzenił się z wielką łatwością i dał początek różnym legendom, mniej więcej ciekawym i dziwnym.

Mniemanie to jest zupełnie fałszywe i znajduje się w sprzeczności z właściwościami zasadniczymi gwar rezyańskich.

Inne właściwości tych gwar naprowadzają nas na przypuszczenie, że musiały one ulegć silnemu wpływowi cudzoziemskiemu, obcojęzkiemu. W początku widziałem w nich wpływ „turański“ (fińsko-turski). Petriceicu-Hasdeu, znakomity lingwista i historyk rumuński, przypuszczał także wpływ „celtycki“. ¹⁾ Naturalnie ani jedna, ani druga nazwa, t. j. ani „turański“, ani też „celtycki“, nie mogą być brane w dosłownem znaczeniu; wskazują

¹⁾ Baudouin de Courtenay si dialectul slavo-turanic din Italia. Cum s'au introdus slavismele in limba romana? Notitsa de B. P. Hasdeu, Bucuresci 1876.

one jedynie na większe lub mniejsze podobieństwo ze szczepami języków, których wpływ się tu przypuszcza.

Co do wpływu „celtyckiego“, bardzo interesującym jest fakt, że obok dziesiątków Rezyanie liczą na dwudziestki: 60 nazywa się „trikradwujsti“ (3 razy 20), 80 — „sztirkradwujsti“ (4 razy 20), 70 — „trikradwujsti nu desat“ (3 razy 20 i 10), 90 — „sztirkradwujsti nu desat“ (4 razy 20 i 10), 95 — „sztirkradwujsti nu petnijst“ (4 razy 20 i 15) i t. p. Z drugiej znów strony 40 zwie się „sztredi“ (t. j. „sztiri redi“, cztery rzędy), 50 — „paterdu“ (pięć rzędów) i t. d.

Fizyonomie rezyańskie mają typ sobie właściwy, a raczej kilka typów sobie właściwych, różniących się zarówno od typów friulańskich czyli furlańskich, jako też od typów innych, sąsiadających z nimi, Słowian.

Pozostają nam jeszcze do rozpatrzenia inni Słowianie Włoch północnych, niemniej godni uwagi, jak i Rezyanie.

Jakem już wzmiankował, Słowianie ci, ze stanowiska lingwistycznego, dzielą się na dwa główne plemiona, które, według rzek i potoków, przerzynających ich terytoryum, nazwałem:

1. Słowianami Nediży (Natisone).
2. Słowianami Teru (Torre).

Pierwsze plemię, oprócz całego powiatu S. Piotra (distretto di S. Pietro), zamieszkuje jeszcze kilka gmin powiatu Cividale; drugie zaś plemię zajmuje gminy słowiańskie lub półsłowiańskie powiatów Tarcento i Gemona.

Słowianie powiatu S. Pietro, tworzący osobną całość administracyjną, są mniej więcej zabezpieczeni przeciwko bardzo szybkiemu wynarodowieniu. Przeciwnie zaś, zupełne odosobnienie Słowian w powiatach Tarcento i Gemona jest powodem stopniowego zmniejszania się ich terytoryum i ich rozprzestrzenienia etnograficznego. Wsie, niegdyś słowiańskie, leżące na granicy etnograficznej, stały się dziś całkiem friulańskimi. W innych wsiach jedynie dorośli mówią po słowiańsku, dzieci zaś, choć ich jeszcze rozumieją, mówią między sobą tylko po friulańsku. W większej części wypadków ojcowie rodzin nie żałują wcale, że ich dzieci przestają mówić ich językiem. Pewien dosyć inteligentny włościanin (jeżeli sobie dobrze przypominam, we wsi Sedilis) powiedział mi otwarcie: „chcemy się pozbyć naszego języka i staramy się mówić z naszymi dziećmi tylko po friulańsku“. Rzecz jasna, że w podobnych warunkach friulanizacja zupełna tego kraju

jest tylko kwestyą czasu. Ale we wsiach, bardziej oddalonych od Friulanów, t. j. posuniętych bardziej ku granicy austriackiej, żywioł słowiański, nawet w powiatach Tarcento i Gemona, posiada jeszcze dość znaczną siłę odporną.

Ten upadek slawizmu jest tam naturalnym skutkiem położenia geograficznego, oraz warunków historycznych. Małżeństwa mieszane stają się we swych potomkach prawie zawsze rozsądnymi friulanizmami; Słowianie bowiem uczą się z łatwością języków swoich sąsiadów, gdy tymczasem przyswojenie sobie jednego z narzeczy słowiańskich jest dla Friulana lub też Friulanki zwykle zadaniem nieprzewyciężonym.

Naturze i okolicznościom, niezależnym od woli człowieka, pomagali tam i pomagają dotychczas ludzie. Pierwszeństwo pod tym względem należy się duchowieństwu włoskiemu, które od samego początku usiłowało pozbawić tych biedaków ich narodowości etnograficznej. Duchowieństwo parafii słowiańskich, powiatów Tarcento i Gemona, rekrutuje się po największej części spośród księży friulańskich, nie znających wcale języka swych owieczek i nie tylko traktujących go z lekceważeniem, ale nawet wprost nim pogardzających. Każą tedy swym owieczkom i rozmawiają z nimi jedynie po friulańsku. Pacierza i modlitw wogóle uczą po łacinie. Zabawny też widok przedstawiają małe dzieci, powtarzające jak papugi *Pater noster*, *Ave Maria* i t. d., nie rozumiejące w nich ani jednego słowa i przekręcające w sposób najrozmaitszy wszystkie prawie wyrazy klepanego w ten sposób pacierza.

W powiatach Tarcento i Gemona narodowość słowiańska ulega podwójnemu prześladowaniu, nie tylko ze strony duchowieństwa, ale także ze strony dzisiejszego rządu włoskiego.

W powiecie zaś S. Pietro sam tylko rząd prześladowuje język słowiański z gorliwością wzorową, gdy tymczasem duchowieństwo sprzyja tam dotychczas mniej więcej żywiołowi słowiańskiemu. Słowianie z S. Pietro mieli prawie zawsze księży pochodzenia słowiańskiego, albo przynajmniej znających dobrze ich język.

Natomiast rząd włoski przysyła do gmin czysto słowiańskich nie tylko urzędników, ale nawet nauczycieli i nauczycielki elementarne, nie umiejące ani jednego wyrazu po słowiańsku, a pomimo to mające kształcić młodzież miejscową. Rząd włoski prześladowuje urzędników, podejrzanych o „panslawizm“, t. j. takich, którzy, nie wypierając się swego pochodzenia słowiańskiego, zachowują sympatyę do własności narodowych swojego ple-

mienia. Zdawałoby się, że przynajmniej we Włoszech „panslawizm“, ten wyraz ze znaczeniem tak nieokreślonym, nie powinienby być uważanym za niebezpieczny i groźny. A jednak nawet tam jestto straszdyło dosyć jeszcze silne, ażeby trwożyć rząd bojaźliwy i małoduszny, oraz teroryzować ludzi, pozbawionych charakteru i odwagi cywilnej.

Prześladowanie ze strony rządu, choć szkodliwe, trwa jednak krócej, niż prześladowanie ze strony duchowieństwa, którego wpływ zresztą jest wogóle daleko skuteczniejszy, bo przenikający w najtajniejsze zakątki życia prywatnego i mający w oczach ludu sankcyę powagi boskiej. Dlatego to friulanizacya Słowian w powiatach Tarcento i Gemona uczyniła tak wielkie postępy, a jej dokonanie ostateczne jest, o ile się zdaje, tylko kwestyą czasu. Tej to przyczynie należy przypisać prawie zupełne zniknięcie tu zwyczajów ludowych, pieśni, tańców itd.; gdyż wszystkie te objawy były prześladowane i tępione przez duchowieństwo, jako wyraz z jednej strony wesołości światowej, z drugiej zaś — słowiańskości, tak antypatycznej miejscowemu plemieniu romańskiemu. Żywioł słowiański stracił tam już swoją żywotność, żywioł zaś romański nie miał jeszcze czasu zawładnięcia tą ludnością na tyle, ażeby ją sobie upodobnić (zasymilować) i ożywić ją swoim własnym duchem.

Słowianie powiatu S. Pietro, o wiele niezależniejsi i swobodniejsi od tylko co wzmiankowanych złowrogich wpływów, zachowują dotychczas swoją żywotność; bawią się, śpiewają, tańczą, — jednym słowem, czują zadowolenie z życia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, względna siła odporna tych dwu plemion słowiańskich w ich walce przeciwko narzucanemu im wynaradawianiu, odpowiada różnemu kierunkowi głównych odpływów, przeryzających ich terytorya.

Potok Ter (Torre) dąży ku południowi, a, utworzony przez wody gór słowiańskich, roztacza się po równinie Friulu, skąd wlewa się nareszcie do morza Adryatyckiego. Tak samo Słowianie, zajmujący wybrzeża tego potoku i sąsiednie im wzgórza, Słowianie Gemony i Tarcenta, gubią się coraz bardziej w wielkim morzu plemieńności romańskiej.

Przeciwnie rzeka Nediża (Natisone), przeryzająca krainę Słowian S. Pietro, zwraca się ku północo-wschodowi i wylewa swoje wody w rzekę Soczę (Isonzo), której największa część przebiega terytoryum Słoweńców austriackich, gdzie żywioł słowiański jest całkiem ubezpieczony w swoim istnieniu. Otóż i Słowianie w S. Pietro al Natisone długo jeszcze będą się

opierać italianizacji, wzmocnieni będąc w tej biernej walce przez ciągłe wzajemne stosunki ze swymi współplemieńcami z poza granicy politycznej.

Wnosząc jednak z analogicznych procesów, dokonanych gdzie indziej i kiedy indziej, mamy prawo przypuszczać, że, bez względu na większą siłę odporności etnograficznej i Słowianie S. Pietro i Rezyanie tracą z czasem swą odrębność plemienną na korzyść sąsiedniego żywiołu romańskiego. Wtedy nie będzie już można mówić o Słowianach we Włoszech. Będzie to tylko jeden z objawów odbywającej się ciągle integracji etnograficznej, obok której dokonywa się bezustannie wręcz jej przeciwny proces dezintegracji. Jedne odrębności plemienne ścierają się; natomiast z niewielkich różnic między jednoplemieńcami rozwijają się powoli różnice coraz większe i wytwarzają się nowe plemiona. Rzym zasymilował sobie wiele bardzo plemion i narodów i narzucił im swój język. W dalszym zaś ciągu z tego nibyto jednolitego języka rozwinęły się tak odrębne dziś języki, narzecza i gwary romańskie.

J. Baudouin de Courtenay.

INTEGRATORY.

Znajduję się w prawdziwie kłopotliwym położeniu. Przez lat kilka pisywałem popularne sprawozdania o różnych wynalazkach, i szła mi ta robota z łatwością. Tymczasem dziś, gdy chcę opisać mój własny wynalazek, który przecież znam, idzie mi to jak po grudzie. Wyprowadzam ztąd wniosek, że łatwiej jest pisać o tem, czego się nie zna dokładnie. Pisząc o gruntownie poznanym i zbadanym przedmiocie, nie zna się tej własności wypowiedziania ogólnych poglądów, która daje nieznaną trudności praktycznych i różnych wątpliwych punktów.

Ale pominąwszy tę trudność, spotykam jeszcze inną. Przyrządy, nazywane przezemnie *Integratorami*, są wprawdzie proste co do swej budowy, lecz, żeby działanie ich dobrze poznać, trzeba być oznajomionym z zasadami wyższego rachunku. Z tego więc względu rzecz się niebardzo nadaje do popularnego przedstawienia. Staralem się ten szkopał ominąć, lecz sądzę, że zawsze przeczytanie mego sprawozdania wymagać będzie pilnego nateżenia uwagi czytelnika, nie—specjalisty.

Kiedym na początku r. 1880 po raz pierwszy przedstawił mój przyrząd krakowskiej Akademii Umiejętności, nie spodziewałem się wcale—że integratory znajdą przez lat parę tak liczne i tak różnostronne zastosowania. Dziś już nie ja jeden pracuję nad tym przedmiotem, i integratory coraz bardziej wchodzą w praktykę powszednią.

Za pomocą przyrządów zbudowanych na zasadzie przezemnie odkrytej, można obecnie robić różnego rodzaju pomiary, których rodzaj najlepiej zostanie zrozumianym z kilku przykładów.

I tak, jeśli odpowiednio zbudowany integrator połączymy w pewien sposób z maszyną parową i zostawimy go w takiej pozycji, dajmy na to, przez godzinę, to po upływie tego czasu możemy dokładnie odczytać na przyrządzie, wiele ta maszyna pracy wykonała.

Jeśli inny przyrząd, na tejże zasadzie urządzonej, ustawimy w obwodzie elektrycznym, po którym prąd przebiega, to znajdziemy wiele elektryczności w danym czasie przez to miejsce przepłynęło. Integrator tworzy w tym wypadku rodzaj „elektromierza“, działającego podobnie jak gazomierz, oznaczający ilość przepływającego przez rurę gazu.

Jako przyrząd matematyczny służyć on może, w formie którą nazwałem *integratorem*, do mierzenia powierzchni ograniczonych dowolnymi krzywymi liniami. Jest on w tym wypadku jednym z najdokładniejszych planimetrów.

Zestawienie kilku integratorów w jednym przyrządzie, daje nam możliwość rozwiązywania równań numerycznych wyższego rzędu.

Inny przyrząd, który nazwałem *integrografem*, kreśli tak zwane *krzywe całkowe*, mające wielkie znaczenie przy obliczeniach z mechaniki stosowanej ¹⁾.

Opis przyrządu.

Zasadniczą część integratorów stanowią: walec i kółko. Gdy integrator jest w działaniu, wtedy albo kółko toczy się po powierzchni walca, albo też walec toczy się pod kółkiem.

Figura 1-sza przedstawia główne części wszystkich przyrządów ²⁾. Ponieważ na tym rysunku niema żadnych akcesoryów, więc najłatwiej będzie można z niego poznać działanie integratora.

Po mosiężnych, prostolinijnych i równoległych szynach *RR*, toczy się wózek *H*, umieszczony na czterech kółkach oznaczonych literami *r*. Na wózku umieszczony jest walec *CC*, który z wielką łatwością może się obracać około osi *X*.

¹⁾ Patrz *Inżynieria i Budownictwo* r. 1880 mój artykuł o Integratorze (wyszedł w osobnej odbitej).

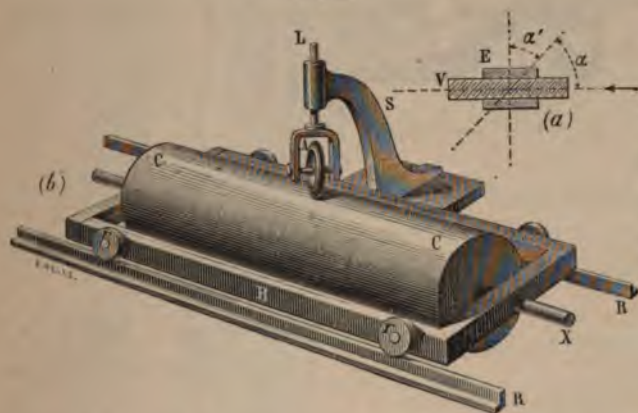
²⁾ Rysunek ten wzięty z mojego artykułu, drukowanego w „Comptes rendus de l'Acad. des Sciences de Paris“ 20 marca 1882 r.

Do tej samej deski, do której przybite są szyny RR , przyśrubowana jest mosiężna podstawa, z której wychyla się aż po nad oś walca CC szyja S , jak to widać na rysunku. Szyja ta zakończona jest pionową rurką, w której mieści się oś pionowa L , rozszczepiona u dołu jak widelki, w celu umocowania osi kółka również pionowego A . Ta część jest podobnie zbudowaną jak nogi na kółkach u fortepianu, albo też (co jeszcze bardziej do rzeczywistości jest podobnem) jak pierwsze koło u welocypedu.

Kółko A jest stale przyciskane do powierzchni walca, za pomocą sprężyny cisnącej na oś L . Sprężyna ta została dla jasności usunięta z rysunku. Kółko dotyka do walca jednym tylko punktem, i dla tego też tarcie w tem miejscu zetknięcia jest tak małe, że z wielką łatwością, pomimo nacisku sprężyny, można obracać widelki wraz z kółkiem A , kręcąc oś L .

Ustawmy teraz oś L tak, żeby płaszczyzna kółka A przechodziła przez oś walca X . Jeśli wtedy ręką zaczniemy przesuwając wózek po szynach RR , w tył i naprzód, to zobaczymy, że kółko przyciśnięte do walca

Fig. 1.



obraca się przez tarcie, ale że walec nie wykonywa żadnego obrotu, jeśli tylko kółko A było dobrze ustawione, jeśli jego płaszczyzna dokładnie przechodziła przez oś X .

Zupełnie inne zobaczymy zjawisko, gdy obróciwszy oś L , skreścimy płaszczyznę kół-

ka tak jak na figurze 1, to jest ustawimy je pod kątem. Jeśli wtedy zaczniemy przesuwając wózek, to spostrzeżemy że walec CC obraca się podczas przesuwania około osi X . Im bardziej odchylimy kółko od pierwotnego położenia, tym obrót stanie się prędszym i to w szybko rosnącym stosunku.

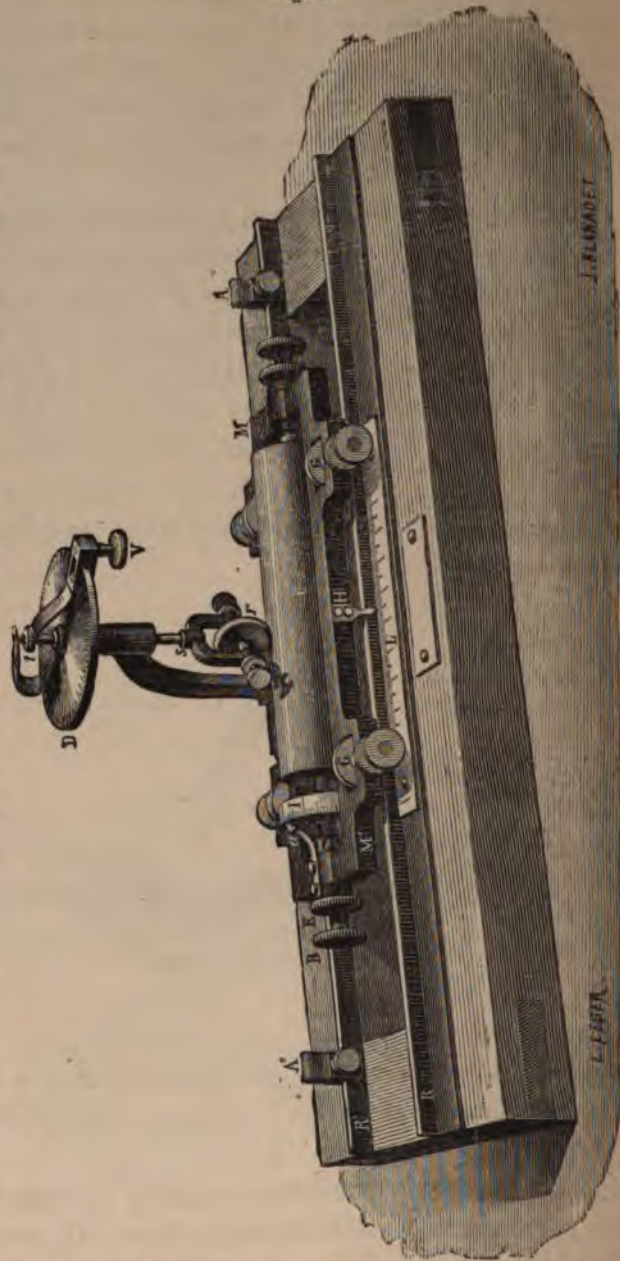
Rozpatrzmy położenie kółka takie, jak ono oznaczonem jest na figurze 1. Przymocujmy je w ten sposób, żeby tego położenia nie zmieniało, i przypuśćmy, że brzeg kółka posmarowany jest farbą. Wtedy po przesunięciu wózka w jedną stronę, znajdziemy na powierzchni walca ślad kółka, w kształcie regularnej wężownicy. Gdy jednak podczas przesuwania wózka

zmieniać będziemy odchylenie kółka *A*, wtedy otrzymamy węzownicę nieregularną wprawdzie, lecz taka właśnie ma największe znaczenie dla integratorów ¹⁾.

Z przyrządem takim jak na fig. 1 można jeszcze innego rodzaju zrobić doświadczenie. Dotąd przesuwalimy wózek pod kółkiem *A* a walec *CC* się obracał. Jeżeli teraz zaczniemy obracać walec, to zobaczymy, że wózek zacznie się w jedną lub drugą stronę przesuwać po szynach *RR*. I w tym drugim wypadku otrzymamy na walcu krzywą odpowiedniej formy.

W integratorach moich największą zaletą ze względu na dokładność rezultatów jest to, że nigdy kółko się nie ślizga po powierzchni walca, a tylko toczy się po niej, jak welocyped po powierzchni drogi, zupełnie inaczej niż łyżwy po lodzie.

Fig. 2.



¹⁾ Jeżeli kółko odchyłanem będzie według pewnego prawa przedstawionego wzorem $y=f(x)$, to nieregularna węzownica rozwinięta na płaszczyźnie przedstawia tak zw. krzywą całkową, której równaniem jest: $Y = \int f(x) dx$.

które się przesuwają. Drugą ważną zaletą jest to, że dokładność funkcyjowania tych aparatów zależy jedynie od dokładności kształtu walca i od dokładnego ustawienia płaszczyzny kółka. Walec utoczyć dokładnie na dobrej tokarni nie jest rzeczą trudną, do ustawienia kółka posiadamy wygodne środki mechaniczne; więc zbudowanie integratora dobrego nie jest zbyt trudną rzeczą.

Z licznych doświadczeń na przyrządach zbudowanych przezemnie i przez pana C. V. Boysa (w Londynie) przekonałem się, że integratory działają zupełnie dokładnie i wygodnie i że je z wielką łatwością można budować.

Figura 2 ¹⁾ jest zrobioną według fotografii z przyrządu przedstawionego paryzkiej Akademii Umiejętności. Z łatwością odróżnimy na niej te same zasadnicze części, któreśmy widzieli na fig. 1, mianowicie walec na wózku i kółko umieszczone między widelkami. Lecz oprócz tego są i inne dodatki. Na os pionową widełek ciśnie sprężyna t . Ilość obrotów walca mierzy się na podzielonym bębnie I za pomocą skazówki a . Przesunięcie wózka odczytuje się na podziałce L . Na podzielonem kole D odczytujemy nachylenia płaszczyzny kółka r względem osi walca. Całość umocowana jest na desce.

Sposób działania integratorów.

Integratory mają za zadanie: znajdować sumę nieskończenie wielu nieskończenie małych ilości. W jaki sposób to się dzieje postaram się wytłumaczyć na prostym przykładzie. Zobaczymy jak to należy pojmować takiego rodzaju dodawanie.

Przypuśćmy, że ze zbiornika, przez otwór zrobiony u spodu, wypływa strumieniem woda. Jeśli zdołamy utrzymać ciągle jednakowe ciśnienie, to na sekundę ciągle wypływać będzie jednakowa ilość wody. Jeśli więc wiemy ile wypływa na sekundę (co łatwo zobaczyć, zebrawszy przez ten czas wodę), to z łatwością możemy otrzymać, przez zwykłe mnożenie, wiele wypłyńie przez godzinę, dobę i t. d.

Ale jeśli ciśnienie zmienia się ciągle, np. wskutek zniżającego się poziomu lub zmiennego zewnętrznego nacisku, to wtedy obliczenie ilości wody, która w pewnym czasie wypłyńie, nie jest tak łatwym. Potrzeba do te-

¹⁾ Wyjęta z artykułu Marcela Deprez o moim integratorze w „Lumière électrique“ Nr. 23 r. 1882.

go osobnych przyrządów „wodomierzów,” albo też trzeba znać stosunek, według którego w tym czasie ciśnienie się zmienia. Doświadczalnie poznaje się ciśnienie w danej chwili za pomocą tak zwanych manometrów, których skazówka odchyła się mniej lub więcej, stosownie do ciśnienia. Ze skali umieszczonej pod skazówką możemy odczytać jakim ono jest w danej chwili.

Przypuśćmy, że skazówka stanęła na pewnej, oznaczonej kresce; gdyby od tej chwili skazówka stała ciągle na jednym miejscu, to znaczyłoby to, że woda przepływa odtąd ciągle w jednakowej ilości, bo ciśnienie jest stałe. Lecz jeśli się skazówka przesuwa ciągle, to rzecz się ma inaczej. Jakże wtedy obliczyć ilość wody z ruchów skazówki manometru?

Żeby dojść do objaśnienia rzeczy, urządzmy w inny sposób nasze doświadczenie. Zmieniajmy ciśnienie nie bez przerwy, ciągle, lecz co sekundę, i postawmy sobie za zadanie znaleźć w tych warunkach ilość wody, która wypłynie przez minutę. Skazówka nie będzie podczas tego doświadczenia w ciągłym ruchu, lecz będzie przeskakiwała z miejsca na miejsce, co sekundę. Z położenia tej skazówki będziemy wiedzieli wiele wody w każdej sekundzie przepływało. Dowiemy się, że w pierwszej przepłynęło a litrów, w drugiej b , w trzeciej c i t. d. Jeśli te ilości dodamy, to otrzymamy całkowitą ilość, która przepłynęła w 60 sekundach, równą $a+b+c\dots$

Powtórzmy teraz tę samą operacją, z tą tylko różnicą, że zmieniać będziemy ciśnienie co pół sekundy. Wtedy otrzymamy dwa razy większą ilość, ale dwa razy mniejszych ilości do dodawania.

Następnie możemy to samo powtórzyć co $\frac{1}{10}$ sekundy; wtedy będziemy mieli w przeciągu minuty 600 ilości do dodania, ale każda z nich będzie znacznie mniejszą.

Gdybyśmy taki podział posunęli do praktycznie niemożliwych granic, gdybyśmy obserwowali skazówkę manometru w odstępach czasu nieskończenie od siebie bliskich, to wtedy ilość składników stałaby się nieskończenie wielką, a natomiast ilości wody, którebyśmy mieli z sobą dodać, stałyby się nieskończenie małymi.

Lecz w tym wypadku już nie możemy sumy znaleźć przez bezpośrednią obserwację manometru, nie możemy bowiem położenia jego skazówki odczytywać i zapisywać w odstępach czasu nieskończenie małych, a potem dodać nieskończenie wiele rezultatów, aby otrzymać całą ilość wody, która wypłynęła w ciągu minuty. Lecz integrator czyni to zupełnie wygodnie, a to w sposób następujący:

Skazówka manometru łączy się mechanicznie, w pewien sposób, z osią L (fig. 1) integratora, tak, że gdy się skazówka obraca, to i ta oś obraca się z nią razem (ruchy są w pewnym oznaczonym stosunku). Więc kółko A przyjmuje różne odchylenia co chwila się zmieniające, zależne od ruchów skazówki manometru. W ten sposób wprowadza się do instrumentu to, co obserwator w poprzednich przykładach wprowadzał do rachunku wpisując odchylenia.

Jednocześnie wózek z walcem posuwa się jednostajnie po szynach, poruszany za pomocą przyrządu zegarowego, a ponieważ w tym czasie kółko się odchyła, więc walec się obracał.

W rezultacie, jeśli po minucie zmierzemy ilość obrotów tego walca, to otrzymamy liczbę proporcjonalną do ilości wody, która w tej minucie wypłynęła.

Rzecz się tak dzieje, że odchylenie kółka zastępuje obserwowanie manometru, ruch wózka dodaje te obserwacje a obrót walca daje ich sumę.

Dla łatwiejszego przedstawienia wzięliśmy przykład najprostszy: wodę wypływającą przez otwór w naczyniu. Właściwie w tym celu używanie integratorów jest zbyt prostym, bo są daleko prostsze przyrządy, wykonywające tę samą czynność. Integratory moje znalazły natomiast zastosowanie do pomiarów praktycznych, daleko subtelniejszych i trudniejszych. Wyliczyliśmy niektóre z nich na początku niniejszego artykułu.

Dla tych, którym wyższy rachunek nie jest obcym, załączam krótką teorią mego integratora, postawioną przez Marcela Deprez ¹⁾:

Jeśli oznaczymy przez

α kąt utworzony przez oś poziomą kółka A (fig. 1) i oś walca C ;
 dx nieskończenie małą drogę przebieżoną przez wózek H po szynach RR , w nieskończenie małym czasie dt ;

dy łuk liniowy opisany przez powierzchnią walca CC w tym czasie;

dz łuk liniowy elementarny, opisany przez punkt obwodu kółka A ;

to łatwo wykazać, że pomiędzy temi czterema ilościami zachodzą dwa następujące stosunki:

$$dy = dx \operatorname{tang.} \alpha$$

$$dz = \frac{dx}{\cos. \alpha}$$

¹⁾ Patrz: „Lumière électrique“ Nr. 23 r. 1882.

Ten ostatni stosunek nie obchodzi nas ze względu na przedmiot, którym się zajmujemy, pierwszy zaś daje

$$y = \int dx \operatorname{tang.} \alpha$$

A więc jeżeli x , to jest droga przebieżona poziomo przez wózek H , jest proporcjonalną do czasu t (co się utrzymuje za pomocą przyrządu zegarowego) i jeśli $\operatorname{tang} \alpha$ jest prop. do każdorazowej zmiennej, którą oznaczono przez η (a więc w powyższym przykładzie do ciśnienia wody), to mnożąc przez stałą K , zależną jedynie od budowy integratora, otrzymamy

$$y = K \int \eta dx$$

B. Abakanowicz.

O SZYBKOŚCI REAKCYJ CHEMICZNYCH.

Od czasu, w którym rozpocząłem bliższe badanie szybkości przemian chemicznych upłynął już bardzo znaczny przeciąg czasu lat sześciu z górą. Pomimo ustalonych metod poszukiwań liczba zebranych przezemnie faktów jest stosunkowo nader małą, czego, obecnie już usuniętą przyczyną był brak odpowiednich narzędzi, którymi bym mógł posługiwać się przy badaniu. W ciągu jednak tego czasu, w którym obserwacyeswoje byłem zmuszony zawiesić lub zbyt powolnie prowadzić, — obszar naszych wiadomości o szybkości reakcyj chemicznych powiększył się znakomicie, dzięki pracy innych uczonych. Ta właśnie ostatnia okoliczność skłania mnie do krótkiego wyłożenia tego wielce interesującego przedmiotu.

I.

Rozpoczynając pracę nad szybkością reakcyj, określiłem tę ostatnią jako pierwszą pochodną względem czasu (t) funkcji, wyrażającej ilość nowopowstającego ciała w ciągu czasu t ¹⁾. Określenie to przyjęli następnie, lub zgodnie z niem prace swe nad szybkością reakcyj prowadzili Van t'Hoff, Kajander, i Berthelot, ten ostatni niezależnie od prac moich. W celu dokładnego określenia szybkości zważmy, że reakcye chemiczne właśnie ze względu na tę szybkość mogą być podzielone na dwa typy, różniące się wybitnie całym przebiegiem. Jedna część przemian chemicznych dokonywa się momentalnie, chwilowo, w jednym mgnieniu oka,

¹⁾ Kosmos I, 530.
OGNISKO.

jeśli się tak wyrazić wolno, w innych zaś reakcyach nader ważny udział przyjmuje czas, którego w rozmaitych razach musi bardzo wiele upłynąć, by dana przemiana chemiczna doszła do pewnego stadyum, nazywanego końcem reakcyi. Jako charakterystyczne przykłady pierwszego typu przytoczyć można rozkłady ciał wybuchowych (nitrogliceryna, chlorowce azotu, dwuazotwiązki), podczas gdy drugi typ stanowi olbrzymia większość przemian, odbywających się zarówno w martwej, jak i w żywej przyrodzie.

Każdy z przytoczonych powyżej typów reakcyj w inny i odmienny sposób badać należy. Badanie przemian zachodzących momentalnie z natury rzeczy ograniczyć się musi na poznawaniu dwóch tylko stanów, a mianowicie bezpośrednio poprzedzającego zjawisko i bezpośrednio po niem następującego, — o fazach przejściowych mowy nawet w tym razie być nie może, bo cały proces dokonywa się w czasie nieskończenie małym.

Zupełnie inna jest postać rzeczy, gdy dana reakcyja potrzebuje pewnego czasu na dojście do końca. W badaniach tego rodzaju nie dość jest ograniczyć się na poznaniu stanu początkowego i końcowego, lecz należy jeszcze z całą ścisłością zbadać wszystkie fazy oddzielające koniec od początku reakcyi.

Dla jaśniejszego przedstawienia rzeczy przejdziemy do przykładu. Wiemy, że przy zanurzeniu cynku w kwas siarczany — wydziela się wodór i powstaje siarczan cynku, — znamy dokładnie stosunek ilości rozpuszczonego cynku do ilości wydzielonego wodoru i zużytego kwasu, — wiemy, że jeśli kwas użytym będzie w nadmiarze, to część jego zostanie niezmienną, a cynk rozpuści się całkowicie i naodwrot; gdyby jednak zapytano, jak wiele potrzeba czasu na to, by dana ilość cynku rozpuściła się w danej ilości kwasu, — to na tak postawioną kwestyę nauka nie daje nam dziś ani teoretycznej, ani nawet empirycznej odpowiedzi, jak również nie objaśni nas ona, jaka ilość cynku rozpuściła się już w kwasie, skoro od chwili jego zanurzenia upłynął określony przeciąg czasu.

Z uwagi na przytoczone okoliczności bardzo ważnem jest zarówno ze względów teoretycznych jak i praktycznych przeprowadzenie odpowiednich poszukiwań w tym przedmiocie, przyczem całe zadanie można zdefiniować ściśle w sposób następujący:

Oznaczyć szybkość z jaką przy reakcyach chemicznych powstają nowe związki (respective: z jaką nikną związki działające na się) i zbadać zależności jakie istnieją (jeśli istnieją) pomiędzy wielkością tej szybkości, a warunkami przy których odbywa się dana reakcyja.

Tak postawione zadanie jest bardzo obszernem, pojedyncze uściłowania mogą zaledwie małą jego częśćkę rozwiązać lub na drogę do rozwiązania wprowadzić, niemniej przeto w bliższej lub dalszej przyszłości musi być ono bezwarunkowo poznanem w najdrobniejszych szczegółach, — wątpić o tem nie można ze względu na potrzebę dynamicznego, a nie statycznego sposobu badania zjawisk chemicznych.

Wypada nam obecnie ująć przytoczone zadanie w bardziej ścisłą formę.

Każdej reakcyi chemicznej towarzyszy powstawanie jakiegoś nowego ciała, nie istniejącego uprzednio w tem naczyniu, w którym zachodzi reakcyja. Ilość tego ciała, powstająca w pewnym określonym przeciągu czasu, zależy od bardzo wielu warunków, jako to od wag atomowych lub cząsteczkowych ciał działających na się, od ich ilości, od wielkości powierzchni zetknięcia, od temperatury, od ciśnienia ¹⁾, od obecności obcych ciał niedziałających i t. d., i t. d.; zależy ona nareszcie i od wielkości tego przeciągu czasu w jakim rozpatrujemy zachodzące zmiany.

Oznaczmy przez u ilość nowopowstającego ciała w ciągu czasu t , rozmaite zaś towarzyszące reakcyi warunki oznaczmy przez:

$$a_1, a_2, a_3 \dots \dots \dots a_n.$$

Natura rzeczy jest taką, iż po tego rodzaju oznaczeniu powiedziec możemy i musimy, że ilość u nowopowstałego ciała jest funkcją $a_1, a_2, a_3, \dots a_n, t$; czyli

$$(1) \quad u = F(a_1, a_2, a_3 \dots \dots \dots a_n, t)$$

w którym to równaniu ilości $a_1, a_2, a_3, \dots a_n$, i t są zmiennymi niezależnymi, a u jest ich funkcją. Wziąwszy z równania (1) pierwszą pochodną względem czasu t , otrzymamy:

$$(2) \quad \frac{du}{dt} = F'(a_1, a_2, a_3 \dots \dots \dots a_n, t)$$

równanie (2), wyrażające szybkość reakcyi.

Znalezienie kształtu funkcyj u i $\frac{du}{dt}$ stanowi rozwiązanie wszystkich pytań odnoszących się do szybkości reakcyj chemicznych.

¹⁾ Na wpływ tego warunku wskazują badania nad szybkością rozpuszczania się platyny w wodzie królewskiej, a mianowicie — w miarę powiększania ciśnienia — zwiększa się i szybkość rozpuszczania platyny w mieszaninie kwasów ClH i NO_3H . Faktu tego (Würtz. Dictionnaire-Platine) nie sprawdzałem. Należy przypuszczać, że on powtórzy się przy działaniu kwasów i na inne metale.

Mamy uzasadnione powody, aby przytoczone powyżej ogólne określenie szybkości reakcyj objaśnić powszechnie znanym przykładem. Jeżeli cynk zanurzymy w kwasie siarczanym, to ilość wodoru wydzielonego w ciągu czasu t zależy będzie od wielu okoliczności, a mianowicie:

1. od wielkości powierzchni zetknięcia cynku z kwasem . . . a_1
2. od ilości kwasu a_2
3. od stężenia kwasu a_3
4. od temperatury a_4
5. od ilości rozpuszczonego siarczanu cynku (?) a_5
6. od ciśnienia a_6
7. od przeciągu czasu t .

Jeżeli w dwóch doświadczeniach wszystkie przytoczone warunki będą zupełnie jednakowe, to i ilości wydzielonego wodoru będą także jednakowe, a więc musimy napisać:

$$[H_2] = F(a_1, a_2, a_3, \dots, a_6, t)$$

jeżeli przez $[H_2]$ oznaczymy ilość wodoru, wydzielonego w ciągu czasu t ¹⁾. Funkcja $[H_2]$ z natury rzeczy może mieć tylko jedną, zawsze dodatnią wartość przy danych wartościach na t, a_1, a_2, \dots, a_6 .

Wziąwszy pierwszą pochodną względem czasu t otrzymamy

$$(3) \quad \frac{d[H_2]}{dt} = F'(a_1, a_2, \dots, a_6, t) = V_{[H_2]}$$

również (3) wyrażające szybkość wydzielania się wodoru przy danych warunkach $a_1, a_2, a_3, \dots, a_6$. Rzecz prosta, że szybkość wydzielania się wodoru będzie służyła za miarę szybkości całej reakcji między cynkiem i kwasem siarczanym, gdyż danej ilości wydzielonego wodoru odpowiadają dane i równoważne ilości rozpuszczonego cynku, zobjętnionego kwasu i powstałego siarczanu cynku.

II.

Z tego określenia szybkości reakcji, jakie podaliśmy w poprzedzającym paragrafie — widzimy, że jest ona funkcją bardzo wielu zmiennych,

¹⁾ W dalszym ciągu wypadnie mi bardzo często mówić o danych ilościach rozmaitych związków chemicznych. Ilości te będą oznaczał przez formuły cząstek tychże związków, ujęte w nawiasy. Tak np. H_2 oznacza nieokreślenie wodoru, lub jedną jego cząstkę, zaś $[H_2]$ oznaczać u mnie będzie pewną ściśle określoną ilość wodoru. Podobnież:

CO_2 oznacza nieokreślenie dwutlenek węgla, lub jedną jego cząstkę,
a $[CO_2]$ oznaczać będzie pewną ilość dwutlenku węgla i t. d.

z których każda w rozmaitych doświadczeniach może być zmienną niezależną, stosownie do woli eksperymentatora; pewne jednak warunki w danem doświadczeniu zmieniają się zupełnie prawidłowo i przeważnie w zależności od prędkości przebiegu reakcji. Tak np. stężenie roztworów w rozmaitych doświadczeniach możemy zmieniać dowolnie — będzie więc ono zmienną niezależną, — w pojedynczym jednak, danym akcie chemicznym staje się ono zmienną, zależną od szybkości przebiegu reakcji. Toż samo stosuje się do temperatury: początkowa zależy w zupełności od woli eksperymentatora, na końcową — wpływa natura i szybkość reakcji.

Ilość nowopowstających przy danej reakcji ciał zależy także między innymi od ilości cząstek (molekuł) działających na się, i jeżeli tylko warunki dla wszystkich cząstek są jednostajne, to ilość powstałego ciała musi być proporcjonalną do ilości cząstek, biorących udział w reakcji w danym momencie. Z tego faktu wynika prosty, lecz zarazem bardzo ważny wniosek, że przy badaniu szybkości reakcji, należy brać pod uwagę ilość działających na się cząstek i takową uwzględniać, w przeciwnym bowiem razie badanie szybkości reakcji nie może być ścisłym.

Lecz określenie bezwzględnej ilości cząstek stykających się w danej mieszaninie, jest jak na dzisiaj rzeczą niemożliwą — lub też wymagającą wyprowadzenia do wyliczeń znacznej liczby niedość uzasadnionych hipotezycznych przypuszczeń, — jeśli więc nie chcemy wyjść w badaniach po za sferę niezaprzeczalnej rzeczywistości, to poprzestać musimy koniecznie na określaniu względnej ilości działających na się cząstek. Lecz i tę ilość określić jest bardzo trudno wówczas, gdy mamy do czynienia z mieszaninami płynów lub gazów. Wprawdzie stężenie roztworów przy płynach — a ciśnienie przy gazach pozwalają na dokładne określenie względnej ilości stykających się cząstek — lecz zapominać nie należy, iż zarówno ciśnienie jak i koncentracja mogą wpływać samodzielnie, jako takie, na szybkość reakcji i wpływ ilości stykających się cząstek maskować. ¹⁾

Z tego, mem zdaniem niezmiernie ważnego względu, — wszelkie badania nad szybkością reakcji należy prowadzić w ten sposób, aby ilość działających na się cząstek była albo stałą w ciągu całego doświadczenia — albo

¹⁾ Wpływ stężenia roztworów na ogólny przebieg reakcji dostatecznie wykazały badania Menszutkina dla eterów złożonych, jak niemniej prace Berthollet'a i wielu późniejszych, jako-to Pattison'a Muir'a i Chas. Slater'a dla podwójnych rozkładów soli. Wpływ ciśnienia, jako takiego, wykazuje dwodnie cytowana już wyżej zależność między ciśnieniem i szybkością rozpuszczania się platyny w wodzie królewskiej.

też aby się zmieniała w sposób ściśle określić się dający. Jedyne tylko reakcje pomiędzy płynami z jednej, a ciałami stałymi z drugiej strony odpowiadają temu warunkowi — przy tych reakcjach bowiem ilość oddziaływających na się cząstek jest wprost proporcjonalną do wielkości powierzchni zetknięcia pomiędzy ciałem stałym i płynem. Blacha cynkowa o dwa razy większej powierzchni styka się z kwasem, w który jest zanurzona, dwa razy większą ilością cząstek.

Przytoczone uwagi dostatecznie usprawiedliwiają zwrócenie się najpierw do badań reakcyj pomiędzy płynami i ciałami stałymi. Istotnie pierwsze doświadczenia przeprowadzałem nad cynkiem, glinem i kadmem z jednej strony, a rozmaitemi kwasami z drugiej. Też same motywy skłoniły p. M. Kajandera do poszukiwań nad metalicznym magnezem i kwasami. Nie przesądając nic o pracach p. Kajandera — o swoich mogę zanotować tylko to, co już niejednokrotnie miałem sposobność wyrazić, iż nie dały one żadnego zadawalniającego rezultatu, ¹⁾ co niezaprzeczalnie ztąd pochodzi, iż metale, które ja miałem w użyciu nie przedstawiały w swej massie jednolitego utkania, — przez co charakter powierzchni metalicznej zmieniał się w ciągu doświadczeń w rozmaity sposób i różnorodność rezultatów powodował. Liczby wyprowadzone z doświadczeń opisanych już przeze mnie w Kosmosie i w „Berichte der Deutschen Chemischen Gesellschaft“ dostatecznie słuszność tego objaśnienia stwierdzają — zbytecznym więc byłoby przytaczanie ich powtórne, zauważyć jednak tu muszę, że aczkolwiek moje badania nad cynkiem glinem i kadmem dały rezultaty nie zadawalniające i nie dające się ująć wcale w karby rachunku, — to jednak p. Kajander zdołał otrzymać świetne rzecz można wyniki, badając rozpuszczalność metalicznego magnezu w kwasie siarczanym ²⁾, z drugiej zaś strony pan Pawlewski zapewniał mnie, iż sól metaliczny rozpuszczając się w kwasach tłuszczowych nie zmienia wcale charakteru swej powierzchni i wskutek tego do badania szybkości reakcji będzie się prawdopodobnie nadawał.

Otrzymawszy niedające się naukowo spożytkować rezultaty przy badaniach nad metalami zwróciłem się z kolei do poszukiwań nad rozpuszczalnością marmuru w kwasach. Cały szereg specjalnie w tym celu przeprowadzonych poszukiwań ³⁾ wykazał — że powierzchnia marmuru karraryj-

¹⁾ Kosmos I. 539.

²⁾ Kosmos I. 541.

³⁾ Kijewskija Uniwersitetskija Izwestija — i Żurnał Ruskaho Chimiczeskaho Obszeestwa.

skiego podczas rozpuszczania się jego w kwasach (za wyjątkiem mrókowego i octowego) nie ulega zmianie — pozostaje jednakowo- gładką, wskutek czego można z przebiegu reakcyi nad marmurem wnioskować o szybkości reakcyi.

Ponieważ w miarę rozpuszczania się marmuru w kwasach stężenie tych ostatnich zmienia się ustawicznie — przeto najpierwej trzeba było zwrócić uwagę na wpływ stężenia kwasów na szybkość rozpuszczania się marmuru. Zbadanie wpływu stężenia musi być przeprowadzone przede-
wszystkiem z tego powodu, że wszystkie inne warunki w ciągu jednego doświadczenia można ustalić, podczas gdy stężenie zmienia się ustawicznie w miarę postępu reakcyi.

III.

Zanim zostanie poznany wpływ stężenia roztworów na szybkość reakcyi — należy przedewszystkiem określić ściśle samo pojęcie *stężenia*. Otóż stężenie roztworu zazwyczaj określają jego procentowością, nie siląc się wcale na danie naukowej definicyi tego pojęcia. Mówimy zazwyczaj: dwudziestoprocentowy roztwór kwasu solnego, piętnastoprocentowy roztwór chlorku wapnia i t. d. Ten sposób określania stężenia jest bardzo wygodny ze względów praktycznych, nie ma jednak najmniejszej naukowej wartości, bo nie daje nam żadnego pojęcia o ilości cząstek ciała rozpuszczonego w jednostce objętości roztworu.

Dla nas, w dalszym ciągu tej pracy, stężeniem czy to roztworu czy też gazu lub ciała stałego — będzie liczba, przedstawiająca ilość cząstek danego ciała w jednostce objętości.

Oznaczywszy przez V jednostkę objętości roztworu, przez P jego wagę, a przez D gęstość możemy napisać, iż

$$P = V D$$

to znaczy, iż objętość roztworu V zawiera $V D$ wagowych części materyi t. j. rozpuszczalnika łącznie z ciałem rozpuszczonem. Rozbiór chemiczny danego roztworu wykazuje nam jego procentowość: $p\%$, co znaczy, że na 100 wagowych części roztworu znajduje się p części ciała rozpuszczonego, a zatem $V D$ wagowych części roztworu zawiera ciała rozpuszczonego.

$$V D \frac{P}{100} \dots (4)$$

Jeżeli objętość V przyjmiemy w ciągu badań za jednostkę, to wyrażenie (4) przedstawiać będzie ilość ciała rozpuszczonego, zawartą w jednostce

objętości. Ilość ta, dla jednego i tego samego ciała rozpuszczonego będzie, rzecz prosta, proporcjonalną do liczby cząstek, zawartych w jednostce objętości roztworu, a zatem zgodnie z naszym określeniem będzie przedstawiała jego stężenie. Chcąc porównywać ze sobą stężenia rozmaitych ciał rozpuszczonych — należy liczbę daną przez wyrażenie (4) dzielić przez wagi cząstek ciał rozpuszczonych, przy rozumowaniach nad jednym i tem samym ciałem — nie ma potrzeby tego czynić.

Wyrażenie (4) w dalszym ciągu dla krótkości oznaczać będziemy przez y

$$y = VD \frac{p}{100}$$

pamiętając zawsze, że y jest ilością proporcjonalną do liczby cząstek w jednostce objętości roztworu.

Określiwszy w taki sposób stężenie roztworu możemy się teraz zająć zbadaniem wpływu stężenia na szybkość reakcji. Rozbierzemy przedewszystkiem tę kwestyę teoretycznie, a następnie przejrzymy odnośne dane doświadczalne.

Wyobraźmy sobie jedną objętość roztworu kwasu solnego i przypuśćmy, że w niej znajduje się y wagowych części gazowego chlorowodoru. Jeśli w ten roztwór zanurzymy kawałek marmuru, którego powierzchnia równa się jednostce, to rzecz prosta, iż będzie się wydzielał kwas węglowy i to tem szybciej im większe będzie y . Chodzi nam o znalezienie zależności pomiędzy wielkością y , a ilością kwasu węglowego $[CO_2]$, wydzielonego w pewnym określonym czasie t .

Gdyby y mogło pozostać niezmiennem w ciągu jednego doświadczenia, to w takim razie należałoby tylko zrobić kilka obserwacyj, by się przekonać w jakiej zależności $[CO_2]$ stoi od y , lecz y nieustannie się zmienia i to w taki sposób, że gdy się wydzieli 44 wag. cz. kwasu węglowego, — to współcześnie obojętnieje 73 w. cz. kwasu solnego, a więc ilość tego ostatniego w danym momencie równa się ilości początkowej mniej ilość wydzielonego kwasu węglowego $[CO_2]$ pomnożona przez $\frac{73}{44}$, to jest ogólnie:

$$y = Y_0 - \frac{73}{44} [CO_2] \dots \dots \dots (5)$$

gdzie Y_0 jest stężeniem na początku doświadczenia.

W ciągu jednak nieskończenie małego czasu dt stężenie y możemy uważać za niezmiennem. Zrobiwszy przypuszczenie, że nieskończenie mała ilość kwasu węglowego, $d[CO_2]$, wydzielonego w ciągu czasu dt jest proporcjonalną do stężenia w tymże czasie, otrzymamy równanie:

$$d [CO_2] = kydt \dots \dots \dots (6)$$

w którym k jest ilością stałą, mającą się wyznaczyć z doświadczeń.

Różniczkując równanie (5) otrzymujemy:

$$d [CO_2] = -\frac{44}{73} dy$$

podsta wiwszy w równanie (6) wartość na $d [CO_2]$, mamy:

$$-\frac{44}{73} dy = kydt$$

albo:

$$\frac{dy}{y} = -\frac{73}{44} kdt$$

Jeżeli po upływie czasu t stężenie zmieniło się z początkowego Y_0 na końcowe Y_t , to całkując w odpowiednich granicach:

$$\int_{Y_0}^{Y_t} \frac{dy}{y} = -\frac{73}{44} k \int_0^t dt$$

otrzymamy:

$$\log. \text{ nat. } \frac{Y_0}{Y_t} = -\frac{73}{44} kt \dots \dots \dots (7)$$

albo:

$$Y_t = Y_0 e^{-\frac{73}{44} kt}$$

• Tę ostatnią wartość na Y_t podstawmy w równaniu (6) zamiast y , — to otrzymamy:

$$d [CO_2] = k Y_0 e^{-\frac{73}{44} kt} dt$$

całkując w odpowiednich granicach:

$$\int_0^{[CO_2]} d [CO_2] = \frac{44}{73} k Y_0 \int_0^t e^{-\frac{73}{44} kt} dt$$

i wypełniając działania otrzymujemy

$$[CO_2] = \frac{44}{73} (Y_0 - Y_0 e^{-\frac{73}{44} kt}) \dots \dots (8)$$

równanie (8), które już można poddać doświadczalnemu sprawdzeniu. Prostsza jednak ku temu droga jest następująca: Z równania (7) po przekształceniu:

$$\log. \text{ nat. } Yt - \log. \text{ nat. } Y_0 = - \frac{73}{74} kt$$

i zmianie znaków otrzymujemy

$$\frac{73}{74} k M = \frac{\lg. \text{ vulg. } Y_0 - \lg. \text{ vulg. } Yt}{t} \quad (9)$$

równanie (9), którego prawa strona musi być ilością stałą, jeśli przypuszczenie, że szybkość reakcji jest proporcjonalną do stężenia jest słusznem.

W celu sprawdzenia przypuszczenia, którego teoretyczny rozbiór tylko co został przytoczony, przeprowadziłem dość znaczną liczbę badań doświadczalnych, których metodę opisałem już szczegółowo przed kilku laty. Do dziś dnia w samym sposobie prowadzenia i obliczania doświadczeń nie wprowadziłem żadnej znaczniejszej zmiany, rezultaty zaś otrzymane po dziś dzień dadzą się streścić w sposób następujący:

IV.

1, Przy temperaturze wynoszącej około 20° szybkość rozpuszczania się marmuru w kwasie solnym jest proporcjonalną do stężenia tegoż kwasu. Ilość $\frac{73}{44} k M$, która wedle teorii powinna być stałą — wedle doświadczeń zmieniała się bardzo niewiele — niemal, że w granicach błędu obserwacyjnego, a mianowicie:

$$\frac{73}{44} k M \text{ średnio z 53 doświadczeń} \quad 0,01765$$

$$\frac{73}{44} k M \text{ największe z dawnych doświadczeń} \quad 0,0199$$

$$\frac{73}{44} k M \text{ najmniejsze z dawnych doświadczeń} \quad 0,0138$$

Nowsze doświadczenia, których jeszcze nie ogłaszałem wykazały, że gatunek marmuru wpływa bardzo na wielkość iloczynu $\frac{73}{44} k M$, a więc i na szybkość reakcyj. Wszystkie opisane w Kosmosie doświadczenia wykonane były na miękkiej odmianie marmuru karraryjskiego, znanej pod nazwą b e-

t u l i o, one to dały przytoczony powyżej rezultat 0,01765 w ostatnich czasach wykonałem kilkanaście doświadczeń z odmianą twardszą, szarawą— z ciemnymi żyłkami, zwaną s e r o w a z z a, dla tej odmiany iloczyn $\frac{73}{44} kM$ jest średnio 0,0201.

2. Wspólnie z p. Mikołajem Kajanderem poddałem badaniu process rozpuszczania się marmuru w kwasach mrówkowym i octowym. Wartości otrzymane przez nas zmieniały się w olbrzymich granicach od 0,000432 do 0,0007411. Doświadczenia te wykonane były przy temperaturze około 21°, co jest bardzo ważną okolicznością, jak to poniżej objaśnię. Tak niezadawalniające rezultaty były wynikiem tego, że oba wspomniane kwasy zgryzują marmur nierówno—czynią jego powierzchnię chropawą — a więc zmieniającą swą wielość w ciągu jednego i tego samego doświadczenia, skutkiem czego działanie ich wymyka się z pod dokładnej obserwacji.

3. Również wspólnie z p. Kajanderem badałem działanie na marmur (betulio) przy temperaturze około 20° kwasów azotnego i bromowodorowego.

Dla azotnego znaleziono $\frac{128}{44} k M = 0,0176$ (średnio)

Dla bromowodorowego znaleziono $\frac{162}{44} k M = 0,0185$ (średnio)

Ponieważ dla solnego $\frac{73}{44} k M = 0,01765$ (średnio)

więc zawnioskowaliśmy, że przy jednakowych stężeniach rozmaitych kwasów, szybkość działania tychże kwasów na marmur jest odwrotnie proporcjonalną do wag ich cząstek (136, 162, 73).

4. Niezależnie od pana Kajandera poddałem w ostatnich czasach marmur (b e t u l i o) działaniu kwasu jodowodorowego. Rezultat przy temperaturze około 20° był równie niezadawalniający, jak dla kwasów mrówkowego i octowego bo ilość $\frac{256}{44} k M$, która w razie słuszności teorii powinna być stałą, zmieniała się w olbrzymich granicach od 0,00849 do 0,002278.

V.

Uważając zbyt pospiesznie na zasadzie dawnych doświadczeń, że szybkość reakcy między marmurem i kwasami jest proporcjonalną do stężenia kwasów, jak to wyrażone pod 1)—zacząłem w ciągu roku przeszłego i bieżącego badać wpływ temperatury na też same reakcy.

Pragnąc spożytkować w tym celu dawne obserwacje dokonane przy temperaturze 20°, prowadziłem nowe doświadczenia przy 0° i przy 50° a zarazem powtórzyłem 5 razy dawne, dokonywane przy 20°.

Obserwacji przy 0° zebrałem 22, przy temperaturze zaś 50° 23. Aczkolwiek metodę badań w wielu szczegółach ulepszyłem, szczególnie mierzenie powierzchni uczyniłem bardziej dokładnem — przez zastąpienie blaszek równoległościennych kulami marmurowemi, których średnicę mierzylem szrubą mikrometryczną (fabryki Sallerona: krok szruby = 1 mm,—główka podzielona na 20 części, czterdzieste więc części milimetra mogłem oceniać z łatwością), aczkolwiek posiadałem bardzo dobre i dokładne termometry — niemniej przeto muszę się wstrzymać od przytaczania liczebnych wyników moich obserwacji z tego względu, że wagi i odważniki, jakimi się posługiwałem były bardzo niedokładne.

Mimo jednak dużą niedokładność moich wag, ogólny rezultat ostatnich moich obserwacji — nie może być wcale kwestyonowany. Da się on streścić w czterech następujących punktach:

1. Przy niezbyt mocnych stężeniach i przy temperaturze 0° szybkość reakcyi między CO_2 , Ca i ClH wzrasta powolniej niż stężenie kwasu solnego, to znaczy, że powiększając stężenie 2, 3, 4 i t. d. razy powiększamy szybkość mniej niż 2, 3, 4 i t. d. razy.

2. Przy temperaturze 50° i przy niezbyt mocnych stężeniach szybkość reakcyi między CO_2 , Ca i ClH wzrasta prędzej niż stężenie kwasu solnego, to znaczy, iż powiększając stężenie 2, 3, 4 i t. d. razy — powiększamy szybkość więcej niż 2, 3, 4 i t. d. razy.

3. Podwyższenie temperatury od 0° do 21° powiększa szybkość reakcyi około 3 razy (2,93 średnio) podwyższenie zaś od 0° do 50° powiększa szybkość reakcyi około 10 razy (9,98 średnio).

4. Przy temperaturach wysokich (50°) powierzchnia marmuru po wyjęciu z kwasu jest gładką, lśniącą, jak gdyby wypolerowaną przy temperaturach niskich (0°) jest matową i szorstką. To pozwala twierdzić, że kula o jednakowej średnicy styka się większą liczbą swych cząstek z kwasem zimnym, aniżeli z ogrzanym i przy porównywaniu rezultatów otrzymanych przy rozmaitych temperaturach nakazuje powiększać liczby otrzymane przy wyższych, a zmniejszać — otrzymane przy niższych temperaturach.

Ponieważ przy 50° szybkość reakcyi wzrasta prędzej, a przy 0° wolniej aniżeli koncentracya, więc rzecz prosta, iż w odstępnie pomiędzy 0° i 50°

musi koniecznie istnieć temperatura, przy której szybkość wzrasta zupełnie tak samo jak koncentracja, czyli jest do niej wprost proporcjonalną.

Temperatura ta leży około 20°. Przy tej temperaturze wykonywałem wskutek prostego przypadku pierwsze obserwacje i tem należy objaśniać błąd, jaki popełniłem, biorąc prawo szczegółowe—za prawo ogólne i twierdząc bez żadnych zastrzeżeń, że szybkość reakcyi jest proporcjonalną do koncentracji, gdy tymczasem jest ona taką, ale tylko przy temperaturze około 20°.

P. Br. Pawlewski wkrótce po ogłoszeniu badań moich i Kajanderza nad marmurem, kwasem azotnym i solnym zajął się rozpuszczaniem CO_2 , Ca, CO_2 , Ba i CO, Sr w kwasach. Węglany brał w zawieszeniu, w stanie proszku, w jakim je strącają z roztworów węglany alkaliów. Badając szybkość tego rozpuszczania zauważył, iż jest ona odwrotnie proporcjonalną do wag atomowych Ca, Ba i Sr, a nie do wag cząsteczkowych CO_2 , Ca, CO_2 , Sr i CO, Ba. To dało p. Pawlewskiemu powód do podania w wątpliwość prawa, wyrażonego podliczbą 3) w § 4, i do twierdzenia, że i w tym razie szybkość reakcyi jest proporcjonalną do wag atomowych chloru, bromu i do wagi grupy NO_2 , a nie do wag cząsteczkowych NO_2 , H, ClH i BrH. Być może, iż przypuszczenie p. Pawlewskiego jest słusznem, jednak sprawdzić, które z rzeczonych praw, czy proponowane przez p. Pawlewskiego, czy też to, któreśmy postawili wspólnie z p. Kajanderem jest istotnem—nie można, dla tego, że ciężary atomowe Cl, Br i ciężar grupy NO_2 zbyt mało się różnią od wag cząsteczkowych ClH, BrH i NO_2 , H by w tym razie bezpośrednio doświadczenie zdecydować mogło.

Nie przytaczając tu badań, dokonanych niedawno przez p. Kajandera nad szybkością rozpuszczania się magnezu,—gdyż ta praca, aczkolwiek wedle ustalonej przezemnie metody wykonana — z bezpośrednim przedmiotem moich poszukiwań w związku nie stoi — mogę wyrazić uzasadnioną, jak sądzę, nadzieję, że niezadługo dzięki dokładnym narzędziom jakimi rozporządzam obecnie — będę mógł przytoczyć zupełnie ściśle dane co do wpływu temperatury na szybkość reakcyi, który to wpływ dotychczas tylko w przybliżeniu określić zdołałem.

J. J. Boguski.

O FUNKCYACH CIĄGŁYCH

DLA KTÓRYCH ISTNIENIE CAŁEK OGÓLNYCH JEST WĄTPLIWEM.

W buletynach matematycznych p. Darboux (Ser. 2-a, T. IV, Część 2, str. 175, r. 1880) streszczenie pracy p. L. Cohen Stuart, p. t. *O pewnym przypadku nieciągłości*, pomieszczonej w Tomie XI Archiwów niderlandzkich umiejętności ścisłych i naturalnych i zrobione, zdaje się, przez samego autora, brzmi jak następuje:

„Beaucoup de mathématiciens admettent tacitement, et quelques-uns l'énoncent en termes formels, que si, x variant d'une manière continue, $f(x)$ change subitement de valeur, cela implique toujours, pour la fonction dérivée $f'(x)$, une rupture de continuité, à savoir par le passage à l'infini; en conséquence, que $\int_a^b f'(x) dx$, regardé comme la valeur que prend $\sum f'(x) \Delta x$ lors-que x croit de a à b et que Δx tend indéfiniment vers zéro, pourrait être posé égal à $f(b) - f(a)$ aussi longtemps que $f'(x)$ reste fini.“

„Un exemple propre à montrer que cela n'est pas vrai d'une manière absolument général, et donnant d'ailleurs lieu à des remarques qui méritent quelque attention, est fourni par la discontinuité de

$$f(x) = e^{-\frac{1}{x}}$$

(comme cas particulier de $r^{-\frac{1}{x}}$) pour $x=0$.“

Przykład powyższy dowodzi istotnie nieogólności pierwszej części

przyczonego twierdzenia. Wartość bowiem funkcji $e^{-\frac{1}{x}}$, w miarę jak x

zbliża się do zera, dąży do 1 lub 0, stosownie do tego czy to x jest wciąż odjemne lub wciąż dodatne, podczas kiedy wartość pochodnej $\frac{e^{\frac{1}{x}} - e^{-\frac{1}{x}}}{x^2}$ dla $x = \mp 0$ jest zawsze zerem i nigdy nieskończonością. Udowodnimy jednak że całką ogólną funkcji $\frac{e^{\frac{1}{x}} - e^{-\frac{1}{x}}}{x^2}$ nie może być funkcja $e^{-e^{\frac{1}{x}}}$, przez co okaże się że przykład p. L. C o h e n S t u a r t niczego nie dowodzi przeciwko ogólności twierdzenia zawierającego się w formule

$$(1) \int_a^b f(x) dx = f(b) - f(a).$$

Jakoż, ponieważ funkcja $e^{-e^{\frac{1}{x}}}$ jest w punkcie $x = 0$ przerywana, przeto pochodna $\frac{e^{\frac{1}{x}} - e^{-\frac{1}{x}}}{x^2}$, jako brana w punkcie innym, odnosi się li tylko do przedziałów określonych nierównościami: $-\infty \leq x \leq -0$ i $+0 \leq x \leq \infty$, lecz do przedziału całkowitego, od $x = -\infty$ do $x = +\infty$, odnosić się wcale nie może, albowiem funkcji $e^{-e^{\frac{1}{x}}}$ w punkcie jej przerwy, $x = 0$, różniczkować nie wolno.

Zobaczymy teraz że istnieje funkcja dla której $\frac{e^{\frac{1}{x}} - e^{-\frac{1}{x}}}{x^2}$ jest pochodną w całym przedziale od $x = -\infty$ do $x = +\infty$.

Załóżmy w tym celu $x = tgu$ i uważmy że

$$\frac{e^{\frac{1}{x}} - e^{-\frac{1}{x}}}{x^2} = \frac{e^{\frac{1}{tgu}} - e^{-\frac{1}{tgu}}}{\sin^2 u} = \varphi'(u) du.$$

$\varphi'(u)$ jest skończone i ciągle dla każdej wartości u ; prócz tego mamy $\varphi'(u) = 0$ dla u będących wielokrotnościami π . W całce przeto $\int_{+0}^u \varphi'(x) du$, elementy tym wielokrotnościom odpowiadające można będzie opuścić, to jest położyć:

$$\int_{+0}^u \varphi'(u) du = \int_{+0}^{\pi-0} \varphi'(u) du + \int_{\pi+0}^{2\pi-0} \varphi'(u) du + \dots + \int_{E\left(\frac{u}{\pi}\right)\pi+0}^u \varphi'(u) du,$$

gdzie $E\left(\frac{u}{\pi}\right)$ oznacza liczbę całkowitą bezpośrednio mniejszą od $\frac{u}{\pi}$.

Po wykonaniu wskazanych całkowań i odpowiedniej zmianie w porządku summowania, znajdziemy:

$$\int_{+0}^u \varphi'(u) du = \left[\frac{1}{e^{-e^{tgu}}} \right]_{+0}^u - \sum_{n=1}^{n=E\left(\frac{u}{\pi}\right)} \left[\frac{1}{e^{-e^{tgu}}} \right]_{n\pi-0}^{n\pi+0};$$

a że $\left[\frac{1}{e^{-e^{tgu}}} \right]_{n\pi-0}^{n\pi+0} = -1$, przeto będzie także:

$$\int_{+0}^u \varphi'(u) du = \left[\frac{1}{e^{-e^{tgu}}} \right]_{+0}^u + E\left(\frac{u}{\pi}\right) = \left[\frac{1}{e^{-e^{tgu}}} + E\left(\frac{u}{\pi}\right) \right]_{+0}^u,$$

gdyż według założenia $E\left(\frac{+0}{\pi}\right) = 0$.

Tym sposobem otrzymaliśmy odpowiedniość następującą:

$$\varphi'(u) = \frac{\frac{1}{e^{tgu}} - e^{\frac{1}{tgu}}}{\sin^2 u}, \quad \varphi(u) = \frac{1}{e^{-e^{tgu}}} + E\left(\frac{u}{\pi}\right) + C,$$

która ma miejsce dla każdej wartości u zawartej między $-\infty$ i $+\infty$.

Powracając do zmiennej x , znajdziemy oczywiście:

$$f'(x) = \frac{\frac{1}{e^x} - e^{\frac{1}{x}}}{x^2}, \quad f(x) = \frac{1}{e^{-e^x}} + E\left(\frac{\operatorname{arctg} x}{\pi}\right) + C,$$

gdzie

$$-\infty \leq x \leq +\infty \quad \text{i} \quad -\frac{\pi}{2} \leq \operatorname{arctg} x \leq \frac{\pi}{2},$$

a tem samem

$$E\left(\frac{\operatorname{arctg} x}{\pi}\right) = -1, \text{ dla } x < 0,$$

$$E\left(\frac{\operatorname{arctg} x}{\pi}\right) = 0, \text{ dla } x > 0.$$

Ztąd okazuje się, że całką ogólną funkcji $e^{\frac{1}{x}} - e^{x^{\frac{1}{2}}}$, w przedziale

od $x = -\infty$ aż do $x = +\infty$, jest funkcja $e^{-\frac{1}{x}} + E\left(\frac{\operatorname{arctg} x}{\pi}\right) + C$, skończona i ciągła w całym tym przedziale, a nie, jak to chce mieć p. L. Co-

hen Stuart, funkcja $e^{-\frac{1}{x}} + C$, zrywająca swą ciągłość w punkcie $x = 0$; przez co ogólność twierdzenia zawartego w formule (1) nie została jeszcze przez jego przykład zachwiana.

Lecz damy zaraz przykład inny, który, jeżeli ogólności pomienionego twierdzenia całkiem nie obala, to przynajmniej robi ją bardzo wątpliwą.

Na ten koniec niech będzie

$$f'(x) = -\frac{\pi \sin(\pi \operatorname{tg} x)}{4 \cos^2 x \sqrt{E^s(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)}},$$

gdzie $E(\operatorname{tg} x)$ oznacza, jak wyżej, liczbę całkowitą bezpośrednio mniejszą od $\operatorname{tg} x$, zaś $E^s(\operatorname{tg} x) = \{E(\operatorname{tg} x)\}^s$. Jeżeli więc nazwiemy przez n liczbę całkowitą a przez α_n łuk taki że $\operatorname{tg} \alpha_n = n$, to będzie

$$E[\operatorname{tg}(\alpha_n - 0)] = n-1, \quad E[\operatorname{tg}(\alpha_n + 0)] = n.$$

Funkcja $f'(x)$, w ten sposób określona, jest skończoną i ciągłą dla każdej wartości x . Ta funkcja bowiem posiada oczywiście wymienione własności dla każdej wartości x różnej od wielokrotności $\frac{\pi}{2}$ i od α_n . Ażeby się przekonać że ona jest taką samą i dla tych ostatnich, dosyć zauważyć, że dla x będących wielokrotnościami parzystymi $\frac{\pi}{2}$ lub dla x równych α_n , licznik jej staje się zerem a mianownik różnym od zera; zaś

dla x będących wielokrotnościami nieparzystymi $\frac{\pi}{2}$ tenże licznik staje się wprawdzie nieoznaczonym, lecz za to mianownik staje się nieskończenie wielkim, i funkcya przyjmuje wartość zero. To ostatnie twierdzenie łatwo uwidocznić oznaczając przez μ nadmiar $\operatorname{tg} x$ nad $E(\operatorname{tg} x)$ i włączając $\cos x$ pod znak pierwiastka. Wówczas bowiem pod tym znakiem znajdzie się wyraz następujący:

$$\cos^4 E^s(\operatorname{tg} x) = \cos^4(\operatorname{tg} x - \mu)^s = \frac{(\sin x - \mu \cos x)^s}{\cos^2 x},$$

który, dla x będących wielokrotnościami nieparzystymi $\frac{\pi}{2}$, jest oczywiście nieskończenie wielkim.

Ponieważ $f'(\alpha_n) = 0$, zatem przy szukaniu wyrażenia całki $\int_{+0}^x f'(x) dx$, $x > 0$, elementy odpowiadające wartościom $x = \alpha_n$ można będzie opuścić. Wyrazimy to kładąc:

$$\int_{+0}^x f'(x) dx = \int_{+0}^{\alpha_1-0} f'(x) dx + \int_{\alpha_1+0}^{\alpha_2-0} f'(x) dx + \dots + \int_{\alpha_{n-1}+0}^x f'(x) dx.$$

W każdej z całek po prawej funkcya $E(\operatorname{tg} x)$ zachowuje już wartość stałą, całkowania przeto dają się tu wykonać, i będzie np.

$$\int_{\alpha_{n-1}+0}^{\alpha_n-0} f'(x) dx = \left| \sqrt{E^s(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} \right|_{\alpha_{n-1}+0}^{\alpha_n-0}.$$

Na tej zasadzie, i zmieniające przy tem porządek summowania, znajdziemy łatwo:

$$\int_{+0}^x f'(x) dx = \left| \sqrt{E^s(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} \right|_{+0}^x - \sum_{n=1}^{n=E(\operatorname{tg} x)} \left| \sqrt{E^s(\operatorname{tg} x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} \operatorname{tg} x\right)} \right|_{\alpha_n-0}^{\alpha_n+0},$$

a po wykonaniu podstawienia granic:

$$(2) \int_{+0}^x f(x) dx = \left(\sqrt{E^s(tg x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} tg x\right)} - 1 \right) - \sum_{n=1}^{n=E(tg x)} \left(\sqrt{n^2 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}} - \sqrt{(n-1)^2 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}} \right).$$

Z uwagi że funkcya $f(x)$ jest skończoną i ciągłą dla każdej wartości zmiennej x , całka $\int_{+0}^x f(x) dx$ powinna mieć wartość także skończoną i ciągłą, dopóki przedział całkowania jest skończony. Tak przynajmniej należałoby sądzić w uważaniu zmiennych x i $f(x)$ za odciętą i rzędną punktów należących do krzywej ciągłej odniesionej do osi prostokątnych,

a całki $\int_{+0}^x f(x) dx$ za pole powierzchni ograniczonej tą krzywą, osią odciętych i rzędnymi skrajnemi. Lecz formuła (2) znaleziona na pomienionej całce twierdzenie to usprawiedliwia li tylko dla wartości x mniejszych od $\frac{\pi}{2}$, albowiem tylko wówczas składa się ona z liczby skończonej wy-

razów oznaczonych. Dla $x = \frac{\pi}{2} - o$, ta formuła przedstawia się już pod postacią nieoznaczoności $(\infty - \infty)$, gdyż jej wyraz pierwszy, objęty nawiasem, zamienia się na nieskończoność, a wyraz drugi, przedstawiony znakiem summowania, staje się szeregiem nieskończonym, o wyrazach dodatnich, rosnących nieograniczenie, którego summa nie daje się przedstawić w formie skończonej; wiadomo więc tylko o niej że jest nieskończenie wielką. Dla $x > \frac{\pi}{2}$ wyraz pierwszy pomienionej formuły jest skończony; lecz dla otrzymania wyrazu drugiego należałoby, w summie go przedstawiającej, wziąć wyrazów więcej niż nieskończoność, albowiem n przechodzi w tym przypadku przez wszystkie liczby całkowite od $n=1$ aż do $n = E \left[tg \left(\frac{\pi}{2} - o \right) \right] = \infty$ i dalej jeszcze od $n = E \left[tg \left(\frac{\pi}{2} + o \right) \right] = -\infty$ aż do $n = E(tg x)$. Całka w tym razie przedstawia się także pod postacią nieoznaczoności

$$\left(\sqrt{E^s(tg x) + \cos^2\left(\frac{\pi}{2} tg x\right)} - 1 \right) - (\infty - \infty),$$

nie dającej się do formy oznaczonej sprowadzić.

Otóż, $f(x)$, czyli całka ogólna funkcji danej $f'(x)$, otrzymuje się, jak wiadomo, przez dodanie stałej dowolnej do prawej części równości (2); a że $f'(x)$ jest skończona i ciągle, a zatem i oznaczone dla każdej wartości x , przeto $f(x)$ powinno posiadać te same własności i prócz tego jeszcze, pochodna tej funkcji powinna się równać $f'(x)$ dla każdej wartości x . Lecz jak z poprzedniego wiadomo, $f(x)$, dla $x > \frac{\pi}{2}$, staje się nieoznaczonością; dopóki zatem nie potrafimy wyrazić summy

$$\sum_{n=1}^{n=E(\operatorname{tg} x)} \left(\sqrt{n^2 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}} - \sqrt{(n-1)^2 + \cos^2 \frac{n\pi}{2}} \right)$$

pod postacią, pod którąby pomieniona nieoznaczoność zniknęła, dopóty twierdzić nie mamy prawa że $f(x)$ jest całką ogólną $f'(x)$, pomimo oczywistości wynikającej z uważania geometrycznego, od któregośmy rzecz o tej całce rozpoczęli. Uważanie bowiem geometryczne nie stanowi dowodu, ale raczej tylko uzmysłowienie tego co na drodze analitycznej zostanie udowodnionem.

we Wrześniu 1882 r.

Wł. Gosiewski.

DOBRA PANI.

NOWELA.

Prowadzone za rękę przez Janową, żonę mularza, weszło maleństwo do pięknego salonu pani Eweliny Krzyckiej i wylękle i zachwycone, drobnymi kroczkami drepczące po śliskiej posadce, gotowe — stosownie do okoliczności — wybuchnąć płaczem, albo i śmiechem. Korалowe usteczka drżały i krzywiły się do płaczu, wielkie szafirowe źrenice paliły się od zdumienia i ciekawości, a słicznie wykrojone czoło otaczały gęste, gęste włosy z barwą i gorącemi połyskami ciemnego złota. Była to pięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna. Obok prowadzącej ją barczystej i silnej kobiety, w swej perkalowej, długiej aż do ziemi sukieneczynie przypominała białego motyla ze zwiniętymi skrzydłami. O kilka kroków od progu drgnęła z przestachu i już-już krzyknąć miała w niebogłosy zapewne, lecz nagle, wrażenie trwogi ustąpiło snąć przed uczuciem radości, bo gwałtownie wyrwijąc rękę swą z grubej dłoni Janowej i przysiadając na posadce, ze śmiechem i czułością niezmierną wołać zaczęła — Ciucia! ciucia! — Pierwsze spotkanie, groźnie zrazu zapowiadające się, przybrało charakter całkiem przyjacielski. Malutki pińczerek, który rzucił się był na wchodzące osoby z zajadłem i piskliwym szczekaniem, stanął przed siedzącym na ziemi dzieckiem i wpatrywać się w nie zaczął parą czarnych, błyszczących, pojętnych oczu. Dziecko zatopilo w śnieżnej, ogromnej jego sierści dwie malutkie czerwone rączki. Lecz w tejże chwili nad dwojgiem zaznajamiających się z sobą istot stanęła kobieta około 40-letnia, jeszcze piękna brunetka, wysoka i czarno ubrana. Mularzowa, schylona we dwoje całowała białą jej rękę.

— Helka! czemuż Wielmożną panią w rękę nie całujesz! patrzcie ją! z psem się już bawi! Niech Wielmożna pani nie gniewa się na nią! To jeszcze takie głupie!

Ale pani Ewelina gniewać się ani myślała. Przeciwnie, czarne oczy jej, pełne ognia i czułości, z wyrazem zachwycenia tkwiły w twarzyczce

dziecka, którą Janowa grubą swą ręką ku niej wznosiła. Helka miała teraz lzy w szafirowych źrenicach i obydwo ma rękami trzymała się spódnicy Janowej.

— Robiliśmy, Wielmożna pani, dla dziecka tego wszystko, cośmy mogli, ale zwyczajnie u biednych ludzi, grzeczności nie nauczyła się... Ot teraz dopiero Pan Bóg los jej zsyła... sierocie!

— Sierota!—ze wzruszeniem powtórzyła p. Ewelina i pochylona nad dzieckiem chciała zapewne wziąć je w ramiona. Lecz, nagle cofnęła się. Wyras litości twarz jej okrył.

— O! biedactwo! Jakże to ubrane!—zawołała—sukienka długa aż do ziemi...

Zaśmiała się.

— A koszula jaka gruba i włosy!... Ona ma cudowne włosy, ale któż to takiemu dziecku splata warkocze!... Trzewiczki jakie grube i bez... bez pończoszek...

Wyprostowała się, palcem dotknęła srebrnego dzwonka, na przeciągły, ostry dźwięk którego Helka zaśmiała się, a Janowa szeroko otworzyła oczy.

— Panny Czernickiej!—rzekła krótko do zjawiającego się w drzwiach lokaja.

W mgnieniu oka, pośpiesznym bardzo krokiem weszła kobieta trzydziestoletnia, w czarną, obcisłą suknię ubrana, wysoka, chuda, z cerą ciemną i zwiędłą, z czarnymi włosami spiętymi z tyłu głowy wysokim sztyldkretowym grzebieniem. Od progu, bystre jej oczy obrzuciły mularzową i przyprowadzone przez nią dziecko, chmurnem wejrzeniem, lecz, gdy znalazła się o kilka kroków od pani swej, wzrok jej zabłysnął najpiękniejszą pogodą, a na wąskich, zwiędłych wargach osiadł pokorny i przymilający się uśmiech. Pani Ewelina, ożywiona bardzo, zwróciła się wnet do niej.

— Moja Czernisiu, widzisz, to owo dziecko, o którym wczoraj ci mówiłam. Przypatrz się tylko! co to za rysy... jaka delikatność cery... a oczy... włosy... gdyby tylko troszeczkę utyla i nabrała rumieńców, możnaby ją drugiemu jakiemuś Rafaelowi za model do cherubinka przedstawić.. Przytem, sierota!... wiesz, jakim wypadkiem znalazłam ją u tych poczciwych ludzi.. w takim smutnem domostwie... wilgotnem, ciemnem... Zaświeciła mi tam przed oczami jak perła na śmietniku... Bóg mi ją zesłał... Ale, moja Czernisiu! trzeba ją wykapać, uczesać, ubrać... zmiłuj się! za godzinę, za dwie najdalej, niech mi to dziecko zupełnie inaczej wygląda...

Czernicka uśmiechała się rozkosznie, ręce u piersi gięstem zachwyce-
nia splatała, na znak pośpiesznego przytwierdzenia wszystkiemu, co pani jej
mówiła, głową trzęsła. Pani Ewelina była w humorze wyborzym. W wy-
borny też humor wpadła, chmurna i posępna u wejścia, panna służąca. Jak
wprzód Helka przed pieskiem, tak teraz ona przed Helką na ziemi przy-
siadła i do dziecka, dziecinne szeplenienie naśladowując, szczebiotać zaczęła.
Potem z trudnością wielką, lecz starannie ukrywaną pochwyciła Helkę
w swe suche, sprężyste ramiona, z nad ziemi uniosła, do piersi przycisnęła
i twarz jej świszczącemi pocałunkami okrywając z salonu ją wyniosła. Pani
Ewelina, rozpromieniona i od łez rozrzewnienia zaledwie wstrzymać się
mogąca, przez chwilę jeszcze rozmawiała z Janową, która niezmierną do-
brocią jej ośmielona i także rozrzewniona, płakała i po raz wtóry opowia-
dała historią Helki, sieroty po krewniaku jej, tak samo jak mąż jej, mu-
larzu, który z rusztowania spadłszy, zabił się na śmierć, poczem prędko
i żona jego, a Helki matka, z cholery umarła. Sierota po ojcu i matce! Obie
kobiety, wdowa po bogatym panu i żona mularza, rozrzewniły się do łez
na dźwięk tego słowa. Pani Ewelina chwaliła bardzo Janowej i mężowi
jej uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim przytuliła do siebie to
biedne a takie śliczne dziecko; Janowa, sławiąc dobroć i miłosier-
dzie pani Eweliny, dziecko to pod stałą opiekę swą przyjmującej, policzki
swe i bez tego czerwone, do krwistej barwy rękawem lustrynowego ka-
ftana natarła. Skończyło się na tem, że mularzowa byłaby na klęczki przed
panią Eweliną upadła, aby skraj sukni jej, niby świętej, ucałować; lecz
pani Ewelina powstrzymała ją słowami, że przed Bogiem tylko na klęczki
upadać trzeba, poczem prosiła mularzową, aby wzięła od niej kilka rubli
na cukierki dla dzieci swoich. Teraz, Janowa zaśmiała się przez łzy ru-
basznie i wesoło.—Dam ja im cukierki!—zawołała—albo to pańskie dzieci
żeby im cukierków trzeba było. Jeżeli już Wielmożna pani tak łaskawa, to
za pieniądze te sprawię Wickowi buty, a Marylee i Kaśce chusteczki na
głowy...

Nakoniec pożegnały się. Janowa w powrocie do chaty swej ze dwa-
dzieścia razy zatrzymała się na ulicach miasta, przed dwudziestu napot-
kanemi osobami sławiąc anielską dobroć i miłosierdzie pani Eweliny. Pani
Ewelina zaś, po odejściu Janowej, osunęła się na kanapę i wsparła na
białej dłoni czoło obciążone tęskną i zarazem rozkoszną zadumą. O czem
myślała? O tem zapewne, że Bóg, w nieprzebranej dobroci swej, zesłał na
mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca... Promie-

niem tym miała jej być odtąd śliczna ta sierotka, wypadkiem wczoraj znaleziona, a dziś za córkę przez nią przybrana... O jakże ona kochać będzie to dziecko! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napelniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, taki grobowy chłód ją ogarniał. Już-już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatję, lub w ciemną melancholią wpaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli, ufności w czuwanie to tracić nie należy... Byleby Czernisia prędko oczyściła i ubrała tego aniołka...

Tu, zaduma p. Eweliny przerwana została przez dwie kosmate łapki, które, wspinając się na jej kolana, zaplątywały się w koronki jej sukni, a ostrzem pazurków dosięgały jej ręki. Obudzona, wzdrygnęła się i gniewnym giestem odtrąciła od siebie natrętnego pieska. On, gniew jej wziął za wesołe żarty. Zbyt długo snuć był kochanym, aby móżdżek łatwo w odtrącenie uwierzyć. Zaskomlił radośnie i znowu kosmatemi łapkami darł koronki i drapał atlasową rękę swej pani. Tym razem, poskoczyła z kanapki zadzwoniła.

— Panny Czernickiej!—rzekła do zjawiającego się lokaja.

Czernicka wbiegła zdyszana, z rumieńcami na ciemnych policzkach, z rękawami czarnej sukni zawiniętymi po łokieć.

— Moja Czernisiu! weź proszę cię Elfa i niech on tam przy tobie, w garderobie zawsze już będzie. Drze mi koronki, nudzi mię...

Kiedy panna służąca schyliła się, aby wziąć pieska, na wąskich wargach jej przemknął uśmiech szczególny. Było w nim trochę szyderstwa, trochę smutku. Elf warknął, cofnął się i przed ujmującymi go, kościstymi rękami uciec chciał na kolana swej pani. Ale p. Ewelina usunęła go z lekka, kościste zaś ręce pochwyciły tak mocno, że aż zaskomlił. Czernicka bystre spojrzenie, przez mgnienie oka zatopiła w twarzy swej pani.

— Jaki ten Elf zrobił się nieznośny... szepnęła nie bez pewnego wahania w głosie.

— Nieznośny!—powtórzyła p. Ewelina i z giestem niechęci dodała: nie pojmuję już, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne stworzenie...

— O! on był kiedyś wcale innym!

— Nieprawdaż, Czernisiu, wcale był innym. Był kiedyś prześlizgnym... Ale teraz...

— Teraz zrobił się nudnym...

— Okropnie nudnym... Weź go do garderoby i niech się już nigdy nie pokazuje w pokojach...

Czernicka była już u progu, gdy usłyszała znowu.

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilonym uśmiechem.

— Cóż tam z naszą małą?

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani. W łazience wanna już gotowa, Paulina kąpać będzie Helkę...

— Panienkę!—od niechcenia przerwała p. Ewelina.

— Panienkę... Ja, kroję sukienkę z tego błękitnego kaszmiru, co to w komodzie...

— Wiem, wiem...

— Kazimiera pobiegła do sklepu z obuwem, Janka posłałam do sklepu z gotową bielizną... sukienkę choć sfastryguję tymczasem... tylko, proszę panią o koronki, wstążki i pieniądze na wszystko...

Koronek, wstążek, tiulów, gaz, kaszmirów, atlasów, pełno było w szafach i komodach, napelniających sobą kilka pokojów obszernej i pięknie urządzonej willi pani Eweliny. Czernicka dość długo otwierała i zamykała szafy i szuflady, nie przestając przecież ani na chwilę ścisnąć w dłoni banknotu sporej wartości. Potem, był w garderobie wielki gwar zażartego targowania się i kupowania; potem jeszcze, spora część wyjętych z szaf i komód przedmiotów, jako też część wartości rozmienionego banknotu, znikły w przepaścistym kufrze, stanowiącym osobistą własność panny służącej. Nakoniec, z wypogodzoną twarzą, widocznie zadowolona zyskiem, z przybycia do domu sierotki otrzymanym, pośpiesznie zaczęła ona fastrygować i szpilkami upinać, na prędcie sporządzaną sukienkę. Nazajutrz dopiero, krawcy, szewcy i szwaczki rozpocząć mieli formalną robotę około garderoby panienki. Tymczasem zaś, panienka ta wykąpana już i uczesana, lecz jeszcze w grubej koszulinie swej i z bosemi nóżkami, siedziała w pokoju Czernickiej na ziemi i wśród najczulszych pieszczot z Elfem, zapominać zdawała się o całym świecie.

O całym świecie też zapomniała utopiona w głębokiej zadumie pani Ewelina. Zadumy tej nic już teraz nie przerywało. W obszernym salonie, świetnym od przystrajających go zwierciadeł, obrazów i pąsowych adamszków, panowała cisza głęboka. Przez wpółotwarte portyery, widać było kilka większych i mniejszych pokojów, pograżonych również w ciszy i półcieniu. Ukośne promienie zachodzącego letniego słońca, wnikając przez

szczeliny zapuszczonych żaluzji, ślizgały się tu i ówdzie po ścianach, kołniercach i złożonych ramach obrazów. Z za okien, dochodziły wonie rozkwitłych róż i świegoty ptastwa, w głębi domu w sali jadalnej, z cicha porzękiwały ustawiane do wieczery naczynia

Pani Ewelina dumiała o swej niedoli. Nie przesadzała bynajmniej, myśląc, że jest bardzo nieszczęśliwą. Istotnie, wdowa od lat wielu, bezdzietna, z sercem gorącym a samotnem, nie była nawet tak bogatą, aby móżdż zawsze przebywać tam, gdzie życie przedstawiało dla niej najwięcej jeszcze uroków, a najmniej smutków i znudzenia. Majątek jej był wprawdzie znacznym, nie tyle jednak, aby kłopoty i interesy różne nie przykuwały ją niekiedy i na czas pewien, do tak brzydkiego, smutnego, nudnego miejsca, jakim jest Ongród. Teraz szczególnie z piękniemi i obszernemi dobrami, posiadaniem przez nią w okolicach Ongródu, stało się coś niezwykłego. Były tam jakieś umowy do zawarcia, jakieś długi do spłacenia, jakieś nieuniknione gospodarskie wydatki do poniesienia—a wszystko to odejmowało p. Ewelinie wszelką możność wyjechania za granicę, albo przynajmniej, zamieszkania w największym z miast krajowych. Przebyła więc tu blisko już dwa lata, lata ciężkie, nużące. Obca wszystkiemu i wszystkim, otoczona prozaicznemi widokami małego miasta, tęskniąca do wzniosłych artystycznych uciech, które stanowiły dotąd największy urok jej życia, a których naturalnie tu całkiem pozbawioną była, żyła ona jak pustelnica, zamknięta w willi swej z obrazami swemi, fortepianem, Czer-nisią i Elfem. Życie jej tu o tyle czyste było, o ile smutne, a jednak, spokój sumienia nie był zupełnym. Nie czyniła nic dobrego i wyrzucała to sobie często i gorzko. Żądza czynienia dobrze była jedną z najżywiej drgających strun jej ducha. Dobroczynność sięgała w niej stopnia namiętności i wiele, wiele razy w życiu przynosiła jej uciechy moralne, zastępujące szczęście, którego nie zaznała nigdy. Lecz... bywało tak gdzieindziej. Tu nie wiedziała nawet jak i co czynić, aby najgłębszą potrzebę szlachetnego serca swego zaspokoić. Wprawdzie, kiedy niekiedy, tym i owym, dawała ona hojne jałmużny, ale nie czyniło to zadość sercu jej, ani wypełniało czasu, ani zadowolnić mogło sumienia. Ona w wielkich miastach, przywykła do dobroczynności pracowitej, czynnej, pod wodzą światłych kierowników duchownych dokonywanej, a oddające się jej osoby prowadzącej na strychy wysokich kamienic, w ciemne sutereny, do przytułków i ochron, nad stoliki ze srebrnemi tacami w przedsionkach świątyń umieszczone i t. p. Niedostatek sposobów do wykonywania takiej właśnie dobroczynno-

ści dręcząc ją, dolewał jedną więcej kroplę do gorzkiego jej kielicha. Nagle, w Ongrodzie, uformowano tak zwane Towarzystwo dam dobroczynnych. Pani Ewelina, jako najmajętniejsza zapewne mieszkanka miasta, do wzięcia udziału w czynnościach towarzystwa tego wezwaną została. Była to pierwsza radość, jakiej od lat dwu doznała. Będzie więc mogła czynić dobrze! Siły serca, których tyle czuła w sobie, znajdą dla siebie ujście jakieś! Oko jej zazna jeszcze, rozszącej je zazwyczaj na widok nędz ludzkich, łyż litości i rozrzewnienia! O ucho jej obiją się dziękczynne i błogosławiące wyrazy tych, pośród których zjawi się niby anioł pomocy i pocieszenia! Stanęła na wezwanie natychmiast. Wskazano jej dzielnicę miasta, w której wyszukiwać miała ubogich. Szukała. Szukając, zaszła wypadkiem do domostwa zamieszkiwanego przez rodzinę mularza i zobaczyła Helkę. Dziecko przedstawiło się jej w malowniczej jakiejś pozie. Bawiło się podobno z psem czy z kotem, czy może siedziało przed progiem chaty, oblane słońcem, które we włosach jej rozpalalo ogniste błyski, czy może jeszcze, zdumione widokiem powozu, koni i pięknej, strojnej kobiety, stanęło w progu jak wryte i utkwilo w niej dwoje źrenic, w których ona dojrzała upalny szafir włoskiego nieba, — dość, że od razu wydało się jej niezwykle, przesłizcznym i że, gdy przyłożyła usta swe do policzka dziecka, na którym istniały jeszcze ślady tylko co jedzonego krupniku ze słoniną, pomimo śladów tych, serce jej uderzyło żywiej i na dźwięk wymówionego przez Janową wyrazu: „sierota!“ Iza litości i rozrzewnienia zrosiła jej oko. Zapraagnęła dziecka tego, zapraagnęła go na wyłączną swą własność, z zapalem i mocą duszy namiętnej jak wulkan a samotnej jak lódź, na burzliwych przestworach morza zbląkana... Teraz przedmiot ten pragnień jej był już pod jej dachem. Oddano go jej na zawsze i, zaprawdę, bez trudności! Teraz, kochając dziecię to, uspokoi tęskniące swe serce, a osłaniając je macierzyńskimi skrzydły, zadowolni sumienie swe, rozkazujące jej czynić dobrze!... Lecz, gdzież ona jest, przesłizczna dziecina ta? Gdzie jest ten, zesłany jej przez Opatrzność, anioł pociechy i ukojenia? Dlaczego Czernisia nie przyprowadza jej dotąd? biedactwo! jeszcze pewnie nie ubrane! Ale że umyte już i wykąpane, to pewna. Trzebaby pójść do pokoju Czernickiej, uściskać je, ucałować, do serca przytulić...

Zerwała się z kanapki, biegła przez salon i w połowie drogi ze splecionemi u piersi rękami, stanęła. W drzwiach przeciwległych ukazała się Czernicka, prowadząca za rękę Helkę, ale jakże zmienioną! Jakaż metamorfoza! Białawy motyl ze zwiniętymi skrzydłami przemienił się w świę-

bowej haftami okrytej pościeli, Helka usypiała codziennie cichym uśmiechniętym snem doskonale szczęśliwej istoty. P. Ewelina układając ją do snu, czyniła nad nią w powietrzu znak krzyża, poczem, gdy Czernicka układała koldrę jej w malownicze draperye, mówiła:

— Jaka ona śliczna, Czernisiu!

— Jak aniołek — odpowiadała panna służąca.

Czasem Helka nie śpiąca jeszcze rozmowę tę słyszała, z białych puchów pościeli wybuchał głośny śmiech dziecięcy, przerywany wołaniem:

— Pani śliczniejsza! śliczniejsza! śliczniejsza!

— Co ona bredzi, Czernisiu! — z głębokiem zadowoleniem uśmiechała się pani Ewelina.

— Co to za rozum w tej dziecinie! Jak ona panią kocha!—podziwiała Czernicka.

Przytem, przez całe dni i wieczory, w salonie, w ogrodzie i w sypialni, odbywała się wciąż prawie edukacja Helki. Pani Ewelina uczyła ją mówić po francusku, zgrabnie chodzić, siedzieć i jeść, ładnie ubierać lalki, gustownie dobierać kolory, do snu układać się w pozycyi pełnej wdzięku, splatać rączki i oczy wznosić w górę przy modlitwie. Wszystkie nauki te udzielane i przyjmowane były wśród harmonii i przyjacielskości wzajemnej i zupełnej. Śród zabawy i żartów dziecko kształciło się prędko i wesoło, po roku pobytu w domu swej opiekunki, Helka płynnie już szczebiotała po francusku, umiała na pamięć mnóstwo francuskich modlitełek i wierszyków, a gdy szła, biegła lub jadła, Czernicka spoglądając na nią, z podziwem do pani swej mawiała:

— Co to za ruchy! jaka gracya! możnaby doprawdy myśleć, że panienska urodziła się w pałacu!...

— Tak już ją pan Bóg obdarzył, moja Czernisiu—odpowiadała p. Ewelina.

Co jednak p. Ewelinę najbardziej w dziecku tem zachwycalo, to szczególnie zmysł piękna, który objawiał się w niej z dniem każdym wyraźniej. Istotnie, Helka nabierała do rzeczy wytwornych i pięknych zamiłowania z namiętnością graniczącego. Najłżejszą dysharmonię kolorów spostrzegła natychmiast, najłżejsza warstewka pyłu na posadzce dostrzeżona wstąpiła w niej budziła; wybornie już oceniała stopień piękności każdego sprzętu; gdy zmęczoną była i chciała spocząć, umiała wybrać i samej pani domu wskazać sprzęt najwygodniejszy; parę razy gorzkimi łzami płakała, gdy przyniesiono jej trzewiczki nie tak piękne jak te, o jakich marzyła. Pani

Ewelina z rozkoszą spoglądała na szybki ten rozwój estetycznych skłonności dziecka.

— Moja Czernisiu—mówiła—jaki ona ma popęd do wszystkiego, co piękne, jaka w niej delikatność natury i wrażliwość na każde dotknięcie zewnętrznego świata! Mój Boże! żebym ja ją mogła do Włoch zawieźć! Jakżeby to małeństwo szczęśliwem było pod tem ślicznem niebem włoskiem, w tym rozkosznym klimacie, pośród tych cudownych widoków włoskiej natury....

Marzenie zawiezienia Helki do Włoch wzmogło się w p. Ewelinie bardziej jeszcze, gdy dnia pewnego odkryła w niej ona talent, ale to widoczny i wielki talent do śpiewu. Helka miała już wtedy skończonych lat ośm i przebyła w domu p. Eweliny blisko trzy lata. W pewien pogodny dzień jesienny, na chwilę samotną pozostawiona, siedziała na ganku pośród stosu nagromadzonych tam dla niej poduszek i ubierając lalkę tak prawie dużą jak ona w suknię piękniejszą jeszcze od tej, która ją przystrajała, nuciała. Nuciała jedną z francuskich piosenek, których mnóstwo umiała na pamięć. Stopniowo, nucenie jej przechodziło w śpiewanie; lalka z rąk jej na poduszki upadła a Helka, z oczami utkwionemi w niebo, z rękami splecionemi u piersi, donośnie i żałośnie wyśpiewywała:

„Le papillon s'envola.
La rose blanche s'effeuilla.
La la la la la la...

Głosik jej był istotnie czystym i silnym. Istotnie téż, w gorąco kochanem i czule pieszczonem dziecku, rozbudzić się musiała uczuciowość gorąca i rzewna, bo smutne losy białej róży opiewała z przejściem się i uczuciem takim, że aż drobna piers jej wznosiła się wysoko a na ciemno złotej rzęsie, błysnęła łza. P. Ewelina, niewidzialnie spoglądająca na nią przez otwarte okno salonu, tonęła w zachwycie i od dnia tego zaczęła wieczorami uczyć ją muzyki.

Wieczorami, w małym pokoju Czernickiej paliła się na stole lampa, zegar ścienny monotonnie tętnił nad przepaścistym kufrem, z za firanek ukazywało się skromnie zasłane łóżko. Cicho tu było. Trzy garderobiane drzemały nad robotami swemi lub cichutko szeptały w przyległym pokoju; z głębi domu, z salonu, załatywały pojedyncze, przeciągłe dźwięki poruszanych z kolei fortepianowych klawiszy. Niekiedy ozwały się donośnie przez panią Ewelinę wymawiane: f, g, h, i td; niekiedy gamma dziecinnego

śmiechu rzuciła tu parę nut srebrnych, albo przyciszone odległością dało się słyszeć dziecinne śpiewanie:

„La rose blanche s'effeuilla.

La la la la la la la...“

Na jasnym tle obfitego światła lampy, postać panny służącej, wysoka, cienka, w obcisłą suknię ubrana, z wysoko sterczącym z tyłu głowy grzebieniem, rysowała się w liniach ciemnych i ostrych. U nóg jej, na miękkim, ładnym podnóżku, w skurczonej i smutnej postawie leżał Elf. Ramiona jej suche, rękawami ociągnięte, i długie kościste ręce zwinnie i zgrabnie poruszały się około leżącej na kolanach materyi. Szła pilnie, lecz ilekroć odgłosy odbywającej się w sali lekcyi muzyki przylatywały do niej, chmurny wzrok jej spływał na leżącego u stóp jej pieska; dotykała go zlekka końcem stopy i z właściwym sobie uśmiechem mówiła:—Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłeś?

Wkrótce potem spełniło się pragnienie p. Eweliny; majątkowe interesy pozwoliły jej wyjechać na kilka miesięcy za granicę, powiozła do Włoch swoją Helę; Hela uprosiła o pozwolenie powiezienia z sobą Elfa. Czernicka pojechała także.

Po upływie kilku miesięcy, w piękny dzień letni willa p. Eweliny, przez czas nieobecności jej obumarła, ożywiła się znowu. W ogrodzie kwitły pyszne astry i lewkonie, salon jaśniał swemi zwierciadłami i paśowemi adamaszkami, w sali jadalnej pobrzękiwały z cicha szkła i porcelany, p. Ewelina siedziała w salonie zamysłona bardzo, smutna nieco i tęskna. Helki przy niej nie było, ale z głębi domu od strony garderoby dochodziły chwilami dźwięki donośnego wesołego jej głosu i śmiechu. Bawiła się w tej chwili wybornie. Czernicka, siedząc na podłodze garderoby, otwierała kufry podróżne, wyjmując z nich niezliczone przedmioty, do niezliczonych użytków przeznaczone, trzy garderobiane zaś i mularzowa Janowa, stojąc do kola w postawach pełnych ciekawości i zdumienia, przyglądały się z kolei panience i wydobywanym na jaw cudom europejskich rzemiosł. Wszystkie twierdziły jednogłośnie, że panienka bardzo urosła. Istotnie, Helka dosięgała wieku, w którym dziewczątka nabierają szczególnej i harmonią kształtów ich nadwierzającej długości nóg. Długie, cienkie te nogi, przybrane w bardzo ciasne i wysokie kamasze, czyniły ją trochę niezgrabną. Regularny owal jej twarzy nadwierzzył się też nieco przez lekkie wychudnięcie, będące zapewne skutkiem długiej podróży; odkryte ramiona jej były chude

i czerwone. Śliczne dziecko zaczęło przedziergiwać się w niezgrabnego podlotka, którego jednak rysy zapowiadały przyszłą piękność młodej dziewczyny.

Mularzowa uwiadomiona o powrocie pani i panienki przez jedną z garderobianych, u której to uprosiła, wydziwić się nie mogła naprzód małej krewniaczce swej a potem, rzeczom jej, wydobywanym z dwu oddzielnych tłumoków. Przysiadła na ziemi, obok Helki, która pokazywała jej i tłumaczyła wszystko.

— Drugi kapelusz...—wykrzykiwała—trzeci.. czwarty... o! dla Boga! Wieleż ty, Helko, masz kapeluszków?

— Tyle, ciotko, ile sukienek—tłumaczyła Helka — do każdej sukienki jest stosowny dla niej kapelusz...

— Co to za pudło?

— To neseser podróżny...

— Na cóż to?

— Jakto na co? Widzi ciotka, tu są różne przegródki a w nich wszystko, co potrzeba do mycia się, czesania się i ubierania... Oto grzebienie, mydelko, szczoteczki, szpilki różne, perfumy...

— Jezus Maryja! i to wszystko twoje?

— A moje! Pani ma taki sam neseser większy a ja mniejszy...

W tej chwili, Czernicka wydobywała z tłumoka lalki różnej wielkości; jako też i inne zabawki dziecinne najrozmaitszego rodzaju. Były tam przesliczne ptaki, gdyby żywe, osobliwe zwierzątka, gospodarskie przyrządy srebrnie i złoto polyskujące i t. p. Janowa usta szeroko otworzyła, zarazem oczy jej napełniły się smutkiem.

— Mój Boże!—szepnęła z westchnieniem—żeby to moje dzieciaki choć zobaczyć to wszystko mogły...

Helka popatrzała na nią chwilę, zamysliła się, potem żywo rzuciła się do swych zabawek i lachmanków, z ferworem wielkim, niektóre z nich Janowej ofiarowując.

— Weź, ciotko, tę sowę dla Marylki a tę rybkę dla Kaśki... dla Wicia niech będzie może ta harmonika... do niej tylko dotknąć się trzeba a zaraz bardzo ładnie zagra... Weź, ciotko, weź! Pani nie będzie gniewać się, pani taka dobra i tak mię kocha.. Weź jeszcze i tę różową chusteczkę dla Marylki a dla Kaśki tę błękitną... ja takich chusteczek mam dużo... bardzo dużo...

Janowa, z oczami pełnymi łez, pochwycić chciała krewniaczkę w swe potężne ramiona, lecz, lękając się zgnieść strzępiaste i skomplikowane jej ubranie, grubą rękę swą tylko po atlasowej twarzycze jej powiodła. Podarunków nie przyjęła stanowczo, ale podnosząc się z ziemi, rzekła:— Dobre z ciebie dziecko! Choć na wielką panią rośniesz, ale biednymi krewnymi, którzy kiedyś przytulili cię do siebie, nie pogardzasz..

Gdy Janowa mówiła to, Czernicka, pochylona dotąd nad kufrem wyprostowała się i prędko, dobitnie sarknęła raczej, niż wymówiła:

— Ej, moja pani Janowo! kto to może wiedzieć, jakim jeszcze kiedyś będzie, wielkim czy małym?

Janowa nie odpowiedziała nic, z rozrzewnionym bowiem śmiechem oglądała się za Helką, która chichocząc i na swych długich nóżkach podskakując, jak wesola i zwinna kotka kręciła się wkoło niej i wszystkie kieszenie odzieży jej cukierkami napychała.

— To dla Marylki—wołała — a to dla Kaśki, a to dla Wicka... a to ciotko... dla wujaszka Jana...

Nagle wzdrygnęła się i posmutniała.

— Tutaj tak zimno!—nadłusanemi usteczkami wymówiła — we Włoszech daleko piękniej i milej.. tam ciągle słońce świeci.. pogoda... takie piękne lasy pomarańczowe... My tu z panią długo nie wytrzymamy... pewno znów pojedziemy tam, gdzie tak ciepło...

Czernicka wkładała już na nią miękki jak puch, ciepły paltocik, ale Helka wyrwała się z rąk jej.

— Aj!—zawołała—jak ja długo już pani nie widziałam; pójdę do pani! Adieu ciotko!

I rzuciwszy rączką calusa Janowej, pobiegła w poskokach, nucąc donośnie:—Pójdę do pani... do mojej drogiej... do mojej złotej... do mojej najmiłszej..

— Jak ona kocha swoją dobrodziejkę!—zwróciła się do Czernickiej Janowa.

Wieczoru tego, p. Ewelina opłynięta zwojami białego penioaru, siedziała przed gotownią, smutna i tęskna. Helka w rzeźbionem łódeczku swem, wpół zakopana w puchach, batystach i haftach, głęboko już usypiała; na gotowni dwie świece dopalały się w wysokich lichtarzach; za fotelem p. Eweliny stała Czernicka, rozczesując i do nocnego spoczynku układając kucze jeszcze i długie włosy swej pani. Po chwili milczenia p. Ewelina ozwała się:

— Wiesz, moja Czernisiu, mam kłopot...

— Jakiż? z czem? — tonem pełnym czulej troskliwości zapytała panna służąca.

Po krótkiej chwili wahania, p. Ewelina słabym głosem odpowiedziała:

— Z Helą!

Dość długo potem, milczały obie. Czernicka zwolna, lekko wodziła szczytką po kruczych, jedwabistych włosach. Twarz jej odbijająca się w zwierciadle gotowalni, okrytą była wyrazem zamyślenia. Po chwili ozwała się:

— Panienska... rośnie.

— Rośnie, moja Czernisiu... i trzebaby już myśleć o jej edukacji. Guwernantki do domu nie wezmę za nic, bo nie cierpię mieć w domu obce osoby... nie pojmuję, co uczynię?

Czernicka znowu milczała chwilę. Potem z westchnieniem wymówiła:

— Jaka to szkoda, że panienska nie jest już takim małym dzieciątkiem, jakim przybyła tu do nas...

P. Ewelina westchnęła także.

— To prawda, moja Czernisiu, tylko takie małe dzieci są prawdziwie miłe i sprawiają rozkosz niezmaconą. Hela wyszła już z najmilszego dziecięcego wieku. Trzeba już ją uczyć, strofować...

— Spozstrzegłam właśnie, że od jakiegoś czasu pani jest zmuszoną dość często strofować panienkę...

— Naturalnie; charakter jej zmienił się znacznie. Stała się kapryśną... dąsa się na mnie byle o co...

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci...

— To prawda. Rozpieściłam ją. Niepodobna jednak taką już dużą dziewczynę pieścić tak, jak kiedy była taką malutką, zgrabniutką... taką przytulną...

— Paniencie trudno dogodzić... Dziś rozgniewała się na mnie bardzo za to, że chesząc ją, mocniej trochę pociągnęłam pasemko włosów...

— Doprawdy? rozgniewała się na ciebie? Pamiętam, że i dawniej sykała często i rzucała się na krzesła, gdy ją chesałaś, ale, dopóki była małą, było to bardzo zabawne i dodawało jej wdzięku... teraz, stać się może nieznośnem... Chciałabym mylić się, ale zdaje mi się, że... będzie złośnicą...

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci—powtórzyła Czernicka.

Umilkły. Czesanie włosów na noc miało się ku końcowi. Z twarzą schyloną nad głową swej pani, na której układała leciuchny nocny czepeczek, Czernicka cichszym znacznie i wahającym się głosem, ozwała się jeszcze:

— Może pani w tych dni ach będzie miała gości...

— Gości! jakichże, moja Czernisiu? kogo?

— Może ten pan przyjedzie, na którego koncercie pani była we Florencyi i który potem, przez kilka wieczorów tak ślicznie grał u pani...

Obłok rumieńca przepłynął po twarzy p. Eweliny, którą długa podróż i późna wieczorna godzina uczyniły podobną do zwiędłego kwiatu.

— Nieprawdaż, Czernisiu, że gra on prześlicznie! Jest to prawdziwy i wielki artysta!

Ożywiła się, głos jej stał się silniejszym, przygasłe przedtem oczy błysnęły.

— A jaki piękny! — szepnęła Czernicka.

— Nieprawdaż? o! ci Włosi! jeśli który z nich pięknym jest, to już pięknym — jak marzenie...

Marzącym krokiem przebyła przestrzeń dzielącą gotownię od łóżka, a gdy była już rozebraną i gdy Czernicka układała koldrę w malownicze fałdy i draperye, marzącym głosem mówić zaczęła:

— Moja Czernisiu! zmiłuj się, dopilnuj, żeby wszystko w domu dobrze i ładnie uporządkować... Salon odświeżysz... tak jak to ty umiesz... bo ty masz wiele dobrego gustu i zręczności... Może... wypadkiem... ktokolwiek do nas przyjedzie...

Przez wiele następnych wieczorów, pomiędzy panią Ewelina i Czernicką toczyły się przy gotowni krótkie i urywane rozmowy.

— Czy zauważyłaś, Czernisiu, że Hela szpetnieje.

— Zdaje mi się, że panienka nie jest już tak zgrabną, jak była...

— Staje się całkiem niezgrabną... Nie pojmuję, skąd wzięły się u niej takie długie nogi... broda jej też wydłużyła się jakoś dziwnie...

— Zawsze jednak panienka jest bardzo ładna...

— Nie będzie tak ładną, jak można było spodziewać się przed paru laty... Mój Boże! że też to czas ten leci, leci, leci i unosi z sobą wszystkie nadzieje nasze...

Nazajutrz jednak, twarz jej jaśniała bardzo błogą nadzieją. Na gotowni leżał woniejący liścik, z Włoch przybyły.

— Moja Czernisiu! będziemy miały gości...

— Chwała Bogu! Pani weselej trochę będzie. Od powrotu z za granicy pani ciągle taka smutna...

— O! moja Czernisiu, czegożbym wesołą być miała! Świat ten tak jest smutny! Te szczególnie dusze, które gonią za ideałem, za doskonałością, wiecznie tylko zawodzić się muszą...

Po chwili milczenia dodała:

— Hela naprzykład... Co to było za śliczne, miłe, zabawne dziecko... a teraz...

— Od powrotu naszego z za granicy, panienska ciągle nadąsana jakos... czy smutna...

— Gdzie tam smutna! Czegożby ona smucić się miała? Dąsa się na mnie za to, że nie zajmuję się nią tak ciągle jak dawniej... Mój Boże! czyż ja mogę przez całe życie niczem innym nie zajmować się jak tylko tem dzieckiem...

— Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci--powtórzyła swoje Czernicka.

W samej rzeczy, Hela była smutną, ale zarazem i dąsała się straszliwie. Wypieszczona i oddawna samemi tylko rozkosznemi wrażeniami pojone jej nerwy, rozstrajały się pod wpływem żalu, z którego przyczyny i natury nie zdawała sobie jasnej sprawy, lecz który, co chwila pobudzał ją do płaczu lub złości. Przy czesaniu się i ubieraniu krzyczała teraz w niebogłosy prawie, tupała nóżkami, ścisłała piąstki, — ledwie, że nie biła Czernickiej. Kiedy p. Ewelina milczeniem lub półsłówkami odpowiadała na pieszczotliwe jej szczebioty albo i zamykała się przed nią w swej sypialni, siadała w kącie salonu, na niskim stołeczku i skurczona, z wydętą twarzą, szepcząc do samej siebie gniewne monologi, zalewała się łzami. Poczem oczy jej nabrękle i czerwone skłaniały p. Ewelinę do ostatecznego wyrokowania, że Hela jest złością i widocznie szpetnieje. Czasem przychodziło jej na myśl zrobić coś na złość swej zobojętniałej dla niej opiekunce; kto wie? tym sposobem może zwrócić na siebie znowu jej uwagę. Gdy pani Ewelina z oczami wlepionemi w książkę, w najgłębsze popadała zadumy, krokiem kocim, z ukośnemi wejrzeniami skradała się do fortepianu i zaczynała z całej siły, obu rękami uderzać w klawisze. Niegdyś kakofonia taka, wykonana przez wychowanekę jej, wywołałaby wesoły śmiech p. Eweliny i sprowadziłaby na dziecko grad całusów. Teraz przecież Helka była daleko mniej zabawną, a p. Ewelina zapadała często w smutki i tęsknoty. Teraz zrywała się ona, biegła ku dziecku i karcila je surowemi napomnieniami, a niekiedy lekkimi uderzeniami po swawolnych rączkach. Wtedy, Helka rozplakana i drżąca padała przed nią na klęczki, całowała kolana jej i stopy, wyszeptując długie namiętne litanie najczulszych nazw.

— Moja droga — mówiła — moja złota... moja najmilsza... proszę... proszę...

I z wzniesionemi oczami, ze splecionemi rękami, klęcząc, milkła. Czowała głęboko i boleśnie czuła, że chce o coś prosić, lecz o co i jak? Nie wiedziała.

W czasie jednej ze scen podobnych, dnia pewnego, lokaj zjawiający się w drzwiach salonu oznajmił gościu z włoskiem nazwiskiem. Pani Ewelina, która z właściwą sobie czulością i dobrocią, rozczulać się już zaczynała pokorną a pełną wdzięku postawą dziecka i już-już w objęcia swe pochwyć je miała, na dźwięk wymówionego nazwiska drgnęła, wyprostowała się i spiesznie podążyła na spotkanie wchodzącego do salonu pięknego Włocha i słynnego artysty. Gdy witała go, uśmiechy i rumieńce, które twarz jej oblały, uczyniły ją podobną do świetnie rozkwitłej róży.

Wizyta trwała długo, bo aż do późnego wieczora. Gospodyni domu i gość rozmawiali po włosku, z ożywieniem wielkiem, z widocznem i zobopólnem pragnieniem wzajemnego uprzyjemnienia sobie czasu. Niebawem przyniesiono wiolonczelę, p. Ewelina siedząc przy fortepianie, akompaniowała grze słynnego wiolonczelisty. W jednym z przestanków, zaczęli rozmawiać z sobą ciszej niż wprzód—być może nawet, iż mieli sobie coś poufnego i tajemnego do powiedzenia, bo głowy ich kłoniły się jedna ku drugiej a Włoch sięgał po białą rękę kobiecą, niedbale na klawiszach spoczywającą, lecz, w tejże chwili, pani Ewelina usunęła się i usunęła rękę, brwi jej ściągnęły się w sposób wyrażający przykre wrażenie, ze zniecierpliwieniem przygryzła wargę i głośno o muzyce mówić zaczęła. Przyczyną tego gwałtownego wzburzenia duszy i fizyonomii było spotkanie się oczu jej z parą utkwionych w niej, szafirowych jak niebo włoskie i jak to niebo ognistych oczu dziecinnych. Hela, skurczona i cicha jak ptak zraniony, siedziała w pobliżu na niskim podnóżku i z cienia spadającego na nią od fortepianu, wpatrywała się w opiekunkę swą jak w tęczę. We wzroku tym, upornie w jeden punkt skierowanym, była żalność i trwoga i prośba... I przez następnych dni parę, p. Ewelina i gość jej, nie mogli powiedzieć sobie nic poufnego i tajemniczego; rozmowa ich toczyć się musiała po ubitych i odkrytych gościńcach, bo Hela, ani na chwilę prawie nie opuszczając salonu, rozumiała wybornie i sama nawet nieźle mówiła po włosku.

Po paru dniach, pani Ewelina oczekując miłego gościa swego, siedziała na kanapie, z czołem na dłoni wspartem, pogrążona w tęsknej i zarazem rozkosznej zadumie. O czem myślała? O tem zapewne, że Bóg, w nieprzebranej dobroci swej, zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia, ciepły i jasny

promień słońca. Promieniem tym stał się dla niej genialny i śliczny ten człowiek, wypadkiem na szerokim świecie spotkany, a teraz za drogiego przyjaciela duszy i serca przez nią przybrany. O! jakże on ważną rolę w istnieniu jej odegra! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napelniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, tak przez wszystko zawiedzioną. Już-już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatyę lub w ciemną melancholię popaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli, ufności w czuwanie to tracić nie należy. Byleby tylko genialny, piękny i drogi przyjaciel ten przybywał prędzej...

Tu, zaduma p. Eweliny przerwana została przez dwie małe rączki, które jak płatki śniegu spadły na czarne koronki jej sukni i nieśmiało, błagalnie jakby pięły się ku jej szyi. Obudzona, wzdrygnęła się i powściągając zniecierpliwienie, zlekka usunęła od siebie Helę. Ona usiłowała jeszcze zniecierpliwienie jej brać za wesoły żart. Zbyt długo kochaną była, aby móżdżek prędko w odtrącenie uwierzyć. Zaśmiała się z cicha, pieszczośliwie i znówu, nieśmiało rączki topiąc w koronkach, próbowała dosięgnąć i objąć jej szyję. Tym razem p. Ewelina poskoczyła z kanapki, zadzwoniła:

— Panny Czernickiej!

Czernicka wbiegła ze zwojem jedwabnej materyi w rękach, z pasemkiem jedwabiu na szyi, z mnóstwem szpilek w staniku sukni, zarumieniona silnie i śpiesząca się. Od tygodnia przeszło, dyrygowała ona założoną w garderobie fabrykę nowych sukien i wszelakich strojów.

— Moja Czernisiu, weź Helę i niech ona tam przy tobie będzie, kiedy u mnie są goście. Przeszkadza mi rozmawiać z gośćmi... Nudzi mię...

— Panienska niegrzeczna!

Z temi słowami, panna służąca schylała się nad dzieckiem a po ustach jej widać się właściwy uśmiezek, trochę sarkastyczny i trochę smutny; pierś zaś ściśnięta czarnym, ciasnym stanikiem drgała ni to powstrzymywanym śmiechem, ni to tłumioną złością. Wziąwszy rękę Helki, która ze zbielałą twarzą, stała nieruchoma jak słupek, przez chwilę, bystro patrzyła w twarz swej pani.

— Panienska zmieniła się... — wymówiła z wolna.

— Zmieniła się — powtórzyła p. Ewelina i wzdychając, z giesłem najwyższego zniechęcenia dodała: nie pojmuję już teraz, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne dziecko!...

— O! było ono kiedyś wcale inne!

— Nieprawdaż, Czernisiu? wcale inne... Była kiedyś prześliczna... ale teraz...

— Teraz zrobiła się nudna...

— Okropnie nudna... Weź ją i niech już ciągle będzie przy tobie...

Czernicka wprowadzając za rękę osłupiałą wciąż i jak płótno zbiebiając Helę, w progu jeszcze usłyszała:

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilonym uśmiechem.

— Cóż tam z moją morową suknią? dopilnuj, proszę cię, aby dziś ładnie do stołu nakryli... rzuć też okiem na deser... Włosi, wiesz? nic prawie prócz owoców i lodów nie jedzą...

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani... proszę tylko o klucz do materyj i koronek i o pieniądze na wszystko...

W pokoju Czernickiej cicho było. Zegar wiszący nad ogromnym kufrem wybijał właśnie północną godzinę. W pobliżu firanek osłaniających łóżko panny służącej bieleła pod ścianą śnieżnie usłane z orzecha rzeźbione łóżeczko dziecinne. Na stole, obok maszyny do szycia paliła się lampa a na jasnym tle obfitego jej światła ostro i ciemno rysowała się postać pilnie pracującej kobiety. U nóg jej, na ładnym podnóżku siedziała Hela, piastując na kolanach swych uśpionego Elfa. Czernicka starannie układała i pilnie zszywała kokardy z czarnej mory, lecz, gdy z głębi domu, z salonu, do ucha jej doleciały połączone, płaczące tony fortepianu i wiolonczeli, chmurny wzrok swój utkwiała w pochylonej nad pieskiem głowie Heli, a palcem uzbrojonym w srebrny napałek zlekka jej dotykając, wymówiła:

— Słyszysz? pamiętasz? i ty kiedyś tam byłaś!

Dziecko podniosło twarz znacznie od dni paru pobladłą i na starszą towarzyszkę patrzyło w milczeniu, oczami pełnymi wrosłego w nie jakby zdumienia.

— Cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? czegoż dziwisz się? Och, poszłabyś lepiej spać... Nie chcesz? Myślisz, że cię pani zawoła! Nieprędko to nastąpi. Żal mi cię trochę. Chcesz? to opowiem ci jedną długą, ładną bajkę...

Hela podskoczyła na stolku tak, że aż się Elf obudził. Bajka! Niegdyś słuchała często bajek opowiadanych jej przez p. Ewelinę.

— Cicho, Elfku, cicho! no, nie śpij znowu! słuchaj! bajka będzie długa i ładna.

Czernicka, dziesiątą z kolei wykończoną kokardę rzuciła na stół i zaczynając układać jedenastą, z pod brwi na rozweselone nieco dziecko spo-

glądała. Palce jej drżały trochę i wzrok posepniał. Po chwili przyciszonym głosem i zawzięcie szyjąc zaczęła.

— Była sobie razu jednego, w szlacheckiej okolicy jednej, młoda, przystojna dziewczyna. Żyła ona sobie szczęśliwie u rodziców swoich pomiędzy braćmi i krewnymi swymi, pod błękitnem niebem bożem i między zielenią kochanej ziemi, pracując ciężko, to prawda, ale zdrowa, hoża, rumiana i wesola. Było już jej lat piętnaście i już ją był chłopiec — sąsiad za żonę sobie upatrył, gdy, wtem, wypadkiem, zobaczyła ją jedna bogata i bardzo dobra pani. Ta pani zobaczyła młodą tę dziewczynę raz, w niedzielę, kiedy w świątecznym ubraniu niosła ona z lasu dzbanek poziomek. Zobaczyła i zaraz bardzo pokochała. Za co? Niewiadomo. Podobno dziewczyna miała piękne oczy, może też do twarzy jej było na zielonej miedzy, w złotej pszenicy, z czerwoną wstążką przy kaftanie i dzbankiem poziomek w ręku. Dość, że dobra pani przyjechała ślicznym powozem, przed chatę jej rodziców i — zabrała ją sobie. Mówiła, że da jej edukację, w świat ją wprowadzi, los i szczęście jej zapewni... Los... i szczęść... cie!

Dwa ostatnie wyrazy wymówiła przeciągle, ze świstem i, rzuciwszy na stół jedenastą kokardę, rozpoczęła układanie dwunastej.

— Cóż dalej? co dalej? moja panno Czernicka, co dalej? — trzepotało się na stoleczku dziecię. Elf nie spał także i, siedząc na kolanach dziecka, dwojgiem czarnych, okrągłych oczu pojętnie patrzył w twarz opowiadającej.

— Dalej — było tak. Dobra pani kochała bardzo, ale to bardzo młodą dziewczynę przez caluteńkie dwa lata. Trzymała ją wciąż przy sobie, całowała często, uczyła mówić po francusku, zgrabnie chodzić, mówić i jeść, paciorkami na kanwie wyszywać... potem...

— Co potem? co potem?

— Potem, zaczęła ją lubić daleko już mniej, aż nakoniec, raz, wypadkiem spotkała jednego hrabiego. Wtedy, młoda dziewczyna zrobiła się bardzo nudna i — poszła do garderoby... Całe szczęście, że miała ona wiele dobrego gustu i zręczności, dobra pani więc kazała ją wyuczyć krawiectwa i różnych robót i zrobiła z niej swoją pannę służącą. Gdyby nie nadzwyczajna dobroć tej pani, dziewczyna miałaby teraz swoją chatę w szlacheckiej okolicy, męża, dzieci, zdrowie i twarz rumianą. Ale pani ta zapewniła jej los i szczęść...cie... Od lat dwunastu, szyje ona dla niej stroje po całych nocach, ujada się z jej garderobianami i lokajami, każdego ranka wkłada jej na nogi pończochy i trzewiki a każdego wieczora urządza z kołptry jej gustowne draperye... Trzydzieści lat ma dopiero a wygląda na sta-

ra kobietę... Wychudła, zczerniała i na oczy zapadać zaczyna... starość jej prędko przyjdzie i pamiętać o tem musi... o! musi ona pamiętać o swojej starości, bo gdyby sama o niej nie pamiętała, to dziś czy jutro, kiedy dobra pani kogoś innego zechce na miejsce jej w garderobie posadzić, wróciłby musiała chyba do szlacheckiej okolicy swojej na łaskę braci, na pośmiewisko ludzkie, na... nędzę! Ot... początek bajki!

Na stole leżało już wykończonych kokard kilkanaście. Czernicka wzięła długi, szeleszczący kawał czarnej mory i układać go zaczęła w malownicze fałdy i zwoje. Palce jej drżały mocniej niż wprzód a żółte powieki mrugały prędko, prędko, dlatego może, aby zdusić łzy, które drżały na rzęsach. Spojrzała na Helę i zaśmiała się głośno.

— Ależ!—zawołała — wytrzeszczyłaś oczy tak, jakbys mię niemi porzrzeć chciała. I psisko to także wlepia we mnie swoje ślepie, niby bajkę rozumie. Bo to bajka jest... Chcesz słuchać dalej?

— Co było potem?—szepnęło dziecko.

Czernicka z wielką powagą w głosie i na twarzy, odpowiedziała:

— Potem,—był hrabia...

— A jaki był—ten hrabia?...

— Ten hrabia był — żonaty. Ksiądz spowiednik wytłómaczył dobrej pani, że żonatego kochać nie trzeba, bo można za to pójść do piekła i—sam po hrabi nastąpił.

— A gdzie był ten ksiądz spowiednik?

— Ten ksiądz spowiednik był w Paryżu—ale wkrótce pani wyjechała z Paryża i w mieście jakimś, wypadkiem, zobaczyła śliczną papugę. bla-do różową z czerwonym dziobem. .

Heła uczyniła żywe poruszenie.

— W Wiedniu... — zawołała—w jednym ogrodzie jest tak dużo, dużo papug... takie śliczne... śliczne...

— Otóż to;—tamta papuga była jeszcze śliczniejszą od tych, które są w Wiedniu... Pani kupiła ją sobie i bardzo pokochała. Więcej jak przez rok, nie rozłączała się z nią nigdy. Na noc przenoszono ją z klatką z salonu do sypialnego pokoju. Pani uczyła ją mówić po francusku, karmiła ją najwyborniejszemi przysmakami, gładziła jej piórka, całowała w dzióbek...

Tu skończyło się fałdowanie kawałka mory, Czernicka pyszną draperię zawiesiła na poręczu krzesła i rozpoczęła mozolne strzępienie igłą końców szerokiej morowej szarfy. Pod ciosami igły, materya wydawała ostre chrzęsty, zegar nad kufrem wybijał godzinę pierwszą, z salonu przypłynęły

znowu, milczące wprzód przez dobry kwadrans a teraz jak gdyby w namiętny uścisk rzucające się, tony wiolonczeli i fortepianu.

— Co potem? Co było potem? — zaszemrał niecierpliwy i zarazem trwożny szept dziecięcy.

Elf nie był ciekawy końca bajki. Usnął w objęciu Helki.

— Potem... nie pamiętam już dlaczego i jakim sposobem, papuga zrobiła się bardzo nudną... i poszła do garderoby. W garderobie posmutniała, przestała jeść, zachorowała i zdechła. Ale pani nie żałowała jej wcale, bo miała ślicznego pieska. .

— Wiem! już wiem! nagle zawołała Hela.

— Co wiesz?

— Koniec bajki.

— No to powiedz.

— I piesek poszedł do garderoby...

— A potem?

— Potem, była dziewczynka...

— I cóż?

— Pani dziewczynkę kochała...

— A potem — wtrąciła Czernicka — spotkała jednego sławnego muzyka...

— I dziewczynka poszła do garderoby!

Ostatnie trzy wyrazy Hela wymówiła szeptem zaledwie dosłyszalnym. Czernicka podniosła oczy z nad morowych strzępi i ujrzała twarz dziecięcą, bardzo dziwnie wyglądającą. Była to mała pięknie zarysowana twarz, biała w tej chwili jak opłatek, z dwoma strugami cichych, bujnych łez zwolna toczącymi się po policzkach, z dwojgiem oczu szafrowych, wielkich, które z za łez podnosiły się ku niej z niemem, bezdennem, zda się, zdumieniem. Zrozumiała bajkę. . ale dziwić się nie przestała.

Czernicka znowu kilka razy powiekami mrugnęła. Wstała i dziewczynkę z podnóżka podniosła.

— No—rzekła — dość już bajek i płaczów i nocnego siedzenia... Zachorować możesz... Idź spać.

Nie opierającą się wcale, cichą jak sen, a wciąż podnoszącą ku niej pytające z za łez oczy, rozebrała i na pościeli złożyła. Potem, wzięła Elfa, który już na podnóżku ułożył się był do snu, i w kształcie pociechy zapewne, położyła go na jej koldrze. Nachyliła się i suchymi wąskimi wargami czoła jej dotknęła.

— No — rzekła — cóż robić? Nie byłam zła dla papugi, nie byłam zła dla Elfa, nie będę też zła dla ciebie... dopóki tu będziesz. Śpij!

Lekkim, ozdobnym parawanem zasłoniwszy jeszcze dziecinne łóżko od światła lampy, usiadła znowu przy stole i poczęła zszywać na maszynie białe jakieś muśliny. Suche i zwinne ramię jej obracało żywo korbę maszyny, a koło maszyny turkotało dopóty, dopóki w przedpokoju zaspany lokaj nie zamknął drzwi za odchodzącym gościem. Na świecie bielał już wtedy późny ranek jesienny. Z sypialnego pokoju p. Eweliny ozwał się dzwonek. Czernicka porwała się z miejsca i przecierając oczy, całonocną pracą zmęczone, pośpiesznie z pokoju wybiegła.

Od ponownego wyjazdu za granicę p. Eweliny, który nastąpił wkrótce po wyjeździe z Ongrodu słynnego artysty, upłynęło pół roku. Drobnny gęsty deszcz marcowy bez najłżejszego szelestu padał z popielatego nieba, a choć na świecie dobra jeszcze godzina pozostawała do zapadnięcia wieczora, w malutkiem, niskim domostwie mularza Jana robiło się już ciemno.

W mętny i dżdżysty dzień wiosenny, dwa małe, nad samą prawie ziemią umieszczone okna, skąpo oświetlały izbę dość obszerną, z niskim belkowanym sufitem, ze ścianami okrytymi zczerniałym i chropowatym tynkiem, z podłogą glinianą i wielkim piecem do pieczenia chleba i gotowania służącym, a zapelniającym całą prawie czwartą część izby. Piec był wielki a jednak w starych tych, niskich i cienkich ścianach czuć było zgromadzoną przez zimę stęchliznę i wilgoć. Zresztą, stały tam pod ścianami ławki, stoły, parę krzeseł z żółtego drzewa, komódka ze świętymi obrazkami, dwa niskie tapczaniki do spania, beczka z wodą i beczulka z kwaszoną kapustą, a w pobliżu pieca, wąskie i niskie drzwiczki prowadziły do malutkiej izdebki, będącej sypialnią właścicieli domostwa.

Teraz, w większej izbie zgromadzona rodzina mularza zabierała się do jedzenia wieczery. Jan, krępy, silny człowiek, nastrzępioną twarzą jak sierść a jak las gęstymi włosy, tylko co wrócił od roboty, twarz i ręce umył w konwi z wodą i, zdjawszy mularski fartuch swój gliną i wapnem oblepiony, w kamizelce i rękawach grubej koszuli zasiadł przy ścianie, za stołem. Janowa, bosa, w krótkiej spódnicy i chustce na piersi skrzyżowanej, z grubą potarganą kosą odrzuconą na plecy, w przepaścistej głębi pieca rozpałiła duży ogień i gotowała przy nim zacierkę. Pod ścianą, na tapczanie, siedziała i głośno gwarzyła gromadka dzieci. Było ich troje:

chłopak dwunastoletni, krępy i silny, z czupryną jak u ojca gęstą i najęzowaną, i dwie dziewczynki, od las ośmiu do dziesięciu, bose, w długich aż do ziemi spódniczkach, szczupłe, ale rumiane i śmiejące się na całą izbę. Rozśmieszał je tak Wicek, który wpółleżąc na tapczanie i dziwne rzeczy bosemi nogami dokazując, opowiadał im o przygodach swych, doświadczanych w szkółce początkowej, do której od roku już uczęszczał. Dopóki Janowa nie rozpałała ognia w piecu, zdawać się mogło, że w izbie tej, oprócz dwojga rodziców i trojga małego rodzeństwa nie było nikogo. Gdy jednak błysk płomienia oświecił ciemny wprzód przeciwny kąt izby, ukazała się siedząca na drugim tapczaniku jedna jeszcze mała istota ludzka. Była to także dziewczynka, około dziesięcioletnia, której jednak twarz i ubranie błysk ognia ruchomy i słabo tu dochodzący, oświecał mętnie i migotliwie. Widać tylko było, że siedziała ona na tapczaniku, z podwiniętymi nogami, w najgłębszy kąt wsunięta, w postawie skurczonej i zziębłej. Tuż przy niej, połyskiwały brązowe guziki, przyozdabiające niewielki ale wykwintny kuferek, z którego dwie małe i blade jak opłatek, ręce wydobywały od czasu do czasu różne drobne przedmioty. Z ruchu rąk tych można było z łatwością odgadnąć, że skurczona i zziębła istotka grzebieniem z kości słoniowej, długo i starannie czesała swoje włosy, w których migotliwe błyski ognia rozpałały niekiedy wśród cienia, gorąco złote połyski. Raz błysnęło też wydobyte z kufereka, w srebro oprawione lusterko...

— Mamo! mamó!—zawołała młodsza z dwu bawiących się na tapczanie dziewczynek—Hela znowu czesze się i przypatruje się sobie w lusterku...

— Ona dziś już trzeci raz czesze się, a dwa razy myła sobie paznokcie—wzgardliwie zauważyła starsza dziewczynka.

— Elegantka! Lala!—dorzucił chłopiec—czy to jej jak nam w konwi myć się... umoczy ręczniczek swój w wodzie i pecka nim sobie twarzyczkę... ot! stłukę ja jej to lusterko, zobaczmy, co będzie!

I wszystko troje, z wielkim tętentem bosych nóg, rzucili się ku ciemnemu kątowi.

— Daj lusterko! daj! daj!

Dwie małe, blade jak opłatek rączki, w milczeniu i bez najlżejszego oporu wyciągnęły się z cienia i oddawały rozswawolonej gromadce lusterko w srebrnych ramkach. Dzieci porwały je, lecz łupem tym jeszcze nie zadowolone, ściągnęły z tapczana kuferek z angielskiej skóry i usiadłszy dookoła niego na ziemi, po raz setny zapewne przeglądając poczęły zawierające

się w nim grzebienie, szczotki, szczoteczki, puste flakony od perfum i pudełka do mydeł.

Janowa tymczasem, nie zważając wcale na krzyki i śmiechy dzieci, a może nawet i w dobry humor przez nie wprawiona, rozmawiała z mężem o dzisiejszej robocie jego, o przykrościach, które wyrządzała jej sąsiadka, o Wicku, który dziś zalenił się i późno do szkoły poszedł. Potem, niosąc ku stołowi wielką, dymiącą się misę, zawołała dzieci na wieczerzę.

Wezwania tego nie trzeba im było po dwa razy powtarzać. Wicek i Marylka jednym skokiem byli już na ławie, obok ojca, któremu po jednym ramieniu na szyję zarzucili. Kaśka przyskakowała do stołu uczepiona do spódnicy matki, krającej w drodze chleb razowy z wielkiego bochna. Janowa o bejrzała się.

— Heła!—zawołała— a tyż? dlaczego nie idziesz jeść?

Zsunęła się z tapczanika i kiedy szła ku rodzinnemu stołowi, drobna postać jej, oświetlona w pełni, w sposób szczególny, jaskrawy, odbiła się od otaczającego ją tła. Szczupła i nad wiek swój wysoka, miała ona na sobie szubkę z błękitnego atlasu, łabędzim puchem obszytą. Atlas był jeszcze świeży i błyszczący, ale śnieżne niegdyś obszycie wyglądało jakby wydobyte z popiołu. Ubranie to, z którego już wyrosła, sięgało jej zaledwie do kolan, poniżej, długie, chude jej nogi w pół okryte były łachmankami pończoch, pajęczej cienkości i bucikami wysokimi, na długi rząd błyszczących guziczków spiętymi, ale przez otwory których przeglądały nagie prawie stopy. Ściąglą i chudą twarz jej, z wielkimi zapadłymi oczami, otaczały włosy ogniste, starannie uczesane i opasane świeżo znać włożoną kosztowną wstążką. W tych niskich, ciemnych ścianach, pomiędzy temi dziećmi bosemi i w grubej odzieży, strój ten jako też delikatność cery jej, rąk i ruchów, okrywały ją w pół śmiesznem, w pół bolesnem piętnem głębokiej z całym otoczeniem jej dysharmonii. Przez chwilę słyhać tylko było uderzanie łyżek o misę i mlaskanie pięciu gąb z wielkim smakiem zjadających zacierkę ze słoniną, przekąsywaną razowym chlebem. Heła jadła także ale powoli, delikatnie i bardzo mało. Kilka razy poniosła do ust chleb i zacierkę i, położywszy łyżkę na stole, siedziała cicho z rękami splecionymi na kolanach, wyprostowana na stolku swoim tak wysokim, że stopy jej w paryskich podartych bucikach nie dosięgały ziemi.

— Czemuż nie jesz więcej?—zwróciła się do niej Janowa.

— Dziękuję, już nie chcę—odpowiedziała i drżąc z zimna otulała się, jak mogła, swoją za wąską dla niej i za krótką atlasową szubką.

— Czem to dziecko żyje, to już ja doprawdy nie wiem!—zauważyła Janowa—gdybym jej codziennie kawałek mięsa nie usmażyła, toby już chyba do tego czasu z głodu umarła. A i tego jeszcze nigdy, nigdy do końca nie zje...

— Et—flegmatycznie zauważył Jan—przywyknie kiedyś, przywyknie...

— A ciągle też zimno jej i zimno... Nasze dzieci latają po dworze boso i w koszulach, a ją tu w izbie przy piecu, w tem niby to futerku, febra wciąż trzęsie...

— At—powtórzył Jan—przywyknie kiedyś...

— Pewno!—przytwardziła Janowa—ale ot tymczasem żal bierze patrzeć... Już ja często gęsto i samowarek nastawię a herbatę ją napoję...

— Tak i trzeba—potwierdził mularz—przecież płacą nam za nią...

— Płacą to płacą... ależ nie tyle, żebyśmy ubóstwo nasze dla niej na bogactwo odmienić mogli...

— Bo i nie potrzeba, przywyknie.

Wicek i Marylka opychali się jeszcze chlebem i zacierką, Kaśka przekomarzała się z nimi, jeść im przeszkadzając. Jan, otarłszy usta rękawem koszuli począł rozpytywać się syna o szkolne jego nauki i prowadzenie się, w przyległej izdebce zapłakało kilkomiesięczne dziecko. Janowa, która misę, łyżki i półbochna chleba kupiecowi niosła, obejrzała się na Hełę.

— Idź, pokolysz Kazia i zaśpiewaj mu tam, jak to ty umiesz...

Rozkaz ten wydawała głosem łagodnym, daleko nawet łagodniejszym niż ten, jakim do dzieci swoich przemawiała.

Hela, posłuszna i milcząca, krokiem lekkim i pełnym gracyi, wcale do porywistego i ciężkiego chodu dzieci mularza niepodobnym, wsunęła się w całkiem prawie ciemną izdebkę a po chwili, miarowemu stukowi biegunów kołyski, wtórować zaczął słaby lecz czysty i rzewnością nabrzmiący śpiew dziecinny. Innych piosenek jak francuskie nie umiała, ale tych za to pamiętała mnóstwo. Francuskie zaś śpiewanie to zawsze i nieodmiennie wprawiało w zachwyt rodzinę mularza, dlatego może najbardziej, że było dla niej niezrozumiałem. I teraz także, dzieci umilkły, Jan obu łokciami rozparty na stole i Janowa myjąca naczynie przy piecu, milczeli. W ciemnej izdebce, miarowo stukwały bieguny kołyski, a czysty i smutny głos dziecinny, na przewlekłą melancholijną nutę wyspiewywał zwrotek ulubionej piosenki:

Le papillon s'envola

La rose blanche s'effeuilla.

La la la la la la...

Janowa podeszła do stołu, Jan podniósł głowę. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się z szyderstwem trochę, trochę ze smutkiem.

Jan sięgnął w zanadrze i rzucił na stół rozpieczętowaną kopertę.

— A! ot! spotkałem dziś na mieście posesora Krzyckiej. Szedł do nas, ale zobaczywszy mię zawołał i oddał mi to...

Janowa grubemi palcami swemi, z widocznem i głębokiem uszanowaniem, wydobywała z koperty banknot dwudziestopięć-rublowy, stanowiący połowę rocznej sumy, którą im p. Ewelina, na utrzymanie i edukacją Heli, aż do jej zupełnego dorostnięcia, wypłacać przyrzekła.

— No—zaczęła Janowa—przysłała jednak... chwala Bogu... myślałam, że..

Urwała, bo obok niej, przy stole, stanęła Hela. Z ciemnej izdebki, gdzie kołysała dziecko, widziała oddającego żonie kopertę z pieniędzmi i usłyszała wymówione nazwisko swej dawnej opiekunki. Jakby jej w jednym mgnienu cała dawna żywość wróciła, zeskoczyła z łóżka Janowej, przy którym stała kołyska, i przypadła do stołu z zarumienioną twarzą, z błyszczącemi oczami, uśmiechnięta i drżąca, nie od zimna już ale od wzruszenia. Wyciągnęła ku kopercie obie ręce.

— Od pani—wołała—to od pani... czy... czy...

Tchu jej brakło.

— Czy pani o mnie co pisze?

Jan i Janowa popatrzyli znowu na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

— Ej ty głupi dzieciaku! gdzieby tam pani miała do nas o tobie co pisać... przysłała ot pieniądze na utrzymanie twoje. Bądź wdzięczna i za to!

Hela w mgnienu oka znowu pobladła, sposepniała i otulając się szubką swoją odeszła ku piecowi. Wicek pochwylił kopertę i czytał Marylce wypisany na niej adres, Kaśka drzemała na ławie, z głową złożoną na kolanach ojca. Jan biorąc z ręki żony banknot, z wahaniem w głosie zaczął:

— Możeby to... schować dla niej... na dalsze czasy... Za dwadzieścia pięć rubli wyżywimy dziecko, a te drugie niechby... składały się..

— Niechby składały się—brodę na rękę w zamysleniu wspierając odpowiedziała Janowa — tylko że widzisz, Janku, terazby ją oporządzić trochę trzeba....

— Jakto oporządzić? Toż pozwolili jej całą garderobę wziąć ze sobą...

— Ach! Garderoba! Dobre to było do pałacu ale tutaj... Wszystko to takie cieniutkie, delikatne, niemocne... albo to ja mogę prać takie rzeczy

jak należy... Ot, jedna dopiero zima minęła, a na miejscu tych jej sukien w kuferku same lachy zostały.

— Ano, kiedy oporządzić, to oporządzić. Tylkoż mi, kobieto, zbytków żadnych dla dziecka tego nie rób... niech chodzi tak jak nasze dzieci... a jeśli grosz jaki zostanie, na dalsze czasy dla niej schować...

— Ale! jak nasze dzieci! kiedy to takie delikatne! bosą nogą na podłogę stąpi, kaszle... trzy dni koszulę ponosi, płacze, pytam się: czego płaczesz? „koszula brudna!“ powiada... a myje się to, czesze się i kurczy się po kątach przez całe dnie... jak kotka.

— At—bębniąc palcami po stole zakonkludował Jan—przywyknie....

Gdy mularz i żona jego w sposób ten naradzali się nad Helą, ona stała przed piecem i zapadłemi, przygasłemi oczami patrzyła w dogasający ogień. Widać było, że namyślała się nad czemś głęboko; po chwili, stanowcze jakby postanowienie powziąwszy, odwróciła się i cichutko otworzywszy drzwi od sieni, wymknęła się z domostwa. Na ulicy znacznie widniej było niż w chacie, jednak szarzało już zwolna i chłodem przesywająca mgła marcowego deszczu napelniała powietrze. W mgle tej, brzegami znanych sobie dobrze uliczek a potem ulic Helka przesuwała się zrazu prędko, potem coraz powolniej. Chwilami, zmęczona bardzo, przystawała; w wąskiej piersi jej brakowało oddechu, źle obute nogi słabły, kilka razy zanosła się chrypliwym kaszlem. Szła jednak wciąż dalej i dalej, aż znalazła się na Zamiejskiej ulicy, u początku której, pośród bezlistnych teraz drzew ogrodu, stała willa p. Eweliny. Podeszła do żelaznych sztachet, popatrzyła na ogród. Posunęła się dalej, ku bramie. W bramie, furtka była otwarta. Weszła na dziedziniec. Tu, w głębi dziedzińca w dwu oknach oficyny, w której było mieszkanie stróża, świecił ogień. Znać gotowano tam wieczerzę. Przed oficyną, stróż rozrębywał na drzazgi klocek drzewa. Zresztą, cicho tu było i pusto, uderzenia siekiery głucho i miarowo tętniały w mgle deszczowej, z blaszanej rynny, na bruk dziedzińca ciekła z monotonnym szmerem wąska struga wody. Hela przesunęła się pod ścianą pałacyku i suchą, bo żwirowaną ścieżką weszła do ogrodu. Tu, stanęła przed schodami wysokiego ganku, na którym p. Ewelina przesiadywała zwykle całe dnie letnie. Teraz, schody, ganek i okrażające go ławki, pokryte były wodą. Hela zaczęła wstępować po schodach, woda pluskała z pod jej paryskich podartych bucików. Nagle wydała okrzyk radości i miłośnym gestem wyciągnęła obie ręce. Z pod ławki, z kąta ganku, w którym leżał zwinięty i do kłębka zmoczonej w błocie peli podobny, z zajadłem, piskliwym szczekaniem,

rzucił się ku niej Elf. Nie poznał jej był zrazu; bo też długa sierść jego, przemokła, splątana, całkiem prawie zasłaniała mu oczy. Gdy jednak przemówiła do niego i na mokrych deskach przed nim usiadła, wskoczył na jej kolana a skomlać z radości, lizać począł twarz jej i ręce. Stworzenie to było wychudłe także, zziębnięte, głodne zapewne, brudne...

— Elfku mój! Elfku! piesku mój drogi, złoty, najmilszy!

Tulili się do siebie i całowali się wzajem.

— Elfku! a gdzie pani? gdzie pani? Niema pani naszej! niema! niema!

Wstała i psa niosąc w objęciu zbliżyła się do jednego z wychodzących na ganek okien domu. Usiadła na ławce i wnet zerwała się z niej.

— Popatrzym przez okno, Elfku, zobaczymy, co tam w pokojach dzieje się... Może tam pani jest... może nas zawoła...

Uklękła na ławce. Woda, której wiele zgromadziło się we wklęsłości ławki, plusnęła z pod jej kolan. Nie uważała na to.

— Patrz, Elfku! patrz!

Podniosła pieska i obok twarzy swej kosmaty pyszczek jego do szyby przycisnęła.

— Widzisz, Elfku... Wszystko tak samo, jak było... pasowe firanki takie piękne... a tam to duże lustro, przed którym pani ubierała mię czasem... a tam... przez otwarte drzwi widać pokój jadalny...

Umilkła, pożerała oczami wszystko, co we wnętrzu mieszkania dostrzedz mogła.

— Widzisz, Elfku, ten kołyszący się fotelik... jak na nim wygodnie siedzieć... bywało siadę i kołyszę się... kołyszę się... całutenką godzinę... i lalka moja, ta duża, kołysała się ze mną...

Elf zmęczony się niewygodną pozycją, wysunął się z pod jej ramienia i opadł na ławkę. Osunęła się też wkrótce na nią i dziewczynka.

— Oj, Elfku! Elfku! i ty i ja... byliśmy tam niegdyś...

Siedziała w wodzie. Ubranie jej tak było przeziębnięte wilgocią, że czuła spływające jej po plecach chłodne strumienie. Stopy jej, pod paryskimi podartymi bucikami nagie prawie, drętwiały. Siedziała jednak i tuliła do piersi wychudłego, mokrego Elfka, który od chwili do chwili ręce jej lizał.

— Widzisz, Elfku, tam gdzie teraz tyle błota... latem jest trawnik, a ja z panią siedziałam na nim tyle, tyle razy i układaliśmy bukiety.

— A pamiętasz ty, Elfku, Włochy? To ja uprosiłam panią, abys tam z nami jechał! Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... słońce

tak świeci... świeci... morze takie szafirowe... nad morzem takie wielkie, białe ptaki latają... A pamiętasz, jak panna Czernicka lękała się płynąć po morzu... Gdzie teraz panna Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... nigdzie... nigdzie...

Ciężka, kamienna sennaść ogarniać ją zaczynała. Pochyliła głowę na poręcz ławki i mocno wciąż trzymając przy piersi sennego też Elfa, usnęła. Na świecie robiło się coraz ciemniej; siekiera stróża umilkła, w oknach oficyny zgasł blask ognia, drobny, gęsty deszcz wciąż bez najbliższego szelestu spadał na ziemię i tylko po rogach pałacyku, z blaszanych rynien ciekły z monotonnym szelestem wąskie strumienie wody.

Około północy, dostukawszy się do stróża i na pytania swe otrzymawszy odpowiedź, że istotnie stróż widuje od czasu do czasu dziecko to, które mu wieczorem z chaty zginęło, Jan mularz, z zapaloną latarnią wszedł na ganek i nad jedną z otaczających go ławek stanął jak skamieniały. Stał, patrzył, wstrząsał głową i niewiedzieć dlaczego, grubą rękę swą, z niechcenia niby, przesunął po oczach, podniósł potem w silnych ramię swych dziewczynkę, która obudziwszy się, senna, spłakana i słaba, rozpaloną twarz swą na ramię jego zwiesiła. Zniósł ją z ganku i szybkim krokiem ku chacie swej z nią podążył. Biorąc Helkę, odrzucił precz śpiącego na piersi jej Elfa, który też w milczeniu poszedł znowu pod ławkę i ciężko wdychając zwinął się w kłębek na mokrej podłodze ganku.

Eliza Orzeszkowa.

POD LASEM.

I.

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,—
Jeno pieśni skowronkowe,
W te poranki, w te majowe;
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konia mego poję,
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łanie,
I te trzciny, rokiciny:
—Jedźże Jaśku, do dziewczyny!

Hej!...

Nie swatały mi cię kumy,
Jeno ciemnych borów szumy,
Jeno tęskność, co się ściele
Po zagonach—jako ziele;
Jeno mokra ona łąka,
Kędy mgła się nocą błąka;
Jeno zgasłe ono słońce,
W cichych zorzach zachodzące....
Odwieczerm jednym, drugim,
Pług za łanem, ja za pługiem,

Za mną zasię słonko chodzi:
 —Dziewczę ci się, Jaśku, godził
 Hej!....

Ludzie mi cię nie raili,
 Ani do mnie miodem pili,
 Jeno ten miesiąc biał
 I te gwiazdy cię swatały;
 Nie chodziły tu sąsiady
 Na namowy—na wywiady,
 Jeno cichość wieczorowa
 Niosła skądciś miłe słowa;
 Nocka jeno w oknie stała,
 Chłodną rosą przypijała,
 Chłodną rosą mnie ziębiła:
 —A gdzie, Jaśku, twoja miła?
 Hej!....

II.

.....
 A kiedy mi przyjdzie zagrać
 W polu dziewczynie,
 Wykręcę ja fujareczkę
 W tej wodnej trzciniel
 Bo ta trzcina się ugina
 Za wiatru wianiem,
 Nieinaksza i dziewczyna
 Z swoim kochaniem.
 Wprawilaby jasne słonko
 W szybkę u chaty,
 Wyglądałaby—czy jedzie
 Do niej bogaty!

.....
 A kiedy mi przyjdzie zagrać
 Na cudzym progu,—
 Wykręcę ja fujareczkę
 W tym ostrym głogul

Będzieś śpiewać mi przy sercu
Gorzkimi łzami,
I zakrwawiać jasne zorze
Rankiem nad nami!
Chodzi krzywda popod lasem,
Po jarach chodzi;
Nikt nie zgadnie, co zczasem
Złe ziarno zrodził
A kiedy mi przyjdzie zagrać
W tym pańskim dworze,
Wykręcę ja fujareczkę
W najgęstszym borze!
Pamiętają stare drzewa
Tę krwawą dolę,
Co tu przeszła przez te chaty,
I przez to pole!
Rozśpiewająż się w mej pieśni
Jęki a płacze,
Aż ściemnieją złote stoły,
Białe kołaczki!
A kiedy mi przyjdzie zagrać
Tej nocce śniącej,
Wykręcę ja fujareczkę
Z wierzby płaczącej!
Oj polecąż z niej piosenki,
Jako ptaszki,
I rozbudzą ciche szumy,
W leśnej dąbrowie!
Ni ja roli, ni ja chaty,
—Nędzny koniucha—
Nocka przecie patrzy na mnie—
I słucha—słucha!....

M. Konopnicka.

PAUZANIASZ *)

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

OSOBY:

PAUZANIASZ, wódz spartański

GRIFOS, jego niewolnik

LEJA, kochanka Grifosa

KOROS, dowódca zbuntowanych niewolników

EFOROWIE, matka Pauzanasza, straż i lud.

(Rzecz się dzieje w Sparcie w V-m w. przed Chr.).

(Plac miejski. Z lewej strony front świątyni Pozejlona, z prawej—świątyni Ateny.
wprost dom Pauzanasza).

SCENA I

GRIFOS i LEJA

Leja (*zbliża się trwożliwie, wpatrzona w Grifosa, siedzącego na schodach świątyni Pozejlona w ubraniu żebraka*). On! (*przypada szybko do niego*). Mruku, tchórze, gawronie, czemuż nie przyszedłeś do mnie lub nie doniosłeś, żeś posłuchał mojej rady? Ja myślę, płacę, że jego głowa już z karkiem się rozstała, a on tu wlaź w żebraczy łachman i siedzi sobie spokojnie. Czy ty wiesz...

Grifos (*przerażony*)

Cicho...

*) Główna osnowa tego obrazka jest historyczną. (Przyp. aut.)

Leja

Oszalałeś? Ja jak pies oberwałam się z łańcucha i przyleciałam, ażeby cię zobaczyć, a ty mi gębę zamykasz?

Grifos (j. w.)

Cicho...

Leja

Kurczęta wysiadujesz, żeś tak przyrósł do tego miejsca i nawet podnieść się nie chcesz? Głupia jestem, że dla takiego dudka jedno zadraśnięcie skóry poświęcam. Wczoraj za to, żeś nie umyła owiec, bo ciebie szukałam pan kazał przepędzić mnie nago przez krzaki berberysowe. Powiedźże mi, coś zrobił, czemu tu siedzisz?

Grifos

Cicho, odejdz.

Leja

To chodź ze mną, uciekaj do obozu Korosa, który zbiera niewolników. Tu cię Pauzaniasz zadepcze.

Grifos (szepcząc).

Bądź spokojna, eforowie zaręczyli, że mi nawet paznokcia nie obetnie.

Leja

Mój pan został także eforem.

Grifos (podnosząc się)

Gdyby cię zobaczył... On tu jest, są wszyscy w świątyni... Skryjże się krzykliwa sroko!.. Pauzaniasz idzie. (*Siada, Leja odbiega. Pauzaniasz wychodzi ze swego domu, rozmawiając z Korosem, przebranym za pielgrzymą.*)

SCENA II

PAUZANIASZ i KOROS

Pauzaniasz

Jednak ostrożnie! Mimo tych szat pielgrzymich i przyprawionej brody może cię ktoś poznać, a wtedy będziesz posiekany na tak drobne kawałki, że sikora żadnym się nie udławi.

Koros

Pamiętałem o tem i wyznam ci, Pauzaniasz, że mniej lękam się wszystkich spartan, niż... ciebie.

Pauzaniasz

Mnie? Dla czego mi to mówisz przy rozstaniu?

Koros

Bo odchodzę z niczem.

Pauzaniasz

Czegóż chcesz?

Koros

Chcę rękojmi, że Pauzaniasz, zasiadłszy na tronie spartańskim przy pomocy sprzyśniętych niewolników, nie zakuje ich w cięższe kajdany od tych, które teraz dźwigają.

Pauzaniasz (*zamyślony*)

Wdzięcznym będę...

Koros (*uśmiechając się gorzko*)

Pauzaniasz będzie wdzięcznym... Przebacz mi prawdę, ale my wdzięczności spartan jeszcze nie kosztowaliśmy i nie znamy jej smaku. Dziś potrzebujesz jako spiskowiec niewolników zbuntowanych, ale jutro, jako władzca, zapragniesz uległych. A za wiele wycierpieliśmy już z przymusu, ażebyśmy jeszcze mieli poświęcać się na ofiarę z własnej woli. Znosić ucisk jest możliwością ludzką, ale walczyć za ciemieźców...

Pauzaniasz

Czyż sądzisz, że doznawszy od was tak wielkiej usługi...

Koros (*j. w.*)

To piękne słówka tylko, Pauzaniasz, któremi nawet łatwowierna kobieta się nie pożywi. Zresztą przypuszczam, że zechcesz dług spłacić, że mnie, że nas dziesięciu, dwudziestu łaskami obsypiesz; ale za ciebie krew będą przelewały tysiące niewolników, kto ich wynagrodzi i ubezpieczy? Przyszły władzca Sparty nie pójdzie do każdego domu, do każdego warsztatu lub gospodarstwa i nie sprawdzi, czy pan gnębi swych służących jak przedtem, albo nawet, czy, mszcząc się za bunt, nie gnębi ich bardziej? Zwyciężywszy, nie zostaniesz przecie sam w Sparcie, a twoi możni poddani nie będą mieli ani obowiązku, ani chęci złagodzenia naszego losu. Choć Jowisz modłów wysłucha, oliwka nie obrodzi, gdy jej liście robaki zjedzą.

Pauzaniasz

Ja te robaki z drzewa spartańskiego otrzęsę, zgarnę, zmiażdżę, ich gąsiennice wytępię! Jednym kopnięciem rozbiję spruchniały senat, zetrę wszystkie pięć łbów hydrze eforatu, której gardła dotąd napelniałem złotem!..

Koros (*uniesiony odprowadzając Pauzaniusza od świątyni*)

O, tak, Pauzaniuszu, tak, utnij i nie daj im odrosnąć. Niech przed objęciem urzędu nie przysięgają, że nas mordować będą... Spójrz na moje czoło, widzisz na nim te bruzdy, blizny, bąble? Przed pięciu laty kupił mnie jeden z obecnych eforów, jako śpiewaka. Za to tylko, że mu smutną piosenkę zanuciłem, kiedy on chciał być wesołym, kazał mi przez cały dzień tańczyć, dopóki bezprzytomny nie padłem. Gdy nazajutrz uciekłem w góry, zrobił na mnie obławę i złapał. Własną ręką przyłożył mi do czoła rozpalone żelazo, na którym wyryte było jego imię i którym niewolników znaczył, ażeby ich jako zbiegów wszędzie poznawano. Uciekłem jednak znowu, zdarłem sobie skórę z czoła i dotąd je smaruję gorczycznym sokiem, który mi resztki piętna wyžera. Nie miałem w tych pięciu latach ani jednego dnia spokojnego; jak dzikie zwierzę mieszkalem w jaskiniach, okradając biedne wiewiórki z orzechów a pszczoły z miodu. Czasem tylko przechodzący niewolnik kawałek chleba ułamał lub leśne drzewo dojrzały owoc z liści głodnemu zrzuciło. Karmiła mnie przecież ciągle nadzieja, że kiedyś odetchnę zemstą. Obiegając okolice i porozumiewając się tajemnie z niewolnikami, zbuntowałem tylu, że ich cztery tysiące czeka wezwania do śmiertelnej walki, dwakroć stotysięcy zaś na to hasło zerwać się może. A ty chyba wiesz, Pauzaniuszu, że my strasznie bić się będziemy! Gdy ręce w uderzeniach omdleją, ciała nasze zioną zarazą i nieprzyjaciela zniszczą!

Pauzaniusz (*zachwycony*)

Wybornie! Pioruny mam, tylko mi właśnie takiej burzy potrzeba! Rozpacz jest matką męstwa, a najdzielniej biją się nieszczęśliwi; nie wątpię też, że wam odwagi starczy. Zresztą z lwów termopilskich wyrodziły się bojaźliwe koty; dzisiejsza armia spartańska nie ta, którą wiódł Leonidas — idzie do boju naprzód piętami. Tak, Korosie, zwyciężymy; zamiast tego dwóplciowego potwora, który niedołączne królestwo łączy z nierządną rzecpospolitą, zamiast znikczemniałych eforów i strupieszalego senatu, zamiast tych wszystkich oligarchicznych szczerów, które pod tronem mają swoje nory, ustanowię rząd silny, jedną wolą przeniknięty...

Koros

A dla nas — dla niewolników?

Pauzaniusz

Dla was — łaskawy.

Koros

To jest?

Pauzaniasz (*znieczierpliwiony*)

Ach, mój Korosie, gdyby luk, który mam naciągnąć przeciw wrogowi, targował się ze mną o wysoką nagrodę i za nią tylko obiecywał wypuścić strzałę, odrzuciłbym go i wolałbym bić się pięściami. Czego ostatecznie chcesz? Przecież zapewne nie tego, ażebym was wszystkich codziennie własną ręką nacierał wonnemi olejkami.

Koros

O, nie tak wiele, żądam tylko...

Pauzaniasz

Śmiało—raz powiedz otwarcie.

Koros

Ażeby każdy niewolnik, który przyjmie udział w walce, otrzymał swobodę.

Pauzaniasz

Każdy?! A jeśli wszyscy powstaną?

Koros

To wszyscy będą wolni!

Pauzaniasz

Oszalałeś! A któż będzie pracował, gdy wyzwolę wszystkich?

Koros

Wolni.

Pauzaniasz (*szyderczo*)

Jeżeli im się podoba, a jeżeli się raz nie podoba, to nawet nie będzie w Sparcie ani jednego człowieka, któryby jej królowi sandały do nóg przywiązał. O nie, mój Korosie, wspaniałomyślnym być chcę, ale za taką cenę pomocy waszej nie kupię, tem więcej, że bez niej obejść się mogę.

Koros

Wątpię, chociażbys był Herkulesem...

Pauzaniasz

He, he, wracaj do swojej bosej komendy, bo zaczynasz bredzić. Ty myślisz, że ja mogę tylko rozstawić nogi, a konia między nie wy wsuniecie? Głupi sen cię odurzył. Na mój znak przyjdzie tu tyle wojska, że pod nakryciem jego tarcz Grecya wyglądać będzie jak wielki żółw, pływający na brzegu morza.

Koros (*łartobliwie*)

Piękna bajka.

Pauzaniasz (*mówiąc powoli i z naciskiem*)

Kiedy bajki lubisz, to ci opowiem ładną. Był pewien wódz, który wójując w Azji, tak zasmakował w jej przyprawach, że mu obrzydła czarna ojczysta polewka. Prosił więc potężnego króla perskiego, ażeby ten pomógł mu do przekształcenia starej spartańskiej kuchni i ażeby, dla zachowania tajemnicy układów, zabijał każdego niewolnika, przybywającego doń z listem. Dwaj zglądzeni postaćy schowali sekret do grobu; co się stało z trzecim, który poniósł ostateczne wezwanie, nie wiem, ale może ci bajkę niedługo dokończy. Tymczasem pomyśl nad nią i rozśmiej się... z siebie. Za chwilę wyjdę ze świątyni Pozeidona, który jest moim dobrym bogiem i któremu dziś jeszcze nie złożyłem ofiar. Spotkaj mnie i powiedz, czy wy jesteście tak koniecznie potrzebni do przerobienia spartańskiej kuchni.

Koros (*udając wesołego*)

Potrzebni jesteśmy, bo wszyscy twoi niewolnicy są w Sparcie.

Pauzaniasz (*zbliżając się do świątyni*)

Przyprowadź mi żywego Gryfosa, a będę twoim śpiewakiem.

Koros

Grifosa? Tego, który tam siedzi na stopniach świątyni i żebrze?

Pauzaniasz (*podbiega przerażony*)

Grifos! co tu robisz? Zbierasz jałmużnę na podróż? Dałem ci dość pieniędzy! Mów, nie poszedłeś jeszcze, czyś już wrócił? (*potrzęsując nim*). No mówże, bo cię za język powieszę! Kochany Gryfosie, nie bój się, tylko powiedz słowo. Ty zawsze byłeś dobrym chłopcem, ja cię lubiłem! (*chwytając go za szyję*). Gdzie mój list zbrodniarzu?! Gdzie mój list?

Grifos

Ratunku! (*ze świątyni wychodzi pięciu eforów*).

Koros (*spostrzegłszy ich*)

Koniec bajki! (*oddala się szybko*)

SCENA III

PAUZANIASZ, GRIFOS, EFOROWIE, później LEJA

Pierwszy efor

List twój mamy, Pauzaniaszu — nie lękaj się.

Pauzaniasz

Zasadzka!

Drugi efor

Chcieliśmy tylko przekonać się, czy dobrze twoje pismo rozumiemy i czy niewolnik prawdę powiedział.

Pauzaniasz (z ironią)

Niedomyślni jesteście, a gdym wam niedawno, jako sędziom, złote krążki w woreczkach rozsyłał, odrazu wiedzieliście, co one znaczą, choć na nich tylko głowa króla perskiego była wytłoczona.

Trzeci efor

Milcz zdrajco!

Pauzaniasz (j. w.)

A dlaczegoż to świat ma słyszeć tylko o moich grzechach a nie znać cnót waszych? Nie nadymajcie się uczciwością podłe gady, bo je z was ten wiatr wypuszczę. Dwa razy ręce wasze wznosiły się po moją głowę i dwa razy wpadły w moją kieszeń. List wam dopiero odkrył moje stosunki — a po cóż to ściągałicie mnie z pod Byzancyum i za co płaciłem szlachetnym eferom, jeśli nie za przyjaźń z satrapą Artabazosem i królem perskim? Oburza was zapewne nie moja zdrada, ale przypuszczenie, że zbiedniałem, że już nie będę mógł wam ułać złotego sumienia. Kazaliście mnie milczeć, teraz ja wam każę mówić; powiedzcie, że kłamie, że wasze dusze nie są otchłanią, wiecznie łaknącą zysku, żeście nie sprzedajni, nie podli!

Czwarty efor

Straż! (*występuje pięciu uzbrojonych żołnierzy*)

Piąty efor (przystępując poważnie do Pauzaniusza)

Ile i za co mi płaciłeś?

Pauzaniasz

Tobie nic, tyś między tymi krukami był gołębiem i przebaczyć mi nie chciałeś.

Piąty efor

A więc czystem sumieniem przeklinam cię rozpustniku i zdrajco, który na ojczyznę swoją naprowadzić chciałeś barbarzyńskie hordy, ażeby z nimi ją opanować. Zgiń, ażeby twój oddech powietrza nie zakazał, i w piersi dzieci spartańskich nie przenikał, ażeby potomność nie zlorzezczyła narodowi, który nie tylko zdrajcę wydał, ale nawet bezkarnie żyć mu pozwolił.

Pierwszy efor (do straży)

Bierzcie go !

Pauzaniasz (wskakując na stopnie świątyni Ateny)

Bogini Ateaa nie pozwala tknąć nikogo, kto schronił się pod opiekę jej przybytku. Tu mieszkać będę, stąd urągać wam, którzy w mojej śmierci chcielibyście zabić własną ohydę. Może orzeł w przelocie upuści swój łup, może pies niedogryzioną kość mi przyniesie—tem się pożywię, zanim król perski na waszych karkach tu przyjedzie.

Drugi efor.

Straż—dalej! (*Straż wpada na schody.*)

Pauzaniasz (kryjąc się do świątyni)

Precz świętokradzcy! (*Straż się cofa — przechodnie gromadzą się z ulic*)

Trzeci efor

Co robić? (*chwila milczenia i cichej między eforami narady*)

Piąty efor (do straży)

Niech jeden z was uwiadomi matkę Pauzaniusza, że może widzieć syna po raz ostatni. Wy zaś zamknijcie świątynię, zedrzyjcie z niej dach, niech każdy przechodzień rzuci przez otwarte jej sklepienie kamień na zbrodniarza (*Żołnierze przystępują do zerwania dachu.*)

Leja (wyrrywając się z ukrycia do Grifosa)

Uciekajmy!

Grifos

Cicho...

Leja

Uciekaj ślimaku, bo przyjaciele Pauzaniusza ciebie do tej świątyni cisną (*oddalają się.*)

Piąty efor

Kto tam idzie?

Pierwszy efor

Matka Pauzaniusza (Tłum rozstępuje się, stara kobieta zbliża się powoli ku eforom i staje przed nimi)

Piąty efor

Wezwaliśmy cię, zacna niewiasto, po to, ażebyś pożegnała się z synem, zdrajcą Sparty, który przed prawem schronił się do tej nietykalnej świątyni i który w niej zamurowanym zostanie, a każdemu wolno będzie przez

odkryty dach przybytku Ateny rzucić na więźnia kamieniem. Otwórzcie
drzwi (*Straż odmyka świątynię*)

Matka (*przez chwilę stoi ponuro zamysłona, wreszcie podejmuje kamień,
cisnąc go na świątynię i pada*)

Pauzaniasz (*z głębi*)

Litości!

Piąty efor

Można zamurować!

(*zasłona spada*).

W. Okoński.

NIĘPRZEJEDNANI,

Tkanka z dumań przed obrazem Ary-Scheffera

„KUSZENIE CHRYSZTUSA“

Niby lampa wieczności tkwiło nieruchome słońce w lazurze sklepienia i zalewało Judeję potokami żaru letniego. A w Judei od końca w koniec cisza, jakby u progu stały kohorty rzymskie lub o miedzę grasowała zaraza. Cisza taka bywa też nieraz tam, gdzie myśl wielka dojrzewa. Ale ucho Judei oddawna przywykło już do dźwięków mowy i mieczów zdobywcy, zaraza daleko, a mężowie wszystkich pokoleń, niby straż wierna, otaczają rzymskich pretorów, przeszłości niepomni, o przyszłość, choć ciemna, nietrwożni. Dziś sabbat. Cały naród, w cieniu alków szukając schronienia przed palącymi promieniami, dziękczynne modły śle Jehowie. Chyba jednak gorące powietrze, nieruchome jak wody martwego jeziora, nie puszcza dalej tych modłów, nie pcha w górę ku przedwieczności, bo w Jeruzalem duszno, jak w atmosferze bluźnierstwa. Może bluźnierstwem są hymny dziękczynne narodu w niewoli. Po świątyniach doktorowie uczą bojaźni Boga i mądrości życia.

Słońce przygasło, tonąc w purpurowych blaskach zachodu. Wieczór coraz gestszą oponą otaczał miasto, dobroczynnym tchnieniem łagodząc gorący oddech rozpalonych murów. W ciemniejących przestworach gwiazdy znaczyły swoje istnienie.

Omdlałe powietrze zaczęło drgać odgłosami półcichych szeptów, na ulicach zasnuły się ludzkie postacie, niby białe cienie na szarej oponie. Po ci-szy śmiertelnej szelest budzącego się życia.

Aż od środka miasta, od progów świątyni, wzniosł się okrzyk wielki i groźny, przekleństwami i szyderstwem nabrzmiały. To tłum pospólstwa, zgraja motłochu głosem i kamieniami ścigała ofiarę — męża, co zdawał się upadać pod ciężarem lat, czy znużenia, czy też bolesnych uderzeń i stokroć boleśniejszych słów.

— Precz, precz stąd! — odbijało się o podnóża gór. On szedł. Z ust nie wyrывało mu się złorzeczenie, ręce nie zaciskały się w mściwym uniesieniu. Z całej postaci tylko jakby wypływała i wznosiła się ku niebu skarga żalosa, niemy jęk: „cierpię!“ Obnażoną głowę pochylił ku ziemi, ręce opuścił bezwładnie, wiatr rozwiewał mu długie włosy, co jak fala spadały na szyję i wiły się po twarzy. Szedł wciąż. Zdwojone przekleństwa nie przyspieszały jego kroku. Kamienie, szarpiące jego szaty, nie skłoniły go do obejrzenia się. Prześladowców nie rozbrajało poddanie się ofiary. Nie zaprzestali jej ścigać, dopóki z po za ostatnich domków nie wyjrzała dzikość otaczającego je pustkowia, obleczona tajemniczą ciemnością mroku. On, jak gdyby nie zauważył, że go wszyscy opuścili. Nagie stopy wciąż jednak sunęły po ostrych kamieniach drogi, powoli, omdlewająco... Odgłos złorzeczeń z każdą chwilą przycichał w oddali, stawał się coraz słabszym, przeszedł w szept ledwie dosłyszalny, czasami wionął jeszcze żywszym tonem, niby dogasające ognisko, aż rozplynął się w powietrzu i zniknął.

Teraz była cisza, jak przed stworzeniem; żaden odgłos zewnętrzny nie drażnił ucha, i tylko niezagłuszone w duszy złorzeczenia tłumu brzmiały wszystkimi tonami bolesnego odczucia. Z za gór wyjrzał księżyc i rzucił przeciągły cień, co włókił się za wygnańcem nieodstępny, jak palące uczucie doznanej krzywdy.

On szedł wciąż. Oko ani razu nie podniosło się na otaczające przedmioty. Z wzrokiem, wbitym w ziemię, przyspieszał nawet kroku, jak gdyby chciał prędzej uciec od siedzib ludzkich. Księżyc dobiegał najwyższego punktu sklepienia, kiedy stopy męża oparły się o podnóża gór. Obejrzał się. Odległe teraz miasto tonęło niewidzialne w mroczonych przestworach, których wyżyny tylko i najbliższe kręgi migotały, słabo osrebrzone promieniami bladego światła. Przed nim piętrzyła się kamienna ściana gór. Zaczął na nią wstępować. Białą szatą, co dotąd zapomniana wlokła się od pasa do ziemi, osłonił się od nocnego chłodu i nie odpoczywając ani chwili, wdarł się na sam szczyt. Księżyc zbiegał ku zachodowi błądy, jak gdyby zmęczony nocną wędrówką. Na wschodzie jaśniało. Niewidzialne jeszcze słońce purpurowym rąbkiem znaczyło krawędzie szczytów odległych gór.

Światło wzrastało. Jasne smugi posuwały się wciąż dalej, ogarniając cały obszar widokregu. Wierzchołki gór wyglądały teraz jak gdyby nakryte oponami ze śnieżystego atlasu, którego miękkie zgięcia pozwalały promieniom tworzyć łagodne przejścia od cieni do półcieni światła. Pod czarem uśmiechającej się natury, po posępnej ponurości nocy i jego czoło jak gdyby traciło surowe zmarszczki. Zwrócił się znów ku miastu, które teraz, przy drganiach niepewnego jeszcze światła, wyglądało jak zalotnica, kończąca resztki balowej toalety. Uniósł nieco do góry wyciągnięte przed siebie ręce, usta szeptały niedosłyszane słowa przebaczenia. Pod stopami rozstaczał mu się wspaniały widok, od fal morza Śródziemnego do gór, na których stał. Tyle siedzib ludzkich, tyle ukrytych dla świata zakątków i wszędzie cierpienie, wszędzie niedola, zgryzota, czujna jak sumienie, nieprzezwyjęzona jak konieczność.... wszędzie rozpacz i wyczekiwanie od niebios lepszej doli... Pod każdym, ledwie teraz dojrzanym dachem kryje się boleść wielka jak świat. Cały zatopiony w dumaniu stał i patrzył... Dusza wybiegła po za granice zakreślone oczyma i objęła świat cały. Wszędzie toż samo. Z każdego kawałka ziemi podnosi się jęk, co się zlewa z innymi w jeden okrzyk szarpiający dusze, co czuć umieją: „cierpię, cierpię, ratunku!“ On słyszał ten głos, rozróżniał w nim każdy bolesny ton, bo mu padał na serce, jak krople żrącego płynu. Dusza jego jak gdyby widziała bezsilne szamotanie się ludzkości całej, widziała miliony rąk, wyciągnięte ku niemu:

„Ratuj nas, ratuj, bo sił nie ma do dalszych cierpień!“

Obejrzał się dokoła, z pod namarszczonych brwi oczy rzuciły błyszczące spojrzenia, jak gdyby wyskoczyć chciały i szukać ratunku; przebiegł wzrokiem wszystko widzialne i wszędzie były tylko martwe siły, nieczułe jak fatalność. Ręce mu opadły, przygasłe oczy zwróciły się ku ziemi, czoło pochyliło. Usiadł na sterzącej krawędzi głazu, oparł łokcie na kolanach, a twarz ukrył w dłonie i dumał. Dumał długo nieruchomy, zapatrzony i zasluchany w obrazy i dźwięki, jakie mu pamięć podsuwała. Pamięć wrażliwa jak lustrzana powierzchnia na przesuujące się obrazy, czuła jak arfa eolska na każdy podmuch życia. Ale kiedy z lustrzanej powierzchni widziadła ześlizgują się bez śladu żadnego, kiedy struny arfiane łona swe nadstawiają dla coraz to nowych pieszczot, niepomne dźwięków, co przed chwilą jęczały w ich drganiach,—jego dusza na wieczność zwierza w swej istocie wszystkie bóle widziane i słyszane.

Długo przesiedział tak zatopiony w zagadki ludzkiej niedoli, kiedy ciszę górskiego wierzchołka przerwał dochodzący z oddali głos:

— Jezusie, Jezusie!

Nie słyszał tego głosu.

— Jezusie, Jezusie! — rozbrzmiewało coraz donośniej.

Drgnął, podniósł głowę i spojrział zdziwiony. Nieprzebita dla oka mgła otaczała go ze wszech stron. Z po za kłębiących się tumanów przeciągającej chmury dolatywało wciąż wołanie:

— Jezusie!

— Kto mnie woła? — wyszeptał.

Ostatnie dźwięki głosu ludzkiego, jakie słyszał, brzmiały mu w ustach nieustającym zgrzytem zaciekłości; to też tu, na pustkowiu, wołanie to przerażało go.

— Jezusie, Jezusie! — jak grzmot huczał potężny głos, teraz już blisko.

— Kto mnie woła, jestem!

Z gęstych fal mglistej osłony wysuwała się coraz to wyraźniejsza postać olbrzyma.

— Witaj! — rzekł przychodzień, stając przed siedzącym. — Niech będzie błogosławioną pierś matki, co życiem napoiła ciało twoje!

— Czego żądasz? — spytał Jezus, wstając i oprowadzając okiem po postaci nieznannej.

Ciemne, jakby zwęglone, ciało wrywało się nagie z pod strzępów odzieży. Muskularne i silne jak korzenie dębu ręce i nogi świadczyły, że twarda praca była ich żywiołem. Na czarnej twarzy ponuro odbijały białka oczu, chowających się pod nawisem czołem; zaciśnięte usta, kiedy mówił, pozwalały widzieć białe zęby i czerwone, niby krew płynąca, dziąsła.

— Jezusie, synu Józefa — odezwał się głosem trąby jerychońskiej, widziałem ciebie, kiedyś źrenicą, zapaloną ogniem proroków, wodził po tłumach i uczył miłości bliźniego. Widziałem, kiedyś z piersią, drżącą wzruszeniem, dzielił się resztkami chleba czarnego z nędzarzem podłym, od ludzi wzgardzonym. Widziałem, jak potem tłuszcza bezmyślna, uwiedziona fałszem nikczemności, gnała cię z miasta, psom rzucając jadło, co miało twe życie zachować dla narodu judejskiego. Widziałem i przyszedłem tu, aby cię odszukać, aby ci podać rękę i być bratem!

Wyciągnął rękę, ale Jezus nie dał mu swojej; łagodne oczy jego z wyrazem niewiary patrzyły na dzikie kurcze twarzy przychodnia.

— Kto jesteś?

— Jestem jeden z tych, co bunt podnieśli przeciw Bogu za to, że, nakazawszy cześć dla siebie, nauczył ludzi służalstwa. Ja i bracia moi

w imię zgwałconego przyrodzenia, w imię równości, starganej samem jego istnieniem, walczymy z nimi, wyklęci, jak ty wczoraj. Przyłącz się do nas...

Jezus milczał.

— Milczysz?... Chodź ze mną do braci mojej.

— Nie.

Zdumienie rozwarło szeroko oczy przychodnia.

— Nie, nie! Jakto, więc ty nieczuły jesteś na naszą niedolę? Więc możesz beczynny patrzeć, jak rzymski żołnierz zakutą nogą dławi ostatnie tchnienie Judei; jak rozbastwione czeredy faryzeuszów, te hijeny na mogiłach ludzkich, sprawiają piekielne orgije i bratają się z ciemnością; jak pod okryciem praw boskich ostatnią kruszynę chleba wydzierają umierającemu nędzarzowi; jak jad nikczemny sączą kropla po kropli w serce narodu!... Patrz, Judeja ginie z piętnem hańby na czole; przechodzi we wspomnienie wieków, jak trup robactwem stoczony; połowa ludu mrze z głodu, a ty nie chcesz się z nami łączyć? Chodź! Tam włożymy ludowi zemstę w serca, chleb w usta, a żelazo w ręce i pękną prawa boskiego ciemństwa!

Chciał pochwycić dłoń Jezusa, ale ten się usunął, wyciągnął rękę, jak by odepchnąć pragnął natręta, i głowę odwrócił.

— Idź — przemówił — i powiedz braciom twoim, że Jezus Galilejczyk nie przystanie do was, jak myśl boża nie przystanie do czynu ziemskiego. Z oczu twoich, ze słów twoich widzę, że nienawiść i zemsta przepelnia serca wasze. Dla ludzi mam miłość tylko. Miłością chcę goić ich rany, a nie jątrzyć je tchnieniem zawiści trującej. Idź...

Ale czarny człowiek stał nieporuszony i źrenice zdziwienia pełne utkwiał w twarzy Jezusa. Po chwili odezwał się, a głos jego cichszym był teraz.

— Miłość!?. Miłość tam, gdzie wiekowa nienawiść gdzie walka stoczyła wszystkie węzły serdeczne, a coraz to boleśniej zaciskała łańcuch niewoli! Chcesz miłością zespolić drapieżnego wilka i owcę błędną, piasek brzegu i fale rzeki, co łono jego toczą? Chcesz, aby jasność dnia razem z ciemnością nocy istniała? Patrz! Dokoła, na całych tych przestworach grudki ziemi nie znajdziesz, malej jak oko skowronka, co na nią patrzy z wyżyny, aby nie była przesiąknięta potem, krzywdą ludzką... O nie! — nie miłość!...

• — Stój — zawołał Jezus, chwytając rękę olbrzymią, a na twarz wystąpiło mu przerażenie wielkie. — Słowa twoje straszniejsze są, niż sama zbrodnia zemsty. W ich sercach rozpalić trzeba ogień miłości większy, niż niedola, ogień miłości bezgranicznej, w którym spłoną nieprawości świata,

a wszyscy zleją się w jedno ciało ludzkiej rodziny. Jak wszystkie władze duszy zlewają się w jedną wolę, tak ludzkie życie będzie wtedy jedną wolą bożą.

— Gdybym nie widział łez w oczach twoich, myślałbym, żeś na ten świat uragać przyszedł. Idź, mów umierającemu z głodu o pięknościach cnoty. Miłość to zbytek szczęśliwych. Czy myślisz, że my porodziłmy się z takimi poszpeconemi zawiszciami sercami?... Nam je bolesne jęki braci tak wykrzywiły; serca ludzkie trzeba znieczulić nadzieją zemstą, zahartować w zaciekłości, aby mniej były wrażliwe na boleści. Wtedy i pazur ucisku nie tak będzie mógł głęboko zapuszczać w nie swe ostrza. A potem poznają dobrze przyczynę swej doli i nastanie dzień odrodzenia, dzień straszny, jak sąd biblijny, dzień sprawiedliwości.

Jezus poruszył głową.

— Fałszem plamisz usta. Tylko miłość da odrodzenie; tylko miłość zniesie ucisk; tylko miłość każe silnemu kochać słabego brata, dzielić z nim chleb i serce.

Wiatr rozwiął chmury. W górze znowu żarzyło się słońce; na dole, wśród lasów i pustyni słały się siedziby ludzkie: miasta błyszczące, spokojne wioski i smętne przytuliska samotników. Czarny przychodzień pochylił się; ręce wyciągnął w stronę Jeruzalem; wzrok utkwiał nieruchomy gdzieś wśród szalasów nędznych, jak gdyby chciał dojrzeć i pokazać Jezusowi wszystko, co mu boleść sączyła w serce. W krwawych oczach jaśniała bezbrzeżna miłość ludu swego, gorzało współczucie dla nędzy.

— Patrz — wołał — patrz na świat! Tam ludzkość cierpi, szarpana wrogimi siłami; ratunek szybki jak myśl byłby jeszcze zbyt powolnym, bo każde mgnienie oka—to nieskończoność mąk, przygniatająca miliony swoim brzemieniem... Gdzie widzisz tam zaród miłości, skąd wykrzesez choćby małą jej iskierkę? Niedola zrodziła i coraz to więcej wyradza nienawiści... Skąd sprowadzisz tę miłość, skąd przyjdzie ten ratunek na świat?

— Stamtąd? rzekł Jezus, rękę i oczy wznosząc w niebo, a twarz mu jaśniała spokojem nadziemskim.

— Stamtąd? Ja tam widzę tylko kulę świecąca jak złoto, co światem rządzi; pracuje ona na polach bogaczy, a bezlitośnie przepala nieokryte głowy biedaków...

— Nanczę ludzi — przerwał Jezus — wierzyć w Boga miłości, którego wypiaستowało serce moje, a Bóg ten zniesie nieprawości i królestwo swoje sprowadzi na ziemię. A wiara w niego i miłość dla niego każą ludziom zapomnieć zawiszciami i brudnej chęci zysku. A nadzieja jego oglądania osło-

dzi cierpienia wszelkie i raj będzie na ziemi.. Zaprawdę, zaprawdę, tylko to, co z miłości poczęte, owoc pożywny przyniesie, a to, co zemsta wypia-
stowała, brudne i złe jest, jak myśl, co się rodzi w chwili pokusy.

— Boga chcesz ludziom dać, Boga miłości, gdzie on? Czy zestarzały Jehowa, co naród nasz skazał na męki wiekuiste, ludząc, żeśmy wybrani; co surowością swej natury, gniewem kaprysów przez lat tysiące nękał ojczyznę naszą? Czy może rozpustny Jowisz, co żelaznym cielskiem swych legionów, jak wąż opasuje świat dokoła, jak wąż zatrzuwa go jadem zepsucia! A może Moloch, zawsze zbroczony krwi posoką i zawsze krwi chciwy!.. Weź tę bulkę, com ci przyniósł, mała jest, ale z serca dana, ale od ust półgłodnych odjęta, weź ją, boś ty głodniejszy. Kiedyś oddasz ludowi setnie pomnożoną a lud ci życie zawdzięczy, bo on łaknący umiera.

Jezus odsunął podaną ofiarę.

— Błóżniesz! — wymówił głosem surowym — nie samym chlebem człowiek żyje. Weź swój datek.

Czarny przychodzien cofnął rękę powoli. Usta okoliły mu się zmarszczkami, jakby od bólu.

— Gardzisz... proroku miłości! Ja, mściciel, nie zapamiętam ci tego!.. Ja i bracia moi, widząc cię wśród ludu, odrazu poznaliśmy, żeś ty taki, co prowadzić zdoła naród do zwycięstwa, że możesz zostać Aronem, Mojżeszem nowego świata...

— Nie kuś mnie napróżno mamiłkami obietnic, co mają dla mnie wartość zuchwałych i bezrozumnych pragnień dziecka. Ja jestem królem i będę królem, ale królestwo moje nieprzywiązane do ziemi, ono w przestworach myśli, nieujęte granicami morza i gór, granicami narodu i języka. Miecz—to bezsilny oręż barbarzyńcy, znikomy, doczesny. Myśl moja podbije myśl świata całego i panować tam będzie... da szczęście światu bez kropli krwi rozlanej... wniknie do serca głębiej, niż wasz nóż bratobójczy, i zamieni go w świątynię czystą, — miłość cuda tworzy!..

Czarny człowiek nie słuchał więcej. Czoło poryło mu się bruzdami cierpienia, oko zamglilo i po ponurej twarzy stoczyła się łza, łza ciężka, gorąca, jak wyrzut skrzywdzonego. Zakrył twarz rękami, a wraz z głębokim westchnieniem wyrwały mu się słowa:

— O Judejo, Judejo, nieszczęścia twoje stają się większe, niż złość wrogów twoich, bo prorocy twoi żyją w mglistych marzeniach pragnień niepochwytanych.

— Umysł twój żądzą zemsty skażony i dla tego zrozumieć słów mych nie możesz.

Oko Jezusa zaczęło drgać błyskami gniewu.

— Nie mogę, bo słowa twoje nie mają ziemskiej nagości, a oczy moje do ziemskiego błota przywykły, bo słowa twoje są dla mnie jak tajemnicze proroctwa kapłanów. Twoje chęci jak błękit niebieski czyste i jasne, ale niedoścignięte dla tych, których niedola przykuła na wieki do padołu płaczu, ale nie nakarmią, nie napoją, nie ulżą w biedzie, nie zagoją ran.

— A zemsta wasza brudna.

— A nasza zemsta! To pochodnia ognista, co rozświeci drogę do sprawiedliwości, co nocne bankiety wyrodných oświeci luną pożarów!.. Chcesz z przepaści dzisiejszej niedoli zaprowadzić ludzkość do edeńskich roskoszy, nie poszarpawszy nawet nóg!?! Spróbuj skoczyć z tej skały i pozostañ nienaruszony, chyba może aniołowie twego Boga cię zniosą.

Na to Jezus głosem wielkim zawołał:

— Po coś przyszedł duchu złości zatruwać mi spokój, kiedy uciekłem dumać samotny! Dziećmi ciemności jesteście i knowaniom waszym przyświeca duma piekielna, a zrodzicie czyny potworne, jak serca wasze. To też myśl moja i uczniowie moi, dopóki istnieć będą, po ostatnie świata krańce — bo słowa moje nie przemiją — ścigać was będą. Wypowiadam wam walkę, boście duchy ciemności! Gdziekolwiek założycie piekielną kuźnię waszych szatańskich sił, tam ja będę i myśl moja niszczyć was będzie... Idź i bądź przeklęty!

I poszedł czarny człowiek, ciężko, powoli... Odtrącony, ściskając bez myśli chleb w ręku, którym się chciał podzielić. Raz jeden jeszcze odwrócił łzawe oczy, ale ta twarz, co dla całego świata miała uśmiech pociechy serdecznej, dla niego jednego drgała nieprzeblaganym gniewem; ta ręka, co światu wskazywała Boga nowego zbawienia, pchała jego na potępienie; te usta, co miały światu ogłosić miłość bez granic, dla niego jednego drgały przekleństwem...

Ludwik Straszewicz.

WYKAZ ABONENTÓW
„O G N I S K A”.



	<i>Egt. rs.</i>		<i>Egt. rs.</i>
A. O. z Petersburga	1 25	Barbanell A.	1 4
Abezyński Jan adw.	1 4	Barta Marjan z Dublan	1złr.6
Adamecki, pułkownik z Jarosławia	1 5	Baruch August z Łodzi	1 5
Adamowski Wincenty	1 4	Baruch Maksymiljan	1 4
Adolf Władysław z Dziembrowa	1 5	Bauman Henryk	1 4
Ajzenman Gustaw	1złr.5	Baumanowa Paulina	1 4
Akademia sztuk pięknych z Petersburga		Bażeński Adam z Burbiszek	1 5
<i>patrz</i> Inst. techn.		Bądarzewski T.	1 4
Akko Adam student z Rygi	1 4	Bąkowska Aleksandra ze Ślubowa	1 5
Aleksandrowicz apt.	1 4	Bednarzewski W. z Lebedina	1 5
Aleksandrowicz Jerzy	1 4	Bendetson Ignacy	1 4
Aleksandrowicz Włodzim. st. z Kijowa	1 5	Benklewski Cezary	1 6
Altdorfer S. z Odessy	3 18.31	Benni Herman	1 4
Altdorfer Pius inż.	1 4	Bentkowska Antonina ze Słupiek	1 10
Anezewski	1 4	Bentkowski Andrzej	1 4
Andracki Florentyn z Pobjowa	1 5	Berner st. z Rygi	1 4
Andrzejewski dr. z Kobrynia	1 5	Besler Henryk	1 4
Andrzejkiewicz Platon z Planty	1 5	Benzef Adolf	1 4
Andrzejewski Józefat z Kijowa	1 4	Benzef Juljusz adw.	1 4
Antuszewicz z Uzlowej	1 5	Benzef Leopold	1 4
Apte Ludwik st. z Rygi	1 5	Berezowska Kazimiera z Bereźniak	1 5
Arcimowicz Adam z Rybnicy	1 5	Bergson Ludwik	1 4
Arcimowicz Michał st. z Rygi	1 4	Berlinerblau Nikodem	1 4
Arciszewski	1 4	Bernatowicz Seweryn st. Inst. technol.	1 4
Aret Michał księgarz z Lublina	1 4	Bernard Walenty z Kozienic	1 4
Arezyński z Onufrowa	1 4	Bernstein Adolf	1 4
Arkin	1 4	Bernstein Józef	1 4
„Arkonja“ stowarzyszenie z Rygi	1 50	Bernstein Ludwik	1 4
Arkuszewski ze Zborowa	1 5	Białosuknia Bronisława z Brzóska	1 4
Au Juljusz z Dublan	1złr.6	Białosuknia Stan. senator z Chłaniowa	1 5
Aufszlag Mieczysław z Irkucka	1 5	Białosuknia Wojciech z Małej Wsi	1 4
Auguste Leonard	1 4	Biblioteka stud. z Puław	1 4
Augustowski Zenon z Irkucka	1 5	Biblioteka polska z Jass	1 4
Auspitz Ludwik dr. z Pabianic	1 5	Biegański apt.	1 4
Auspitz M. z Brześcia Litewskiego	1 4	Biele Józef	1 4
Babski apt.	1 4	Bielieki z Drażgowa	1 4
Bagiński Seweryn z Dachtalii	1 5	Bielński Mieczysław	1 4
Bajer Karol	1 4	Bieniecki Józef dr. z Kalisza	1 5
Bajkowski dr. z Kijowa	1 5	Biernacki Waleryan	1 4
Bakszewicz z Wilna	1 4	Biesiadowski Józef z cukr. Olszańskiej	1 5
Balcer Ludwik z Irkucka	1 5	Bieżyński Aleksander	1 4
Bańkowski Władysław z Petersburga	1 4	Billewicz Konrad st. z Rygi	1 4
Baranowski Ignacy dr.	1 4	Biskupski W. adw.	1 4
Baranowski Ksawery z Symferopola	1 5	Biskupski W. z Piscowa	1 9

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Biszlager Lucyan st. z Rygi	1	4	Butkiewicz Włodzimierz z Kołosów	1	5
Bitner Zdzisław	1	4	Buttler	1	4
Bobińska Joanna z Kijowa	1	5	Byczkowski Władysław z Ryżawki	1	5
Bobrowski z Ozorkowa	1	4	Bzowski Stanisław	1	4
Bobrowski Tadeusz z Lipowca	1	5	Cabert Edw. z Łomży	1	4
Boczkowski J., aptek. w Włocławka	1	4	Cederbaum Stan. księg. z Lublina	1	4
Boerner Ignacy z Nowogrodu	1	4	Celichowski Tad.	1	4
Bogacki Feliks z Odessy	1	5	Centnerszwer dr.	1	4
Bogatko Konstanty leśnik	1	4	Centnerszwer księg.	2	8
Bogucki adw. z Lublina	1	4	Certowicz Czesław z Kurska	1	5
Bogdanowicz Jan z Nadrybia	1	5	Certowicz Ewelina z Kurska	1	5
Bogusławski Wiktor z Irkucka	1	5	Ch. J. z Dziewanowa	1	4
Bogusławski Tadeusz	1	4	Chałubiński Tytus dr.	1	4
Bohdanowicz Wł. z Lipowa	1	4	Chaniewski St. st. z Rygi	1	4
Bohuszewicz	1	4	Chądzyński Bronisław z Płocka	1	5
Bojakowski Maksym. z Kijowa	1	4	Chądzyński Marian z Kijowa	1	4
Bojen Rudolf	1	4	Chełchowski Kaz.	1	4
Bolcewicz Helena	1	4	Chełchowski Stanisław	1	4
Borkowski Ant. urzędnik Izby sarbowej z Kiele	1	4	Chełmiecki Jan	1	4
Bormanowa C.	1	5	Chelmiński L. inż. z Wyszniego Wołoczka	1	5
Bornstein księg. z Koła	1	4	Chelmoński A. i Hole Z.	1	4
Borowski Adolf	1	4	Chlewiński Kazimierz z Mariupola	1	5
Borowski Józef z Suwałk	2	8	Chmara Adam z Mińska gub.	1	5
Bortkiewicz Marya z Kiszyniewa	1	5	Chmielewski Aleksander dr. z Makowa	1	5
Bożentec-Jałowicki Aleks. z Kirowa	1	5	Chmielewski Edw. z Olkusza	1	4
Bratkowski Michał	1	4	Chmielewski Gaspar ks. z Lucyna	1	5
Bratkowski Władysław z Poninka	1	5	Chmielewski Konrad dr.	1	4
Bretsneider Emilian z Kaukaskiej	1	5	Chodyniecki Adolf	1	4
Brodecki Konst. adw. z Kiszyniewa	1	5	Chojecka Marya	1	4
Brodowski Zyg. dr.	1	4	Chojecki M. tow. prok. z Tambowa	1	5
Broniewski Stan. inżynier	1	4	Cholodecki ze Zdołbunowa	1	4
Bronikowski Miecz. st. Inst. techn.	1	4	Chomiński Aleks. st.	1	4
Brun Kazimierz st. Politech. z Rygi	1	5	Chomichowski Aleksander z Petersburga	1	4
Brunnow st. z Rygi	1	4	Choński C. z Hrubieszowa	1	5
Brynk Antoni	1	4	Choroszewski z Moskwy	1	4
Brynk Józef	1	4	Chorzewski Maurycy st. Politech z Rygi	1	5
Brzeski stud. Uniwer. peters.	1	4	Chraniewicz Ignacy pułkow. z Alagiru	1	5
Brzeski Waleryan z Brzezin	1	5	Chrostowski dr.	1	4
Brzeziński Bronisław	1	4	Chudeczek Teofil z Irkucka	1	5
Brzozowski dr.	1	4	Chudzyński Ign.	1	4
Brzozowski Aleks. podpułk. art. z Riazania	1	5	Chyżewski St. adw. z Płocka	1	5
Brzozowski Feliks z Suwałk	1	4	Chylewski Deodat pułkownik z Wielkich Koźliszek	1	5
Buczyński Tomasz	1	4	Chrzanowski z Izdebną	1	5
Budkowski Jan	1	4	Ciborowski Antoni	1	4
Budny obyw. ziem.	1	4	Ciemnołowski Mateusz z Petersburga	1	5
Bujakowski dr. z Druskienik	1	5	Ciechowski Henryk z Pyszkowa	1	5
Bujnicki Adam st. z Rygi	1	4	Cierpiewski Teodor z Antonówki	1	5
Bujno Adolf z Brzezin	1	5	Cieśliński Stan.	1	4
Bujwid	1	4	Cieszewski Ant.	1	4
Bukowska Zeneida z Irkucka	1	5	Cieszewski Marceli ad. z Płocka	1	5
Bukowski Andrzej z Irkucka	1	5	Cieszkowska Marya z Rybuszek	1	5
Bukowski Józef z Irkucka	1	5	Ciszkiewicz	1	4
Bukraba Władysław z Żukowca	1	5	Ciundziewicka Marya z Gołoszek	1	5
Buliński Józef z Irkucka	1	5	Cohn dr. z Łodzi	1	4
Bułakowski Wiktor	1	4	Cohn Adolf	1	4
Bułharowski Stanisław	1	4	Conti Henryk	1	4
Burdziński Józef adw. z Kiele	1	4	Cybulski Fortunat ze Spiezynlec	1	4
Buszyński Aleksander z Wilna	1	4	Cz... Ignacy z Petersburga	1	4
Buszyński Gustaw z Lebiedy	1	5	Czajkowski Stanisław z Bućny	1	5
Buszyński Tomasz z Irkucka	1	5	Czajkowski	1	4
Butkiewicz Jan z Kijowa	1	4	Czajkowski Karol inżynier	1	4
			Czaplic Adam z Wilna	1	5

III

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Czapska Walerya z Janowa kow. gub.	1	5	Dulemba Kaźmierz	1	4
Czarkowski Józef st. z Rygi	1	4	Dunin Bolesław	1	4
Czarkowska ze Skąły	1	5	Dunin Konstanty z Petersburga	1	4
Czarnecki Stefan z Jampola	1	5	Dunin Tadeusz	1	4
Czarnobaj Jan dr. z Moskwy	1	5	Dyglewicz A. z Mławy	2	8
Czarnota-Bojarski Mich. z Petersburga	1	4	Dymowski z Lublin	1	4
Czarnowski L. st. z Rygi	1	4	Dynowski dr. z Teplika	2	10
Czarnowski Stanisław Czytelnia	1	4	Dynowski Franciszek z Petersburga	1	4
Czech Leopold z Irkucka	1	5	Dziekoński Prosper	1	4
Czechowiczowa Celina z Surwiliszek	1	5	Dzierżawski Franciszek z Piaskowic	1	5
Czechrajski Wit. z Maliszewskiego Siola	1	5	Dzierzbicki	1	4
Czerepińska Czytelnia	1	4	Eger Jan chemik	1	4
Czernichowski dr. z Orszy	1	5	Eger Gracyan budowniczy	1	4
Czerski z Węgrowsa	1	4	Ehrenfried H.	1	4
Czosnowski Adam hr. z Kijowa	1	4	Eichler Leonard z Nieszawy	1	5
Czudowski Eustachy z Łasocina	1	5	Eichler Józef z Kijan	1	9
Czykierski Leonard z Ananiewa	1	5	Eiger Jakób	1	4
Czytelnia akademiicka z Krakowie	2	20	Eiger Juljusz st. z Rygi	1	4
Czytelnia z Dobrzelina	1	4	Eisenman Teofila	1	4
Czytelnia Instytutu z Puław	1	30	Eisenman	1	4
Czytelnia prywatna z Łomży	1	4	Ekierkunst Stefan z Irkucka	1	5
Czytelnia stud. polak. z Dorpatu	1	5	Eli	1	4
Czyżewski Antoni z Irkucka	1	5	Eliaszewicz Walery z Irkucka	1	5
Danielewicz st. Inst. Technol.	1	4	Engeman Edmund	1	4
Danilewicz Ignacy z Irkucka	1	5	Engler z Wielunia	1	5
Darowski Zygmunt z Ukrainy	2	8	Epsztejn Oskar ze Starokonstantynowa	1	4
Daszewski Aleksander	1	4	Erlich Jan dr.	1	4
Daszewski Antoni	1	4	Erlich Ant.	1	4
Dauter Leon z Irkucka	1	5	F. W.	1	4
Dawidenko Grzegorz z Irkucka	1	5	Fabian A. z Nowodworu	1	4
Dawidowski Aleksander i Michałow- ski Adam z Porzecza	1	5	Fedecki J. z Charkowa	1	5
Dąbrowski A. z Sokołowa	1	6	Festenstadt Zenon lek. weter.	1	4
Dąbrowski Alfons urzędnik z Kiele	1	4	Feter Leopold z Irkucka	1	5
Dąbrowski Fr.	1	4	Ficki Aleksander z Sannik	1	5
Dąbrowski Gracyan adw. z Płocka	1	5	Fiedorowicz z Mazowiecka	1	4
Dąbrowski Ludwik z Temnikowa	1	5	Fijałkowski z Ozorkowa	1	4
Dąbrowski Winc. ks. z Poniedziela	1	4	Fileborn Daniel	1	4
Degelman Wład.	1	4	Fileborn Antoni ad. z Płocka	1	5
Degen I. z Czyhiryna	1	4	Finkelsztejn z Lublina	1	4
Delikowski Jordan z Antoniny	1	5	Florkowski Tadeusz ze Skąły	1	5
Demby Stefan z Płocka	1	5	Florkowski Józef z Żórawlinek	2	10
Deutscher z Dobrzyńia nad Drwęcą	1	4	Formińska	1	4
Dębowski Paw. prof.	1	4	Formulewicz Bolesław st. z Puław	1	4
Dickstein	1	4	Frenkel Regina z Wiskitna	1	4
Dietrich Józef st. Akad. Szt. Pięk.	1	4	Frey Bronisław	1	4
Dobiecki St. z Koźanki	1	5	Fröhlich Stanisław	1	5
Dobke Władysław	1	4	Frysz Wilhelm	1	15
Dobrowolski	1	4	Fudalewski Jan z Sandomierza	1	4
Dobrowolski J. z Żytomierza	1	5	Fukier Henryk	1	4
Dobrski Konrad dr.	1	4	Gabszewicz dr.	1	4
Dobrzański Mirosław	1	4	Gadomski Józef z Ekaterinburga	1	5
Dobrzyjałowski August	1	4	Gajkiewicz dr.	1	4
Dobrzyński st. z Petersburga	1	4	Galberz Mikołaj z Buhajówki	1	5
Dobrzyński Józef	1	4	Garliński A. z Kiszyniewa	1	5
Dokowski Artur z Kijowa	1	5	Garnicki Mikołaj z Pińska	1	5
Dołobowski Jan z Nowosiergiejewka	1	5	Gąsiorowski Julian	1	4
Domański	2	8	Gdowski Wincenty	1	4
Domaniewski Sobiesł. major z Żukowiec	1	5	Gebethner i Spółka księg. w Krakowie	5	20
Domher F. z Hrubieszowa	1	5	Gebethner i Wolff księg.	25	100
Dowojna-Sylwestrowicz Aleks. z Wodźgir	1	5	Gessner Edward	1	4
Drecki Władysł. z Częstocic	1	4	Gervais Franciszek z Petersburga	1	4
Dubowik Ignacy	1	4	Gębarzewski Bron.	1	4
			Giedgowd Franciszek z Gil	1	5

IV

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Giegurzyński Hipolit adw.	1	5	Gruszecki A.	1	4
Giejsler Edw.	1	5	Gruszecki Dyonizy z Rybnic	1	5
Giejsler Karol	1	5	Gryglewski Marcei	1	4
Giejsztor księgarz.	1	4	Grzankowski A.	1	4
Giejsztor I. K.	1	4	Grzebski Witosław z Plocka	1	5
Giejsztorowa Helena	1	4	Grzesiewicz Jan ze Skierniewie	1	4
Gierszyński H. dr. z Ouarville	1fr.	20	Grzędzica Ignacy z Brzezina	1	5
Ginsberg Stanisława z Częstochowy	1	4	Grzybowski Michał z Charkowa	1	5
Gliński Henryk z Petersburga	1	4	Guliński dr. z Kamieńca Podolskiego	1	5
Gliński Franciszek z Białegostoku	1	4	Gutentag	1	4
Gliński Kazimierz z Żytomierza	1	5	Gwoździowski Aleks. st. Akad. szt. pięk.	1	4
Gliński Stanisław z Petersburga	1	4	Halicka M. z Omska	1	5
Glinka Wiktor z Gołowaniewska	1	5	Handelsman Bron.	1	4
Glinojcki Ryszard z Petersburga	1	5	Hanucki Włodzimierz z Porzecza	1	5
Gliszczyńska	1	4	Hartung Stanisław z Irkucka	1	5
Głębocka Zofia z Szaryna	1	5	Hartung Mikołaj z Irkucka	1	5
Głębocki Adam z Berezówki	1	5	Heidenreich Seweryn	1	4
Głębocki Euzebiusz z Horodnicy	1	5	Heltman Leon dr. z Petersburga	1	5
Głębocki Zygmunt adw.	1	4	Heltman Leon ze Swisłoczy	1	5
Głuchowski Kazimierz z Symferopola	1	5	Held Juliusz	1	4
Gniewosz Stan. stud. Pol. z Rygi	1	4	Hering T. dr.	1	4
Godecki Teofil	1	4	Hermelin	1	4
Godlewski Emil dr. z Dublan	1złr.	6	Hertzler Teodor	1	4
Godlewski Jan stud. z Rygi	1	4	Hewelke	1	4
Godlewski Tomasz z Lipska (gubernia radomska)	1	5	Heyman Edward z Petersburga	1	4
Godyński Feliks z Mineralnych Wód	1	5	Heyman Jakób z Kleczewa	1	5
Goetz z Lublina	1	4	Heyman Szymon jun. z Łodzi	1	5
Golec Rudolf z Brzezina	1	5	Higersberger Stefan st. z Rygi	1	5
Golec Stanisław	1	4	Hilsberg Jerzy	1	4
Goldbaum Miecz.	1	4	Hirszband Zygmunt	1	4
Goldflam dr.	1	4	Hirszfeld Bolesław	1	4
Goldman Herman	1	4	Hirszfeld Stanisław	1	4
Goldman Jakób z Łodzi	1	5	Hoene Jan dr.	1	4
Goldman Ignacy	1	4	Hoffman Maurycy ze Lwowa	1	5
Goldman Leon	1	4	Höller Antoni z cukr. Borodeckiej	1	5
Goldstein Stanisław	1	4	Horodecki naucz. gimnaz. z Koroczyna	1	5
Gołębiowska	1	4	Hrebnicki st. Inst. technol.	1	4
Góranowski dr.	1	4	Hryncewiczowa Alina z Ilgoni	1	4
Górecka Bronisława z Pilichowa	1	4	Hryniewicki Czesław z Łomży	1	4
Górski Czesław dr. z Nowgorodu	1	5	Hryniewicki Jan ze Swiszczoza	1	5
Górski Piotr ze Świacka	1	5	Hryniewska Melania z Żytomierza	1	5
Gorsekowska Monika z Grodna	1	5	Hubicki	1	4
Gośliński Seweryn z Wodzian	1	5	Humiecki Teofil marsz. szlach. z Pieniek	1	5
Gottheiner Maurycy z Koluszek	1	5	Hurkowski Włodzimierz z Grzebieńki	1	5
De la Gourdain Ignacy	1	4	Husarzewski Alfred	1	4
Grabowska Konstancja z Kalisza	1	4	Idzikowska Hersylia z Kijowa	1	4
Grabowski z Gutanowa	1	4	Idzikowski księg. z Kijowa	7	28
Grabski z Borowa	1	4	Iliński H.	1	4
Graff Jakób z Łodzi	1	5	Instytut technologiczny 1, Instytut komunikacji 1, Instytut górniczy 1, Instytut leśnictwa 1, Szkoła budowniczych 1, Akademia sztuk pięknych 1, Uniwersytet petersburski 1, Kursa żeńskie Bestuzewskie 1, Kursa żeńskie pedagogiczne, Kursa medyczne żeńskie 1, razem egz.	10	207.25
Grażewski Jan z Kielm	1	5	Iwanowski Eustachy z Nowosielicy	1	5
Grefkowiec Apolinary	1	5	Iwański August	1	4
Gregorowicz Jan red. Tygodnika Mód	1	4	Izbiński Konstanty z Kijowa	1	5
Grobicki Piotr	1	4	Izycki A. z Kamieńca Podolskiego	1	5
Grodnicki dr. z Konina	1	5	Jabłkowski	1	4
Grodzicka Teresa z Modliborzyc	1	4	Jabłoński	1	4
Grodzki Antoni z Irkucka	1	5	Jabłoński Adam z Pniewa	1	4
Groslik Leon	1	4			
Grossek Henryka z Krzyżanówki	1	5			
Grosstern Wiktor dr.	1	4			
Grotkowski Józef	1	4			
Gruberski Roman	1	4			
Gruszczyński Franciszek z Widawy	1	5			

	<i>Egz.</i>	<i>rs.</i>		<i>Egz.</i>	<i>rs.</i>
Jabłoński Stanisław	1	4	Kaliński inżynier z Krzewina	1	5
Jacubiński Antoni z Mierzyc	1	5	Kaliski M.	1	4
Jaczeński Jan z Rzyszczewa	1	4	Kamińska Janina z Grodna	1	4
Jagielłowicz Władysław st. z Puław	1	5	Kamiński Feliks z Irkucka	1	5
Jagmin Kalikst z Czerni	1	5	Kamiński Karol z Berdyczewa	1	4
Jahałkowski Ryszard z Siemienicy	1	5	Kamiński Maksymilian z Brzezin	1	5
Jakubowski Włodzimierz z Fałkowa	1	4	Kanigowski Włodz.	1	4
Jałowicka z Petersburga	1	5	Kalinowski dr. z Plocka	1	4
Janasz z Ozorkowa	1	4	Kalusowski Cezary z Irkucka	1	5
Janczewski Ludwik z Charkowa	1	5	Karaś buchalter	1	4
Janezewski Zygmunt z Petersburga	1	5	Karo aptekarz z Lublina	1	4
Janiszewska Jadwiga z Kijowa	1	5	Karolewski August	1	4
Janiszewski Aleksander z Czyhiryna	1	5	Karpiński Wincenty	1	5
Jankowska Marya z Rosołowic	1	5	Karnicki Tytus z Petersburga	1	5
Jankowski Bolesław z Siestrzan	1	4	Karwowska i Zabłocki księg.	2	8
Jankowski Konstanty z Irkucka	1	5	Karwowski Konstanty dr.	1	4
Jankowski Leonard z Ukrainy	1	4	Kasterski dr. z Rypina	1	5
Janowski Edmund z Harazówki	1	5	Kasnowski Antoni	1	4
Janowski Winc.	1	4	Kernbaum Józef	1	4
Jaroszewski Bolesław z Irkucka	1	5	Kernbaum Maks	1	4
Jaroszewski Jan Julian	1	4	Kibort st. Inst. techn.	1	4
Jasiński Ignacy	1	4	Kiełński Mieczysław z Białopola	1	5
Jasiński Ludwik z Bratskiego (g. irk.)	1	5	Kierglewicz Franciszek z Suszewa	1	4
Jasiński z Nieszawy	1	4	Kiernorzycki Konstanty z Irkucka	1	5
Jasinkowicz z Mitawy	1	5	Kiersnowski Zygmunt z Kijowa	1	5
Jastrzębski z Lublina	1	4	Kiewlicz Stefan z Dublan	1złr.6	
Jastrzębski Adam z Irkucka	1	5	Kin Leopold	1	4
Jastrzębski Serafin z Tyflisu	1	5	Kipman Adolf z Rygi	1	4
Jaworowski Aleks dr. z Lublina	1	4	Kirkorowa C.	1	4
Jaworski Andrzej z Brzezin	1	5	Kirsztrot Jakób adw.	1	4
Jaworowski Antoni	1	4	Kirsztrot Józef adw.	1	4
Jaworowski Artur	1	4	Kirsztrot Leon z Modela	1	4
Jaworski Władysław z Teleszówki	1	5	Kisłański Władysław	1	4
Jawtok Edward z Petersburga	1	4	Klarner Jan dr.	1	4
Jeleńkowski Juljusz	1	5	Klawer Teodor z Jaltuszkowa	1	5
Jeleński Oktawiusz z Carycyna	2	10	Kleindinst Adolf	1	4
Jenike Ludwik, red. Tygodnika Illustr.	1	4	Kleinerman A. E.	1	4
Jentys Franciszek	1	4	Klepaczko Tomasz z Brzezin	1	5
Jentys Stefan z Dublan	1złr.6		Kleszczyński Karol technik	1	4
Jeska Stefan	1	4	Klimontowicz Antoni, sędzia śledczy z Grójca	1	5
Jewniewicz profesor z Petersburga	1	4	Klugman W.	1	4
Jezierski Feliks	1	4	Kłoczkowski st. Inst. technol.	1	4
Jędrzejewski Bolesław z Porzecza	1	5	Kłodawski Teofil z Irkucka	1	5
Jocher Adam z Petersburga	1	4	Kłopotowski naucz. z Charkowa	1	6.50
Jodko Tomasz z Pukowa	1	4	Kłossowski Karol z Zamościa	1	5
John Aleksander	1	4	Kłossowski Kaz.	1	4
John Zygmunt	1	4	Knaap Ludwik z Petersburga	1	5
Jordan Romuald z Dublan	1złr.6		Kobielski Norbert ze Słobótki	1	5
Jotejko	1	4	Kobierzycka z Witowa	1	5
Jotejko stud. Uniwer. petersb.	1	4	Kobierski M. z Głuska	1	5
Jowkiewicz Franciszek z Petersburga	1	4	Kobyłańska	1	4
Józefowicz Michał rejent	1	4	Kobyłański Mieczysław z Rygi	1	4
Jóźwicki Stanisław	1	4	Kobyliński Władysław z Narojek	1	5
Jundziłł Napoleon dyrektor filii banku z Kielec	1	4	Kobyliński Adolf w Ciszewli	1	4
Junger Leon z Irkucka	1	5	Kobyłecki, Gniewosz i Zientarski stud. Inst. technol.	1	4
Junger Szymon z Irkucka	1	5	Koc Włodzimierz z Łomży	1	4
Jurowski Seweryn z Grodna	1	5	Kocubiński	1	4
Jusiecki Leon z Grąbłina	1	4	Kocowski aptekarz z Lublina	1	4
K. A.	1	4	Koczorowski Wacław z Baroku	1	5
K. J. z Chmielowa	1	5	Koeppel Józef	1	4
Kaczkowski dr. z Łowicza	1	4	Kojałowicz Kazimierz z Wilna	1	5
Kalinowski Ant.	1	4			

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Kokeli Józef	1	4	Kotarbiński	1	4
Kolendo Władysław	1	4	Kowalski Jan	1	4
Kolski Józef	1	4	Kownacki K. z Tomaszpola	1	5
Kółko kobiet Polek	1	4	Kozanecka Marya	1	4
Kółko młodzieży	1	4	Kozika Gustaw st. z Rygi	1	4
Kółko młodzieży	1	6	Kozłowski Bolesław st. Inst. techn.	1	4
Kółko młodzieży	1	4	Kozłowski Edmund dr. z Garwolina	1	5
Kółko młodzieży	1	100	Kozłowski Jan st. z Rygi	1	4
Kółko młodzieży gimn.	1	4	Kozłowski Kazimierz st. z Rygi	1	4
Kółko młodzieży polskiej z Kazania	1	5	Kozłowski Leon z Patryków	1	5
Kółko młodzieży polskiej z Puław	1	4	Kozłowski Franciszek	1	4
Kółko młodzieży polskiej z Żytomierza	1	5	Krajewski Leon urzędnik z Kiele	1	4
Kółko młodzieży z Białej	1	7	Krakowski Ludwik	1	4
Kółko studentów Uniw. warszaw.	1	4	Kramsztyk Jul. dr.	1	4
Kółko studentów warszawskiej Szkoły Weterynaryj	1	9.50	Kramsztyk Marcell	1	4
Kółko studentów Polaków z Wrocławia	1	5	Kramsztyk Zygmunt dr.	1	4
Kółko studentów Polaków piotrowskiej Akademii rolniczej z Moskwy	1	15	Krantz Jakób	1	4
Kółko uczniów białostockiej Szkoły real.	1	4	Krassowska Klementyna z Jajtuszkowa	1	5
Kołodny Jankiel z Porzecza	1	5	Krassowski Kazimierz z Jajtuszkowa	1	5
Kołodzki Lucyan dr. z Sosnowic	1	4	Krasowski Władysław	1	6
Komorowicz Cezary z Kijowa	1	4	Kraszewski J. I. z Drezna	1	5
Kon Julian	1	4	Kraszewski Julian z Sopówki	1	5
Konitz L. dr.	1	4	Krąkowski K.	1	4
Konitz Józef St.	1	4	Kretkowski Leon z Baruchowa	1	4
Konitz Józef	1	4	Królikowski Wincenty z Opatowa	1	4
Konopczyński Ignacy z Łodzi	1	4	Kronenberg Stan. dr. fil.	2	400
Konoplański podpułkownik	1	4	Krukowski Oton	1	4
Konopski Jan z Juvisy (Francya)	1	5	Krupski Andrzej inżynier z Kuszwj	1	5
Kontkiewicz z Radomia	1	4	Krupski Lucyan	1	4
Kontkiewicz Marya	1	4	Kruszewska Alina	1	4
Kontkiewicz Stanisław z Krzyw. Rogu	1	5	Kruszewski Roman dr. fil. z Bukowca	1	5
Kopezyński nauczyciel z Łodzi	1	4	Krzczkowski Bolesław z Odessy	1	5
Kopesteński Jan z Teplika	1	5	Krzemieniewski Julian z Brzezina	1	5
Koprowski	1	4	Krzyczkowski Ludwik rejent z Kiele	1	4
Korbusz z Csechiryna	1	5	Krzypkowski Kazimierz z Permu	1	5
Korngold Jakób	1	4	Krzyszczkiewicz Tom.	1	4
Kórowicki Michał sędzia z Kiszyniewa	1	5	Krzyżanowska Halina z fermy Step	2	10
Korsak Jadwiga z Semienicy	1	5	Krzyżanowski Romuald z Kijowa	1	5
Korsak Jan z Kuplina	1	5	Krzyżański Wiktor ze Stawiszcz	2	10
Korybut-Daszkwicz z Tewli	1	5	Kucharzewski z Mazowiecka	1	4
Korybut-Daszkwicz Gustaw	1	4	Kuczewska Ludwika z Carycyna	1	5
Koryciński z Włowa	1	5	Kuczyński z Chmielowa	1	5
Korycki Lucyan z Irkucka	1	5	Kukskiński z Aleksandrowa (włoz. gub.)	1	5
Korycki Z. st. z Rygi	1	4	Kulesza Edward z Samary	1	4
Korwin-Krukowski z Nowogrodu	1	5	Kulikowska K. Czytelnia	1	4
Korzeniowski Józefat z Irkucka	1	5	Kulikowska Ewelina z Kijowa	1	4
Korzon Władysław z Paduna	1	5	Kunke Tadeusz	1	4
Kosacki Aleksander z Żytomierza	1	4	Kunkel	1	4
Kosiński dr. z Łomży	1	4	Kupeczyk Henryk z Miechowa	1	5
Kośmiński Wład.	1	4	Kureyusz Ludwik	1	4
Kosmowski	1	4	Kurnatowski Stan.	1	4
Kossowska Emilia z Kijowa	1	5	Kuroczycki Stan. aptek. z Międzyrzecza	1	4
Kossowski st. Akad. sztuk pięk.	1	4	Kursa żeńskie Bestużewskie <i>patrs</i> In- stytut technologiczny		
Kossowski Antoni	1	4	Kursa żeńskie medyczne p. In. technol.		
Kossowski Kazimierz st. Polit. z Rygi	1	5	Kursa żeńskie pedagogiczne p. Ins. tech.		
Kossowski Michał z Irkucka	1	5	Kwasieberski Jan	1	4
Kościałkowski Karol z Poniedziela	2	10	Kwasieberski Władysław	1	4
Kościałkowski Stefan z Fiodyrzsek	1	5	Kwaskowski Zygmunt	1	4
Kościszko-Walużnicz z Nowozytkowa	1	5	Kwiatkowski Piotr	1	4
Kościszko Stanisław dyr. fabr. Para- fijówki	1	5	Kwiecińska	1	4
			Lampe Henryk	1	4
			Lampe Ludwik	1	4

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Landau Michał	1	4	Łabanowski Jan z Nowogrodu	1	5
Landau S. inżynier	1	4	Łabecki Gustaw z Klembówki	1	5
Lande Szymon	2	8	Łabuński Stanisław z Permu	1	5
Langfür Leon	1	4	Łada Bazyli dr. z Siedlec	1	4
Laskowicz Marya	1	4	Łada Bolesław z Jabłonowa	2	10
Laskowski Remigiusz dr. z Siedlec	1	5	Łamiński Franciszek adwokat z Kiszy- niewa	1	5
Lasocki Michał	1	4	Łaniewski Adam	1	4
Lebiedziński Witalis z Suwałk	1	4	Łaski stud. Inst. technol.	1	4
Lechia T.	1	4	Łaski Seweryn	1	4
Lechowski K. st. z Rygi	1	4	Łasnkowski Henryk z Krasnosiołki	2	10
Lenkiewicz Ignacy	1	4	Łaskiewicz Adolf z Czerepina	1	5
Leo Edward jr. st. z Rygi	1	4	Ławcewicz z Charkowa	1	5
Leopold Józef z Rzepiszowa	1	4	Ławicki Adam st. Politechn. z Rygi	1	5
Leśkiewicz Kaz.	1	4	Łazarew Karol	1	4
Leśniewski ks. prob. parafii Błogie	1	4	Łażniewski	1	4
Leszczyński Stan. adw.	1	4	Łączyński Aleksander z Irkucka	1	5
Letki Edward z Irkucka	1	5	Łęcki Stanisław z Sandomierza	1	4
Lentnecker Emil z Orenburga	1	5	Łobaczewski Antoni z Irkucka	1	5
Lewandowski inżynier z Bytgóry	1	5	Łopatto Stefan kapit. z Tyflisu	1	5
Lewandowski Walenty	1	4	Łopuszański Emil z Pinczowa	1	5
Lewiński Kazim.	1	4	Łopuszyński E.	1	4
Lewenstam L. st. z Rygi	1	5	Łopuszyński Wacław z Śmiely	1	5
Lewental S.	1	5	Łoś Kazimierz z Suchedniowa	1	5
Lewicki Karol adw. z Kiszyniewa	1	5	Łotocki Leon z Kijowa	1	5
Lewinsohn Benjamin adw. z Plocka	1	5	Łukaszewski dr. z Jass	1	4
Lewinsohn Ludwik adw. z Plocka	1	5	Łubieński st. Inst. technol.	1	4
Lewi dr.	1	4	Łuniewski Stefan	1	4
Lewy Gustaw adw. z Piotrkowa	1	4	Ługowska z Żychlina	1	4
Liajmanowa Henryetta z Rowna	1	5	Łuszczewska Jadwiga z Kociołków	1	4
Lichtenbaum N.	1	4	Łuszczewska L.	1	4
Liebke stud. Inst. technol.	1	4	M. Wanda z Wilna	1	4
Liedtke Czesław st. z Rygi	1	4	M. S. z M.	1	5
Ligowski Jan z Plocka	1	5	Maas Adolf	1	4
Likiernik Leon	1	4	Maciejewski Władysław st. z Rygi	1	4
Lielienstern Leon	1	6	Mackiewicz Błażej z Irkucka	1	5
Lilpopowa Franc.	1	5	Magnuszewski, ksiądz z Lasocina	1	5
Lilpopowa Joanna	1	10	Majewska Halina z Permu	1	5
Lilpop M.	1	5	Majewski adw. z Lublina	1	4
Lilpop Stan.	1	5	Majewski A, z Malitewskiej	1	5
Linda W. z Plocka	1 zlr. 6		Majewski R. F. inżynier z Tychwina	1	5
Lingenau z Siedlec	2	8	Majewski Stanisław st. Instyt. techno- logicznego	1	4
Lipczyński Jan z Witkowa	1	5	Makowiecki Fryderyk	1	4
Lipiński St. st. z Rygi	1	4	Maliniak E.	1	4
Lipke Paweł z Łodzi	1	5	Malinowska Wanda	1	4
Lipko E. inżynier z Janowa lub.	1	5	Malinowski st. Akad. sztuk pięknych	1	4
Lipkowski Józef z Ładyszynki	1	5	Malinowski Czesł.	1	4
Lippa Antoni	1	4	Malinowski Włodzimierz z Rygi	1	4
Lippa Michał	1	4	Maliński M. z Bejnarowa	1	5
Lisiecki Stan.	1	5	Małachowski st. Akad. sztuk pięknych z Petersburga	1	4
Lohman Helena z Opatowa	1	5	Małachowski z Mozyra	1	4
Lohman Stefan st. Politech. z Rygi	1	5	Małachowski z Łuszczycy	2	8
Lubański stud. Uniw. petersb.	1	4	Małagowski Stan.	1	4
Lubański Ludwik	1	4	Małcużyński Witold	1	4
Lubomirska księżna z Kijowa	1	4	Małowieski Józef, prezes Dyrek. Szcz. T. K. Z. z Łomży	1	4
Lubomski Wład. dyrektor z Dublin	1 zlr. 6		Małowieski Kazimierz z Dobk	1	4
Lubecki H. z Petersburga	1	4	Mann Leon	1	4
Ludkiewicz Norbert z Żońnic	1	5	Mareński Wilhelm z Porzecza	1	5
Lukrec Józefa	1	4	Markiewicz K. z Siedlec	1	4
Luksemburg Julian	1	4	Markiewicz z Woroncowki	1	4
Luksemburg Maurycy	1	4			
Lutosławski W. z Drozdowa	1	5			
Lutz z Mazowiecka	1	4			
Lutz Karol z Irkucka	1	5			

VIII

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Markiewicz Aleksander z Opatowa	1	4	Modzelewski Leon z Ukrainy	1	4
Markiewicz Ignacy budow. z Piotrkowa	1	4	Mokrowicki Bolesław st. z Kijowa	1	5
Markiewicz Michał z Ćmielowa	1	4	Modrzewski Franc. z Siedlec	1	4
Markowski Stefan ob. ziem.	1	4	Molsdorffer Bronisław adw. z Płocka	1	5
Marks E. adw.	1	4	Monkiewicz Ludwik z Petersburga	1	4
Marrené Walerya	1	5	Morozewicz Józef	1	4
Martini Leonard inżynier z Kuszwy	1	5	Mościcki Julian	1	4
Marynowski Witalis z Sandomierza	1	4	Mostowicz Czesław dr. z Gori (Kaukaz)	1	5
Matecki	1	4	Moszczeński T. kasyer	1	4
Matlakowski z Leonowa	1	4	Moszczyce	1	4
Matusiewicz Jan ks. z Żytomierza	1	5	Moszczyński Stanisław z Pińska	1	5
Matuszewska Marya	1	4	Moszyński Cezary z Dziunkowa	1	5
Matuszyński Bolesław	1	4	Moszyński Józef z Nowej Sieniawy	1	5
Mauchs Jan	1	4	Moszyński Stefan inżynier z cukrowni Jeziorna	1	5
Mayer Herman	1	4	Możdżyński inżynier z Kiele	1	4
Mazurowski Stefan z Makowa	1	5	Możdżyński Lucyan dr. z Kaźmiery Wiel.	1	4
Mazurowski Wiktor st. Akad. szt. p.	1	4	Muczyński Karol z Sopoćkin	1	10
Mączewski Tytus	1	4	Murzynowski Jan z Nieborowa	1	4
Mendelsohn I.	1	50	Muszkat	1	4
Metahl Szymon	1	4	Mutermilch Julja	1	4
Mewus Bogusław	1	5	Mysłowski Antoni z Wierchnieudyńska	1	5
Meyet Leopold adwokat	1	4	N. N. z Irkucka	1	5
Meyszowicz Władysław st. z Rygi	1	4	Nagórski inżynier technik z Lublina	1	4
Mezner Izidor, księgarnia ludowa z Raciaża	10	40	Nagórski Adam	1	4
Majzner Naftal	5	25	Nagrodzka Benigna z Dubna	1	5
Męczyński Bronisław z Kijowa	6	24	Nahorski Stanisław z Grodna	1	10
Michalezewski Roman	1	4	Nakęski Adam Ant.	1	4
Michalewicz Konstancya	1	4	Nalkowski Wacław	1	4
Michalska Emilia z Mohilewa	1	5	Narkiewicz Jodko z Onufrowa	1	4
Michałowski dr. z Radzyna	1	5	Narolski z Petersburga	1	4
Michałowski Ant. dr. z Żelechowa	1	4	Nassius Maksy.	1	4
Mickiewicz Leon i Kołodny Zandel z Po- rzecza	1	5	Natanson Edward st. Inst. technol.	1	4
Mieczynski Stan.	1	4	Natanson Henryk	1	4
Mielecki Stan. z Dublan	1	złr. 6	Natanson Kaz.	1	4
Mielnik Konst. z Porzecza	1	5	Nathansohn H. z Dobrzelina	1	4
Mierzejewski Z.	1	4	Nawrocki Jan apt. z Nowej Pragi	1	4
Mikulewicz z Petersburga	1	5-50	Neronowicz z Luboczy	1	4
Mikuliński	1	4	Neuding Edward	1	4
Mikulski ze Stawiszcz	1	4	Neufeld Bronisława	1	4
Milewska Aniela	1	4	Neugebauer dr.	1	4
Milewski Nestor naucz. z Astrachania	1	10	Neumark Izaak z Płocka	1	4
Milowicz Aleksander z Wilna	1	5	Neumark Izidor stud. Politechn. z Rygi	1	5
Milowicz Edmund z Dymitrówki	1	5	Niedzielska	1	4
Milowicz Stanisław z Bereścia	1	5	Niedzielski Józef z Irkucka	1	5
Miller z Telechan	1	4	Niedzielski Wacław dr. z Georgiewska	1	5
Milżecki Iwo z Dublan	1	złr. 6	Niedźwiecki Kazimierz	1	4
Miłkowski Józef dr. z Ostroga	1	5	Niedźwiedzki Piotr dr. z Serdobska	1	5
Minkiewicz Józef z Irkucka	1	5	Niewiarowski Floryan ze Stefanowa	1	5
Miński Albert z Irkucka	1	5	Niewmierzycka Magdalena z Charkowa	1	5
Mioduszewski Bolesław z Irkucka	1	5	Nirsztajn Stanisław	1	4
Mioduszewski Stanisław z Ługańskiej fabryki	1	5	Nowak Edmund z Petersburga	1	4
Mirkulewicz Stanisław z Kozienic	1	4	Nowakowski dr. fil. nauczyciel Szkoły Techn. w Lublinie	1	4
Mirowski st. Szkoły Budow.	1	4	Nowakowski Adam	1	4
Mleczo Stanisław z Fürstenhofu	1	złr. 6	Nowakowski Franciszek	1	4
Młocki Zygmunt	1	4	Nowakowski Hipolit	1	4
Mochajski Konstanty ze Staszowa	1	4	Nowakowski Józef st.	1	4
Moczyński Konstanty ze Świacka	1	5	Nowakowski	1	4
Moczarski Ludwik	1	4	Nowakowski Wład.	1	4
Modzelewski Ludwik z Chmielówka	1	5	Nowicki z Białej Cerkwi	1	4
Modzelewski Stanisław z Sosnowca	1	4	Nowicki inżynier	1	4
			Nowicki B. z Odessy	1	5

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Nowicki Franciszek z Ekaterynosławia	1	5	Perl Józef	1	4
Nowicki Maksymilian z Irkucka	1	5	Perłowski Michał z Wapniarki	2	10
Nowiński Aleksander	1	4	Perskiewicz J. dr. z Mohylewa	1	5
Nowiński Teodor	1	4	Petelak dr. z Przedborza	1	5
Nussbaum dr.	1	4	Pfeiffer Aleksander	1	4
Obertyński Aleksander z Poczopiniee	1	5	Pfeiffer Bracia czyteln. fabryczna	1	10
Obrąpalski Emanuel st. z Rygi	1	4	Pfeiffer Mieczysław	1	6
Obrębski st. Inst. technologicznego	1	4	Pfeiffer Stanisław	1	15
Oczykowski z Łowicza	1	4	Pfeiffer Stan. st. jr.	1	10
Oderfeld Adam z Częstochowy	1	4	Pfeiffer Władysław ¹	1	10
Odlanicki-Poczobut Antoni z Petersburga	1	4	Piasecki Edward z Irkucka	1	5
Odyniec Antoni	1	4	Piechowska Stanisława z Nadroża	1	4
Ohryzko Jozafat z Irkucka	1	5	Piechowski Michał z Petersburga	1	4
Ojrzynski Apoloniusz z Opatowa	1	4	Pieczynis S. nauczyciel	1	4
Okorski Franciszek z Lublina	1	4	Pieńkowski Walenty	1	4
Okulicz Zofia ze Stok	1	5	Pleszko Stanisław z Kijowa	1	4
Olewiński Cypryan naucz. z Charkowa	1	5	Pietkiewicz z Wilna	1	4
Oleździ Edward	1	4	Pietrulewicz Gabriel dr. z Nowgorodu	1	5
Olgiati Józef	1	4	Piławski Stanisław dr. z Siedlec	1	4
Olszakowski st. Szkoły Budown.	1	4	Piltz Erazm z Petersburga	1	10
Olszamowski Bolesław z Petersburga	1	5	Piłsudski z Petersburga	1	5
Olszewski Eugeniusz	1	4	Piotrowicz st. Akad. sztuk pięknych	1	4
Olszewski Franciszek dr. z Markowa	1	5	Piotrowski z Grodna	1	5
Olszowski S. st. z Rygi	1	5	Piotrowski A. z Tuły	1	5
Ołtuszewski dr	1	4	Piotrowski Bolesław z Nowgorodu	1	5
Onufrowicz Adam uczeń Akad. Techn. z Krakowa	12	6	Piotrowski S.	1	4
Onufrowicz Bronisław członek sądu okręgowego z Samary	1	5	Piramowicz Marcei	1	4
Orda Wacław z Moskwy	1	5	Planet księgarnia	1	4
Orłowski	1	4	Plater de Broel Aleksander	1	4
Orłowski Gracjan z Brzezin	1	5	Pląskowski dr.	1	4
Orłowski Piotr z Petersburga	1	4	Plewiński H. rejent	1	4
Orzechowski Julian z Buszy	1	5	Poczobut Józef z Czyreja	1	5
Oskierko Alfons z Petersburga	1	4	Podbielski Roman z Helenowa	1	4
Osmański Władysław z Rożdżałowa	1	5	Podciechowski A. dr. z Warty	1	5
Ostaszewski Ed. st. z Rygi	1	4	Podmostki St. z Omska	1	5
Ostolski Tadeusz st. z Rygi	1	4	Podosowski Edmund z Leonowa	1	5
Ostromięcki	1	4	Pogorzelski Józef z Sandomierza	1	4
Ostrowski	1	4	Poklewska-Koziół Marya z Tylicy	1	5
Ostrowski Feliks z Irkucka	1	5	Pol Konstanty technolog z Góty	1	5
Pacewicz księg z Piotrkowa	3	12	Polak Ludwig księg.	1	4
Pacjorkowski stud.	1	4	Polak Salomon	1	4
Pajewski Bolesław	1	4	Poleczyński Józef adw.	1	4
Palmirski	1	4	Poleski Franciszek z Kijowa	1	4
Papieski Jan	1	4	Polkowski z Ozorkowa	1	4
Paprocki Teodor	1	4	Polkowski Ignacy z Jamburga	1	4
Paschalis Józef	1	4	Pollack Aleksander	1	4
Pastuszewski	1	4	Poloński Józef z Irkucka	1	5
Paszkowski Maciej	1	4	Polzeniusz Ferdynand	1	4
Paszkowski Mikołaj dr. z Kuźniecka	1	5	Półjanowski Bolesław z Brzezin	1	5
Pawlikowski Franciszek z Irkucka	1	5	Półkobyski z Nowoczerkaska	1	4
Pawłowicz Aleksander	1	4	Półkotycki z Nowoczerkaska	1	4
Pawłowski A. z Petersburga	1	5	Poniatowski Franciszek	1	4
Pawłowski Bolesław z Teleszówki	1	5	Popiel Bronisław	1	4
Pawłowski Edward z Irkucka	1	5	Popielawski dr. ze Złoczewa	1	4
Peel z Sieradza	1	4	Popławski Bartłomiej z Petersburga	1	5
Pelilina Marya	1	4	Porajski Feliks	1	4
Penkala Julian stud. Politech. z Rygi	1	5	Porczyński Jan	1	4
Penkala Wład. stud. Politech. z Rygi	1	5	Postawka z Nowomińska	1	4
Peretz Alfons	1	4	Potemkowski Hieronim adw. z Humania	1	5
Perkahl dr.	1	4	Potemkowski Józef z Humania	1	5
Perkowski	1	4	Potocka Marya z Wisznopola	1	5
			Potocki Józef	2	8
			Potworowski stud. Instytutu technol.	1	4

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Poznańska J.	1	5	Ronthaler Janina	1	4
Poznański Ludwik	1	4	Rościszewski Romuald z Siedlec	1	4
Poznański Maks.	1	4	Rosen st. Inst. technol.	1	4
Pozner Matylda	1	4	Rosenbaum Salwian	1	4
Pożerski dr. z Woroneża	1	5	Rosenblum Emilia	1	4
Pracujący w cukrowni z Buhajówki	1	25	Rosenblum Herman z Ciechanowa	1	4
Prewał Stanisław z Kijowa	1	5	Rosenblum Mikołaj z Ciechanowa	1	4
Pronaszko	1	4	Rosenblum Wolff z Ciechanowa	1	4
Protasiewicz urzędnik z Łomży	1	4	Rosenblum Zofia z Ciechanowa	1	4
Pryfke Przemysław	1	4	Rosenfeld	1	4
Pryfke Przemysław z Kalenia	1	5	Rosengarten Michał z Petersburga	1	5.50
Pryliński Bronisław z Brzezin	1	5	Rosenöhl Jadwiga ze Starokonstantyn.	1	4
Przeciszewski E. st. z Rygi	1	4	Rosenthal Jakób dr.	1	4
Przetaczyński Lucjan z Kuczuryszek	1	5	Rosnowski Demetrjusz dr.	1	4
Przyborowska Dyoniza z Kam. Podolsk.	1	5	Roszkowski Bernard	1	4
Przybyłowicz Józef	1	4	Rothlewi Adam	1	4
Przydborski z Tyflisu	1	5	Rotwand Stanisław	1	10
Przyłuski Mikołaj z Sokółówki	1	5	Rowicki Fran. dr. ze Starego-Krymu	1	5
Przysiecki Dyonizy z Irkucka	1	5	Rozmanit st. Inst. technol.	1	4
Przysiecki Jan z Rygi	1	10	Rożycki z Mikstała	1	5
Przyszychowski F. st. z Rygi	1	5	Różycki Eugeniusz z Ekaterynburga	1	4
Psarski Władysław chemik z cukrowni Ludwinów	1	4	Ruback Bolesław z Krakowa	1	złr. 6.64
Puchalski Józef z Łomży	1	4	Rudkiewicz Ludwik	1	4
Puńkowski Zygmunt	1	4	Rudnicki B. inżynier z Osuga	1	5
Puliński Feliks z Brzezin	1	5	Rudnicki Bolesław z Irkucka	1	5
Pyrowicz Stan. adw. z Płocka	1	5	Rudnicki Fr. z Bratskiego (gubernia irkucka)	1	5
R. K.	1	25	Rudnicki Władysław inżynier	1	4
Rabezyński Karol z Siedlec	1	4	Rudomina Eug.	1	4
Rabek	1	4	Rudzki z Petersburga	1	4
Raciborski z Radziwiłłszek	1	5	Rusch Roman	1	4
Raczyńska Zofia	1	4	Rusiecki Stanisław z Dublan	1	złr. 6
Raczyński Mściśław z Irkucka	1	5	Ruszkowski Antoni z Irkucka	1	5
Rabinersohn Izaak	1	4	Rutkowski Jan	1	4
Radyński Józef	1	4	Rutski Tomasz z Czyrkonic	1	4
Rajkowski dr. z Ciechanowa	1	5	Ryb z Rypina	1	4
Rakowski U. z Kijowa	1	5	Ryb Eugeniusz z Petersburga	1	10
Raksimowicz Stefania z Unoszew	1	5	Rybczyński Franciszek z Irkucka	1	5
Rakuza-Suszczewski Józef z Petersb.	1	4	Rychłowski Tadeusz	1	4
Ramult Stef. ze Lwowa	1	5	Rychter księg. z Łomży	1	4
Rapacki Tadeusz st. z Rygi	1	4	Rykowski Teofil	1	4
Rayski Eugeniusz z Mokrun	1	5	Rymowicz Feliks dr. z Petersburga	1	5
Rawa Jan	1	4	Rymsza Antoni z Teodozyi	1	5
Raźniewski dr. z Sieradza	1	4	Ryndyk Jakób z Kijowa	1	5
Regulski Kazimierz z Wojsławie	1	5	Rzączyński Stan. st. Politech. z Rygi	1	5
Reichel Józef lekarz z Terny	1	5	Rzętkowski Teodor z Jeziorka	1	5
Reicher Anna z Sosnowca	1	5	Rzeszotarski	1	5
Reicher Edward z Aleksandrowa pogr.	1	5	Rzeszotarska Amelja	1	5
Rejcher Maurycy	1	4	Rzeszotarskie Jadw. i Wanda z Wojnowa	1	5
Rejchman Aleksander	1	4	S. K.	1	5
Ręczlewski	1	4	Salinger Emil	1	5
Rittendorf Wład.	1	4	Salinger Jan	1	5
Rodzyn adw.	1	10	Salinger Paweł	1	5
Rogalewicz Dyonizy z Irkucka	1	5	Salska z Silnicy Wielkiej	1	5
Rogalski Zygmunt adw. z Piotrkowa	1	4	Samborski Felicyan dr. z Zawichostu	1	5
Rogiński Roman z Irkucka	1	5	Sawaczyński Władysław	1	5
Rogowska	1	4	Samiszczę stud. Uniw. petersb.	1	5
Rogowski Daniel z Obodówki	1	4	Samosiewicz Ludwik	1	5
Rogowski Dominik	1	4	Sanoeki Ludwik z Petersburga	1	5
Rogoziński Leon	1	4	Saski Wład. dr.	1	5
Rogójski I. cukiernik	1	4	Sawaczyński z Petersburga	1	5
Rokicki I. z Czerwonego Dworu	1	5	Sawicka J. z Szantywrzeszczyny	1	5
Rolle Antoni J. z Kamiénca Podolskiego	1	5	Sawicka Marya z Mińska	3	12

	<i>Egz.</i>	<i>rs.</i>		<i>Egz.</i>	<i>rs.</i>
Sawicki Władysław z Irkucka	1	5	Stamirowski Kazimierz z Laboczyey	1	5
Sawicki dr. z Grajewa	1	5	Staniewicz Maryan z Nowej Doli	1	4.50
Sawicki A. dr. z Siedlec	1	5	Stanisławska Marya z Iliniec	1	5
Sawicki Karol z Petersburga	1	4	Stanisławski dr. z Kijowa	1	5
Sawicki Władysław	1	4	Stanisławski st. Inst. Technol.	1	4
Sagajło Daniel z Kijowa	1	4	Stankiewicz Józef z Suwałk	1	4
Scheller Oskar adw.	1	4	Stankiewicz Mikołaj z Nowozyrkowa	1	5
Senewald Gustaw księgarz	8	32	Stankowski dr. z Lublina	1	4
Senewald Wład.	1	4	Starkman Maurycy st. z Rygi	1	4
Serednicki Wł. z cukr. Borodeckiej	1	5	Staroropiński Bruno z Korabczejówki	1	5
Sewer z Dołegi	1	4	Stawnicki Stanisław z Petersburga	1	4
Sędzimir ze Ślubowa	1	5	Stecula Włodzimierz inż. z Włodawy	1	5
Shumpf Ludw.	1	4	Stern Henryk dr.	1	4
Siedlewski	1	4	Stempkowski Zafm z Odessy	1	5
Siemaszko Edward z Permu	1	5	Stępkowska	1	4
Siemaszko Jan z Irkucka	1	5	Stępowski Feliks	1	4
Siemaszko Marya z Grodna	1	5	Stępowski Wincenty	1	4
Siemienczuk Jan	1	4	Stępowski Jakób	1	4
Siemieszkiewicz Helena z Kijowa	1	4	Stolkowski Seweryn z Siedlec	1	4
Sieragowski dr	1	4	Stopezyk z Łodzi	1	5
Sierakowski Teofil	1	4	Stowarzyszenie Subjektów handlowych	1	4
Sierzputowski Jan st. Instyt. inżynier. z Petersburga	1	5	Strachocki Bronisław	1	4
Sierzputowski Wojciech z Irkucka	1	5	Straszewicz Ludwik z Paryża	1	5
Silberberg Ludwik st. z Rygi	1	4	Stronczyński Urban z Nowgorodu	1	5
Silberstein Stanisław z Łodzi	1	4	Strumiłło Władysław, inżen. ze Śmiły	1	5
Silnicki adw. z Radomia	1	5	Strzelecki Edw. inż. z Tomaszowa-Raw.	1	5
Sipajłło st. Uniwers. z Petersburga	1	4	Strzelecka Tekla z Niemierowa	1	5
Skibniewski Bogumił z Dorpatu	1	5	Strzyżowski st. Inst. techn. z Petersb.	1	4
Skirgajłło stud. Szkoły budown.	1	4	Strzyżowski Antoni dr. z Piotrkowa	1	4
Skirmunt Aleksander z Porzecza	1	5	Studenci polscy Weterynaryjnego In- stytutu z Charkowa	1	6.20
Skokowska Felicya	1	4	Studenci polscy Uniwers. z Charkowa	1	5
Skowroński Józef	1	4	Studenci warszawscy	1	29.6
Skupiewski Aleksander z Porzecza	1	5	Studencki z Petersburga	1	5
Skupiewski Stanisław dr. z Pińska	1	5	Stupin sędzia śledczy z Georgiewska	1	5
Skupiewski Zygmunt z Pińska	1	5	Suchodolski stud. Inst. technol.	1	4
Sliwowska Franciszka z Skordyjowa	1	5	Sulicka Marya	1	4
Slizień Władysław z Bartnik	1	4	Suligowski dr. z Radomia	1	4
Slizowski Albin z Olgopola	1	5	Sulimierski Czytelnia	1	4
Ślósarski Wiktor z Brzezina	1	5	Surzycki Tomasz	1	4
Smaczyński Adolf st. Uniwers. petersb.	1	4	Suszkiewicz Adolf z Irkucka	1	5
Smiarowski Mar.	1	4	Suszkiewicz Stefan z Irkucka	1	5
Smolak Jan	1	4	Suszyński inżynier z Aleksandrowska	1	5
Smolezyński Stanisław z Czyżewa	1	4	Świacka	1	4
Smoleński Józef z Starej Sieniawy	1	5	Swida Kazimierz urzędnik z Kiele	1	4
Smolikowski Zygmunt	1	4	Święciecki Jan adw. z Płocka	1	5
Sobertin Józef z Podola	1	4	Święciecki Kazimierz	1	4
Sobolewski Edmund	1	4	Święciecki Ludwik	1	4
Sobolewski Julian	1	4	Święcki	1	4
Sobolewski Michał ze Świacka	1	5	Świętochowski Ignacy	1	4
Socharski St.	1	4	Symchowicz Regina	1	4
Sokółski Aleksander z Irkucka	1	5	Symonowicza Eufemia z Wilna	1	5
Sokolnicki Tomasz z Wilna	1	5	Sypniewski Józef	1	4
Sokolowski A. z Homla	1	5	Szadkowski	1	4
Sokolowski Józef z Irkucka	1	5	Szafr B.	1	4
Sokolowski Leopold	1	4	Szafrkowski Władysław z Jenisejska	1	105
Soliman z Rygi	1	4	Szałowski Franciszek	1	4
Sommer K.	1	5	Szaniawski Artur	1	4
Sopoćko st. Instytutu technolog.	1	4	Szczekowski Jan z Irkucka	1	5
Sośnowski z Łomży	1	4	Szczepkowski Ant. st.	1	4
Spasowicz Włodzimierz z Petersburga	1	25	Szczerbiński z Koła	1	4
Sporny Józef	1	4	Szczytt Kazimierz st. Inst. technol.	1	4
Szrednicki Ścisław z Karwina	1	5	Szeliski Antoni	1	4

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Szenfeld	1	4	Torner	1	4
Szepanowski Tom. adw. z Kielec	1	4	Tötwen Marya	1	4
Szepeczyński Adolf	1	4	Towarzystwo Akademik. polaków z Halli	1	5
Szepe Karol z Zgierza	1	4	Towarzystwo Bratniej pomocy z Dublan	1zr.6	
Szkoła Budowniczych p. Instyt. Technol.			Towarzystwo byłych uczniów Szkoły polskiej w Paryżu	1zr.6.65	
Szlenker Karol	1	25	Traczyński z Rypina	1	5
Szmideberg Maks	1	4	Trepka Kazimierz z Irkucka	1	5
Szmidecki Aleksander z Płocka	1	5	Trentowski Zygmunt z Nieżyna	1	5
Szmidel Zygmunt	1	4	Truskolaski Ludwik z Pobołowie	1	5
Szmydt Konstanty z Łuszczewka	1	5	Trzaska Marya	1	4
Szole Emil st. Polit. z Rygi	1	5	Trzcieniecka Helena z Aleksandrowa	1	4
Szole Teodor st. Politechn. z Rygi	1	5	Trzeciński Tadeusz dr. ze Starachowic	1	4
Szowałski Teodor z Brzezin	1	5	Trzeciecki Stanisław z Dąbrowy	1zr.6	
Szonert Józef z Łowicza	1	5	Trzemeski Józef z Belmontu	1	5
Szpilowski Gustaw dr. z Sokółki	1	5	Trzeszczkowski Wacław z Nowogrodu	1	5
Sztejner dr.	1	4	Trzeszczkowski Ludwik	1	4
Szternberg Róża	1	4	Turobojski Władysław z Brzezin	1	5
Szuch Władysław	1	4	Turski Jan z Żytowa	1	5
Szuch W. z Pii	1	4	Tutakiewicz Ignacy z Irkucka	1	5
Szumański Wiktor rejent z Łomży	1	4	Tużnik Stanisław z Magnuszewa	1	4
Szumlański Witold	1	4	Twardzicka Kazimiera	1	4
Szumowicz Karol z Kleszczeli	1	5	Twarowski Bolesław	1	4
Szumowski	1	4	Twarowski Jan	1	4
Szwede Ludwik	1	10	Twarowski Ludwik	1	4
Szwojnicki Władysław z Janowa (gub. kowieńskiej)	1	5	Twarowski Stefan z Irkucka	1	5
Szwojnicki z Odessy	1	5	Tyborowski z Rygi	1	4
Szyff Józef adw.	1	4	Ukraińska Czesława ze Skwiry	1	5
Szymanowski Ludwik z Komorowa	1	4	Uniwersytet Petersburski p. Inst. Tech.		
Szymański z Grochowa	1	4	Unschlicht B. z Dobrzelina	1	4
Szymański Edward st. Polit. z Rygi	1	5	Unruh	1	4
Szymoński księgarz z Lublina	1	4	W. K.	1	4
Szysło Józef z Petersburga	1	5	Waga	1	4
T. U. B.	1	4	Wagner Ed. st. z Rygi	1	4
Tańkowski Teodor	1	4	Walentyłowicz st. Instytutu technol.	1	4
Tamulewicz Jan z Irkucka	1	5	Walewski Władysław	1	4
Tamulewiczówna	1	4	Walisz Aleksander st. Politech. z Rygi	1	5
Tankowski z Dubna	1	4	Walicki Feliks z Żytomierza	1	5
Tarasiewicz Sylwester z Irkucka	1	5	Waniewicz Marya z Kielec	1	5
Taraszkiewicz Józef ze Stanicy Tyflisk.	1	5	Waniewski z Petersburga	1	5
Taraszkiewicz Stanisław z Carycyna	1	5	Waryński Seweryn z Babina	1	10
Tarczałowski H.	1	4	Wańkowiec stud. Instytutu technol.	1	4
Tarnowski Antoni z Brzezin	1	5	Warawski Ferdynand z Irkucka	1	5
Taube Karol baron	1	4	Wasilewski I.	1	4
Teleżyński Wład. z Petersburga	1	5	Wasilewski Teofil inżen. z Lubotina	1	5
Temler Aleksander	1	15	Wasiłowski Ignacy z Kazimierzy Wielk.	1	5
Temler Jan	1	5	Wasiutyński st. z Rygi	1	4
Temler Józef	1	4	Wassereug Matylda	1	4
Temler Ludwik	1	10	Weber Karol	1	4
Terazzkiewicz st. Instytutu technol.	1	4	Wehr i Kuszewski z Białegostoku	1	5
Tetz dr. z Lublina	1	4	Wejnreb Z.	1	4
Tittenbron Antoni z Dryszczowa	1	5	Weinsztok Józef st. z Rygi	1	5
Tittenbron Stanisław z Dryszczowa	1	5	Weleżyński Bronisław z Petersburga	1	4
Tittenbron Zofia z Dryszczowa	1	5	Weleżyńskie Seweryna i Dyoniza	1	7
Tock Ludwik z Łomży	1	4	Weniaminów Euzebiusz	1	4
Toczyński Julian adw. z Siedlec	1	4	Werner	1	4
Tokarski Lucyan z Irkucka	1	5	Werner Wilhelm z Dublan	1zr.6	
Tołoczanow gubernator z Łomży	1	5	Wesołowski Antoni z Brzezin	1	5
Tołoczanow A. A. z Łomży	1	5	Wesołowski Filip dr. ze Skwiry	1	5
Tolwiński z Petersburga	1	5	Węławowicz Wacław st. Pol. z Rygi	1	5
Tomasiewicz K. sędzia	1	4	Wędziałkowski pułkownik inż. z Kowna	1	5
Tomaszewski z Szepietówki	1	4	Widacki Michał	1	4
Töplitz Bonawentura	1	4	Wielopolski Al. st. z Rygi	1	4

XIII

	Egz.	rs.		Egz.	rs.
Wielowiejski Adam adw. z Siedlec	1	4	Wszektorowski z Wyszkowa	1	5
Wiernik Herman z Częstochowy	1	4	Wydęga Stanisław	1	5
Wierzbicka Stanisława z Boguszyce	1	4	Wyrzykowski Ludwik z Suwałk	1	4
Wierzbicki Roman z Radomyśla	1	5	Wysocki Józef z Dublan	1	złr.6
Wierzbicki nauczyciel z Łodzi	1	4	Wysokiński Henryk	1	4
Wierzbicki Karol z Radomyśla	1	5	Wyszyński	1	4
Wierzbowicz Józef z Kamionki	1	5	Wywiórski st. z Rygi	1	4
Wierzchlejski Alojzy st. z Rygi	1	5	X. st. z Rygi	1	4
Wiesiołowski Władysław	1	4	Zabawski Teofil z Irkucka	1	5
Więclawski Emeryk z Kijowa	1	5	Zabielski Karol z Wierzbnika	1	4
Wigurski Marek Marcei naucz. z Częst.	1	5	Zabokrzecki Julian	1	4
Wilamowski Karol st.	1	4	Zabokrzecki Jul.	1	4
Wileczyński Bolesław i Wanda	1	4	Zaborowski A. inżynier	1	4
Wileczyński	1	4	Zaborowski Henryk	1	4
Wileczyński Antoni	1	4	Zaborowski Władysław z Ostrogu	1	5
Wileczyński dr. z Gołateczyny	1	5	Zahorowski Wojciech adw. z Kielc	1	4
Wileczyński Wacław	1	4	Zahorski Adam z Irkucka	1	5
Winkler pastor z Wielunia	1	4	Zajączkowski Józef	1	4
Wirpży Grzegorz dr. z Samary	1	5	Zajdler	1	4
Wisłouch Paweł z Chódolewki	1	5	Zajkowski Franciszek	1	4
Wismont Marcei z Nowo-Mińska	1	4	Zakrzewski Adam z Odessy	1	4
Wiśniewski Władysław	1	4	Zakrzewski Józef st. Uniwers. petersb.	1	4
Wiszniewski Stanisław z Irkucka	1	5	Zakrzewski Michał z Głogowca	1	4
Wiszniewski Stanisław	1	4	Zaleman	1	4
Witanowski Michał z Łęczycy	1	4	Zaleski	1	4
Witkiewicz adw. z Pskowa	1	5	Zaleski Józef st. z Rygi	1	4
Witwicka Domicella z Białejceerki	1	5	Zaleski Piotr z Klonowa	1	4
Wodnicki August z Suwałk	1	4	Zaleski Tadeusz st. Politechn. z Rygi	1	5
Wohl Henryk z Irkucka	1	5	Zaleski Z. z Petersburga	1	4
Wójcicki Henryk	1	4	Zalewska Jadwiga z Gorzyczyny	1	4
Wojciechowski	2	8	Zalewski dr. ze Święcian	1	5
Wojciechowski Aleks. dr. z Ananiewa	1	5	Zalewski Józef z Kamieńca Podol.	1	4
Wojciechowski Teofil z Arandola	1	5	Zalewski dr. z Łęczycy	1	4
Wojeński Stanisław z Brzezina	1	5	Zaluski Jan	1	4
Wojewódzki inżynier z Wysz-Wołoczka	1	5	Zaniewski Teofil	1	4
Wojno L	1	4	Zapolski Downar lekarz z Lublina	1	5
Wojszycki Ignacy z Irkucka	1	5	Zarakowski Józef z Moryczówki	1	5
Wojtaniewicz dr. z Wilna	1	4	Zaremba Franciszek z Suwałk	1	4
Wolański Rajnold z Nowomoskowska	1	5	Zawadzka	1	4
Wolański Antoni z Irkucka	1	5	Zawadzki Józef księgarz z Wilna	5	20
Wolff Antoni	1	4	Zawalski, zakład fotograf. z Irkucka	1	5
Wolff B. M. z Petersburga	3	12	Zawidzki Piotr	1	4
Wollenberg Maksymilian	1	4	Zawiszewski	1	4
Wolska Marya z Żytomierza	1	5	Zbikowski Albin st. z Rygi	1	5
Wolski	1	4	Zborowski Samuel z Husaczówki	1	5
Wolski Bolesław z Permu	1	5	Zdanowski Jan z Irkucka	1	5
Wolski Felicyan z Iliniec	1	5	Zdziarski Antoni	1	5
Wołk Gustaw z Kurhanu (tob. g.)	1	5	Zdziechowski z Rakowa	1	10
Wołkiewicz Maksymilian	1	4	Zeijdenbenthal	1	4
Wołodko stud. Szkoły budow.	4	16	Zembrzusi Feliks adwokat	1	4
Woroniecz Józef z Irkucka	1	5	Zieleniewski Piotr z Nagórek	1	5
Woroniecki st. z Rygi	1	4	Zieleniewski Emil ze Żmudzi	1	5
Wosiński Andrzej	1	4	Zieleńska Marya z Wasilewki	1	5
Woszczerowicz Konstanty z Irkucka	1	5	Zieleziński Henryk	1	4
Wozniacki Franciszek	1	5	Zieliński Wincenty z Jaltuskowa	1	5
Wozniacki Jan st. z Rygi	1	4	Zieliński I. st. z Rygi	1	5
Wróbel Franciszek	1	4	Zieliński Józef z Sandomierza	1	4
Wróbel Józef	1	4	Zieliński Stanisław z Kijowa	1	4
Wróbel Władysław z Trzecina	1	5	Zielonka Helena z Radomyśla	1	5
Wróblewski Tadeusz z kółkiem Polaków z Jaktorowska	1	5	Ziemieński Adam z Żytomierza	2	10
Wroński Stanisław	1	5	Zienbowski księgarz z Łodzi	2	8
Wrzeszcz Konrad z Kijowa	1	5	Zienkiewicz-Siekierz Raf. dr. z Rożyszcza	1	5
			Ziółkowski	2	8

XIV

	<i>Egz.</i>	<i>rs.</i>		<i>Egz.</i>	<i>rs.</i>
Złowocki Nestor z Łomży	1	4	Żukowski Witold z Mohilewa	1	5
Zubów Włodzimierz st. Uniw. petersb.	1	4	Żurakowski Aleksander	1	4
Zucker księgarz z Radomia	1	4	Żyłok Bolesław z Rowna	1	5
Zabicki Władysław	1	4			
Zachowska Amelja	1	4			
Zarnowski Jan z Petersburga	1	4			
Zegocka Henryka	1	4	Egzemplarze zamówionych		25
Żółkowski Jan z Siedlec	1	4	Nadesłali bez otrzymania książki:		
Żołędziowski	1	4	Abramowski	rs. 1	
Żongołowicz M. z Radziwiliszek	1	5	Giro Fryderyk	rs. 4	

UWAGA. Lista powyższa różni się od wykazu drukowanego w *Prawdzie* o tyle, że tam podawano nazwiska i tych, którzy nadesłali zaliczki lub zamówienia, tu zaś mieszczą się ci tylko, którzy złożyli przedpłatę całkowitą lub z naddatkami. Nadto sami abonenci wprowadzili pewne zmiany. Mimo usilnych starań naszych mogły się wkraść do spisu omyłki lub opuszczenia; otóż prosimy o pobłażliwość dla błędów, które wśród takiej masy nazwisk są nieuniknione. Sprawozdanie z wpływu, kosztów i czystego dochodu wydawnictwa zamieszczone będzie w *Prawdzie*.

DOSTRZEŻONE OMYŁKI:

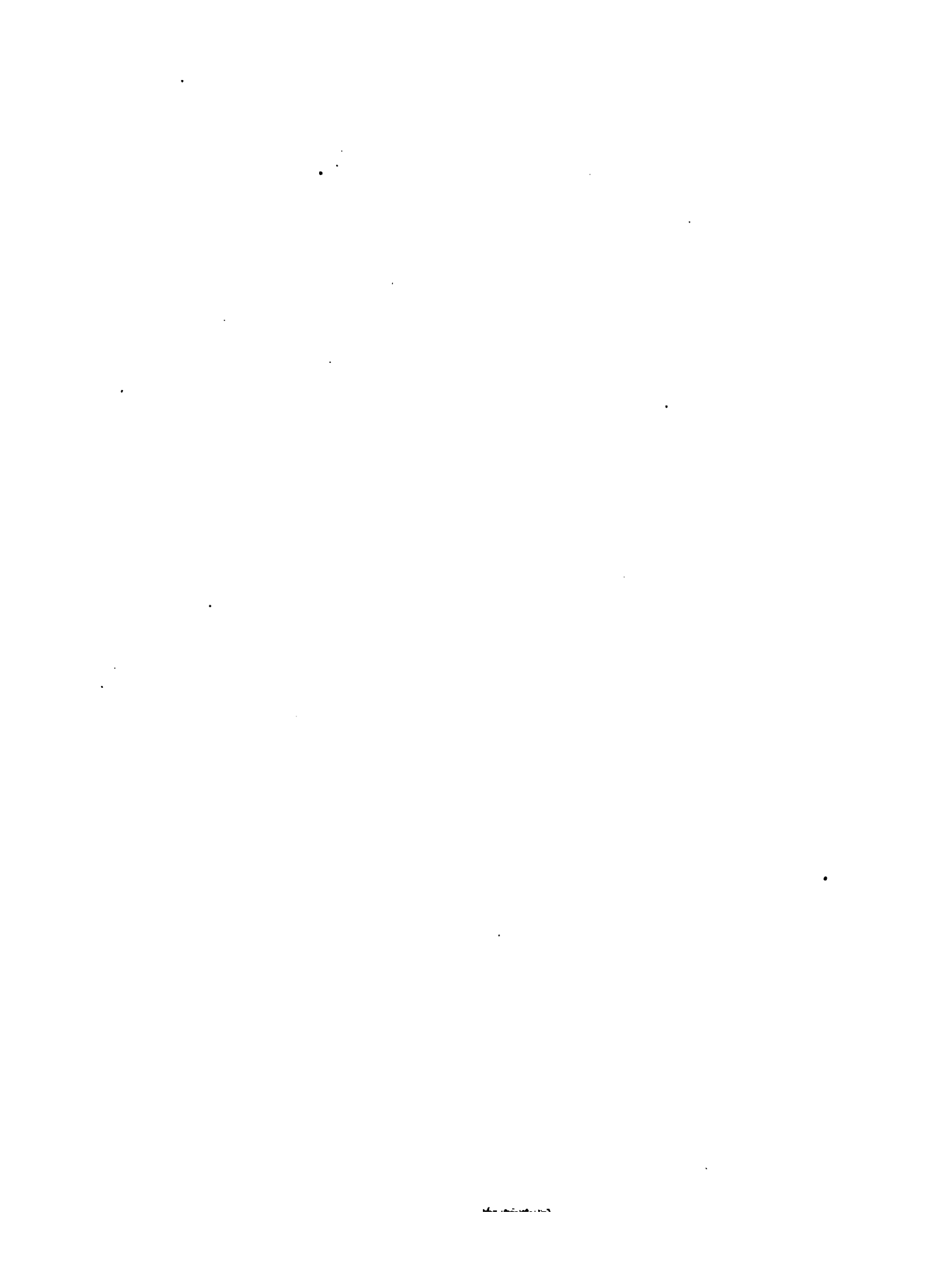
Str. 49 wiersz 15 od góry wydrukowano nie umieją — powinno być niemieją.
 „ 54 „ 5 od dołu „ narodowego — „ „ narodowego.
 „ — „ 4 „ „ „ demokratyzacyi — „ „ demokratyzacyi:

DOŁĘGA

OPOWIADANIE

TEODORA TOMASZA JEŻA.

1882.



Nie wybieram w galerii bohaterów powieściowych nadzwyczajności, ani niepospolitości żadnej; ale też nie biorę na chybił - trafił. Bohaterem powiastki niniejszej jest człowiek pospolity, zwyczajny: jestem to ja, jesteś ty, czytelniku łaskawy; jest to szczególnie on — on, ten, co nie czytuje tego, co pisujemy, a nie czytuje bądź z zasady, bądź też dla tego, że czytanie stanowi sztukę dla niego, niestety! nieprzystępną. Ów on przeto nie jest geniuszem w tym lub w innym kierunku; urodził się jednak pod gwiazdą o tyle nie dobrą, że pospolitości swojej przeprowadzać przez drogę żywota nie może tak, jak przeprowadzali ją ojciec i praojciec nasi, dając jej „niechajno“ za przewodnika. Czasy się zmieniły.

— Trudno teraz na świecie...

— Trudno... A dla czego?

Odpowiedź na pytanie to stałaby się wykładem historii, gdybyśmy gruntowną i dokładną uczynić ją chcieli. O, ileżby się do powiedzenia znalazło! Nie starczyłaby skóra wółowa. Myśląc atoli i rozmyślając nad odpowiedzią ową i nie spisując myśli a rozmyślań, ale w głowie je skupiając, przyjdziemy z łatwością

do wyniku, na który zgodzą się wszyscy.

— Dla czego?

— Dla braku przezorności..

Trudno teraz na świecie... „dla braku przezorności.“

Każdy punkt wychodni, służący ludziom do wyprowadzania rozumowań dotyczących się stanu rzeczy, w jakim się nam obracać przychodzi, do powyższego doprowadza rezultat.

Nieprzezorność, datująca się od czasów, w których się ani domyślać było można przyjścia na świat osobistości, mającej w opowiadaniu niniejszem rolę bohatera odegrać, doprowadziła do trudności, w jakiej się bohater nasz znalazł, skoro... żenić się zamierzył.

Nie masz dla człowieka pojedynczego kroku w życiu ważniejszego jak ożenienie. Jest to powzięcie kierunku, wejście na drogę, wytknięcie sobie celu, przyjęcie na siebie obowiązków, układających się w zadanie, którego rozwiązanie człowiek na barki swoje wraz z odpowiedzialnością całą bierze. A odpowiedzialność wielka. Ludzie z niej sobie sprawy nie zdają; gdyby jednak zdawali, przekonaliby się, iż należy ona

do rodzaju tego samego, co zadania państwowe.

O! tak.

Mówimy o rodzaju, nie zaś o rozmiarach.

Owóż bohater nasz, któremu na imię było Zoryan, na nazwisko Dołęga...

Na nazwisku zatrzymać się chwilę musimy. Jest to nazwisko — rzecz prosta — powieściowe; jako takie przeto mogłoby być innem — zależało to od nas: mogliśmy bohatera naszego „Niedołęgą“ nazwać. Nazwaliśmy go atoli „Dołęgą“ nie bez racji. Racja tkwi w istocie bohaterstwa jego, która niedołężstwem ani była, ani jest. Bez przechwálki powtórzyć możemy słowa poety: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!“ — zwłaszcza pod względem intelektualnym. Przeciwno niedołężtwu świadczą ludzie znakomici, którzy w ilości całę poważnej i w jakości zgoła nie podrzędnej z łona narodu naszego wyszli. Nie miałem przeto prawa najmniejszego piętnować bohatera naszego nazwiskiem niewłaściwym. Dołęgą był i Dołęgą się nazywał.

Owóż Dołęga nasz, gdy się żenić zamierzył, myślą wstecz poszedł i uczynił przegląd przeszłości własnej.

Liczył lat trzydzieści kilka, to znaczy, znajdował się w dobie dojrzałości męskiej zupełnej. Do punktu tego dostał się drogami utartymi

wprawdzie, ale niekoniecznie prostymi. Po drogach tych, utartych a nie prostych, błąkał się potrosze, a to dla tego zapewne, że zakreślenie sobie programu pozostawiał sobie na później. Rzeczę tę odkładał, wciąż odkładał z dziś na jutro, myśląc, że na to póra jeszcze będzie. Postąpił sobie we względzie tym ostrożnie niby, nie naśladował bowiem tej mniejszości głów gorących i niecierpliwych, co chwyta się idei jakiejś z góry, nie wiedząc, ani skąd się wzięła, ani ku czemu podąża. Nasz Zoryan ustrzegł się nieostrożności tej, tak często dla ludzi młodych niebezpiecznej. O uszy jego obijały się hasła i formuły różne; pokazywano mu sztandary takie i inne; wzywano go, powoływano; słuchał, widział, lecz się uwlec nie dał; trzymał z większością, czekającą na próby, dowody i rezultaty, na poczekaniu zaś nie próżnując absolutnie. Działo się to nie wskutek wyrozumowania, ale — ot tak. Temperament bohatera naszego nie popychał go do czynu, nie sprawiał mu świerzbiączki owej, skutkiem której ludzie mieszają się do spraw różnych, pomimo, a raczej właśnie dla tego, że głosy poważne wołają na nich, ażeby się do takich nie wtrącali. Nie te atoli głosy wpływ na niego wywierały. Powaga mu nie imponowała zgoła. Przypuszczać należy, iż ulegał czemuś, niby lenistwu umysłowemu, przeszkadza-

jącemu zastanowić się chwilkę i po-
wziąć postanowienie. Czasu zresztą
nie miał, dzieląc się pomiędzy naukę,
którą brał ze strony formalnej, a roz-
rywki, które uważał jako należny
dług. Pomiedzy naukę a rozrywki
dzielił siebie; naukę zaś i rozrywki
łączył w jedno i z połączenia tego
wynikł niesłychany w upływie lat
pośpiech — pośpicch taki, że się ani
obejrzał, jak uniwersytet skończył
i stosowanie teorii do praktyki roz-
począł.

Uniwersytet skończył.

Dawniejszemi czasy dyplom uni-
wersytecki nadawał człowiekowi ak-
cent inny, aniżeli dziś. Uważał się
on, jako patent na rozum. Był rzad-
kością. Człowiek, co się go dobił,
stawał się białym krukiem, którego
jako osobliwość pokazywano sobie
i w mądrość jego wierzone na ślepo.
Wiara cuda czyni. Działy się też eu-
da takie, że człek całe nie mądry za
mądrego uchodził, dla tego tylko, że
uniwersytet skończył. Czasy się je-
dnak zmieniły. W miarę jak coraz
to częściej pojawiać się poczęły tacy,
co się dyplomem chwalić mogą, wia-
ra słabła. Dotknięto się ich palcami
niejako. Przekonano się, że ludzie
oni jak inni wszyscy i że nagroma-
dzone w głowach ich zapasy wiado-
mości są nie czem innym, jak narzę-
dziami, których dopiero sposób uży-
tkowania wartość człowiekowi na-
daje. Jeden zużytkowuje je właści-

wie i dobrze; drugi je odlogiem po-
zostawia; inny obraca takowe na
szkodę. Dzieje się toż samo z narzę-
dziami wszelkimi innymi. Miecz
w ręku obrońcy praw ludzkości by-
wa narzędziem wielce pożytecznym;
miecz w ręku szaleńca nieobliczone
krzywdy sprowadza; nierzadko zaś
stanowi ozdobę fanfaronu, pobrzęku-
jącego nim po bruku bezużytecznie;
niekiedy znów służy do niczego.

Nasz Zoryan, ucząc się, nie zasta-
nawiał się nad użytkiem, jaki ma
z narzędzia czynić; po skończeniu
nauk, skończeniu był rad — i tyle.
W sile wieku młodzieńczego, w za-
patrywaniu się na nauki zachował
pogląd taki sam niemal, jaki weń
wpajała matka, gdy mu po raz pierw-
szy abecadlnik w ręce dała: uważał
je jako powinność towarzyską, po-
dobną do tej, która nakazuje salony
ozdobami obwieszać i posadzki w ta-
kowych froterować. Głowę umebło-
wał należycie i to go zadowalniało.
Powinności zadość uczynił — powin-
ności, którą odnosił do towarzystwa,
do społeczeństwa, uważając przytem,
że winien coś i samemu sobie.

— Szedłem dotychczas w jarzmie...
teraz przeto...

Tyczyło się to postanowienia ja-
kiegoś nieokreślonego. Zamiast po-
stanowienia owego, powinienby był
stanać program; materiałów nie bra-
kło: pozostawało jeno je uporządko-
wać i sztandarem osłonić. To osta-

tnie jednak dokonaniu rzeczy narzucającej się na przeszkodzie staęło. Sztandar? Zoryan do sztandarów w ogóle wstrętu ani wrodzonego, ani wyrozumowanego nie żywił; uznawał je nawet; wiedział, że one to ludzkości w pochodzie postępowym przewodniczą; był przekonania tego, że i on, jako jednostka, w warunki odpowiednie zaopatrzona, coś znaczy, coś może i do czegoś zobowiązanym jest. Mimo to jednak, rzecz tę jeszcze na później odłożył.

— Niechajno...

Posądzić by go można o to, że się obawiał krytyk — gadaniny ludzkiej. Być może. Dosyć, że — kiedy nadszedł moment zdecydowania się na obranie drogi, takiej lub innej, nie zdecydował się. Chwycił się postanowienia nieokreślonego i poszedł tą drogą, którą idą ludzie, co mają dwa do użytkowania kapitały: zdrowie i majątek.

Zdrowie posiadał świetne i majątek znaczny. Obrócić je było można na pożytek sobie i drugim, bez nauki nawet, posiłkując się zdrowym rozumem, który wielkie ludziom oddaje usługi. I w tym atoli względzie „niechajno“ w drogę weszło, spychając bohatera naszego na wydeptane przez wszelakiego rodzaju i kalibru marnotrawców szlaki. Pod pozorem kształcenia umysłu i maku, marnotrawił zdrowie i majątek po stolicach Europy, które zwiedzał zrazu

w rzeczy samej w celu kształcenia się, następnie jednak w celach innych. W jakich mianowicie? W tej właśnie chwili, kiedy powyższy znak zapytania na papierze nakreślił, widzę przez okno kosa, który się z gałęzi na gałęź przesiada. Kos czyni to bez celu innego, jak dla zadośćuczynienia potrzebie ruchu. Używa skrzydel, w jakie go natura zaopatrzyła. Tak samo i bohater nasz. Skrzydel używał; skrzydła wyrobiły mu wziętość; ta zaś wprawiała go w ten stan, z którego powstała dawna francuskiej szlachty dewiza: *Noblesse oblige*. Dostał się do niewoli światowej — do jarzma istnego, w którym rozlicznych doznawał przymusów. Czasownik „muszę“ zapanał nad nim samowładnie. Musiał bywać, przyjmować, szastać się, rozrzucać, po nocach nie sypiać, we dnie się uwijać, truciznami się karmić, truciznami się poić, na próby bezsensowne wystawiać dowcip i rozum, słowem jednym, galernikiem został, i, jako taki, z wielkiem powodzeniem występował na salonach w Paryżu, we Wiedniu, w Londynie, w Berlinie nawet, gdzie polacy cieszą się nielaską szczególną. Mus to był dosyć w początkach znośny. Owiewały go uroki nowości. Niby w panoramie, przesuwały się przed oczami młodego człowieka postacie ludzkie płci obojga, krążące pędem, wirowym w pogoni za rozkoszą.

Przypatrywał się temu; od przypatrywania się zawrotu głowy dostał i porwać się dał. W uszach mu szumiało, w oczach migotało, w organizmie całym doznawał uczucia rozkładu niby, odbywającego się pod wpływem czynników narkotycznych, działających na krew i mózg. Pędził i on; i on wirował, posuwając się niby naprzód, w istocie rzeczy jednak cofając się, cofając ustawicznie ku temu stanowi kulfonizmu, w jaki zazwyczaj zbyt często wpadają. Powierzchnownie nawet zmieniał się. Począł się wydłużać i zdobić w wypiekanie chorobliwe, świadectwo gorączki, której go ta cieplarnia nabaśniała.

W cieplarniach tego rodzaju zdrowie jest złudzeniem. Ludzie, wegetujący w nich, nastrajają się sztucznie za pomocą rozlicznych sposobów empirycznych i rozstrajają się. Znow się nastrajają i znow rozstrajają. Powtarza się to z roku na rok i skutkuje, dzięki regularności, z jaką się ta operacja odbywa. O jednej i tejże samej porze wielki świat wyludnia stolice; rozjeżdża się po górach, po kąpielach, po wybrzeżach morskich; reparuje stargane w szarpaniu się z niezem siły; powraca i znow siły targa. Kończy się to zwykle smutnie pod względem tak fizycznym, jak moralnym. Człowiek słabnie i tumanieje. Kobiety na leb na szyję w dewocję się rzucają; mężczyźni

bądź kobiety naśladują, bądź też urabiają się na niezdary, na starców niedoleźnych, dożywających lat powtarzając sobie: *Si vieillisse pouvait*. Ze starców z kategorii tej niektórzy przesuwają się przed kratkami policyi poprawczej, pod zarzutem wykroczeń przeciwko obyczajom.

Bohater nasz na drogę tę wszedł i rezolutnie nią kroczył. Nie będziemy opowiadali rzeczy znanych i po tysiąc razy opisywanych. Nie przytrafiało mu się nic nadzwyczajnego. Awantury romansowe, miłostki, zakłady, pojedynki, wielkie wygrane, sławne przegrane, wytworne kolacje zapelniały mu czas w ten sposób, że krok każdy opłacał się częścią kapitału, każdy kąsek u Vefou-ra zdrowiem. Pędził na złamanie karku na oslep; na drodze tej nie powstrzymywał go nikt i nikt by powstrzymać nie zdołał; Zoryan bowiem do tego śmiertelników należał gatunku, na który perswazyje wpływu nie wywierają. Inaczej na perswazyjach by mu nie zbrakło było. Czyż nie posiadał spółziomków, krewnych, znajomych, spółobywateli, zwłaszcza zaś kolegów szkolnych, którzy uzdolnienie jego znali i na charakter liczyli! Polskie piśmiennictwo zresztą, polskie dziennikarstwo — czemuż jest innem, jeżeli nie wielką a ustawiczną perswazyą, nawołującą czytelników do porządku! Rozmaitemi są tony, lecz sens nawo-

lywania jednaki. Ten ciągnie dyszkantem kościelnym, ów dmie w trąbę niby herold, inny odzywa się głosem pobudki, a wszyscy razem wzywają do baczości, do czuwania, do pracy.

Raz jeszcze powtarzamy, iż Zoryan nasz na wezwania te głuchym nie był. Nie zważał na nie tymczasowo, zamierzając w swoim czasie i w chwili właściwej zająć się kwestją pracy, którą uznawał z punktu ogólnego i przywiązywał do niej znaczenie wielkie. Pod względem tym bez zarzutu był; uważał jeno, że do pracy się wziąć rok wcześniej lub rok później, jest to różnica tak mała, że w rezultacie ani się uczuć da.

Tymczasem rok po roku upływał, i moment ów nie nadchodził. Zoryan po pochyłości się toczył i byłby się na dno stoczył, gdyby nie zdarzenie pewne, małoważne samo przez się, które go do upamiętania przyprowadziło.

Znajdował się w podróży pomiędzy Berlinem a Poznaniem, podążając do Krakowa, z racyi okazji jakiejś, interesującej *Almanach de Gota*. Zajmował miejsce w wagonie pierwszej klasy; ulokował się w kącie, zdaleka od dwóch dam, siedzących jedna naprzeciwko drugiej. Damy były mu nieznanne — jedna niemłoda, poważna, druga lat dwudziestu paru. Okiem na nie rzucił, pleciem kolana sobie oslonił, z torby podróżnej książkę

wyjął i gdy pociąg ruszył, w półdrzemkę się pogrążył. Towarzyszki podróży nie odznaczały się niczem, coby na nie uwagę ściągało. Dam takich tysiące przed oczami się przesuwa.

Pociąg pomykał, zatrzymując się na stacyach dla zabierania podróżnych nowych. Do kompartymentu, zajmowanego przez Zoryana i dwie panie nie wsiadał nikt na kilku stacyach początkowych. Przed Frankfurtem jegomość jakiś usadowił się naprzeciwko Zoryana; we Frankfurcie wszedł oficer pruski w mundurze, w ostrogach, przy szabli, ogromnie miniastry.

Oficerstwo pruskie w czasach obecnych miniaństwo się odznacza. Około roku 1848 stanowiło to cechę rycerstwa austriackiego, któremu od czasu onego miny zrzadły; miniaństwo przeszła na prusaków wraz z koroną cesarską.

Takim właśnie był przybysz we Frankfurcie. Damy przy drzwiach wchodowych siedziały; on pomiędzy niemi przeszedł, jedną szablą potrącił, drugiej o odzież ostrogą zacerpił, nie przeprosił, miejsce zajął, rozwalil się, nogę na nogę założył i poprawiwszy sobie na nosie *pince-nez* okiem na towarzyszków od niechoczenia rzucił, towarzyszkom zaś przypatrywać się jął. Przypatrywanie się mieściło w sobie impertynencyi tyle, ile się w oczach ludzkich zmie-

ścić może. Damy bronily się patrzeniem w okna, co wyraźnie wojownika drażniło, albowiem się krzywił i marszczył, chrząkał i kręcił, wysuwając co chwila w stronę dam raz łokieć, znów nogi. Podróżnice usuwały się. Oficer szablę odwiązał i rzucił ją na siedzenie próżne naprzeciw, ale w sposób taki, iż się rękojeścią o kolano młodej damy oparła. Młoda dama kolano cofała; szabla na podłogę spadła. Oficer się rzucił, oręż pochwycił i, podnosząc takowy, ciągnął do góry szlak dolny ubrania młodej kobiety.

— Proszę pana. — odezwała się dama niemłoda, tonem upomnienia, oburzeniem lekko nabrzmiałego.

Wyrazy wymówione były w języku polskim.

— Co?... — odparł oficer po niemiecku, tonem lekceważenia.

— Proszę pana o zachowanie się przyzwoite... — powtórzyła.

— W jakim to pani przemawiasz języku?...

Dama nie nie odrzekła.

— Ha?... — zapytał oficer, nastawiając się zaczepnie.

— Ta pani prosi pana, ażebyś się zachował przyzwoicie... — przemówił Zoryan, którego wejście Prusaka z drzemki podróżnej rozbudziło.

— Panu co do tego!... — odparł tenże.

— Tłumaczę żądanie słuszne tej pani, która, jak się zdaje, nie zna zrozumiałego dla pana języka...

— Cóż to za język?...

— Polski...

— Cha, cha... — zaśmiał się prusak. Domyśliłem się, że losy pomiędzy Polaków mnie wtrącili...

— Losy jednak nie upoważniły pana Polkom impertynencyj robić...

— Cóż upoważnia pana do czynienia mi uwag podobnych?... — zapytał oficer tonem wyzywającym.

Zapytanie to zadaniem było w chwili, kiedy pociąg bieg zwalniał w celu zatrzymania się na stacji. Zatrzymał się i Zoryan, odpowiedział spokojnie i swobodnie:

— Obowiązek człowieka przyzwoitego karcenia nieprzyzwoitości...

— Podejrzynam o polskość i pana..

— Nie ukrywam się z tem...

— Ale — ciągnął oficer z przekąsem — nie chwalisz się.. Być Polakiem, to rzecz całę haniebną...

Zakipiał Zoryan wewnątrz, powściągnął się atoli, unikając burdy której oficer szukać się zdawał. Nie był jednak mocen wytrzymać do końca. Prusak potrafił go z granic cierpliwości wyprowadzić, zajmując miejsce jednej z dam, gdy te z wagonu na chwilę wyszły i ustąpić nie chcąc, gdy powróciły. Było to miejsce damy niemłodej.

— Panie... — zwróciła się do niego z prośbą.

— Masz miejsce tam... — odparł, wskazując na fotel, który sam przed

chwilą zajmował, i dodał: — Polskie ścierki...

Wyraz ten ostatni stał się kroplą, która miarę przepelniła. Zaledwie Niemiec wymówił takowy, aliści znalazł się na drodze, z wagonu niby piłka przez Zoryana wyrzucony. Za kołnierz go ujął, wypchnął, drzwiczki zatrzasnął i przez okno ciskał należące do niego ruchomości, które się składały z mantelzaka, szabli i pikelhauby.

Trudno opisać strwożenie, jakiego doznały damy, gdy wypadek ten zaszedł. Stało się to atoli w momencie, gdy pociąg ruszał — tak, że zanim się Niemiec opamiętał, właściwie zaś zerwał i na nogi stanąć zdołał, bohater nasz i damy nieznajome znajdowali się już daleko. Wojownik na stacyi pozostał. Zoryan do dam się zwrócił.

— Przepraszam... — zaczął. — Niech mi panie to uniesienie się mimowolne wybaczyć raczą...

— Ah! panie... — odparła dama niemłoda głosem od wzruszenia drżącym. Co za smutny wypadek!...

— Przykry raczej... Impertynencya jogomości tego granice wszelkie przekraczała...

— Byle jeno nie wynikły ztąd następstwa jakieś...

— Jakież!... Wina przecież po stronie tego pana...

— Ale to Niemiec...

— Niemcy nie posiadają na imperptynencye przywileju...

— Nie posiadają?... — odrzekła dama tonem takim, jakby ją wyrazy te zdziwiły.

— To przykro — podchwyciła dama młoda — że awantura ta z naszego zaszła powodu...

— Nie przez panie wywołaną została...

— Tak... to prawda... Z tem wszystkiem poczuwamy się do obowiązku przeprosić pana i... i... podziękować mu...

— Ja zaś nie poczuwam się do prawa przyjmowania przeprosin i podziękowań... Każdy na miejscu mojem, Niemiec nawet, postąpiłby sobie tak samo...

— Może nie... — odparła nieznajoma młoda.

— Ph... sposób legalny polegał na zaniesieniu skargi do konduktora, ale, kto wie — dodał z akcentem ironii w głosie — czy byłby to sposób tak skuteczny, jak ten, do którego się uciekłem...

— Ale, jak to się skończy, mój Boże!... — westchnęła dama niemłoda.

— Skończyło się już... Niemiec wyleciał niby z procy, potłuc się nieco musiał i zabawia się zapewne w przykładanie sobie kompresów z zimnej wody...

Powiedział to tonem zartu, najwłaściwszego gdy o uspokojenie zatrwożonych chodzi. Dama niemłoda jednak nie uspokoiła się. Odrzekła:

— Ah!... pan chyba Niemców nie znasz...

— Znam ich zdaleka...

— Nie wiesz przeto, jacy to oni dla nas...

— W przysłowie weszło: „Jest sprawiedliwość w Berlinie“...

— Dla Niemców, nie dla nas...

— Wszak to sprawa taka prosta...

— Prosta... może... nie wiem...

— Zdziwić się musiał niemiec, gdy mu pociąg z przed nosa umknął... — zagadał Zoryan, usiłując rozmowę na tor żartobliwy sprowadzić.

Udało mu się to. Dama niemłoda zamilkła, młoda się odezwała; materia rozmowy zmieniła się; następnie się rozmowa urwała; pociąg pomykał wciąż dalej i dalej, zatrzymując się krótko na stacyach niektórych, aż się zatrzymał ostatecznie, a wzdłuż wagonów słyszeć się dało wołanie: *Posen!* Damy węzłki swoje na sprzączki pozapinały; Zoryan torbę do ręki wziął; drzwiczki wagonu otworzyły się i przed drzwiczkami pojawiło się żandarmów kilku w towarzystwie urzędnika policyjnego, trzymającego w ręku depeszę telegraficzną.

Urzędnik się do konduktora zapytaniem zwrócił:

— Tu?...

— Tu... — była odpowiedź.

Numer wagonu sprawdził i do środka wszedł.

— Popelnionem tu zostało przestępstwo przeciwko swobodzie jeżdżenia

drogą żelazną... — odezwał się z oczami w depeszę utkwionemi.

— Tak... — odpowiedział Zoryan. — Oficer jakiś pozwalał sobie impertynencyj względem podróżnych się dopuszczać...

— Porucznika armii jego królewskiej mości z wagonu wytrącono...

— Tak... — potwierdził Zoryan.

— Kto się występku tego dopuścił?...

— Ja...

— Nazwisko pańskie?...

Zoryan z zanadru kartę wydobyl i takową urzędnikowi podał.

— To dobrze... — rzekł tenże i zapytał, do dam się zwracając: — A nazwiska pań?...

— Te panie oficera z wagonu nie wyrzucali... — zauważył Zoryan.

— W występku udział wzięły...

— Najmniejszego...

— Tak oskarżenie brzmi...

— Brzmi więc fałszywie... Odpowiedzialność za czyn wyrzucenia oficera spada na mnie, tylko na mnie...

— To nie do mnie należy... Sąd rozstrzygnie... Do mnie należy przyaresztować państwa na mocy rozkazu władzy sądowej, która sprawę rozpatrzy...

— Mnie?... i te panie?...

— Pana i te panie...

— Ależ panie te nie wiedzą nawet o co chodzi, nie rozumiejąc języka, jakim mam zaszczyt z panem rozmawiać...

— Na to, ażeby do aresztu pójść, bez zrozumienia języka obyć się można...

Zoryan poznał, że niema co w dyskusję się wdawać, zwrócił się więc do dam i w krótkich wyrazach wytłumaczył im, co zaszło.

— O Boże!... — jęknęła dama niemłoda.

— Niech mama spokojną będzie... — odczwała się młoda.

— Areszt... Co za hańba!... Nigdy jeszcze w areszcie nie była...

— Dowiemy się, jak wygląda... To szczęście, żeśmy razem... we dwie... Gorzejby było, gdyby wypadek ten spotkał mnie samą, lub mamę samą...

— Nazwiska pań?... — wtrącił urzędnik.

— Zapytuje, jak się panie nazywacie... — wytłumaczył Zoryan.

— Zbuskie... — odpowiedziała dama młoda. — Mamie na imię Aniela, mnie Karolina...

Zoryan urzędnikowi nazwiska poddyktował; urzędnik olówkiem zanotował; pozostawało uledeć losowi, jaki tych troje ludzi na gładkiej spotkał drodze.

Podjazd dworca poznańskiego z podróżnych się wypróżnił. Uwijała się jeno służba kolejowa, gromadka której stała nicopodal, przypatrując się ciekawie zajściu, nieczdarzającemu się codziennie. Żandarmi, surowi i poważni, czekali; urzędnik policyjny wymówił sakramentalne:

— *Ich bitte...*

Była to inwitacja do kozy.

Zoryan spróbował pigułkę gorzką osłodzić nie tyle sobie, co towarzyszykom swoim. Więc urzędnika zapytał:

— Jesteśmy tedy aresztowani?..

— No... tak... — odpowiedział zapytany.

— Gdzie?..

— Jakto gdzie?..

— Przepięstwo nasze, pań tych zwłaszcza, nie jest takie, ażeby nie dopuszczało aresztu domowego...

— To nie do mnie należy... Mam rozkaz aresztować i koniec... rozkaz spełnić muszę...

— Kaucję złożę... w dokumentach. w pieniądzech...

— To nie do mnie należy... — powtórzył urzędnik.

— Gdzież ów areszt?... — zapytał Zoryan tonem rozdrażnienia zdradzającym.

— W policyi.

— Można się będzie z dyrektorem policyi rozmówić?..

— Jutro chyba...

Sprawa obrót w wysokim stopniu drażliwy wzięła. Z aresztami Zoryan nie do czynienia nie miewał; z opowiadań atoli i opisów znał je o tyle, że nie wyobrażał sobie, ażeby areszt poznański czynił zadość wymogom już nie komfortu, ale przyzwoitości zwyczajnej. Zaniepokoiło go to. Tę mu wszakże sprawiedliwość oddać należy, iż zaniepokojenie tyczyło się osoby nie jego, lecz towarzyszek, które w sposób tak dziwny los z nim zespolił. Areszt

swój uważałby za rzecz zabawną; lecz areszt pań Zbuskich nie bawił go zgoła.

— O panie!...—odezwał się; gdy pod eskortą żandarmów ku fiakrom zmierzali—otożem się paniom przysłużył...

— Nie gorzej jak my panu... — odparła panna Karolina.

— Mądry polak po szkodzie... Mogłem Niemca inaczej do milczenia zmusić... Dopuszciliem się niedorzeczności... szaleństwa...

— Stało się...—panna Karolina na to.

Rozłączyli się dla przejazdu fiakrami i złączyli się na nowo w policyi, gdzie komisarz dyżurny zdjął z nich protokół wstępny, sumaryczny i zamknął kazal, osobno Zoryana, osobno damy.

Bohater nasz, wielką jakiej doznawał irytację hamował wobec komisarza, prosząc go o względy dla pań. Komisarz prośby jego wysłuchał w milczeniu, nie odmawiał, ani przyrzekał; dał policyantom rozkaz krótki, i ci Zoryana odprowadzili do izby zaopatrzanej w prycze, w okna okratowane, w cebrzyk legiendowy, w ściany nagie i w okienko we drzwiach. Na przybitej do ściany podstawie gorzała lampka naftowa, więcej woni aniżeli światła szorząca. Na pryczy, na niezalecających się czystością posłaniach, leżało ludzi kilku.

— Więzienie formalne... — rzekł Zoryan do siebie.—Zabawna awantura... Ale... te panie...

Te panie interesowały go żywo, żywiej aniżeli spodziewać się mógł. Zapytał o nie policyanta, który, wprowadziwszy go, do wyjścia się zabierał; ten atoli ani nawet mruknięciem odpowiedzieć mu nie raczył. Wyszedł, drzwi za sobą zamknął; klucz w zamku zazgrzytał. Zoryan pozostał w towarzystwie spolwięźniów, chrząkających i ciekawie na niego spoglądających. Nie wiedział dobrze, co z osobą swoją robić. Miał ochotę chodzić; lecz do chodzenia przestrzeni tak było mało, że na ochocie poprzestać musiał. Stał, oglądał się; do usiądzenia miejsca szukał. Usiąść nie było gdzieindziej, jak na krawędzi pryczy, u nóg tych; co takową zajmowali. Wahał się nad tem; co począć, rozmyślał, kiedy z leżących jeden w te do niego przemówił słowa.

— Co tam medytujesz: kolego... Ot, kładnij się i gnaty wyciągnij... Za stanie ci nie zapłaci nikt...

— Dziękuję...—odrzekł Zoryan.

— Podziękowawszy...—odezwał się inny tonem na wpół drwiącym.—Bez ceremonii... Miejsce się znajdzie. Zsunijmy się i już... Koledzy koledze świadczyć powinni...

Koleżeństwo to nie w smak bohaterowi naszemu szło, nie potrzebował jednak czasu długiego, ażeby się przekonać, że się na coś przecie zdecydować należy. Zdecydował się usiąść. Usiadł na krawędzi obok ściany, łokcie na kolanach oparł i głowę pochylił. W pozycyi tej noc spędzić po-

stanowił i postanowienia dotrzymał, pomimo uwag, jakie towarzysze czynili, póki się nie pospali. Gdy się pospali, uwagi i zaczepki ich zastąpiło chrapanie i sapanie, brzmiające w atmosferze, która się stawała coraz to gęstsza i cięższa. Zoryanowi głowa ciężyc poczęła, krzyże go bolały, powietrze, którem oddychał, dla zdrowego szkolniwego, wpływ fatalny na niego wywierało; doznawał w piersiach duszności. Noc przesiedział, rozmyślając i rozmyślanie wyprowadzając z punktu pańowych, z którymi los sprzął go pod dachem aresztu policyjnego w Poznaniu.

Była to dla niego najpierwsza nad sobą zastanowienia się poważnego chwila. Skutkiem zbiegu okoliczności od niego niezależnych, wypadła ona tak, iż osobistość swoją łączył z osobistościami dwóch kobiet nieznajomych, obcych, a przecież nieobcych, zjednoczonych z nim spólnością pewną, skutkiem której one i on jednokowemu uledez musiały losowi. Gdyby na miejscu ich znajdowały się Francuzki, Angielki, Włoszki, nie nastąpiłoby to, co nastąpiło. Ztąd poczuł do nich pociąg bratni, który, zrazu materialny surowy, następnie w sercu jego urabiał się, oglądał, szlifował i ku jednej z nich szczególnie — ku młodszej oczewiście — zwracał. Młoda owa — panna Karolina Zbuska — wydawać się mu poczęła i nieszpętną i pod względem moralnym obiecującą. Za obie-

cującą ją miał, sądząc o tem wedle — sam nie wiedział czego. Odzywała się tak mało! Głos jej atoli dzwonił tonem tak czystym, że ton ów, zdawało się, stanowił cechę jej ogólną, że panował w sercu i w głowie — że w kobiecie tej nieczystości nie było żadnej, nuty fałszywej ani cienia. Porównywał ją z niewiastami, z którymi miewał rozliczne światowe i bliższe stosunki, a wśród których jedne odznaczały się pięknoscią uderzającą, drugie brylowały dowcipem, inne celowały rozumem, inne znów jaśniały naksztalt gwiazd na niebie arcyzmu; porównywał ją z niemi i nie umiał sobie na następujące odpowiedzieć zapytanie: dla czego tamte uwagi jego na sobie nie zatrzymywały, dla czego ona zatrzymała? — dla czego?... Budziło w nim to nieokreślone jakieś podejrzenie, które ze strony swojej prowadziło go do porównywania jej z sobą.

— Ona wygląda, jak czystości niepokalanej wcielenie; a ja?... Co?... Jak jej wydaje się ja?...

Zapytanie to stało się dla bohatera naszego utrapieniem prawdziwym i spowodowało rodzaj spowiedzi, dokonanej nad sumieniem własnym. Zajął go to żywo. Czynił przegląd życia swego i zastanowił się szczególnie nad owem „niechajno“, dzięki któremu nakreślenie sobie programu odkładał z dnia na dzień, odkładał i tego się doczekał, że w sile wieku męskiego pozostał bez celu, bez wytycznej — bez

steru. Mało tego. Materiały, które mu do budowli programowej służyć miały, zapodziały się gdzieś — pogubił je i poznajdywać nie umiał. Zdziwiło go to. Pojęć nie mógł, jak to się stało.

Czoło dłonią od czasu do czasu pocierał i szukał — i szukał, rozpoczynając poszukiwanie od rozmaitych punktów drogi, którą za sobą pozostawił. Z punktów tych każdy nie wydawał się mu nader odległym. Działo się to wczora niby. A przecie... po nitce do kłębka dojść mu było trudno. Nitkę tę puszczał — chwytął inną. Czynił w pamięci przegląd kolegów, rówieśników swoich. Ten się na dostojnika wysokiego wykierował i — cóż? — jest sobie dostojnikiem wysokim, przesypującym wedle przepisów wynaleziony przez kogo innego proch, człek zresztą bardzo porządny, przyzwoity i akuratny. Ów z piasku biecze kręci — wiedzie mu się tak i owak, w ogólnym jednak bilansie zysków i strat, przewaga okazuje się po stronie zysków — płynie po wierzchu fali. Inny z miejsca kopnął się świetnie, zwrócił na siebie uwagę ogółu, uzyskał imię i imię to sprzedał, krocie za nie wziął, obecnie na krocjach siedzi, zadowolony i poważany. Inny znów... — przypominał sobie Zoryan jednego, co się zламаł. Miał zamiary, pomysły, pragnienia — zasady; naprzód się rzucał i... zламаł się. Zaprzepaścił się.

Rzecz dziwna. Ten ostatni tylko wzbudził wduszy jego coś naksztalt zazdrości.

„Zaprzepaścił się... tak.. — myślał o koledze — ale wolałbym zaprzepaścić się jak on, aniżeli figurować jak tamten...“

I dla czegoż to tak pomyślał? Dla tego, że mu się wydało, iż przypadkowo na drodze spotkana kobieta przelożyłaby tego zaprzepaszczanego nad innych.

Dla czegoż mu się tak wydało?

Powstrzymamy się na drodze domysłów i konjunktur. Puściwszy się nią, zajęłobyśmy mogli — ah! — jak daleko. Powiemy jeno, że zdaje się nam, iż dla bohatera naszego przyszedł moment psychiczny — ów moment zwrotowy, rozstrzygający, który przychodzi dla każdego, co przeciw wody płynąć próbuje. Moment ów przyszedł pod wpływem zdarzenia przypadkowego. Przypuszczając się godzi, iżby go było wywołało zdarzenie nie to, to inne — że, jakkolwiek okoliczności zewnętrzne zeszyłyby się z konieczności rzeczy z nastrojem wewnętrznym i sprowadziły upamiętanie się.

Na rozmyślaniu upłynęła bohaterowi naszemu noc. Upłynęła szybko, acz niewygodnie. Krzyże go boląły, głowa mu ciężyla, w ustach mu wyschło. Gdy dzień zaświtał, towarzysze się pobudzili i wątek rozmyślań przerwali.

— A toś się nie kładł, kolego... — odezwał się jeden. — Głupstwo zrobił... Będiesz miał przez dzień cały piasek w oczach...

Inny zapytał:

— Cóżes to przeszkrobał?... Czyś nie kasyer bankowy?... A możeś w karteczki szczęścia próbował?...

— To polityczny chyba... socyalista... zauważył jakiś surdutowy. — Na to wygląda wedle rąk... Socyalistę poznaję od razu...

— A to jak?...

— Jak!... Wedle rąk, powiadam... Patrzcie jeno...

Więźniowie na ręce Zoryana wejścia zwrócili, ten zaś co oznakę tę podniósł, takie objaśnienie dodał:

— Socyalisci, rzecz wiadoma, chcą, ażeby nikt nie pracował, a każdy picniadze miał...

— Dobrze znają... — wtrącił jeden.

— Sami więc nie pracują—kończył tamten — dla tego ich po rękach poznać łatwo...

Na słuchaniu takich i tym podobnych rozmów, upłynął Zoryanowi w więzieniu poranek. Obok tego stróż razy dwa zaglądał, raz dla wyniesienia cebryka, drugi raz dla przyniesienia strawy, dla jednych więziennej, dla innych zamówionej. Ci poprzestawali na polewce, owi pili kawę lub gorzałkę. Zoryan na czezo doczekał się godziny jedenastej, o której wezwany do biura został.

Wezwanie uradowało go. Myślał, że się skończy utrapienie jego. Omylił się jednak. Chodziło o uzupełnienie protokołu, jakoteż o postanowienie względem dalszego obrotu sprawy, która zaznaczoną została do sądów for-

malnych, jako występki nietylko przeciwko przepisom obowiązującym na drogach żelaznych w monarchii pruskiej, ale oraz przeciwko szacunkowi, należnemu armii królewskiej. Przeciwno zarzutowi ostatniemu Zoryan zaprotestował. Protest jego atoli nie miał znaczenia najmniejszego. Urzędnik do protokołu takowy zapisał i poruszył kwestyę niesłychanie dla Zoryana w położeniu jego ważną — kwestyę odpowiadania z więzienia, lub z wolnej stopy.

— Oczewiście, z wolnej stopy... — odpowiedział.

— Za poręką? czy za kaucyą?...

— Za kaucyą... A te panie?... — wnet zapytał.

— Pańskie współoskarżone?...

— Tak jest...

— Wezwane natychmiast do protokołu zostaną...

— Złożę kaucyę i za nie...

Urzędnik oświadczenie to przyjął, wysokość kaucyi oznaczył i na złożoną niezwłocznie przez Zoryana kwotę kwit wydał, a nawet tyle względności okazał, że pozwolił w izbie przyległej poczekać na załatwienie z paniami Zbuskimi formalności protokolarnej.

W pół godziny później nastąpiło spotkanie.

Zoryan od pierwszego ust otworzenia zaczął od przeprosin.

— Niechże bo pan nie przeprasza... odparła panna Karolina. Na kolejach

żelaznych zdarzają się wypadki różne, pociągi się spotykają, wykołają, w przepaście wpadają; nas spotkało jeno pójscie pod sąd...

— Ale za co?..

— Za to, żeśmy Polacy... W państwie pruskiem to występki, któreśmy nie winni, ani pan, ani też mama i ja...

— Pani to tak tłumaczy...

— Zdaje się, że tłumaczę trafnie... Przychodzimy na świat z grzechem pierworodnym i musimy odpowiadać za takowy, gdy się okazya nadarzy...

— Odpokutowaliśmy zań ciężko... wtrąca pani Zbuska — noc dzisiejsza pamiętną nam będzie...

Panie Zbuskie spędziły noc w więzieniu podobnem do tego, w jakim przesiedział Zoryan.

— Wynagrodzimy to sobie, mammo... — pocieszała ją córka. — Jedziemy do hotelu... Mamy rozkaz — zwróciła się do Zoryana — pozostawać w rozporządzeniu władzy sądowej i stawiać się na pierwsze jej wezwanie.

— Ten sam rozkaz tyczy się i osoby mojej...

Zoryan i panie Zbuskie do jednego zajechali hotelu, zajęli numera i wnet się na spoczynek udali. Nie zeszli się, aż wieczorem. Wieczór spędzili razem przy herbacie, na rozmowie, której treść snuła się około zaznaczonego przez pannę Karolinę „grzechu pierworodnego“.

— Grzechu nie do zmycia.. — zauważył Zoryan.

— Całą Sprei wodą... — potwierdziła panna Karolina.

— Zmywają go wszakże niektórzy...

— Winszuję im, ale nie zazdroścę... Nie odważyłabym się na to... A pan?... zapytała.

— Nie odważyłbym się i ja... Protestuję jednak przeciwko temu, ażeby zbiegostwo tego rodzaju odwagą być miało...

— Bywają odwagi rodzaje rozmaite... przedewszystkiem zaś dzieli się ona na świadomą i nieświadomą... Sławną jest odwaga jańczarów tureckich, którzy rodziców własnych mordereami się stawiali... Któż im ją za złe bierze!..

Wywiązała się ztąd rozmowa o renegacyi jawnej i maskowanej, która bohatera naszego zajęła żywiej, aniżeli rozmowy wszystkie, jakie mu się zdarzało po salonach z salonowemi pierwszej wielkości gwiazdami toczyć. Udział w niej i pani Zbuska wzięła. Pani i panna przedstawiły się mu, jako kobiety wykształcone, o poglądach jasnych i trafnych, mających na rozporządzenie swoje nie frazesy zapamiętane, lecz myśli i pojęcia przyswojone a więc własne. Poznał, że nie w nich na pokaz nie było. Sprawiało mu to zadowolenie niewysłowione — zadowolenie, jakiego doznaje człowiek, oddychając powietrzem gór alpejskich, lub Karpatów naszych. Tem bardziej go przeto uderzały opinie

przez pannę Karolinę wypowiedane, opinie, które—w takiej naprzykład jak renegecyja materyi — były w istocie swojej surową żywota jego krytyką, dotykającą go osobiście w osobie trzeciej. Panna Karolina tak surową była dla tego zapewne, że nie wiedziała, iż ma do czynienia z człowiekiem, co pełnienie obowiązków obywatelskich na później odkładał. Zdań parę wygłosiła tak, że Zoryan powściągnąć się musiał, ażeby nie zawołać:

„Pani! ja to takim właśnie odstępcą jestem...”

Lecz się człowiek nie oskarża chętnie przed innymi. Ogromna ludzi większość nie oskarża się przed samymi sobą nawet—i wielce to na korzyść bohatera naszego przemawia, że do większości tej nie należał. Wniósł reżolutnie oskarżenie przed kratki sumienia własnego i noc drugą na rozmyślaniu spędził. Noc ta upłynęła mu inaczej, aniżeli w więzieniu. Nie oddychał atmosferą duszącą, nie miał za towarzyszy złodziei, niemniej przeto była ona poprzedniej ciągiem dalszym, drugim niby tomem jednego i tego samego dzieła. W drugim tym tomie zarysowywać się poczęło postanowienie wynagrodzenia szkody, jaka się stała. Postanowienie to wszakże nie przybrało form wyraźnych, zawsze z powodu braku materyałów, które—jakeśmy wyżej rzekli — gdzieś się zapodziały i poodnajdywanie których przedstawiało trudności niemałe, tem

większe, że materyałów onych istota bohaterowi naszemu z pamięci wypadła. Nie wiedział już dokładnie, jakimi one były. Wiedział jeno, że je posiadał, że miał je w rozporządzeniu swoim i że nie zużytkował ich w momencie właściwym.

— Szkoda... szkoda... — powtarzał sobie. — Czyż strata ta jednak odzyskać się nie da!..

Nad ranem zasnął. W dniu następnym zająć się musiał procesem, którego notyfikacyę otrzymał i dla którego wyszukać należało adwokata—obroncę. Nie poszło mu to z łatwością. Poznań był dla niego miastem nieznanym; nie miał się poradzić kogo i wskazówki znalazł u pań Zbuskich, które, acz także miasta nie znały, ze slyszzenia atoli wiedziały o osobistościach kilku wybitniejszych. Wymieniły więc osobistości tych nazwiska, z dodatkiem charakterystyki krótkiej, tyczącej się obozu, do jakiego każda z nich należała.

— X. z obozu liberalnego, Y. z klerykalnego...

W oczach Zoryana różnica ta doniosłości nie miała. O cóż bowiem chodziło?—o obronę adwokata w sprawie, która ani klerykalną, ani liberalną nie była. Wyraz atoli „liberalizm” przypomniał mu liberalizm przez nacjonal-liberałów niemieckich praktykowany, i dla tego udał się do klerykałów, zgłosił się do księdza, sprawę mu opowiedział i ten:

— Ano—rzekl — jest to prześladowanie katolicyzmu w narodowości... Każdy, mości dobrodzieju, polak wystawionym jest na szykany ze strony Niemców protestantów, nie dla czego innego, jeno przez nienawiść do katolicyzmu.. Znajdujemy się w stanie *kulturkampfu*... Pomiędzy protestantyzmem a katolicyzmem toczy się walka zawzięta, walka na śmierć lub życie, walka, z której ostatecznie z tryumfem wyjdziemy, która jednak z wielkimi jest połączona trudnościami... Polonizm za pokrywkę służy..

Bohater nasz, do wypowiedzenia w kwestyi tej zdania własnego nie przygotowany, nie mógł z księdzem dysputować, nie wiedział bowiem, że polityka berlińska w tym celu katolicyzm z polonizmem spręga, ażeby za pomocą pierwszego kompromitować drugi i w sposób ten wynaradawianie, Polaków sobie ułatwiać. Jest to fortel polityczny białemi szyty niemi — manewr taki widoczny, że, gdyby nie interesa pewne, o których w opowiadaniu niniejszem rozwodzić się nie miejsce, widzianoby takowy zdaleka i zbliżka. Nasz Zoryan nie widział tego; pogląd księdza za dobrą przyjął monetę i za wskazówką jego wziął adwokata do obrony sprawy dla siebie i dla towarzyszek swoich.

Sprawa wytoczona została przed kratkami sądowemi formalnie. W trybunale wystąpiły strony obie: skarżąca w osobie oficera, oskarżona w oso-

bach pan Zbuskich i Zoryana. Odbyło się badanie. Oficer przedstawiał siebie jako ofiarę nienawiści polaków do niemców w ogóle i do prawowitej władzy w szczególności; opowiadał, jak to on się skromnie i przyzwoicie zachowywał, jak wyrzucony został, jak się potłukł i z jakim akcentem ciskaniami były przez okno jego mantelzak, jego szabla i jego pikielhauba.

— Widziałem złośliwy na ustach pana tego uśmiech, uśmiech, który powiadał: „Precz Prusaku!... precz pruski wojownik!... precz obrońco monarchii pruskiej i ojczyzny niemieckiej!“..

Zoryan i panie przedstawili rzecz jak się w istocie miała.

Nastąpiło przesłuchiwanie świadków. Byli to urzędnicy i posługacze ze stacyi, na której zaszło zdarzenie Ci zeznali jednogłośnie, co widzieli wypadnięcie z wagonu oficera i wyrzucanie następnie efektów.

— Jakich?... — zapytał prezydent trybunału:

— Mantelzaka, szabli i pikielhauby... — brzmiała nieodmiennie odpowiedź.

— Czy się pan oficer potłukł?..

— Mocno... kulał... zimną wodą się okładał..

— Czy się uśmiechał ten pan...—zadawał zapytanie, na Zoryana wskazując.

Jedni uśmiech widzieli, drudzy nie widzieli — nie dostrzegli takowego

z powodu szybkiego oddalania się pociągu. Jeden zeznał, że widział nie uśmiech, ale groźne brwi zmarszczenie.

— Co, w mniemaniu świadka, uśmiech ów wyrażać mógł?..

Ten był tego zdania, że wyrażał *Heraus!* ów— *Kerl*, inny *Schurke* i t. p.

— I do kogo się to stosowało?... — badał prezydent.

— Stosowało się to do pana oficera, nie do kogo innego ..

Z porządku rzeczy prokurator głos zabral i, rozdzieliwszy oskarżenie na dwie części, w pierwszej zaznaczył i dowiódł kontrawencyi przeciwko regulaminowi kolejowemu, kontrawencyi wielkiej, bo połączonej z intencją morderstwa, niedokonanego, niezależnie od woli sprawcy wyrzucenia oficera; w drugiej wyprowadził wzgardę dla instytucyj państwowych monarchii pruskiej, okazaną czynem trojakim: ustnie, faktycznie i mimicznie.

— W uśmiechu tym — powiadał — w uśmiechu, na który i na znaczenie którego świadków większość się zgadza, ujawniła się cała do ojczyzny naszej nienawiść, nienawiść tem występniejsza i tem karygodniejsza, iż okazana przez ludzi obcych, wnoszących wśród poddanych jego królewskiej mości zły przykład i zgorzenie. Wiadomo, że wszystkie rozruchy, wszystkie niepokoje, wszystkie ambarasy, jakie rząd nasz z poddanymi swoimi pochodzenia polskiego miewał, fomentowanemi były przez obcych, przez

obcych, przez przybyszów, przez — że tego użyję wyrazu — awanturników. Kto wie, azali delikwenci tu obecni nie są emissaryuszami jakiego komitetu rewolucyjnego, jakiego kółka zbrodniczego, jakiego Leliewela, Mięrosławskiego, Czartoryskiego, Towienieckiego.

Na tych opierając się podstawach, zażądał kary surowej i przykładowej.

Obrońca wziął się do rzeczy bardzo zręcznie, z tego wyszedłszy punktu, że fakt każdy jest skutkiem, będącym następstwem przyczyny pewnej. Analizował więc przyczynę, której istota opierała się całkowicie na podaniach stron i stwierdzała świadectwem psychiczniem. Rzecz rozechodziła się o to, kto prawdę mówi: czy troje oskarżonych, czy jeden skarżący. Jednogłośność ludzi trojga na ich stronę przeważała szalę wiarogodności i na ich korzyść rozstrzygała sprawę. Przyczyna wywołała następstwo dla oficera przykre, ale przykrość ta byłaby go nie spotkała, gdyby był powodu nie dał.

— W tem... w powodzie... waga cała; zwracam na to uwagę prześwietnego sądu, ostrzegając go przed szkopulem, na jaki pan prokurator wprowadzić chce sprawiedliwość, gdy mu wskazuje czyn trojaki: ustny, faktyczny i mimiczny. Z trojakości tej pozostaje jeno sam fakt na karbie klientów moich, fakt pożałowania godny, lecz na pobłażliwość trybunału zasługujący, jako przygotowany i sprowa-

dzony przez skarżącego samego. Odpada występki ustny, odpada również i występki mimiczny. Widzenie uśmiechu na obliczu człowieka znajdującego się wewnątrz wagonu, jest rzeczą więcej aniżeli problematyczną; przypuściwszy zaś, że się pan Dołęga uśmiechał, skądże wniosek, jakoby uśmiech ten oznaczać miał nienawiść względem państwa pruskiego? Jest to przypuszczenie dowolne, przypuszczenie, którego sąd uwzględniać nie może, równie jak uwzględniać nie może przypuszczenia drugiego, z tamtego wysnute-go, jakoby delikwenci wysłańcami byli komitetów i kółek, które nie istnieją, ludzi, z których ani jeden przy życiu nie pozostaje. Nienawiść w sprawie tej nie odgrywa roli najmniejszej, chyba taką jeno, że prześwietny sąd może ją niemożliwą uczynić, wymierzając sprawiedliwość przez uwolnienie pań Buskich, które pana oficera nie wytrącały, ubliżyć mu ustnie nie mogły i uśmiechającemi się widzianemi nie były i pana Dołęgi, który byłby się czynu wytrącenia nie dopuścił, gdyby do takowego nie zmusiły go impertynencye, przez skarżącego dąmom wyrządzone.

Prokurator zażądał głosu w celu dania repliki.

O!— zaczął tonem oratorskim.— Dziękuję szanownemu obrońcy, że sprowadził mnie na grunt, na którym mi obracać się łatwo i wygodnie będzie. Odsyła on trybunał prześwietny

do przyczyny faktu i wskazuje na wiarogodność stron. Wiarogodność?...Któż na takową zasługuje?... czy polacy, istoty podejrzane dla tego już samego, że polakami są, czyli też niemiec, armii pruskiej oficer, człowiek honorowy?... Ich troje, on jeden. Ale, gdyby ich było dziesięcioro, dwadzieścioro, setka cała, to wiarogodność ich nie przeważałaby wiarogodności Niemca jednego. Wzywam zresztą prześwietny sąd do popatrzenia na te dwie postacie, na tego Niemca, z oblicza którego bije otwartość, dobroduszość, szczerłość, serdeczność, prawdomówność i honorowość, na tę twarz zdrową, czerstwą, rumianą, w te oczy jasne, spokojne i na tego polaka zwiędłego, żółtkłego w zazdrości do Niemców, w nienawiści rządu pruskiego. Dość ich obejrzyć i porównać—dowód na obliczach wypisany. Po tej stronie (ręką z giestem oratorskim ku oficerowi rzucił) prawda, szczerości otwartość, po tej (na Zoryana wskazał) fałsz, obluda, podstęp, intryga, chytrość, wiarołomstwo, nikiżemność, przymioty wszystkie tej hydry, w jaskini ciemnej przebywającej, która z takowej wylazi pelzkim i Niemców za nogi gryzie, tej hydry złości żółtej i zawiści czarnej, co nam Kopernika zazdrości, Fryderyka Wielkiego spotażka i nogę podstawia, co się uśmiecha, gdy Niemca boli. Pan oficer zabolął z głębi duszy swojej szlachetnej, gdy na twarzy tej przedwcześnie zwięd-

dlej uśmiech ujrzał... Pora już, wielka pora— zawołał, do prezydenta mowę zwracając — hydrze tej łeb zgnieść, zastosowując w wypadku tym do oskarżonych karę zbyt łagodną, jaką za występki podobne kodeks nasz wyznacza.

Adwokat prokuratorowi replikował.

— Gdybym— powiedział— chciał namiętności poruszać, powiedziałbym, że w oskarżeniu nuta kulturkampfu dzwoni. Ale nie chcę na to schodzić pole, nie powiem przeto, iż oskarżenie dla tego jest tak silnem, że się do katolika odnosi. Nie! nie dotknę struny tej, ale tylko pozwolę sobie w krótkich wyrazach zanalizować dowód, jaki pan prokurator zaczerpnął z wpatrywania się w oblicza skarżącego i oskarżonego. Wpatrujemy się w takowe. Cóż na czerwonym, krągłym i pulchnem obliczu pana oficera czytamy innego, jak że dużo piwa wypija? cóż innego czytamy w wielkich, wylupiastych oczach jego...

W miejscu tem prezydent przerwał adwokatowi mowę, czyniąc mu łagodnie i poważnie uwagę, że granice obrony godziwej przekracza. Adwokat protestował przeciwko ścieśnianiu swobody. Prezydent protestacyi nie uwzględnił, powołując się na bezstronność, która—zauważymy to sposobem nawiasowym— dozwoliła na twarzy Zoryana widzieć fałsz, obludę, podstęp, intrygę, chytryść, wiarołomstwo i nikezemność, a nie dozwoliła na twa-

rzy oficera widzieć oczów wylupiastych. Na podstawie bezstronności tej adwokat odstąpić musiał od mówienia o minie oficera i w ciągu dalszym repliki swojej zwrócił się do podniesionego przez prokuratora ze szczególnym naciskiem zabolenia oficerskiego w głębi duszy, na widok uśmiechu Zoryana.

— Zabolał—były adwokata słowa—temu nie przeczę, zabolał, nie w głębi duszy jednak, jak dostojny i uczony pan prokurator twierdzi, ale w udach, któremi usiadł na bruku kamiennym. Za zbyt mocne dotknięcie udami kamieni brukowych, sprawiło panu oficerowi ból, który mu uśmiech, gdyby takowy do widzenia był, widzieć przeszkodził. Ból ten w tych częściach ciała ludzkiego...

Tu znów prezydent mowę adwokatowi przerwał i adwokat, znów protestując, wystąpił z wnioskiem, domagającym się ekspertyzy lekarskiej, w celu zdefiniowania wpływu fizjologicznego bólu w udach na zmysł widzenia. Na wniosek ten sąd na ustęp się udał i, powróciwszy, ogłosił uchylene takowego. Adwokat ponownie głos zabrał, domagając się znów w konkluzyi uwolnienia klientów od zarzutu.

Prokurator rzekł się dupliki, trybunał ustąpił; zabawił na naradzie kwadrans z górą, powrócił i przez usta prezydenta wyrzekł wyrok, skazujący głównego oskarżonego, Zoryana Do-

legę, na rok i tygodni sześć aresztu w fortecy za obrazę instytucji państwowej, na zapłacenie nawiązki oficerowi, dotkniętemu obrazą na zdrowiu i honorze, na sześć tygodni aresztu policyjnego za kontrawencyę przeciwko przepisom na kolejach żelaznych, w końcu, po odsiedzeniu więzienia i aresztu, na wygnanie z granic monarchii pruskiej. Panie Zbuskie również skazanemi zostały, matka na tygodni trzy, córka na dni szesnaście aresztu za spółnictwo w występku, spółnictwo mitygowane okolicznościami łagodzącymi. Nadto strona oskarżona solidarnie zobowiązana została do opłacenia kosztów procesu.

— Ah! panie.. — zawołała pani Zbuska, gdy, po wysiedzeniu w izbie sądowej godzin trzech, jak na kazaniu niemieckiem, z Zoryanem się zeszyła—oto żeś się pan z powodu naszego naraził!..

— O panie!..— dodała panna Karolina.

— Cóż robić!.. — odpowiedział Zoryan.

— Zaniesiemy rekurs... — wtrącił adwokat.

— Czyż to co pomoże?..

— Hm?.. Sprawa się przeciągnie i wrażenie na opinii publicznej sprawi. Uważaliście państwo, jakim wszczął rzecz o strunie. Strunę tę naciągnę w instancyi drugiej i Windhorsta zacytnę. Walczymy, walczymy, moi państwo, nie bez widoków

tryumfu w przyszłości. Wy, tam u was, wyobrażenia o tém nie macie. A my tu walczymy z takim jak Bismarck mocarzem, któregośmy sprowadzili już na drogi, zmierzające ku traktowi do Kanossy. Zaniesiemy więc rekurs.

Zoryan jednak nie przystał na to. Apelować nie chciał, a to dla tego, że apelacya przewlekłaby sprawę i zatrzymała w Poznaniu panie Zbuskie na tygodni kilka. Przyczyny tej wszakże nie wyjaśnił, pomimo nalegań i dopytywań się adwokata i paru innych jeszcze osobistości, zajmujących w stronictwie klerykałném stanowisko wybitne. Przyczynę zachował dla siebie, składając się tém, że sądów ma już dosyć, woli więc wyrok jaki wypadł przyjąć, aniżeli wystawiać się powtórnie na widok publiczny.

Woli jego stało się zadość. Termin na zanieśnienie rekursu upłynął i czas ten bohater nasz spędzał w towarzystwie swoich spółniczek winy, zwiedzając miasto, pomniki, zbiory, bywając na posiedzeniach publicznych towarzystw różnych, na odczytach i w teatrze, czyniąc wycieczki w okolice. Jeździli do Gniezna. Interesowało to bohatera naszego bardzo żywo, tak dla tego samego, że wszystko to w wysokim stopniu interesującym było, jako też dla towarzystwa, które się dla niego potrzebą stawać poczynało. Potrzebował towarzystwa, nie pań obydwoich jednak, ale panny Karoliny

a to dla czegoś, co się dokładnie wytłumaczyć nie da — dla miłości zapewne, ale nie dla owój pospolitej, która Herkulesa do kądzieli zasadziła a Menelausowi rogi przyprawiła. Panna Karolina nie wyglądała ani na Omfalję, ani na Helenę; przystojną bardzo była, ale się urodą nie odznaczała. Wzrost średni, włosy płowe, oczy szafirowe, budowa postaci kształtna i szykowna, rysy twarzy regularne, w wyrazie oblicza, w układzie całym powaga: oto rysopis, który się stosował do niej, a który w kobietach powtarza się bez końca. Piękniejszych od niej jest wiele, brzydszych jeszcze więcej; takie zaś, jak ona, trafiają się rzadko z powodu uroku utajonego, który na jaw występował po rozpatrzeniu się w niej bliższóm. Na bliższóm poznaniu zyskiwała ogromnie. Odkrywało się w niej coś nakształt skarbów, w duszy złożonych a przez gieniusza dozorowanych i przystęp do takowych utrudniających, skarbów, mających spólnego coś zowómi bajeczności, dla dostania których przez różne próby ciężkie przechodzić piórwój trzeba było.

Skarby to owe Zoryanowi się przedstawily i wywarly na niego pociąg magnetyczny. Przewidywał, że to co braknie jemu, znajduje się w tej kobiecie młodej, że przy jej spóldziałaniu, a raczej za jej sprawą, produkowałyby potrafil materiały, które się gdzieś, jak wiemy — pozapodziwały. Taką

była natura tej miłości, którąśmy zaznaczyli.

Panna Karolina potrzebna się mu stała.

Cóż atoli!

On, taki z damami wielkiego świata śmiały, nie śmiał jej powiedzieć tego, pomimo zbliżenia, jakie pomiędzy nim a nią nastąpiło. Nie śmiał. W obec niej doznawał czegoś, niby upokorzenia — ucuwał się zimnym, zmarnowanym człowiekiem, jakby w podlegszym aniżeli ona gatunku. Pozostawali z sobą na stopie dobrej znajomości, razem chodzili i jeździli, razem osobliwości starożytnego miasta zwiedzali i rozstali się. Termin wyszedł. — Zoryan rozpoczynać musiał odsiadanie kary długiej, na jaką skazany został; panie Zbuskie ze swojej strony do aresztu się meldować musiały. Wybiła godzina wyroczna.

— Przecież nie rozstajemy się na zawsze. — odezwał się Zoryan.

— Obowiązkiem jest naszym starać się czas więzienia osłodzić panu... — odrzekła panna Karolina.

— Obowiązkiem... — nawpół do siebie zawtórował Zoryan.

— O którym — odparła — powiedzieć nie umiem, czy jest słodki, czy smutny; w każdym razie o tyle miły, że się tyczy osoby pana...

— Czyby to być miał komplement?..

— Nie... Poznaliśmy się, zbliżyli... zbliżyli na gruncie...

— Wypadku... — podpowiedział.

— Znów panu zaprzeczyć muszę... Wypadku, zapewne, lecz zaszłego na gruncie *vae victis*... Samego więc wypadku za grunt brać nie można. Przedstawia się on jako następstwo kondycyi niewesolój, która nas na winowajców wykierowała i na cierpienia mnie z mamą mniejsze, pana ogromne naraziła... Spólne cierpienia, powiadają, zbliżają ludzi... bratają...

— Pozwala mi pani za brata się uważać?...

— Jam o to pana prosić chciała.

— I... — zaczął, zajęknął się — i... szukać u niej... ucieczki... w razie potrzeby...

Panna Karolina na słowa te, których sens zagadkowości był pelen, rumieńcem splonęła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć na to. Zmieszala się. Rychło jednak oprzytomniała — rękę wyciągnęła, dłoń do uścisku Zoryanowi podała i odrzekła:

— O panie!..

W tymże dniu panie Zbuskie zainstalowały się w areszcie, Zoryan zakolał do bram fortecznych, które się za nim na rok zamknęły, odłączając go na ten czas cały od świata i ludzi i stawiając w położeniu zupełnie nowém, jako nowość zrazu zajmującym, następnie jednak bardzo dokuczliwém. Dokuczal mu szczególnie rozkład czasu, sprawiający powtarzanie się ustawiczne jednego i tegoż samego w dniu każdym. O téjże samój godzinie wstawał i spać szedł, posilek przyjmował

i na przechadzkę wyprowadzany był, też same twarze w tychże samych miejscach spotykał, też same wyrazy o téj-że samój dnia porze słyszał.

Tozsamość ta zabawną mu się zrazu wydała, z czasem atoli nudziła — nudziła z dniem każdym coraz to bardziej, aż nieznośną się stała. Od nudów bronił się czytaniem; dawano mu książki z biblioteki więziennój, udzielano dzienniki i pisma czasowe, pozwalano listy pisywać i na takowe odpowiadać, pod warunkiem, ażeby korespondencya przechodziła przez cenzurę dozorey. Warunek ten utrudniał stosunki listowe ogromnie zacieśniając je jedynie do sfery interesów majątkowych i to o tyle, o ile w materyi téj pisano się po niemiecku. Po niemiecku przeto z trudem niemałym porozumiał się Zoryan z plenipotentem swoim pisał do znajomych kilku i odpowiedzi nie otrzymał, pisać się zbierał do panny Karoliny i zebrać się nie mógł.

Na punkcie tym ostatnim zatrzymamy się chwilkę.

To, że się do panny Karoliny pisać zbierał i zebrać się nie mógł „stanowiło dla niego ogromny w nudach więziennych resurs. Rozmyślał. Rozmyślanie w areszcie policyjnym poczęte oglądał, wykończył i ponieważ mu o odszukanie materiałów chodziło, odszukał nie materiały wprawdzie poszczególne, lecz grunt onych, podstawę, ośnowę główną, niestety! w stanie

smutnym: zdrowie nadwątlone, majątek nadszarzany.

— Ha! gdybym dziś posiadał zdrowie i majątek w takim stanie, w jakim się znajdowały, kiedy uniwersytet skończył, wnetbym się do panny Karoliny zwrócił i powiedział jój: Zespólmymy się i idźmy dalej, ja z tobą, ty ze mną, idźmy i podążajmy ku temu, ażebyśmy się pożytecznie stali;... siejmy... niech owoce się rodzą... Do niej z czem inném przystępować nie można... Ona taka...

Pod takiem to wrażeniem bohater nasz żenić się zamierzył. Wrażenie to opanowało go i trapiło. Uczuwał się winnym, bardzo winnym i, jak winowajca każdy, z sumienia nie obrany, o poprawie zamyślał, przechodząc kolejno od nadziei do rozpacz, od rozpacz do nadziei.

Raz wydawało mu się, że wszystko stracone, że jest ostatecznie zrujnowany i zmarnowany, znów, że straconego nie ma nic, że się jakoś odzyskać da, jeżeli nie wszystko w zupełności, to bodaj coś. „Coś“ odnosiło się przedewszystkiem do zdrowia i fortuny. Nie zwłócząc przeto, przesłał plenipotentowi polecenie zaprowadzenia oszczędności w celu ratowania mienia; co się zaś zdrowia tyczy, z konieczności rzeczy staranie o takowe odłożyć musiał, aż karę odsiedzi. Chodziło jednak o coś jeszcze: o to mianowicie, cośmy jako program zaznaczyli. We względzie tym, nie wiedział, co począć, nie

rozpatrzywszy się w świecie, w stosunkach, w okolicznościach — w tém co się zrobiło, co się robi, co robić należy. Musiał więc tymczasowo poprzestawać na chęciach dobrych, pozostawiając urzeczywistnienie takich do momentu zasięgnięcia języka.

Upłynął nareszcie rok. Wypuszczono Zoryana z więzienia fortecznego; wręczywszy mu kartę meldunkową do aresztu policyjnego. Przeniósł się z więzienia jednego do drugiego i w tém ostatniem uczuł się, jakby na wolność wypuszczonym został. Wolno mu było z krewnymi i ze znajomymi się widywać. Posłał wnet do adwokata, prosząc go w odwiedziny do siebie. Adwokat przyszedł.

— Co tam słyhać?..

— Walczymy, panie.. walczymy... Bismarka na drogę do Kanossy ciągniemy. Opiéra się, ale pójdzie, o! pójdzie...

— Czy z tego korzyść jaka dla nas wyniknie?..

— O!...—zawołał adwokat. Korzyść olbrzymia! Tryumf kościoła katolickiego... Bismark w Kanossie, to znaczy przywrócenie władzy świeckiej ojca świętego...

— Cóż stąd dla nas?..

— Dla nas?... Czyż my nie katolicy?... Czyż pan... pan?... nie katolik?..

Prawdzie téj Zoryan zaprzeczyć nie mógł. Adwokat szeroko się rozwodził, rozpatrując rzecz ze stron różnych, opowiadając o stosunku stronnictw

w izbach i o tém, jak się Bismark, wycisnąwszy liberalów naksztalt cytryny i wyrzuciwszy cytryny tej skórki za okno, do katolików umizga.

— Uchodzimy go... uchodzimy... — konkludował.

— I ja bym też coś robić chciał...

— O! masz do roboty pole szerokie...

— No?...

— Zapisz się do bractwa kościelnego...

— A dalej?...

— Na mszy regularnie bywaj, kazań słuchaj, spowiadaj się we wigilię każdego święta uroczystego, ofiary składaj...

— A dalej?...

— Dzienniki klerykalne prenumeruj...

— A dalej?...

— To wszystko...

— Pragnąłbym czynności, ruchu, dla zdrowia bodaj...

— W razie takim, jedź do Lourdes, do źródła cudownego, które cię i na duszy i na ciele uleczy...

— To wszystko?... — zapytał Zoryan..

— Wszystko... Alboż tego mało!.. Gdybyś był poddanym pruskim, wskazałbym ci parlament, do którego byś podążać mógł; obcokrajowcowi jednak wskazuję działanie, które ci ruch nada, zdrowie przywróci, sumienie zaspokoi i tą pewnością natchnie, że rękę

do roboty przykładasz, pomimo że na pozór sam nie robisz nic. . Doktryna ta doskonale się nam w położeniu naszym nadaje, bo i do niczego nie zobowiązuje i od odpowiedzialności uwalnia i za pociechę służy...

— Doktor ją wyznajesz?...

— Phi... Ponieważ się nadaje, czemużbym wyznawać nie miał!.. Wyznając i wyznawanie onę klientom moim wszystkim gorąco zalecam...

Adwokat tak się względem klienta swego uprzejmym i uslužnym okazał, iż sformował dla niego kółko znajomych, którzy go w areszcie odwiedzali. Czas upływał mu szybko i przyjemnie byli to bowiem ludzie poważni, wykształceni i dowcipni. Obcowanie z nimi rozjaśniało przed oczami Zoryana horyzont, wskazując mu w perspektywie zajęcie, zajęcie—umysłowe, takie do którego zapalić się można, byle się onemu duszą całą oddać i w następstwa nie bardzo wglądać. To ostatnie niepokoiło go nieco. Nie zdawało mu się, ażeby człowieka natura obdarzyła rozumem na to, ażeby nie wglądał w następstwa. Od czegoż rozum! Rozum powiada, że wszystko co istnieje, istnieje dla chwili nie obecnej, ale następnej — dla jutra — dla przyszłości: istnienie przeto czynności wszelakiej tejże samej podlega regule. Robi się dla przyszłości, która też dla tego samego interesować robotnika powinna. Zapytanie „na co?“, ciśnie się do umysłu samo. *Cui bono?*

— Na co się przydać może ów Wielkopolanów zapal szczególny w pchaniu Bismarka na drogę do Kanossy?...

Zapal ich nie przeszkadza bynajmniej przechodzeniu ziemi polskiej w ręce niemieckie i salwowaniu się Polaków za granicę. O uszy Zoryana obijały się narzekania, świadczące o jawności kierunku politycznego, wynikającego ze sprzegania interesu narodowego z interesem, z narodowością wspólnego nie mającym nic. Podejrzewał zapal o sztuczność, o to że odgrzewanym jest przy ogniu słomianym, ale podejrzewania swego sformułować nie umiał. Czuł jeno niesmak jakiś, który przypisywał temu, że się o stanie rzeczy w areszcie dowiadywał. Myślał, że atmosfera więzienna na pojęcia jego wpływ wywiera. Musiało to tak być, w rzeczy samój, do pewnego stopnia. Żał mu było, że się na swobodzie rozpatrywać i osłuchiwać nie mógł, na mocy bowiem wyroku obowiązany był, po odsiedzeniu aresztu, niezwłocznie za granicę posiadłości pruskich się wynosić.

Areszt odsiedział i o godzinie czwartej i pół, to jest o tój samój, o której rok i sześć tygodni temu do więzienia wszedł, dozorca drzwi mu otworzył a za drzwiami zabrał go żandarm, na kolój odprowadził, do wagonu z nim razem wsiadł i na granicy monarchii pruskiej życzeniem szczęśliwój podróży go pożegnał.

Odetchnął bohater nasz z głębi pier-

si, jak oddychał Farys w pustyni arabistańskiej. Nie do Arabistanu jednak ujechał, z Prus wyjechałszy. Znalazł się na drodze, prowadzącej w okolice rodzinne; podązał ku nim; śpieszno mu było a to tём bardziej, że, jako jednę z najpierwszych powinności towarzyskich, założył sobie odwiedzenie towarzyszek losu; jak go przed rokiem na gładkiej drodze spotkał. Wiedział gdzie paucie te mieszkały; trakt główny przechodził mimo posiadłości ich; Zoryan założył był sobie pierwój pojechać do domu własnego i z domu dopiero wybrać się do pań Zbuskich z wizytą; ale, gdy się w pobliżu pomieszkania ich znalazł, zamiar zmienił, na stacyi się zatrzymał, konie pocztowe wziął i pojechał.

Jazda w bok drogi żelaznej trwała niespełna półgodziny. Bryczka pocztowa wtoczyła się na podwórze domu z gankiem i wystawą, przed gankiem się zatrzymała; Zoryan wyskoczył, drzwi otworzył i na progu powitany został okrzykiem radośnym:

— Paniel...

— Pani!..

Rękę panny Karoliiny do ust poniosł i uczuł serdeczne a ciepłe dłoni uściśnienie.

— Spodziewałam się pana... czekałam...

— Czekalaś pani?...

— Dniem liczyła i z obliczenia moment oglądania pana wypadł mi na dziś lub na jutro...

— Jam momentu tego z niecierpliwością wyglądał... — odezwał się Zoryan z pewnym lekkim w głosie drzeniem. Takem pragnął... ach! takem pragnął co najrychlej do pani się dostać!... Pani... — zaczął, ręki jej z dłoni swojej nie puszczać, w oczy pannie Karolinie patrząc i wyrazom akcent prośby nadając. Panno Karolino... Znałiśmy się z sobą krótko lecz wiele, i, na podstawie znajomości tej, pozwalam sobie... ofiarować ci moje serce i moją rękę..

— Tak?...obcesowo?... odrzekła z uśmiechem.

— Do obcesowości tej przysposabiałem się przez rok i sześć tygodni, nie licząc dui dwóch w podróży oszczędzonych... Więc?...—zapytał.

Panna Karolina z cicha odkaszlnęła.

— Przyjmujesz ofiarę moją?

— Przyjmuję...—odrzekła.

— Ah!.. zawołał, dłoń i wzrok do góry wznosząc. Zbawionym!. Odnajdę z tobą, czego sam odszukać nie mogłem...

Wejście pani Zbuskiej przerwało scenę oświadczyn, która się zaimprovizowała sama przez się. Pani Zbuska, nie łając gościa, dowiedziała się, co zaszło i temu się tylko dziwiła, że się to odbyło tak nagle.

— Skorzystałem z pierwszego momentu sposobnego, z odwagi własnej, z natchnienia, ze światełka jakiegoś dobrej wróżby, która się w oczach

panny Karoliny pokazała...—tłumaczył Zoryan. Lękałem się, ażeby moment ten nie uciekł...

Pani Zbuska udzieliła młodej parce błogosławieństwa macierzyńskiego i—reszta następnie wywinęła się niaby z płatka. Zoryan na drugi dzień odjechał, w kilka dni później przyjechał, znów odjechał — znów przyjechał, aż nastąpił dzień ślubu. Zoryan Dołęga i panna Karolina Zbuska połączyli się węzłem małżeńskim.

Dobrze na tém wyszło jedno i drugie.

Zoryan dostał żonę i zdobył program, a zdobył takowy nie natychmiast po ślubie, nie w ten sposób, ażeby mu go żona podyktowała, ani nawet za pomocą narady i dyskusyi wspólnej, ale prosto przez to, że pani Dołężyna sprowadziła w życiu Zoryana równowagę — równowagę majątkową i równowagę moralną. Równowaga życiowa jest rzeczą ogromnie ważną, niezmiernie ważną: bez niej nie sposób kroczyć naprzód; jest ona warunkiem postępu; kto się zatacza, ten do mety nie dojdzie — to aksyomat. Za sprawą żony Zoryan—że się tak wyrazimy — punkt ciężkości znalazł: tu oszczędność zaprowadził, tam nakład właściwy zrobił, sprawy uporządkował, stosunki gospodarskie ułożył, długi spłacał, czynnym się stał a do stanu swego chorobliwego zastosował środki higieniczne, które cudownie skutkowały.

Wszystko to stanowiło preludium ni-
by do programu; program zaś urodził
się... w kołysce syna.

— Trzeba, żeby miał rozum... —
rzekł Zoryan, patrząc na nowonarod-
zonego.

— Czy on sam? — zapytała matka.

— Jak to rozumiesz?—Zoryan na to.

— Mnie się zdaje, że rozum osamotniony, jak osamotnienie wszelakie, jeżeli daje powodzenie, to sztuczne i niestale... Zespolenie wiedzy...—
zaczęła.

— Prawda! — podchwycił Zoryan,
uradowany niemal tak, jak się urado-

wał był czasu onego Archimedes, gdy
zadanie rozwiązał. Prawda!.. Zespo-
lenie wiedzy... jaką to potęgę wytworzyć może!.. Tak... To cel... cel, do
którego prowadzi droga pracy nad
szerzeniem światła w narodzie...

„I przed narodem nieście oświaty kaganiec.“

— Dziękuję ci, Karolino...

— Za co?.. zapytała pani Dołężyna.

— Za co?.. za syna... — odparł to-
nem półzartu — za syna i — dodał,
żonę w rękę całując — za wskazanie
ojcu drogi... Jakże to dobrze, żeśmy
się na kolei spotkali!.. Jakąż mi ten
pruski oficer przysługę wyświadczył!

SPIS RZECZY.

Teodor Tomasz Jeż przez <i>Piotra Chmielowskiego</i>	1
Wskazania polityczne przez <i>A. Świętochowskiego</i>	48
Notatka statystyczna przez <i>Filipa Sulimierskiego</i>	55
Indywidualizm w życiu społecznem przez <i>Karola Dunina</i>	65
Rojenia socyalistów polskich wobec nauki ich mistrza przez <i>Władysława Wścieklicę</i>	85
Sprawa włościańska i służebności przez <i>Franciszka Olszewskiego</i>	115
Próba charakterystyki szlachty polskiej przez <i>Jana Karłowicza</i>	142
Pierwsza karta historii religii przez <i>I. Radlińskiego</i>	163
Echa z epoki kamiennój przez <i>Juljana Ochowicza</i>	182
Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej przez <i>Władysława Smoleńskiego</i>	205
Śmielsze błyski humoru satyrycznego w literaturze staropolskiej przez <i>Antonię Gustawa Bema</i>	257
Wychowanie przeszłe i obecne przez <i>Adolfa Dygasińskiego</i>	281
Spór o nauki przyrodzone w szkole przez <i>Stanisława Kramsztyka</i>	303
O Słowianach we Włoszech przez <i>J. Baudouina de Courtenay</i>	325
Integratory przez <i>B. Abakanowicza</i>	345
O szybkości reakcyj chemicznych przez <i>J. J. Boguskiego</i>	353
O funkcyjach ciągłych dla których istnienie całek jest wątpliwem przez <i>W. Gosiewskiego</i>	366
Dobra pani. Nowela przez <i>E. Orzeszkową</i>	373
Pod lasem (wiersz) przez <i>M. Konopnicką</i>	404
Pauzaniarz obrazek dramatyczny przez <i>W. Okońskiego</i>	407
Nieprzejednani. Tkanka z dumań przed obrazem Ary-Scheffera „Kuszenie Chrystusa“ przez <i>Ludwika Straszewicza</i>	416
Lista abonentów Ogniska .	

Na końcu dzieła mieści się zakupiona z dochodu **Ogniska** powiastka T. T. Jeża p. t. **Dołęga**.







AC 60.036
Ognisko

Stanford University Libraries



3 6105 041 459 723

AC
60
036

17742

467505/10

**Stanford University Libraries
Stanford, California**

Return this book on or before date due.

--	--	--

